KRASZEWSKI

INFANTKA

INFANTKA

DRUK PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-SWIAT 41.

INFANTKA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(Anna Jagiellonka)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I



WARSZAWA
NAKŁADEM M. ARCTA
1912


LIBRARY
APR 25 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

KSIĘGA PIERWSZA.

Nadzieje.

Na niebiosach i w kalendarzu była wiosna, ale na zamku krakowskim oblewał twarze smutek tak ponury i przygniatający, zdawał się nawet na szarych murach jego odbijać, jak gdyby świat późną jesienią obumierał. Ta sprzeczność pomiędzy obrazem natury a obliczem ludzi wyraziściej jeszcze dawała czuć troskę, która ich uciskała. Na kogo było spojrzeć, co się o uszy odbijało, tchnęło goryczą jakąś i zwątpieniem, wszystko i wszyscy. Wyjątek jedyny stanowili może parobcy i czeladź, która z rozprzężenia korzystała, aby broić bezkarnie.

Był wieczór, dzwony odzywały się leniwo, posępnie, opieszale i żałośliwie wołając na pacierz, który miał dzień zakończyć.

Około zamku snuły się postacie zadumane, powolnemi kroki mierzące podwórze, patrzące przed się osłupiałemi oczyma. Nikt nie śmiał raźniej podnieść głosu, szeptano jakby się obawiano dźwięku własnej mowy. Od miasta też, już o tej porze zabierającego się do spoczynku, dochodziły tylko szmery głuche, których znaczenia rozeznać było trudno.

W powietrzu powiew wiosenny niekiedy przynosił woń od lasów rozwijających się, od wezbranych wód Wisły, od łąk, pierwszemi okrytych kwiatami.

Niebo zwolna zrzucało z siebie jaskrawe blaski wieczora i przywdziewało płową szatę nocną, na ksórej gdzieniegdzie przyświecały już blado-szare gwiazdy, wybiegając naprzód, jak na zwiady.

W dolnych krużgankach wewnętrznych zamku, mało było widać ludzi. Niekiedy przesuwał się dworzanin w barwie królewskiej, starszy komornik lub nędznie odziany stróż z wiadrem wody, z wiązką drzewa do kuchni.

U słupa jednego na ławie spoczywał niemłody mężczyzna zmęczony pot ocierając z czoła z twarzą pooraną i ciemną, a jak noc smutną. Z sukni trudno się było domyślać kim był, odzież bowiem miał skromną, szarą i nie wyglądał na pana, ale obliczem, na które padał odblask wieczora, mógł stać choćby pomiędzy senatorami, tak było poważne i wyszlachetnione. Twarz jego nosiła na sobie znamiona stoczonych bojów ciężkich, po których pozostaje znużenie, ale nie zgryzota. W smutku widać było spokój sumienia, który daje żywot poczciwy.

Spoczywał, ale nawet w tej chwili myśl jego pracować musiała. Najmniejszy szmer zwracał oczy i uwagę. Stał na czatach. Kilka razy poruszył się, jakby chciał powstać i pozostał na miejscu.

Mimowoli, bezwiednie, w takt myśli, które po głowie jego przebiegały, stary ręce podnosił, ramiona dźwigał, głową potrząsał i siedział potem kamiennie nieruchomy. Ważył w sobie coś i rozważał; tak był przejęty troską swą, iż nie spostrzegł i nie usłyszał, gdy wolnym krokiem idący krużgankiem mężczyzna, prawie tego samego wieku, ale rzeźwiejszy, zbliżył się ku ławie i ku niemu. Dopiero gdy mu przechodzący światło z zachodu sobą zasłonił, podniósł zwolna głowę.

Pozdrowili się milczący ruchem głowy i rąk, jakby im obu na słowo zdobyć się było trudno.

Przybywający, na którego padło światło od podwórza, wyglądał bardzo rycersko. Choć nie miał na sobie ani zbroi, ani żadnej oznaki wojaka można było poprzysiądz, iż w służbie żołnierskiej spędził życie.

Twarz na podziw była mimo wieku piękna i szlachetnych rysów, czysto polskich, siwiejący wąs spuścisty okrywał mu wargi i niemal na piersi spadał. Strój miał kroju starodawnego, niewytworny, co w owym czasie nie było pospolitem, bo się wszyscy radzi cudacko przebierali.

— A co oboźny mój—odezwał się stłumionym głosem przybywający,—a co? Nie masz tam jakiej pocieszającej nowiny, którąbyś mnie ożywił?

Oboźny króla Augusta, Karwicki, ręce na kolanach leżące załamał, podniósł głowę i westchnął ciężko.

— A! rotmistrzu mój, panie miły—rzekł ponurym głosem grobowym—pod te czasy nieszczęśliwe skąd co dobrego wziąć? Zdaje się, iż Opatrzność, w niezgłębionych swych wyrokach, nad naszemi głowy i nad tem nieszczęśliwem królestwem skupiła wszystkie klęski, jakie tylko ludzi trapić mogą.

Rotmistrz Bieliński na westchnienie odpowiedział westchnieniem.

— Pomnijcie na to—odparł spokojnie,—iż Opatrzność krzyże zsyła tym, których Bóg miłuje, i że one są próbą cnoty. Narzekać—nadaremna rzecz i nie męska. Jak na wojnie, panie oboźny, na czatach stać z różańcem i szablą, to jest z wiarą w Boga i w siły własne.

Karwicki, oboźny, podniósł oczy niebieskie, zbladłe wiekiem i dziś szare, usta mu się skrzywiły i z piersi znowu wydobyło się mimowoli westchnienie.

— Nie dziwuj się, że człowiek stęknie, rotmistrzu—rzekł.—Brzemię okrutne, podczas głowę stracić można.

Bieliński zamilkł; snać i on czuł to brzemię.

— Cóż z królem, panem naszym miłościwym—zapytał po chwili;—co mówią lekarze?

— Pan Stanisław Fogelweder i Niemiec Ruppert jedno pono prawią—odpowiedział oboźny, obok którego zajął miejsce na ławie rotmistrz Bieliński—z królem źle jest, bardzo źle, a co pomogą leki i lekarze, gdy kto życia nie szanuje?

— Zaprawdę — przerwał, rękę podnosząc Bieliński—i ja tak trzymam. Ciału żaden lekarz nie poradzi, gdy dusza choruje i radaby uciec z niego. Wszak ci to męczennik!

— A tak!—potwierdził gorąco Karwicki,—któż to lepiej wie od nas, cośmy w służbie jego oddawna i smutną tę historyę znamy? Ci, co zdaleka patrzą, mogą obwiniać, sarkać, zadawać mu, że własną winą w to popadł, ale my wiemy, iż się stał ofiarą losu jakiegoś, który go chyba od kolebki ścigał. Lepszego i szlachetniejszego człowieka, większego serca monarchy na świecie chyba nie znaleźć, a oto jak ginie marnie, nie zostawiając nawet po sobie pamięci, na jaką zasłużył. O Boże!!

Słuchając z głową ku mówiącemu zwróconą, rotmistrz słowo każde chwytał bacznie.

— Nie nam go sądzić—rzekł.—Biedny pan! biedny pan!

Karwicki z wielką żywością zwrócił się do rotmistrza.

— Wy go lepiej znacie—rzekł,—ale drudzy? Sądzą go z tego, co teraz czyni, gdy już sobą prawie nie władnie, a nie patrzą na to, co go do tego stanu przywiodło.

— Jestże już tak źle ze zdrowiem? hę?—zapytał Bieliński.

— Gorzej nie może być—odparł oboźny,—ręce i nogi chiragra i podagra trapią, wewnątrz boleści cierpi, a najgorzej z umysłem. Troski go jedzą, sam już nie wie, co czyni.

— A! bracie miły, wiele on ich sobie sam przysporzył—rzekł, zniżając głos Bieliński,—ale prawda, i ludzie mu ich przynieśli wiele.

Zawahawszy się nieco, rotmistrz dodał:

— Aleby wam z Warszawy potrzeba już precz, póki czas. Morowe powietrze dokoła ją opasuje. W Okuniewie ludzie padają, jak muchy, a pono i tu po przedmieściach i w samem mieście przypadków śmierci było wiele, które już mór, wciskający się, zwiastują. Nie odkurzą go żadnym dymem.

— Toć wybieramy się stąd, acz nie wiem dokąd—rzekł Karwicki oboźny.—Z chorym panem jechać troska też będzie niemała. Siedzieć, choćby w najwygodniejszej kolebce, nie będzie mógł; nieść się nie da, chyba go z łożem na wóz postawimy, a po naszych drogach taki wóz nie wszędzie przejdzie bez szwanku.

Oba zamilkli potem, patrząc przed siebie niemi.

— Zamęczyli go — rzekł Bieliński po długim przestanku.—Bona go naprzód pod fartuchem trzymała za długo. Gdyby naówczas, jak go na wojnę wyprawiano, nie zawróciła z drogi, byłby się do zdrowego życia obozowego nałamał, młodym i rzeźwym byłby dziś, jak ja, co się starym nie czuję. Jak kwiatuszek w cieniu rósł, wyrósł też blady, biedny, wątły. Dali mu pierwszą żonę, to ją zazdrość Bony rychło zabiła; ożenił się z drugą, która go wiele kosztowała zgryzoty, i tę mu matka odebrała. Ożenił się z trzecią, i z tą żyć nie mógł dla okropnej choroby jej, a rozdzielić mu się nie dali. Zszedł na ladajakie miłośnice... i tak ostatni z tej wielkiej krwi królów bez potomka nędznie schodzi, nie wiedząc nawet, komu puści kraj, który tak kochał. Jedna królewna Anna została nam doma, a i tej bodaj niedaleko do pięćdziesiątki!

— Cicho! — przerwał oboźny, nam—sługom królewskim, imienia jej nawet wyrzec nie wolno. Źli ludzie tak umieli zasiać niezgodę między rodzeństwem, iż król jej na oczy nie dopuszcza, żal ma wielki. A ta nieszczęśliwa oczy sobie wypłakuje.

Teraz przecie na nią przejdzie po śmierci króla i królestwo i Litwa, Boże uchowaj!—odezwał się rotmistrz.—Ostatnia ona tu z tego rodu.

Oboźny ramionami wstrząsnął.

— Takby ono było, gdyby korona dziedziczną się zwała—odparł,—ale tu już zawczasu przebąkują, że sobie króla wybierać będą, jakiego zechcą!

— A! nie może być. Srogaby była niesprawiedliwość i niewdzięczność—krzyknął, głos podnosząc i zaraz go zniżając Bieliński.

— Rozsłuchajcież się—odparł spokojnie oboźny.

I milczeli znowu.

— Na królestwo to—dodał Karwicki po cichu, oglądając się dokoła, jakby się podsłuchania obawiał,—na królestwo to zawczasu już poluje wielu. Jeszcze król nie zamknął powiek, a posłów potajemnych i szpiegów po senatorach, po szlachcie, po duchowieństwie włóczą się ćmy. Jeden Bóg wie, na czem się skończą te frymarki.

— Po mojemu, po żołniersku—odpowiedział Bieliński,—rzecz bardzo prosta i jasna. Królewna ma pierwsze prawo do tronu, kto wybrany zostanie, ożeni się z nią. Nie tak-li było z królową Jadwigą?

Karwicki głową potrząsnął.

Prostsze to i poczciwsze serca owych czasów były—rzekł;—dzisiaj ludzie bardzo zmądrzeli, na dobre i na złe rozum zażywają. Kto tu odgadnie, co się stanie?

I podumawszy trochę, dołożył, obracając się ku rotmistrzowi:

— Powiadają, że brat króla Francyi o koronę się stara, ofiarując zaślubić królewnę Annę, a u nas tu i głośno i po cichu zaprzedanych niemało jest, którzy cesarskiego brata, czy synowca popierają. Litwa cara moskiewskiego wziąć gotowa, aby od niego spokój miała. Są i tacy, co za pruskiem książątkiem głosują.

— Zawczasu! zawczasu!—z oburzeniem przerwał rotmistrz.—Czy się to godzi! Alboż to Bóg nie wszechmogący i nie może panu zdrowia przywrócić, żywota przedłużyć, a nawet syna dać w późnym wieku, jak Jagielle? Niedźwiedź w lesie, a ten na targ skórę niesie. O ludziska, ludziska!

— Wszystkiemu winni—dorzucił Karwicki—ci, co mu rozwodu dopuścić nie chcieli. Kardynał Commendoni najwięcej, bo się upierał dla czci cesarskiego domu nie rozłączać ich, gdy kościół w takich wypadkach choroby ciężkiej i wstrętliwej, niemożliwego pożycia, niejeden raz małżeństwa rozwiązywał i żenić się pozwalał.

Bieliński, krzywiąc się, nachylił do ucha obożnemu.

— A lepiejby było, gdyby, wziąwszy rozwód, uparł się żenić z Zajączkowską?

Szeptał po cichu i szukał oczyma wejrzenia towarzysza, który wzrok wlepił w ziemię i głowę zwiesił na piersi smutnie.

Była chwila, że się koniecznie napierał tej Hanny—dodał,—a kto wie czy i teraz jeszcze o niej nie myśli. Mówią, że ją po książęcemu wyposażoną trzyma w Witowie. Za samo łoże dla niej cztery tysiące dukatów zapłacono! Panie Boże odpuść! Gdyby z grobów wstali ci, któ-

rym Radziwiłłównej dla króla było za mało, cóżby powiedzieli na Hanusię Zajączkowską.

Po krótkiem milczeniu Karwicki się odezwał:

— Wszystkiemu temu bałamuctwu winni źli doradcy, nie on. Chcieli mu życie osłodzić babami, a niemi je zatruli. Niech Bóg przebaczy krajczemu i podczaszemu i innym pomocnikom, którzy mu miłośnice wynajdywali, stręczyli i przywodzili. Zaczęło się od tej mieszczanki, Basi Giżanki, która dziś karetą jeździ o czterech woźnikach; poszła za tem Zuzia Orłowska, aż napatrzyli Hannę Zajączkowską między fraucymerem królewnej Anny, która teraz pokutuje za nią i łzy wylewa.

Zniedołężniał tak nakoniec, że już własnej woli nie ma—westchnął rotmistrz;—lada pacholę, jak ten kniaźnik, czyni z nim, co chce.

Cierpieniem, troską, postrachem zgonu bezpotomnego tak się znużył, iż dziś dla świętego spokoju wszystko gotów poświęcić—począł Karwicki.—Niepoczciwi ludzie gotowi zawsze ze wszystkiego korzystać; im gorzej go widzą, jem więcej naciskają, uprzykrzają się i łupią. Dotąd pono testamentu nawet niema, a dla samych sióstr uczynićby go powinien, aby im nie wydarto, co należy.

— Serce się kraje, myśląc o tem—dodał oboźny.— Ja, gdy rozważać zacznę wszystko, a odgadywać przyszłość uciekam się do modlitwy, taki strach mnie ogarnia.

Bieliński rękę jego ujął.

— Sądzicie, że ze mną lepiej?—zawołał.—Niema pono w tem królestwie naszem jednego poczciwego człowieka, któryby, jak my, nie bolał. Jak w ulu, gdy matki zabraknie, co pocznie rój? Tak i z nami. Zabraknie nam króla i królewskiej rodziny, choć dziś boli na nią patrzeć, co się naówczas stanie z tem państwem naszem? Z jednej strony chyha na nie car moskiewski, z drugiej cesarz niemiecki, który już Węgrów i Czechy wziął, a na Polskę zęby ostrzy. Nie liczę Turka i Tatarów. Jak my się obronim bez wodza i głowy? Co naówczas się stanie z naszemi od wieków zdobytemi prawami i swobodami? Ażali je obcy poszanują? Im potężniejszego wybierzemy dla bezpieczeństwa od nieprzy-

jaciół, tem dla nas on groźniejszy, bo mu nasze swobody będą solą w oku.

To też wielu już dziś sądzi, że francuskiego królewicza, o którym gadki chodzą, że i on o koronę się stara, wziąć byłoby najbezpieczniej—odparł Karwicki.—Tylko znowu ci, co lepiej są poinformowani, prawią, że młokos jest i papinek... a nasza królewna, z którąby się żenić musiał, matkąby mu być mogła.

Bieliński głową potrząsał.

— Statystą nie jestem odezwał się—a na łaskę Bożą i natchnienie Ducha św. wiele liczę.

— Gdybyśmy na nie zasłużyli—dokończył oboźny.

— Bieda!—przerwał Bieliński.

— A no, bieda!—powtórzył za nim Karwicki.

Ściemniało tymczasem trochę na dworze, a pod krużgankami noc prawie była. Na zamku mało gdzie ukazywały się światełka, ruch ustawał, cisza rozpościerała się głęboka dokoła.

Zdala, jakby głosy nadziei, z nad krzaków ogrodu nad Wisłą, od rzeki dały się słyszeć słowicze śpiewy, którym siedzący oba, milcząc, długo się przysłuchiwali.

Rotmistrz Bieliński wstał.

— Czas na spoczynek—odezwał się.—Przyszedłem tylko na zamek dowiedzieć się, czy król mnie nie potrzebował, bo mi kazał być w pogotowiu.

— Cały ten dzień okrutnie cierpiał—odezwał się Karwicki.—Doktorowie o podróży radzili i nie uradzili nic.

— Ale z Warszawy musi precz jechać—przerwał rotmistrz,—bo czasu moru miasto, to jak czasu pożaru śpichrz ze smołą... zagnieździ się śmierć na długo. Musimy króla salwować.

— Pewnie! Ale dokądże z nim?—zapytał oboźny.

Bieliński dumał, odpowiedzieć nie umiejąc.

Stali tak jeszcze w cieniu, gdy od wrót, które na drugi podwórzec zamkowy mniejszy wiodły, szmer się jakiś dał słyszeć. Oboźny spojrzał i nie odzywając się, palcem tknął rotmistrza, ukazując mu tę część krużganków, która korytarzami wiodła do mieszkania chorego króla.

Odblask wieczornej zorzy we mrokach rozeznać dozwalał postacie, które furtą otwartą po cichu na zamek się wśliznęły.

Trzy ich było, przodem szedł wysokiego wzrostu mężczyzna, płaszczem włoskim na ramię narzuconym osłonięty, w kapeluszu z pióropuszem. Tuż za nim, rańtuchem z głową okrytą całą posuwała się niewielka figurka, która niewiasta być musiała, sądząc z chodu i ruchów; za niemi postępował wysmukły chłopak, wyrostek.

Szli cicho, na palcach, ostrożnie, oglądając się, przesunęli przez podwórze, dostali się do krużganków i we drzwiach wiodących ku izbom króla znikli.

Rotmistrz przypatrywał się ciekawie, zdając się oczekiwać od oboźnego objaśnienia, który milczał póty, aż przechodzący nie oddalili się w głąb korytarzy.

— Król leży chory—rzekł,—a oto mu albo jakąś czarownicę, albo jednego z tych „sokołów" poprowadzili, o których on teraz sam powiada po cichu, że one go zgubiły.

— Dziwna a najdziwniejsza rzecz—dodał wzdychając Karwicki;—on sam jasno widzi, że się gubi, wie, że mu te kobiety żywot skracają, a oprzeć się pokusie nie może, Fogelweder i Ruppert przepisują mu leki apteczne; wieczorem starą babę czarownicę, znachorkę sprowadzają, ta go okurza, obmywa, zamawia, męczy... może truje! Ledwie się zbył wiedźmy, biegnie Basia Giżanka, o córeczce powiadając, aby mu, póki czas, coś wydarła, choć dosyć już ma, aby sobie męża kupiła.

Oboźny ręce załamał rozpaczliwie.

— Koniec świata!

— Na Boga—podchwycił rotmistrz—od czegóż są panowie senatorowie, Rada królewska! Winni go oni wziąć w opiekę. Cóż ksiądz podkanclerzy?

Zżymnął się, posłyszawszy o nim, oboźny.

— Ksiądz podkanclerzy o sobie myśli, nie o panu —zamruczał.—Umiał on opanować umysł królewski, ale tylko tem, że namiętnościom schlebia i przez szpary patrzy na nie.

— Dreszcze po mnie przechodzą—zawołał Bieliński,—

gdy was słucham. Myślałem, idąc tu, że pociechę jaką wyniosę, a wyście mi jakby całunem świat cały oblekli.

— Co pomoże zabawiać się nadziejami próżnemi, gdy nad głową wisi miecz—odparł Karwicki.

— No, ale na dziś chyba dość tego—przerwał, obejmując przyjaciela, rotmistrz.—Ufajmy w Bogu! Mnie się wierzyć nie chce, aby nas miał pokarać tak srodze i wydać na łup nieprzyjaciołom.

— Nieprzyjaciołom—podchwycił oboźny—rotmistrzu miły, nieprzyjaciołom-byśmy się obronili, ale my sami sobie jesteśmy najgorszym wrogiem.

Bieliński, uszy zatykając, słuchać już nie chciał.

— Dość! dość! Czołem, panie oboźny!

— Czołem, mój stary!

Uścisnęli się milczący.

Karwicki, jakby mu przyjaciela trudno opuścić było, powoli towarzyszył aż do bramy, lecz milczał już, idąc z głową spuszczoną.

Rotmistrz Bieliński, otwarłszy furtę, rękę jego uścisnął i poszedł żywo ku miastu.

Chwilę postawszy, Karwicki nazad do zamku powrócił, lecz nie siadając już na ławie, w głąb podwórca ku wewnętrznej bramie się skierował, i miał wnijść na wschody, około niej zewnątrz muru przyczepione, gdy furta się otworzyła, a w niej ukazała się postać kobieca, której zdala towarzyszył zbrojny mężczyzna.

Spostrzegłszy Karwickiego, kobieta chciała się cofnąć żywo, ale poznawszy rychło, wróciła śpiesznie i syknąwszy z cicha, śmiało się do niego zbliżyła.

Twarzy kobiety, osłoniętej od stóp do głów płachtą ciemną, nie można było rozeznać, ale pod tą osłoną, niedbale zarzuconą, czuć się dawała zręczna, gibka postać, a głos srebrny, młody zadźwięczał:

— Oboźny!

— Dosia!—odezwał się Karwicki.

— A któżby był, jeśli nie ja?—odparła żywo przybywająca.—Gdyby nie poczciwy stary Żegota, nie ważyłabym się z jednego podwórza zamkowego na drugie sama

po nocy, bo i na królewskim zamku bezpieczeństwa niema... ale Żegota mnie wziął w opiekę a królewna.

— Z czemże przychodzisz od królewnej?—zapytał, zbliżając się, Karwicki.

— Z czem ja przychodzę—odparła z odcieniem szyderstwa kobieta,—zapytaj raczej po co? bo od nas niema co przynieść, chyba łzy. Królewna niespokojna, biedaczka, nie wspomnieliście królowi o niej?

— Nie było przystępu do niego!—odparł smutnie Karwicki.

Kobieta rozpaczliwie się poruszyła.

— A! mój Boże! mój Boże!—poczęła narzekać — król o niej zapomniał, a u nas na wszystkiem zbywa, panie oboźny. Na wieczerzę trzeba było wyprosić u kupców bez pieniędzy, bo zapłacić niema czem. Królewna-by ochotnie ostatek sreber zastawiła, ale tu na nas tyle oczów patrzy, dla czci królewskiego domu nie godzi się, więc woli głodem przymrzeć. Nikt nad nami litości nie ma. Co zawiniła ta biedna królewna nasza, iż jej król bratem ojcem i opiekunem, jak powinien, być nie chce, że się nieprzyjacielem stał.

— A! nie mówcie tego—przerwał nagle Karwicki.— Nie godzi się, serca on dla siostry nie stracił, źli tylko ludzie sprawili, iż żal do niej ma.

— Królewna winna żal mieć do niego daleko większy, bo jej się krzywda działa i dzieje—zawołała posłanka.— Dokoła głoszą, że król dla morowego powietrza wyjeżdża z Warszawy, cóż natenczas się stanie z nami? Nas też niepodobna dać na łup zarazie; a o czemże my podróż odbywać będziemy i dokąd się schronimy.

— Cierpliwości! czekajcież!—zawołał Karwicki;—ani dziś, ani jutro król nie wyjedzie. Nim to nastąpi, klnę się najuroczyściej, my go skłonimy do widzenia się i przejednania z królewną.

— I do opatrzenia jej potrzeb—dodała żywo kobieta— Na nas już i moru nie trzeba, pozdychamy niebawem z głodu.

Oboźny niby się uśmiechnął.

— Cóż? myślicie, że ja po kobiecemu z muchy ro-

bię wielbłąda?—odparła przybyła.—Zapytajcież drugich, jak u nas jest? Gorzejby nie mogło być, gdyby królewna była córką prostego ziemianina, a toć przecież królewskie dziecię, siostra króla i królowych. Boże mój!

Zafrasowany, zgnębiony Karwicki milczał.

— A! Dosiu moja,—rzekł—ja to wszystko wiem. Z duszy-bym rad dopomódz i nie ja jeden. Żaliński także, Fogelweder, ale trudno przystąpić do króla i sam na sam się z nim rozmówić. Przy trutniach się z tem odezwać, znaczyłoby popsuć sprawę.

Kobieta łamała ręce.

— A! czekamy już długo na zmiłowanie!—westchnęła.

Oboźny tarł czoło niecierpliwie.

— Gdybyście wiedzieli, jak mi do was trudno było iść, z jakim ja tu biegłam strachem—mówiła dalej—a no, musiałam, bo nikt inny nie mógł, nie chciał. Królewna-by też może nie rada lada komu się zwierzyć z nędzą swoją. Pokrywa ją, jak może, aby się ludzie z niej nie naigrawali. Mnie na odwadze nie zbywa, choćby z rozpaczy, gdy na królewnę, panią moją, dobrodziejkę, patrzę, poszłabym już, choć i bez Żegoty.

— No! no!—odparł Karwicki—sama się tak nie wyrywaj! W mieście, koło zamku i na zamku ludzi różnych, włóczęgów dosyć; pod noc biedy napytać łatwo.

Obejrzał się po niebie.

— Wracajno, wracaj—rzekł.

— Z czem?—zapytała kobieta.

— Z tem, że jutro ja, albo Żaliński powiemy królowi, przypomnimy królewnę i skłonimy go do zgody.

— Do zgody!—powtórzyła cicho oczekująca.—Do zgody! Boże miłosierny! Mógłże kto przewidzieć, że między bratem a siostrą powstać może niezgoda; i o co?

— No, dobrej nocy i szczęśliwej drogi—zamknął jej usta oboźny.

— Do jutra!—zakończyła uparta dziewczyna, nie ruszając się z miejsca—do jutra, bo ja przyjdę jutro i dopóty chodzić będę, aż coś wykołaczę.

— Do jutra—powtórzył oboźny, który do furty się

zbliżył, otworzył ją i wypuściwszy kobietę, prędko za nią zasunął.

Spojrzał w górę po oknach zamkowych. W tę stronę wychodziły komnaty królewskie.

W dwóch oknach zasłonami pół przezroczystemi zapuszczonych, czerwonawe światło przebijało się przez nie słabo. Czasami cienie jakieś po nich się przesuwały.

W tych izbach spoczywał na łożu tęsknicy i boleści ostatni męski potomek rodu Jagiellońskiego — Zygmunt August. U wezgłowia jego czuwały nie miłość i przywiązanie, nie wierne serca i ludzie, ale chciwe dłonie, wystygłe piersi, nienasycone żądze.

Szybkim krokiem od wrót zamkowych oddaliła się posłanka na drugie ciche podwórze, które otaczały budowle starsze i mniej foremne. Ciągnęły się tu mury głównej budowy, połączone z nią, a pomiędzy niemi przejścia, wschodki, galeryjki, sklepienia świadczyły, że wieki kleiły to gniazdo, a każde pokolenie uściełało je wedle potrzeby.

Ciemnemi zaułki szła śmiało posłanka, a stary Żegota, kord trzymając w ręku w pogotowiu, towarzyszył jej aż do oddzielnego dziedzińczyka, który budowę jedną opasywał. W murze były i tu wrota. Zbrojny stróż zapukał do nich, wpuścił dziewczę i nie mówiąc słowa, sam poszedł dalej.

Naprzeciw powracającej Dosi z kagankiem w ręku wyszła niemłoda kobieta, przygarbiona nieco, odziana ubogo, z twarzą jakąś wypłakaną i smutną.

— Krolewna?—zapytała Dosia.

— Układłyśmy ją do snu —szepnęła stara. —Znowu to oko rwało i głowa ją bolała strasznie. Żalińska materacyk położyła z rumianku, obwiązałyśmy chustynką szafranową. Bóg wie! Ulży jej może! No, a król?

Dosia poruszeniem głowy dwuznacznem odpowiedziała, jakby o nim niewiele co mówić było.

Zatrzymały się tak obie w podwórku, którego mur

jeden wychodził w stronę Wisły i ogrodu, a ponad nim widać było gałęzie zielone drzew i krzewów.

W budynku, przed którym stały, nie świeciło się nigdzie; stał czarny ze swemi murami gdzieniegdzie z tynku poodzieranemi.

— W izbach, u nas jeżeli nie zimno, to za duszno— odezwała się przybywająca Dosia,—a tu powietrze wiosenne takie miłe; nie chciałoby się do komory, bo i sen powiek się nie ima.

Stara kobieta, która kaganek osłaniając ręką, na swą towarzyszkę patrzała ciekawie, szepnęła cicho:

— Kto tam wie, gdzie teraz bezpieczniej? Powietrze wiosenne zawsze zimnicę daje, a no i mór idzie, człowiek boi się nawet oddychać. Lada wiatr przynieść może licho.

— A! wstydźże się Maciejowa—żywo przerwała jej Dosia.—Powietrze! powietrze! Jakby do czasu moru pana Boga nie było, bez którego woli człowiekowi włos nie spadnie z głowy! Ja się moru nie boję! A każe Bóg życie dać, wola Jego!

Stara zaczerwienionemi oczyma ciekawie z poszanowaniem spojrzała na dziewczę.

— A! wy bo się niczego nie boicie, nikogo nie lękacie— szepnęła.—Ale niemal wszyscy młodzi tak śmiałkują, dopóki ich życie trwogi nie nauczy. Nie igraj i ty, abyś się nie doigrała.

W tej chwili blask kaganka padł na twarzyczkę śmiałej dziewczyny i całą ją czarodziejsko oświecił.

Czy światło to uczyniło ją tak piękną? Stała słuchając i patrząc na starą z takim wyrazem męstwa i ufności w Bogu i sobie, a tak jej z tem było heroicznie i pięknie, iż zdawała się jakąś nadziemską, przez malarza wymarzoną istotą, zjawiskiem, które chwilę błysnąwszy, zniknąć i w mrokach rozpłynąć się miało.

Ta nadzwyczajna piękność Dosi musiała się nawet starej babusi wydać zachwycającą, gdyż mimowoinie wykrzyknęła.

— A! jaka ty jesteś piękna!

Dosłyszała Dosia tych słów cichych, zwiesiła główkę smutnie, brwi się jej ściągnęły i rzekła tęskno:

— Pan Bóg mnie tą pięknością pokarał; na co się ona zdała?

Stara, przypomniawszy sobie kaganek, który trzymała w ręku, dmuchnęła nań i zgasiła. Ciemność je otoczyła.

— A Żalińska?—zapytało dziewczę.

— Siedzi przy królewnie, pilnując, czy się nie przebudzi a nie zapotrzebuje czego.

— Gdzież reszta dworu?

— Rozeszli się, gdzie który chciał, albo musiał—mówiła stara.—Niektórzy już chrapać muszą.

— Idźże i ty zasnąć, moja Maciejowa—dokończyła Dosia.—Mnie się chce siąść jeszcze trochę tu na ławie u drzwi i spocząć na świeżem powietrzu; w komorach mi jakoś duszno. Sen nie bierze.

Posłuszna Maciejowa, milcząc z kagankiem wsunęła się pocichu we drzwi, a Dosia z głowy na ramiona opuściwszy rańtuch, zbliżyła się ku ścianie, znalazła ławę i siadła na niej, ręce na kolanach załamawszy.

Cicha noc majowa, która nawet o północy nigdy zbyt czarną nie jest, usypiała miasto i zamek. Z każdą chwilą milczenie stawało się uroczystsze, szmery dolatujące zdala rzadsze i słabsze.

Dosia z oczyma wlepionemi w niebo, dobyła różańca i miała się zacząć modlić, gdy blizko niej z za węgła dały się słyszeć kroki.

Z niechęcią i obawą zwróciła wzrok w tę stronę, lękała się, aby jaki natręt nie spłoszył jej z tego kątka, w którym spocząć sobie obiecywała.

Chód był powolny, stąpanie dawało poznać mężczyznę. Wkrótce też z za węgła wyszedł słuszny, silnie i foremnie zbudowany, zręcznie się poruszający człowiek, otulony narzuconą na ramiona opończą, z głową nakrytą od niechcenia włożoną magierką. Krokiem powolnym posuwał się naprzód, zadumany.

Chociaż twarzy rozpoznać nie było można, Dosia, zobaczywszy go, zerwała się uciekać, gdy nadchodzący obejrzał się, poznał ją i uchylając czapeczki, rzekł cicho:

— Niech panienka nie ucieka, ja pójdę precz.

— Będę przecież musiała iść, bo mi po nocach w rozmowy wdawać się nie przystało.

— Ale ja dla porządku obejść muszę dokoła, aby się ludzie nie rozpuszczali—rzekł, zatrzymując się, mężczyzna.

Dziewczę nie odpowiedziało i słychać tylko było paciorki różańca, uderzające o siebie w jej rękach.

Mężczyzna stał, odejść mu się jakoś nie chciało.

— Ani we dnie, ani wieczorem, nigdy mi panna Dorota rozmówić się z sobą nie pozwala!—westchnął.—A takbym tego pragnął.

— Przynajmniej nie dziś i nie tu pora do rozmowy—niecierpliwie i prawie gniewnie odparło dziewczę.—Idź pan swoją drogą, a nie, to ja będę musiała.

— Idę już, idę—zawołał mężczyzna,—ale na rany Chrystusowe, kiedy ja będę miał to szczęście?

Nie dała mu dokończyć dziewczyna.

— A! szczęście, co za szczęście! Nigdy! nigdy!—zawołała nadąsana; zerwała się z ławki, wpadła we drzwi i zatrzasnęła je za sobą.

Mężczyzna machinalnie poprawił czapeczkę na głowie, ujął się za wąs i pokręcił go, przebąknął coś i szedł dalej powoli obejrzeć podwórze i otaczające je stajnie i szopy.

Zwolna tak, bacznie przesuwał się, nasłuchując, pomiędzy budowlami popróbował gdzieniegdzie drzwi i wrót, zaglądał do komórek wpół otwartych, z których go dochodziło chrapanie, i okrążywszy budynki, drugą stroną od tyłu wszedł do głównego korpusu przez sień ciemną, zdążając do komory, w której się świeciło.

Choć ciepło już było na dworze, tu na kominie palił się jeszcze ogień dogasający, nie dla ogrzania izby, ale dla oczyszczenia wilgotnego powietrza i dla światła naciecony.

Izba była dosyć przestronna, sklepiona, czysta, wybielona świeżo, z podłogą posypaną tatarakiem i jedlinką, których woń czuć się w niej dawała. Dwa tapczany stały u dwóch ich ścian przeciwległych, a stół prosty pomiędzy niemi w pośrodku. Po kątach, jakby w gospodzie po-

dróżnej, widać było tłomoki, skrzynki, uprzęże, siodła i wojłoki na kupę zrzucone.

Na stole leżał zgasły kaganek, a blask dogorywającego ognia chwilami oświecał komorę, podobną do jakiejś izby klasztornej.

Na jednym z tarczanów, opończą okryty, zwinięty w kłębek leżał człowiek, który posłyszawszy skrzypnięcie drzwi, podniósł głowę na pół łysą z wąsami ogromnemi, z policzkami obwisłemi i znużonemi, zapadłemi oczyma.

Zobaczywszy wchodzącego, już się na drugi bok obróciwszy, spać chciał kłaść, gdy usłyszał z piersi jego dobywające się westchnienie ciężkie. Ziewnął, podniósł się, wyciągnął, oczy przetarł, i usiadł na łóżku.

Waść, mości Talwoszu wzdychasz tylko a wzdychasz, piersi sobie mordujesz, do czego się to zdało?

— Myślisz, mój miły Bobolo, że ja to z dobrej woli czynię?—odparł przychodzący, który zrzuciwszy opończę i czapeczkę na swój ta'czan, zbliżył się do ognia, aby go poprawić i pokazał się człowiekiem młodym, i przystojnym mężnego wyrazu twarzy.

— Gdzieżeś znów u licha po nocy wędrował?—zapytał Bobola, ziewając. — Masz jakiego języka? dopytałeś co?

— Tyle tylko, żem najrzał Dosię, która połajawszy mnie, uciekła—rzekł młody Talwosz.—Obszedłem szopy i stajnie, bo dziś nikomu wierzyć nie można, wszystko się rozprzęga.

To mówiąc, gdy raz jeszcze westchnął, Bobola splunął gniewnie.

— Panna Dorota ci w głowę zajechała!—odezwał się. —Rozumu nie masz! albo to pora o amorach myśleć, gdy ta bieda dokoła i na śmierć się raczej sposobić potrzeba, bo nas tu powietrze wszystkich podusi w tych murach.

— Niechajby już, niechaj!—machając ręką rozpaczliwie odparł Talwosz—mnie, dalipan, życie zbrzydło.

— Dla jednej podwiki!—zawołał z oburzeniem stary Bobola.—Ale, wstydziłbyś się. Przecież panu Talwoszowi, nielada szlachcicowi, dobrego rodu, o innej przyszłości i krescytywie myślećby się godziło, a nie świat sobie za-

wiązywać jedną taką dzierlatką, u której tyle tylko, że liczko kraśne.

— Jak ci Bóg miły, Bobolo—przerwał młody—zaklinam, nic-że mi przeciw niej nie mów! Klnę się gardłem, drugiej takiej chyba niema na świecie!

Siedzący na łóżku, przygarbiony, rozespany Bobola, który obie ręce trzymał oparte o krawędź tarczana, podniósł oczy zwolna na towarzysza. Patrzył, patrzył i zrobił minę, wyrażającą politowanie, jakby chciał mówić:

— Żal mi cię biedaku! Do tego to już przyszło?

— Słuchaj Talwosz—odezwał się głośno.—Dotąd sądziłem, żeś ty się tak mimochodem zadurzył w niej, jak to codzień się zdarza, a jutro, gdy cię królewna na Litwę odprawi, wywietrzeje to z głowy; ale ty naprawdę szalejesz.

— A! naprawdę! naprawdę!—potwierdził Talwosz, który siadł u ognia na nizkiej ławeczce.—Mów sobie, co chcesz, mój koniuszy, łaj mnie, kiedy wola; Dosi drugiej, równej jej nie było i nie będzie.

—Urodą, rozumem, dowcipem, niema co mówić—zawołał Bobola—przechodzi inne; co prawda, prawda. Ale ja w dziewczynie tej śmiałości, tego rwania się naprzód nie lubię. Na kozaka patrzy.

Talwosz głową potrząsał.

— Rycerskiego ducha niewiasta—zawołał z uniesieniem.

— Dziewczynie młodej ten duch nie przystał—odparł Bobola surowo.

— Teraźniejszego czasu i kobietom serce urasta, tak nas bieda przygniotła, a my zniedołężnieli—począł Talwosz.—Ale, słuchaj Bobolo, dobrze, że się o tem zgadało. Tyś się już przespał, a mnie się wcale spać nie chce. Obiecywałeś mi tyle razy relacyę o tej Dosi. Ja nie od tak dawna na dwór przybywszy, tyle tylko wiem, że ją królewna wychowała, że ją lubi, a ona za swą panią życie dać gotowa. Ale skądże ona? Co ona?

Bobola, nie ruszając się z łóżka, poprawił się tylko i usiadł wygodniej.

— Prawdą a Bogiem—począł—ja do niej nie mam nic,

ale mi żal ciebie, bo ty naprawdę myślisz o niej, a ona, choćby jak piękną i poczciwą była, za żonkę nikomu się nie zda. U nas żona, prawda, męstwo mieć musi i rozum, gospodarną być, ale my się ciągle po świecie włóczymy, ona za nas i za siebie gniazda powinna strzedz i spokojnego ducha w sobie piastować. Na naszych żonach wszystko, ale w domu. Tej w domu będzie mało.

Szlachcic u siebie na wsi gościem. Jak nie na pospolite ruszenie, to na komisyę, na deputacyę, na zjazdy, na urzędy iść musi. Póki korda dobyć ma siłę, z konia nie zsiada. Więc jejmość koło domu, koło roli, koło interesów i do sądu, i do robotnika musi iść, i za męża i za siebie, i do tańca i do różańca.

Talwosz nie przeczył i nie odpowiadał.

— Myślisz, że taka twoja Dosia na wsi, we dworze wytrzyma?—dodał Bobola.

— Ona! — wyrwało się Talwoszowi—ona z siebie uczyni, co zechce! Ale daj pokój, nie o tem mowa. Obiecaliście mi coś o niej więcej powiedzieć, niż ja wiem; bądźcież łaskawi.

Bobola głowę pocierał.

— Gdyby cię to mogło wyleczyć z tej niedorzecznej miłości—westchnął.—Co ja wiem, czemużbym ci powiedzieć nie miał? Nikt mnie o tajemnicę nie prosił.

— Znacie naszą królewnę Annę? Serce ma złote, a szczęścia do ludzi ani zagrosz. Piękna była i jest jeszcze nieszpetną, a oto już pięćdziesiąty roczek podobno dochodzi, nikt się o nią prawie nie starał. Inne, młodsze przed nią powychodziły. O tę ani się nikt dowiedział. Król nasz August losem się jej nie zajął, ona o siebie nie troszczyła się.

— Katarzyny, królowej szwedzkiej, losu niema pono co zazdrościć—przerwał Talwosz,—ta się mało nie na śmierć zamęczyła, nim doszła przez więzienie ciężkie do królestwa. A mało co, że ją carowi moskiewskiemu nie wydał ten szalony Eryk.

— Ale wszelako dziś króluje—odparł Bobola.—Zofia wyszła też niezgorzej za Brunświckiego, o innych nie mówię; a ta została na koszu. Coby ją brat, sierotę, miał ko-

chać więcej, przyszło dziś do tego, że o tę Zajączkowską się pogniewawszy gadać do niej nie chce.

— Ale cóż to wszystko ma do Dosi!—zapytał Talwosz.

— No, poczekaj, to jest *exordium*—mówił spokojnie Bobola.—U naszej królewnej, niby to dla usługi, a w rzeczy przez litość pobranych, bywało zawsze dosyć sierot i wychowanic, co je utrzymywała, uczyć kazała i wyposażała. Wszak i ta Zajączkowska... ale dać jej pokój.

Otóż byliśmy, pomnę, w Krakowie, lat temu ni pamiętam ile, będzie około dziewięciu może, gdy raz przyszedłszy z miasta, stara Zakrzewska, która naówczas ochmistrzynią była przy fraucymerze, powiada królewnie:

— Tomci na mieście cudne dziecko, dziewczyninę widziała, choć malować. Gdyby aniołek piękna, ale odarta, w łachmanach, żal się Boże, jak zbiedzona. Szlachcic ją tu przywiózł, przez miłosierdzie wziąwszy z odbitych Tatarom jeńców. Nikt się do niej nie chciał przyznać. Radby ją, słyszę komu oddać, ale nikt się nie zgłasza.

Spojrzała na królewnę, która natychmiast odpowiedziała:

— Każcie tego szlachcica z dzieckiem na zamek przywołać.

Zakrzewska litościwego też serca kobieta, pchnęła zaraz pacholika na miasto. W godzinę może przyszli królewnie oznajmić, że szlachcic z dzieckiem stoi w antykamerze.

Dziecko wychudzone, sińcami okryte, nędzne było bardzo: mogła mieć lat około dziesiątka. Ale mimo nędzy i brudu, twarzyczkę miała tak piękną, że się płakać chciało nad tem, co to stworzenie śliczne wycierpieć musiało.

Szlachcic, który ją porzuconą, napół nagą wziął, nie miał nawet czem okryć, więc zgrzebnemi łachmanami była odziana i w starą obciętą opończę otulona, której po pas starczyło jej za pięty.

Zapytała królewna skąd ją wziął.

Począł opowiadać, że niedawno Tatarom jeńców nad Tykiczem odbito, a między nimi znajdowała się i ta sie-

rotka. Domyślano się z tego, co dziecko samo o sobie powiadało, i z innych poszlaków, że była córką niejakiego Sochy-Za głoby, których tam dwu braci z Mazowsza wywędrowawszy na kresach się osiedliło.

Temu Sosze-Zagłobie jednemu tatarowie dwór spalili, żonę zabili, jego zamęczyli w niewoli, a o dziecku sądzono, że je ten sam los spotkał.

Gdy dobrze później jeńców odbito w stepie, znalazła się dziewczynina w rękach tatarskich. Pamiętała o sobie, że ją Dosią zwano, że rodzice mieszkali we wsi Mchowie, i miała drewniany krzyżyk jakiś na sznureczku u szyi.

Obok Mchowa, w drugiej osadzie, brat tego Sochy-Zagłoby ocalał był, wczas zbiegłszy, ale gdy mu synowicę przyprowadzono, wcale się do niej przyznać nie chciał, ani ją znać, chociaż po bracie Mchów zagarnął. Krzyżyk drewniany, który miała na szyi, służył mu właśnie do dowodzenia, że musiała być chłopką, kiedy kijowskiej roboty krucyfiks na piersiach nosiła.

Szlachcic, który się od stryja tego nagrody spodziewał, oberwał łajanie i nie wiedząc, co począć z sierotą, przywiózł ją naprzód do Lwowa, potem do Krakowa, rad się zbyć, bo nieżonaty był, nie miał domu ani łomu i sam służby szukał.

Królewna ani się namyślała, kazała mu kilka czerwonych złotych dać, a Zakrzewskiej dziecko wziąć. Obmyto je, uczesano, nakarmiono, a Anna królewna bardzo pokochała wychowanicę.

Gdy biedactwo odżyło wypytywano je o przeszłość, o niewolę, ale było tak wymęczone, schorowane, przybite obchodzeniem się okrutnem, że mało co zachowało. Mówiła tylko, że imię swe Dosi pamiętała i że rodzice jej na wsi jakiejś, którą po swojemu opisywała, mieszkali.

Z bałamutnych tych wspomnień dziecka mało co było można wyciągnąć, nawet to rzecz bardzo niepewna, czy w istocie była córką tego Sochy-Zagłoby, ale ją tu przyjęto i nazwano Dorotą Zagłobianką.

Gdy to biedactwo potem odżyło, dopieroż niemal cudownie rosnąć i pięknieć i rozwijać się jęło tak, że królewna się nią nacieszyć nie mogła. Poszły stąd pieszczoty

wielkie i niepotrzebne dogadzanie. Zachciało się dziewczynie uczyć, królewna sama nauczyła ją po włosku, Francuz, który podczas był w ogrodzie, po francusku, a żartem i na podziw ks. Niedźwiedzki zaczął po łacinie.

Na co się to wszystko zdało? Chyba, żeby się jej w głowie przewróciło.

Umiejąc języków tyle, zażądała niemieckiego; królewna się jej o Niemkę postarała. Szczęście jeszcze, że po turecku i po tatarsku nie zechciała się uczyć, boby jej i tego nie odmówiono. A z tatarskiego języka dotąd, słyszę, pamięta coś niecoś. Pisze tak pięknie, że mogłaby w kancelaryi służyć.

Jakże potem nie miała zdumnieć i nabrać pychy, gdy się jej wszyscy dziwić zaczęli, a rozum jej wychwalać i piękność przytem. Tatarowie też kumysem pojąc, wlali w nią taką krew dziką, że jej pohamować trudno.

Otóż ją macie, jaką dzisiaj jest.

Zagłobianka! Szlachcianka! Ale stryj jej znać nie chciał, pewno nie bez powodu. Kto wie, co za jedna? Tyle tylko pewne, że Dosia...

— No i to—dodał Talwosz,—że drugiej takiej Zagłobianki czy Dosi niema na świecie. Wyrzucacie jej, że się górą nosi, co za dziw! Niechże druga temu, co ona sprosta? Złego przecie nic jej zadać nie możecie?

— Dla siebie najgorsza—mówił dalej spokojnie Bobola.—O swoją przyszłość wcale nie dba. Za królewnę życie gotowa dać; ale się rwie nie do swoich rzeczy, nawet pani nasza pohamować jej nie może.

— Za to jej naganić nie można—odparł Talwosz—iż się przywiązała i chce wdzięczność okazać. Tu wszyscy głowy potracili, królewna płacze tylko i narzeka; ta jedna ani odwagi nie traci, ni na chwilę nie odpoczywa.

— A do czego się to zdało?—spytał Bobola.—Lata, biega, wciska się, ale cóż zrobić może? Nastręcza się na posła, gotowa w największy ogień, a nie zrobi nic, tylko się jej ludzie dziwują i podczas wyśmiewają.

— Mój Bobolo miły—począł Talwosz po chwilce namysłu.—Coś mi miał serce odjąć dla niej, toś chyba przy-

sporzył. Dokaże ona co, czy nie, nic w tem rzecz; podziwiać trzeba i męstwo i rozum i wdzięczność dla królewej.

— I szaleństwo—dorzucił Bobola.—Zważże sam. Dziewczyna piękna, jak anioł, oczy rwie, wiem o tem, i pięknością się tą posługuje, naraża. Wyjdzie-li cało?— a ludzie zawsze paplać będą.

— Znajdzie się za nią komu ująć—zamruczał Talwosz.

— Tak i dziś wieczór—mówił dalej Bobola—sama jedna do obożnego na zamek do króla, gdzie lud rozpuszczony. Gdzie to kto słyszał? Ale ona się nie zlęknie nikogo. Biskup, senator, żołnierstwo, ciżba, hałastra, ani się zawaha, ani drgnie.

— A wszystko to robi dla królewnej—przerwał Talwosz,—bo ona sama nikogo nie potrzebuje i zbliżyć się nawet nie da do siebie. Powiedzże Bobolo, nie piękna ż to wdzięczność?

— Bodaj piękna, ale nierozumna i bez pożytku—mówił Bobola i rozśmiał się.—Co chcesz? Gotowem ją nazwać heroiną, ale właśnie przez to na żonę nie stworzona, a ty się bez miary rozmiłujesz i głowę tracisz.

Zamilkł Talwosz, ale wcale nie okazywał, żeby był przekonanym.

— Teraz—odezwał się po namyśle—pozwól mnie słowo rzec. Czy ja się kocham w niej, czy nie, to moja rzecz, ale ten sam mam sentyment dla królewnej, co ona. Alboż to się serce nie rozdziera, patrząc na tę nieszczęśliwą panią? Takiego rodu dziecię, królów córka, wnuczka i prawnuczka, królów siostra i królowych, dziś sierota opuszczona, sama jedna, biedna, tak, że dla kawałka chleba srebra musi potajemnie zastawiać. Alboż to nie okropna pomyśleć o jej losie!

Gdy na którego z nas biedaków pospolitych ludzi, padnie takie nieszczęście, toć jeszcze! Ale pomazańców Bożych dziecko w takiem osieroceniu, pod taką dolą ciężką! Nie powinniśmyż wszyscy się ująć za nią, a choćby ginąć dla niej!

— Tęgiś—przerwał Bobola.—My! my! a cóż my możemy, choćbyśmy i poginęli!

— E! e!—wyrwało się Talwoszowi.—My! my! toć przecie szlachta jesteśmy, a w królestwie tem coś znaczymy. Ani ty, ani ja, nic nie zrobimy, ale trzeba budzić i nawoływać. Panowie, senatorowie klucze trzymają, my mamy pięści!

— O ho! ho!—zakrzyknął Bobola—daleko idziesz! Pleć tylko tak, pleć, i królewnie się przysłużysz i sobie.

— Nie może być, ażeby sprawiedliwości nie było na świecie—wołał Talwosz rozgorączkowany.

— Czekajmyż na nią.

— A tymczasem królowa Anna bez opatrzenia, niechaj chaj mrze z głodu i wstydu, że ją poniewierają!—wyrzyknął Talwosz.—Cóż się tu dziwować, że dziewczyna głowę traci, patrząc na to! Mnie się też wnętrzności burzą!

Porwał się Talwosz i żywo po izbie biegać począł.

— Trzeba radzić, nic nie pomoże!

Bobola się ironicznie uśmiechał.

Gdyby cię ksiądz podkanclerzy Krasiński do rady wezwał—rzekł,—nieźleby było: a no wątpię, żeby mu to na myśl przyszło.

Talwosz stał zadumany ponuro.

— Patrzajże—odezwał się, jakby żarciku Boboli nie dosłyszał,—lada dzień stąd chorego króla wywiozą do Tykocina lub Knyszyna, Bóg wie, dokąd? Cóż się naówczas z królewną stanie? W Warszawie pozostać, gdy tu powietrze albo już przyszło, albo jutro nadejdzie, niepodobieństwo, bo to wyrok śmierci na nią. Dokądże wyjedziemy i o czem?

— Nie wiem—odparł Bobola,—ale mi się widzi, że ani ty, ani ja, ani piękna Dosia Zagłobianka, choćby latała do pana Karwickiego, do Żalińskiego, do podczaszego nawet, nie uczynimy nic. Na to trzeba większej siły. Więc po co się rwać?

Talwosz zwątpiwszy, ażeby towarzysza przekonał, tchnął piersią całą i rzucił się z impetem wielkim na swój tarczan.

Bobola zwolna wstał poszedł do dzbana, wody sobie nalał, napił się, wąsy otarł i nic nie mówiąc, legł także na posłanie.

W komnacie ogień, jakby czekał na to, przygasł zupełnie i karmazynowe tylko węgle z pod popiołu, jak rubiny, świeciły.

Gdy zrana wstawszy, Talwosz się ubrał i wyszedł się około dworu rozpatrzeć, znalazł ranniejszą jeszcze od siebie Dosię Zagłobiankę już stojącą w progu, na rozmowie z ochmistrzynią i starą sługą królewny, Żalińską

Szeptały obie, tak smutne mając twarze, iż Talwoszowi na myśl przyszło spytać, czy się co złego nie stało.

Dosia Zagłobianka cała czarno ubrana, ale w smutnej tej odzieży tak cudnie piękna, iżby ją nikt za sługę nie wziął ale za wysokiego rodu panią, z pańską też dumą nosiła strój ten skromny i ubogi.

Po dniu dopiero ta piękność, o której sobie wczoraj rozpowiadali Bobola z Talwoszem, w całej swej świetności się ukazywała.

Czarnowłosa, czarnooka, biała, ale z odcieniem jakimś płci brunatnych, świeża, rysy miała nadzwyczajnej czystości i wielkiego wdzięku, chociaż w nich uderzało coś niemal męskiego, zuchwałego, dziwnego w tak młodem dziewczęciu.

Dumna była i wyzywająca, jakby nieustannie bronić się była zmuszona. Twarzyczka zawsze piękna, pod naciskiem myśli i uczuć mieniła się co chwila i była w ciągłym ruchu, to się rozpogadzając, to zachmurzając, naprzemiany.

Kibić, włos bujny, rączka i nóżka, wszystko odpowiadało obliczu. Zdawała się jakąś przebraną księżniczką, tak wybitnie arystokratyczną miała powierzchowność, chociaż się nie starała o nią.

Talwosz, na którym czyniła wrażenie istoty jakiejś wybranej, stawał się przy niej pokornym i nieśmiałym, choć mu zwykle na energii nie zbywało.

Żalińska ochmistrzyni, zdawna przy królewnie Annie w usługach będąca, była jedną z tych sług, długą powol-

nością zepsutych, które przewodzą i dziwaczą, więcej o sobie, niż o pani myślą, mało się na co zdadzą, a wiele kosztują. Anna królewna ulegała jej przez wdzięczność i z nałogu, obawiała się nawet, dawała na siebie gderać i wyrzekać i wszystko od niej przyjmowała. Ona, mąż, i syn więcej na dworze przewodzili, niż należało, a wiernością swą i przywiązaniem oczy nieustannie wykałali.

Rozmawiały z Zagłobianką po cichu, nachylone ku sobie, zajęte czemś mocno i strwożone; Żalińska jak zawsze, skarżyła się na królewnę, broniła jej Dosia, gdy Talwosz przybliżył się do nich z zapytaniem:

— Niema tam co nowego, na coby radzić potrzeba? Nie mogę ja czem służyć?

Żalińska skrzywiła się, patrząc na niego z ukosa.

— Nowego niema nic—rzekła kwaśno—i stara bieda dosyć dokucza. Wszyscy głowy tracimy, a królewna nad sobą i nad nami litości nie ma, dziwaczy i płacze a płacze... Dzień łzami poczyna, wieczorem skończywszy go płaczem.

— Wracam z zamku od oboźnego—dodała Dosia, nie patrząc na Talwosza.—Król i dziś ma się coraz gorzej, ani doktorowie, ani czarownice nic nie mogą, a o widzeniu się z siostrą słuchać nie chce.

— Na rany Chrystusowe—przerwała Żalińska gwałtownie ręce załamując—nie może to być! Widzieć się musi, pojednać się, obmyśleć coś dla niej! Niema się znowu czego tak trwożyć, jak królewna, a wy jej strachu dodajecie, gdy ją trzeba zgromić i uspakajać.

Nie dokończywszy, ochmistrzyni się nasrożyła.

— Nie do nas należy gromić!—odezwał się Talwosz.— Ale jeśli trzeba co czynić, powiedzcie mi dokąd mam iść, będę kołatał, dobiję się bodaj do samego króla.

Dosia spojrzała na niego teraz dopiero.

— Czekajmy, co królewna każe — odezwała się.

Wszystko troje zamilkli, a Żalińska burczała coś sama do siebie, gdy wtem do jednego z okien z wewnątrz pukać zaczęto, i Talwosz dojrzał za szybami białą rękę, która mu dawała znaki.

— Zdaje się, że królewna mnie woła — odezwał się.

Żalińska i Dosia usunęły się, a Talwosz śpiesznym krokiem wszedł do sieni i skierował się w lewo do antykamery, od której drzwi do dalszych izb stały otworem.

W pierwszej z nich czekała na niego królewna Anna. Tu ona zwykle przyjmowała niewielu ją odwiedzających, a nic nie dozwalało domyśleć się mieszkania córki i siostry królów, tak komnata skromną była i ubogą. Przystałaby ledwie zamożniejszemu mieszczaninowi.

Obicia na ścianach nie było żadnego, sklepienie przyciemniałe i nizkie dawało jej cechę klasztorną i ponurą, okna z błonami w ołowiu, dawno nieoczyszczanemi, skąpo przepuszczały światła. Stół w pośrodku stojący, okrywał kobierczyk wytarty i spłowiały. Kilka krzeseł ciężkich, ławy pod ścianami okryte licho, a za całą ozdobę w głębi rodzaj ołtarzyka, na którym stał krucyfiks i dwa dzbanuszki z kwiatami — to było wszystko.

Anna Jagiellonka w czarnej fałdzistej sukni, jakby zakonną przypominającej, z łańcuchem na szyi, przy którym był krzyżyk złoty, z głową odkrytą, na której koronkowa przejrzysta zarzucona była zasłonka związana pod brodą, chusteczkę białą trzymając w ręku, czekała w pośrodku izby na Talwosza.

Pomimo oczu łzami zmęczonych i bladej twarzy miała jeszcze resztkę młodości, i lat, których doszła, domyślać się nie było można. Wyraz wielkiej, tłumionej boleści, czynił ją sympatyczniejszą jeszcze.

W obliczu tem, zmęczonem życiem, nadziejami i rozpaczą, pragnieniami i upokorzeniami, ofiarami i niewdzięcznością, tyle się łączyło z sobą różnych znamion przeszłości, iż trudno było właściwy jej charakter odgadnąć. Energia i zwątpienie, słabość i siła jakby prądami gorączki i zimna przepływały po licu.

Niecierpliwe drżenie spostrzegł Talwosz, zbliżając się ku niej z uszanowaniem.

Zaledwie dała mu się pokłonić.

— A! Talwoszu mój! — odezwała się głosem poruszonym, w którym łkanie tłumione czuć było. — Tal-

woszu mój! Radź i ratuj, nie mam nikogo. Co tu począć, król coraz gorzej...

— Miłościwa pani — przerwał Talwosz żywo, nie chcąc się jej dać rozżalić, — pewny jestem, że tam u króla jmości, co panna Dorota przez oboźnego uczynić mogła, to zrobiła jak najlepiej. Wiem, że obiecali dopilnować, aby o w. k. mości nie zapomniał. Nie może to być; lada chwila odbierzemy wiadomość.

— Ale nim to nastąpi, — rzekła królewna, głos zniżając—mój Talwoszu, na utrzymanie mego szczupłego dworu, choć oszczędne, nie mam nic. Nikt o moich potrzebach nie myśli. Ja dla siebie nie wymagam wiele, gotowam suszyć o chlebie i wodzie, Bóg widzi, ale mi wstyd ludzi... dla tej dostojności córki królewskiej, siostry królewskiej, którą dźwigać muszę.

Zbliżyła się parę kroków do Talwosza i obejrzała dokoła.

— Przed wami ja się ukrywać nie potrzebuję — dodała, — tyś wiernym naszym sługą.

— I żywot gotówem dać, aby tego dowieść — gorąco zawołał Talwosz.

— Na wiarę u ludzi brać nie mogę, a u mnie już w całym domu talara jednego niema — poczęła Jagiellonka. — Pożyczać nie widzę u kogo, prosić się nie nauczyłam; trzeba potajemnie część srebra zastawić, ale nikt na świecie nikt wiedzieć nie ma, że ono mojem jest.

Gdy to mówiła, głos jej drżał i oczy napełniały się łzami. Talwosz stał strapiony, z oczyma wlepionemi w podłogę.

— Chodź za mną—odezwała się królewna.

Poszłuszny Litwin powlókł się smutnie za królewną, która pośpiesznym krokiem skierowała się ku drzwiom, w głąb wiodącym, i, prowadząc go za sobą, doszła do małych drzwiczek zamkniętych, wgłębionych w murze sypialni. Otwarła je kluczem, dobytym z kieszeni i po dwu wschodkach wprowadziła Talwosza do bardzo szczupłej komórki o jednem zakratowanem w górze okienku.

Izdebka pusta była i na podłodze jej ceglanej, tyl-

ko na rozesłanym kawałku sukna, widać było rozsypane w nieładzie srebrne misy, kubki, dzbanki, nalewki i puhary. Jak gdyby je niespokojna ręka jakaś niedawno przebierała, stały rozdzielone na kupki, powywracane, rozproszone. Niewiele tego już było.

Królewna, wszedłszy na próg, stanęła, ręce załamawszy zamyślona.

— To resztki! — odezwała się do Talwosza, — a po większej części pamiątki z lepszych czasów, przypominające różne lata życia. Na niektórych z nich znaki i herby okazują pochodzenie, tych tknąć nie można... inne...

I nie kończąc, zakryła sobie oczy. Talwosz, chcąc królewnie oszczędzić bólu, schylił się ku tym naczyniom.

— Wybierz, mój Talwoszu, z tych, co są na prawo — odezwała się Anna — weź jak najmniej, a przynieś jak najwięcej, ale nie sprzedawać nic. Pozbywać się nie mogę. Daj w pewne ręce, aby to nie przepadło, wykupię, jak tylko będę mogła... ale dziś, nim siostra moja Brunświcka coś nadesłać raczy, nim się od Czarnkowskiego doczekam, nim się król ulituje, ludzi głodem morzyć nie mogę, a i odprawić ich wszystkich nie godzi mi się.

Talwosz, przyklęknąwszy na podłodze, to przebierał rękami misy i dzbany, to się cofał; żal mu było dotknąć tych pamiątek, a założenie ich bezpieczne nie sądził łatwem.

Królewna, sparłszy się o drzwi, nie patrzyła już na niego. Po chwili tylko szepnęła:

— Śpiesz się, pokaż mi, co wybierzesz. Kawałek sukna znajdziesz tu w kątku. Zawiń, aby nikt nie widział. A! wstyd mi wielki.

— Miłościwa pani — odezwał się nareszcie Talwosz, — tymby się wstydzić trzeba, co was do tego przywiedli. Pójdę zaraz na miasto; żydów się boję; znajdę może poczciwego mieszczanina.

— Umów się, proszę, aby to nie przepadło, — dodała królewna głosem drżącym.

Żal schwycił ją za serce, gdy ujrzała Talwosza kilka mis i kubków zawijającego i wybuchnęła:

— A Zajączkowskiej, którąm wzięła prawie bez koszuli, dziś na niczem nie zbywa w Witowie.

Płacz mówić jej nie dał. Talwosz, pośpiesznie zawinąwszy srebra, stał już gotowy do wyjścia.

— Referendarz Czarnkowski pewnie przybędzie,— rzekł, chcąc dodać odwagi strapionej — niech wasza miłość nie lęka się o przyszłość, o srebrach żywa dusza wiedzieć nie będzie. Lada chwila z królem też pewnie się widzieć będzie można, a on opatrzyć musi.

— Daj to Boże, bo siły się wyczerpują, — szepnęła, oczy ocierając, królewna. — Idź, mój Talwoszu, spraw się, jak należy, a nie opuszczajcie mnie wy, których już tylko garstka pozostała wiernych.

Królewna zamykała drzwi komory. Litwin stał przed nią z węzełkiem pod pachą.

— Słówko mi dozwólcie rzec, miłość wasza — odezwał się po namyśle. — Co tu pomoże łzy lać, gdy należy o swe prawa upominać się śmiało. Wasza miłość zbytkiem powolności i dobroci uzuchwaliła niegodziwych ludzi, a i królowi jmości, jako siostra, mogłaś rzec śmielej słowa prawdy.

— Przystępu nie mam za tymi złymi, którzy go opanowali—rzekła Anna.

— Nie prosić więc teraz o to, ale się domagać trzeba — odparł Talwosz. — Jam mały człek, ale mi na odwadze nie zbędzie, gdy tylko rozkazy otrzymam. Pójdę przebojem choć do króla jmości.

— Gdyby zdrowszym był — przerwała cicho królewna.

— Właśnie dlatego, iż chory niebezpiecznie, zwlekać nie można—dodał Talwosz.

Anna chciała się tłumaczyć ze swej powolności.

— Dosi obiecano, iż mi posłuchanie wyrobią — rzekła;—czekać trzeba cierpliwie.

— Lecz jeśli zawiodą i nie doczekamy się — rzekł Litwin, burząc się; — niech miłość wasza ręce rozwiąże, ja pójdę i nie może być, żebym posłuchania nie wyrobił. Posłyszą ode mnie faworyci i zausznicy, czego od nikogo nie słyszeli.

Zlękła się Anna i składając ręce, zawołała szybko:

— Tylko mi się bez zezwolenia nie wyrywaj; nie chcę nic gwałtem zdobywać.

Gdy to mówili, Talwosz już stał w progu pierwszej izby.

— Idź, śpiesz — dokończyła królewna — zrób to, com ci zleciła, ale więcej nic. Bóg łaskaw ulituje się nade mną!

Tak odprawiony Litwin, znalazłszy się sam z węzełkiem pod pachą w posłuchalnej komnacie, zwolnił kroku, obejrzał się. Musiał teraz obmyśleć środek jakiś wymknięcia się stąd niepostrzeżonym.

W antykamerze nie było nikogo, a małe drzwi wiodły z niej na korytarz, gdzie się nie spodziewał spotkać z żadnym sługą ze dworu, bo ich tu niewiele pozostało. Wymknął się więc, uchodząc jak złodziej, i szczęśliwie dobiegł do swej izby, w której nie zastał towarzysza Boboli. Było mu to właśnie na rękę.

Zaryglowawszy drzwi, mógł swobodnie zabrane srebro zwinąć i ułożyć tak, aby jak najmniej miejsca zabrało, okrył je wojłokiem i obwiązał rzemieniem od uprzęży. Węzeł mógł się wydawać częścią jakąś stajennego przyboru.

Tak się dopiero przygotowawszy, drzwi otworzył i chłopaka od stajen zawołał, sam się ubrawszy, jak do miasta.

Nim przestąpił próg, poczciwy Talwosz przeżegnał się krzyżem świętym. Znał on siebie; gorączka był i przy najlepszem sercu — do spraw, które przebiegłości i cierpliwości wymagały, nie zdał się bardzo, ale ufał w pomoc Bożą.

Poszanowanie i miłość dla nieszczęśliwej królewnej, a może i rozkochanie w Dosi, u której łaskę mógł sobie zaskarbić najłatwiej, służąc jej pani, dodawały mu odwagi.

Raźno więc wyruszył przez podwórce na miasto, stajennego z węzłem na ramieniu prowadząc za sobą.

W podwórcach teraz ruch już był wielki i ludzi się plątało mnóstwo; przejść niepostrzeżonemu trudno było,

ecz nikt nie spytał Talwosza, co za nim niesiono, a znano go też z opryskliwości i zaczepiać nikt nie miał ochoty.

Tak szczęśliwie do głównych już wrót od strony Krakowskiej bramy się dostał, gdy Pudłowski, jeden z królewskich dworzan, go pozdrowił.

— Z czemżeście się to w miasto tak rano wybrali?—spytał, ciekawemi oczyma mierząc pacholę.

— Zechcieliście, rupiecie potrzeba po podróży połatać—odparł Talwosz.

Pudłowski głową tylko pokręcił i ciekawą ręką chciał węzełek obmacać, gdy Litwin tak mu nad uchem zaryczał: Wara! że musiał się cofnąć.

— Dajcie pokój moim rupieciom — krzyknął.— ja pewnie nic z zamku nie wyniosę, co do mnie nie należy. Pilnujcie lepiej swoich towarzyszów.

Zamruczał coś, śmiejąc się kwaśno Pudłowski, i na tem się skończyło.

Talwosz wyszedł z chłopcem na miasto, ale gdzie się tu było obrócić?

Obcy w Warszawie poczuł, że bez rady czyjejś nie potrafi nic. Posądzić go też było łatwo, a na samą tę myśl krew mu twarz oblewała. Stanął trochę w ulicy, nie wiedząc spełna dokąd się obróci.

Z gorącej chęci usłużenia królewnie podjął się tego, co mu teraz bardzo trudnem wydawało się do spełnienia.

Rozmyślał jeszcze, gdy poczuł, że mu ktoś rękę na ramieniu położył i pozdrowił go łagodnym głosem po chrześcijańsku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Przed nim stał, od kościoła Panny Maryi idący, w wytartej sutannie księżyna, słuszny, blady, z twarzą niepiękną, której rysy nieforemne były i grube, ale nadzwyczaj łagodne i pełne jakiegoś miłosierdzia. Był to ubożuchny wikaryusz, Stępek, którego znal Talwosz i cały dwór królewnej, bo często do gawiedzi i służby zaglądał, za obowiązek mając szczególniej biednych i mało oświeconych pocieszać, uczyć i nawracać. Było to tego powołanie.

Sam syn ubogiego włościanina, sierota, z trudnością wielką dobił się do tego, iż mógł kapłanem zostać i poświęcić się też temu ludowi, którego czuł się bratem. Nie stary jeszcze, zahartowany życiem, ksiądz Stępek żył jedynie powołaniem swojem i spełnianiem obowiązków, wziętych na siebie dobrowolnie. W kościele wszyscy, począwszy od proboszcza do zakrystyana, na niego wszelkie ciężary zrzucali. On ubogich grzebał bezpłatnie, on szedł do biednych umierających w słotę po nocy, on siadywał przy trumnach, śpiewał i modlił się, gdy inni nie chcieli.

Dla siebie nie potrzebując tak, jak nic, w sutannie wytartej chodząc, poszcząc niemal ciągle, zawsze wesół i spokojny, ks. Stępek budził w jednych litość niemal szyderską, w drugich poszanowanie.

Widywano go tam, gdzie rzadko się duchowni spotykać zwykli, po rynka h, po szynkach, wśród ciżby, niosącego słowo Boże, rozbrajającego zwaśnionych, jednającego pokłóconych, nawracającego obłąkanych.

Łagodny zawsze, miewał czasem ks. Stępek wybuchy pobożnego gniewu tak straszne, iż się go obawiano. Lud bowiem miał go niemal za świętego człowieka, który o sobie zapominając, z prawdziwie apostolską gorliwością służył braciom, o których inni nie dbali.

Zdawało się Talwoszowi, iż mu chyba Opatrzność zesłała w tej chwili tak świętego człowieka i pochwycił rękę jego, całując ją radośnie.

— A dokąd to?—zapytał wikary.

— Żebym ja wiedział! — odparł Litwin, odprowadzając księdza nieco na stronę. — Wy może, ojcze kochany, powiecie mi, dokąd iść. Wam się ja zwierzyć mogę. Królewna mnie posyła! Nie mamy ani grosza w domu... biedna pani srebra mi potajemnie zastawić kazała w miejscu bezpiecznem. Sam nie wiem, dokąd udać się z niemi.

Ksiądz Stępek podniósł ogromne swe ręce do góry.

— Królewna! potrzebuje srebra zastawić, aby chleba kupić? Królewna? — zawołał przejęty i przestraszony. — Możeż to być! O! dopuście Boży! za grzechy

ojców niewinna ofiara! A dworki chodzą w łańcuchach i jeżdżą w kolebkach wyzłacanych, a wszetecznicy pieniędzmi sypią, siejąc grzech i zgorszenie!

Podniósł ku niebu oczy, które mu łzami zaszły.

— Ojcze mój! — przerwał Talwosz — na miłość Bożą, nie mam chwili do stracenia; radź, jeżeli możesz, lub dozwól mi iść, bo na mnie czekają z powrotem.

Zamyślił się duchowny, wodząc oczyma dokoła. Wtem właśnie z bramy zamkowej ujrzeli wyjeżdżającego na koniu, w towarzystwie kilku zbrojnych dworzan, mężczyznę lat średnich, w polskim stroju, dość wytwornym, który chmurnem spojrzeniem, pokręcając wąsa, rozglądał się dokoła. Twarz jego poważna była miłego wyrazu, ale smutek ją okrywał. Temu się dziwić nie było można, bo nikt naówczas z zamku od króla wesołym nie wyjeżdżał, ani ci, co go widzieli schorzałym i na duchu upadłym, ani tacy, co się do niego docisnąć nie mogli.

Ksiądz Stępek, zobaczywszy jadącego, dał znak Talwoszowi.

— Zatrzymaj się małą chwilę, ja dwa słowa tylko powiem staroście.

Posłuszny Litwin, który poznał w jadącym starostę warszawskiego, Zygmunta Wolskiego, choć nie rozumiał, dlaczego wikary mu czekać kazał, zatrzymał się, a ks. Stępek poszedł żywo ku przejeżdżającemu.

Wolski stanął i począł rozmawiać z wikarym, który wkrótce dał znak Talwoszowi, aby się przybliżył.

Zaledwie miał czas pozdrowić go Litwin, gdy starosta, pochyliwszy się ku niemu, szepnął:

— Przychodź zaraz do mnie na starościński dwór, wiesz, załatwimy, co potrzeba. Dzięki Bogu, że się to tak złożyło. Trzeba było wprost przyjść do mnie.

To mówiąc, Wolski skłonił się księdzu, głową skinął Talwoszowi i konie puściwszy, pojechał dalej ze swym orszakiem.

Stępek tymczasem Talwoszowi szeptał na ucho.

— Ani słowa więcej nikomu, idź do starosty.

— Ale na Boga! — przerwał Talwosz — tym

sposobem wyda się tajemnica, o której nikt wiedzieć nie powinien.

— Starosta jej nie zdradzi, ja go znam — zawołał ksiądz Stępek. — Mów z nim szczerze, szanuje on królewnę i rodzinę całą, jemu zaufać możesz. Idź a śpiesz.

Litwin, od niedawna przy królewnie będący, chociaż w krótkim czasie energią swą jej zaufanie pozyskał, nie znał zblizka starosty, ale wiedział o nim, że był człowiekiem prawym i że król wna Anna ceniła go wielce; słyszał, że z tymi, co króla otaczali i obdzierali, nie miał żadnych stosunków— posłuchał więc ochotnie rady ks. Stępka i pośpieszył na dwór pana starosty.

Ten stał jeszcze w ganku i dawał ludziom rozkazy, gdy Talwosz się przystawił, chłopca z węzełkiem prowadząc za sobą. Weszli razem do .izby wielkiej, w której Wolski zwykł był przyjmować gości.

Zwrócił się starosta żywo, szablę odpasując, do Talwosza.

— Na rany Pańskie, tak że już u was źle, że srebra trzeba zastawiać, aby dwór nie marł z głodu?! — zawołał Wolski.

— Nie mogę zaprzeczyć — odparł Litwin, — ale to jest i powinno zostać tajemnicą. Zwierzyłem się z tego ks. wikaremu, chociaż prawa do tego nie miałem; niech pan starosta ma miłosierdzie nad sługą swoim.

— Ja nie zdradzę — żywo począł Wolski, — bądź spokojny. Więc tak źle, tak źle jest?

— Źle tak, iż gorzej chyba być nie może — przerwał Talwosz. — Litość bierze patrzeć na królewnę. Z zamku tysiącami czerwonych złotych wywożą, klejnoty zabierają, a z królewną najjaśniejszy pan mówić nie chce, potrzeb jej nie opatruje nikt, ona od rana do nocy płacze z rozpaczy i srebra i klejnoty zastawia. Stukamy i kołaczemy, dopraszając się rozmowy, posłuchania—i tego się nie można doczekać.

Wolski wąsa kręcił namarszczony.

— Zgroza! — zawołał, — ale Bóg łaskaw, wszystko się to zmienić musi!

Przeszedł się po izbie, dumając, i zawrócił do Talwosza:

— Srebra sobie weź nazad — rzekł, — ile za nie mogłeś dostać?

— Sam nie wiem — odparł Litwin. — Sreber w żadnym razie zabrać nie mogę, bo-by się wydało, żem tajemnicę zdradził, a królewna-by mi nie przebaczyła. Idzie jej o cześć królewskiego domu. Nikt wiedzieć nie powinien, że jest do tego przywiedzioną.

— Pokaż te srebra—rzekł starosta.

Talwosz otworzył drzwi, skinął na chłopca i kazał mu podać węzełek, który sam na stole rozwiązał.

Wolski niemal ze łzami w oczach po jednemu brał przyniesione puhary i półmiski, zakrył je szybko suknem i odezwał się do Talwosza:

— U Żydów wątpię, abyście za nie więcej nad paręset złotych dostali; tyleż dam i ja, i niech srebra w skarbcu leżą, jeżeli ich nazad zabrać nie możecie... aleć my wszys.y śmiertelni; napisz ty mi kwit, a ja waszmości.

Skłonił się Litwin.

— Panie starosto, na rany Chrystusowe, niech nikt nie wie!—dodał cicho.

— Ja dlatego to czynię, aby nie wiedział nikt — odezwał się Wolski, — bo mi nietylko królewnej żal, ale i mnie też cześć krwi jej droga.

To mówiąc, Wolski wyszedł na przeciwek, zabawił krótko i przyniósł z sobą worek, a Talwoszowi wskazał miejsce u stołu dla napisania rewersu.

W kilka minut wszystko było gotowe, Talwosz odetchnął; z poszanowaniem pożegnał starostę i wyniósł się pośpiesznie na zamek, rad, że mu się szczęśliwie udało spełnić zlecenie.

Chłopaka odprawiwszy przodem, sam z workiem za pazuchą, już był na drugim podwórzu, niczyjej, szczęściem, nie zwróciwszy uwagi na siebie, i miał zaraz opowiedzieć się do królewnej, gdy Zagłobianka zaszła mu drogę.

Zmierzyła go oczyma bystremi, z których mógł

wyczytać, że wiedziała, z czem chodził, a chciała się dowiedzieć, jak powracał.

— Dzięki Bogu — szepnął, kłaniając się jej Talwosz—wszystko dobrze mi się powiodło.

To mówiąc, ręką uderzył po worku, który miał za suknią. Dziewczę, nie mówiąc słowa, wzrokiem mu tylko podziękowało.

— Jest kto u królewnej?—zapytał Talwosz.

Dosia ramionami poruszyła.

— Niema nikogo — rzekła; wiedzą ludzie, że się tu niczem pożywić nie można, rzadko też kto zajrzy. Idź waćpan.

Wejrzenie dziewczęcia zdawało się Litwinowi płacić za wszystko, tak mu się twarz wyjaśniła. Nie miał nawet czasu namyśleć się, jak skłamie przed królewną, gdy go zapyta, co ze srebrem zrobił, i wbiegł do posłuchalnej izby.

Anny tu nie było, chodziła po drugiej komnacie z Żalińską coś radząc pocichu, a zobaczywszy Talwosza, z uśmiechem pośpieszyła naprzeciw niemu do progu.

— Uwinąłeś się waszmość! — rzekła, mierząc go oczyma, aby wiedzieć czy przyniósł co z sobą.

Talwosz dobyty worek położył na stole, kłaniając się i cicho szepnął ile przyniósł.

Zdziwiła się trochę królewna.

— Tak dużo — spytała, nieco wahając się i badając go oczyma.

— Poszło na wagę — skłamał Talwosz — i tyle wypadło.

— A pewneż są srebra?

— Ja gardłem za nie stoję — odezwał się Litwin.

Królewna Anna, której pilno było bardzo, drżącemi rękami podała Żalińskiej worek, skinieniem dziękując Talwoszowi.

— Bóg niech ci zapłaci — rzekła, — bo ja nie wiem, czy kiedy wdzięczność moją waszmości okazać potrafię.

Litwin się skłonił aż do ziemi. Obawiał się, aby go królewna nie rozpytywała więcej, i natychmiast cofnął się do progu, jakby podziękowań unikał.

Teraz dopiero odetchnął swobodniej, gdy do swej izby powróciwszy, mógł usiąść, czoło otrzeć, i podumawszy, przyjść do tego przekonania, że się z polecenia szczęśliwie wywiązał.

Nadchodzący Bobola zastał go siedzącego nad stołem z daleko jaśniejszem czołem, niż wczora.

Tuż prawie za Krakowską bramą stała ogromna gospoda dla podróżnych, znana dobrze w owych czasach, bo była niemal jedyną w mieście, do której czasu pobytu dworu, podróżni zdaleka, mianowicie Niemcy, zjeżdżali. Wywieszony na drągu z jednej strony znak wyobrażał bardzo nieforemnie z drzewa wyrzezanego i biało pomalowanego konia z grzywą i ogonem karmazynowym.

Słoty i pył wprawdzie białego konia szarym i pstrym uczyniły, a czerwoną niegdyś grzywę i chwost wyblakowały, ale niemniej gospoda zwała się „pod białym koniem". Obok rumaka tego, który w powietrzu dwiema nogami przebierał, na mniejszym drążku była ogromna wiecha, mająca z obowiązku być zieloną, lecz także zżółkła i napół opadła.

Domostwo wielkich rozmiarów, z szopami, stajniami, chlewami i śpichrzami, opasane parkanem dokoła — na oko nie wyglądało wytwornie, ani nawet czysto, ściany miało szare i pobryzgane, okiennice nieszczelne, dach połatany, ale wiadomo było wszystkim, że lepszej gospody i usłużniejszego gospodarza nad Barwinka nie było w Warszawie.

Barwinek miał szczególniej przywilej przyjmowania u siebie podróżnych Niemców, z którymi w ich języku macierzystym mógł się rozmówić, czem był dumnym. On sam utrzymywał, że z biedy coś niecoś i łaciny miał w zapasie na nieprzewidziany wypadek.

Oprócz tego gospodarz w osobie swej łączył jeszcze,— z powołania rzeźnika, i mówiono, że zawód swój począł od zabijania, nim się wziął do karmienia. Postać

Barwinka, który fartucha i noża z zapasa nigdy we dnie nie zrzucał, odpowiadała w zupełności tradycyom cechu, do którego się liczył. Ogromnego wzrostu, ramion i szyi silnych, jak u żubra, twarzy okrągłej i rumianej, połyskujących policzków, Barwinek był niezmordowanym w pełnieniu swych dwoistych obowiązków. Przez cały dzień na nogach, gęby też nie żałując, chodził, biegał, krzyczał i nieraz pięści względem czeladzi zażywał.

Z gospody swej, choć wiele pozostawiała do życzenia, bardzo był dumnym. Na dole mieściła się olbrzymia izba wspólna dla ogółu podróżnych, która zarazem zastępowała i kuchnię, gdyż w głębi jej na ogromnym kominie, w oczach gości przysposabiały się potrawy, które im Barwinek podawał.

Przy kilku stołach jedzono tu i zapijano od świtu do późnej nocy. Kilka zabrukanych kobiet ledwie usłudze starczyć mogło.

Naprzeciw znajdowała się rzeźnia, z okiennicą wywieszoną na ulicę, na której i przy niej wywieszano świeże mięsiwo. Przez szerokie wrota w pośrodku wchodziło się do stajen i do dalszych izb i komór na tyłach. Wschody stare i wychełtane prowadziły stąd na strychy i na górę, gdzie było kilka izb dla podróżnych, co lepiej zapłacić mogli i na szczególne względy zasługiwali.

Bywały czasy, iż w gospodzie „pod białym koniem" panowała cisza, i Barwinek na ławie mógł się zdrzemnąć przy kufelku piwa, ale gdy dwór zawitał do Warszawy, trudno się tu było docisnąć.

Niemcy, którzy z Cesarstwa często przybywali od księżnej Zofii z Brunświku, od książąt pruskich, wszyscy się tu mieścili, a choć kto dostojniejszy na zamku miał kwaterę, konie i poczet „pod białym koniem" zostawiał.

Z Mazowsza też i innych ziem, kto przybywając do Warszawy, u mieszczanina znajomego, albo w klasztorze nie miał gospody, musiał się wpraszać do Barwinka.

W niemałą też dumę wbijało to gospodarza, iż świat i ludzi znał, a lepiej był oświadomiony ze wszystkiem, co się gdzie działo, od innych.

Nieraz panowie radni, burmistrze i mieszczanie, chcąc się czegoś dowiedzieć, do Barwinka ciągnęli, a o kim on nie dał dobrego świadectwa, temu nie ufano.

Skarżyli się cudzoziemcy szczególnie na niego, iż przy obrachunkach litości nie miał nad nimi i słono sobie płacić kazał, ale Barwinek powiadał, że darmo pracować nie mógł i za te pieniądze spokój swój sprzedawał.

Mało z kim i jakiejkolwiek narodowości człowiekiem, choćby najopryskliwszym, najbutniejszym, nie dał sobie rady Barwinek. Wiele zimnej krwi z początku, a potem żelaznego oporu w tem mu posługiwało. Ludzi z aspektu, z przyborów, ze stroju, z miny, a jak powiadał, nawet z ucierania nosa, nauczył się poznawać tak, iż mu niewiele czasu było potrzeba, aby wiedzieć, jak ma postępować z nimi.

Milczący w pierwszych godzinach, gdy swojego podróżnego raz spenetrował, grał na nim, jak na znajomym instrumencie. Z każdym niemal postępował inaczej, a mało kogo potem nie wyśmiał... Nie pochlebiał i nie płaszczył się nikomu, a dumnym kłaniał się nizko, ale im potem za to płacić sobie ka ał.

— Kiedyś wielki pan, dobądźże mieszka! —powiadał.

W tej porze, gdy się nasze opowiadanie poczyna, Barwinek, jak rzadko, chodził posępny, i niekontent z siebie. Chłopcy mogli to poznać po własnych plecach, podróżni po usposobieniu milczącem. Dziewki, posługujące w wielkiej izbie, uchodziły na sam widok jego, tak biegał zły i kwaśny i niczem mu dogodzić nie było można. Przyczyną tego było upokorzenie.

Rzadko się kiedy trafiło Barwinkowi, aby kogoś od dwóch dni nie poznał, nie wiedział, jak się z nim obchodzić i z kim miał do czynienia. Tymczasem już cztery doby mijało od czasu, gdy do niego zajechał po-

drożny, a Barwinek dotąd nawet narodowości jego zbadać nie mógł.

Na oko wydawał mu się Niemcem, służbę miał niemiecką, konie i wóz na sposób niemiecki przybrane; sam się nosił, jak Niemcy, i uzbrojenie miał jak oni, a okazało się, że po polsku rozumiał i mówił nawet polszczyzną trochę zepsutą, w której czuć było, że ją niegdyś dobrze umiał.

Z Barwinkiem wolał mówić po niemiecku, ale gdy gospodarz łatał polszczyzną, nie miał najmniejszej trudności w zrozumieniu.

Nazwisko też nie mówiło wiele, słudzy go zwali Ritter von Nemetsch; on sam nazwał się gospodarzowi Niemeczkowskim, ale mógł być zarówno Czechem i Polakiem, a Barwinek go nawet za Czecha z początku wziął.

Z pytań, które zadawał gospodarz, wnosił, że niegdyś w Polsce bywał i znał ją dobrze, ale nie dzisiejszego czasu.

Z czem i po co tu przybył, nie mógł też Barwinek odgadnąć, ani z niego wyciągnąć. Człowiek był dobrze niemłody, posiwiały, twarzy opalonej i pofałdowanej, marsowego oblicza, rycerskiej postawy i obyczaju. I on i służba żołniersko wyglądali, a karność między czeladzią była wielka.

Około tego Niemeczkowskiego wyglądało dostatnio wcale i sobie ani ludziom nie skąpił; ale co on tu robił, dlaczego przesiadywał, w tem sęk był dla Barwinka. Pocieszał się tem tylko, że prędzej czy później dojść tej tajemnicy musi.

Zrana podróżny wychodził zwykle na miasto, a choć go gospodarz śledził, wysuwając się za nim, nie mógł dojść, gdzie przez cały dzień przebywał. W rozmowy się nie rad wdawał i za język pociągnąć nie dopuszczał.

Wiedział Barwinek, że i na zamku bywał ów Niemeczkowski, ale u kogo?... dojść nie potrafił.

Najbardziej zagadkową była mowa jego, w której czasami brzmiała najdoskonalsza polszczyzna, to

znowu słów i wyrażeń brakło nagle, tak, że się niemieckiemi posługiwać musiał.

Żeby się tak Polak dał przerobić na Niemca, to się Barwinkowi w głowie pomieścić nie mogło. Znał on takich wielu, co w służbie u cesarza, u króla rzymskiego, u księżnej Brunświckiej bywali, ba, nawet w Szwecyi przez długie lata z królewną Katarzyną przeżyli, a języka przecie własnego nie zapomnieli i stąpiwszy na rodzinną ziemię, zaraz łatwość mówienia nim odzyskiwali. Niemeczkowski zaś już dziś lepiej i łatwiej po niemiecku się wyrażał, niż po polsku, więc, zdaniem Barwinka, Polakiem być nie mógł.

Piątego dnia pobytu owego zagadkowego podróżnego w gospodzie „pod białym koniem" zdziwił się niepomału gospodarz, gdy zrana ujrzał znanego sobie z widzenia rotmistrza Bielińskiego, przychodzącego i zapytującego wprost o Niemeczkowskiego.

Trafił z tem zapytaniem na samego Barwinka, który nizko się pokłoniwszy, skorzystał ze zręczności i spytał:

— My tu mamy tylko Rittera von Nemetsch! Miałżeby to być Polak Niemeczkowski?

Bieliński się rozśmiał głośno.

— A juści nie kto inny jest, tylko szlachcic polski, Niemeczkowski.

— No, proszę! — odparł Barwinek,—a języka rodzonego tak zapomniał!

— Ba — zawołał Bieliński,—co za dziw, gdy może przez te lat dwadzieścia i kilka, jak Niemcom i cesarzowi służył, nie wiem, czy go raz w rok przy świętej spowiedzi używał!

Zapisał to sobie Barwinek w pamięci i z tem większą ciekawością przypatrywał się gościowi swemu.

Rotmistrz tego dnia poszedł szukać dawnego znajomego aż do izby na strychu i tam się między niemi zawiązała następująca rozmowa.

Niemeczkowski z początku mówił ciężką i połamaną polszczyzną, dopiero gdy się z Bielińskim rozgadał, popłynęła mu coraz łatwiej. Uścisnęli się w progu.

— Toś mi dopiero gość — rzekł Bieliński. — Gdyś-

my cię z oczów stracili, a potem głucho było, jakbyś w wodę wpadł, naprawdę wszyscyśmy cię opłakiwali. Wszak to temu...

— Dwadzieścia siedm lat — przerwał Niemeczkowski.—Naówczas młoda królowa Elżbieta, uproszona przez ś. p. hetmana Tarnowskiego, dała mi listy polecające do cesarza na wojnę francuską. Chciałem się rzemiosłu rycerskiemu u obcych przypatrzeć i ani mi się śniło tam zagnieździć.

Cesarz Karol V przyjął mnie, jak nie można lepiej i dał w wojsku pomieszczenie. Prawda, że w początkach ciężko było i z mową i obyczajem się oswoić, a do nich nałamać, alem młody był i chciwy uczyć się, a wojsko całe, bodaj nawet te lancknechty ich, tak się od naszego różniło, iż mi się korzystać pragnęło, aby co do domu przywieźć. Więc jąłem się do ich oręża, do sukni, do zbroiczki, i na podziw mi się poszczęściło. Ludzie też mnie polubili z tego, żem zapamiętały był a dziarski...

Cóż powiecie? Od roku do roku, jakem się z nimi zżył, a w domu z rodziny nikogo nie było, zasiedziałem się aż po te czasy.

Niemeczkowski nagle oczy spuścił i zawahał się, jakby mu się do czegoś przyznać było niełatwo.

— Trochę w tem i babska chytrość była winna — dodał; — polubiłem w Wiedniu dziewczynę i musiałem się żenić...

Bieliński parsknął.

— Domyślałem się — rzekł — inaczejbyś tam nie wytrwał tak długo.

— A piękna bo była, piękna, krew z mlekiem! Wesoła i rozumna — mówił Niemeczkowski — opętała mnie... Panie, świeć nad jej duszą, bo już nie żyje. Dopiero po śmierci żony tęskno mi się do kraju zrobiło, choć w nim tak, jak nikogo już nie mam...

Pamiętacie, rotmistrzu, młodymi byliśmy oba... dwadzieścia siedm lat... Król Zygmunt panował jeszcze... królowa Elżbieta żyła... Jak się tu u was w Polsce wszystko zmieniło! Nic nie rozumiem, nikogo nie znam... Naówczas, gdym jechał na dwór Karola V,

nasz Zygmunt Stary chorzał i rychłą mu śmierć przepowiadano, a teraz, słyszę, August też bez nadziei życia... i... bez potomka!

Szlachcic zniemczały powiódł oczyma po zamyślonym rotmistrzu, jakby chciał odgadnąć, co odpowie, i urwał, czekając; ale Bielińskiemu smutek nie dał rychło przyjść do słowa.

Milczeli tak dobrą chwilę. Rotmistrz podniósł głowę.

— Słuchajno, Niemeczkowski — rzekł — nie kryj się przede mną. Dwadzieścia siedm lat nie byłeś u nas i nie pilno ci było, teraz nagle ochota przyszła. Przyznaj się otwarcie... wysłano cię na zwiady? Cesarz ma wielki apetyt na Polskę?

Niemeczkowski rzucił się tak gwałtownie, usłyszawwszy to pytanie, jakby w niego piorun uderzył; stanął przerażony niemal.

— W imię Ojca i Syna! któż to powiedział?—krzyknął.

Bieliński śmiał się.

— Nikt nie mówił, ale ja cię o to posądzam— rzekł. — Kręci się tu różnych ludzi siła i od Szweda, i od cesarza, i od Francuzów, a w Litwie od cara. Cesarz ma dużo swoich u nas... naturalnaby rzecz była, gdyby i z ciebie chciał skorzystać.

Pan Zygmunt (tak było imię Niemeczkowskiemu) nie odpowiadając, wąsa zagryzał; w twarzy widać było jakieś wahanie i obawę.

— Gdzieżby znowu mieli takiego małego, jak ja, człowieka posyłać? — odezwał się — nie na wieleby się im przydało. Alem ja tyle lat cesarzowi służył, napatrzył się ich potęgi, że sam z siebie, gdybym mógł, gotówbym im pomagać po dobrej woli. Więc jak tu rzeczy stoją, rotmistrzu?

Bieliński, śmiejąc się, poklepał go po ramieniu.

— No, no! — rzekł — więcej wiedzieć ja nie chcę. Co do cesarskich zalotów o naszą koronę, niewiele wiem i znam tych rzeczy. Jest tu dosyć możnych panów, co z cesarzem trzymają; prawda, będą tacy, co go za pieniądze zechcą popierać; ale szlachta się boi. Na Wę-

grzech i w Czechach Niemcy dobrze swobód i przywilejów ukrócili, a my o swoje dbamy. Gdyby nawet kogo z rodziny wybierać chciano, naprzódby się musiał z naszą królewną ożenić, a powtóre... dobrzeby go obwarowano, aby nam *absolutum dominium* nie wprowadził. Szlachta nie lubi Niemca.

Niemeczkowski słuchał z zajęciem.

— Ale dla obrony od Turka i od Moskala — rzekł— potęga cesarza bardzoby się nam przydała.

— Dotąd myśmy się bez niej obchodzili — odparł Bieliński.

— Któż się więcej do korony swata? — począł po chwilce Niemeczkowski.

— O Francuzie mówią — rzekł Bieliński — ten siłę ma bodaj nie mniejszą, jak cesarz, a groźnym nie jest. Pruski książę pokrewny takżeby rad być wybranym. Litwa chciałaby cara, ale się pono rozmyśli... Są tacy, co o małym synku króla szwedzkiego z naszej królewny narodzonym bąkają. Kto może zgadnąć przyszłość, wszakci król żyje.

— Ale mu życia nie obiecują? — zapytał Niemeczkowski.

— Bardzo źle jest — począł rotmistrz. — Nieszczęśliwy pan przez baby popadł w chorobę i w taki stan, że mu się życia nie chce. Dziś lub jutro testament ma kazać pisać i pieczętować.

Bieliński sparł się na ręku i łzę otarł.

— W testamencie—by mógł wyrazić życzenie co do następcy — wtrącił Niemeczkowski.

— Nie wiem czyby się to na co zdało — ciągnął dalej Bieliński — mniej, niż komu, cesarzowi, bo z powodu królewnej żal do niego ma. Powtarza to, iż umiera bezpotomnym przez niego, gdy mu się wczas z żoną rozwieść nie dano.

Niemeczkowski słuchał pilno, nie odpowiedział nic i rozmowa zdała się wyczerpaną, gdy stanąwszy znowu przed Bielińskim, spytał:

— Nie słyszeliście tu co o Gastaldim?

Rotmistrz ruszył ramionami.

— Jakim? Tym, co się na naszym dworze wychowywał?

— Myślę, że ten właśnie jest, bo ich dwu nie znam— odezwał się pan Zygmunt. — Niema go tu?

— Nic nie wiem o nim.

Czas jakiś rozmowa znowu nie szła. Niemeczkowski przysiadł na tarczanie.

— Cale ja tu — odezwał się — inaczej u was znajduję, niż się spodziewałem. Mówiono w Wiedniu, że cesarz potężne ma stronnictwo w Polsce i wybór prawie zapewniony. Tu zaś kogo zapytam, komu o tem napomknę, słuchać o nim nie chce. Myślałem, że się wam na co przydam, bom się zżył z wielu dworskiemi panami i rycerstwem.

— Ale wszystko to zawczesne — przerwał Bieliński. — Król żyje, Bóg dać może, iż się podźwignie.

W ten sposób przerywana rozmowa trwała jeszcze czas jakiś, gdy rotmistrz zapytał Niemeczkowskiego, czy długo myślał tu bawić i jaki był właściwie cel podróży, ażali tu osiąść nie myślał.

— Sam nie wiem — odezwał się Niemeczkowski;— mam rodzinę daleką, która mnie nie zna, a ja jej też. Chciałem się w kraju rozpatrzeć na wypadek, gdyby cesarz miał tu jaką nadzieję.

— I wybrałeś się w złą godzinę — dodał Bieliński — gdy powietrze już do Warszawy zagląda, a po kraju się szerzy. Lada chwila my z królem stąd wyruszamy.

— Dokąd?

— Nie wiem, ku Litwie pewnie — mówił Bieliński.

— A królewna? — badał Niemeczkowski.

— Ją także wyprawią, ale pewno nie tam, gdzie król będzie — rzekł rotmistrz. — Ci, co przy naszym panu są, nie radzi, aby na ich czynności zblizka patrzano.

Mówiąc to, stary Bieliński wstał.

— Do licha, tu mi u ciebie w tej izbie pod strychem duszno, albo ty ze mną chodź stąd, bo ja sam na zamek muszę.

— Weźmiecie mnie z sobą? — spytał, wahając się, gość.

— Dlaczegóżby nie — uśmiechnął się Bieliński — Najlepszy to będzie sposób przekonania cię, jak tu na cesarskich patrzą, gdy ciebie ze stroju i z mowy za jednego z nich wezmą.

Zawahał się, posłyszawszy to, pan Zygmunt.

— Jeżeli tak — odparł — wolę w gospodzie pozostać.

— Ja mam izbę na zamku — dodał Bieliński — pójdziesz do mnie. Przyjechałeś się rozpatrzeć — a w gospodzie tylko czeladź spotkasz, u mnie zawsze się kto znajdzie. Choćby ci co nie w smak było, lepiej, ażebyś się nie łudził.

Wyszli tedy oba na zamek.

Stojący w progu Barwinek pozdrowił ich przechodzących i powiódł za nimi oczyma. Od czasu jak rotmistrza widział na rozmowie poufałej z gościem swoim, znacznie był uspokojony i miał go już za Polaka. Zacnego Bielińskiego znano jako prawego rycerza, który w żadne potajemne konszachty się nie wdawał. Nie miał też czasu bardzo się zajmować Niemeczkowskim, gdyż od wczoraj inna i jeszcze osobliwsza figura zjawiła się pod „Białym koniem".

Ta większą może dla Barwinka była zagadką, niż w pierwszych dniach ów domniemany Niemiec.

Nad wieczór zatoczyła się przed gospodę wcale piękna kolebka, czterema gniademi woźnikami w błyszczącej uprzęży ciągniona, ze służbą w barwie, z pachołkami i wozem za nią. Panowie i panie, które naówczas tylko same kolebkami jeździły, do gospody nigdy prawie się nie zwracali. Możniejsi mieli dwory lub znajomych w mieście.

Wyszedł Barwinek, czapki już zawczasu uchylając i spodziewając się zobaczyć wychylającą z powozu kobietę, gdy dwóch pachołków, zbliżywszy się do stopni wydobyli z wnętrza kolebki coś, jakby małego wyrostka, dziecko... i postawili go na ziemi.

Figurka ta Barwinkowi zaledwie do kolan sięgała,

ale nie było to dziecko, gdyż schyliwszy się, gospodarz dostrzegł ze zdumieniem maleńkiego niemłodego człowieczka, karła, ubranego z cudzoziemska, z miną butną, przy mieczyku.

Karły po dworach naówczas nie były osobliwością. Miała ich kilkoro Bona, z których dwoje darowała cesarzowi Karolowi; Dosieczkę karlicę zabrała z sobą do Szwecyi Katarzyna, i ta w więzieniu z nią siedziała, Jagnieszkę wzięła księżna Brunświcka, ale karła, któryby sam sobie panem był, kolebką jeździł, sługi miał, barwę i pańsko występował, Barwinek jako żyw nie widział i nigdy o podobnym nie słyszał.

Nie wiedział, jak się miał znaleźć, uczcić go, czy sobie równym poczytać. Jeszcze rozmyślał, gdy karzeł coś żywo zaszwargotał do sługi, a ten zbliżył się do Barwinka i oświadczył mu, że pan jego, podkomorzy królewski (jakiego króla nie mówił) dowiadywał się, gdzieby wygodną i piękną gospodę mógł znaleźć, za którą jak należy zapłaci.

— Ale! — dodał sługa — lada czem pan nasz nie da się zaspokoić; nawykł do królewskich pokojów, trzeba mu parę izb czystych i pięknych.

Barwinek byłby go chętnie u siebie pomieścił dla zarobku, lecz miejsca nie było; tarł więc głowę i rozmyślał, a tymczasem zobaczywszy tak ustrojonego karła, gromada ludzi zebrała się, jak na dziwowisko koło niego i u wrót, co małego pana mocno niecierpliwiło.

Strasznie żywego był temperamentu, począł wołać na sługi, niecierpliwie się kręcąc, i nim Barwinek się namyślił zaprowadzić go w sąsiedztwo do mieszczanina Sówki, który mógł pięknych parę izb odstąpić, karzeł porwał się nazad do swej kolebki i już precz chciał jechać, rozkazując do dworu starosty, choć pora była spóźniona.

Barwinek ledwie miał czas przypaść i zaofiarował się zaprowadzić do Sówki, a że tam szopy i stajni nie było, dwór i konie małego owego podkomorzego miały pod „Białego konia" powrócić.

Od ludzi później dowiedział się gospodarz, iż karzeł

zwał się Krassowskim, że był szlachcicem polskim z Podlasia, możnym człowiekiem, i że przez czas długi bawił na dworze królewnej francuskiej, a niedawno do Polski powrócił.

Tegoż dnia rano widziano go z kolebką jadącego do pana Wolskiego, starosty, który nietylko przyjął gościa, ale go od Sówki do siebie na dworzec zabrał z ludźmi i końmi.

Około południa potem nadjechał posłaniec ze Szwecyi z listami, i ten pod „Białym koniem" stanął, a pod wieczór od księcia pruskiego przybyło dwóch.

Słowem, nie miał Barwinek spoczynku i wnosił z tego ruchu, jaki się tu objawiał, iż z królem źle być musiało, kiedy się tak pilno dowiadywano ze wszech stron.

Na zamku dzień ten nie zmienił położenia; ci, co mieli bliższy przystęp do króla, powiadali, że doktorowie nie rokowali polepszenia na zdrowiu, a na wyjazd nalegali.

Zamęt panował wielki wśród służby, usiłującej z chwil ostatnich życia pańskiego korzystać. Wynoszono skrzynki i worki, przyprowadzano Żydów i lichwiarzy, włóczyły się kobiety różne, ulubieńcy króla postępowali sobie tak śmiało i zuchwale, jak gdyby bezkarności byli pewni.

Wieść chodziła dnia tego, że król długo z ks. Krasińskim podkanclerzym siedział zamknięty i testament, już ułożony, na kilka rąk spisywać kazał. W stajniach wszystko przysposabiano do podróży. Zygmunt August z łóżka prawie nie powstawał.

Dzień wyjazdu jeszcze nie był postanowiony. Krajczy i podczaszy, którzy obaj liczyli się do przyjaciół Giżanki, zwłóczyli z podróżą, chcąc się jej tu doczekać, aby jeszcze dla siebie i dla córki swej u króla coś wyłudzić mogła.

Z mnogich ulubienic Zygmunta Augusta, Barbara Giżanka była najgłośniejszą, a w tym roku powiwszy

córeczkę, którą za królewskie dziecię miano, korzystała z tego, aby dla siebie obfite wyjednać wyposażenie.

Piękna bardzo córeczka ta mieszczanina i burmistrza warszawskiego żyła z matką w klasztorze, gdy ją krajczy i podczaszy napatrzyli i z pomocą Żyda Egidego, który im w podobnych sprawach służył, uwiedli dla króla. Podczaszy miał być pierwszym, co się tam wkraść potrafił pod nazwiskiem siostry Opackiej.

Sprowadzona na zamek, w którym na jednym dziedzińcu z królewną Anną mieszkała, boleśnie dała się czuć jej, gdyż z okien królewnej widać było po całych dniach wyglądającą i przyjmującą mnogich gości kochankę, a potem nieraz i kwilenie jej dziecka dochodziło do uszu upokorzonej pani.

Dwór królewnej Anny oburzony i ona sama dziecięcia tego inaczej jak „szczenięciem" nie nazywała.

Łaski wielkie u króla mnogich jej zjednały przyjaciół, na których czele stali krajczy i podczaszy. Pierwszy z nich obdarzył ją zaraz karetą i końmi, którymi po mieście się pyszniła, gdy u królewnej grosza na kuchnię dla dworu nie było. Hieronim Sieniawski, kasztelan kamieniecki, Łaski, wojewoda mazowiecki, wielu innych skarbiło sobie Giżankę, przez nią u króla wyrabiając przywileje i dary.

Boleśniejszem może jeszcze nad sąsiedztwo Giżanki na zamku było porwanie z własnego fraucymeru królewnej pięknej Anny Zajączkowskiej, z którą król chciał się żenić.

Zażyto fortelu, oszukano królewnę, udając jakoby Zajączkowska za mąż wychodzić miała, i w ten sposób wzięto ją do króla, a potem umieszczono tymczasem w Witowie, niedaleko Piotrkowa, gdzie po książęcemu ją utrzymywano. Po kilka tysięcy czerwonych złotych posyłał król Zajączkowskiej, a samo jej wystawne łoże cztery tysiące kosztować miało.

Krwawemi łzami srom ten domu swego opłakiwała Anna, a że oburzenia swego powściągnąć nie umiała, że o tem, co mówiła, donoszono Augustowi i usiłowano ich poróżnić, przyszło do tego, iż się od dawna brat

z siostrą nie widywali i król o wszystkich jej potrzebach zdawał się zapominać.

Anna miała wprawdzie przyjaciół i na krakowskim dworze, ale mniej śmiałych, niż ci, którzy z ostatnich godzin dla siebie starali się korzystać.

Testament, który właśnie dnia tego spisywano, dowiódł najlepiej, że serce Zygmunta Augusta nie odwróciło się od siostry. Wstyd raczej, niż gniew był powodem zerwania stosunków. Obawiał się król wymówek słusznych, łez samych, któreby go dotknęły boleśnie. Nie dawano też pokoju choremu, odosabniano go umyślnie, zajmowano coraz nowemi lekami bab i sprowadzanych czarownic — tak, że osłabły, zmęczony nie był panem siebie.

Obożny Karwicki był jednym z tych, którzy najuroczyściej sobie przyrzekli nie dopuścić wyjazdu króla, dopókiby się z siostrą nie widział i nie pojednał.

Gdy tak w jednej połaci zamku około chorego kręcił się rój ludzi uczciwych, w drugiej około królewnej Anny zbierają się wierni jej i rodzinie, gotowi bronić opuszczonej. Do tych należał, jakeśmy widzieli, i starosta warszawski, który będąc na zamku, a do króla nie mogąc się docisnąć, kazał się do królewnej prowadzić.

Przyjmowała go zawsze mile, gdyż szacowała w nim człowieka, który nikczemnem służalstwem się nie plamił, a u króla łaskę miał zasłużoną pracą, jaką podejmował około mostu na Wiśle, bo Zygmunt August, pragnąc to dzieło widzieć dokonanem, powierzył jemu i po nim się go spodziewał.

Ogromny ten most, budowa na owe czasy trudna i kosztowna, już w połowie była ukończoną. Jeździł król ją oglądać, gdy zdrowszym się czul, przypatrywała się królewna, chlubił nią Wolski.

Zobaczywszy go u siebie, Anna, która jak zawsze, tak i tego dnia z zapłakanemi wyszła przeciwko niemu oczami, sądziła, iż przybywał dziełem się swem pochlubić.

— Dawno was nie widziałam, panie starosto — odezwała się smutnie — a no wiosna, zima pono nie uszko-

dziła robót waszych, które pewnie daleko postąpić musiały.

— Nie spoczywamy — odpowiedział starosta wesoło, gdyż zawsze oblicze pogodne zwykł był okazywać— lękam się tylko teraz, aby nam postrach powietrza nie rozpędził ludzi.

Westchnęła królewna. Wolski coś jeszcze o moście powiedziawszy, nagle zmienił przedmiot rozmowy.

— Gościa mam ciekawego u siebie — rzekł, — któregobym i waszej miłości rad okazać, ale bez zezwolenia nie śmiałem.

— Któż to taki? — obojętnie zapytała Anna.

— Szlachcic polski, ale długim pobytem we Francyi na dworze królewnej matki, której ulubionym był i jest, na poły już Francuz. Zowie się on Krassowski. Pan Bóg go dotknął kalectwem, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę, gdyż nie wiem, czy na łokieć ma wzrostu, ale Łokietek ten rozumem, dowcipem, nauką, a nawet postacią i twarzą nie jednego olbrzyma przechodzi. Potrzeba go widzieć, aby temu uwierzyć.

Tak mu owa karłowatość, co miała być upośledzeniem, stała się narzędziem fortuny. Długie lata na dworze francuskim przebywając, zebrał sobie i mienia dosyć i wziętość uzyskał. Zatęskniło mu się jednak do Polski i teraz tu przebywa. Najciekawsza to, co o dworze francuskim, królowej matce, królu i jego rodzinie opowiada; posłuchać warto.

— Starosto mój! — westchnęła Anna — dziś u nas tak smutno, iż najpiękniejszą bajeczką o królach zabawić nas trudno!

Wolski nie zraził się tą odprawą.

— A jabym — rzekł — pomimo to pokornie dla niego o posłuchanie upraszał. Gdyby król zdrowszym był, przyjąłby go pewnie; w zastępstwie choć miłość wasza zechcesz mu tę łaskę wyrządzić.

Obojętnie dosyć, nie podnosząc oczu, odezwała się królewna:

— Jeżeli to koniecznie potrzebne, a wam miłem być ma?

Starosta się do kolan pokłonił.

— Chciałbym mu to wyjednać, bo do mnie miał z Krakowa polecające listy — rzekł. — Człowiek zresztą ciekawy, bo jak mały, tak w nim rozumu wiele, i warto widzieć tę osobliwość gdyż się podobno nie rychło zjawi. Karłów myśmy wszyscy znali i widzieli wielu pospolicie złośliwych i dziecinnych; ten zaś wcale różny i wstydu narodowi polskiemu u Francuzów nie uczynił.

Zapytał starosta, kiedyby mógł Krassowskiego z sobą przywieść, a królewna zafrasowała się nieco.

— Kiedy chcecie — rzekła — tylko nie wówczas, gdy mi u brata, u króla jmości posłuchanie wyjednają, bo się go dziś, jutro spodziewam.

— Dziś wątpię — rzekł starosta — z ks. podkanclerzym zajęty i wiem, że się nieprędko to skończy. Gdybyś więc miłość wasza dozwoliła, nad wieczór bym go mógł tu przywieźć.

Królewna nie zdawała się ani ciekawą, ani żądną poznania tego stworzenia tak oryginalnego, które jej starosta zalecał, lecz nie chciała się sprzeciwiać Wolskiemu.

— Dobrze więc — odparła zimno — a mówi on po polsku czy po włosku?

— Zna oba te języki, i francuski naturalnie, bo do tego przywykł d'ugim pobytem we Francyi.

Wolski, krótko tak zabawiwszy, odjechał, a królewna Anna zakłopotała się zaraz tem, że karzeł, który do przepychu na dworze paryskim byl nawykły, miał u niej znaleźć takie ubóstwo i prostotę. Kazała Dosi postarać się, aby posłuchalna komnata trochę świetniej wyglądała. Ale skądże tu było wziąć do niej sprzętów i przyozdobień?

Zagłobianka z innych izb powynosila, co mogła, postarała się o kwiatki i odświeżyła nieco smutną i ciemną komnatę.

Jak starosta zapowiedział, przed wieczorem zajechał z kolebką pod małe zamkowe odwórze, gdzie kilka osób ze służby się znajdowało i zdumiało, widząc przechodzącego Krassowskiego.

Wistocie była to figurka tak osobliwa, że się jej cały Boży świat zdumiewał i wydziwić nie mógł. Karzeł był bardzo wytwornie, wedle mody francuskiej ubrany, a że zręczny był i pełen życia, choć niemłody, obracał się rzeźko, nastawiał bardzo śmiało i butno, miło było na niego popatrzeć. Począwszy od włosów utrefionych kunsztownie, wszystko, co miał na sobie, niezmiernie starannie było dobrane, kosztowne a piękne. Łańcuch, mieczyk były dla niego robione umyślnie.

Twarzyczka, acz postarzała i pomarszczona, miała wiele życia, oczy ognia, ruchy wdzięku.

Nawykły do wielkiego dworu, do towarzystwa królów i książąt, obracał się żwawo, śmiało, bynajmniej nie zmieszany i pewien siebie.

Królewna przystroiwszy się trochę staranniej, choć ubierać się niebardzo lubiła, wyszła na spotkanie starosty, który jej Krassowskiego przedstawił.

Karzeł z kapelusikiem w ręku, przybrawszy postawę dworaka, pokłonił się królewnie i nader śmiało wypalił swój komplement po włosku.

Głos jego nie tak piskliwy, jak zwykle bywa karłów, brzmiał przyjemnie i Krassowski wogóle miłe na Annie uczynił wrażenie.

Spytała go, jak długo w kraju nie był. Naówczas karzeł począł opowiadać, jak się przed dwudziestu niemal łatami dostał do Francyi przypadkiem, jak dla swej ułomności był przedstawiony na dworze królewskim, polubiono go tam i zniewolono pozostać.

— Chociaż mi tam bardzo dobrze było i cieszyłem się łaskami całej rodziny królewskiej — mówił dalej — nieraz mi za krajem było tęskno i nigdy o nim zapomnieć nie mogłem. Królowa matka, w której usługach miałem honor zostawać, nie chciała mnie odpuścić, musiałem nawet przyrzec, iż powrócę, odwiedziwszy moją rodzinę, i tak się tu teraz dostałem.

— W smutną dosyć godzinę — odparła królewna Anna. — Dwór nasz z powodu słabości króla okryty smutkiem, rozerwany, a oto i powietrze nam zwiastują. Prędko waszmość pewnie, przekonawszy się, co u nas

się dzieje i jak tu życie ciężkie, powrócisz do weselszej Francyi.

Krassowski odparł, że mu tu jednak miło było między swymi i że tyle doświadczył już dobrego, będąc przyjętym łaskawie przez panów Zborowskich i innych znaczniejszych, że niırad Polskę opuśc , a pewno nieprędko. Zatem zręcznie :wrócił rozmowę na panującą rodzinę królewską we Francyi, na ej potęgę bogactwa, wielkie przymioty, przywiązania do Kościoła i wierność stolicy apostclskiej.

Opowiadał, jak królowa matka miała wiele zgryzot, narówni z synem swym panującym, Karolem, usiłując się opierać zamachom Hugonotów, którzy herezyę szczepi i i jednolite dotąd a zgodne królestwo rozerwać usiłowali na dwa obozy.

— Coś podobnego i u nas widzę — dodał Krassowski — gdyż i my mamy swych Hugonotów, równie możnych, jak francuscy; daj Boże tylko, aby się znaleźli tak czynni obrońcy Kościoła, jak królowa we Francyi, która pewni Hugonotom przewagi wziąć nie dopuści.

Ponieważ królewna dosyć ciekawie się przysłuchiwała, rzuc.ła k lka pytań i zdawała się żywo zajmować opowiadaniem o francuskim dworze, Krassowski o jego zabawach, grzeczności, wykształceniu, wielkiej wytworności i elegancyi obyczaju szeroko się rozwodzić zaczął.

— Król sam — dodał — mało dotąd się rządami kraju zajmował, więcej zabawom i polowaniu oddając, za to królowa matka bardzo jest czynną. Szczególną ona ma miłość dla drugiego syna swego, młodego książęcia Andegaweńskiego, Henryka, który jest nieochybnie jednym z najpiękniejszych książąt swoj go czasu w Europie. Jest też ulubieńcem matki, która właśnie szuka dla niego pomieszczenia poza krajem, gdyż się obaw a, aby król o niego zazdrosnym nie był i stronnictwo Karola co przeciwko niemu nie knuło. Chciano dla n ego utworzyć królestwo nowe z ziem poganom podległych, ale trudno, aby to przyszło do skutku.

— Jam sobie myślał — dodał śmiało Krassow-

ski — że gdyby kiedy nasze królestwo przez bezdzietność pana osieroconem zostało, nie mogłoby lepszego uczynić wyboru, jak prowadząc na tron Henryka.

Słysząc to, królewna zarumieniła się mocno, a karzeł dodał żywo:

— Książę Andegaweński nie żonaty jest i lepszego męża dla dziedziczki tronu życzyćby ani marzyć nie można.

Wystąpienie to trochę zuchwałe, nie podobało się królewnie, gdyż udała, jakby go nie słyszała lub nie rozumiała, ale karzeł się tem nie zraził bynajmniej.

— Należy mi przebaczyć — rzekł kłaniając się — iż do obu rodzin królewskich będąc przywiązanym, snuję sobie takie plany, i takąbym rad przyszłość im zapewnić. Dla Polski nie byłoby sprzymierzeńca potężniejszego, a pewniejszego nad Francyę, i bezpieczniejszego daleko, niż cesarz Maksymilian, który tu ma swych przyjaciół, ale też boi się go tu wielu, bo tego losu się spodziewają, jaki spotkał Czechy i Węgry.

Królewna Anna zaczęła słuchać z uwagą.

— Widać — rzekła — żeś waszmość korzystał z krótkiego czasu, jaki w Polsce przebyłeś i już rozsłuchałeś się potrosze, co się u nas dzieje. Smutne to przewidywania są, o których mnie szczególniej nie przystało sądzić.

Krassowski powrócił do rodziny królewskiej Francyi.

— Książę Andegaweński — rzekł — jako bardzo gorliwy katolik, prędkoby u nas serca sobie pozyskał. Osobiście też pełen jest przymiotów, które go czynią miłym. Młody, wesół, dowcipny, lubiący się bawić, umiejący sobie zawsze wynaleźć rozrywkę... z powierzchowności nawet wszystkim się podoba.

To mówiąc, Krassowski z płaszczyka i sukni zapiętej na piersiach, dobywać coś zaczął.

— Przy rozstaniu królowa jmość, która zawsze tak łaskawą była dla mnie — dodał — zaszczyciła mnie najdroższym podarunkiem i pamiątką. Noszę ją zawsze przy sobie. Są to wizerunki królowej jmci, która dotąd jeszcze majestatem i pięknością góruje nad

młodszemi nawet, króla imci Karola IX i brata jego, młodego książęcia Andegaweńskiego.

To mówiąc, Krassowski dobył nareszcie w aksamit szkarłatny oprawny rodzaj pugilaresu i przyklękając, zręcznie podał go królewnie.

Zawahała się zrazu Anna, czy ma rzucić okiem na te wizerunki, lecz po chwili namysłu wzięła z rąk Krassowskiego pugilares i przypatrywać się zaczęła z kolei wizerunkom.

Karzeł tymczasem starał się szczególną jej uwagę zwrócić na ostatnią z tych miniatur, wyobrażającą bardzo pochlebnie upiększonego księcia Andegaweńskiego.

Starosta Wolski, który stał blizko, mógł dostrzedz, jak blade lice królewny zarumieniło się i twarz jej wyraziła pewne pomieszanie.

Krassowski wciąż tymczasem opowiadał o dostatkach, wspaniałości, o zabawach na dworze, maszkarach, tańcach, turniejach i o wielkiej wytworności z jaką się tu wszystko odbywało.

— Niczem są przy tem — mowił — słynące z wykwintności przepychu dwory książąt włoskich z których żaden dostatkami i potęgą królowi Francyi dorównać nie może. Z całej Europy, z Włoch też, co jest najprzedniejszych kunsztmistrzów, malarzy, rzeźbiarzy, tu się zbiega na usługi potężnego monarchy. Niema życia, jak tam.

Książę Henryk, który od kolebki do niego przywykł, gdziekolwiek się obróci, pewnie z sobą poniesie to, co mu, jak powietrze, jest potrzebnem. Szczęśliwa pani, która serce jego i rękę pozyskać potrafi.

Naleganie ciągłe na przymioty księcia Henryka tak jakoś było znaczące, że królewna nie mogła go nie zrozumieć, rumieniła się, milczała ale każde słowo Krassowskiego głęboko się w jej pamięć wrażało.

Czas na tych jego opowiadaniach, dowcipem i wesołością ożywionych, upływał tak prędko, iż ani się spostrzegła królewna, jak wieczór nadszedł.

Starosta dał znak Krassowskiemu, iż czas było po-

żegnać królewnę. Karzeł zostawił w jej rękach swój pugilares z wizerunkami i nie upominał się o zwrot jego, a królewna położyła go przy sobie na stoliku; lecz Krassowski nie sięgnął po tę swą własność i już żegnał się, gdy mu ją królewna przypomniała.

— Jeżeli miłość wasza pozwolisz—odezwał się,— mogę wizerunki te, dla lepszego ich widzenia, zostawić tu, dopóki się jej podoba zatrzymać. Może je kto więcej widzieć zechce, a radbym bardzo, aby one sobie tu serca pozyskały... dla drogiej mi rodziny dobroczyńców moich.

Nim Anna miała czas zaprotestować, karzeł się uwinął prędko, pokłonił się i wyszedł z Wolskim, pugilares zostawiwszy na stole.

Zaledwie byli za progiem, gdy królewna drżącą ręką chwyciła książeczkę z miniaturami, i wizerunkowi księcia Henryka chciwie przypatrywać się zaczęła.

Twarz jej mieniła się, drżała; widać było, że jakieś marzenie, nadzieja jakaś nią owładła. Stała zadumana, wpatrzona w te niemal niewieście pieszczone rysy młodego księcia, którym malarz nadał wyraz i wdzięk a urok młodości, jakiego może w naturze nie miały.

W H nryku nawet najmniej wprawne oko mogło wyczytać szyderstwo i zimną jakąś, okrutną ironię człowieka, który siebie tylko kochać umie; na obrazku wcale inaczej się on stawił: łagodnym, uprzejmym, miłym.

Królewna uczuła się dziwnie pociągniętą ku temu nieznajomemu, który mógł być jej przeznaczonym, jej, co tak długo czekała na kogoś, na tego opatrznościowo dla niej wskazanego męża i pana. Biedne jej serce od tak bardzo dawna pragnęło kochać kogoś, dla kogoś się poświęcić, przywiązać się do jakiejś istoty, któraby jej choć odrobiną miłości za całe serce wypłaciła.

Ileż to razy zazdrościła losu siostrze Katarzynie, dzielącej więzienie Jana, cierpiącej z nim, odpowiadającej tym, co ją rozdzielić chcieli od męża:

— Bóg nas złączył, wierną mu będę do śmierci.

Temu sercu biednej królewnej przez cały ciąg życia tylko najboleśniejsze zadawano ciosy. Ojciec był dla niej obojętny; matka kochała przedewszystkiem Iza-

belę... brat był zimnym. Poświęciła się dla Katarzyny, której praw swego starszeństwa odstąpiła, nie zdobywszy tem jej serca. Zofii Brunświckiej służyła, korzyła się przed nią, padała p zed nią, radko otrzymując dowód pamięci i przywiązania.

Wszystkie projekty wydania jej za mąż pełzły z kolei na niczem... została coraz bard iej samą, a teraz brat się jej wyrzekał, znać nie chciał, i śmierć jego mogła ją lada chwila, bez opieki, bez przyjaciół, rzucić na łup rozterek domowych o wybór pana.

Panowie polscy i litewscy mieli o niej pamiętać, czy nie? Pomiędzy niemi liczyła przyjaciół niewielu, niechętnych i obojętnych tysiące.

Nadzieja jakkolwiek słaba, ułudna jakiegoś szczęścia, odżycia, odmłodzenia, poruszyła jej sercem. Henryk się jej podobał, coś zdawało mówić, że on był tym przeznaczonym!

W błogiem, a razem i tęsknem marzeniu, Anna spędziła chwilę długą. Siadła zadumana, a lękając się, aby jej wizerunków nie odebrano, aby się nie wyśmiewano może z zajęcia niemi, schowała je skrzętnie.

Żalińska, która wiecznie i zawsze teraz wymówkami ją karmiła, naganiała, gniewała się, dąsała, i to marzenie pewnie znalazłaby grzesznem... i niewłaściwem.

Z tem marzeniem o Henryku, milcząca... poczęła się wreszcie modlić, aby myśli natrętne odpędzić.

Talwosz dla miłości królewnej Anny, a trochę i dla pięknych oczów Dosi Zagłobianki, nabiegawszy się zrana ze srebrem i szczęśliwiej, niż się spodziewał dostawszy grosza, spoczywał już na laurach dnia tego i wesoło rozmawiał z Bobolą, który, biadając posępny siedział na swoim tarczanie, gdy do drzwi zapukano i w tejże chwili uchylono je; główka wyrostka, dziewczyny z krótko ostrzyżonemi włosami, ukazała się w nich, oczyma poszukała Talwosza i zawołała:

— Pana Talwosza proszą!

Nie py ając kto i sądząc, że albo Żalińska go potrzebuje, lub królewna wołać każe, porwał Litwin za c apkę i pobiegł.

Dziewczyna poprzedzała go, wyskakując przez korytarz aż do antykamery, w której z założonemi na piersiach rękami, z głową podniesioną dumnie, stała oczekująca na niego Zagłobianka.

Niespodziewane to było szczęście dla rozkochanego Talwosza.

Dziewczę, które przyprowadziło go tutaj, wskazało palcem Dosię. Talwosz się ukłonił, ser e mu biło.

Zadumana Dosia zdawała się namyślać, co ma mu powi dzieć.

— Nie potrzebuję was pytać — rzekła — czyście tak przywiązani do królewnej, jako ja. Choć niedawno jesteście na jej dworze, ale mam was za wiernego sługę naszej pani.

— I możecie za to ręczyć — przerwał Talwosz, rękę kładąc na piersiach.

Zagłobianka powiodła białą rączką po czole.

— A! — rzekła smutnie, — gdyby ona tylu miała przyjaciół, co ma wrogów! Na nią się wszyscy spikają i sprzysięgają. Opuścił ją król i zaniedbał... a drudzy, gdy on oczy zamknie, wszystko będą czynili w interesie jakichś tam przyszłych panów, którym się chcą zaprzedać... a o królewnie, choć się jej należy to państwo i korona, ani pomyślą!

Westchnęła Dosia i nagle zniżywszy głos, poczęła żywiej:

— Cesarz Maksymilian ma już tu więcej przyjaciół, niż ona... Wszyscy za nim i z nim. Królewna wie napewno, że kardynał Commendoni tylko o cesarskich interesach myśli, a o jej los wcale nie dba. Jak i skąd my to wiemy, tego nie potrzebuję wam opowiadać, ale to pewno, że kardynał, który codzień wyjeżdża do lasku Bielańskiego dl świeżego powietrza, dzisiaj się tam spotkać ma z kimś... pono z Litwy. Będą tam jakieś narady.

Spojrzała na Talwosza, nie śmiejąc dokończyć. Litwin się zarumienił.

— Niemiła to rzecz—odezwał się — podsłuchiwać i szpiegować, i jeśli komu, to mnie ona nie przystała... ale gdy idzie o królewnę...

— O ocalenie jej może! — przerwała Dosia gorąco,—bo czasem dosyć znać niebezpieczeństwo, aby go uniknąć. Gdybyś waszmość choć o tem się dowiedział, kto tam na kardynała oczekuje, z kim i o czem będzie narada.

Wejrzenie dziewczęcia, które doskonale wiedziało, że niem co zechce, wymoże na Talwoszu, stało się tak nalegającem, iż Litwin gotowym się uczuł na wszystko.

— Już kiedy kardynał — dodała Zagłobianka — takich sposobów używa, iż za miastem w lesie zwołuje schadzki, niemałej wagi sprawa być musi i osoby do niej wezwane.

— Ja naszych Litwinów wszystkich znam, i Chodkiewiczów i Radziwiłłów, i ilu ich tam jest — rzekł Talwosz.

Dosia przerwała mu.

— Ponieważ Commendoni już wprzódy się znosił z Polakami, z wojewodą Firlejem, z Zebrzydowskimi nawet... a teraz Litwinów sprowadza, oczywista rzecz, że idzie o ważne sprawy, o spadek po królu, którego już uważają, jakby dni jego policzone były.

Talwosz zamyślony stał, wąsa mordując i wargi zakąsywając.

— Kardynał, Włoch przebiegły, jak tu żaden — rzekł; — dosyć przypomnieć, że króla zmógł, gdy mu o rozwód chodziło; miarkujcież miłość wasza, jeżeli on do lasku jedzie dla skrytości, postawi pewnie straże i zbliżyć się do nich nie będzie podobna.

Dosia rzuciła ramionami.

— Na to masz waszmość rozum i przebiegłość — odezwała się rzeźko. — Zapewne że tak, jak stoisz, nie zbliżysz się, ale...

Talwosz się rozśmiał.

— A! prawda — zawołał — juści się za chłopca, albo za babę po grzyby idącą mogę przebrać.

— Dosyćby za żebraka — wtrąciła Zagłobianka żywo.

— Nie wiecie, o której godzinie ta schadzka w lasku ma się odbyć? — zapytał Talwosz.

— Przed wieczorem, czasu dużo do stracenia niema, a choćbyś waszmość się jaką godzinę przechadzał, oczekując, nie tak to sroga męka.

Litwin nic stanowczego nie odpowiadał, Zagłobianka poczęła się niecierpliwić.

— Pójdziesz, czy nie?—spytała.

— Muszę—rzekł posłuszny Litwin,—ale jak ja to potrafię, co mi rozkazujecie... jeden Bóg wie.

— Ja wam nie rozkazuję — przerwała Dosia, — nie dla mnie to uczynicie, ale dla królewnej.

Talwosz wejrzeniem zdawał się jej mówić, że przynajmniej równie dla niej, jak dla Anny, podejmował się bardzo niebezpiecznego i nieprzyjemnego szpiegostwa.

Nie upłynęła godzina potem, gdy odarty żebrak z osmoloną twarzą, w sukmanie dziurawej, w łapciach, o kiju, z zamku się przez ogród spuścił ku Wiśle, odwiązał u brzegu przytwierdzone czółenko małe, siadł do niego niepostrzeżony i potężnie wiosłem robiąc, posunął się, obejrzawszy dokoła, z biegiem rzeki, ku Bielanom.

Trudno w nim było poznać młodego i przystojnego chłopaka, który się lubił stroić i dbał o to, ażeby nie gorzej od innych wyglądał. Ale czegóż nie zrobi miłość i poczciwe serce?

Talwosz wiele dla Dosi czynił, to pewna, niemniej jednak pragnął usłużyć królewnie, którą dwór jej i ci, co ją teraz w tem położeniu sierocem widzieli, kochali mocniej, niż kiedy, dlatego, że ją prześladowano.

Talwosz niedarmo nad brzegami Niemna się wychował, z maleńką łódką umiał sobie doskonale radzić, kierował nią zręcznie i bardzo krótkiego potrzebował czasu, aby się dostać do lasku, który zarosłym brzegiem schodził aż do rzeki.

Ukrywszy łódkę w trzcinach i sitowiu, wyskoczył z niej, i przygarbiony o kiju, rozglądając się pomiędzy sosnami, począł wspinać się na górę, usiłując odgadnąć, gdzie kardynał i tajemniczy owi Litwini zejść się mieli. Znał on trochę lasek ów, bo do niego na przechadzki z mia ta chadzano.

Nie spostrzegł w nim zrazu nikogo, pusto było... Dopiero dalej nieco idąc, po maleńkiej polance, konie, które masztalerz wodził, widzieć się zdały. Z siodeł i przykryć, choć skromnych, poznał, że nie lada kto z tych wierzchowców zsiąść musiał.

Ale oprócz pachołka, przy koniach nikogo nie było. Ostrożnie, od drzewa do drzewa, przesuwając się tak, aby go pnie i zarośla zasłaniały, wdarł się Talwosz aż w głąb lasu, ciągle na wszystkie strony oczyma rzucając i nastawiając ucha.

Długo nic nie było słychać.

Dalej idąc, zdało mu się, że posłyszał cichą rozmowę... Szedł więc w tę tronę, z której ona go dochodziła. Wkrótce mignęły mu dwie postacie. Pełznąc prawie po ziemi, Litwin teraz usiłował się jak najbardziej ku nim przybliżyć.

Kilkanaście kroków zrobiwszy, mógł już twarzy dostrzedz... i dziwił się nadzwyczajnie, gdy mu się zdało, że w nich poznał Jana Chodkiewicza i Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła.

Nie osobom się zdumiał, ale temu, że one się zbliżyć do siebie i spokojnie z sobą mogły rozmawiać. Wiadomo mu bowiem było, że Chodkiewicze naówczas z Radziwiłłami o lepszą idąc, kto na Litwie zawładnie, na noże byli z sobą.

Nikt nie słyszał i nie przypuszczał pojednania. Cudem się to wydało Talwoszowi, gdy ich postrzegł spokojnie stojących obok siebie i zamieniających z sobą co chwila po słów kilka.

S rdeczności wielkiej widać po nich nie było. Chodkiewicz stał, w bok się wziąwszy, z tą dumą ogromną, która go nigdy nie opuszczała, nawet obok tronu. Radziwiłł nieco opodal, z twarzą obojętną, z udanym może

chłodem, spoglądał na niego bacznie, nie dając sobie imponować tym wyrazem buty.

Radziwiłł był jakby ten, który już swojego stanowiska zdoby ego czuł się pewnym. Chodkiewi z zdawał się dopiero chcieć je zdobyć i zapewnić sobie. Mówili mało.

Talwosz, idąc w kierunku ich oczów, bo w jedną stronę wzrok zwracali, domyślił się, że stamtąd pewnie kardynała oczekiwać musieli.

Upłynęła dobra chwila. Talwosz począł się pilno rozglądać, chcąc domyś'eć, gdzie rozmowa miejsce mieć może, aby się zb iżyć ku niemu, i choćby na ziemi w krzakach przylegnąć.

W lesie, dosyć zarosłym podówczas, pełnym gałęzi połamanych, suszy i łomu, przechadzać się nie było podobna, aniby wypadało szukać w nim kątów jakichś; należało przypuszczać, że kardynał nadjedzie drogą z Warszawy, i że na tym gościńcu z oczekującymi na niego zatrzyma się do rozmowy.

Zdala słychać już było turkot powozu, i Litwin podniósł głowę, usiłując dostrzedz, lecz wkrótce umilkło wszystko.

Radziwiłł i Chodkiewicz, spojrzawszy na siebie, posunęli się kilkanaście kroków naprzód, jakby na spotkanie, a z za drzew w głębi wystąpiły dwie postacie, idące pieszo.

Talwosz nie jeden raz widywał kardyna'a, ale zawsze w jego szatach urzędowych, w szkarłatach. Teraz miał on na sobie tylko ciemne fiolety na spod ie, a wierzchem suknię długą i płaszczyk czarny. Na głowie takiż kapelusz z szerokiemi skrzydłami.

Tuż za nim, tak samo ubrany, szedł drugi duchowny tylko — nikogo więcej. Służba i powóz zostały zapewne gdzieś u skraju lasu.

Kardynał szedł coraz żywiej, oglądając się pilno dokoła. Była to taż sama, znana Talwoszowi twarz Włocha, w której niezmierną przebiegłość, niesłychaną zręczność okrywał wyraz takiej łagodności i dobroci,

takiej słodyczy i naiwności prawie dziecięcej, iż nikt się go obawiać, nikt o chytrość posądzić go nie mógł.

A był to swojego czasu najzręczniejszy z negocyatorów, najrozumniejszy z dyplomatów, mąż niedoścignionej umiejętności pozyskiwania ludzi, przekonywania ich, zdobywania.

Dość jest na dowód przytoczyć, że potrafił ludzi już od kościoła odpadłych, straconych dla niego, skłonić do wyboru zgodnego z katolikami, że umiał sprządz zawziętych wrogów, jakiemi byli marszałek Firlej i wojewoda Zebrzydowski, Radziwiłł i Chodkiewicz.

Gorliwy katolik, gdy tego interes Kościoła wymagał, umiał Commendoni sprawę religii wrzekomo odłożyć na stronę, nie tykać jej, uczynić podrzędną; wyrzekał się propagandy, nawracania, zamykał oczy na żądania wbrew jego przekonaniom przeciwne. Zyskiwał sobie ludzi naprzód słodyczą i łagodnością, potem dopiero do sumienia ich kołatać próbował. Na przemiany tolerujący i nieubłagany, od nikogo nie stronił, nikim nie gardził i dokazywał też cudów, o ile mogły być dokonane.

Przeszkodzenie rozwodowi króla, utrzymanie go wiernym Kościołowi, gdy o niewiele szło, by Polska odpadła od Rzymu i sprzeniewierzyła się jemu — już za prawdziwy cud zręczności i taktu Commendoniego uważać można.

Chodkiewicz i Radziwiłł powitali go z wielkiemi oznakami uszanowania. Commendoni szedł ku nim z twarzą rozpromienioną, uśmiechający się, słodki, z wyrazem ojcowskiej dla obu czułości.

Nie było więcej nikogo nad ich czterech tylko. Jakim sposobem Talwosz zdołał przepełznąć ku nim niepostrzeżony, on samby może tego zuchwalstwa, które mu się szczęśliwie powiodło, wytłumaczyć nie umiał. Na wypadek, gdyby go towarzysz kardynała, k óry pilno się rozglądał dokoła, był dostrzegł — miał gotowe tłumaczenie: chciał udać uśpionego w zaroślach.

Szczęściem nie domyślano się nawet, aby w lesie, pustym zupełnie, mogła się żywa dusza znajdować.

— Cieszy mnie niewymownie — począł po przywitaniu Commendoni, — iż uprzedzając wypadki, naradzić się możemy, zapobiegając klęskom, jakieby na to piękne państwo, będące przedmurzem chrześcijaństwa, spaść mogły, gdyby je zdać przyszło na niepewne losy w chwili rozstrojenia w umysłach i trwogi.

Król żyć nie będzie. Zwiążmy się uroczystą przysięgą, iż to, co tu między sobą ułożymy, pozostanie tajemnicą.

Chodkiewicz i Radziwiłł zamruczeli coś niewyraźnie, skłaniając głowy, kardynał rękę na piersiach położył i m wił dalej:

— W tej chw:li stanowiącej o przyszłości, od Litwy zależy los państwa całego. Nie ulega wątpliwości, iż Po!acy muszą wybrać królem tego, kogo wy obierzecie wielkim księciem. Tak zawsze bywało, tak będzie i teraz.

— Unia jest wprawdzie zawartą — odparł posępnie Chodkiewicz, — ale Litwa nie jest nią zaspokojoną. Oderwano nam należne ziemie... W przymierzu z Polską trwać chcemy, ale jej podlegać i przez nią pochłonięci być nie powinniśmy.

— Jeżeliś:ie odrębność waszą dotąd potrafili ocalić — przerwał kardynał — tembardziej ją ugruntujecie na przyszłość, jeżeli mnie posłuchacie. Zaręczy ją wam jeden z synów cesarskich, jeśli go wybierzecie.

Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zaprotestowali przeciwko temu, spojrzeli po sobie tylko, badając się wzajemnie i milczeli.

— Aby poprzeć elekcyę tę, siłę też zbrojną przygotować trzeba i nie zawadziłoby mieć ze dwadzieścia tysięcy jezdnych.

— To się zbierze łatwo!—zamruczał Radziwiłł.

— Ernest lub inny z synów cesarskich — dodał kardynał — może zaślubić pozostałą królewnę, aby swe prawa umocnił tym związkiem.

Chodkiewicz się namarszczył.

— Królewna praw żadnych już nie ma — odparł butnie. — Wszakże się dziedzictwa swego nad nami

król zrzekł, gdy Unię czynił, zatem i spadku po sobie nikomu nie może przekazać. Swobodni jesteśmy pana sobie wybra', jako chcemy.

Kardynał spojrzał na niego.

— Sądzę — rzekł łagodnie, — iż przywiązanie do dawnych panów, jeżeli nie u wszystkich, znajdzie się jeszcze u wielu na Li wie. Uczucie to szanowaćby naeżało i nie wyłączać go z rachuby.

Radziwiłł posępny nie ujął się za prawa królewnej myśl jego zdawała się gdzi.indziej wędrować.

— Ce arz — odezwał się — pewnie dla nas najlepszym będzie panem i obrońcą, ale w Polsce ma on wielu nieprzyjaciół.

Commendoni uśmiechnął się.

— Ci się nawrócą — rzekł, — nie obawiajcie się. Korzyści z wyboru członka cesar kiego domu są tak wielkie dla kraju, dla kościoła, dla całego świata, iż je wkońcu wszyscy uznać muszą.

— A jeśli Polacy się oprą wyborowi temu — przerwał Chodkiewicz — tem lepie'; zerwiemy Unią. Nie przyniosła ona nam korzyści żadnych, a straciliśmy na niej wiele.

— Nie mówcie tego, niech Bóg uchowa — począł łagodnie Commendoni. — Osłabłyby oba państwa, a że, jak mówicie sami, sporne są granice i posiadanie ziem niektórych, cóż gdyby do wojny pomiędzy niemi przyjść miało? Korzystaliby z tego nieprzyjaciele krzyża św., Turcy, i czyhający na posiadłości wasze carowie moskiewscy. Litwa, choćby coś poświęciła nawet dla Unii, nie tyle waży, utrzymując ją, ileby mogła stracić, zrywając.

Chodkiewicz nie nalegał, ale się nie zdawał być przekonanym, zamruczał tylko:

— Cesarz nam nasze odrębności, jakieśmy ocalili dotąd, poręczyć mus .

— I poręczy! I utrzyma — zawołał kardynał. — Właśnie dlatego wy pierwsi go wybierzecie, wam winien będzie tron i sprawom waszym da pie.wszeństwo.

— Musi nam przywrócić oderwane ziemie — dodał uparty Chodkiewicz.

— To sobie przy wyborze zawarujecie — wtrącił Commendoni.

— A starostwa i urzędy — ciągnął dalej Litwin — tylko urodzonym Litwinom ma rozdawać.

— Mogę was zapewnić, iż wszystkie te warunki przyjęte zostaną — począł prędko Commendoni, chwytając za rękę Chodkiewicza. — My tu nie o nich mówić mamy, ale potrzebujemy zgodzić się na wybór. Macie co przeciwko niemu?—dodał, zwracając się do Radziwiłła.

Milcząc powołany skłonił tylko głowę. Chodkiewicz nieuspokojony na'egał znowu na odrębność Litwy i wyswobodzenie się od Unii, na zwrot ziem i powiatów oderwanych.

Commendoni zwrócił rozmowę na więcej osobiste stosunki, zaręczając za cesarza, iż tym, którzy mu pierwsi utorują drogę do tronu, potrafi zawdzięczyć ich miłość i zaufanie i że najwyższe czekają ich dostojeństwa.

Ani Chodkiew cz, ani Radziwiłł nie zdawali się do tego przywiązywać wagi, a przynajmniej okazać jeden wobec drugiego, iż mogli osobiste widoki mieć na myśli.

— Litwa więc niech przoduje — dodał kardynał.— W Polsce mogą być zdania i głosy rozbite, wy za sobą rozprzężonych pociągniecie.

— Ernest, syn cesarski, jeżeli na niego padnie wybór — odezwał się nareszcie Radziwiłł, — powinien być w pogotowiu osobą swą, abyśmy go podnieśli na księstwo i ukoronowali. Zawczasu zbliżyć się musi ku granicom.

— Sądzę i ja, że nic nie zagraża mu, gdy się narodowi litewskiemu powierzy — dodał kardynał; — ani wahać się może.

Chodkiewicz potwierdził to. Nie było już sporu. Ani kardynał, ani żaden z przybyłych nie wspomniał o królewnie Annie, tak, jak gdyby wcale praw jej nie uznawali.

— Mam więc słowo wasze i mogę na nie rachować? — spytał, wpatrując się po kolei w obu, Commendoni. Radziwiłł spojrzał na Chodkiewicza, który już nie stawił oporu.

— Uczynimy, co w mocy naszej — rzekł Radziwiłł.

— A w mocy was dwu, miłościwi panowie — ciągnął dalej Commendoni — jest wszystko. Jeżeli zechcecie w tej sprawie być zgodni, kraj pójdzie za wami, oprzeć się nikt nie może. Dawnych sporów i nieporozumień zapomnieć należy.

Zapanowało milczenie.

— Nalegam na pośpiech — odezwał się raz jeszcze kardynał. — Potrzeba, ażeby Litwa Polskę wyprzedziła i dała jej dobry przykład, od tego wszystko zależy. Pierwsza ona okrzyknąwszy Ernesta, pozyska większe prawo do jego serca i wdzięczności. Młody jest i przez matkę świątobliwą wychowany, więc Kościołowi będzie podporą i wam opieką przeciw tym, coby rozdwoić chcieli pod pozorem wiary, gdy ona jest najlepszą i jedyną trwałą spójnią narodu.

— Cesarz zapewne kogoś nam przyśle od siebie — wtrącił Chodkiewicz, — abyśmy się porozumieć lepiej mogli.

— Tak sądzę i skłonię go do tego — odparł Commendoni. — Bogu więc niech będą dzięki, jeżeli król ocalonym być nie może, a zgon jego was osieroci, nie zostaniecie nieprzygotowani.

I kardynał z kolei Radziwiłła naprzód, potem Chodkiewicza ucałował, obejmując, obiecując im błogosławieństwo i modlitwy ojca świętego.

— Ufam — rzekł — znanej mi wierności domu cesarskiego dla stolicy apostolskiej; jednakże, jeśli nie dnia dzisiejszego, to dla przyszłości radziłbym wam, abyście od króla przyszłego wymogli przywrócenie tego wydartego kapitułom, a słusznie im należnego prawa, iżby z pomiędzy siebie biskupów wybierały. Monarchowie najświątobliwsi rządzą się, mianując ich od siebie, więcej tem, co im dogodne, niż co interesom Ko-

ścioła odpowiada. Bezpieczniej zawsze, gdy Kościół od państwa niezawisłym pozostanie, bo może po stronie praw narodu, w razie, gdyby zagrożone były, zająć przeważne stanowisko.

Mówiąc to, Commendoni spojrzał na obu z kolei. Radziwiłł się zgadzał i przyzwalał, Chodkiewicz pozos ał obojętny. Jedna tylko niezawisłość Litwy i odrębność jej od Polski mocniej go obchodziła.

Talwosz usłyszał raz jeszcze wymienione imię królewnej lecz w tej chwili kardynał razem z przeprowadzającymi go zwolna ku powozowi iść zaczął, a las w tem miejscu przerzedzony nie dozwalał pełznąć dalej niepostrzeżonemu.

Musiał więc pozostać w krzakach i widział tylko, jak się Litwini na pół drogi pożegnali z kardynałem i jak on prędkim krokiem napowrót do karety swej podążał. Chodkiewicz i Radziwiłł, mało co mówiąc do siebie, zwo!na poczęli iść do swych koni.

Chociaż rozmowę nie całą może podchwycił Litwin i nie mógł zapamiętać jej szczegółów, smutnie go to w niej uderzyło, iż Chodkiewicz wszelkich praw królewnie zaprzeczał, a Radziwiłł się też za nią nie ujmował. Kardynał zaś o warunku zaślubienia jej przez przyszłego króla nie wspomniał prawie potem i nie nalegał wcale

Niepłonne więc były obawy, iż się tu coś knuło, co biednej Annie zagrażało.

Niedługo czekając teraz na odejście Chodkiewicza i Radziwiłła, Talwosz, który się już nie lękał być postrzeżonym jako żebrak, wstał z ziemi i napowrót poszedł ku łódce, którą zostawił u brzegu. Powiodło mu się szczęśliwie, ale to, co posłyszał, wielce pocieszającem nie było.

Utkwiło w nim boleśnie, co z taką mocą przekonania wygłosił Chodkiewicz, iż królewna wcale żadnych praw nie ma i do żadnego spadku przypuszczona nie będzie. Zdało mu się to zuchwałem, niemożliwem, chociaż Chodkiewicz pewnie mówił to nie z siebie, ale wiedząc o usposobieniu znacznej części kraju. Nie potakiwał

mu Radziwiłł, lecz się też nie sprzeciwiał i za królewną nie ujął.

Zaczynało zmierzchać, gdy zsunąwszy się z brzegu Talwosz dopadł łódki swej szczęśliwie, znalazł ją na miejscu i siadł, aby nią powrócić do zamku. Ciężej mu teraz przychodziło, przeciwko dość silnemu prądowi rzeki wiosłować i dla pośpiechu trzymać się musiał brzegów, a wiosła do popychania używać. Dobrze się tem umęczył i kawał czasu upłynęło, nim wreszcie dzwony na pacierze odzywające się posłyszał i przybił w miejscu, skąd niepostrzeżony mógł się dostać do zamku.

Bobola, towarzysz jego, właśnie był z miasta powrócił i próbował ogień rozpalić dla odświeżenia powietrza, gdy Talwosz w tych łachmanach, w których się stąd wykradł, wpadł do izby.

— A toż co się z tobą stało! — krzyknął zdziwiony koniuszy.

— Ani pytaj, ani mów o tem — odparł Talwosz.— Masz wiedzieć, żem się musiał przebrać, ale poco i na co, tego ci powiedzieć nie mogę.

Bob la poruszył głową.

— Doigrasz ty się—rzekł krótko.

W jednej chwili Litwin żwawo łachmanów się pozbył, twarz i ręce obmył, suknię codzienną wdział i biegł, bo mu było pilno zdać sprawę z wycieczki przed Dosią.

Ta oczekiwała na niego niespokojna, chodząc po podwórku. Zobaczywszy go, choć zawsze starała mu się obojętną pokazać, tym razem pośpieszyła na spotkanie.

Talwosz w krótkich i prostych słowach wszystko jej opowiedział. Rozumne dziewczę słuchało chciwie.

— Niema co z tem do królewnej śpieszyć — rzekła; — dobrze wiedzieć, co kardynał knuje, chociaż to rzecz nie nowa. Na teraz i rady niema. Pan Bóg wam za poczciwe serce zapłaci — dodała. — Nowina za nowinę... ja też powiem wam, że oboźny Karwicki wymógł nareszcie na królu, iż jutro siostrę przyjmie. Królewna rada temu i płacze. Pojutrze, jeżeli się królowi nie pogorszy, wywieźć go stąd mają, może jutro nawet.

— A my?—zapytał Talwosz.

— Zdaje się, że pozostaniemy na zamku; nikt o nas nie myśli, królewna się powietrza nie obawia, a choć ono w pobliżu już jest, w mieście go niema dotąd. Łacniej nam tu i żyć, i ludzi znaleźć, i radę sobie dać, choćbyśmy tylko starostę Wolskiego mieli. Za królem jechać nam nie dadzą, bo teraz więcej, niż kiedy, nie chcą dopuścić, aby kto wglądał, jak umierającego odzierać będą.

Talwosz słuchał, nie przerywając, a korzystał z tej chwili, aby oczyma jeść piękną Dosię, która zwykle nawet mu na siebie patrzeć niebardzo pozwalała. Westchnął boleśnie.

— Królewnę Wolski dziś trochę rozerwał — dodała Zagłobianka, — bo jej przywiózł karła, szlachcica polskiego, który długi czas przebył na francuskim dworze i o nim wiele opowiadał. Zajął tem naszą panią. Bogu dzięki, dawnom jej nie widziała tak ożywioną, tak zaciekawioną i zajętą, jak dziś powieścią karła tego. Żalińska i to jej ma za złe, a nieustannie ją fuka i gderze.

Nie dokończyła.

— Gdyby tak mnie spytano — zamruczał Talwosz. — jabym dawno tę jędzę i sekutnicę wyprawił stąd na cztery wiatry.

— Tsyt! — odparła, oglądając się Zagłobianka — królewna ją znosi, kocha nawet, choć ona srodze jej dokucza. Musimy i my znosić.

— Ale ona wszystkim już kością w gardle.

Uśmiechnęło się dziewczę i głową skinąwszy Talwoszowi, natychmiast do królewnej powróciło.

Litwin siadł na ławce przy drzwiach i rozważał, co czynić.

Czy o królewnie myślał, czy o Dosi, trudno było poznać — brwi mu się ściągały, ręce wyprężały i opadały, dumał tak, nawet o wieczerzy zapomniawszy, gdy wyrostek od pana Konieckiego, ochmistrza królewnej, a raczej miejsce jego zastępującego, bo Anna dawno go

już nie miała, przybiegł przypomnieć, że misy były na stole, a z jedzeniem nie czekano na nikogo. Talwosz powlókł się za nim.

Krajczy i podczaszy napróżno zabiegając, aby królewnej do brata nie przypuścić, gdy się to niemożliwem okazało, ściągnęli spotkanie się rodzeństwa do ostatniego dnia przed wyjazdem Augusta z Warszawy, i postarali się o to, aby jak najkrócej trwało.

Gdy oboźny Karwicki przypomniał ten obowiązek królowi i nastawał na przyjęcie Anny, król naznaczył dzień, zgodził się bez trudności i nie okazał już najmniejszego żalu i niechęci. Czuł w tych ostatnich życia swego godzinach, że wina nieporozumienia nie ciążyła na królewnie, ale na nim samym.

Spowodowało je słuszne oburzenie Anny, gdy podstępem wykradziono z jej dworu Hannę Zajączkowską dla Augusta. Krajczy i podczaszy starali się gniew siostry odmalować w takich barwach, że króla rozjątrzyli do najwyższego stopnia. Zapobiegali potem, korzystając z tego, aby pojednania nie dopuścić, nosili plotki, oczerniali Annę i gdyby nie staranie Karwickiego i Żalińskich, możeby do zgody nigdy nie przyszło.

Zapowiedziane przybycie królewnej, której miał towarzyszyć ochmistrz jej tymczasowy, Koniecki i Żalińska, wygnało obu ulubieńców królewskich, nie śmiejących się pokazać Annie. Musieli się skryć, równie, jak czynniejsi ich pomocnicy.

Na to posłuchanie naznaczona była godzina ranna; zapowiedziano zawczasu, że króla chorego długo siostra nie mogła zatrzymywać i żadnemi go skargami trapić. Doktór Fogelweder sam jeden miał być świadkiem spotkania, bo Karwicki chciał pozostać u drzwi, których niepoczciwy, rozpustny łotrzyk Kniaźnik pilnował.

Z łoża wstać król ani mógł, ani myślał; okryto go jedwabnym płaszczykiem i pozostał leżący z nogami przykrytemi.

— Zaprawdę była to dla obojga uroczysta godzina; wiedziała królewna Anna, że brata pewnie już nie ujrzy żywym, że go miała pożegnać na wieki. I on też żyć się nie spodziewał, a czuł się względem siostry winnym. Jedno to, że był sam wielce nieszczęśliwym, powinno mu było wyjednać przebaczenie.

Od czasu, jak się z Anną nie widzieli, zmiana w twarzy Augusta była niezmiernie wielka, straszna i znacząca. Wychudzenie, żółtość, wzrok zaostrzony chwilami i nagle ospały i znużony, mowa niezrozumiała, głos stłumiony, oddech głośny i ciężki czyniły go na wejrzenie przerażająco znędzniałym i jakby dogorywającym. Chwilami opanowywała go jakby gorączka i rozdrażnienie, częściej jednak wpadał w rodzaj ospałej apatyi, w odrętwienie zobojętnienia na wszystko.

Gdy godzina, w której królewna nadejść miała zbliżyła się, łatwo ją poznać mógł król, bo ci, co zwykle łoża jego nie odstępowali, znikli nagle, pozostał Fogelweder; w komnacie było pusto, w pokojach sąsiednich cicho.

Szelest szat i chód powolny zwróciły wejrzenie chorego na drzwi; podźwignął się trochę niespokojny.

Szepty dały się słyszeć w progu, drzwi otwarto powoli, Karwicki wpuszczał czarno ubraną, chwiejącym postępującą krokiem zmieszaną, bladą królewnę Annę. Za nią szła Żalińska, która się zatrzymała u progu.

Wzruszenie przybyłej było tak wielkie, iż łzami wybuchnąć musiało, ale cichemi; przycisnęła do ust chusteczkę, skłoniła głowę i nieśmiało, nie mówiąc słowa, pokornie podstąpiła do łoża królewskiego.

Widok brata, na którego licu już śmierć wycisnęła swe piętno, rozbroił zażaloną i zbolałą.

Czemże były jej osobiste cierpienia wobec tego umierającego, a zrozpaczonego ostatniego z rodu, który schodził sam, bez rodziny, wyniszczony rozpaczą, znękany życiem, bez żadnej, najmniejszej pociechy?

August dobył z pod przykrycia bladą rękę drżącą i wyciągnął ku siostrze, która chwyciła ją i pocałowała z uczuciem.

Dopiero teraz wejrzenia się ich spotkały. Król spoglądał na siostrę bez gniewu, łagodnie, spokojnie, jak gdyby

wszystko przeszłe w niepamięć poszło. Szeptał, lecz nic usłyszeć nie mogła.

Anna chciała coś powiedzieć, ale słów jej zabrakło, tchu nie miała. Po przestanku dopiero, widząc go tak cierpiącym, a w nim razem króla, ojca i brata, głowę rodziny czcząc, odezwała się pokornie:

— Jeżelim w czem pobłądziła, a była przyczyną w. k. mości żalu jakiegoś, raczcie mi to przebaczyć, złej woli nie miałam i źli ludzie chyba przypisać mi ją mogli.

Król, obawiając się zapewne, aby rozmowa dłuższa w tym przedmiocie do wzajemnych wyrzutów nie była powodem, przerwał żywo:

— Wzajem sobie przebaczyć należy. Przekonasz się z testamentu, który ci oddaję, żem o tobie pamiętał i nie dozwolił, aby cię rodzeństwo pokrzywdziło. Zdrowa mi bywaj!

Głos słabnął, rękę wyciągnął znowu; rozpłakała się Anna.

Wtem August dał znak Fogelwederowi, który się domyślił o co chodziło, i podał leżący na stole testament dla oddania go królewnie.

Jakby spełniwszy ten obowiązek, pilno mu było rozstać się z Anną, raz jeszcze pożegnał ją król, ucałowała rękę jego i zachodząc się z płaczu, z zakrytemi oczyma wyszła, podtrzymywana przez Żalińską, która zaraz za próg wyszedłszy strofować po swojemu i fukać zaczęła.

Ale biedna królewna nie słyszała nic i nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Wyjazd królewski zapowiedziany był na dzień następny; tymczasem, po pożegnaniu, przestraszeni panowie krajczy i podczaszy, lękając się zbliżenia większego i wnosząc, że serce brata dla siostry obudziło się, natychmiast po oddaleniu się Anny, wbiegli dowodząc, że i z dnia pogodnego i z polepszenia małego na zdrowiu króla należało korzystać. Mieli za sobą doktora Rupperta i całą gromadę służalców.

Ani oboźny Karwicki, ani nikt się im nie mógł oprzeć; król słuchał ich, poddając się biernie, nie sprzeciwiając w niczem.

Umyślnie już od dni kilku przygotowany wóz ogromny zatoczono pod same drzwi zamkowe. Gawiedź mogła się zbiedz oglądać wcale niezwykłą i niewidzianą kolebkę, która dla króla zbudowaną została. Rozmiary jej, olbrzymie koła, grube osie, nakrycie na słupkach zawieszone, opona szkarłatna, stopnie dla pacholąt, które stojąc na nich, króla strzedz i na zawołanie mu być miały; ośmiokonny cug koni grubych i silnych, przygotowanych do ciągnienia tej arki, wszystko to wistocie tłum ciekawych sprowadziło.

Ponieważ krajczy i podczaszy władali tu wszystkiem, na znak przez nich dany czarodziejsko zaraz napełniły się podwórca ludem konnym, służbą, czeladzią, wozami.

Pilno im było wywieźć Zygmunta Augusta, ażeby go od siostry odłączyć i wpływowi jej zapobiedz.

Pomimo łagodności jej, bezbronności, upokorzenia, potwarcze głosy czyniły Annę straszną, przepowiadały w niej drugą Bonę.

Sam ks. Krasiński nawet, potakując królowi i Mnichom, wszystkich od królewnej odstręczał, ostrzegał, aby się do niej nie zbliżano.

Anna szła, płacząc, do swoich pokojów na zamku, nic nie wiedząc o nagłem postanowieniu wyjazdu: pochlebiała sobie nawet może, iż pierwsze lody przełamawszy, brata pozyskać potrafi.

Otaczający ją szczupły dwór winszował, cieszył się, prorokował zgodę, i ani się domyślano, że w tej chwili już Mniszchowie wóz kazali zatoczyć, czeladzi na koń siadać, a króla skłonili do wyjazdu nagłego.

Przyśpieszono tak wszelkie do niego przygotowania, iż w niespełna kilka godzin służba na ramionach niosła schorzałego pana do zaprzężonego wozu już przy którego koniach stali pachołkowie, każdy swojego za uzdę trzymając. Z trudem niemałym przyszło łoże na wozie tak ustawić, aby za każdem poruszeniem jego nie drgało i nie przechylało się.

Świeże powietrze, którem August odwykł był oddychać, drażniło mu piersi, sam ten wyjazd z takiemi przybory czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział, że tu już nie powróci. Blady, oczyma błędnemi rzucał dokoła, jakby

szukając ratunku i Fogelweder na krok go nie mógł odstąpić.

Krajczy, podczaszy, najulubieńsze sługi, Kniaźnik, Konarski skarbnik, chirurg Łukasz, Maciej Żaliński, dozorca łoża, otaczali wóz, czepiając się dokoła.

Podwórze przedstawiało widok niezwykły a smutny, pośpiech sprowadzał nieład, ludzie się rozbijali, pędzili, wołali, odpychano cisnące się tłumy, zasłaniano leżącego króla, a Mniszchowie naglili, aby co prędzej ruszać z miejsca.

Woźnice, pachołkowie, paziowie, ustawiali się niespokojni.

Na dany znak wszystkie osiem koni ruszyło z miejsca i ciężki wóz zaskrzypiał, lecz jakby na *omen* nieszczęsny jeden z woźników na kolana padł i dźwignąć go nie było można. Wóz z łożem stanął.

Koniuszowie biegali, klnąc na służbę, król dopytywał niespokojnie, co się stało. Ćwierć godziny potrzeba było nim znowu koniom dano znak i powolnie, jak z marami żałobnemi ruszył naostatek zaprząg ku bramie.

Słudzy tak szczelnie zewsząd poopinali firanki i trzymali je przy drążkach, iż nikt ani posłania, ni leżącego na niem króla dostrzedz nie mógł.

Daleko pewnie dnia tego nie myśleli Mniszchowie wywieźć króla, szło im tylko o to, aby Warszawę opuścił. Tłumaczyli się troskliwością o pana z powodu zbliżającego się powietrza, gdy wistocie szło im o skutki pojednania z siostrą, której się zbyt dali we znaki, aby się jej zemsty nie obawiali.

Królewna cieszyła się jeszcze tą oznaką dobrego serca, jaką jej brat dał, jeszcze rozmawiała o nim, bolejąc nad zdrowiem, a obiecywała sobie, iż nazajutrz przypuszczona, zdoła odzyskać odebrane zaufanie, gdy Talwosz wpadł do komnaty.

— Króla wywożą!—zawołał.

Zerwali się wszyscy.

— Nie może być—odparła królewna, —miał jechać jutro dopiero? Wozu może próbują?

— Tak jest, jak mówię!—potwierdził żywo Litwin.

Patrzałem na to, jak łóżko z nim zniesiono i na wóz składano.

Osłupiała królewna, ręce łamiąc. Jak stała z Żalińską razem wybiegła ku wrotom, z drugiego podwórza wychodzącym na pierwsze, skąd widać było wszystko, co się na niem działo.

Panował tu nieład i zamieszanie, służba królewska wyciągała, wozu już widać nie było.

Przechodzący dworzanin, spytany potwierdził, iż króla właśnie już wywieziono.

Jakkolwiek pośpiech ten był niespodziewany, wyjazd nagły, Żalińska na swój sposób tłumaczyła, nic nie widząc nadzwyczajnego, nic tak bardzo dla Anny niepomyślnego.

Nawpół zdrętwiała powróciła królewna do izb swoich, rozmyślając, co teraz pocznie.

Chociaż król pogodził się i oddał testament, choć ustał gniew i poróżnienie, położenie się w niczem nie zmieniło. Nie wiadomo było, czy August pomyślał o tem, aby siostrze opatrzyć przyzwoite jej stanowi utrzymanie. Brakło pieniędzy, rozkazów opieki nad nią.

Panowie, którzy pomocni jej w tem być mogli, razem z królem wyruszyli z Warszawy; wszystko co żyło, miało się dla zbliżającego powietrza i dla opustoszenia zamku rozproszyć.

Anna zostawała zupełną sierotą na łasce warszawskiego starosty, który niewiele mógł i miał prawo uczynić dla niej.

Rozpłakała się więc znowu, a nieznośna Żalińska, gdy ona buchnęła łzami, raz m buchła wyrzutami i narzekaniem, że Annie nigdy niczego dosyć nie było, że sobie worzyła troski, aby je modz opłakiwać.

Anna była tak do tych strofowań nawykłą, że mało one na niej czyniły wrażenia, co jeszcze bardziej jątrzyło i niecierpliwiło Żalińską.

W takich razach jedna Dosia Zagłobianka poradzić coś mogła, uprowadzając królewnę do jej sypialni, a starając się Żalińską oddalić. Pośredniczyła ona łagodziła, jednała, a gdy inaczej nie umiała gniewy i fukania ochmi-

strzyni odciągała albo na siebie, lub na kogoś, co je obojętniej mógł znosić.

Wyjazd nagły króla, natychmiast po widzeniu się z siostrą, którego znaczenie rozumieli dworscy i przyjaciele Anny, wywołał powszechne obu zenie.

Jeżeli powietrze od Okuniewa idące, spodziewane lada dzień wybuchnąć tu miało, potrzeba było i królewnie uciekać. Dokąd? o czem? o to się nikt ni troszczył.

Talwosz pobiegł na zwiady, czy nie było jakich rozporządzeń lub rozkazów, tyczących się królewnej? Nikt o tem nie wiedział, nigdzie się nią nie zajmowano.

Mniszchowie i ks. biskup Krasiński nie zapobiegli wprawdzie testament wi na korzyś Anny, ale potrafili tymczasem uczynić ją sierotą bezbronną i na łasce narodu, który w tej chwili więcej myślał o własnem zagrażając m mu osier ceniu, niż o losie królewnej.

W mieście, po któr m się rozeszła błyskawicą wieść o wywiezieniu chorego króla, uczyniła ona wrażenie przerażające. Mówiono sobie, że ta ucieczka zwiastowała mór nadchodzący, więc kto mógł, chciał się także wynosić.

Z gospody pod „Białym koniem" widziano ogromny wóz, wyciągający Krakowską bramą. Ba win k załamał ręce, bo dla niego to zwiastowało też wprędce pustki.

Niemeczkowski stał właśnie we wrotach, gdy z zamku ruszać poczęto; domyślił się co to znaczyło i zapowiedział, że on też rusza stąd.

Starosta Wolski, który dopiero nazajutrz spodziewał się wyjazdu, gdy się o nim dowiedział, siadł na koń, aby króla dognać i pożegnać, ale Fogelweder go nie dopuścił, utrzymując, że kołysanie wozu uśpiło chorego.

Zwrócił się więc na zamek, aby się o królewnie dowiedzieć i przybył w sam czas, aby ją pocieszyć.

Uradowała się, gdy jej oznajmiono o nim i wyszła natychmiast zapłakana.

— Panie starosto—zawołała,—godzin temu parę zaledwie, gdym miała to szczęście zbliżyć się do króla. Dla łez i wzruszenia parę tylko łów przemówić mogliśmy do siebie, spodziewałam się widzieć go ju ro... porwano go i uwieziono.

— A miłość wasza, co myślicie czynić?—spytał Wolski.

— Ja czekałam woli i rozkazów króla—odpała Anna. Nie wiem, co poczne, nie mogę się dowiedzieć, czy wydał jakie rozporządzenia. Przy pomocy Bożej powietrza się nie lękam, siedzieć będę dopóki od brata nie otrzymam wiadomości, co chce, abym z sobą postanowiła.

— Ja także—odezwał się starosta—goniłem próżno za wozem pańskim, chcąc mu się pokłonić. Nie dopuszczono mnie pod pozorem, iż usnął w drodze.

— Jam teraz na opiece waszej—dodała smutnie Anna.—Dzięki choć za to Bogu, że odjechał, nie mając żalu do mnie, żem mogła przebłagać go za nie moją winę. Dziś zrana dał mi krótkie posłuchanie. Dłuższemby ono stało się może, ale czyhano na nie o, aby mu się poczciwe, serce braterskie otworzyć nie mogło.

Królewna zapłakała.

— Miłościwa pani—odezwał się Wolski—łzy tu nie pomogą, męstwa potrzeba i wielkiego serca, bo nie daj Bóg, przyjdzie chwila, gdy na wasze miłości męztwie losy narodu spoczywać będą. Cud stać się może i zdrowie powróci; lecz tak, jak dziś jest król, doktorowie nie obiecują mu dni długich. W przewidywaniu nieszczęścia tego w całym kraju niepokój się szerzy i trwoga. Król żyw, a już biegają posły i szpiegi obcych panów, jednając im przyjaciół. Cesarz Maksymiljan zdaje się ze wszystkich najczynniejszym dotąd, a że ma po sobie kardynała, który stanie za wielu, bodaj abyśmy w rakuską niewolę się nie popadli.

Królewna słuchała ciekawie, łzy ocierając.

— Wasza to rzecz—odezwała się—zapobiedz wcześnie, aby się wam krzywda nie stała.

— A razem i miłości waszej—dorzucił Wolski.—Ja do cesarskich nie należę, a wołałbym, abyśmy francuskiego księcia, którego karzeł zaleca, dostać mogli.

Zarumieniła się królewna Anna, ale Wolski nie mógł dostrzedz zmiany na jej twarzy, bo łzy jeszcze ciągle ocierała.

— Krassowski tak samo, jak tu—dodał Wolski—w Krakowie panom Zborowskim opowiadał o księciu Ande-

gaweńskim i zaręcza, że bardzo wzięli do serca jego kandydaturę do korony.

— Wszystko to zawczesne—szepnęła Anna.

— Miłościwy pan nasz, gdyby mu nawet Bóg życia przedłużyć raczył—pochwycił Wolski,—zawszeby sam, bezdzietnym będąc, powinien myśleć o wyborze następcy, przyczem i waszej miłości los przyszły mógł i powinien był zabezpieczyć.

— A! mój starosto—tesknо i smutnie odezwała się królewna—mój los dla wszystkich ostatnią będzie rzeczą, o której pomyślą. Jam skazana na sieroctwo bez opieki.

Nie sprzeciwił się Wolski.

— Jeżeli miłość wasza zechcesz dla samego tylko dostojeństwa krwi swej o prawa się upominać i zamiast łez okazać energię i wytrwanie,—ja mam lepsze przeczucia. Po tych dniach smutnych Bóg i nam i miłości waszej nagrodzi jaśniejszemi.

Nie śmiała królewna wspomnieć staroście o pozostawionych u niej wizerunkach królewskiej rodziny, ani o Krassowskim, którego sobie widzieć jeszcze życzyła, lecz sam Wolski napomknął zaraz, jak miłe miał towarzytwo z karła, który przybywał w domu jego, zapytując królewnę, czyby mu dozwoliła raz jeszcze pokłonić się sobie.

Półsłówkiem godziła się na to Anna, zapytując, co dalej z sobą myśli poczynać ów gość: zostanie-li w Polsce, czy nazad do Francyi się wybiera.

— Nie wiem—rzekł starosta,—ale mi się zdaje, że odwiedziwszy na Podlasiu rodzinę, wróci naprzód do panów Zborowskich, którzy go sobie bardzo upodobali, a ci pono tak biorą do serca Henryka, na przekorę tym, którzy się już dziś z cesarzem noszą, iż gotowi Krassowskiego użyć za narzędzie.

Nowy rumieniec okrył twarz Anny, która nic nie odpowiedziała.

Wolski wkrótce ją pożegnał, ale zaraz nazajutrz z południa zjawił się tu znowu, Krassowskiego przywożąc z sobą.

Karzeł, jakby chciał okazać, iż przejął obyczaje dworu francuskiego, ustroił się jeszcze staranniej, niż pierw-

szym razem i było mu dziwnie do twarzy w tych sukniach tak szytych, przyozdobionych, wykwintnych, jakby najwybredniejszej niewieście przeznaczone były.

Od sukni i płaszczyka począwszy, aż do kapelusza i łańcucha wszystko znowu było inne, nowe i dobrane, aby piękną stanowiło całość.

Śmielszy teraz, wesół, Krassowski opowiadał o zabawach wykwintnych dworu, o pałacach, rezydencyach królewskich, o przepychu królowej, i o jej rozumie wielkim i nadzwyczajnej przebiegłości.

Mało co o królu Karolu mówiąc, przeszedł zaraz do księcia Andegaweńskiego, wielkiego ulubieńca matki, który rozum i talenta jej miał odziedziczyć... a być bardzo mogło, że i tron francuski później mógł spaść na niego.

Królewna słuchała z zajęciem, chociaż ani pytać, ani okazywać nie śmiała, że ją to żywo obchodziło.

Bolało ją wielce, że słuchając o przepychu, o wykwintności dworu, do którego karzeł był przywykłym, sama tak ubogo i skromnie, sieroco go przyjmowała. Rzuciła więc o tem słówko, jako ona i brat w podróży byli, a z powodu słabości króla wszystko się rozprzęgało.

Krassowski, któremu na osnowie do opowiadań o dworze, najgłówniejszych osobach, otaczających króla młodego i królowę matkę, nie zbywało, gwarząc o różnych przygodach, o zabawach i zajęciach, kilka godzin zajmował królewnę, a musiał ją w istocie zainteresować, gdy żegnającemu się zapomniała oddać pozostawionych wizerunków.

Przypomniała sobie je za późno, gdy już starosta z Krassowskim do kolebki wsiedli, a posyłać je za nimi wstydziła się. Tak więc zostały przy niej jeszcze... i biedna królewna uradowała się w duszy, że mogła lepiej się przypatrzeć tej nadziei swej, której wstydziła się, ale wyrzec nie chciała.

Wszystko się tak jakoś składało, jak gdyby Opatrzność ulitowawszy się nad nią, miała za długie dni łez i tęsknoty, za opuszczenie i sieroctwo, niespodzianie świetnym nagrodzić losem.

Serce jej biło na tę myśl, że i ona mogła mieć rodzinę, męża, dziecię.... własną wolę i moc czynienia dobrze ludziom

gdy teraz skrępowana, nawet litościwą być nie miała z czego.

To imię Henryka powtarzało się jej ciągle, obraz młodzieńczego narzeczonego przesuwał się przed jej oczyma. Wprawdzie Ernest rakuski był także młodym, był synem cesarskim, ale jakiś wstręt i obawę czuła dla tego domu, z którym połączenie nigdy szczęścia Polsce nie przyniosło. Augustowi jedna z arcyksiężniczek żałobę z sobą dała, druga męczarnię długą i rozpaczliwe lata walki.

Oczy królewnej zwracały się ku Francyi i nadzieja wstępowała w serce.

Nigdy może żadna niewieścia gałązka wielkiego panującego domu nie znalazła się w takiem położeniu, w jakiem królewnę Annę co chwila spodziewany zgon brata miał postawić.

Z licznego rodzeństwa, wszystko co żyło rozproszone było i rozbite. August konał zobojętniały już na wszystko w świecie, schodząc bezpotomnie ostatnim z rodu.

Królowa szwedzka, przecierpiawszy wiele i strasznie, całkiem teraz była oddaną rodzinie swej i krajowi, nad którym panował jej mąż. Pomiędzy nią a Anną trwały stosunki, biegały listy, ale dowodów miłości wielkiej Katarzyna nie dawała, więcej żądając od Anny, niż przynosząc jej, troszcząc się głównie o spadek po matce i po bracie.

Sprawy tego spadku stanowiły najsilniejszy węzeł, który królowę Katarzynę łączył z Polską i z siostrą. Czułości, serca, współczucia nie było w listach.

Anna napróżno swojemi pokornemi, posłusznemi starała się w siostrze obudzić uczucie, którem jej serce było przejęte.

Jan III, mąż Katarzyny, wiedząc o tem, że Augusta lekarze na śmierć skazywali, sam już myślał o tronie polskim, o połączeniu dwóch państw. Miał młodziuchnego syna Zygmunta, któremu też, jeżeli nie sobie, rad był koronę zapewnić.

A Anna, Anna już naówczas gotową była dla szwa-

gra i siostrzeńca, którego jak własne dziecię kochała, wyrzec się marzeń swoich i praw swoich. O tem dziecku siostry, przyswajając je za własne, pisała, dowiadywała się, chciała mu być matką. Serce jej domagało się kogoś, aby kochać i poświęcić się mogło.

Z księżną brunświcką, drugą siostrą stosunki były ściślejsze jeszcze, serdeczniejsze ze strony Anny i nacechowane taką pokorą, poddaniem się, posłuszeństwem, ofiarnością, jak gdyby Zofia odpłacała to uczucie. Tymczasem brunświcka księżna obchodziła się w listach swych, do Anny pisywanych, dosyć szorstko z nią, nadużywała powagi, wymagała, rozkazywała, rzadko słowem uprzejmem wywzajemniała się Annie, która padała przed nią.

Więcej mogąca, mająca, swobodniejsza księżna brunświcka, rzadko w czemś pomagała Annie, najczęściej od niej wymagała ofiar, przysług, poświęceń i krzywiła się, gdy rozkazom jej natychmiast nie uczyniła zadość.

Ze strony królewnej szły dary za darami, wszelkiego rodzaju posługi, a od księżnej z trudnością w najcięższych godzinach mogła małą jakąś wyprosić pożyczkę.

Zofia obchodziła się z nią, jak mentorka, nauczycielka, przybierając tony protektorskie. Lecz z dwu ich, królowej szwedzkiej i księżnej brunświckiej jeszcze ostatnia dla Anny była serdeczniejszą, więcej siostrą.

Widzieliśmy jaki smutny skutek sprowadziły intrygi dworskie, dzieląc Zygmunta Augusta od siostry. Ona mu nie mogła przebaczyć tego, że na jednym dziedzińcu, pod jednym dachem musiała mieszkać z Giżanką i jej „szczenięciem" z bezwstydną Orłowską; czarownicą, z innemi babami, że z pod jej ręki porwano Zajączkowską, swatając królowi za małżonkę.

Mniszchowie malowali niechęć Anny i żal do brata w takich barwach, że serce jego odwrócili od niej. Dopiero w chwili pisania testamentu, chociaż biskup Krasiński, pochlebiając Augustowi także był przeciw Annie, sumienie tknęło króla i nie ukrzywdził jej, ale jak należało, uczynił dziedziczką znaczniejszej części swojego spadku.

Najlepszy to był dowód, że schorowany król ulegał

zausznikom, ale czuł swe obowiązki i na łożu śmiertelnem chciał krzywdę wyrządzoną nagrodzić.

Pomiędzy znakomitszymi panami, którzy w chwili tej przy królu i królestwie główniejsze zajmowali stanowiska, królewna nie miała prawie nikogo, na któregoby rachować mogła. W Małej Polsce wcale się nie zajmowano i nie myślano o niej, a na Litwie zawczasu zaprzeczano wszelkich praw nietylko do dziedzictwa kraju, ale nawet do spadku po panującym.

Ks. podkanclerzy Krasiński, niby wtórując królowi, a w rzeczy pobłażając Mniszchom, głośno mówił, że kto chce mieć łaskę u pana, nie powinien był ani bywać u królewnej, ani z nią stosunków zachować.

Z możniejszych i znaczniejszych, jako przyjaciel opiekun, jako wierny sługa Jagiellonów, zatem i Anny, a szczególniej księżnej brunświckiej, występował Sędziwój Czarnkowski referendarz, postać charakterystyczna swojego czasu, dwuznaczna, dwulicowa, wcale inna wistocie, niż się na oko okazywała.

Przywiązanie jego do Jagiellonów i Jagiellonek było pokrywką oddania się zupełnego, zaprzedania cesarzowi Maksymiljanowi, którego sprawę Czarnkowski nader zręcznie popierał, ale czynił to tak potajemnie, aby popularności nie postradał i nie naraził się nikomu.

Dla Czarnkowskiego losy własnego kraju, a tem mniej Anny, nie były rzeczą pierwszą i główną; interes cesarza brał górę. Udawał wylanego dla Anny, dlatego tylko aby pomagając jej, miał na nią oko i nie dał uczynić nic przeciwnego interesom Maksymiliana. Czego nie mógł sam dokazać, to starał się przez księżnę brunświcką z którą był w ścisłych stosunkach, wymódz na Annie.

Przy królu Czarnkowski do ostatniej godziny tak umiał chodzić, iż ani Mniszchowie, ani Krasiński się go nie obawiali i nie znajdowali niebezpiecznym. Służył, przewoził pieniądze, nie sprzeciwiał się, a nawet Anny nie bronił, aby się nie dać w podejrzenie.

Zręczny, chytry, przebiegły, myślący tylko o sobie, Czarnkowski się spodziewał z wybraniem rakuskiego księcia wypłynąć na wierzch i dojść do najwyższych dosto-

jeństw. Nikt nie mógł się domyślać jego podziemnych chodów, zabiegów, rachub i sieci intryg, jaką oplątywał królewnę.

Anna jego zaręczeniom i przysięgom, gorącym zapewnieniem miłości dla rodziny, wierzyła najmocniej, nie posądzając go nawet o to, co knował, gdy referendarz i ją i jej los gotów był bez skrupułu poświęcić cesarzowi.

Z możnych panów i urzędników wyższych nie miała królewna nikogo więcej. Najlepszego serca, ale zbolała, smutna, wyrzekająca, często zamknięta w sobie, nie wiedzieć czem wyrobiła sobie zawczasu opinię kobiety, która zdaniem wielu, „mogła być drugą Boną!"

Nieprzyjaciele jej posługiwali się tem wyrażeniem groźnem, zapowiadając w niej chytrą intrygantkę, która wszelkiemi środkami mogła się dobijać władzy. Potwarz ta nie miała najmniejszej podstawy, ale raz rzucone słowo, gdy z ust do ust pójdzie między ludzi, ma siłę dziwną.

Najłagodniejsza z Jagiellonek, która dotąd energii i charakteru nie miała zręczności okazać, uchodzić zaczęła „za drugą Bonę". Tego dosyć było, aby od niej odstręczyć. Losem zresztą sieroty nie zajmował się nikt.

Można było przewidzieć, że ją ludzie mogli użyć za narzędzie w swych rachubach, ale dla niej samej nikt nic czynić nie myślał. Przywiązanie do dynastyi nie było tak silne, aby dla niego najmniejszą chciano uczynić ofiarę.

Tak Anna była ostatecznie skazaną na niewielkiego znaczenia sługi swoje, kilku życzliwych, którzy żadnego wpływu nie mieli.

Poczciwy oboźny Karwicki sprzyjał jej przez dobre serce i litość. Rotmistrz Bieliński, jako wierny sługa rodziny, z rycerską gotowością stawania w obronie uciśnionej. Jeden i drugi przecież niewiele mogli, wpływ ich był tak, jak żaden; Karwicki wyrobił ostatnie posłuchanie, Bieliński miał później stać na straży spadku po królu, dla zachowania go królewnie.

Do tych dwu doliczyć trzeba równie, jak oni wiernego królewskiej rodzinie Rylskiego, którym się posługiwała to szwedzka królowa, to księżna brunświcka, to Anna. Wylany dla nich, jeździł z listami, z powierzonemi przesyłka-

mi, z ustnemi poleceniami; niezmordowany, gorliwy, ale to jedno mógł uczynić, nic więcej. Człowiek był mały i nieznaczny.

Od śmierci ostatniego ochmistrza królewna Anna nie miała wyznaczonego po nim następcy. Pełnił te obowiązki niejaki Jan Koniecki.

Był to człowiek dobry, życzliwy dla swej pani, wierny, uczciwy, ale ciasnej głowy, nie widzący daleko, dający sobie z kolei wmówić, coby się komu podobało. Tłuściuchny, zażywny, powolny, nadający sobie powagi, której utrzymać nie umiał, Koniecki popełniał omyłki nieustanne przez dobroduszność i głupotę... Ludzie sobie z niego żartowali, ale on zawsze był rad z tego, co czynił, i nigdy się nie dał przekonać, ażeby mógł się omylić.

Talwosz, Litwin żywy, czynny, roztropny, syn zamożnego ziemianina, dostał się niedawno na dwór królewnej, zbiegiem dziwnej okoliczności przy królu miejsca nie znalazłszy.

Nie byłby tu może pozostał, bo służba królewnej żadnej przyszłości mu nie obiecywała, ale na nieszczęście piękne oczy Dosi go przykuły. Stał się jednym z najgorliwszych, najzapaleńszych pomocników osieroconej pani.

Różnił się on tem od innych, że gdy wszyscy niemal Annę starali się utrzymać w bezczynności, wyczekiwaniu spokojnem, wyrzeczeniu się wszelkich starań na swoją rękę—Talwosz dowodził, że królewna powinna była wystąpić czynnie w obronie swych praw i nie zapominać, że była Jagiellonką, której Polska i Litwa przecież coś dłużną była.

Z tego powodu Talwosz i z Konieckim, i z innymi ciągle musiał się ujadać. Znajdowano go niebezpiecznym, chciano się pozbyć, ale i on trzymał się twardo , i Anna powoli zaczynała się ośmielać, słuchać go, nabierać energii, jakiej nigdy nie miała.

Okoliczności też wyrobić jej nie mogły nigdy. Zahukana, zapomniana, słuchać musiała zawsze Bony, która dla niej, jak dla reszty sióstr nie miała serca, słuchać potem sióstr, poddawać się woli brata.

Zaledwie parę razy dozwolono jej objawić własne

przekonanie, gdy szło o małżeństwa sióstr, a Anna dla nich uczyniła z siebie ofiarę.

Energia, jaką obdarzyła ją natura, spoczywała jakby uśpiona, służyła tylko do oporu przeciwnościom, upokorzeniom, sponiewieraniu, które znosiła z powagą i dumą. Teraz po raz pierwszy blizki i przewidywany zgon brata powoływał ją do czynu, do wystąpienia do objawienia siły.

Talwosz usiłował ją w niej obudzić. Nie mogło to po długich latach bezczynności przyjść łatwo, królewna zresztą otoczona była ludźmi, przeciw którym działać musiała z ostrożnością.

Z męskiego otoczenia, dodawszy doktora Czeczera, milczącego medyka, który zbierał zioła, w politykę się nie wdawał i zabawić mógł królewnę, ale pomódz jej nie potrafił, księdza Jana Borakowskiego, sekretarza króla, ograniczającego się duchowną posługą, nie było przy królewnie bliżej nikogo prawie.

Z kobiet miała przy sobie dawną swą ochmistrzynię Żalińską, która teraz stanowiła ciężar i nie zdała się wcale do posług, ba, dla swoich widoków, gotową była poświęcić królewnę. Ufna w tę przewagę, jaką jej dawały długie lata służby, Żalińska, która miała dwudziestokilkoletniego syna, pana Mateusza, na dworze Zygmunta wychowanego na zepsute a zarozumiałe chłopię, ułożyła sobie zawczasu plan wyrobienia mu stanowiska przy królewnie takiego, aby nią, jej majątkiem i sprawami zawładnął. W tym celu trzymała go przy sobie, narzucała nieustannie królewnie, a gdy ta dosyć zimno przyjmowała niemiłe sobie usługi, gniewała się, burczała i nie ustępowała. Patrzano już na to krzywo, że Żalińska, mieszkająca obok swej pani, w komorze przy sobie trzymała na uwięzi syna i nocować mu tu nawet kazała.

Gdziekolwiek potrzeba było pośrednictwa, poufnego rozmówienia się, Żalińska syna narzucała królewnie. Kazała mu pisać listy, utrzymywać regestra, wciskała go, gdzie tylko mogła.

Królewna znosiła cierpliwie, lecz widać było, że jej to ciężyło!

Zuchwały, naprzykrzony, rozpuszczony Mateuszek, był tu, oprócz matki, wszystkim dokuką wielką.

Żalińska nie mogąc królewnej zmusić do poddania się, ciągle teraz ją strofowała i w sposób najnieprzyzwoitszy burczała. Wyrzucała jej, że udaje choroby, że się skarży nadaremnie, że jest wszystkim ciężarem, że jej w niczem dogodzić nie można.

Królewna znosiła starą piastunkę nudną i naprzykrzoną z anielską cierpliwością.

Prawdziwą przyjaciółką od serca, dla której tajemnic nie miała Anna, była Zofia ze Śmigla Łaska, krajczyna koronna, zdawna z królewnemi Zofią, Katarzyną i z nią związana wspomnieniami z dzieciństwa.

Krajczyna równie kochała księżnę brunświcką i Annę, ale teraz nie mogła być z nią i listami tylko się z sobą znosiły. Obiecywała jednak przybycie. Była to niewiasta czynna, żywa, lubiąca zajęcie, szlachetnego charakteru, a nadewszystko nienawidząca spoczynku. Potrzebowała ciągle coś pisać, o coś się starać, coś wiedzieć, czego nikt się nie domyślał. Gotową była narazić się, pracować, jeździć, byle nie nudzić się spoczynkiem i bezczynnością.

Krajczyna była w sercu Anny jedyną, a choć obok niej stały pani Elżbieta Świdnicka i Elżbieta z Gulczewa Brudzewska, wdowa po łęczyckim wojewodzie, i Zosia Łaska, córka wojewody sieradzkiego, żadna z nich mierzyć się nie mogła z krajczyną.

Brudzewska niemłoda, trochę już wiekiem ociężała, nie mogła tak czynnie służyć królewnie, jakby chciała. Świdnicka nie była wolną dla rodziny; Zosia Łaska za młodą, aby coś, oprócz wesela, uśmiechu i słowa pociechy przynieść tu mogła.

I te wszystkie przyjaciółki rozproszone, nierychło się obiecywały przybyć, aby samotność Anny ożywić i podzielić jej losy. Za całą więc pociechę, jako jedyną powiernicę miała Dosię Zagłobiankę, do której się przywiązała, jak do dziecka.

Była to istota wyjątkowa, rozumna, odważna, gotowa na wszystko dla Anny, ale mimo niezmiernej energii

i przebiegłości, niewiele ona mogła; chyba w domu i gdy szło o obronę od Żalińskiej.

Zamiast Matyasza Żalińskiego, Anna używała jej do listów, gdy ich nie mogła pisać sama, nią się posługiwała, chcąc zachować w czemś tajemnicę. Dosia umiała ją pocieszać, dodawać odwagi, zapobiegać nieustannym napaściom ochmistrzyni,p ozbywać się jej syna i t. p.

Matyasz, chłop jak od siekiery wyciosany, dworak zepsuciem, ale nie umysłem, bo był tępy, choć wiele trzymał o sobie, nie mógł codzień widywać i ocierać się nieustannie o Zagłobiankę, nie rozmiłowawszy się w jej nadzwyczajnej piękności. Wzdychał do niej równie z wielu innymi, mając więcej, niż inni zręczności zalecania się jej, ale nie potrafił sobie zjednać dziewczyny, dla której był zanadto ograniczonym. Posługiwała się nim, ale zbliżyć się do siebie nie dopuszczała.

Napróżno matka, która dla syna była słabą, starała się go popierać. Dosia zaloty w śmiech obracała.

— Wiadomo wszystkim—mówiła Żalińskiej,—że jestem podrzutkiem, do którego się nikt przyznać nie chce, za mąż iść nie myślę, boby mi mąż mógł wypominać, żem mu nic, nawet poczciwego szlacheckiego imienia nie przyniosła!

Żalińska rachowała jednak na swoją potęgę, wpływ na Annę, jej pośrednictwo i sieroctwo Dosi. Z powodu syna nie występowała też tak przeciwko niej, jakby nieraz mogła, znajdując ją na zawadzie.

Zagłobianka niecierpiała Żalińskiej, jasno widząc jej zamiary względem królewnej. Nie taiła się z niemi ochmistrzyni, mówiła otwarcie:

— Ma lat blizko pięćdziesiąt; co jej się tam śni, że jeszcze za mąż wyjść może! Po co jej to? Weźmie po bracie dosyć grosza, wyposażą ją panowie i dadzą oprawę na Mazowszu, czy gdzieindziej, i będzie pana Boga chwalić, a my przy niej spokojnie żyć i używać. Ja dla niej na ochmistrza syna wychowałam, ja i on, byle głupich podszeptów nie słuchała, wystarczym, aby wszystko w porządku otrzymać...

Teraz się ze śmiercią króla wszystko tak składało, że

Żalińska poczynała być niespokojną. Słyszała dokoła mówiących o tem, iż na przypadek zgonu jego, gdy nowego krola obierać będą, pewnie mu Annę za żonę nastręczą.

Żalińska nie obawiała się odprawy, znając dobre serce pani, ale przewidywała, że syn i ona zejść musieli na stronę i już jej tak opanowaćby nie mogli, jak ona sobie ułożyła.

Wśród tej gromadki, zastępujący ochmistrza Koniecki, z wielką uwagą obracał się, sądząc, że nadzwyczaj jest czynnym, a wistocie nie widząc nic i nie rodząc nic wcale. Pilnował porządku, chodził, pytał, wydawał rozkazy, których nie słuchano, zapominał o tem, co mówili, a zresztą gorliwie zawsze narzucał się pani do wszystkiego choć nigdy go prawie nie używano do niczego.

Konieckiemu starczyło, gdy go służba i dworacy czcili tytułem ochmistrza i drwiąco mu się kłaniali.

Odjazd Zygmunta Augusta, którego królewna ostatniego dnia dopiero widziała i znalazła niemal dogorywającym, zrodził niepokój wielki.

Zostawała sama na tym pustym zamku, nie będąc nawet pewna, czy o zdrowiu brata mieć będzie wieści. Nikt się o to nie troszczył. Jeden starosta Wolski mógł jej w tem posłużyć.

Czarnkowski referendarz miał się też znaleźć przy królu i na tego rachowała, że listem ją zawiadamiać może.

Wyzdrowienia zaledwie można się było spodziewać, a doktór Czeczer, zapytany, odpowiedział, że choć się cuda dzieją, ale tam, gdzie baby i czary doktorom robotę psują, niewielką w nich nadzieję pokładać należy.

Opowiadano wówczas wszędzie, że zaniedbana przez króla czas jakiś Zajączkowska, co tydzień wieczorem dnia jednego, z jakiemiś obrzędami groch na ogień ciskała, przeklinając, aby się tak rozpuknął ten, co jej wiernym być nie chce.

Inne czarownice myły i naparzały chorego, odrywały strzępki jego szat, aby go mieć w swej mocy. Jedna z nich dała krolowi prostą obrączkę, którą on, jak najkosztowniejszy pierścień nosił.

Było zawsze około krola tych bab z Wilna i z różnych

stron przywożonych dosyć... cóż potem mogli doktorowie?

W parę dni po odjeździe króla dowiedziała się Żalińska i przyniosła to zaraz królewnie, że po drodze z Warszawy do Knyszyna, Barbara Giżanka czekała na Augusta w Ostrowie. Nie było temu końca!

Któż mógł przewidzieć, co czekało króla w Knyszynie i co z nim poczynać mieli ulubieńcy, na których łaskę był zdany?

W niedzielę dnia 6 lipca zmierzchało, gdy starosta tykociński, Łukasz Górnicki, wysiadłszy z wozu przede dworem, pieszo przyszedł do drzwi budynku, w którym leżał król w Knyszynie, dowiadując się z obawą o zdrowie pańskie.

Z twarzy ludzi, którzy stali w gankach i na podwórzu, z ciszy, jaka tu panowała, chociaż ruch był niespokojny, mógł wnieść, że się źle tu święciło.

Poznawszy mimo mroku starostę, wyszedł naprzeciw niemu dworzanin Lissowski i szepnął, że król kilka razy słabym głosem pytał, czy nie przybył, a nakazał go natychmiast, gdy się zjawi puścić do siebie, choćby odpoczywał i drzemał.

Szedł więc już, nie zatrzymując się, starosta, a tu go w pierwszej komnacie spotkał referendarz Czarnkowski, który u okna siedział z rękami złożonemi, jakby się modlił, i ujrzawszy Górnickiego, ku niemu powstał.

— Idźcie do króla, idźcie—szepnął, zniżając głos,—pragnął mowić z wami. Źle się ma. Duchowni go do pojednania z Bogiem i przyjęcia Sakramentów już przygotowują. Życia pozostało niewiele.

Gdy to mówił, z drugiej izby wystąpił Jakób Zaleski, starosta piaseczyński, i ujrzawszy Górnickiego, pośpieszył ku niemu, mówiąc:

— Król na was czeka.

Nie wdając się więc już w pytania, Górnicki pośpieszył za Zaleskim, który go do sypialni prowadził.

W izbach, przez które przechodzili, cisza panowała i smutny mrok wieczora je zalegał. Powietrze było ciężkie i parne.

U drzwi sypialni, gdy zcicha zapukali, zjawił się Kniaźnik, który już się zabierał ofuknąć, aby panu nie przerywano spoczynku, gdy zobaczywszy starostę, podniósł zasłonę i wpuścił go prędko, nie pytając.

W izbie było przyciemno też, tylko w kątku gorzała osłoniona lampka mała, a że okno nie było całkiem zamknięte, płomię jej poruszało się i migotało.

W głębi na szerokiem, nizkiem łożu osłoniętem pawilonem szkarłatnym, spoczywał król, drzemiąc chorobliwie i marząc, cały w bieliźnie, z nogami tylko okrytemi jedwabną kołderką.

Żółtą wychudłą twarz jego widać było na białych poduszkach leżącą z oczyma zamkniętemi. Ręce białe, kościste, złożone trzymał na piersiach.

Pomimo że starosta jak najciszej wnijść się starał, Zygmunt August posłyszał, czy przeczuł jego przybycie, powolnie ciężkie podniosły się powieki i poruszyły usta blade.

Górnicki przejęty widokiem umierającego, stał jak wryty i oczy mu się zwilżyły. Chwilę trwało milczenie, słaby głos dał się słyszeć od łoża:

— A to ty... nareszcie..... czekałem..

Ręka jedna z trudnością podniosła się nieco i skinął, aby przystąpił. Górnicki posłuszny, zbliżył się na palcach powoli.

Oczy króla, które były zapadły, podniosły się ku niemu i usta drgnęły.

Starosta, który od tak dawna i dobrze króla znał, a widywał go w różnych ducha usposobieniach, przerażony został zmianą jego twarzy.

Było to zawsze toż samo, poważne Jagiellońskie oblicze, wiekuistym jakimś obleczone smutkiem, lecz teraz zbliżający się zgon nadawał mu wyraz uroczysty, jeszcze bardziej majestatyczny i namaszczony. Nie był to już człowiek,

na ziemi żyjący i ziemskiemi sprawami przejęty, lecz duchem na poły na świecie innym.

Starosta pytania żadnego zadać mu nie śmiał, stał z boleścią w duszy, wpatrując się w niego i ręce załamał.

Słychać było oddech w piersiach ciężki i chrzęszczenie. Parę razy powieki się trochę poruszyły i opadły.

— Koniec, koniec się zbliża—odezwał się po cichu po długiej chwili oczekiwania.—Żyłem za długo, za długo, cierpiałem wiele... zostawiam was sierotami.

Górnicki ledwie mógł stłumić płacz, który mimo męstwa, pierś mu i oczy napełniał.

— Miłościwy panie—rzekł—żyjcie! Bóg łaskaw zdrowie wam przywróci.

Na ustach króla widać było, jakby uśmiech niedokończony.

— Ani dla siebie, ani dla was tego nie życzyć—odezwał się cichym bardzo głosem. —Walczyłem próżno; z dolą walczyć nadaremnie, nikt swego nie uniknie losu.

Zatrzymał się król, jakby mu tchu za brakło; spojrzał na Górnickiego i szepnął znowu:

— Całe życie, całe stoi przede mną, jak rozwinięta karta. Widzę je przed sobą. Pasmo przeznaczeń. U kolebki matka! Tak matka, która być miała mi prześladowcą i mojego szczęścia nieprzyjaciółką! Ojciec kochający a surowy... pochlebcy i kobiety... a! te kobiety, te sokoły, które mi żywot zatruć miały. Przez nie ginę! A tak je kochałem!

Zamilkł znowu. Górnicki chciał powstrzymać go i szepnął, że mówienie rozdrażnia i męczy.

August nie zdawał się słyszeć i rozumieć. Oddech stał się żywszym, powieki okryły oczy wpadłe, ale jaśniejące blaskiem niezwykłym.

— Widziałeś Elżbietę, pierwszą moją... padła ofiarą, niewinna, biedna, anielska istota. Co ona zawiniła, że jej męczennicą być przeznaczono?

Barbara... a! ukochana Basia moja, o którą z narodem walczyć, z matką wojnę prowadzić, z całym światem się poróżnić przyszło, ją i mnie żółcią i piołunem poili. I ta, jak kwiat, w moich oczach uwiędła... i ta!

Górnicki dostrzegł, jak dwie łzy dobyły się z pod powiek powoli i nieotarte potoczyły zwolna po twarzy, znikając gdzieś na bieliźnie, w którą wsiąkły.

I znowu było milczenie, król się podniósł nieco, uczynił wysiłek, lecz osłabłe ciało zmusiło opaść na pościel bezwładnie, oddychał coraz ciężej, ale oddech stawał się przyśpieszony.

— Chcieli, bym żył z Katarzyną, to mi śmierć zadało. Nie mogłem się zwyciężyć. Przez to umrę bezpotomny, ostatni, ze mną do grobu pójdą Jagiellonowie. Bóg, los, przeznaczenie, fatalność, żelazne prawo zniszczenia!

Górnicki chciał coś wtrącić, aby smutne te myśli odwrócić, król mówić mu nie dał.

— Bezpotomnym!—rzekł—to nic, ale zejść bez dobrego imienia, bez pociechy z wielkiego dzieła!

— Starosto! wszystkom chciał, nic nie mogłem. Litwa dotąd dąsa się na to, co jej przyszłość miało zapewnić. Na Unię pracowałem życie całe, dla niej praw się zrzekłem... oni jej nie chcą. Swobody ich szanowałem... plwali mi w oczy za to. Nie było nieszczęśliwszego nade mnie. Na Ruś zbierałem się iść, odzyskać zabrane... zawady mi stawili. Wrogów wszędzie, przyjaciół nie miałem nigdzie, nigdzie, nikogo!

— A! miłościwy panie—przerwał Górnicki—nie czyńcie nam, wiernym sługom swoim krzywdy; myśmy cię cenili i miłowali!

— Wielu? kto?—przerwał król.—Mój starosto, śmierć oczy przemywa i wzrok daje, co do głębi dusz sięga... widzę w każdym, co w sobie nosi, do szpiku kości. Przyjaciół dla łupieży, kochanek dla łask i darów, jest wiele, a ktoby kochał?...

Zamilkł nagle i zwolna w piersi się uderzył.

— Winienem, winienem—szeptał,—przebacz mi Panie, winienem wiele, ale przejrzałem zapóźno. Starosto, pamiętajcie o tej sierocie, królewnie Annie; ja życie jej zatrułem. Co z nią będzie? Maż ona do końca żywota łzami się oblewać?

— Miłościwy panie,—podchwycił Górnicki,—naród ni-

gdy krwi swoich panów nie odtrąci i nie zapomni o niej. Nie trwóżcie się o los królewnej.

— Zapóźno przyjdzie jej korona i małżeństwo—przerwał znowu ciszej król.—Katarzyna przecierpiała wiele. Zofia owdowiała, sierota Anna na łasce waszej. A cóż z tem państwem?

Wstrzymał się król i milczał długo, spojrzał na starostę, jak gdyby go wyzywał.

— Wybierajcie ostrożnie, abyście za soczewicę praw swych nie pozbyli. Jest ich dosyć, co sięgną po koronę naszą.

— Cesarz pierwszy—podszepnął Górnicki.

— Cesarz?—zamruczał król,—przez nich my straciliśmy Czechy i Węgrów, oba kraje Jagiellonom należały. Ojciec dał się im uwikłać i wydrzeć je sobie. Cesarz uczynił mnie bezpotomnym, cesarz zakuje was w niewolę!

Podniósł rękę, która opadła ciężko na posłanie.

Nie śmiał Górnicki wspomnieć o Francuzie, ale król sam szepnął:

— Francuskiego króla brat się swata, obcy nam daleki, młody. Polska niczem dla niego, on na nic dla was.

I dodał po namyśle:

— Pruski książę? któż wie? zechcecie go?

Starosta słuchał z natężoną uwagą, lecz te myśli, przesuwające się z kolei rozmarzonemu po głowie, zdały mu się go dręczyć nadto; przerwał, uspokajając.

— Miłościwy panie, Bóg miłosierny, Jeśli osierocić zechce, opiekować się będzie! Pocóż trapić się zawcześnie.

— Tak! przeznaczenia są nieuniknione, konieczność żelazna—westchnął.—Widzę przyszłość, widzę ją... smutna...

— Wasza miłość—odezwał się Górnicki—zechcecie mi wydać jakie rozkazy? Rozkazaliście mnie przywołać.

Król niespokojnie ręką powiódł po czole.

— Nie wiem już—rzekł—tak...—potrzebowałem was.. Chciałem mieć kogoś przy sobie...

Oczy jego skierowały się na drzwi.

— Sokoły i sępy... chciwe... nikogo więcej... wszy.

scy czegoś żądają, nikt nic nie przynosi. Słowa pociechy... łzy poczciwej...

— Jaki to dzień?—zapytał nagle.

— Niedziela—szepnął Górnicki.

— Tak, byłoż to dziś rano? czy wczoraj, czy miesiąc temu? już nie wiem. Wszystko się zmieszało razem, cała przeszłość leży pogmatwana przedemną, te sokoły...

— Zbyćby się ich, miłościwy panie—rzekł starosta.

— Płaczą—począł król;—jak ojciec, łez niewieścich znieść nie umiem. Giżanka ma córkę... dziecko moje jedyne... Zajączkowska... wiesz... żenić się z nią chciałem... czeka... świat zawiązany... Zuzię Orłowską aż tu przywieźli... i ta.... A! te sokoły!

Nie śmiał nic powiedzieć Górnicki, ale mu się zrobiło przykro, a gdy potem król zamilkł, odważył się podszepnąć:

— Nie myślećby o nich!

— Tak—po chwili dodał król—czarami mnie i napojami wzięły, a zdrowie i życie poszło. Te, którem kochał, los mi wydarł prędko... przemknęły mi przez życie moje jak cienie, tylko śnię teraz o nich. Widzę je jakby żywe były. Stają koło mnie... Elżbieta i Basia razem.

— Starosto—odezwał się żywiej—przywiozłeś mi z sobą ich wizerunki?

— Są w Tykocinie—odparł Górnicki.

— Jam je teraz chciał mieć... pocieszyć się niemi—rzekł król—W Tykocinie! Jedźże po nie, proszę cię, jedź po nie, a śpiesz jutro do mnie z powrotem. Chcę je mieć, chcę je mieć koniecznie teraz, choćby do trumny.

Górnicki począł się tłumaczyć, dlaczego ich nie zabrał z sobą, lecz w myślach pogrążony, już się go słuchać nie zdawał i powtórzył:

— Jutro—przywieź mi je jutro!

Wtem jakby sobie coś przypomniał.

— Bieliński,—spytał—jest w Tykocinie na zamku?

— Nie odstępuje go na krok—rzekł Górnicki.—To człowiek, na którego spuścić się można, miłościwy panie.

— Dlategom go nad skarbem moim wszystkim postawił—słabnącym głosem dodał August.—Starej wiary to mąż, prawości starej. Mów mu, niech nikomu po mnie nie

zdaje mienia, krom królewnej Anny... Ona sióstr nie ukrzywdzi, a ja chcę, aby pokrzywdzoną nie została. Biedna Anna... Na jej sieroctwo spadnie korona! Kto wie? wydrą jej może i mój spadek i ją... z Jagiellonek ostatnią.

— Miłościwy panie, nie może to być—przerwał starosta;—myśli tych nawet nie przypuszczajcie; ludzie bywają niewdzięczni, naród się niewdzięcznością splamić nie może.

Zygmunta Augusta oblicze zmieniło się wyrazem szyderskim.

— Mylisz się starosto, mylisz—odparł—przeciwnie, ludzi wdzięcznych znajdzie się coś może, narody zawsze niewdzięczne być muszą.

Napróżno chciał zaprotestować starosta tykociński, król głową potrząsnął.

Lecz widać było w skutek długiej już rozmowy tej znużenie. Wśród niej Zygmunt August chwilami usypiać się zdawał. Słów mu brakło i wypełniało je mruczenie... Mruczenie przerywało mowę. Starosta nie śmiał ani się oddalić bez rozkazu, ani dłużej męczyć króla, który, ile razy go zobaczył, jakby pobudzony do mówienia usta otwierał i wkrótce wyczerpując się, słabnął.

Naostatek sądząc, że się już nazbyt przedłużyło posłuchanie, zrobił parę kroków wstecz od królewskiego łoża, ale król posłyszał chód i otworzył oczy.

— Jedź—rzekł—zaraz, prędko... proszę cię... wizerunki, wiesz... dwa razem, Elżbiety i Barbary... przywieziesz mi je jutro.

— Natychmiast wyruszam spełnić rozkaz, miłościwy panie—odezwał się Górnicki, odchodząc.

Król nie musiał już usłyszeć odpowiedzi, gdyż starosta ujrzał go z otwartemi usty, uśpionym głęboko, oddech tylko ciężki i chrapanie piersi znużonych słychać było.

Gdy ostrożnie podniósłszy zasłonę, starosta tykociński znalazł się w izbie, sypialnię poprzedzającej, w której pode drzwiami stał Kniaźnik, Plat i Jakób cześnik na cichej jakiejś naradzie, potrzebował chwili długiej, aby

przyjść do siebie, tak mu jeszcze w pamięci, w sercu brzmiało to, co z ust umierającego słyszał.

Nie ulegało wątpliwości dla niego, iż król już z tego łoża boleści nie miał powstać, że to były ostatnie godziny i słowa ostatnie.

Wzruszony do głębi duszy, Górnicki usiłował zapanować nad sobą, lecz łkania powstrzymać nie mógł.

Do stojąc go nieopodal od progu zbliżył się Fogelweder i ujął go za rękę.

— Wszelka nadzieja stracona?—szepnął Górnicki.— Doktorze macie wy jeszcze jaką?

Fogelweder potrząsnął głową.

Milczeli chwilę. Doktór ujął go za rękę i wywiódł z sobą do drugiej komnaty, w której, oprócz referendarza Czarnkowskiego, znajdował się chwilowo marszałek Radziwiłł, na uboczu rozpytujący cicho Jakóba Zaleskiego o króla.

Zobaczywszy powracającego Górnickiego, Czarnkowski się zbliżył do niego.

— Mówiłeś z nim?—zapytał.

— Tak—rzekł starosta —i rozmowa była może dla chorego za długa. Zmęczyła go, ale odpuścić mnie nie chciał.

— Dał ci jakie rozkazy?

— Kazał mi jechać do Tykocina, abym mu jutro przywiózł dwa wizerunki: Elżbiety i Barbary, które zwykł był nosić przy sobie.

— Jutro!—podchwycił Czarnkowski smutnie — lecz któż wie, czyje jutro jest... Biedny pan! Nie wspomniał co o królewnie?

— I owszem—odparł Górnicki—los jej go obchodzi wielce, troskę ma wielką o nią.

Referendarz zamilkł.

Doktorowie obaj—dodał po przestanku—żadnej już nadziei nie czynią. Jutro król na śmierć dysponować się będzie.

— Tembardziej śpieszyć muszę do Tykocina—odezwał się starosta — abym ostatnią spełnił jego wolę i choć małą przywiózł pociechę.

Otarł łzę, podali sobie ręce.

Noc już była, gdy Górnicki się znalazł w podwórcu dworu królewskiego, który choć cichym był, niemniej ludzi go mnóstwo napełniało.

Znając wszystkich, mógł starosta, mimo ciemności, rozpoznać tych, co się tu krzątali.

Krajczy i podczaszy z Konarskim, któremu król wszystko zwierzał i klucz od pieniędzy oddawał, stali przy ładujących się wozach. Widocznem było, że się śpieszono, aby z zaborem przewidywany zgon króla uprzedzić.

Zaprzęgano konie, szeptali ludzie, ze śpichrzów wynoszono skrzynie i różny ładunek.

Jakób, cześnik królewski, znany ze swej chciwości i bezwstydu, kręcił się także około wozów innych, z dworzanami: Platem, Kolfiskim i Kazanowskim.

Niektórzy z nich wcale na starostę nie zdawali się uważać, drudzy zmieszali się, widząc go powoli przechodzącego podwórze i rozpatrującego się w tem, co się tu działo.

Łatwa do poznania po swej tuszy i zuchwalej postawie, Zuzanna Orłowska, jedna z dawnych miłośnic króla, która była przytomną w Knyszynie, chodziła także, pilnując rzeczy, które na gwałt tej nocy wyprawiano w świat, aby tylko z Knyszyna, obawiając się dnia następnego, gdyż biskup Krasiński marszałek Radziwiłł i referendarz Czarnkowski mogli łupiestwo powstrzymać.

Zmieszany widokiem Górnickiego, krajczy przybliżył się do niego, pozdrawiając.

— W przykrem jestem położeniu—rzekł,—król wydał rozkazy, aby niektóre rzeczy i pieniądze rozdarowane wysłać zaraz z Knyszyna. Muszę spełnić polecenie, a kto wie, jakie na mnie spaść mogą potwarze. Nikt nie wie, że ja tu niczem nie rozporządzam, niczem.

— Tak—odparł Górnicki, starając się okazać obojętnym choć się w nim krew burzyła, bo prędki był i do uniesienia skłonny;—dobrzeby było panie krajczy, oprócz podczaszego mieć inne świadki woli króla, bo wistocie przewidzieć łatwo, iż się o roztrwonienie mienia ludzie później upomną.

— Wszyscy wiedzą—odparł krajczy butnie—co się tu dzieje; świadków dosyć jest.

— To źle, iż ci sami świadkowie obwinionymi będą—zaczął Górnicki—więc zeznania ich niewiele wzbudzą wiary.

Chciał starosta śpiesząc już odejść, i oddalił się od Mniszcha, gdy od ganku ujrzał goniącego i dającego znaki referendarza Czarnkowskiego, który ująwszy go pod rękę, nie spojrzawszy nawet na krajczego, stojącego na drodze, wyprowadził za wrota.

— Widzieliście, co się dzieje!—zawołał, ręce łamiąc. Gdy król oczy zamknie nie będzie mu co dać do trumny. Dzisiejszej nocy rozgrabią resztę. Wiem, że Konarski, co było grosza rozesłał na wsze strony, tak, że z pieniędzy, pożyczonych u gdańskich kupców, grosza pono nie zostało. Giżanka z Orłowską i innymi rabusiami pozabierały klejnoty, jednego nawet z licznych pierścieni i łańcuchów nie zostało. Co było sukna, szkarłatu, jedwabiu, futer, znikło wszystko. Pustki gdzie zajrzeć. Do rana, dzięki takim, jak Jakób cześnik, Kniaźnik, Pągowski, który dziś jeszcze sobie przywilej na Bronowice zapieczętować kazał, nie mówię o innych i o wyżej stojących, do rana nie stanie u nas jednej misy srebrnej.

— Widziałem to—odezwał się starosta,—ale radzić nie umiem, jeżeli wy nie potraficie, jeżeli ks. biskup Krasiński, marszałek Radziwiłł nie mocni są temu się oprzeć. Krajczy i podczaszy jeszcze dosyć mają zachowania i łaski, aby nam wszystkim usta pozamykali.

— I dość bezwstydu, aby nawet śmierć nie powstrzymała ich od łupieży! — przerwał Czarnkowski zrozpaczony.

— Szczęściem—dodał Górnicki—król jakby przewidywał ten rozbój, co miał kosztowniejszego i co zachowanem mieć pragnął, wysłał do Tykocina, gdzie pod dobrą strażą rotmistrza Bilińskiego nikt nie tknie skarbu. Król mi wyraźnie polecił, abym rozmistrzowi powtórzył nie wydawać tykocińskich rzeczy nikomu, krom królewnej Anny.

Czarnkowski ręce podniósł do góry.

— Daj Boże tylko—dodał,—aby panowie litewscy i koronni nie zagarnęli siłą, co się jej słusznie należy.

Nazajutrz gdy Górnicki do Knyszyna z wizerunkami żądanemi powrócił, zastał wszystkie okna otwarte, świe-

ce palące się około mar, a na nich ciało ostatniego z Jagiellonów, któremu do trumny musiano pożyczyć pierścienia.

Spodziewanym, przewidywanym był zgon króla, ludzie się zawczasu przysposabiali do obmyślenia mu zastępcy, a każdy więcej go dla siebie wybierał, niż dla Polski; mówiono o blizkiej śmierci jednak, a gdy z Knyszyna żałobna wieść: król umarł! rozeszła się po kraju i we wszystkich kościołach uderzono we dzwony, gdy gońce się rozbieżeli po całem królestwie i Litwie, zwiastując, że one pana nie miały, strach niezmierny ogarnął wszystkich.

Uczuli się bezbronnymi, wydanymi na łup samowoli zuchwałych i silniejszych, nikt życia i mienia nie był pewien.

Nie było króla, więc nie było sądu i sprawiedliwości, ustawała wszelka władza, płynąca od tronu.

Nie wiedziano w początku nawet komu zastępczo, tymczasowo zwierzone być miało zwierzchnictwo, kto miał prawo rozkazywać, kogo należało słuchać.

Nigdy za ludzkiej pamięci, nawet czasu wojen i napadów, tak powszechna trwoga nie objęła wszystkich; kraj stał otworem, bezbronny, na łasce nieprzyjaciół, a wewnątrz na samowoli wichrzycieli i możnych.

Jak gdyby Tatarowie wtargnąć mieli, obwarowywano zamki, opatrywano w broń dwory, kościoły kryły swe kosztowności, straże stanowiono po nocach.

Po kilku dniach sąsiad zaczął dopadać najbliższych swych.

— Radźmy! co tu poczynać? Zjedźmy się. Nikt o nas nie myśli.

Ale kto miał zjazd zwoływać? dokąd się trzeba było skupiać?

Gromady zaczęły się zbiegać do miasteczek: gwarzono, wykrzykiwano, tracono głowy, rozpaczano. Śmielsi docierali do grodów, do powiatów. Każda ziemia zaczęła zwoływać się osobno.

Kraj, co przez długie wieki całość stanowił spójną, osieroceniem się znowu rozbił na gromadki.

Małopolanie radzili o sobie, Wielkopolska u siebie, Litwa zamknęła się też w domu, Ruś w granicach, Mazowsze w swych lasach.

Strach pędził i dyktował pierwsze środki dla zabezpieczenia pokoju wewnętrznego i uniknięcia zawichrzeń. Z gorącości wielkiej uchwalono drakońskie prawa przeciwko tym, którzyby chcieli z bezkrólewia korzystać. Chciano za najmniejsze wykroczenie karać śmiercią.

Oglądano się z niedowierzaniem na senatorów.

Tam, w górze, wiadomość o śmierci króla może mniejsze uczyniła wrażenie, tylko to, co gorzało pod popiołem, poczęło pobłyskiwać jawnie. Z góry odzywały się głosy, iż prędko pana wybierać należało.

Pana tego każdy miał w zapasie gotowego, ale kto, jak go wybierać mógł, kto okrzyknąć — nikt nie wiedział. Świeccy senatorowie radzi byli działać sami, najwyższy dostojnik Kościoła, będący zarazem najpierwszym senatorem państwa, głową i naczelnikiem, pierwszeństwo niezaprzeczone miał za sobą.

Szlachta nie chciała prawa wyboru ustąpić panom panowie nie chcieli na tłum szlachty się zdać, zamieszanie w pojęciach praw tych panowało największe. Tradycya została zgubioną, albo raczej nie było jej wcale. Wybory panujących zawsze dotąd wiązały się z prawami krwi i dziedzictwa, dziś spadkobiercy zabrakło.

O królewnie, jako dziedziczce tronu, w tej pierwszej chwili zamętu nikt nie pomyślał.

Można śmiało powiedzieć, że pretendenci do tronu więcej się oglądali na królewnę Annę, niż senatorowie i duchowieństwo krajowe.

Biskupi i panowie lękali się tylko, aby Anna nie była przeszkodą do wyboru, aby nie dochodziła praw, nie stworzyła sobie partyi, nie zawiązała im rąk. I jeśli pomyślano o królewnie, to tylko, aby ją uczynić

niewolnicą, odebrać jej wszelką możność działania, otoczyć strażą, nie dać się jej ruszyć i uczynić kroku.

Obawiano się Anny, tej osieroconej i bezbronnej, jak gdyby ona wistocie była widmem Bony, groźbą i postrachem.

Królewna w trwodze o życie brata pędziła dnie smutne na zamku, nie mogąc nawet mieć pewnych wiadomości z Knyszyna, gdy goniec od referendarza Czarnkowskiego nadbiegł z listem, zwiastując żałobną nowinę.

— Król nie żył!

Anna rzuciła się, płacząc i mdlejąc na kolana, czuła, że w życiu jej przyszła godzina wielka, że powołaną być miała do piastowania tu sama, ona słaba, całej godności krwi swojej, że musiała stawać w obronie praw, nie jej jednej, ale dynastyi służących.

Ale myśl ta przemknęła się, jak błysk po skołatanej głowie, opłakać naprzód musiała brata i jedynego opiekuna, ofiarę niecnych służalców.

Zakwefiona czarno, poszła podtrzymywana przez sługi swe naprzód do zamkowego kościoła na pierwsze nabożeństwo żałobne. Tu padła na kolana, prosząc Boga o siły i natchnienie.

Wśród tej modlitwy czuła, jakby promień z góry padł na nią, jakby siła jakaś zstąpiła z niebios wołając do czynu.

— Jesteś ostatnią; wszyscy twoi przodkowie w tobie są i żyją, ich sławę i wielkość możesz albo pogrześć na wieki, lub ocalić i dać jej życie. Wstań, idź, działaj!

Głos ten powtarzał się jej w duszy, jako wołanie Boże, jako rozkaz, przyniesiony przez aniołów.

Broniła mu się słabością swą i płakała, a nieubłagane wołanie trwało ciągle:

— Wstań, idź i działaj! Płakałaś długo bezsilna, dziś czas łez przeszedł, a nastał czas trudu i krwawych potów... Mężną być musisz i niezwyciężoną; z grobów dziadowie nakazują ci, nie wypuść berła ich z dłoni.

Gdy po długiej modlitwie, czując się nią złamaną, powstała Anna, znalazła się zdumiona nagle silniejszą

niż była. Duch w nią wstąpił i ci, co ją widzieli do kościoła idącą, z głową zwieszoną na piersi, chwiejącą się na nogach, zdumieli się, gdy powracała powoli z oczyma oschłemi, wyprostowana, z podniesionem czołem, w majestacie swego sieroctwa, jakby wiodła za sobą cały szereg zmarłych przodków.

Łzy niekiedy wytryskały jeszcze z pod powiek, lecz osychały natychmiast.

Gdy w chwilę potem starosta Wolski wszedł z pokłonem i kondolencyą, spojrzawszy na królewnę, zdumiał się. Stała przed nim tak majestatyczna, pewna siebie, poważna, jaką nie widział jej nigdy.

— Stało się — rzekła do niego; — kraj i ja sierotami jesteśmy, ale ja teraz czuję się dzieckiem tego państwa i pod jego opiekę oddaję z ufnością. Nie opuśćcie mnie.

Skłonił się Wolski, zapewniając, że wszyscy z miłością wielką przy swych panach zawsze stali i stać będą.

Anna zapytała go o szczegóły zgonu brata, o ostatnią godzinę, ale nikt więcej nad to nie wiedział, że skończył życie w Knyszynie, że tam panował nieład wielki w chwili zgonu i że ciało tymczasowo przeprowadzić miano do Tykocina.

Popłoch jeszcze panował taki, że starosta co do pobytu królewnej i przyszłego jej utrzymania nic nie umiał postanowić; nie rozkazywał nikt, nie wiedziano, kto miał rozkazywać.

Anna po raz pierwszyośmieliła się oświadczyć staroście, że co do osoby swej czuje się swobodną i wolną postąpić tak, jak uzna za właściwe. Wolski się nie sprzeciwiał.

Oczekiwano referendarza Czarnkowskiego, który przywieźć miał i wiadomości pewniejsze, i skazówki, jak postępować należało.

Następne dni królewna spędziła na nabożeństwie i rozmyślaniu, była milczącą i pogrążoną w sobie, jakby już teraz przyszły plan zakreślić chciała.

Każdego dnia wstawano z nadzieją, że nadbieży

Czarnkowski, oczekiwano na niego do wieczora napróżno, a gdy i listy nie nadchodziły, odkładano nadzieję do jutra. Następny ranek i wieczór tak samo upływał, a niecierpliwość rosła, Czarnkowskiego nie było.

Dnia jednego naostatek, jak zawsze żywy, ruchawy, mówmy, na oko szczery, otwarty, wylany, z twarzą, która co chwila inne jakieś wyrażała uczucie, zbyt dobitne, aby mogło być prawdziwem przybiegł pan referendarz, cały w kirze i żałobie, i dramatycznie bardzo upadł przed królewną na kolana, ze łzami całując kraj jej szaty. Któż w tym wybuchu żałości mógł się domyślać pocałunku Judasza?

Referendarz głośno deklamował:

— Pani moja, królowo! Przybywam cały się oddać na twe usługi, stać w obronie twej, być twoim rzecznikiem! Rozkazuj mi!

Gdy powstał i z kolei ucałował rękę i pohamowawszy zapał ten, począł ostygły mówić o zgonie króla, o stanie umysłów, o przyszłości, już wcale nie był tym człowiekiem, jakim wszedł przed chwilą.

Królewna rada go była słuchać, bo miała w nim wiarę niezachwianą; zdziwiło ją tylko to, że gdy ona czuła się powołaną do czynu, referendarz zalecał jej przeciwnie, nadzwyczajną oględność, aby najmniejszym ruchem śmielszym nie obudziła obaw i nie ściągnęła podejrzeń. Według niego senatorowie obawiali się, aby sobie nie chciała zawcześnie zapewnić praw, których oznaczeniem oni sami rozporządzać mieli. Radził ostrożność, umiarkowanie, bierność.

Królewna słuchała go, nie śmiejąc się odzywać ale serce jej biło; czego innego się spodziewała.

— Jeżeli ja całkiem zamilczę i o żadne prawa stać a przypominać ich nie będę — odważyła się przerwać,— łacno one zostaną zabyte i mogą być sponiewierane.

— A, nie! — przerwał Czarnkowski. — My stoimy na straży, my nie damy was pokrzywdzić, ani zapomnieć o was, lecz panom senatorom narażać się nie należy.

Anna zamilkła. Referendarz napomknął, iż zdaniem jego należało się nawet królewnie gdzieś usunąć,

aby nie znajdować się tam, gdzie się obiecywały tłumne zjazdy i narady szlachty i panów. Nie chciał, aby pozostała w Warszawie.

Musiał na twarzy królewnej dostrzedz przykre wrażenie, jakie ta rada uczyniła, gdyż natychmiast zręcznie odwrócił rozmowę na przedmiot inny.

— Ja stoję na stronie i czynnie tylko w obronie spraw waszych, miłościwa pani, działać będę; do wczesnych zabiegów nie mieszam się, ale już ze wszech stron słyszę głosy i domysły o wyborze przyszłego pana.

Królewna rzuciła pytające wejrzenie.

— Największa część głosów — mówił referendarz— jest za cesarzem, a raczej za jednym z synów jego. Sprawa to kardynała, który potrafił na stronę swą nawrócić nawet tak zażartych wrogów, jak Firlej i Zebrzydowski, którzy jeden przeciwko drugiemu na złość iść mogli, a pójdą razem.

— Przejeżdżając przez miasta, wstępując do grodów — ciągnął dalej referendarz, — miałem sposobność przekonać się, iż większość głosów jest za pośpiesznym wyborem i za Rakuszaninem. Strach wielki opanował umysły, boją się wszyscy bezkrólewia, radziby jednej godziny pana sobie dać, aby lada warchoł nie panował i nie wichrzył.

— Ale na żaden sposób rychło się to stać nie może— odparła Anna. — Obmyśleć muszą sposób, w jaki wybierać będą.

— To też śpieszą wszędzie ze zjazdami — dodał Czarnkowski. — Zaledwie jeden się rozszedł, — zwołują drugi, myślą o trzecim. Zbiegali się po powiatach, zbiegają po ziemiach, a dalej chcą po prowincyach, dopóki wszyscy razem gdzieś się nie zbiorą, z Litwą pewnie też.

Królewna słuchała, Czarnkowski mówił z zapałem, a co rozpoczął o innym kandydacie do korony, jakby mimowoli nawracał do cesarza.

Przyszły na stół sprawy osobiste królewnej.

Miała ona testament brata i przekazaną znaczniejszą część skarbu po bracie, złożoną w Tykocinie pod

strażą wiernego Bielawskiego, ale tego tknąć jeszcze nie było można. Tymczasem królewna żyć musiała, skarb był pusty, nie było komu nawet asygnować z niego, choćby się w nim co znajdowało.

— Nie wiem, co mam czynić, biedna sierota. — odezwała się Anna, widząc się sam na sam z Czarnkowskim. — Pieniędzy mi nikt nie pożyczy tu, ostatek sreber zastawiłam, nie godzi mi się okazywać w takiej chwili biedną i żebrać posiłku. Referendarzu mój, przyjacielu nasz! Pisz do Zofii, u której masz zaufanie, wstaw się za mną. Nieuchronna jest potrzeba, aby mi przysłała pieniędzy. Winnam już jej, to prawda, ale łatwiej Zofii dostać, niż mnie, a ja, da Bóg, wszystko jej wrócę z nawiązką.

Czarnkowski nie śmiał odmówić.

— Niech wasza miłość pisze od siebie — rzekł — ja też popierać będę, lecz pierwszy odezwać się nie mogę.

— Czyń, jak uznasz lepszem — mówiła Anna; — pamiętaj, żebyś mnie zwłoką na wstyd nie naraził. Ostatkami gonię. Do skarbca tykocińskiego sięgać nie mogę, dopóki testament ogłoszony i przyjęty nie będzie.

Załamała ręce.

— Ciężkie nad miarę położenie moje—dodała — lecz się pocieszam tem, że trwać ono nie może, że panowie senatorowie myśląc o kraju, nie zapomną i o mnie.

Z następnych zaraz słów Czarnkowskiego widać było, iż chciał mówić o czem innem. Zapewnił tylko, że do księżnej brunświckiej pisać nie omieszka.

Anna chciała słać umyślnego, aby jechał i powracał z pieniędzmi, ale do tego nadawał się jeden Rylski, a nie wiedziała, czy był ze Szwecyi z powrotem.

Po chwili znowu Czarnkowski jakby mimowoli mówić zaczął o potędze cesarskiej i o mnogości przyjaciół Maksymiliana w Polsce.

— Z tego, co ja tu słyszeć mogłam — przerwała Anna — powzięłam owszem przekonanie, że wielu miał sobie bardzo niechętnych. Wiesz, jak Polacy o swobody swe są zazdrośni, obawiają się, aby on ich im nie ukrócił, jak Węgrom i Czechom, coby mu tem

łatwiej przyszło, że zaciężne wojska zawsze w pogotowiu ma, i niemi a siłą, co zechce, uczyni.

Czarnkowski śmiał się z tych obaw.

— Miłościwa pani — rzekł — kto to wie, czyby nie należało ukrócić cokolwiek swobód? Mamy ich może do zbytku, dlatego często wkrada się nieład i buta, gdy pan na tronie bezsilny. Ale ci, co tak są troskliwi o swe przywileje, mogą przecie dopilnować, aby ich zachowanie poprzysiężono uroczyście.

Królewna miała już na ustach, gdy potem Czarnkowski wierność cesarza dla Kościoła wynosić zaczął, iż niemniej gorliwym synem jego był dom panujący francuski, ale się zdradzić obawiała ze słabością swoją dla tego Henryka, którego wizerunek, pełen młodzieńczego wdzięku, oczarował ją.

Referendarz dotąd wcale się tego nie domyślając, gdy napomknął o Henryku andegaweńskim, śmiać się począł z tego kandydata do korony, którego całe Niemcy od Polski przedzielały, a nim by on tu przybył, stronnictwo, coby cesarzewicza wybrało, miało czas sprowadzić i ukoronować swojego. Nazwał to mrzonką niemożliwą i śmieszną.

Królowa Anna zarumieniła się milcząca i nic nie odpowiedziała.

— Mówią także o siedmiogrodzkim Stefanie Batorym, drudzy o Auguście, księciu saskim, ale to są małe książątka, których u nas nikt nie zna. Za księciem pruskim niema także komu stanąć tak dalece, ani za Janem szwedzkim.

Słuchała tego wszystkiego królewna, aż milczeniem uważnem zachęcony Czarnkowski, przyszedł do Piastów, śmiejąc się z tych, co życzyli sobie wybrać kogo ze swoich, a wyrzekali się nowej siły, jaką mógł przynieść panujący obcy, bogaty, mający z sobą sojusze i rodzinę.

Według niego, co łatwo było wyrozumieć, jeden cesarz miał największą pewność wyboru.

Anna posmutniała tem więcej, że referendarz zapędziwszy się tak i zapomniawszy o niej, o jej intere-

sach i prawach wcale nie wspomniał. Dopiero wkońcu pomiarkowawszy się, dorzucił Czarnkowski, iż młody Ernest ożenić się ofiarował... co na lice Anny wywołało rumieniec, ale jej wcale nie rozweseliło.

Miała w myśli i w sercu Henryka, ale to musiało pozostać tajemnicą, z której nikomu a nikomu zwierzyć się nie mogła. Zdawało się jej, że mimo wszystko, Bóg, który go przeznaczył, potrafi przyprowadzić.

Rozmowa z referendarzem, który rozpoczął ją i skończył zapewnieniami najuroczystszemi swojego poświęcenia dla Anny i rodziny, nie pozostawiła po sobie wrażenia tak uspokajającego, jak się królewna spodziewała. Chciała jechać do Knyszyna, aby się znajdować przy przeniesieniu zwłok do Tykocina, Czarnkowski jej odrazu oświadczył, że pewnie panowie senatorowie będą temu przeciwni, a drażnić ich nie trzeba. Obawiali się, jak mówił, aby królewna zbyt wybitnego nie zajęła stanowiska i nie żądała samowolnie postępować.

Referendarz prosił o cierpliwość, o umiarkowanie w pierwszych dniach, a ręczył, że on nie da jej krzywdy uczynić. Z tych półsłówek trzeba się było domyślać, że dokoła królewnej osnuwały się jakieś środki, aby nad każdem poruszeniem jej czuwać. Ulękła się nieco i zaniepokoiła.

Czarnkowski, który wszystkim dworował, kim się albo posłużyć mógł, lub jakąś korzyść wyciągnąć dla siebie, od królewnej wyszedłszy, dał się poufale pochwycić dawno sobie znajomej Żalińskiej, która go do swojej izby zaprowadziła, po drodze już narzekając na panią, bo do tego tak już była nawykła, że się powstrzymać nie mogła.

— A, panie referendarzu — mówiła, ręce podnosząc i wywijając niemi dramatycznie — a! zmiłuj się pan, wpłyń powagą swą na królewnę aby się nie gryzła nadaremnie, nie rzucała tak, nie stękała a czekała spokojnie, co panowie senatorowie zaradzą i postanowią. Mam z nią kłopot niewypowiedziany... zrywa się jechać do ciała królewskiego, na pogrzeb, a tu powietrze, a tu na podróż pieniędzy niema! Dokoła nas intrygi i intryganci. Każdy jej coś podszeptuje, wszystkich słucha, nie wiedzieć,

co jej po głowie chodzi, a mnie starej, wiernej, doświadczonej piastunce nie chce wierzyć i zaufać.

Czarnkowski głową wahał.

— Wiele królewnie przebaczyć należy — rzekł — zbolała jest, biedna... a ma przed sobą jeszcze niemało do przebycia. Waćpani się ją staraj uspokajać i wmawiać, aby bez porady starych przyjaciół nie czyniła nic... niech się nie porywa. Senatorowie i tak obawiają się jej.

Żalińska łamała ręce.

Zalecał referendarz jak największe umiarkowanie i cierpliwość, a gdy ochmistrzyni uskarżać się zaczęła na niedostatek, zaręczył, że prymas, życzliwy królewnie, on i inni obmyślają dla niej teraz odpowiednie środki utrzymania.

W tem wszystkiem, co tu przynosił Czarnkowski, było trochę prawdy, ale nie cała.

Królewna nie czuła jeszcze i nie widziała tego, jakiemi ją strażami obstawiono, jak każdy krok jej był pilno badany.

Panowie senatorowie, naówczas w Warszawie będący, w pierwszej chwili popłochu przewidywali, że Anna zechce sobie nadać zbyt przeważną rolę, że może opanować owe skarby tykocińskie, na które i Litwa i Korona zęby ostrzyły, otoczyć się partyą, uchwycić przewagę, pokierować elekcyą, narzucić im pana. Lękano się jej energii, chociaż dowodów jej jeszcze nie dała.

Pierwszy Talwosz, który biegał, podsłuchiwał, wywiadywał się, szpiegował, doszedł do tego, iż Annę chciano koniecznie otoczyć tak ścisłą strażą i dozorem, aby kroku samowolnie uczynić nie mogła. Pierwszy też on przybiegł przelękły donieść jej o tem.

— Miłościwa pani — rzekł żywo — z pomocą referendarza, jeżeli on istotnie wiernym jest, trzeba się temu opierać, a nie dać się uczynić niewolnicą. Wiem na pewno, że miłość waszą chcą z Warszawy wyprawić, do jej boku dodać senatorów, którzyby z oka nie spuszczali; z Warszawy pod pozorem powietrza wysłać do Płocka lub do Łomży. Mówią, że nawet posłańców i listy

będą przejmować, aby bez wiedzy senatorów nic z tych nie wyszło ani do Sztokholmu, ani do Brunświku.

Królewna zbladła, słuchając, lecz tak bardzo teraz już zastraszyć się nie dała. Pomyślała chwilę.

— Spróbujmyż — odezwała się — czy ja jeszcze wolną jestem, lub nie. Każ waszmość przygotować kolebki i mozaiki; pojadę do Błonia. Wprawdzie dwór tam niezbyt wygodny, ale ja o to nie stoję wcale. Zobaczymy, czy mnie kto wstrzymać się pokusi.

Talwosz pobiegł wydać rozkazy.

Natychmiast dano o tem znać referendarzowi i innym senatorom, zrobił się ruch pewien, naradzano się, biegano, ale postanowiono nie trwożyć królewnej, stawiąc jej przeszkody do wyjazdu. Nazajutrz jechała do Błonia.

Talwosz, który wił się i kręcił, aby coś pochwycić i przestrzedz, dowiedział się tymczasem, że dwaj Francuzi, wysłani przez królewnę matkę z Paryża, starali się w sekrecie dostać do królewnej i u niej mieć posłuchanie. Wahał się, czy ma o tem oznajmić królewnie lub nie i w niepewności tej, nie wiedząc, jak sobie radzić, udał się do Dosi Zagłobianki.

Nikt, ani nawet ona nie wiedziała stanowczo, kogo sobie życzyła Anna, cesarzewicza Ernesta, czy francuskiego Henryka; ale przenikliwe oko kobiety odgadło, do czego się królewna nie przyznawała.

W Błoniu więc, gdy Talwosz odpoczywał, nimby się znowu na zwiady puścił do Warszawy, Dosia poszła do swej pani, tak się wyrachowawszy, aby jej Żalińska podsłuchać i przeszkodzić nie mogła.

— Królowo moja — rzekła, przyklękając przed nią i całując jej ręce — Talwosz przybył z Warszawy... ale to, co z sobą przywiózł, tylko waszej miłości może być wiadomem. Są do was posłowie z Francyi od królowej matki, którzyby się potajemnie z miłością waszą widzieć i rozmówić potrzebowali.

Zagłobianka, spojrzawszy na swą panią, spostrzegła na jej licu tak żywe poruszenie, w którem mimowoli

się radość przebijała, a razem taki przestrach, iż ją to potwierdziło w domysłach.

— A! na Boga! — odezwała się, głos zniżając królewna i pochylając się do Dosi — ja o tem wiedzieć nie powinnam. Lękam się o nich. Gdybym nawet chciała i dozwoliła, niepodobna, ażeby potrafili się do mnie dostać niepostrzeżeni. Ty wiesz, żeśmy otoczone stróżami.

Anna niespokojna wstała.

— Co tu począć? co tu począć? — zawołała. — Ja im nic, nic ułatwić nie mogę. Niech Talwosz strzeże się też, bo co on czyni, to na mnie spadnie, ja odpowiadam za niego. Bez wiedzy panów senatorów mnie osobno nie wolno widzieć nikogo, z nikim się układać! Ty wiesz, że nawet do sióstr listu przesłać mi nie dają i jeśli referendarz ich nie przekradnie, nawet do nich pisać nie mogę. Ale sąż pewni ci posłowie?

— Talwosz nawet wiedział ich nazwiska — dodała Dosia. — Ostrożnie bardzo starali się tu przekraść, lecz widać, że mieli trudności, gdy dotąd się nie zgłosili.

Anna łamała ręce i rozważała, co ma czynić. Mówiła sama w sobie.

— Potrzeba tę niezmierną bojaźń senatorów ukołysać, choć na pozór będąc w początkach im posłuszną. Wyrzec się więc podróży na pogrzeb do Knyszyna, aby się nie obawiali tam pozyskania serc i skupienia wiernych nam koło mnie.

Po namysłach królewna kazała zalecić Litwinowi, aby ostrożnym był i do niczego się nie mieszał czynnie, a wszystko miał na oku. Sprowadzono go wreszcie na chwilę do Anny, w chwili gdy się wtargnięcia i podsłuchania Żalińskiej nie obawiano.

— Talwoszu mój — odezwała się Anna — niech ci Bóg płaci za twoje serce dobre i wierne posługi; nie opuszczaj ty mnie, ale nie daj się złapać na żadnej niemiłej senatorom imprezie. Musimy ich uspokoić. Widzisz, jak czuwają nade mną, jak gdybym nieprzyjacielem była!

— Niech miłość wasza — rzekł Talwosz — zbyt-

niej im uległości nie okazuje, ani nadto posłuszeństwa. Swoją wolę powinna pani nasza mieć i swą godność zachować. Senatorowie dobrze czują, co znaczy dziś dziedziczka tronu ze krwi i dlatego się jej obawiają. Wasza miłość masz potęgę wielką. Nie trzeba się dać krępować.

Słuchała królewna.

Talwosz, ucałowawszy jej ręce, zawinął się i pod pozorem rzeczy potrzebnych, zapomnianych na zamku w Warszawie, puścił się zaraz z Błonia do Warszawy.

Nazajutrz przybywał Czarnkowski, zawsze jako przyjaciel i sługa najwierniejszy, chociaż los królewnej nie tyle go obchodził, co własne rachuby na cesarza. Był on zręcznym posłem senatorów, kanclerza Dembińskiego, wojewody Firleja i innych, chociaż utyskiwał na ich despotyzm i zbyt surowy nadzór nad Anną.

Królewna poskarżyła mu się naprzód, że listów jej do sióstr nawet nie było wolno wyprawić, że i nad tem czuwano. Oburzony Czarnkowski podjął się pośrednictwa, obiecywał jej potajemnie wysyłać. Oprócz tego zapewnił, że senatorowie obiecywali opatrzenie, pieniądze, ludzi, dwór dla królewnej stosowny, ale prosili, aby z okolic Warszawy dla powietrza usunęła się do Płocka.

Nie przyznał się do tego, o czem wiedział dobrze, iż chciano królewnę oddalić dlatego, bo myślano o zwołaniu sejmu w Warszawie, a przytomność jej na nim nie była panom na rękę. Obawiali się uroku wspomnień, skupienia ludzi około niej, przewagi, jakąby ona uzyskać mogła.

Anna łatwo się tego domyśliła. Same okoliczności uczyły ją, co czynić miała. Instynkt wskazywał, aby to czyniła właśnie, czego jej zabraniali ci, których za nieprzyjaznych musiała mieć.

Nawet z Czarnkowskim, któremu ufała całkiem, o tem, co najbardziej na sercu miała, nie mówiła wcale. O posłach francuskich referendarz albo nie wiedział, lub mówić nie chciał. Przestrzegł tylko królewnę, ażeby ani nawet z cesarskimi wysłańcami bez wiedzy jego się nie zbliżała i nie wiązała niczem. Referendarzowi szło

o to, aby cesarz jemu, nie komu innemu, zawdzięczał pomyślny obrót swej sprawy.

Pokrótce i niezbyt wiernie zdawszy Annie sprawę ze zjazdu w Łowiczu, Czarnkowski powrócił nazad do Warszawy, oznajmiwszy tylko, że na wyjazd do Płocka nalegać będą.

Położenie tej osieroconej córki królów, która nigdy spraw ważniejszych w ciągu dość już długiego życia nie dotykała, a teraz sama sobie musiała radzić, czując, że na nikim się bezpiecznie oprzeć nie zdoła, było zaprawdę trudnem. Można było, nie znając tego, ile czasem sił zamknięta dusza ludzka przyzbierać może w sobie, przewidywać, że się da złamać i nie podoła walce. Tymczasem w miarę trudności, jakie się rodziły, przeszkód, zawad, umysł się budził, energia rosła, instynkt dobywał z głębi.

Anna, dawniej płacząca, milcząca, modląca się, zajęta swojemi wychowankami, dobremi uczynkami, ogródkiem, podarkami dla sióstr, drobnostkami życia niewieściego, nagle umiała zająć stanowisko, z którego jej cała siła gromady senatorów zepchnąć nie zdołała. Potrafiła milczeć, a w chwili stanowczego wyboru zawsze pójść w kierunku, który przyszłości nie zagradzał.

Niezupełnie próżnemi okazały się obawy Firleja i Dembińskiego, którzy się w niej lękali odrodzonej Bony. Nie rozpoczynając walki, nie wypowiadając wojny, pozornie im nawet ulegając, Anna tak umiała swą godność i niezależność zachować, iż musieli ciągle się z nią rachować. Oni też przeciwko niej wystąpić jawnie nie mogli, opasywali tylko żelaznem kołem.

Po kilku dniach Talwosz zjawił się znowu. Przywoził wiadomość, że posłowie francuscy kręcili się w okolicy, że trudno im było ważyć się do królewnej, bo ich już wytropiono i śledzono... że może nawet nie dostaną się do niej, ale mieli być dobrej myśli i ufali, że ich królewicz pozyszcze sobie dosyć przyjaciół, aby uprzedzić i zwyciężyć cesarzewicza.

Gdy to mówił, królewna, obojętną udając, stała

j oczyma spuszczonemi, lekki rumieniec przebiegł po zej twarzy.

Talwosz przewidywał, że senatorowie nalegać będą na wyjazd z Warszawy do Płocka i zdawało mu się, że można było ich usłuchać. Kto wie, czy w Płocku Anna spokojniejszą i swobodniejszą być nie miała?

Królewna nie odkryła się z tem, co myślała, kazała jednak Talwoszowi, aby na wszelki wypadek dwór gotował się do podróży.

I znowu nadbiegł Czarnkowski, tym razem z przyjacielską radą wiernego sługi, ażeby Anna usłuchała senatorów i jechała do Płocka. Królewna wyraziście mu w oczy popatrzyła.

— Nie będę się opierać — rzekła — jeżeli zechcą, pojadę, spodziewam się tam nareszcie spotkać z moją kochaną krajczyną Łaską, a tak mi dobrze czekać na jakiś koniec tam, jak tu.

— Powietrze zbliża się do Warszawy! — dodał referendarz.

Uśmiechnęła się Anna.

— Panie mój — odparła — o ile ja wiem, równie ono grozi i w Płocku, ale wola Boża i opieka Jego nade mną wszędzie jedna!

Westchnęła.

— Pojedziemy więc do Płocka.

Czarnkowski miał jeszcze coś do oznajmienia z czem się wahal, bo chciał niemiłej nowinie nadać pozór jakby była pomyślną.

— Panowie senatorowie—odezwał się, takby radzi czuwać nad miłością waszą, tak chcą jej bezpieczeństwo zapewnić i wszystkim jej wymaganiom zadość uczynić, iż zamierzają jeno do osoby jej dodać dla powagi i uświetnienia dworu z pomiędzy siebie, zacnego ks. biskupa chełmskiego, Wojciecha ze Starożreb Sobiejuskiego i wojewodę płockiego, Uchańskiego.

A— roześmiała się królewna, — straż tedy mi postawią, abym im nie zbiegła!

Poruszyła ramionami. Czarnkowski się zmieszał nieco.

— Ale miłość wasza swobodną będziesz przy tej straży, jak gdybyś żadnej nie miała — rzekł żywo,— a oni przynajmniej czuwać muszą, aby jej i dworowi na niczem nie zbywało.

— Dziękuję za tę troskliwość — dodała, wzdychając Anna. — Niech będzie, jak postanowią senatorowie. Widzisz, kochany referendarzu, iż powolniejszą nade mnie być niepodobna, nieprawdaż?

Skłonił się Czarnkowski, usiłując zaraz czem innem zatrzeć wrażenie. Uprzedzał królewnę, że chodziły ciągłe pogłoski o francuskich posłach, potajemnie się uwijających, a drudzy i o cesarskich też wysłańcach podobnych do królewnej opowiadali.

— Ale miłość wasza — dodał referendarz bardzo żywo i gorąco — nie powinnaś ani jednym, ani drugim dać przystępu do siebie. Z godnością waszą się to nie zgadza, aby tajemniczym knowaniom podawać rękę.

— W tem macie zupełną słuszność — przerwała Anna, — ani potrzebuję, ani chcę nic czynić sekretnie. Jedne tylko moje listy do sióstr muszą się w ten sposób za pośrednictwem waszem przekradać, ale gdzie o stosunki między rodzeństwem chodzi, tam panowie senatorowie nosa wtykać nie mają prawa.

Czarnkowski ręce na piersiach skrzyżowawszy, potakiwał. Słyszał on coś już o wysłaniu cesarza do Anny i lękał się, aby ona wprost się nie porozumiała z Maksymilianem, boby naówczas on i jego robota, za które mu znaczne pieniądze obiecywano, na nic się nie przydała. Anna go zupełnie uspokoiła.

Dawno temu, za czasów, gdy żył jeszcze Zygmunt Stary i królowała królowa Bona, zjawiło się na dworze jej chłopię, włoskiego pochodzenia, rodu jakoby znakomitego, ale podupadłego, a zwano je Alfonsem Gastaldi. Na dworze Zygmunta wychował się ładny, żywy, dowcipny, nad wiek swój rozumny a przebiegły

ulubieniec starej królowej. Uczono go, pieszczono i bawiono się nim na dworze.

Obok włoskiego języka, Gastaldi nauczył się doskonale po polsku. Zdawało się, że dorósłszy, utrzyma się przy dworze, i mając opiekę a łaski, wynieść się potrafi i zająć ważne stanowisko.

Nagle stało się coś niezrozumiałego. Gastaldi z wielkich faworów popadł w niełaskę, a wkrótce potem z listami, polecającemi go, zjawił się na dworze cesarskim. Utalentowany młodzieniec, pięknej powierzchowności, zalecony dobrze, zyskał tu posadę, umiał się podobać i stał się sługą cesarskim.

Królewna Anna znała go dobrze. Widywała często, lubiła dosyć.

Teraz, gdy do Polski potrzeba było ludzi, którzyby ją znali i wiedzieli, jak się tu obracać potrzeba, nastręczył się Gastaldi.

Mógł jako napół Polak, mający pono nawet pewne prawo obywatelstwa, zjawić się tu, nie budząc podejrzeń i jednać cesarzowi przyjaciół. Charakter, temperament, natura czyniły go do tego bardzo sposobnym.

Czarnkowski, który o wszystkiem, co spraw cesarza w Polsce się tyczyło, był doskonale uwiadomionym, w Warszawie po wyjeździe królewnej do Płocka otrzymał niepokojącą wiadomość, że signor Alfonso Gastaldi był już w Polsce, a co gorzej, że miał polecenie potajemnego widzenia się z królewną i zawarcia układów o małżeństwo jej z Ernestem.

Przestraszył się niezmiernie referendarz; znaczyło to wyrwanie mu całej zasługi, że on na tron wprowadził rakuskiego pana. Wiedział Czarnkowski, że nie był sam jeden w Polsce, któremu powierzono sprawę elekcyi, ale dotąd zdawało mu się, że on mógł być głównym czynnikiem. Uląkł się, aby go Gastaldi nie podszedł.

Signor Alfonso był królewnie dobrze znany, zabiegliwy i zręczny.

Anna już była wyjechała do Płocka z dosyć licznym dworem wiernych sług swoich i dodanych jej wiernych sług panów senatorów. Nie mogła się uskarżać

teraz ani na brak czci, ani na małą troskliwość; kłaniano się jej, posługiwano, lecz otaczano tak ściśle, tak szczelnie, iż nawet zręczny Talwosz i przebiegła Dosia nie mogła przenieść ani świstka, ani rozkazu, nie będąc zaraz wyśledzeni.

Zaopatrywano wszelkie potrzeby, ale czujne warty stały widzialne i niedostrzeżone dokoła.

Pan wojewoda Arnold Uchański wyjechał naprzeciw królewnej, czekał na nią łagodny, uśmiechnięty biskup Wojciech, na zamku znalazła przygotowane na przyjęcie komnaty, śpiżarnie zaopatrzone, lecz u wrót straże i sługi nieznane, które się nastręczały do wszystkiego, aby nic się bez nich nie działo.

W pierwszych chwilach przykre wrażenie niewoli zatarła radość z widzenia krajczyny Łaskiej, przyjaciółki serdecznej i żywej, czynnej, niezmordowanej do posług, szczerze do królewien przywiązanej.

Z nią razem przybyła sierotka, Zofia Łaska, dziewczę skromne i łagodne, którą Anna przyjęła serdecznie i chciała, aby przy niej została, widząc w niej „wielką sierotę", jak się wyrażała, a sama też ona była sierotą największą.

Musiano się urządzać na zamku, rozpatrywać we wszystkiem, a nadewszystko Anna potrzebowała serce swe wylać przed przyjaciółką krajczyną.

Całe, aż do jednego tajemniczego zakątka, który pozostał zakryty nawet dla niej, bo się go odsłonić wstydziła.

Tego, co czuła dla Henryka, swoich nadziei na francuzkim królewiczu pokładanych, nawet krajczynie zwierzyć nie mogła. Ludzie posądzać ją, domyślać się, przeczuwać coś zdołali może, ona się przyznać nie chciała, aby nie rumienić się potem, gdyby Bogu podobało się dotknąć ją nowym zawodem.

Z małemi odmianami, ten sam dwór, ciż ludzie, co w Warszawie, otoczyli ją w Płocku, lecz miała tu krajczynę, jako tarczę i obronę od nieznośnej zawsze Żalińskiej i jej syna; Zosię sierotkę, której Dosia Zagło-

bianka stała się towarzyszką i opiekunką. Troski o chleb powszechny nie tak były w Płocku dokuczliwe.

Towarzystwo codzienne pomnożyło się przybyciem biskupa chełmskiego, który był gościem ciągłym, a prawie każdego też dnia zjawiał się wojewoda Uchański, na pozór z uszanowaniem, wistocie dla zbadania, czy się tu co nie knuło potajemnie.

W parę dni po przybyciu do Płocka, czynny Talwosz już się rozpatrzył, poznał z ludźmi, zyskał niektórych i obracał się tak swobodnie, jak w Warszawie, a przez Dosię, bo mu to było najmilszem, zawiadamiał królewnę, gdy dostał języka.

Najgorzej na przesiedleniu wyszła Żalińska, która mniej się mogła narzucać i nie tak nieznośnie zrzędzić. Krajczyna w różny sposób zamykała jej usta, a pana Matyasza, nastręczającego się do posług, zbywała ostro.

Oszczędzono królewnie chwil nieprzyjemnych, choć trosk zawsze jej dosyć pozostawało.

W kilka dni Talwosz przyniósł wieczorem z miasta wiadomość, iż napewno w okolicy znajdował się pan Alfons Gastaldi, który miał użyć wszelkich środków, aby się wkraść na zamek i dostać do królewnej.

Nie zdawało się to ulegać wątpliwości, chociaż razem z tą chodząca wieść, jakby przy nim znajdował się przebrany arcyksiążę Ernest, który osobiście chciał poznać i zalecić się królewnie, wyglądała na bajeczkę.

Dosia pobiegła zaraz o tem zwiastować swej pani, sądząc, że może sprawi jej tem przyjemność, ale wzbudziła tylko przestrach wielki.

Królewna Anna kazała natychmiast przywołać Talwosza.

— Cóżeś to za plotki przywiózł z miasta? — odezwała się, podchodząc ku niemu.

— O Gastaldim nie plotka — rzekł Litwin — ale najwierniejsza prawda. Nie wiem, czy on się tu dostanie, ale, że po okolicy się uwija i o to stara, niema wątpliwości.

— Ja go widzieć ani chcę, ani potrzebuję — prze-

rwała Anna smutnie. — Wolałabym zapobiedz temu aby się do mnie nie dostał.

Talwosz nie umiał na to odpowiedzieć. Przynosił, co słyszał, lecz sam nie miał sposobu ani sprawdzić pogłoski, ani się zbliżyć do wysłańca cesarskiego. Był tu człowiekiem nowym, a Gastaldi, wedle wszelkiego podobieństwa, musiał się chyba posługiwać dawnemi swemi znajomości na dworze.

Królewna przeszła się parę razy po komnacie zasępiona.

— Talwoszu mój — rzekła wkońcu, obracając się do niego — pilnujcie wy, proszę, na zamku, aby się ludzie obcy i nieznajomi nie wciskali. Mam i tak dosyć kłopotu z panami senatorami, którzy mi nie dowierzają, podejrzewają... Nie chcę nic robić potajemnie, z nikim widzieć się, mówić nie potrzebuję. Gastaldi jest bardzo zręczny i śmiały, trzeba się mieć na baczności.

Anna wyszła z tem. Na zamku pilnowano się o tyle, o ile było można, aby obcych nie wpuszczać. Ale ludzie z miasta wchodzili ciągle, przywożono rzeczy różne, przybywali do urzędników zamkowych meldujący się nieznajomi, tak, że dopilnować się było trudno. Królewna zamknęła się niespokojna w swoich komnatach z krajczynią i Zosią. Wychodziła tylko do biskupa i wojewody, oczekiwała na Czarnkowskiego, który był niezmiernie czynny.

Miał wistocie wiele na głowie. Musiał utrzymać się w łaskach i zaufaniu królewnej, nie zaniedbywać księżnej Zofii i nie dać w podejrzenie senatorom, a oprócz tego i przedewszystkiem służyć cesarzowi, po którym się najwięcej spodziewał.

W całym kraju wrzenie i niepokój nie ustawały. Na oko najsilniejsze było stronnictwo cesarskie i cesarz miał zdawna tu oddanych sobie, a blizkość granic Polski ułatwiała mu przygotowania do elekcyi. Przez kardynała Commendoniego pewien był poparcia duchowieństwa. Wszystko więc zdawało się mówić za nim. Lecz pomimo zbliżenia się, jakie z niesłychaną zręcznością Commendoni umiał wyjednać u Firleja i Zborow-

skich, stara waśń i antagonizm gorzały pod popiołami. Można było przewidzieć, że gdy Firlej chwyci się jawnie cesarskiej strony, przeciwnicy pójdą za innym kandydatem.

Tegoż dnia, gdy Talwosz oznajmił królewnie o Gastaldim, a ona, oczekując na Czarnkowskiego, z trosk swoich nawet krajczynie się zwierzyć nie chcąc, zamilkła zafrasowana wielce, wieczorem przyszedł zwykły ból głowy, który ją często trapił.

Pożegnawszy więc wcześniej, niż zwykle, obie Zofie, przywołała Dosię i poszła z nią do swej sypialni na spoczynek.

Zagłobianka niosła świecę przed Anną, a że w komnacie była jak u siebie, i wszystko tu własnemi rękami uporządkowywała, uderzył ją na stole spory zwitek papierów, który ukazała idącej za sobą królewnie.

— Niechże już miłość wasza — rzekła — da dziś pokój wszelkiemu czytaniu, a oczy i umysłu nie męczy.

— Ale cóż to być może? — zapytała Anna niespokojnie.

— Ja nie wiem — odparła Dosia, — sądziłam, że wasza miłość samiście tu te papiery złożyli.

— Żadnych nie miałam dziś — odparła królewna, zbliżając się do stolika.

Na wierzchu leżał półarkusz papieru, nieforemnie złożony, jeszcze gorzej przypieczętowany, który Anna niespokojnie rozerwała. Wewnątrz ręką jakąś czy niewprawną, czy niechcącą się zdradzić stało tylko słów kilka, które przeczytawszy prędko, królewna obejrzała się, palec położyła na ustach, dała znak Dosi, aby milczała i szybko papiery schowała do stojącego u łoża stoliczka. Na licu jej malował się niepokój wielki.

W milczeniu poczęła się królewna rozbierać, nie rozmawiając nawet z Dosią, bo się obawiała, aby Żalińska lub syn jej z bocznej komory nie podsłuchiwali. Zagłobianka rada była wiedzieć, skąd się tu wzięły te papiery tajemnicze, ale pytać się nie śmiała.

W tej chwili weszła Żalińska, rzuciła okiem dokoła i zbliżyła się do Anny.

— Cóż to tak wcześnie do łóżka? zapytała.

— Głowa mnie znowu boli — cicho i bojaźliwie odparła Anna.

— Jak niema boleć! — prawie szydersko poczęła stara, biorąc się w boki, — kto cały dzień stęka, piszczy, narzeka, jak wy, musi wkońcu napytać biedy! Nie trzeba się tak pieścić.

— Żalińska moja! — z wymówką odparła Anna— możeszże ty mi to wyrzucać?

— Ależ bo wistocie królewianko moja — wołała, ciągnąc dalej, ochmistrzyni — sami już nie wiecie, czego chcecie?

— Na ten raz, Żalińsiu, chcę tylko odpocząć — odezwała się królewna. — Dosia posiedzi przy mnie. Dobranoc!

Odprawiona tak ochmistrzyni usta zagryzła.

— Ja wiem, że moje usługi już teraz niemiłe i niepotrzebne — ciągnęła dalej — ani ja, ani Matyasz nie mamy łaski.

— Jesteś niesprawiedliwą — słabym głosem poczęła Anna, — bądź pewną, że serca nie straciłam do ciebie, ale... proszę cię... w tej chwili daj mi spocząć... głowa mnie boli bardzo!

Żalińska porwała się gniewna i mrucząc coś niezrozumiałego, wybiegła szybko, stukając drzwiami za sobą, co królewna zniosła cierpliwie.

Tym sposobem uwolniwszy się od Żalińskiej, rozkazawszy Dosi opatrzyć drzwi, Anna w łóżku już poczęła rozpatrywać papiery, które znalazła na stoliku.

Karta do nich przyłączona, pisana była ręką Gastaldiego, a listy pochodziły od cesarza Maksymiliana, który wprost z królewną chciał się układać o zaślubienie z nią Ernesta i odziedziczenie tronu polskiego.

Gdy czytając, serce jej biło gwałtownie, oczy zaszły łzami, dziwne jakieś uczucie trwogi ogarnęło ją,— smutek po straconych nadziejach. Miała niewysławiony wstręt do rakuskiego pretendenta i do tego domu, z którym związki dla Jagiellonów nigdy korzystnemi nie były, przynosiły z sobą zawsze zawody i smutki.

Pod klucz schowawszy te niebezpieczne papiery, Anna długo słowa odezwać się nie mogła. Dosia zdala czekała w kątku na rozkazy. Skinęła na nią.

— Na Boga, Dosiu moja — szepnęła jej do ucha, — o papierach tych nikomu ani słowa! Ale, jeżeli się dowiedzieć możesz, dojść, dośledzić, kto je tu położył, jak się na stół mój dostały, będę ci bardzo wdzięczną. Powracaj do mnie, jeżeli się co dowiesz, ja spać nie będę... połóż się tu u mnie blizko. Drżę jeszcze cała.

Królewna się rozpłakała. Zagłobianka kilku słowy uspokoiwszy ją nieco, wybiegła natychmiast na zwiady. Sama nie wiedziała, jak spełni rozkazanie. Pierwszą spotkała Żalińską, która dla syna (choć nie lubiła Dosi) oszczędzać ją musiała.

— Cóż to się Annie stało? — poczęła ochmistrzyni. — Znowu głowa? Znowu nas będzie męczyć piskiem i udaną chorobą?

— Ja o niczem nie wiem — obojętność udając i namyślając się, odparła Dosia. — Królewna, wchodząc do sypialni, postrzegła, że jej tam ktoś książki i papiery porozrzucał. To ją rozgniewało. Nie wiecie, kto tam w sypialni gospodarował?

Oburzyła się Żalińska.

— Kto? gdzie? w sypialni? a to mi się podoba! Nikt nie może się dostać do niej bez mojej wiedzy... ja nie wychodziłam nigdzie. Śni się wam, nikt nie ruszył nic. Chyba ta nowa wychowanka, wojewodzianka Zosia, poprzewracała, szukając.

— Ale nie — zaprzeczała Zagłobianka. -- Ktoś obcy musiał się wkraść.

— Obcy? a ja tu od czego? — gniewnie oburzyła się Żalińska. — Oprócz stróża, który drewka na komin przynosił, żywej duszy nie było.

Zmilczała Dosia i urywając rozmowę, wybiegła do sieni. Szukała oczyma Talwosza; stał on, wypatrując jej właśnie, a zobaczywszy wychodzącą, domyślił się, że był potrzebnym.

W kilku słowach opowiedziała mu Zagłobianka,

o co chodziło; Litwin zrozumiał, dał znak, aby czekała na niego i pobiegł na podwórze.

Dosi nie było bardzo przyjemnie stać w antykamerze, gdzie ją zaraz otaczano, bo nie było między dworzanami młodszymi jednego, któryby się do niej nie zalecał, choć wszystkich wyśmiewała, — lecz musiała.

Z kolei, ilu ich było, przychodzili się nastręczać do posług i odprawieni, usuwali się kwaśno. Jedno to ich mogło pocieszać, iż żaden z nich nie miał się czem pochwalić. Nawet poważny Koniecki, choć nosił swe dostojeństwo ochmistrza teraz w Płocku jeszcze majestatyczniej, niż w Warszawie, przyszedł pięknej Dosi się pokłonić.

Talwosza długo nie było; Zagłobianka już się miała cofnąć, nie doczekawszy go, gdy powrócił nareszcie, ale przy Konieckim mówić nie było można.

Dosia wprowadziła go z sobą do przedpokoju.

— Znalazłeś stróża?

— A jakże — odparł Talwosz; — nie czyni on z tego tajemnicy, iż za biały grosz, który mu dał jakiś bardzo poważny pan, już niemłody, ofiarował się papiery, nikomu ich nie dając, położyć w sypialni królewnej.

— Nie doszliście, kto to był? — spytała Zagłobianka.

— Stróż przysięga się, że go pierwszy raz widział w życiu — mówił Talwosz, — ale tak dostojnie wyglądał, iż czuł się w obowiązku usłuchać go, zwłaszcza, gdy groszem poparł swoje żądanie. Poszedłem potem na zwiady po zamku, do wrotnych, czy nie widzieli kogo obcego, wchodzącego na zamek; powiadają, że połowy tych, co tu teraz przybywają, nie znają i pierwszy raz ich widzą. Dojść bardzo trudno. Obawiam się tylko, abym dochodzeniem tem nie obudził niepotrzebnie uwagi tych, co nas tu na każdym kroku śledzą.

Z niewielką zdobyczą powróciła Dosia do królewnej, którą znalazła z różańcem w ręku w łóżku, niespokojnie oczekującą na wiadomość. Jawnem było, że Gastaldi, nie mogąc tu zwierzyć się nikomu, zuchwale nieroztropnie papiery powierzył człowiekowi, który

łatwo mógł się zdradzić niezręcznością. Cudem prawie listy cesarskie dostały się do rąk królewnej.

Co o nich i o tem wszystkiem myślała Anna, Dosia tylko z zapłakanych oczu, z westchnień i smutku w twarzy dorozumiewać się mogła. Nie przyniosły one pociechy. Serce i nadzieje królewnej były gdzieindziej.

Zrana przybywająca krajczyna znalazła królewnę bledszą i smutniejszą, niż zwykle, ale badana nie przyznała się do tego, co ją napełniło trwogą.

Zaledwie Anna miała czas się ubrać, gdy Konieck z powagą urzędową przyszedł oznajmić, iż ksiądz biskup chełmski przybył i o posłuchanie pilno się dopraszał.

Ksiądz Wojciech ze Staroźreb był łagodnym, uprzejmym, słodkim starowiną, do którego królewna nie miała zbytniego zaufania. Stał on tu na straży, jako wysłaniec panów senatorów, którzy przy wszystkich zapewnieniach wierności i przywiązania, grozili królewnie coraz większą niewolą. Był więc nieprzyjacielem.

Anna była dla niego uprzejmą, ale ostrożną.

Ksiądz Wojciech pozdrowił ją bardzo uniżenie i serdecznie, zapytał, jak się miała, zasiadł na wskazanem przy stole krześle i ciężko westchnął.

— Przychodzę do miłości waszej z niemiłem zleceniem — rzekł, — ale proszę wierzyć, że co się tu czyni, wszystko dla przyszłego dobra miłości waszej. Wiemy z pewnością, że Gastaldi jest tutaj, że się starał dostać na zamek i listy cesarskie, które miał z sobą, potrafił przesłać miłości waszej.

Królewna zaniemiała za zdziwienia. Zbladła, nie wiedząc, co odpowiedzieć w początku. Nie mogła się zaprzeć, boby jej to uwłaczało, nie wiedziała, czy wypadało się przyznać.

Ksiądz Wojciech, nie odbierając odpowiedzi, dodał słodko:

— Z wielkim dla mnie smutkiem muszę o tem donieść panom senatorom, a straże około miłości waszej podwoić. Nie mogą na to pozwolić panowie senatorowie, aby jakiekolwiek układy bez ich wiedzy przychodziły do skutku.

W casie, gdy biskup to mówił, Anna miała czas ochłonąć i namyśleć się.

— Ojcze mój, — odparła — czyńcie to, co wam polecono i co poczytujecie za swój obowiązek, nic nie mam przeciwko temu, ale mnie, królewskiej córce, która nad sobą nie uznaje władzy innej nad Boga, wolno jest też czynić, co dla siebie poczytam lepszem. Niewolnicą nie jestem i nie będę. Dosyć już odjęliście mi swobody, niedopuszczając pisać nawet do sióstr, ani ludzi pilnować, jakichbym potrzebowała. Znoszę to do czasu, ale wreszcie głos podniosę i słyszanym on będzie ; użalę się i znajdę przyjaciół, co staną w mojej obronie.

Wyrzekła to z taką godnością, z takiem wzruszeniem, iż biskup musiał zamilknąć.

— Nie można panom senatorom brać tego za złe— odezwał się po przestanku. — Idzie tu o los przyszły państwa, nad którem czuwać muszą, bo są odpowiedzialni. Nie mogą dozwolić, aby bez ich wiedzy rozporządzano.

— A któż o tem myśli?—odparła dumnie królewna.— Ja się wcale nie porywam na to, ale oświadczam wam też, że nad sobą nie dopuszczę właści nikomu.

— Ale miłości waszej doręczono listy cesarskie? — rzekł ksiądz Wojciech.

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się z tego przed wami—spokojnie odezwała się królewna.

— Gastaldi zabiega, aby mógł się widzieć i mówić z miłością waszą.

— Anim go widziała, ani wiem o tem — mówiła królewna chłodno.

Biskup zdradził swą trwogę, załamał ręce.

— Powiadają, że z nim razem ma się znajdować przebrany Ernest, syn cesarski!

— A wy, ojcze mój, wierzycie temu? — zapytała królewna — i sądzicie, że ja zgodziłabym się na potajemne widzenie się z nim? Tem mi uwłaczacie!

Nigdy jeszcze biskup nie widział królewny tak energicznej; zadumał się, ale własnemu zbyt ostremu wystąpieniu począł to przypisywać. Złagodniał więc.

— Wasza miłość przebaczycie mi — dodał ciszej— ja jestem posłem tylko... czynię, co mi zlecono.

— A wy, ojcze, darujcie mi też, iż staję w obronie godności nie mojej tylko — rzekła Anna — ale tych Jagiellonów, z których tu jestem ostatnią.

Biskup skłonił głowę milczący, nie wiedział już, co ma czynić dalej. Trwała cisza przez dobrą chwilę. Anna pierwsza ją przerwała.

— Uciekłam z Warszawy przed powietrzem — rzekła — ale od kilku dni przynoszą wieść, że się ono zbliża do Płocka. Nie wiem, co tam pomyślą sobie i powiedzą na to panowie senatorowie, ale skoro niebezpieczeństwo zagrozi, wyjadę stąd. Tego mi nikt nie zabroni.

Ksiądz Wojciech spojrzał tylko na królewnę; na licu jej widział postanowienie mocne.

— Ale dokądże? — rzekł, ręce pobożnie składając.— Zaprawdę wybór będzie trudny. Wszędzie prawie po grodach i po większych miastach szlachta się tłumnie zjeżdża dla narad, a gdziekolwiek ciżba, tam niebezpieczeństwo większe.

— Wybierzmy kąt spokojny—odezwała się Anna — a zresztą i to wam powiedzieć przystoi zawczasu, że gdy panowie senatorowie tak się obawiają, abym ja bez nich o sobie nie postanowiła, ja też czuwać muszę nad tem, aby oni o mnie nie stanowili beze mnie i bez mej wiedzy. Zezwolą, czy nie, tam, gdzie mi się znajdować będzie potrzeba, pojadę. Nikt nie śmie królewskiej córki zatrzymać!

Mówiąc to, Anna wstała, lecz jakby siły jej się wyczerpały, padła na krzesło, chustkę do oczu przyłożyła i siedziała, zachodząc się cichym płaczem.

Ksiądz biskup chełmski, którego wystąpienie doprowadziło do tak niepomyślnych następstw, siedział również zmieszany i zakłopotany. Z ust wyrywały mu się wyrazy niepowiązane i niezrozumiałe, widział potrzebę uspokojenia rozdrażnionej królewnej, która dotąd dosyć się łagodną powolną radom jego okazywała. Z drugiej strony lękał się, aby nie ustąpił za wiele i nie naraził się w górze.

Dochodziły już do Płocka odgróżki szlachty, która opanować chciała skarb na potrzeby państwa. Z drugiej strony Litwa także do tego skarbu równe sobie rościła prawa, a głośniej jeszcze zaprzeczała ważności rozporządzeniu k óla i samowolni · już dobra domu Jagiellońskiego, należące do rodziny, zajeżdżała i zabierała.

Takie przyna mniej wieści przynoszono z Litwy, gdzie Chodkiewicz się oświadczał, iż Unię zerwie.

Tak ze wszech stron spadały ciosy na ostatnią z Jagiellonek. Ale właśnie może wielkość n ebezpieczeństwa, gro a tego położenia, wydobywały ze słabej dotąd kobiety siły, jakich się w niej n kt nie spodziewał.

Płakała jeszcze czasem, zamknąwszy się w sypialni, ale gdy tak, jak dziś, potrzeba było w obronie swych praw wystąpić, znajdowała w sobie dosyć energii, aby nie uledz naciskowi i nie poddać się władzy, której nie uznawała.

Biskup chełmski, ułagodziwszy, jak mógł i umiał królewnę, pożegnał ją, śpiesząc na naradę do wojewody Uchańskiego.

Królewna, do której prawie współcześnie z listami cesarskiemi doszły zatrważające groźby Litwinów, już zagarniających jej majętności, wahała się jeszcze, jak postąpić miała i kogo posłać tam, aby stanąć w jej obronie. Talwosz, choć czynny i obeznany z ludźmi, nazbyt jej był tu potrzebnym. On sam czuł się za małym do podjęcia sprawy takiej wagi, a obawiał się dumy i gwałtowności Chodkiewicza. Czekać więc było potrzeba.

Tymczasem po zuchwałym podrzuceniu listów cesarskich, choć i biskup i wojewoda płocki strzegli się rozjątrzyć królewnę, obawiając się, aby im z Płocka nie pierzchnęła, podwojono dokoła straże pilne, zamek uczyniono niemal więzieniem. Za wychodzącymi i powracającymi sługami snuli się dodani im nadzorcy. Talwosz widział wszystko, oburzało go to, po cichu donosi' Dosi, a'e był on i ona tego zdania, że Ann:e o tem mówić nie na eżało.

Litwin uśmiechał się gorzko.

— Gdyby była potrzeba — mruczał pocichu — potrafilibyśmy ich wszystkich wywieść w pole, a w do-

datku ich własnymi ludźmi się posłużyć... ano, potrzeba być cierpliwym aż do końca.

Dosia Zagłobianka mniej tu się swobodnie obracać mogła, lecz czuwała pilno nad panią swą, a musiała też i na Żalińską mieć oko, aby jej nie dopuścić znęcać się nad królewną. Często bardzo ona sama padła ofiarą, łudząc potrosze rozkochanego Matyasza, który miał nad matką przewagę, i czyniąc mu nadzieje, które się ziścić nie miały. Naówczas Talwosz, który był zazdrosny i którego oka nic nie uszło, rozpaczliwie patrzał na Zagłobiankę, a ta go zbywała szyderstwy.

Dla królewnej jedyną pociechą było, że miała swą ukochaną krajczynę, z którą obie razem po całych dniach układały listy do księżnej brunświckiej, donosząc jej o najmniejszych zachodzących tu wypadkach. Pisma te oczekiwały na referendarza, który je potajemnie miał przesyłać.

Ksiądz biskup chełmski i wojewoda Uchański wiedzieli, że panie obie dużo pisały, domyślali się, że pisanie to musiało stąd gdzieś odpływać, ale na trop wpaść nie mogli. Referendarz umiał tak zręcznie chodzić, iż za sobą ślady zacierał.

O Gastaldim poszły doniesienia do panów senatorów, bo biskup lękał się odpowiedzialności, a królewnej Anny codzień się więcej obawiano, przekonywując się, że przy pozornej łagodności miała energię niepospolitą i lada czem się zrazić, ani zastraszyć nie dawała.

Ks. Wojciech, chociaż z obowiązku swego dozorował i donosił, nie rad był się narazić królewnie za każdym razem przybywając, starał się łagodzić, pocieszać i dowodzić swej życzliwości. Miło mu też było, gdy wprost do niego przybył jednego ranka szlachcic z okolicy, niejaki Lesznowski, prosty sobie, zażywny, rumiany, opalony człek w starodawnej mody wiejskiem ubraniu, cale nie wyglądający na dworaka, kłaniający się do stóp, całujący po rękach, który mu oświadczył, że będąc żonaty z Litwinką, wielką miał miłość dla rodziny Jagiellońskiej, którą i jejmość jego podzielała, że oboje oni widzieli z kompasyą osierocenie ostatniej z rodu pani, którejby wedle przemożności chcieli się czemś przysłużyć.

— Ale—dodał naiwnie Lesznowski — powiadają, że na zamek do królewnej nie puszczają bez wiadomości panów... więc się oznajmuję, żem przywiózł dla pani naszej wóz zwierzyny na kuchnię.

Biskup się rozśmiał.

— No, to mnie się z tego dziesięcina będzie należała?

— Ja o tem nie zapomniałem — rzekł, w rękę go całując, szlachcic — jest kozioł i dwanaście kuropatw dla pasterza.

— Więc czegoż chcecie? — zapytał się biskup.

— A oto bym ja pragnął mieć to szczęście sam do nóg upaść królewnie i ofiarę jej złożyć — na to chciałbym otrzymać pozwolenie!

Biskup ruszył ramionami.

— Cóż bo wy znowu myślicie, że my królewnę w niewoli trzymamy, czy co?—odezwał się.—Każdemu do niej przystęp wolny, a jeżeli się patrzy i ogląda, to dlatego, aby ją nie trapili intryganci, którzy w mętnej wodzie radzi ryby łowią. Takim, jak wy, nigdy drzwi nie są zamknięte.

Lesznowski, otrzymawszy pozwolenie biskupa, pojechał na zamek i, nadzwyczaj mądrze, zgłosił się tu do Talwosza, którego wziął na stronę.

— Ks. biskup chełmski pozwolił mi królewnie ofiarować wóz zwierzyny — rzekł do niego cicho — ale waszmości to ja powiedzieć mogę, żem nie dla zwierzyny przybył; posłał mnie tu poufnie pan Chodkiewicz i trzeba mi się z królewną widzieć na cztery oczy, ale tak, aby z tego gadania nie było. Ludzie mają wiedzieć, żem wóz sarniny i ptactwa nabitego u mnie w lesie do kuchni dostawił i tyle.

Spojrzeli sobie w oczy z Talwoszem; Litwin był niedowierzający.

— A jak królewna nie zechce się widzieć z wami?— spytał.

— Uczyni źle — odezwał się Lesznowski — bo o jej sprawę idzie... Litwa sobie bez niej radę da, a ona

bez Litwy... nie wiem. Powiedzcie, żem od Chodkiewicza posłany; ona wie, co on znaczy i co może.

Poszedł tedy Talwosz, ale niełatwo było tak ułożyć posłuchanie, aby ani krajczyna Łaska, ani nikt ze dworu nie był przytomnym, i żeby to nie zwróciło oczu. Żalińska, Koniecki zazdrośni byli i nieradzi, gdy ich pomijano.

Udało się wszżakże Talwoszowi uprosić królewnę, aby Lesznowskiego dozwoliła wpuścić do komory osobnej, od której drzwi do izby posłuchalnej miały stać otworem, a tu tylko jedna krajczyna się znajdowała.

Otrzymawszy pozwolenie, Lesznowski suknie ociągnął na sobie, pasa poprawił, czuprynę pogładził i wpadł tak śmiało i raźnie, jakby innym był całe człowiekiem, nie tym, który przed biskupem niuńkę udawał.

Królewna poczęła mu dziękować za poczciwą ofiarę jego, gdy on, nie tracąc czasu, z za żupana dobył list i pochyliwszy się, podał go królewnie.

Starosta żmudzki, Chodkiewicz, poświadczał w nim, że cokolwiek powie od niego Lesznowski, wiara mu ma być dana.

— Cóż mi przynosicie od pana starosty? — zapytała, ciekawie się zbliżając ku niemu królewna.

— Naprzód czołobitność, jaka się naszej pani należy — począł Lesznowski. — Starosta prosi pokornie miłości waszej, abyście nie zapominali, że idziecie ze krwi litewskiej, która od wieków panowała tym krajem. One też o tem dobrze pomną i ofiarują wprost, nie omawiając wiele i długo, waszą miłość na tron swój podnieść i ogłosić wielką księżną... a dozwolić, abyście sobie mężem obrali, kogo zechcecie.

Zarumieniła się Anna, a szlachcic mówił dalej, głos zniżając;

— Jedno to sobie waruje starosta, a z nim Litwa, aby jej kraje te, które od Korony oderwane zostały, były przywrócone, i chce być tak niezależną i sobą samą, jak była za dawnych czasów; aby jej Polacy praw nie dyktowali.

Gdy Lesznowski mówił, a Anna milczała i dumała, Talwosz stał na straży i drzwi pilnował.

— Niedobrze rozumiem pana starostę — rzekła powoli królewna. — Litwa się tak połączyła od Horodła począwszy, aż do Lublina, gdzie Unią przypieczętowano na wieki, iż się już ten węzeł, jakby małżeński, nigdy rozerwać nie może.

— Ale to się stało z wielką krzywdą i upokorzeniem Litwy, twierdzi pan starosta — dodał Lesznowski — i teraz pora odzyskać, co się straciło. Polacy o waszej miłości zapominają zupełnie. Litwa chce jej otworzyć drogę do tronu.

— Możeż to być — odezwała sę Anna — gdy ten sam pan Chodkiewicz mi zajeżdża dobra macierzyste i odbiera, praw do nich zaprzeczając?

— Wszystko wasza miłość odzyskacie i uczynicie po woli swej, oddając się Litwie — rzekł Lesznowski — ale Unii on nie chce znać, Unię poszarpać potrzeba, a Litwie wolę swą dać.

Po twarzy królewnej bladość się rozpostarła, cofnęła się krok, jakby przestraszona, zacisnęła ręce, w których trzymała różaniec.

Lesznowski wnioskować już mógł, że ofiara nie będzie przyjętą.

— Boże uchowaj — odezwała się słabym głosem Anna — abym ja do tego rękę przyłożyć miała. Jego królewska mość ś. p. brat mój, pracy wielkiej i zdrowia nie żałował, aby tę Unię sklcić, jakżebym ja miała ją rozrywać. Dziękuj wmość staroście ode mnie, ale powiedz mu, że nie uczynię tego. [1])

Lesznowski stał, milcząc, czekając, ażby się może inaczej namyśliła, gdy królewna dodała:

— Co się kolwiek ze mną stać może, niech się stanie. Panu Bogu poruczam sieroctwo swe w opiekę Jego.[2])

Postrzegł szlachcic, iż narazie więcej nie zyszcze, obejrzał się dokoła, pokłonił i szepnął, że w tak ważnej sprawie czas do namysłu potrzeba mieć, więc za dni kilka przybędzie, aby ostatnie słowo posłyszał.

---

[1]) Historyczne.

[2]) Historyczne.

Chciała mu odpowiedzieć Anna, iż nie zmieni postanowienia, ale Leszczowski uwinął się żwawo, pokłonił i wymknął.

Gdy po chwili królewna powróciła do krajczyny i Zosi, siedzących w posłuchalnej izbie przy krosnach, na których szyły antepedyum do ołtarza, poznały zaraz po zmienionej twarzy jej, że wzruszoną była nad miarę. Zerwała się krajczyna niespokojna, pytając, ale otrzymała odpowiedź uspokajającą, że szlachcic swą ofiarą i przywiązaniem tak serce jej przejął a sieroctwo przypomniał. Nie przyznała się, z jak wielką i ważną sprawą przybył i co mu odpowiedziała.

Trudno było potem Zosi szczebiotaniem, krajczynie czułościami i pieszczotami, Żalińskiej gderaniem, Dosi staraniami, jakiemi ją otaczała, smutek głęboki Anny rozproszyć. Pozostała przez kilka dni ciągle milcząca, więcej niż kiedy zagłębiona w sobie, popłakując tajemnie, zdradzając cierpienie, do którego się przyznać nie chciała przed nikim.

Szanowała nadto wielkie dzieło, jedyną dokonaną sprawę panowania brata, aby ją zniszczyć mogła dla swojego osobistego interesu. Kochała nadto oba kraje. Wydawało się jej zbrodnią targnąć się na ten związek, na który krwią i łzami blizko trzysta lat pracowano.

Leszczowski nie dał za wygraną. Czy potem widział się z panem starostą, lub od niego otrzymał nowe zlecenia, z tego się nie tłumaczył, ale po dziesięciu dniach przybył z nowym wozem zwierzyny, łosia przywiózł do osolenia dla czeladzi na zimę, dla biskupa drugiego; oprócz tego dość mniejszej zwierzyny i całą kadź ryb.

Znowu tedy na zamek się wprosił, Talwosza znalazł i posłuchania się domagał.

Królewna z obawą i niebardzo chętnie się zgodziła na nie. Wyszła, ociągając się. Leszczowski pokłony od pana starosty przynosił, ale i coś więcej nad nie.

— Boleje Litwa — rzekł — że waszą miłość tu na zamku, na wygnaniu, pod strażami, jakby niewolnicę trzymają Polacy. Uwłacza to godności jej i tej krwi, z której pochodzi miłość wasza. Pan starosta kazał

mi oświadczyć, że gotów jest w pięć tysięcy koni przyjść na zamek siłą wtargnąć i miłość waszą wyzwolić, a z tryumfem prowadzić na stolicę.

Królewna aż krzyknęła, posłyszawszy to, z oburzenia i przestrachu.

— Niech Bóg uchowa — zawołała — abym ja na to miała dać przyzwolenie! Niech się pan starosta czynić tego nie waży, gdyż wolę się wyrzec wszelkich praw moich, niż zdradzić jednych dla drugich i być przyczyną zamieszania i wojny, w czasie, gdy zgoda i pokój najpotrzebniejsze.[1])

— Kusicie mnie — dodała — jako zły duch Chrystusa Pana przed męczeństwem jego... słabą jestem niewiastą, lecz z drogi moich powinności sprowadzić się nie dam. Powiedzcie panu staroście, iż mu wdzięczną jestem za dobrą wolę względem mnie, lecz co innego w sercu mam i na ofiarę gotowa jestem, a nie, bym z chwili zamieszania korzystała. Od tego niech Bóg mnie uchowa!

Postrzegł szlachcic, że tu już nic do czynienia nie miał i nadziei żadnej, aby się powiodły zabiegi tajemne. Spuścił głowę i zamilkł.

— A proszę was — dodała Anna — abyście więcej mnie nie nachodzili z podobnemi ofiarami, których sumienie przyjąć się wzbrania.

I skłoniwszy głowę, królewna wyszła natychmiast z komory do krajczyny, która czekała na nią.

Wkrótce potem postanowiła królewna, nie chcąc osób, które się przy niej znajdowały, narażać na niebezpieczeństwo, gdy powietrze ku Płockowi zbliżać się zdawało, przenieść się do Łomży.

Ks. biskupowi chełmińskiemu wprost o tem doniosła, jako o rzeczy, która była konieczną i na którą pozwolenia nie potrzebowała. Nie chciała się bowiem poddać rozkazom i władzy panów senatorów.

— Dozoru nade mną — mówiła krajczyni — wzbronić i przeszkodzić sprawowaniu go, opierać się nie mogę, ale się krępować nie dozwolę.

---

[1]) Historyczne.

Czekała tylko na Czarnkowskiego, któremu zlecić miała, ażeby na zjazdach szlachty, które wszędzie się zbierały na niespokojne narady, sprawę jej i praw należnych popierał.

Referendarz przybył, jak zawsze, pełen wylania się, gotów w słowach na wszystko, przedewszystkiem bacząc na to, aby interesy cesarskie i swoje przy tem upiekł.

Królewna wcale się nie domyślała tej wielkiej miłości jego dla Maksymiliana i Ernesta, z którą niezupełnie się wydawał. Tym razem jednak próbował Czarnkowski poruszyć strunę, chcąc się dźwiękowi jej przysłuchać. Zagaił o Erneście; królewna pozostała chłodną i nie dozwalała się wyrozumieć, słuchała o nim, nie odpowiadając.

Referendarz, mimo całej przebiegłości swej nic więcej nie dowiedział się nad to, że była obojętną i zimną. Ze swą sympatyą dla Henryka Anna wcale się też nie wydawała. Była to jedna z tych tajemnic, które zachowała w najgłębszym zakątku serca, jako skarb swój najdroższy.

Mówiło jej coś, że nadzieje na niczem nie oparte, śmiesznie prawie, mimo ludzi, mimo przeszkód, mimo wszystko ziścić się miały.

Zostawszy sama, bawiła się obrazkiem wymarzonego szczęścia swojego...

— Bóg mi długo na nie czekać kazał, ale mnie z jasnych chwil nie wydziedziczy!

I modliła się po cichu.

Dla wszystkich wistocie marzenie to królewnej pozostało tajemnicą, z wyjątkiem Dosi Zagłobianki.

Długim pobytem przy Annie nauczona ją odgadywać, wnikać w jej duszę, Dosia jakąś intuicyą miłości dla pani swej, wyczytała w niej, co wszystkim było zakryte. Była prawie pewna, że królewna o tyle sobie życzyła Henryka, o ile się obawiała Ernesta.

Śledząc każdy krok, poruszenie, wrażenia Anny, Dosia dopatrzyła, gdy Krassowski przywiózł i pozostawił wizerunki francuskie, jak ciekawie królewna wpatrywała się w nie, chowała, a będąc sama, wydobywała, nie mogła nasycić się przyglądaniem miniaturze Henryka. Jedna Zagłobianka tylko wiedziała o tem, a raz wpadłszy

na trop, później z tysiącznych małych oznak utwierdziła się w swem przekonaniu.

Nigdyby nie śmiała dać poznać Annie, że to, co ona skrywała i taiła tak skrzętnie, odgadnąć potrafiła, ale przez przywiązanie swe dla pani łamała sobie głowę, jakby mogła dopomódz, usłużyć, zapobiedz, aby się coś przeciwnego nie złożyło.

Pomimo całej swej zuchwałości, przebiegłości, cóż mogło biedne dziewczę? Nic, lub tak jak nic!

Przeszkadzała tylko temu wszystkiemu, co tu cesarzowi Ernestowi posługiwać chciało i z pociechą się przekonała, że Anna z tego była rada.

Nie wiedział o tem nikt, nawet królewna, że śmiała Zagłobianka, napadłszy raz w sypialni królewnej podrzucony przez kogoś niewidomą ręką, wizerunek Ernesta, natychmiast go zniszczyła.

Nie mogła zapobiedz, aby Gastaldi nie wsunął tu listów cesarskich, ale to były pierwsze i ostatnie. Dosia poprzysięgła, że choćby się narazić miała, wszelkie późniejsze dopilnuje i zniszczy. Dotrzymała też danego sobie samej słowa i spaliła znalezione później w sypialni wiadomości z cesarstwa.

Istota to była dziwna to dziewczę, napół dzikie nic nie mające do stracenia, żyjące całe przywiązaniem dla swej pani. W jej sercu obok tej miłości, żadna inna się obudzić nie mogła. Młoda, piękna, otoczona pochlebcami, którzy szaleli za nią, wyśmiewała się ze wszystkich, widziała w nich tylko ich przywary i słabości.

Jeden może Talwosz miał u niej, jeżeli nie łaskę, to trochę pobłażania, bo on najgoręcej także służył królewnie i był w tej służbie najczynniejszym.

Ale i on nie mógł się pochwalić tem, aby mu Dosia uczyniła nadzieję najmniejszą, że łaskawiej spojrzy na niego. Gdy szło o posługę, używała go, szukała, naradzała się; jak tylko o swem sercu mówić zaczynał, wyśmiewała, odpychała go bez litości.

Jedynym węzłem, co łączył ich, było przywiązanie do królewnej.

Talwosz nie mógł jak ona, odgadnąć, co się działo

w sercu Anny, ale to wiedział i domyślał się, że cesarzewicza sobie niebardzo życzyła.

Dosia wahała się jeszcze, czy mu się ma zwierzyć ze swych domysłów i czy się to na co przydać mogło, gdy Litwin jednego wieczora, w rozmowie z nią niewielką do tego przywiązując wagę, rzekł, śmiejąc się:

— Mnie się zdaje, że królewna-by już Francuza wolała, niż cesarzewicza.

Dosia spojrzała mu w oczy wyraziście, nie mówiąc nic długo.

— Skądże to macie?

— Albo ja wiem — odezwał się Talwosz. — Panna Dorota musi przecie znać to, że kogo się miłuje, tego się odgaduje. A co panna na to?

— Ja? — zawołała Dosia wesoło. — Ja? powiem, że mogłoby to być, ale naszej królewnej odgadnąć trudno. Smutek na człowieku jest, jak piasek na mogile; kogo on przysypie, niełatwo odkopać... a pani nasza wiele na sobie smutków dźwiga. Ale gdyby to przypadkiem prawda była, że jej Francuzik lepiej do serca przypada... co w takim razie poczynać? Za cesarzem wszyscy, a ten Czarnkowski, którego królewna lubi i wierzy mu... przysięgnę, że za nim też ciągnie.

— To pewna — ale mocniejszy Pan Bóg od pana Czarnkowskiego — dodał Litwin, przysłowie stare przerobiwszy. — Gdyby to prawdą być miało, że królewna w tamtą stronę oczy zwraca, czy nie wartoby się lepiej dowiedzieć i rozsłuchać, co stamtąd od Francyi wieje?

— A to jak? — zapytała niedowierzająco Dosia.

— Nie wiem — odrzekł Talwosz — myślę sobie tylko, gdyby potrzeba życie ważyć, jechać, rozwiadywać, się, przeglądać... choćby na kraj świata, jam pierwszy gotów!

Zagłobianka wdzięcznie mu się uśmiechnęła.

— Któż to wie? — odrzekła zadumana. — Może jeszcze waszmości wezmę za słowo!

Ale nie śmiała mówić więcej, skinęła główką i odeszła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

KSIĘGA DRUGA.

Marzenia.

Ksiądz biskup chełmski zwykł był codzień zrana przybywać na zamek, pełniąc bardzo gorliwie swe obowiązki stróża, chociaż od czasu, jak je na niego włożono, znacznie był złagodniał dla królewnej. Krajczyna znajdowała, że dobry, uprzejmy, ale trochę bojaźliwy ksiądz Wojciech coraz więcej się akomodował i czynił ustępstwa Annie.

Działo się to bezwiednie. Królewna coraz stawała się energiczniejszą, biskup walczyć z nią nie mógł. Narzekał on na to przed wojewodą Uchańskim, ale oba razem bezsilnymi się czuli wobec Anny Jagiellonki, która z krwią zimną, ale z żelazną wytrwałością szła, gdzie sama zamierzyła, niełacno słuchając kogo.

Rosła w ich oczach ta pani, niedawno jeszcze zapomniana, lekceważona przez brata i zalewająca się łzami. Naówczas ulegała ona choremu królowi, teraz sama się czuła tu pierwszą i nie ustępowała nikomu.

Jednego poranku jesiennego przybył ksiądz Starożrebski jak zwykle na zamek i zdziwił się mocno, widząc, że część podwórca zajmowały powyciągane z szop wozy, paki i skrzynie, że tuż w improwizowanej kuźni przekowywano konie, a mnóstwo ludzi kręciło się, pośpieszając tak, jakby im bardzo było pilno. Wyglądało to na przygotowanie do podróży, a biskup o żadnej nie wiedział.

Talwosz, którego w niedostatku innego tytułu nazywano sekretarzem królewnej, stał właśnie, wydając rozkazy; biskup, wysiadłszy z kolebki, powołał go do siebie.

— Cóż się to tak przygotowujecie — zapytał — co się u was dzieje?

— Królewna wydała rozkazy, aby się gotowano do podróży? — odparł sucho Talwosz.

— Gdzie? dokąd? do jakiej? — żywo przerwał biskup — ale ja o niczem nie wiem! Na rany Pańskie! Ja tu przecie stróżem jestem!

Litwin słuchał obojętnie księdza biskupa i rzekł również zimno:

— Ja spełniam, co mi przykazano, do mnie nic więcej nad to nie należy.

— Ale dokądże jechać myślicie? — zawołał biskup, coraz bardziej poruszony.

Talwosz ruszył ramionami.

— Królewna się przede mną tłumaczyć nie potrzebowała — rzekł — a ja pytać nie śmiałem. Wiem tylko, że jedziemy.

Ksiądz biskup stał z załamanemi rękami; poczciwa jego łagodna twarz zmieniła się, zasępiła, posmutniała, widać było, że go to wiele kosztowało, iż zmuszonym został królewnie czynić wyrzuty.

Zmieszany, nie śpieszył na zamek, aby się rozpytać, bo chciał z pierwszego wrażenia ochłonąć, lękając się narazić królewnie zbyt żywemi wyrzuty, a był do nich obowiązany. Panowie senatorowie postawili go tu na straży; królewna nie powinna była kroku uczynić bez ich wiedzy i przyzwolenia; biskup nie słyszał o żadnej podróży, a tu już czyniono, nie pytając, przygotowania do niej.

Talwosz pokłonił mu się i odszedł.

Ksiądz Wojciech, postawszy chwilę, zakłopotany powolnym krokiem wsunął się na pokoje Anny.

W posłuchalnym, w którym go zwykle przyjmowano, było pusto. Dosia tylko sprzątała po stolikach, i przyszła księdza pocałować w rękę. Nie śmiał się biskup jej pytać.

Wtem ze drzwi bocznych wyjrzała krajczyna i znikła, a po chwili królewna Anna ukazała się w progu i weszła powolnym krokiem.

Biskup ją przywitał milczący, badając oczyma; w twarzy nie znalazł żadnej zmiany — spokojną była zupełnie i nie zdawała się zakłopotaną, gdy ksiądz Wojciech zmieszany był niezmiernie.

— Widzę na zamku jakieś przygotowania — odezwał się nieśmiało — tak, jakgdyby do podróży. Czy wasza miłość odebrała jakieś wiadomości od panów senatorów?

— Żadnych — odparła Anna — ale powietrze codzień się zbliża do Płocka i ja tu na nie czekać nie myślę. Muszę szukać bezpieczniejszego schronienia.

— Ale to nie może nastąpić bez wiedzy panów senatorów — przerwał biskup.

— To wasza rzecz, mój ojcze, z nimi się o to porozumieć — rzekła spokojnie królewna; — co do mnie, ja niczyich rozkazów czekać nie potrzebuję, jestem przecież wolną.

Biskupowi z czoła spadał pot kroplisty, ocierał go gorączkowym ruchem rąk obu.

— Tak jest, tak jest — pośpieszył potwierdzić — lecz niemniej bez ich wiedzy by nie wypadało. I dokądże wasza miłość chcesz jechać?

— Sądzę, że w Łomży będę najbezpieczniejszą — chłodno, po krótkim namyśle odezwała się królewna.

Biskup ręce łamał; przyszło mu na pamięć, że z Łomży łatwiej było z Litwinami się porozumiewać, że stamtąd też królewna może miała jakie umówione drogi i posłów na zjazdy, które się zapowiadały.

— Potrzeba więc chyba natychmiast o tej woli miłości waszej dać wiedzieć arcybiskupowi, panu marszałkowi i wojewodom — mówił ks. chełmski i w ustach mu zasyczało, a głos jego był coraz słabszy.

— Nic nie mam przeciwko temu — odparła Anna Jagiellonka — ale zapóźno będzie ich o tem uwiadamiać, gdyż ja czekać na odpowiedź nie mogę. Pojedziemy jutro lub pojutrze.

— Jestże to stałe postanowienie? — przerwał ksiądz Wojciech łagodnie. — Jabym się ośmielił miłości waszej uczynić uwagę, że nie należałoby panów senatorów drażnić i zniechęcać.

— Ani też im się poddawać i uniżać — odpowiedziała Anna — boby ze mnie uczynili jakąś lalkę, którą ja być nie mogę, znając krwi mej prawa i dostojeństwo. Chcę właśnie okazać, iż się nie uważam za niewolnicę i podległą rozkazom niczyim. Rady chętnie słucham, ale więcej nic. Jeśli się ona nie zgodzi z mojem przekonaniem, odrzucić ją muszę.

Biskup ręce podniósł do góry.

— Ale wasza miłość nie widzisz chyba, że to jest wypowiedzenie wojny, że to jest opór przeciw woli narodu!

— Szanuje ją, ale jej swojej poświęcić nie mogę—rzekła królewna.— Wy, ojcze kochany, nie przekonacie mnie. Myślałam długo, wzywałam Ducha świętego, a com postanowiła, to uczynię i będzie co Bóg da! Pojadę do Łomży.

Biskup milczał, królewna dodała łagodnie:

— Wy ze mną, nieprawdaż?

— Muszę — rzekł ksiądz Wojciech zcicha — choć zaprawdę przeciwko tej podróży samowolnej protestuję.

— Nie sądzę, abyście wy mój ojcze, albo pan wojewoda Uchański wstrzymywać mnie gwałtem zamierzali. Wy donieście, co ja czynię, a ja postąpię jak mi lepiej.

— Powietrze jeszcze daleko! W Płocku o niem nic słychać! — odezwał się biskup.

— Nie czas będzie wyjeżdżać, gdy nadejdzie — sucho rzekła Anna.

Ksiądz chełmski nie odpowiedział, szukał w głowie, co mogło spowodować to nagłe postanowienie wyjazdu; domyśleć mu się było trudno czegoś, prócz łatwiejszych układów z Litwą, gubił się w przypuszczeniach. Cesarskich wysłańców, czy francuskich może królewna tam bezpieczniej myślała przyjmować?

Anna przechadzała się po komnacie, nie okazując najmniejszego wzruszenia. Weszła w tej chwili jedna z kobiet, dopytując o jakieś rozporządzenia do podróży,

które Anna wydała głosem śmiałym i bez namysłu, jakby oddawna je już miała przygotowane w myśli.

Biskup chełmski spróbował jeszcze na różny sposób królewnę skłonić, jeśli nie do zmiany postanowienia, to do zatrzymania się z wykonaniem, dopókiby on nie odebrał odpowiedzi, ale musiał się wkońcu przekonać, że królewna nie da się zachwiać, westchnął, pożegnał się i pobiegł co prędzej do pana wojewody, który szczęściem znajdował się w Płocku.

Uchański o niczem dotychczas nie wiedział, i jak biskup, zdumiał się wielce, ale on także nie śmiał nawet ważyć się pomyśleć o tem, aby królewnę siłą zatrzymać na zamku i nie dopuścić wyjazdu.

— Królewna ma wielu przyjaciół — rzekł — wszyscy się nad jej sieroctwem litują, uchowaj Boże rozterki z nią, pójdzie po świecie wieść, że ją senatorowie krępują i w niewolę zaprzęgają, szlachta się zburzy. Następstwa mogą być smutne. Litwa tylko szuka przyczepki, gotowa się ująć za nią. Ślij wasza przewielebność doniesienie, ale jeśli uprze się jechać, niech jedzie; nam władzy nie dano, abyśmy ją zamykali, tylko dozór i czuwanie.

Rozmawiali tak jeszcze, gdy nadszedł referendarz Czarnkowski z pożegnaniem do wojewody. Wyjeżdżał i on jako wysłaniec od królewnej, wraz z księdzem Janem Borakowskim, proboszczem łęczyckim, do prymasa i na zjazdy, w sprawie skarbów i innych ważnych interesów.

Biskup i wojewoda znali dobrze referendarza, jako oddanego sercem i duszą nietylko Annie, ale trzem Jagiellonkom wszystkim, wpadli więc na niego z góry, żądając tłumaczenia, co znaczyło nagłe postanowienie.

Czarnkowski, który dotąd bezpiecznie na kilku stołkach siedział, służąc Annie, zaprzysięgając wierność Zofii, a nadewszystko pilnując sprawy cesarskiej, od niejakiego czasu poczynał wielce zdumiony dostrzegać, że co się spodziewał kierować królewną, zmuszony był jej ulegać i spełniać, co mu polecała. W oczach jego zmieniła się ta płacząca niegdyś i słaba kobieta w śmiałą,

nie odsłaniającą całej swej myśli energiczną panią. Czarnkowski jej nie poznawał.

Na domiar zawodu, znajdował, że wcale się ku cesarzowi i cesarzewiczowi dziewiętnastoletniemu nie skłaniała. Uczyniła nawet uwagę referendarzowi, że młodzik taki dla niej nie przystał.

Na nieszczęście francuski kandydat o kilka lat był starszy. Królewna nie mówiła o nim nic, ale Czarnkowski przeczuwał, że bodaj się tam jej serce pochylało. Przyprowadzało go to do rozpaczy.

Wszystkie naówczas piękne obietnice cesarza w niweczby się obróciły.

Gdy biskup i wojewoda napadli na niego, jako na prawą rękę królewnej, Czarnkowski poruszył ramionami, dłonie podniósł do góry i zawołał:

— Ale ja, tak dobrze, jak miłości wasze, do wczorajszego dnia nie wiedziałem o niczem! Królewna się nikogo nie radzi, nie słucha nikogo. Jestem jej sługą, nie mentorem, bo tych ona nie potrzebuje i nie przyjmuje!

Uchański i Starożrebski spojrzeli po sobie.

— Ale wy, panie referendarzu — odezwał się biskup — powinniście królewnie przedstawić, na co się naraża. Coby miała sobie panów senatorów pozyskiwać, zraża ich i nieprzyjaciółmi czyni!

— Wierzcie mi, ojcze przewielebny — odparł Czarnkowski — iż królewna Anna do zastraszenia łatwą nie jest. *Hic mulier!* gdy co raz powie, nie ustąpi, a i wymową z nią walczyć niełatwo. Zawsze była ze wszystkich sióstr najmądrzejszą i na swadzie jej nie zbywa. Jeżeli wydała rozkazy do wyjazdu, nie cofnie ich dlatego choćby, ażeby ludzie nie sądzili, że się daje komuś powodować. Ani ja, ani wy, księże biskupie, nie poradzimy nic. Trzeba się do Łomży gotować i po wszystkiem, a gdy potem zażąda z Łomży do Warszawy, choćby czasu konwokacyi, choćby natenczas, gdy jej tam najmniej sobie życzyć będą, pojedzie, nie pytając nikogo.

Westchnął biedny biskup.

— Wszystka winaspa dnie na nas — zamruczał.

Uchański dodał z uśmiechem:

— Ilu nas jest, cośmy niegdyś widywali królewnę, kiedy Mniszchowie ją z bratem poróżnili, a ona, oczy wypłakując, znosiła wszystko, nawet, gdy jej Zajączkowską z jej pokojów gwałtem brano, omyliliśmy się na niej dużo. Ulegała bratu i królowi, lecz nikomu więcej się nie podda... Czuje się królową.

— Tak jest, niewątpliwie—potwierdził Czarnkowski.— Ja poświadczyć to mogę. Sądziłem niegdyś, iż mojej rady potrzebować będzie i iść za nią, a teraz jej słuchać muszę. Kto tam u niej ma posłuch, kto przewagę, trudno dociec; pono wszyscy muszą się jej submitować i czynić co rozkaże.

Krótko tu zabawiwszy, biskup musiał pośpieszać gotować się też do podróży nieuniknionej i natychmiast wyprawić gońce do senatorów z oznajmieniem.

Czarnkowski z Borakowskim jechali do prymasa.

Na zamku wszystko szło raz przez królewnę wykreślonym trybem.

Mianowany ochmistrzem Koniecki, który przy małej głowie nadawać sobie chciał wielką wagę i znaczenie spróbował także reflektować królewnę, która go zbyła kilku słowami i słuchać nie chciała.

Żalińska, bo i tej z Płocka nie było dogodnie ruszać się do Łomży, wpadła z narzekaniami i fukiem. Anna dała się jej wygadać, ale nie zmieniła rozporządzeń, odprawiwszy łagodnem ponowieniem rozkazów.

Tą mocą charakteru cieszył się Talwosz najwięcej może, bo do pewnego stopnia przypisywał sobie nakłonienie królewnej, aby się nie oglądała na ludzi i śmielej poczynała. On i Dosia znajdowali, że królewna teraz dopiero mogła być pewną, iż pokrzywdzoną nie zostanie.

W chwili, gdy królewna i cały jej dwór z Płocka się wybierali do Łomży, Talwosz jednego dnia nagle z dwojgiem służby siadł na koń i pojechał w świat.

Był on tak czynnym i ruchawym, że gdy go nie stało, wszyscy to zaraz dostrzegli. Niektórym może lżej nawet było bez niego, ale ciekawym był każdy, dokąd ruszył, nie opowiadając się nikomu.

Ochmistrz Koniecki, kręcąc wąsa, powiadał, że za zezwoleniem królewnej Talwosz pojechał krewnych na Litwie odwiedzić.

— Nie bójcie się — mruczał ironicznie — powróci on rychło, będziemy mieli go do syta.

Nie lubiono poczciwego Talwosza, bo u królewnej łaskę miał, a ruchawością i rzutkością w posługach innych przechodził.

Dosia Zagłobianka, którą też badano o Litwina, bo się około niej nieustannie kręcił, mówiła obojętnie, że kędyś na Litwę jechał. Być może, że i on sam przed wszystkimi się tak ze swej wycieczki wytłumaczył, lecz inny ona cel miała.

Dla niego i dla Zagłobianki nie ulegało wątpliwości, iż królewna więcej sprzyjała Henrykowi francuskiemu, że marzyła o nim. Talwosz, który służyć jej chciał po myśli, czy z jej przyzwoleniem, czy *prioprio motu* ruszył na zwiady ku posłom, którzy już w Polsce znajdować się mieli.

Sprawa wyboru Henryka nie stała tak źle, jak się czasami referendarzowi Czarnkowskiemu zdawało. Firlej się z tem nie taił, że cesarzewicza prowadził, więc Zborowski, choć Commendoniemu także przyrzekł za cesarzem być, na złość i przekorę Francuza chciał popierać. Czynił to potajemnie, ale skutecznie.

Nie mógł też los lepiej Walezyuszowi usłużyć, jak nastręczając mu za pierwszego rzecznika jego sprawy w Polsce Montluca, biskupa Walencyi. Był to człowiek stworzony na dyplomatę owych czasów, przewrotny, rozumny, bystry, nieprzebierający w środkach, gładki i słodki, w towarzystwie uprzejmy, znający ludzi i umiejący się do nich zastosować.

Ci, co z nim przybyli z Francyi i otaczali go, doskonale mu pomagali. Montluc u dawniej sobie znajomego Stanisława Wysockiego, kasztelana lędzkiego pod Koninem, znalazłszy gościnne przyjęcie, siedząc na wsi, jak pająk rozrzucał dokoła niewidzialne sieci, w które się ludzie łapali.

Zyskiwał Montluc kogo chciał i kto mu się nastrę-

czył, bo obiecywał, co tylko kto mógł żądać. Nie kosztowało go to bynajmniej, gotów był podpisywać zobowiązania na krocie, chociaż grosza przy duszy nie miał i żył podobno pożyczkami, ciągle się pieniędzy z Francyi spodziewając.

Obejście się jego z Polakami było całkiem różne, niż posłów i agentów cesarskich. Słodyczą jednał ich, a nawet różnowierców, choć sam duchowny i biskup, przyciągał głośno objawiając tolerancyę. On i Bazin przy nim będący, podówczas nie gardzili zdobyczą najmniejszej muszki, przymilali się szlachcie, jednali ludzi drobnych i małego znaczenia, dobijali się popularności.

Cesarscy posłowie zabiegali pocichu i tajemnie, oni działali otwarcie, mówili głośno.

Przybywającym do kasztelana Wysockiego w gościnę pokazywano dwa piękne wizerunki księcia andegaweńskiego, uśmiechniętego łagodnie, wyświeżonego, spoglądającego z serdecznością, wiele obiecującą z wyrazem dobroci ujmującej.

Ponieważ w cesarzu obawiano się nieprzyjaciela swobód, Montluc zaręczał, że Henryk gotów je jeszcze rozszerzyć i zobowiązać się do zachowania dawnych nietkniętemi. Różnowiercom zapewniano swobodę sumienia; wszystkim najszczęśliwsze, błogie, obfitujące w złoto panowanie, mlekiem i miodem płynące.

Młody pan lubił się bawić, nie obce mu były też sprawy rycerskie i żołnierzem miał być mężnym, wodzem rozumnym.

Dla wielu już to za nim mówiło, że Niemcem nie był; inni podnosili siłę i znaczenie Francyi, która w przymierzu z Polską w szachu mogła trzymać cesarstwo.

Każdy od Montluca wyjeżdżał rozmarzony, upojony, gorącym zwolennikiem Francuza.

Głoszono też po cichu, że królewna Anna, z którą Henryk miał się żenić, była za nim, a nie życzyła sobie zbyt młodego cesarzewicza, bo połączenie z domem rakuskim zawsze nieszczęścia na Jagiellonów sprowadzało.

Po kraju chodziły wieści o tajemnych wysłańcach cesarskich, do których należał i Gastaldi; obudzało to

obawy w panach senatorach, gdy ze strony Francuzów, postępujących jawnie, niczego się obawiać nie potrzebowano. Wiele też przypisać można było staraniom i zabiegom Zborowskich, którzy nie odsłaniając się, różnowierców i cały obóz własny na stronę Francuza przerzucili.

Talwosz, znikłszy ostatnich dni pobytu w Płocku, nie znalazł się, aż gdy królewna w Łomży już mieszkała. Trafił na niezmierne zburzenie umysłów, niepokój i t. wogę.

Jak ksiądz biskup chełmski przewidywał, wyjazd samowolny z Płocka rzucił niesłychany popłoch na senatorów.

Sądzili, w najlepszej wierze, iż królewnę opanowali, że nią kierować będą, że uczynią z nią, co zechcą. Wszystko to nagle okazywało się złudzeniem, Anna nie myślała ich słuchać i szła swoją drogą, wcale się nie oglądając na senatorów. Posądzano ją więc, że potajemnie musiała układać się i frymarczyc koroną, że mogła ją wydać cesarzowi, że gotową była związać się z Litwą przeciwko Polsce. Najstraszliwsze widma trapiły przerażonych panów, którym wyślizgała się z rąk władza.

Obawiano się głównie cesarza i rozgałęzionych jego zabiegów. W Osieku na zjeździe polecono dwom panom posłom, Słupeckiemu i Sienieńskiemu jechać do Płocka i czuwać, aby cesarscy wysłańcy do królewnej przystępu nie mieli i po kraju się nie kręcili bez dozoru.

W Osieku nie wiedziano wcale, że Anna już wyjechała do Łomży. Słupecki i Sienieński, nie zastawszy jej tutaj, pognali do Łomży, dając znać do Warszawy na zjazd, co się stało. Wywołało to popłoch większy jeszcze. Zarazem jednak ulękli się Mazurowie cesarza i posłali, zalecając swoim, aby szanowano cesarskich.

Przybiegłszy do Łomży, panowie deputaci naprzód udali się do biskupa chełmskiego i ochmistrza Konieckiego, składając swe listy i domagając się widzenia natychmiast z królewną.

Biskup począł się im tłumaczyć, że wyjazdu powstrzymać nie mógł, a Konicki mu potakiwał. Trudno było mocą i gwałtem hamować.

Anna natychmiast dała tym ichmościom posłuchanie. Wyszła do nich z powagą wielką i majestatem, jakby zdawna przygotowana, spokojna i sama zagaiła rozmowę.

— Dziękuję waszmościom panom, żeście mnie od panów senatorów nawiedzić raczyli, gdyż zdawna pragnęłam o wielu sprawach rozmówić się otwarcie, jako mnie i im przystało.

Słupecki, dosyć gorący człek, wnet chciał zaczepić o wyjazd i o dalsze panów senatorów względem Anny starania, ale królewna przerwała mu:

— Dzisiaj o tem mówić nie będziemy; spocznijcie waszmoście, ja też niedawno z podróży, potrzebuję trochę wytchnąć. Wieczór blizki, czasuby nam dziś nie stało na wszystko, co potrzeba mówić, lepiej więc, gdy to odłożymy do jutra.

Słupecki i Sieniеński, z którymi i biskup chełmski przybył razem, musieli uledz. Podano im wino i słodycze, ile tam znaleźć było można w zapasach podróżnych nieobfitych. Mówiono o drogach popsutych, o powietrzu, po wszystkich ziemiach rozszerzającem się, o tem i owem, nie tykając nic ważniejszego.

Królewna w ten sposób czas do namysłu pozyskawszy, zatrzymała u siebie biskupa chełmskiego i potrafiła tego dokazać, czego się ksiądz Staroźrebski po sobie nie spodziewał i nie przypuszczał. Wmówiła mu bowiem, że senatorowie go jej do boku dodali nie dla pozoru, ale do pomocy.

— Wy, mój ojcze, teraz i zawsze macie moje sieroctwo na sumieniu, powinniście bronić mnie. Ufam, że jutro, gdy do rozmowy przyjdzie, na was rachować mogę. Przemówicie za mną, proszę o to.

Biskup chełmski zdumiał się w początku, nie zrozumiał, zmilczał, lecz wkońcu i litością zdjęty i przekonany prostemi, ale serdecznemi słowy królewnej, z owego strasznego Argusa, zmienił się na rzecznika. Łzy miał

w oczach. Przeszedł, sam nie wiedząc jak, do obozu Anny. Zwycięstwo to prawie nic ją nie kosztowało.

Drugiego dnia rano biskup chełmski uprzedził posłów, czekał na nich, i gdy królewna wyszła, w jej imieniu przemówił z wielkiem namaszczeniem, użalając się, że jest zupełnie opuszczoną i zabytą przez panów rad koronnych, że w tym swoim sierocym stanie nawet od nich żadnego dowodu troskliwości i współczucia nie otrzymała dotąd.

Słupecki i Sienieński, którzy wczoraj biskupa widzieli innym, słuchali go zdziwieni, gdy królewna sama dodała wkońcu:

— Miałam pradziada, dziada, stryja i brata królami polskimi, których dobrodziejstw wasze miłoście doznaliście dosyć, a ja dziś po nich sierota nie mam dowodu, abyście to mieli we wdzięcznej pamięci. Ja w tej żałości mej, opuszczeniu i niedoli, niedostatek we wszem czerpiąc, zwątpiłam już o sercach ludzi.

Słupecki, który śmielszym był, zaledwie rozpocząć zdołał wymówki, iż panowie to złem okiem widzieli, jako królewna poza ich wiedzą z cesarzem się znosiła, gdy mu przerwała:

— Na Boga miłosiernego! Czyż mi to może za złe być poczytanem, że mi cesarz, powinowaty mój, słowa pociechy przez swych posłów przysłał, a nawet, że siostry do mnie, a ja do sióstr pisywałam! Wszakże wszystkie te listy i pisma, jakiekolwiek one były, dawałam czytać panu referendarzowi i tajemnic w nich żadnych nie kryłam. Żadnych praktyk pokątnych waszmoście nie możecie mi zarzucić, bo ksiądz biskup chełmski wie, co się tu dzieje.

Słupecki, który ciągle przyjmował na siebie urząd oratora, począł tłumaczyć, iż panowie senatorowie wcale o tem nie wiedzieli, że ksiądz arcybiskup zaniedbał po zgonie króla uroczyście pozdrowić królewnę.

Złożył tedy winę na prymasa i natychmiast co najpilniejsza była, imieniem panów rad domagać się począł, aby królewna do siebie przystępu wzbroniła wszelkim obcym posłom i ludziom, o konszachty podejrza-

nym, a ze dworu swego oddaliła tych, co im dopomagają. Mieli posłowie na myśli Gastaldiego, posądzając, iż się z królewną widywał.

Słupecki się coraz bardziej rozgorączkowywał, gdy mu Anna usta zamknęła.

— Cesarz jmość dobrze mi życzy, a za jego dobrą wolę dla mnie ja mu nie mogę zniewagą posłów jego odpłacać. Na moim dworze nie dopuszczę jej; możecie waszmoście gdzieindziej ich szukać i ścigać.

Zbity na chwilę z tropu Słupecki, wnet znowu do Gastaldiego powrócił i począł z jakichś listów jego przytaczać urywki, dowodząc niebezpiecznych praktyk. Dała mu się królewna wygadać spełna, lecz wkońcu zamknęła zimno i surowo z powagą:

— Praktyk ja żadnych nie czyniłam i nie czynię, świadkiem mi ksiądz biskup chełmski, więc i posądzaną o nie być nie dopuszczę.

Za radą waszmościów gotowam iść — dodała,— ale w niewolę się zaprządz nie dam.

Ostatnie słowa dodała tak dobitnie, iż Słupecki zamilknąć musiał.

Chcąc naprawić, co on popsuł, Sienieński rzekł łagodnie, że Rzeczpospolita, jak zawsze krew panów swych i osoby do rodziny należące szanowała, a miała o nich pilne staranie, tak i o królewnie zapomnieć nie chce i czuwać nad nią nie przestanie.

— Daj Boże, aby się to ziściło, co powiadacie — odparła Anna, — a przedewszystkiem proszę, abyście panom senatorom położenie moje i co się tu koło mnie dzieje, opisali i zdali sprawę wierną.

Słupecki też łagodniejszych słów kilka dorzucił.

— Nie dziwujcie się waszmość — przerwała mu królewna, — iż się uskarżam przed wami, gdyż godności mojej i krwi tej uwłacza stan, w jakim jestem po dziś dzień, ja sierota i dwór mój ubogi. W podróży wstyd mi moich kolebek i powoźników. Co było ślepych i chromych szkap, to mi wydzielono, choć w Knyszynie król zostawił kilkaset koni. Nieboszczyk inaczej chciał tem rozporządzić. Co za dziwo! Ci sami ludzie, którzy za ży-

cia króla starali się, abym pokrzydzoną i zapomnianą była, po śmierci też woleli rozszarpać między siebie, co zostało, niż mnie, jako należne, powrócić. Podzielili się tem łupieżce. Czasu swojego zdam sprawę z tego, co się działo, aby na jaw wyszło wszystko. Trzymam to o panach senatorach, że i tego, co ze mną uczyniono, i gwałtu, jaki się stał, ostatniej woli królewskiej nie pochwalą.

Miała królewna przy sobie przygotowane już listy księdza Krasińskiego i wojewody Firleja, które położyła przed posłami, żaląc się na nie, iż bez należnego poszanowania pisane były i i domagały się więcej, niż przystało.

Słupecki miał kopię tych listów i nie potrzebując czytać, rzekł, iż tego samego, co one zawierały i im domagać się kazano od królewnej.

Anna przerwała mu, skarżąc się na to też, że jej do Knyszyna, do ciała brata nie dopuszczono, gdy je do Tykocina miano przeprowadzać.

Sienieński złożyl to na powietrze, na zamieszanie, jakie w pierwszych chwilach po zgonie Augusta panowało i wszczęła się poufalsza rozmowa, w której Anna wszystko, co raz już zarzucała senatorom, utrzymać się starała, zwłaszcza co do testamentu brata, iż go nie poszanowano. A ponieważ testamentu tego miała wierzytelną kopię, w Warszawie sobie przez brata oddaną, wniosła, ażeby był odczytany.

Słupecki i Sienieński nie sprzeciwiali się temu i ksiądz biskup chełmski zasiadł do odczytania testamentu.

Zaledwie go jednak rozpoczął, gdy kapelan biskupa, Ruszczyk, zapukał do drzwi, chociaż rady nikomu nie wolno było przerywać.

Z twarzy jego, gdy wszedł, dorozumiał się wielce już i bez tego utrapiony ksiądz Starożrebski, iż coś niedobrego przynosił. Szeptał mu coś do ucha. Posłowie czekali ciekawi, królewna też, gdy ksiądz biskup odezwał się pomieszany:

— Gastaldi przybył tu do Łomży!

Nie była już więc pora ani testamentu czytać da-

lej, ani z królewną rozprawiać. Słupecki chwycił za kołpak i począł wołać, że go stąd natychmiast uprzątnąć potrzeba.

— Nie zapominajcież przecie — odezwała się Anna do niego, — iż jest posłem cesarza, którego drażnić nie przystało. Spadnie to na panów senatorów, nie na mnie.

Biskup wyraził radę, żeby królewna dała natychmiast Gastaldiemu odpowiedź na listy cesarza i sama go odprawiła.

Godzili się na to posłowie. Królewna im przerwała:

— Posłem cesarskim jest Gastaldi, to prawda, ale się chował na dworze ojca mojego i niejako Polakiem przez to się mieni, więc mu pobytu w kraju zabronić nie można.

— Indigeną przez to nie został — odparł Słupecki,— choćby na dworze naszym jak długo chleb jadł; a pod ten czas my cudzoziemców u siebie cierpieć nie możemy.

Wszczęły się tedy spory, jak Gastaldiego odprawić, co mówić z nim, jak się go pozbywać, do których królewna prawie się nie mieszając, to tylko sobie zastrzegała, aby się do niej żadna obelżywość cesarskiemu posłowi nie stała.

— A co ichmoście uczynicie — dokończyła, żegnając ich,—to na ich odpowiedzialność niech spadnie.

Słupecki tedy i Sienieński natychmiast ruszyli szukać Gastaldiego, reszty zabywszy.

Gdy już ksiądz biskup chełmski razem z nimi się oddalał, bo go z sobą mieć chcieli, Anna szepnęła mu, iż wiedzieć pragnie, jak się zakończy sprawa z Gastaldim.

Ze dwojga — panów posłów i królewnej sądząc, łatwo po tem rokować było, iż choć przybyli, aby Annie w jej położeniu swobody uszczuplić i przykrość uczynić, na końcu sami nie wiedzieli, co dalej poczynać i nic nie zyskawszy, myśleli o odwrocie.

Widział to ksiądz biskup chełmski, który teraz coraz więcej brał stronę królewnej.

Do utrudnienia panom posłom ich zadania przyczynił się też i Gastaldi, który wcale im ustępować i zastraszyć się nie myślał. Stanął przed nimi jako dbały o cześć własną człek rycerski i poseł cesarski, z godnością wielką i gotowością choćby gardło dać, a poczciwości obronić.

W końcu żwawych rozpraw, jak opowiadał biskup, Gastaldi wistocie rękę na gardło położył i rzekł do Słupeckiego:

— Com powiedział, tego dokonać muszę, poczciwość moja w tem i gardło. Życie gotów jestem położyć raczej, niż się stąd ruszyć bez wiadomości cesarza.

I Sienieński i Słupecki równie u królewnej, jak u niego mało co wskórawszy, uradzili wieczorem nie czekać dalej i nazajutrz wracać do senatorów z doniesieniem i listem królewnej, który wieczorem został przygotowany.

Tak z wielkiej tej chmury deszczu było mało i Anna co miała stracić na przybyciu posłów, zyskała, utrzymawszy się przy swojem, a zjednawszy sobie biskupa chełmskiego.

Zaledwie posłowie wyruszyli z Łomży, gdy zapobiegając wszystkiemu, co drażnić mogło, Anna posłała po Gastaldiego, prosząc go, aby się nie upierając dłużej z listem, który mu dała do cesarza, nazad do niego powracał.

Musiał się na to zgodzić tem łatwiej, że inni posłowie cesarscy znajdowali się, jawnie już tu przybywszy i tymczasowo zatrzymali się w Dziekanowie pod Warszawą.

Po wyjeździe Słupeckiego królewna tem, że zwycięsko im czoło stawiła i nie dała się zastraszyć, ani przekonać, przy swojem stojąc, zyskała na energii i postanowiła niezłomnie trwać przy tem, aby prawa jej były poszanowane.

Wprawdzie do sypialni czasem powracając, gdy jej nikt nie widział, oprócz Dosi, modląc się, zapłakała,

lecz gdy trzeba było do obcych, a szczególniej do niechętnych wyjść, nie brakło jej nigdy na mocy, na wymowie i na męskim prawdziwie charakterze.

Cudem to prawie nazwać było można, co się z nią i w duszy jej działo. W oczach ludzkich rosła i potężniała.

Ksiądz biskup chełmski patrzał na nią z poszanowaniem i szeptał, że to było sprawą Bożą.

Co się potem działo w Warszawie za powrotem posłów i jak senatorowie przyjęli sprawozdanie a list królewnej, opowiedzieć trudno. Inaczej, jak popłochem, nazwać tego nie było można, lecz strach łączył się z gniewem wielkim, z odgróżkami, z przemyślaniem nad tem, jak tę biedną królewnę, sierotę, będącą na łasce narodu, zmusić do posłuszeństwa i poddania się.

Tymczasem zwołany był do Kask zjazd szlachty, na który Anna wysłała od siebie listy, a w nich oświadczyła, wprawdzie domagając się zezwolenia, lecz razem stałe objawiając postanowienie przybycia na sejm do Warszawy!

To dopełniło miary!

Senatorowie strwożyli się jeszcze mocniej. Przybycie na sejm oznaczało zajęcie niezależnego stanowiska, pozyskanie ludzi, zdobycie wpływu na sprawę, którą kraj sam chciał rozstrzygnąć.

Potrzeba więc było królewnę zatrwożyć, zagrozić jej, zmusić do posłuszeństwa. Radzono nad tem.

Sprawa Henryka i Francuzów dotąd mniej głośno, lecz daleko szczęśliwiej się zdawała rozwijać, niż cesarska. Montluc zyskiwał z dniem każdym serca; Zborowscy potajemnie szerzyli propagandę, która szła tem lepiej, że i katolików zaspokajała, a pocichu mówiono, iż papież ją popierał.

Wszystko tedy zdawało się iść jak najszczęśliwiej dla Francuzów, gdy jak piorun nadbiegła wieść o rzezi św. Bartłomieja.

Na odgłos o niej, z Niemiec tu przyniesiony, wszyscy inowiercy naraz odpadli z oburzeniem i Montluc znalazł się opuszczonym. Sprawa wydawała się już przegraną.

Królewna odebrała o tem wiadomość w Łomży i poszła się zamknąć ze łzami swemi, aby nie okazać, jak ją okrutnie dotknęła.

W całym kraju jedno się powtarzało, iż nikt nie chce kata, zbroczonego krwią, widzieć na tronie. Obwiniano nie tylko Karola IX, ale królowę matkę i księcia andegaweńskiego. Cesarz mógł się radować, gdyż najniebezpieczniejszy ze współzawodników zdawał się unicestwionym.

Na zjazdach szlachty, wszędzie gdziekolwiek doszły relacye o rzezi, a były i przesadzone i namiętne, zaprzysięgano Francuza odpychać i nie dać się o nim odzywać nawet jego stronnikom.

Zborowscy też w początkach umilkli przybici; lecz nie darmo biskup Walencyi był wysłanym do Polski, a jeden z najzdolniejszych owego czasu pisarzy w pomoc mu dodany.

Montluc zaczął od tego, iż napadających na niego prosił o cierpliwość, dopókiby z Francyi nie odebrał wiadomości wiarogodnych. Zapewniał z uśmiechem, że przeczuwa potwarze i złośliwości, iż król i królowa matka oczyścić się potrafią z zarzutów mordowania własnych poddanych.

Pibrac już przygotowywał swój list do Elvidiusa; pisano memoryały, mające wprędce nadejść do Polski, w których dowiedzionem było, że król wcale winien się nie czuł. Owszem okazał największą litość dla ranionego admirała Coligny. Gdy się dowiedział, iż on i Hugonoci na życie jego sprzysięgli się i tejże nocy na Luwr napaść mieli, musiał się król bronić i dozwolił Gwizyuszom uprzedzić spiskowych. A potem, potem sam lud, ujmując się za pana swojego, oszalały dokonał reszty.

Winnymi więc byli sami Hugonoci, którzy na życie rodziny królewskiej czyhali. Wszystko to było jasne, jawne, dowiedzione, jak na dłoni.

Tysiącami relacyi tych nowych o rzezi św. Bartłomieja rozsypano natychmiast w całej Polsce. Drukowano je w Niemczech i w Krakowie.

Montluc pokazywał słodko uśmiechnięty wizerunek Henryka, pytając, czy młodzieniec tak śliczny, tak łagodny posądzonym być mógł nawet o okrucieństwo.

— Oprócz tego owa rzeź — dodawał biskup Walencyi — była w ustach niechętnych przesadzoną, powiększoną; padli tylko winni i zdrajcy.

Na gorętszych różnowiercach pisma Pibraca, opowiadania Montluca, szczegóły, które przynosili jedni za drugimi przybywający z Francyi wysłańcy, nie czyniły zrazu wrażenia! Nie wierzono im, wołano: Precz z Francuzem!

Lecz tu, jak zawsze tłumy się dały ciągnąć przewódzcom, a Zborowski przeciwko Firleja stojąc, gotów był raczej swoje różnowierstwo narazić, niż uznać się pobitym. Począł dowodzić, że od wszelkiego prześladowania różnowiercy zabezpieczyć się potrafią, przysięgę wymódz, prawo postanowić:

Gwałtowne wrzenie zwolna łagodzić się i ostygać zaczęło.

Królewna, opłakawszy zrazu pogrzeb swych tajemnych nadziei i marzeń, czekała niecierpliwie wieści z Francyi. Przysłano i do Łomży owe listy Pibraca i mnogie inne objaśnienia, które w zupełnie nowem świetle ukazywały tę straszną rzeź nocy św. Bartłomieja. Król był do niej zmuszonym w obronie własnego życia, a lud, lud wszędzie jest okrutnym.

Skłonna do uwierzenia wszystkiemu, co nadzieje jej żywić mogło, królewna z wdzięcznością Opatrzności przyjęła tę wiadomość pocieszającą. Zdawało się jej to prawdziwem, niewątpliwem. Chmurne czoło wypogodziło się znowu.

Nie zwykła była ona nigdy odzywać się z własnem zdaniem, gdy mówiono o cesarskich i francuskich kandydatach, milczała i słuchała, lecz otaczający ją mogli poznać, że się radowała oczyszczeniem od zarzutów rodziny panującej we Francyi.

Talwosz i Dosia, którzy usiłowali z twarzy jej czytać, aby odgadnąć myśli i wedle niej postępować, utwierdzili się w przekonaniu, że królewna sprzyjała Henrykowi. Litwin biegał, poszukując świstków i relacyi, któreby uspokoić mogły.

Anna, nie mająca dotąd wprost od panów rad wiadomości o tem, co postanowić chcieli względem niej, wiedziała tylko przez pilno rozwiadującego się Talwosza, a potrosze i przez pozyskanego sobie biskupa chełmskiego, że się na nią gotowała groza i burza. Uprzedzano ją, że panowie nie tylko do Warszawy dozwolić jej nie chcą przybyć, ale myślą gdzieś dalej od granic, od stolic wyznaczyć rodzaj więzienia.

Przebąkiwano o Łęczycy, o Krasnymstawie.

Gdy jej o tem napomknął ksiądz Staroźrebski, nie spostrzegł najmniejszej zmiany w twarzy, odpowiedziała mu zimno, ale stanowczo:

— Nie pojadę tam; przeniosę się, gdy zechcę i gdzie zechcę. Gwałtu mi uczynić nie mogą, a ja do niewolniczego posłuszeństwa nie jestem obowiązaną.

Starcie się z panami rad zdawało się nieuchronne.

Siedziano w Łomży, ale Talwosz miał wydane rozkazy, aby do podróży, na wszelki wypadek, gotowość była zawsze.

Ponieważ odgróżki i warczenie przeciw królewnie dochodziło z Kask, gdzie miano coś postanowić, aby wiedzieć czemu się i jak opierać, Anna wyprawiła potajemnie Talwosza, języka potrzebując.

Człowiek to był do wszystkiego, który znikał i powracał cudownie, odbywał podróże z pośpiechem niesłychanym, docierał wszędzie, umiał się dowiedzieć tajemnic i nigdy z próżnemi rękami nie wracał.

Królewna, którą wielu zawiodło, miała w nim nieograniczone zaufanie, a gdy Zagłobianka podjęła się pośrednictwa i zaniosła mu rozkazy, Anna pewną być mogła, iż pójdzie w ogień i w wodę.

Sprawił się i tym razem Talwosz żywo, a nie wrócił z niczem; ale złe przywiózł wiadomości, których przed Anną ukrywać nie było można. Wiedział on o tem, że

chciała być o wszystkiem zawiadomioną, bez oszczędzania strapień, aby zawczasu do oporu przygotować się mogła.

Talwosz ze smutkiem przyznać musiał, że się tak bardzo sierdzono i odgrażano tam na królewnę, że postanowiono ją wysłać do Łęczycy lub Krasnegostawu, a do Tykocina wyprawić dla zagarnięcia skarbów, które testamentem do niej i do sióstr należały, o czem senatorowie słuchać nie chcieli.

Wszystkie te pogróżki i posądzenia, że królewna potajemnie z Gastaldim i cesarzem miała jakieś układy, że samowolnie coś poczynała, gdy Talwosz jej przyniósł, wysłuchała bardzo cierpliwie, jakby zawczasu przygotowana, podziękowała mu za gorliwość i odeszła, słowa nie rzekłszy, ale nie okazując, aby się tem zakłopotała.

Talwosz nie śmiał powtórzyć Annie, co mu powiadano jako niepewne jeszcze, że senatorowie mieli żądać wydania kluczów od tykocińskich skarbów i że dla pilniejszego dozoru nad osobą królewnej wyznaczeni byli w Krasnymstawie oprócz biskupa chełmskiego, pan Andrzej z Tęczyna, kasztelan bełski, a w Łęczycy Andrzej Dembowski, kasztelan sieradzki.

Talwosz powiadał Dosi, że natychmiast chciano Annę z Łomży wyprawić.

Wszystko się to sprawdziło wkrótce i jednego dnia dano znać królewnie, już na wszystko przygotowanej, że posłowie od panów senatorów, biskup kujawski, Karnkowski i wojewoda łęczycki, Jan z Bogusławic Sierakowski, do Łomży zawitali. Pobiegł na spotkanie ich biskup chełmski.

Wybór tych posłów wskazywał, że chciano powagą ich większy nacisk położyć na wymagania i zapobiedz wszelkiemu ze strony królewnej oporowi. Karnkowski odznaczał się rozumem i dostojeństwem, nie ustępował mu Sierakowski, zręczniejszy i żywszy od niego.

Wiadomość o przyjeździe ich nietylko że nie przestraszyła Annę, ale zdawała się jej wielce pożądaną

Biskupowi chełmskiemu dała wiedzieć natychmiast, że przyjmie biskupa i pana wojewodę jak tylko odwiedzić ją zechcą.

W kilka też godzin potem Karnkowski z wojewodą przyszli powitać Annę, która przyjęła ich z wielkim majestatem, ale nader zimno i obojętnie.

Na zapytanie, z czemby do niej wysłani byli, biskup kujawski oświadczył naprzód tylko, że żądano, aby królewna wyjechała natychmiast z Łomży do Krasnegostawu lub do Łęczycy.

— Dlaczegóż po mnie tego wymagacie? — spytała zimno.

— Otwarcie powiem — przerwał Sierakowski, — iż, niesłusznie pewnie, boją się panowie senatorowie, aby tu Litwa nie zabiegła i nie starała się skłonić miłość waszą do działania na zerwanie Unii.

Anna uśmiechnęła się ironicznie i poruszyła ramionami.

— Posądzenie to dla mnie obelżywe jest— rzekła, — ale je przebaczyć muszę. Co się tyczy Krasnegostawu lub Łęczycy—dodała, — stanowczo wam oświadczyć muszę, że ani do jednego, ani do drugiego mi wyznaczonego miejsca nie pojadę. Tak, nie pojadę. Wybiorę się tam, gdzie mi się zda znajdować, bo niewolnicą uczynić się nie dam.

Wojewoda zbladł, biskup spuścił głowę, nie odezwali się już ani słowa. Sam ton, jakim wyrzeczone były te wyrazy przez Annę, nie pozostawiał wątpliwości, iż się skłonić nie da do posłuszeństwa bezwarunkowego.

Uzbrojona była do walki z senatorami.

Dnia tego biskup Karnkowski już nawet nie rozpoczynał nalegania, i krótko zabawiwszy, pożegnał królewnę.

Powrócili do niej nazajutrz z wojewodą. Karnkowski na nowo oświadczył, iż Anna musi się oddalić z Łomży, bo panowie senatorowie mają wiadomość o tem, iż Litwa zmierza do zerwania Unii i będzie się starała nakłonić ją ku sobie. Sama więc królewna dla spokoju

własnego powinna była uniknąć nacisków, którym możeby się oprzeć nie potrafiła.

Nie przyznała się Anna, iż Chodkiewicz ją już kusił wyborem na w. księstwo, ale odpowiedziała zimno, że niesłusznie ją posądzano, jakoby bez rady panów mogła i chciała czynić jakieś układy z Litwą.

Wtem wojewoda, chcąc odrazu pozbyć się wszystkiego, co najcięższe mu było, dodał, że kazano im się domagać kluczów od skarbów tykocińskich, w których skrzyniach znajdowały się też przywileje koronne.

Anna spojrzała na niego z góry.

— Pojedziemy więc razem do Tykocina — rzekła — i przy mnie otworzym skrzynie, aby szukać przywilejów, o których ja wiem tylko tyle, że ich tam niema!

Sierakowski i Karnkowski zaniemieli; królewna siedziała naprzeciw nich majestatycznie, dumnie, po królewsku zbywając się natrętów.

Biskupowi zrobiło się nad wyraz przykro; widział się w konieczności wytoczenia wojny ze słabą niewiastą, do której przygotowanym nie był. Niemiłem mu było stawić się nieprzyjacielem tej ostatniej gałązki Jagiellońskiego szczepu.

Począł więc po chwili milczenia i namysłu, z goryczą i żalem wywodzić do jak wielu posług zażywała go Rzeczpospolita, jak je sprawiał zawsze ochotnie i szczęśliwie, jak i teraz z chęcią i dobrą wolą jechał tu do królewnej dla porozumienia się bez sporu, dla dobra obustronnego.

Nie zbywało na wymowie biskupowi, a gdy raz rozpoczął, niełatwo się powstrzymać mógł, mówił więc długo, z uczuciem. Tłumaczył, dlaczego się domagano wyjazdu, gdyż przejęto listy Litwinów i wiedziano o ich intrygach.

Łatwo było się domyśleć, że odmówienie kluczów i wydanie przywilejów tak dobitne, strwożyło też księdza Karnkowskiego. Z niezmiernym zapałem, w uniesieniu zbytecznem może, przypuszczając, że są jakieś

zabiegi na opanowanie gwałtowne tronu z pomocą i za wiedzą Anny, zawołał:

— Jako senator i jeden z rady koronnej obowiązany jestem miłości waszej oświadczyć uroczyście, że cudzoziemcy napróżno tu przebywają w Polsce i różne starania czynią; ani w. kr. mość, ani nikt w świecie nie dokona tego, aby nam przeciw woli naszej pana narzucił. Pierwej ciała i szaty nasze krwią się opłuczą, niż my do tego dopuścimy!

Uniósł się jeszcze więcej biskup i nierozważnie dodał:

— O tem w. kr. mość myśl i my się o to starać będziemy, co jest z wolą Bożą, zgodą powszechną, ale tego nie dokażesz ani praktykami, ani dumą swą i zginiesz... z żałością to mówię i z płaczem!

Królewna słuchała blada i poważna, a Karnkowski, raz za daleko się posunąwszy, nie wiedział teraz, jak złagodzić wrażenie swych gróźb; mówił więc ciągle, nie mogąc poprzestać, o przejętych skryptach, o praktykach tajemnych, o tych, których Anna do pomocy używała... i skonkludował, iż w Łomży dłużej pozostać nie mogła.

— Słuchaj w. kr. mość nas, zaufaj nam — mówił, — Bogu na chwałę, a sobie i nam na pożytek. Miejsce tu ku mieszkaniu niebezpieczne jest, obrony nie masz, zawarcia żadnego, ludzi około miłości waszej niewiele. Obcy przybiegają, wciskają się, stąd niebezpieczeństwo i podejrzenia i złe mowy. Książę lignicki przejeżdża się po kraju, książę pruski obiecuje cesarzowi pomoc.

Powtórzył wreszcie biskup wymagania wyjazdu i wydania przywilejów koronnych z Tykocina.

Zdało się jemu i wojewodzie, że wymową tą, zaklęciami, groźbami pokonał Annę, lecz okazało się, że trwała niewzruszona przy swojem.

Napróżno zeszło kilka godzin i posłowie nic nie dokonawszy, odejść musieli. Dostało się tedy księdzu biskupowi chełmskiemu, a potem ochmistrzowi Konieckiemu za to, że musieli dopuszczać do Anny ludzi, którzy

ją podbudzali, utrzymywali w oporze, bo nie mogli przypuścić, aby tę siłę charakteru sama z siebie brała.

Wygadał się z tem Karnkowski przed ochmistrzem, który Bogu ducha winien był, że Litwa jakoby chciała się pozbyć Anny, osadzając ją na księstwie Baru we Włoszech, a Korona lepiej o niej myślała.

Trwało parę dni naleganie i stateczny opór królewnej, która oświadczyła ponownie, iż ani do Krasnegostawu, ani do Łęczycy nie pojedzie, choćby dlatego, iż potrzeba było przebywać w podróży zapowietrzone jawnie okolice.

Zgadzała się zaś na to, aby w blizkości Warszawy osiąść tymczasowo w Piasecznie, choć tam odpowiedniego pomieszczenia spodziewać się nie mogła.

Biskup i wojewoda, którym jadąc, zdawało się, że z jedną osieroconą niewiastą łacno trafią do końca, pracowali nadaremnie kilka dni i musieli się uznać pokonanymi.

Anna miała tę wyższość osobliwą nad wymownym biskupem, że mówiła i odpowiadała spokojnie, bez namiętności, bez gniewu, nie unosząc się, ale nie dając się złamać. Nie brała za złe Karnkowskiemu jego występów gwałtownych, odzywała się jak przystało do duchownego, z pokorą, łagodnie, lecz nie ustępując ani na włos z tego, co postanowiła.

Biskup i wojewoda zgodzili się, radzi nieradzi, na Piaseczno.

Było to jedno, co zyskali u królewnej i wyjeżdżając, musieli powiedzieć sobie, iż powracali tak jak z niczem. Jagiellonka odniosła zwycięstwo, choć radości zbytniej z tego nie okazywała.

Miała wiele innych powodów do trosk i smutku. Ta Litwa, którą posądzano, iż w spisku z nią była, odgrażała się, że wcale testamentu króla uznawać nie chce i nie myśli, że jego spadkobiercami nie rodzeństwo, ale kraj być powinien.

Panowie koronni równie łaknący grosza dla opróżnionego skarbu, gotowi byli nawspół z Litwinami przystąpić

do podziału. Zgodzono się obejrzeć i sprawdzić, co i jak się tam w Tykocinie znajdowało.

Wiemy już z opowiadania tego, iż król powierzył straż skarbów tykocińskich rotmistrzowi Bielińskiemu, którego wierności ufał, a kazał mu powiedzieć i wymógł na to przysięgę, że kluczów ani przystępu nie da nikomu, oprócz królewnej Anny.

Gdy do Łomży doszła wiadomość, że się Litwini i panowie koronni wybierali do Tykocina, pobiegł zaraz Talwosz zakląć rotmistrza Bielińskiego od królewnej, iżby zaufania w nim położonego nie zawiódł.

Poselstwo to wcale nie było potrzebnem. Gdy Talwosz nadbiegł, już było po wszystkiem, a Bielińskiego znalazł tak spokojnego, jakby wcale mu nic nie zagrażało. Stary wojak był jednym z tych ludzi, którym ani wojewodowie, kasztelanowie, ani biskupi powagą swą senatorską imponować nie mogli. Cześć swą i słowo rycerskie stawił tak wysoko, iż za nie życie gotów był dać.

Z zimną krwią zdał relacyę Talwoszowi, iż wistocie z Litwy wyznaczeni starosta żmudzki i Wojna, pisarz litewski, wraz z wojewodą sandomierskim i kasztelanem gnieźnieńskim przyjechali byli do Tykocina w zamiarze opatrywania owych skarbów. Zaraz na wstępie bez ogródki oświadczył im Bieliński:

— Obejrzyjcie waszmościecie, czy jest należyty porządek około ciała królewskiego i około sklepów opieczętowanych, ale nie żądajcie ode mnie, abym złamał słowo. Jestem człowiekiem sędziwym i rycerskim, nieboszczykowi królowi przysięgałem, a prędzej życie stracę, niż przysięgę moją naruszę.

Panowie tedy zażądali, aby on i wszyscy na zamku w Tykocinie złożyli nową przysięgę Koronie i Litwie, Bieliński się oparł.

Poswarek się stał i zamieszanie z tego powodu, rotmistrz trwał przy swojem nieporuszony. Grożono mu pozwaniem na zjazd do Warszawy, nie pomogło i to. Gwałtu popełnić nie ośmielono się i sklepy zostały nienaruszone.

Talwosz przyniósł pocieszającą tę nowinę w chwili, gdy się już wybierano do Piaseczna.

W ten sposób królewna szczęśliwie się przy swem utrzymała i miała zbliżyć do Warszawy, do której chciała się dostać, choćby to panom senatorom niebardzo miłem być miało.

Wśród zimy po najgorszych drogach, z niewygodami wielkiemi puściła się królewna w tę podróż, do której była na pozór zmuszoną, a wistocie odpowiadała ona jej życzeniom: zbliżała ją do miejsca, gdzie miały się odbywać zjazdy i mogła być czynną.

Dotąd wiodło się wszystko, choć zdobywać musiała przebojem stanowisko, które zająć potrzebowała. Od śmierci króla, owa sierota bezsilna już doszła do tego, iż straszną się stała i swoją wolę mieć mogła. Panowie musieli się z nią rachować.

Co się działo w duszy jej? Jak potrafiła utrzymać się na zdobytem stanowisku, nie mając pomocników, oprócz maluczkich sług wiernych? Jeden Bóg wiedział.

Widząc ją tak śmiało kroczącą coraz dalej, nie dającą się zastraszyć, ani zbić z raz wyznaczonej drogi, panowie nie pojmowali, aby tę siłę w sobie samej czerpała; roiło się im, że była w zmowie z cesarzem i że im chciała narzucić pana nie dopuszczając elekcyi.

Więc poprzysięgano, zaklinano się, że nie dozwolą, aby im panował, kogo sami nie wybiorą.

Ponieważ ani głupawego Konieckiego ochmistrza niepodobna było posądzać o posiłkowanie królewnie do tych urojonych spisków, ani biskupa chełmskiego, ani Czarnkowskiego, który za sobą zacierał tropy, na Talwosza się zwróciły oczy, jemu przypisywano wszystko: opór, konszachty potajemne...

Zażądano od Anny, aby go odaliła. Królewna w chwili wielkiego zburzenia umysłów sama nie wiedziała, co począć i potajemnie kazała przywołać Litwina, który już o wszystkiem wiedział.

Nic mu to nie zachmurzyło czoła, choć ode dworu królewnej odejść nie rad był dla Dosi.

— Co ja pocznę, Talwoszu mój—odezwała się do niego Anna, wzdychając,—oczy mi tobą wykałają.

— Jeżeli w. kr. mość dla mnie mizernego służki

swojego, cierpieć masz—rzekł Talwosz, kłaniając się—proszę usilnie, rozkażcie mi precz iść, ja nie mniej gorliwie służyć będę.

Łza się zakręciła królewnie w oczach.

— Uspokoić trzeba panów senatorów—dodała—ale się się nie oddalajcie z Warszawy. Da-li Bóg, ja wierne służby nagrodzę.

Jaka nagroda najmilszą mu była, nie powiedział Talwosz; odszedł na wszystko gotowy.

Nazajutrz Anna przy biskupie chełmskim przywołać go kazała i oświadczyła, że dla spokoju i nalegania panów żąda, aby od niej odjechał.

— Stanie się po woli miłości waszej—odpowiedział, kłaniając się Litwin;—dziękuję za wszystkie łaski, jakich doświadczyłem i odchodzę, życząc tylko, aby miłości waszej drudzy, równie wiernie, jak ja służyli.

Urzędownie tedy Talwosz został odprawiony. Wesoło jednak poszedł do towarzysza Boboli.

— A co! druhu miły!—rzekł,—mnie kazano iść precz! Wyście szczęśliwi, że panowie senatorowie was w posądzeniu nie mieli i zostajecie.

Bobola uszom nie dowierzał. Zdawało się nietylko jemu, ale nawet Konieckiemu, Żalińskiej nawet, która go nie lubiła, niepodobieństwem, ażeby się na dworze bez Talwosza obejść mogli.

Teraz dopiero okazało się, jaką on tu był sprężyną wszystkiego niepokaźną, cichą, a czynną. Nigdy z tego chluby nie szukał, nie wynosił się, łaskami nie chwalił, wpływem nie nadymał, ale wszędzie go było pełno, każdemu dał dobrą radę, karku chętnie nastawił, a gdy niejasno w czem było, on dojrzał drogi.

Dla królewnej był to służka nieopłacony, nieoszacowany, ale wyrzekając się go, wiedziała, że nie straci.

Z dobrą miną tegoż dnia poszedł Talwosz na pożegnanie do dobrego, łagodnego księdza biskupa chełmskiego, który go też lubił i miał tęsknić po nim.

— Przyszedłem najprzewielebniejszego ojca pożegnać —rzekł, całując go w rękę,—pędzą mnie stąd, niema rady. Kiedy już Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie ma być

przez Talwosza, trzeba ją ratować! Więc choćby głową w przerębię.

— Biskup stał zafrasowany.

— Kochanku—rzekł,—wierzaj mnie, jam temu nie winien nic. Ochmistrzowi Konieckiemu byłeś solą w oku; ten na ciebie zrzucił wszystko.

Śmiał się Talwosz.

— Gdy ja pójdę precz—rzekł,—nic przeto on więcej tu znaczyć będzie.

Ksiądz biskup westchnął powtórnie.

— Dokądże ty? na Litwę?—spytał.

— Bóg jeden wiedzieć raczy—odparł Talwosz.— Człowiek czasem swobodę odzyskawszy, nie wie, co z nią robić; tak i ja. Na wsi mi się nie chce siedzieć. Siła jest panów, do których dworów człowiek się zda, ale nie do każdego rad pociągnie. Czas jakiś pewnie zostanę w Warszawie.

Pobłogosławił go ksiądz Wojciech i tak się rozstali.

Koniecki ochmistrz, gdy się z nim przyszło żegnać, z kolei poprzysięgał, iż on wcale przyczyną nie był odprawy, że złe języki mogły to składać na niego, ale się czuł niewinnym.

— Albo ja miłość waszą winuję?—odezwał się Talwosz,—Boże mnie uchowaj! Przyszedłem tylko z przestrogą, że co dziś mnie, jutro miłość waszą spotkać może. Nie stanie Talwosza, a zrobi się co nie po myśli, rzucą teraz na ochmistrza.

Zasępił się Koniecki, ale nadto ufał wysokiemu urzędowi swojemu, ażeby się uląkł bardzo. Nosił się z godnością tą, pewien będąc, że nawet złe języki dosięgnąć nie mogły wyżyny, na której się znajdował.

Żalińska gderliwa tem czulszą chciała się okazać dla Talwosza, im się w duszy cieszyła więcej z tego, że się go pozbędzie. Miała nadzieję, że syn jej skorzysta z tego i zbliży się swobodniej do Zagłobianki, która patrzeć nań nie chciała.

Najcięższe było pożegnanie z Dosią. Talwosz nie mógł dotąd zbadać dziewczęcia i na przemiany to się łudził nadziejami najsłodszemi, to rozpaczał. Dosi ani on, ani nikt w świecie zrozumieć nie mógł. Dumna, zimna, szyderska,

obchodziła się ze wszystkimi mężczyznami tak, jakby z nich żadnego siebie godnym nie uznawała.

Spotykało Talwosza to, co innych. Czasami słuchała go cierpliwiej, okazywała przyjacielską, ale zaledwie z tego zapragnął skorzystać, aby się zbliżyć i spoufalić, natychmiast oblekła się dumą i stawała nieprzystępną. O miłości ani mówić nie dozwalała.

Talwosz, zamożny po rodzicach szlachcic, pięknego imienia, był dla niej pożądanym mężem, ale o wyjściu za mąż słuchać nie chciała.

Korzystając z tego, iż pożegnać ją miał, Litwin postanowił raz jeszcze spróbować rozmówić się z nią stanowczo.

Dosia, która pierwsza wiedziała tu wszystko, tak, iż powiedzieć było można, iż myśli królewnej odgadywała, o odprawie Talwosza uwiadomioną była wcześnie. Nie zdziwiła się, gdy wypatrzywszy chwilę, samą ją w komorze królewnej zastał i oświadczył, że przyszedł z pożegnaniem.

Zagłobianka, która około krosien jakichś zajęta była, rzuciła je i podeszła ku niemu.

— Panno Doroto—odezwał się Talwosz—serce mi się kraje. Mało mi nieraz było raz lub dwa widzieć ją we dnie, a teraz, Bóg wie, czy raz w tydzień mnie to szczęście spotka.

A gdy Dosia milczała, dodał:

— Niechże choć przy tem rozstaniu wolno mi będzie raz jeszcze powtórzyć, żem ja sługą jej wiernym do grobowej deski, a siebie i co mam, u nóg waszych składam.

Zagłobianka się cofnęła, twarzyczka jej zbladła i brwi się ściągnęły.

— Dalibyście pokój temu—odpowiedziała.—Wszyscy wy mężczyźni, gdy się liczko podoba, toż samo oświadczacie i mówicie... a no na lodzie nie budować.

— Jam tedy nie wart więcej, niż drudzy, w oczach waszych, panno Doroto?—zapytał smutnie Talwosz.

— Nie mniej nad innych, ale pono i nie więcej—powtórzyła Zagłobianka.—Albo waszmość znasz sam siebie? Ja to tylko wiem, że pókim młoda, a krasy trochę jest, ona za wszystko płaci; nie stanie jej, pocznie się wypomina-

nie, żem ani mienia, ni imienia nie przyniosła, a ja na to narażać się nie chcę, i za mąż iść nie myślę.

Talwosz głową zawahał.

— Mnie się zda, że gdzie wielka miłość jest, tam ani imienia, ani mienia nie potrzeba.

— Tak to się waszmości zda,—rozśmiała się z przymusem Dosia—a nie dosyć was, rodzinę macie, ojca, matkę, braci, siostry, powinowatych, ci oczy sierocie-by wykałali. Proszę więc, nie mówmy o tem.

— Jeżeli drugim tak samo, jak mnie, odpowiadać będziecie—odezwał się Talwosz,—gotówem czekać, aż się o wiernej miłości mej przekonacie.

Zagłobianka zwróciła rozmowę.

— Więc was odprawiono—rzekła,—ale wy się odprawiać od królewnej nie powinniście.

— Ani też myślę—odparł Talwosz.—Zostanę w Warszawie. Z Piaseczna niedaleko do mnie będzie, gdybym się miał zdać na co. Zresztą widzi mi się, że i królewna rychło do Warszawy się przeniesie.

— Gdybyście mnie na co potrzebować mieli — dodał wkońcu,—każcie szukać w gospodzie pod „Białym koniem" u Barwinka, za Krakowską bramą.

Ponieważ Zagłobianka nie odchodziła, wniósł Talwosz, że mu ma coś jeszcze do powiedzenia; czekał rad, iż się rozmowa przedłużała.

Dosia cichym głosem poczęła:

— Nieprawdaż? mnie się zdaje, że choć panowie senatorowie naszą panią posądzają o to, iż z cesarzem jest w potajemnej zmowie i z nim spiskuje, mylą się bardzo. Więcej ona sprzyja Francuzowi.

Talwosz głową dał znak potwierdzający.

— Najlepszym dowodem tego było—dodała Dosia,—iż gdy nadeszły wiadomości o tej rzezi okrutnej, zgryzła się tak, po całych dniach słowa od niej dopytać nie było można. A potem, jak począł biskup Walencyi rozsyłać pisma, które oczyszczały króla i królowę, naczytać się ich nie mogła. Kazała mi sobie po nocach raz i drugi odczytywać i tłumaczyć.

Spojrzała na Talwosza.

— Jam też domyślił się, że z cesarzem nasza pani dlatego tylko umyślnie zdawała się na dobrej stopie, aby strachu senatorom napędzić i nie dopuścić lekceważenia.

— No to powinniście, jeżeli tak mniemacie—wtrąciła Dosia,—powinniście wiedzieć, co czynić. Królewna znaku nie da, ażeby Francuza popierano, bo się wstydzi, ale przyjaciele jej odgadłszy myśl, starać się powinni, podług niej się sprawiać.

— Ani słowa—odparł Talwosz;—tylko tacy przyjaciele a słudzy jak ja, nie wiele mogą.

— Nieprawda—przerwała Dosia gorąco,—kto chce, ten może wiele, a mali ludzie czasem nieznacznie sprawy wielkie popierają skutecznie; tyle tylko, że potem ich robota na cudzy idzie rachunek.

— A ja się też chwalić i korzyści z niej dla siebie ciągnąć nie myślę—odpowiedział Talwosz.—Byle naszej pani usłużyć, zapłaty, ani chwalby z tego nie szukam.

— Bóg wam to nagrodzi—dodała Dosia uprzejmie.—Wiecie więc, co czynić... róbcie.

— Nie omieszkam—rzekł, kłaniając się zabierającej się do odejścia Talwosz.—Pozwólcie, abym, gdy potrzeba się okaże, zgłosił się do was?...

— Czemuż nie—cicho szepnęło dziewczę,—ale o tem zapominać nie trzeba, że ludzie mnie i was będą szpiegowali. Ostrożnym musisz być. Bóg z wami.

Talwosz skłonił się raz jeszcze.

— A! jak wy, panno Doroto, nielitościwi jesteście!

Piękna Zagłobianka położyła palec na ustach, twarz jej posmutniała.

— Ani słowa!

I odeszła żywo.

Królewna mieszkała w Piasecznie. Ze wszystkich tych pustych zamków i dworów, które dotąd od śmierci brata zajmowała czasowo, dwór tutejszy był najnędzniejszym.

Królewna musiała zajmować izby nieopatrzone, zimne, wiejące, w których brakło pieców, ław i stołów, a nie wszędzie tokowisko zastępowały podłogi. Dla niej i dla kilku osób ze dworu jako tako pootykano ściany i okna, ale reszta służby, gorzej, niż na obozowisku cierpiała, a zima była ostra.

Żaden z tych panów senatorów, którzy ją tu siedzieć zmuszali, nie byłby wytrwał w takiej obrzydłej dziurze. Królewna znosiła wszystko, nie uskarżając się, a gdy Zalińska i Zagłobianka lub Koniecki poczynali piszczeć, zamykała im usta. Miała w tem myśl jakąś. Właśnie to nędzne pomieszczenie posłużyć jej najlepiej mogło dla wytłumaczenia przeniesienia się do Warszawy.

Nie pytając o pozwolenie, już razy kilka z Piaseczna jeździła do miasta, zatrzymywała się tu po dniu i więcej. Za każdym razem przyjazd jej obudzał popłoch, lecz wkońcu ludzie się z tem oswoili, a królewna obracała się swobodnie.

Dosia spostrzegła, iż miała wielką ochotę przenieść się stale na zamek, ale się jeszcze wahała, jakby sposobnej wyczekując chwili. Nie zwierzała się ze swych zamiarów nikomu.

Sprawami cesarskich posłów i innemi, o które ją posądzano, że się niemi porała, nie zdawała się bynajmniej zajmować. Cała jej troska i staranie zwrócone było na most na Wiśle pod Warszawą. Było to wielkie, ulubione dzieło Zygmunta Augusta, które on rozpoczął z gorącem pragnieniem widzenia jeszcze za żywota ukończonem. Leżało mu ono na sercu, dopytywał o nie na śmiertelnem łożu, dawał na to pieniądze ze swej szkatuły, a powierzywszy dokonanie staroście warszawskiemu Wolskiemu, do ostatniej godziny troszczył się o nie.

Na owe czasy było to dzieło trudne, kosztowne, wielkie. Most ten, któryby był jakby wcieleniem idei Unii dwóch narodów, mający połączyć dwie połowy Rzeczypospolitej i ułatwić wymianę ludzi i zasobów rozpoczęty został jeszcze w roku 1568, 26 czerwca, gdy pierwszy pal pod niego wbito. Król okupił dwoma wioskami, Przekorą i Dobrą Wolą prawo przewozu od Jeżowskich, spłacił

dzierżawcę przewozów Erazma z Zakroczymia i jemu powierzył budowę stałego mostu, który miał się oprzeć i wylewom i lodom, łącząc stale dwa brzegi.

Kilkadziesiąt ogromnych baszt drewnianych, z prastarych, niezmiernej grubości belek wznoszonych, miało go bronić, rozbijając kry i lody. Drzewo spuszczano z królewskich lasów z Korony i Litwy; nieustannie pracowali nad nim cieśle w wielkiej liczbie i budowa mająca 1150 kroków długości, już blizka była dokończenia.

Starosta Wolski przejął gorąco myśl króla i dokończenie przyśpieszał, a Anna się nią zajmowała tak pilno, iż za każdą wycieczką do Warszawy jeździła na miejsce, kazała sobie pokazywać ile roboty postąpiły, zagrzewała do nich, naostatek ze swych bardzo szczupłych zapasów pieniądze dawała na opłatę robotnika. Wolski, który najlepiej wiedział, że królewnie o pieniądze było trudno, bo z Tykocina nic jej nie dawano wziąć dotąd, oprócz pary srebrnych lichtarzy, nie rad przyjmował, zmuszała go przecież Anna, aby dokonanie mostu przyśpieszyć.

Wiadomem było, że się tu Litwa i Korona dla narad nad przyszłym wyborem króla zjechać miały.

Starosta warszawski rad też był temu, aby wiekopomne owe dzieło doprowadzić do skutku, a królewna jeszcze animuszu mu dodawała. Ze swemi basztami już teraz prawie gotowemi, most oparty na balach niezmiernej grubości związany z takich belek, jakich dziś już nasze lasy nie mają, ukrzepiony mnogiemi klamrami żelaznemi, które go spajały, przedstawiał widok wspaniały.

Królewna dla pamięci brata była nim dumną, cieszyła się i patrząc nań, płakała. Wolski pysznił się tem, że jemu danem było ostatnią rękę przyłożyć do budowy jedynej wówczas w kraju.

Za każdą podróżą do Warszawy jechała Anna na brzeg w towarzystwie starosty, kazała sobie ukazywać wszystko i naglila o wykończenie.

Podróże te w porę zimową, na którą królewna nie zważała, a bardziej podobno pobyt w Piasecznie, gdzie nocami woda w pokojach zamarzała, wilgotno było i niewygodnie, poczynał już na zdrowie wpływać. Anna była

cierpiąca na ból głowy, oczów i miewała często gorączkę, ale nie zważała na nią wcale.

Czas było nareszcie z Piaseczna mimo panów senatorów przenieść się do Warszawy, choć przewidzieć było łatwo, jaką to wrzawę wywoła.

Panowie senatorowie jeszcze się byli po długich naradach nie rozjechali z Warszawy, gdy w piątek przed zapustami (23 stycznia) wcale się nie oznajmiwszy im, nie pytając o pozwolenie, królewna z całym dworem i taborem w biały dzień wprost zajechała na zamek.

Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie.

Był jeszcze w Warszawie prymas, Uchański, biskupów siła, był Firlej, marszałek koronny i inni senatorowie świeccy. Zmiarkowali oni, że zamiast rozpoczynać walkę, która się dotąd nie wiodła, należało królewnę przyjąć ze czcią jej należną. Pośpieszył więc Uchański, okazując wielkie poszanowanie dla krwi królewskiej, Firlej, biskupi i świeccy panowie na powitanie uroczyste.

Królewna wyszła bynajmniej nie ustraszona, z pogodną twarzą i wszystko się odbywało jak najuroczyściej, najspokojniej, bez wymówek, bez żalów.

Witał prymas, przemawiał wojewoda krakowski, dziękowała sama Anna, odzywali się inni z wiernością swą i przywiązaniem dla rodu królewskiego. Nikt nie śmiał ani spytać Anny, jak ważyła się na krok tak samowolny, ani jej wyrzucał, iż lekceważyła radę.

Królewna w kilku słowach napomknęła o tem, jak pobyt w Piasecznie był niemożliwym.

Rozgospodarowano się więc na zamku na dobre, widocznie nie myśląc się już stąd dać wyrugować.

Koniecki, który teraz sam jako ochmistrz na zamku rozkazywał, nabrał jeszcze większej powagi i pewności siebie.

Działo się to w piątek. Ponieważ Uchański i Firlej już na wyjezdnem byli i pośpieszyli z powitaniem, nie mogli wszystkim oznajmić o tem i wielu się do nich przyłączyć nie mogło.

Litwini, którzy po odrzuceniu przez Annę ich ofiar do rozerwania Unii dążących, najnieprzyjaźniejsi się dla

niej okazywali, godzili na testament króla i na prawa Anny, nie pokazali się dnia tego. Nie przyszedł też przeciwnik Firleja, Zborowski, może dlatego, iż z nim razem nie chciał się tu znajdować. Dotąd stawał on także dosyć nieprzyjaźnie względem królewnej.

W sobotę potem zdziwiła się ona wielce, gdy zrana Koniecki przyszedł jej oznajmić, iż pan wojewoda sandomierski o posłuchanie prosił. Nie zawahała się ani na chwilę z przyjęciem tego, który się głosił jej nieprzyjacielem.

Wielki a dumny pan Zborowski różnił się od tych ówczesnych czynnych w Rzeczypospolitej magnatów, jak Firlej, którzy z myślami i zamiarami swemi ukrywać się starali niezręcznie i sądzili, że świat oszukają. Zborowski większy frant od nich, mówił głośno, co myślał, udawał otwartego i namiętnego, krzyczał i unosił się, chociaż przy tem wszystkiem doskonale pamiętał, z czem się mógł wydać a co utaić. Z nim i sprawa i rozmowa szła inaczej: nie politykował on, jak Uchański, nie kłaniał się jak Firlej, rubasznie się tłumaczył, chciał, aby mniemano, że nic do ukrywania nie miał.

Wistocie, obok przebiegłości wielkiej, temperament gwałtowny nie dozwalał mu całkiem się powściągać. Puszczał więc wodze sobie, mówił wiele, obchodził się z ludźmi rzeźko.

Królewna Anna po wczorajszem powitaniu prymasa i wojewody, nie wiedziała, czego się ma spodziewać od Zborowskiego, który się nie tail z tem dawniej, że przeciw niej godził. Wyszła naprzeciw niego z małym dworem, przywołać kazawszy biskupa chełmskiego.

Zdumienie było wielkie, gdy wojewoda zobaczywszy ją wychodzącą, bardzo grzecznie, uprzejmie i z poszanowaniem należnem zaczął witać nietylko imieniem swem, ale i innych panów, którzy przybyć tu nie mogli.

Co więcej, ofiarował jej pokorne służby swe, przypominając, jako przodkowie jego wiele z łaski Jagiellonów dobrodziejstw otrzymali. Nie przepomniał i ubolewania nad tem, co królewna za życia i po śmierci brata ucierpiała, obiecując na przyszłość pomoc czynną i opiekę i t. p.

Mowa Zborowskiego była tak niespodziewaną, a tak pocieszającą, iż na królewnie uczyniła wrażenie jakiegoś cudu. Rozjaśniło się jej oblicze. Zbliżyła się więc, dziękując wojewodzie z wyrazem takiego przejęcia i rozrzewnienia, że Zborowski poruszył się więcej jeszcze.

Wymieniono słów kilka uprzejmych i Anna uczuła się zniewoloną pana wojewodę prosić, aby z nią przyszedł obiadować. Zborowski przyjął wezwanie ochoczo...

Jaką myśl miała Anna, rozkazawszy Konieckiemu do stołu swojego zaprosić jawnie sobie też nieprzyjaznych Litwinów, Ostafiego Wołłowicza i Pawła Paca, trudno było księdzu biskupowi chełmskiemu zgadnąć. On i pan Zygmunt Wolski mieli się także u stołu znajdować.

Tak owa prześladowana, pędzana z miejsca na miejsce córka królewska, która miała pod ścisłym dozorem siedzieć w Łęczycy lub Krasnymstawie, teraz, dzięki energii swej i silnej woli przyjmowała na zamku królewskim nieprzyjaciół, którzy się jej kłaniali nizko i oświadczali z pomocą i służbami wiernemi.

W Zborowskim domyślać się można już naówczas powziętej myśli użycia Anny w pomoc do elekcyi Henryka. Mówiło mu coś, iż cesarzowi nie była tak oddaną, jak głoszono. Być może, iż oznakę jakąś uchwycił i nie omieszkał z tego korzystać.

Zeszli się wszyscy na obiad tak dobrej myśli, tak pokorni i ochotni, że przy stole rozmowa żartobliwy i wesoły obrót wzięła. Zborowski miał to w naturze swojej, iż mówił niby otwarcie, co myślał, śmiało, chociaż nadto nigdy się nie zdradził.

Królewna, znając to, iż ludzie przy kieliszkach radzi się otworzystszymi stają, nalewać kazała, a Koniecki do picia zapraszał i naglił, czego pan wojewoda nie potrzebował zresztą, bo pił zwykle dużo i wcale go obecność królewnej nie hamowała.

Usta mu się czy pozornie, czy rzeczywiście szeroko bardzo rozwiązały. Przyszło do tego, że śmiejąc się, wyznał przed Anną, iż pogłoski chodziły, jakoby ona miała

zamiar struć kazać księdza Krasińskiego, biskupa krakowskiego, Firleja i jego.

Mówił to w sposób żartobliwy niby, lecz powtarzał, co roznosiła wieść przez tych szerzona, którzy w Annie chcieli widzieć drugą Bonę.

— Wojewodo mój—odparła zimno a smutno,—na nieby się nie zdało do takich środków uciekać przeciwko wam, a Bóg mi świadek, iż nikomu, nawet nieprzyjaciołom źle nie życzę. Ludziom na rękę różnić nas, mnie czernić, aby w mętnej wodzie swą rybę łowić. Gdybyście lepiej mnie znali, śmielibyście się z tych potwarzy, a ja niemi gardzę.

Zborowski podchwycił gorąco, iż onby się nie ważył powtarzać baśni złośliwych, gdyby do nich przywiązywał wagę. Królewna tedy, choć ciężko jej mówić było, dodała:

— Wierzcie mi panie wojewodo, iż przed własnym interesem moim, dobro tego kraju w sercu przoduje. Nie pragnę dla siebie nic, tylko co dla Rzeczypospolitej z korzyścią jest i sławą. Nie upominam się, jeno o to, coście wy sami sobie winni i godności waszej.

— Obwiniono mnie o jakieś spiski z cesarzem, o których nie myślałam nigdy, o chęć narzucenia wam pana, gdym ja nad sobą najcięższego ucisku doznawała.

Panowie litewscy, którzy przewidywali, iż królewna zwrócić się może na rozerwanie Unii, nie chcieli dopuścić tego i przerwali zapewnieniami przywiązania do panów swoich. Zborowski już dobrze napity, czy też napitego udający, aby się tem szczerszym wydawać, począł, z kielichem przyklękając przed królewną, przy czem go z obu stron przytrzymywać musiano, poprzysięgać, iż na przyszłość w zgodzie z nią będą działali dla dobra wspólnego.

Dziękowała Anna, przyklaskiwali wszyscy. Zborowski kielich po kielichu wychylał, język mu się plątał, ale serca okazywał coraz więcej i tak obiad się skończył przy powszechnem rozrzewnieniu. Biskup chełmski, starowina, płakał także. Litwa więcej milcząca, wtórowała tym wynurzeniom miłości i przywiązania dla królewnej.

Na klęczkach tedy ucałowawszy podaną sobie rękę

królewnej, gdy ta z pokojów wyszła, bo czas było myśleć, jak Zborowskiemu odwrót zapewnić, Koniecki z Rylskim musieli pod ręce go wziąć, aby ze wschodów prowadzić, gdyż chodzić już nie mógł. A że konia też dosiąść nie było o czem myśleć, kolebki zaś nie miał na pogotowiu wojewoda, musiano go z zamku końmi królewnej odesłać.

Wróciwszy do swojej sypialni, Anna we łzy się rozlała. Wszystko wprawdzie obracało się na dobre, na pozór wychodziła zwycięsko, ale to były dopiero początki a przyszłość stawiła się przed jej oczyma z całą swą grozą niepewności.

Wspomnienie trucizny, potwarze te, które ją czyniły w oczach narodu poczwarą jakąś gotową nieprzyjaciół pozbywać się wszelkiemi środkami, zabolały mocno.

Musiała wejść w siebie, ażali jej postępowanie nie usprawiedliwiało tych domysłów i przypuszczeń. Stała twardo przy prawach swych, ale one razem były prawami sióstr jej i krwi tej, którą ona jedna tu reprezentowała. Nie mogła się dać zgnieść i usunąć a zasłonić — nie dla siebie, ale dla krwi, jaka w jej żyłach płynęła.

W chwili tej wszelkie marzenia, jakie karmiła potajemnie w głębi duszy, rozwiały się i rozpierzchły. Nie szło jej już o siebie i szczęście własne, ale o pamięć przodków o ich sławę i cześć. Każde słowo i myśl Zborowskiego rozpamiętywała i rozbierała, badając, co się w nich kryło.

Upojenie owo i mniemane wylanie się pana wojewody wcale jej nie uwodziło, czuła, że człowiek ten, choć się na nogach nie trzymał, miał myśli swoje na wodzy. Co znaczył ten nagły zwrot jego, czułość, wylanie się, obietnice?..

Wiedziała, że Firlej potajemnie sprzyjał i prowadził cesarzewicza. Commendoni zaręczał, że Zborowski zgodnie z nim miał także prowadzić Ernesta.

Na te łzy weszła Zagłobianka i przyklęknęła przed panią swoją. Wiedziała już ona przez Rylskiego, co się przy obiedzie działo, ale więcej też od innych.

Zrana Talwosz przyszedł oznajmić jej, że z najbliższymi powiernikami Zborowskich zawarł ścisłe stosunki i wiedział na pewno, że wojewoda pozornie cesarzewicza zalecając, pilno się starał o pomożenie Francuzom, że

sam słał do Francyi, Montlucowi pomagał pieniędzmi—i nawet wrażenie rzezi św. Bartłomieja zatrzeć się starał.

Z tą wiadomością przybywszy, Dosia szepnęła ją Annie, aby postępowanie Zborowskiego wytłumaczyć. Nie godziło się jej okazywać, że potajemne życzenia pani swej odgadywała,—mówiła więc o tem obojętnie, jako o wiadomości tylko, którą Talwosz jej przyniósł i za pewność zaręczał.

Anna słuchała ciekawie. Wistocie tłumaczyło to postępowanie Zborowskiego niezrozumiałe z początku.

Gdy prymas Uchański i Firlej w piątek pośpieszyli uprzejmie witać królewnę, nie mógł Zborowski dać się im zatrzeć i pozostać obojętnym na stronie. Pośpieszył więc w sobotę do Anny. Zważył, że w królewnie była jakaś siła i prawo, którego lekceważyć nie należało. Stąd jego wylanie się, oświadczenia i zaręczenia opieki na przyszłość.

O wyjeździe z Warszawy już potem mowy nie było. Nikt nawet nie śmiał zagaić o tem.

Koniecki i przybyły świeżo, wylany dla Jagiellonek poczciwy sługa ich, Rylski, z resztą dworu poczęli się rozmieszczać na zamku, tak, aby za długo doznawane niewygody pobyt teraźniejszy wynagrodził. W pomoc im przychodził Wolski, a i z pomniejszych chętnych sług nie brakło.

Królewna rozpoczęła tu toż samo życie, jakie dotąd prowadziła. Dnie całe schodziły na pisaniu listów, szczególniej do Zofii Brunświckiej, którą w pomoc sobie sprowadzić chciała koniecznie.

Siostry się dosyć kochały, szczególniej Anna wylaną była dla Zofii i Katarzyny, one zaś odpłacając jej wzajemnością więcej jednak myślały o sobie, o spadku, o wspólnych interesach, niż o sprawie biednej, osieroconej i osamotnionej siostry.

Polepszyło się jej położenie na pozór, wszyscy, nie wyjmując najnieprzyjaźniejszej Litwy, czuli, że miała prawo pewne i reprezentowała siłę, którą się posłużyć mogli; kłaniali się więc, ale szczerze, serdecznie mało kto myślał pomagać. Litwa dla siebie, cesarscy zwolennicy sobie, Montluc dla Francyi chcieli się nią posłużyć.

Stała na świeczniku, ale nie miała biedna czem świe-

cić! Pieniędzy ciągle brakło, dwór należało pomnożyć. Urzędników przybywało, fraucymer musiał się dla okazałości zwiększyć, gości trzeba było przyjmować, nie mając sreber stołowych opieczętowanych w Tykocinie. Podskarbi nie dawał pieniędzy, bo skarb był wyczerpany, pożyczyć było trudno.

Królewna pocichu gryzła się i martwiła, pisała do Zofii, prosząc o zasiłki nadaremnie, użalała się przed bliższymi napróżno. Przywiązani do niej biegali, starali się i najczęściej wracali z jakąś nieznaczącą kropelką, która wsiąkała w najniezbędniejsze potrzeby życia powszedniego.

Tyle trosk i niepewność przyszłości, doznane niewygody, pomieszczenie w Piasecznie, oddziałały też na zdrowie tak, że Anna chorzeć zaczęła. Gdyby nie krajczyna, nie miałaby nawet około siebie litościwego serca, prócz Dosi, bo Żalińska w chorobie stawała się zgryźliwszą jeszcze.

To, co zdobyła sobie siłą charakteru Anna, było jeszcze małem w stosunku do tego, co zostawało do zdobycia.

Zbliżał się ów sejm elekcyjny, który o losach kraju miał rozstrzygać; umysły się przygotowywały do niego. Annie nie wzbraniano wprawdzie pobytu w Warszawie, przekonawszy się, że ona sobie nie da rozkazywać, ale panowie trwali w nadzorze pilnym nad nią, wymagali, aby bez ich wiedzy nie przyjmowała nikogo, nie czyniła nic.

Wprawdzie umocowany przez nich dobry i łagodny biskup chełmski nie stawał tak dalece na zawadzie, i łatwo go było wyminąć, ale musiała się królewna mieć na baczności. Każdy krok, każde słowo trzeba było obrachować, wyważyć, a nawet z przyjacielem domu, z tym wylanym i zaklinającym się, że gotów był na wszelkie ofiary, Czarnkowskim, królewna musiała dysymulować wiele, przemilczeć i taić.

W miejscu referendarza zjawił się teraz, jako doradca na dworze, Solikowski, zdolny, ambitny, zręczny, umiejący się przypodobać, odgadujący usposobienia człowiek, który wiele obiecywał, i dla siebie też spodziewał się wiele.

Solikowski, który się od pierwszego widzenia podobał królewnie z taktu, z powagi i z pewnej godności pojęć, widział w Annie ostatnią spadkobierczynię dynastyi i, zdaje się, żę przeceniał nawet wpływ, jaki ona mogła mieć w przyszłości. Ofiarował on usługi swe królewnie, która, że potrzebowała kanclerza dla siebie, zrobiła mu wkrótce nadzieję, iż miejsce to będzie mógł zająć.

Wistocie szukała ona kogoś, coby jej zastąpił referendarza, którego daleko lepiej przeniknęła, niż on się domyślał. Poznała, że był ciałem i duszą oddany cesarzowi, a miała wstręt do wszelkiego związku z domem rakuskim.

Solikowski w pierwszych zaraz chwilach zdradził się z tem, że sprzyjał wyborowi Henryka. Anna, nie wydając się ze skłonnością i marzeniem o nim, dla tego jednego dała pierwszeństwo Solikowskiemu, który się stał domownikiem i doradcą pożądanym.

Młody jeszcze, żywego temperamentu, pragnący wywyższenia, Solikowski nie mógł nawet się stawić w jednym szeregu z ks. biskupem chełmskim, dobrodusznym, godnym, ale krótkowidzącym.

W miarę jak Solikowski na zamku więcej się spoufalał i częstszym stawał, Czarnkowski mniej się tu ukazywał. Miał nadzwyczaj wiele do czynienia razem z innymi, gotując ową elekcyę cesarską, do której większość szlachty miała wstręt. Popierali ją magnaci, złudzeni obietnicami, kupieni lub wzięci na pochlebstwa; ogół już się obawiał ukrócenia swobód.

Kandydatury pomnażały się, nie licząc główniejszych i oddalonych i niemożliwych, jak szwedzkiego króla. Kiełkowała myśl wybrania jakiegoś Piasta, a nim niby miał być wielkiego rodu, bogaty, spokrewniony świetnie Rosenberg, Czech, nie Polak. Obok niego stawały mało znane postaci różne, aż do śmiesznego Słupskiego Bandury, którego przezwisko samo pobudzało do szyderstwa.

Jedni mówili za Piastem, a tych było bardzo niewielu, drudzy się oburzali na myśl, aby wczoraj równemu sobie kłaniać się i posłuszeństwo poprzysięgać mieli.

Na prowincyach rozlegały się najrozmaitsze echa sto-

lic i grodów. W Wielkiejpolsce i wielu innych województwach chciano wybierać samą Annę, a mężowi jej dać potem koronę, którąby ona mu przyniosła. Myśl ta miała wielu zwolenników.

Cesarzewicz ogłosił przez usta swych posłów, że syn jego zaślubi Annę, Montluc i Francuzi co do tego drażliwego punktu milczeli, ani przyrzekając, ani się opierając. Mówili dwuznacznie, dawali się domyślać, nie chcieli się zobowiązywać.

Biskup Walencyi, Pibrac i wszyscy Francuzi znając rozpustnego Henryka, kochającego się w piękności, strojącego jak lalka, wybierającego sobie i najładniejszych chłopców na przyjaciół i najpiękniejsze panie na kochanki, wiedzieli dobrze, że ożenić go z niemłodą, poważną, smutną polską królewną byłoby nadzwyczaj trudnem. Zdawało się im, że Annie zapewniając stanowisko, dochody, poszanowanie, stawiąc ją obok tronu, niekoniecznie Henryk żenić się potrzebował. Była to zawada, nieprzyjemna przeszkoda, z czasem dająca się usunąć i uprzątnąć.

Po miastach nigdy może, jak tej zimy, nie zjeżdżano się tłumnie i nie naradzano wrzawliwiej. Szlachta polska naówczas nie grzeszyła zbytnią znajomością stosunków europejskich, a nawet krajów o granicę położonych. Przyjaciele cesarza rozpowiadali dziwolągi o jego potędze i środkach, jakich mógł użyć do zdobycia korony, o Erneście (Rdeście, mówiła szlachta) chodziły też baśnie różne, cóż dopiero o Henryku, o carze, o Janie Szwedzie i kilkoletnim synku jego, o wszystkich innych, aż do Słupskiego Bandury.

Cesarscy, choć nieobficie potrosze pieniędzmi rozdawanemi cicho, zyskiwali sobie, Francuzi więcej obietnicami zobowiązanemi na piśmie, w których stały złote góry. Montluc dawał na papierze, co kto chciał.

Na całe województwo często potrzeba było jednego tylko wygadanego a żwawego szlachcica, aby za sobą tłum poprowadził i skuteczną szerzył propagandę. Mówca taki na zjeździe, na odpuście, czasu jarmarku często kawał kraju usposabiał do przyszłego głosowania.

Tam, gdzie się dwa wpływy ścierały, rzadko cesarz

zwyciężał liczbą. Miewał za sobą magnatów, mniejsi się go lękali i nie dowierzali.

Duchowieństwo wahało się między Henrykiem a Ernestem. Różnowiercy szli za Zborowskim, pomimo rzezi św. Bartłomieja, choć gorętsi się go wyrzekali i ani słuchać nie chcieli o nim.

Taki rozerwany był stan umysłów w przededniu zwołania sejmu elekcyjnego, którego następstwa nikt przewidzieć nie mógł. Pobożni rachowali na Opatrzność i Ducha św., a wistocie tam, gdzie tłumy głosować miały pod wpływem namiętności i rozdrażnień chwilowych, żaden rozum w świecie odgadnąćby nie umiał, kto się utrzyma. Jeden wykrzyk nierozumny, gwałtowny mógł wszystko zachwiać, albo niespodzianie wywołać skutki. Nie dziw też, że ludzie poważniejsi, których los kraju obchodził, chodzili zasępieni, z trwogą wyglądając godziny ostatniej.

W chwili zwołania sejmu, gdy się już Mazury ściągać poczęli do Warszawy, a za nimi i z dalszych ziem i województw zjeżdżała szlachta i senatorowie, nasz Talwosz oddawna był na stanowisku. Nie mieszkał on na zamku, aby się nie narażać tym, co go stąd wywołali, a bardziej dlatego, ażeby królewnie nie przysparzać troski; ale nie było dnia, żeby się tu nie znajdował, nie widział z Dosią i nie dostał języka.

Anna wiedziała o nim, może go czasem potajemnie przypuszczała do siebie, ale nie wspominała i obchodziła się bez obsługi. Jako sekretarz zastępował go inny, jako kanclerz tymczasowy był ks. Solikowski.

Niemniej Litwin był niesłychanie czynnym, a że Dosia i on przekonani byli, iż Anna sobie życzyła wyboru Henryka, chociaż się z tem odzywać nie mogła, Talwosz biegał, jednając mu zwolenników.

Ponieważ pierwsi stawili się na placu Mazurowie, Talwosz poznawał się z nimi i puścił pomiędzy nich hasło,

że trzeba było głosować za Francuzem, cicho dodając, że to było życzenie, rozkaz raczej królewnej. Podawano to sobie z ust do ust jako tajemnicę, ale wszyscy bardzo rychło się nią podzielili.

Mazurzy widywali częściej Annę, polubili ją, żałowali, chcieli pójść za jej myślą i pomódz. Gdziekolwiek się ich gromadka zebrała, Talwosz znalazł się pewnie między nimi i nie było rozmowy, któraby się nie skończyła na tem, że wedle woli Anny, na Francuza głosować potrzeba.

Nie był też bez wpływu ten wikary od P. Maryi ks. Stępek, któregośmy już widzieli, gdy o zastaw sreber chodziło. Talwosz z łatwością go pozyskał dla osieroconej pani, której pobożność, dobroczynność, prostotę obyczaju i zacność Stępek znał oddawna. Widział ją cierpiącą i upokorzoną za życia króla i tego starczyło, aby dla niej wyrobić w wikarym gorące współczucie. A przytem Henryk, jak wiedziało duchowieństwo, był wiernym synem Kościoła.

Słowo ks. Stępka znaczyło wiele, bo mówiło do serc w imię Boga.

Mazurowie zaledwie się powoli tu ściągać zaczęli, już hasło było dane, a nowo-przybywający przyjmowali je z twością. Obok Henryka szeptano imię Anny. Szły one razem.

Nadchodząca wiosna ciepła i piękna, dla szczęśliwych wesoła, na zamku zapowiadała się smutną.

Królewna leżała prawie ciągle chora, zmuszona nie wstawać z łóżka dla febry, która przez dzień ją trzęsła, a niczem się pokonać nie dawała. Miała tyle siły, że wolna od paroksyzmów wstawała, wychodziła, przyjmowała, zajmowała się sprawami bieżącemi, lecz z każdym dniem wyczerpywał się zapas życia, a choroba przeciągała się uparcie. Ani lekarze, ani sławione leki starych bab, ani modlitwy nie pomagały. Do blizkiego już nawet kościoła pobożna pani, która nawykła była wstawać na jutrznię i iść modlić się, nie mogła już chodzić i mszy słuchać.

Choroba niby nie groźna, z czasem jednak wycieńczyła straszliwie. Cera zżółkła, oczy zapadłe świadczyły o cierpieniach. Dosia, Zosia Łaska, krajczyna i inne

panie mieniały się u łóżka królewnej, służąc jej, obiecywano sobie polepszenie ciągle, ale ono nie przychodziło.

W dniach wolnych, gdy zjawił się Czarnkowski, gdy przyszedł ks. Solikowski, gdy oznajmiono szlachtę lub panów, chcących się pokłonić swej pani, musiała osłabiona zwlec się z łóżka, odziać żałobnie (bo dotąd dwór i ona w kirze chodziła), przyjmować przybywających, uśmiechać się, aby nie stękać przed nimi.

Oprócz tego trudu, miała królewna niezbity, a codzienny, starania się o pieniądze, zaciągania pożyczek, ratowania się tymczasowo wszelkiemi środkami od sponiewierania i głodu. W tem pomagał usłużny i poczciwy, a niezmordowany Rylski gotów każdego dnia jechać na koniec świata, byle się to na co przydało, kłócić się, walczyć i zdobywać posiłki dla biednej swej pani.

On i starosta Wolski, ks. Solikowski, potrosze biskup chełmski dopomagali Annie całem sercem, ale trosk jej odjąć nie mogli.

Królewna, pomimo choroby i znużenia pilnych spraw zaniedbywać nie chciała. Zrywała się z gorączką, z bólem głowy, aby potem osłabła, podtrzymywana przed Dosię, powrócić do łóżka. Pociechą jedyną dla niej było to, że wszyscy zdawali się nawracać ku niej i do niej garnąć.

Talwosz świadczył o tem. Stał on teraz gospodą nie już pod ,,Białym koniem" u Barwinka, bo tak było pełno dostojniejszych, że on się docisnąć nie mógł, ale na mieście u rzemieślnika, u którego izbę najmował. Na pozór nie miał żadnego zajęcia, był zupełnie swobodnym, ale od rana biegał, kręcił się, podsłuchiwał, naprawiał, co gdzie znalazł zepsutem, a w godzinie wieczornej pr eciskał się na zamek, gdzie miał swoich starych przyjaciół i prawie codzień widywał się z Zagłobianką. Nie przychodził do niej z próżnemi rękami nigdy, coś miał zawsze do doniesienia lub ostrzeżenia.

Na pozór próżniacze jego życie całe schodziło na usługach prawie królewnej. On pierwszy, powziąwszy wątpliwość o szczerości Czarnkowskiego, ostrzegał o tem Annę i zapobiegł, aby mu się nie zwierzała.

Talwosz umiał bardzo zręcznie odegrywać różne role,

wystąpić jako możny szlachcic i półpanek, bo był wistocie nim, lub jako skromny szaraczek. Bywał u pana starosty Wolskiego, u niektórych senatorów, a gdzie się Mazurowie ubodzy skupili przy dzbanku na gawędę, gdy się czuł potrzebnym, znalazł się także.

Wieczorem, przy kaganku lub łojówce, a często do później nocy, siedział za stołem w swej izdebce i pisywał pilno chodzące po rękach listy, odezwy, paszkwile które później rozdawał między ludźmi, a oni je rozrywali, bo każdy czegoś się chciał nauczyć o Rdeście i o Francuzie, o Rosenbergu i Bandurze.

Czasem musiał przedsiębrać wycieczki, bo poselstwa różne się zbliżać zaczęły i zjeżdżać. Niespracowanym był i niezmordowanym, chociaż piękna Dosia, wychwalając go przed królewną, oddając mu sprawiedliwość należną, sama go wynagrodzić za te trudy wcale nie myślała. Dopóki jej mówił o tem, co zrobił, czego się dowiedział, słuchała go z zajęciem, uśmiechała mu się uprzejmie; jak tylko zaczął wzdychać i zagaił o miłości swej dla niej, odwracała się zasępiona i zamykała mu usta. Potrzeba było i człowieka tak cierpliwego, i miłości tak uporczywej, aby się tem nie zrazić, nie ostygnąć, i nie wyrzec nadziei.

— Panna Dorota wkońcu się przekona—mówił często, gdy go odprawiała z niczem,—że na takie poczciwe przywiązanie, jak moje, rachować można i polegać na niem, ale panna niema ani litości, ani serca.

Dosia czasem odwracała się z uśmieszkiem dziwnym i odpowiadała mu gorzko:

— Serca ja może nie mam! — Nie wiem... albo mi go Bóg nie dał, lub za młodu wyschło. Cóż począć na to, głowa mi się nie zawraca.

— Ale kiedyś przyjdzie pora, że się serce odezwie— mówił Talwosz, — tylko nie dla mnie może, ale dla jakiegoś Żalińskiego, albo jemu podobnego gołowąsa.

— Bądź waszmość spokojny—odpowiedziała Dosia.— Nie dam się ja wziąć łatwo.

— A cóż będzie później... później...?

— Na starość?—przerywała Zagłobianka.—A cóż ma być? Posiwieję i będę pani mojej służyła, jako dziś.

— Ale królewna, Boże nam ją uchowaj, nie wieczna— mówił Talwosz.

— Albo to klasztorów niema dla takich, jak ja, co rodziny nie mają? Pan Bóg im ojciec,a klauzura domem i przytułkiem.

Tak się najczęściej kończyły niefortunne zaloty Talwosza, który wzdychał, ale kochać nie przestawał. Dosia coraz wydawała mu się piękniejszą, nawet w tej żałobie niewdzięcznej, która oprócz grubego kiru okrywała dwór rodzajem płaszczów z płótna zgrzebnego, szarego, obyczajem zdawna przyjętym. Okrycia te płócienne, nieforemne, doprowadzały do rozpaczy kobiety dworu, więcej dbające o swe wdzięki; lecz musiały brać je codzień, bo i królewna się tak przyodziewała do gości szczególniej.

Litwin się zaklinał, że Zagłobiance nawet w tym worze, jak on go nazywał, było cudnie do twarzy.

Biedny rozmiłowany Talwosz, szukając przyczyn nieczułości pięknego dziewczęcia dla siebie, wpadał na tę myśl ciągle, że kogoś innego kochać musiała. W razie, gdyby się o tem przekonał, możeby był zalotów zaprzestał, ale z równą zręcznością szpiegując Dosię, jak cesarskich pomocników, nie potrafił dotąd znaleźć nawet pozoru do posądzenia jej.

Zagłobianka spędzała dnie całe na usługach królewnej, a jeśli nic do czynienia nie miała chwytała książki, których była chciwą tak, że ją z tego wyśmiewano. Niewiele naówczas kobiet zwykło było zabawiać się czytaniem, a jeśli która z nich miała w niem upodobanie, zatapiała się w książkach pobożnych. Zagłobianka zaś czytała wszystko, co się jej do rąk dostało, nie czyniła wyboru i mądrzejszą też była od innych. Czy przez to szczęśliwszą? rzeczą jest bardzo wątpliwą.

Nauka jest jak napój, który obudza coraz większe pragnienie i rodzi niepokój nienasycony. Niema jej końca, więc kto raz wszedł do tego labiryntu, już po nim życie całe błądzić może, nie znajdując spoczynku. Dla Dosi była ona jedyną rozrywką, a odrywała ją od świata i stawiła, jak naówczas, zupełnie osamotnioną, bo z bardzo małym wyjąt-

kiem, na dworze nawet o tem, co ją zajmowało, mówić z kim nie miała.

Duchowni, gdy który z nich przypadkiem słowo jakie z niej wyciągnął, dostrzegłszy w niej niepokój ducha, karcili tylko i zdrożną ciekawość umysłu naganiali. Zamykała się więc w sobie.

Czy się jej serce nigdy nie odezwało, a przywiązanie Talwosza nie czyniło w istocie na niej wrażenia żadnego, trudno było odgadnąć. Jeśli miała dla niego uczucie jakie, kryła się z niem najtroskliwiej, nie chcą cmu zawiązywać świata. Czuła się sierotą, a miała nadto dumy, aby nic nie przynosząc, oprócz serca, zgodzić się na ofiarę szczęścia i losu, których, wedle swego przekonania, nie miała czem opłacić.

To pewna, że gdy Talwosz czasem w wycieczkach swych opóźnił się z powrotem, gdy wieczorem go nie było na zamku, gdy go długo nie widziała, tęskniła za nim żywiej, zarumieniona podawała mu rękę trochę drżącą, witała głosem poruszonym, uradowana widocznie.

Pierwszych dni kwietnia Warszawa już była przepełniona, każdy dom niemal miał gości. Tam, gdzie dla panów nie było izb wygodnych, cisnęła się liczna ich służba, a wozy i kolebki, które się pod szopami i w podwórcach umieścić nie mogły, koczowały pod domostwami na ulicach. Sypiała na nich czeladź, bo i ta nie miała się gdzie schronić.

Nigdzie próżnego nie znaleźć było kąta, a gwar i ruch dniem i nocą nie ustawał. Za liczną gawiedzią, dworami, panami ze wszech miast znaczniejszych w Koronie, zblizkiego Śląska, z sąsiednich Niemiec pozwlekała się niezmierna liczba kupców, przekupniów, ludu różnego, na tłum rachującego, który nie znalazłszy miejsca w sklepach miejskich, w rynkach, na furach i pod szałasami, na prędce skleconemi, frymarczył różną kupią.

Klasztory musiały też swym dobrodziejom otworzyć wrota gościnne. W niektórych mieścili się biskupi z dwo-

rami swemi, w innych senatorowie świeccy, którzy lepszych gospód znaleźć nie mogli.

Tacy, jak Firlej, jak Zborowscy panowie, nietylko dwór i czeladź z sobą ciągnęli bardzo liczną, ale zbrojnych ludzi siła, niektórzy nawet, jak na wojnę, działka i moździerze prowadzili.

Obraz, jaki naówczas przedstawiały targowiska i ulice miasta, przedmieścia i okolice, był niezmiernie malowniczy i ożywiony. Każdy orszak inaczej z cudzoziemska był strojny i zbrojny. Niektórzy z brunświcka, inni z włoska, po tatarsku, po staropolsku, po rusku byli poubierani i orężem różnym opatrzeni. Każde niemal województwo można było odróżnić, a cóż dopiero Litwę, Podole Wołyń, Ruś Czerwoną, Krakowskie i Sandomierskie albo ziemie pruskie. W mowie też było odmian wiele, bo Kaszuby, Mazury, śpiewająca Litwa, Małopolanie, każdy po swojemu klął i śpiewał.

W gospodach nie mogli nastarczyć piwa, miodu i różnych napojów, które pod wystawami w ulicach, wprost z beczek toczono tłoczącym się gościom. Tak samo jadło w kątach, po podwórkach gotowano i tuż na stołach, ławami obstawionych, na prostych misach przynoszono łaknącym. Łyżkę za pasem naówczas nosił każdy i na nożu nikomu nie zbywało. Gdzieniegdzie płachty na drągach porozwieszane zastępowały namioty, bo kwietniowa aura niepewna nieraz dokuczała szronem, deszczem i krupami.

Wieczorem po szynkach grały gdzieniegdzie popijającym muzyki niewytworne, kobzarze, skrzypki, gęśle, serby, którym śpiewami wtórowano.

Lecz w mieście stali tylko wielcy panowie i ich dwory, dokoła pola elekcyjnego mieściła się pod namiotami najrozmaitszemi, szałasami i budkami szlachta ziem różnych, które się każda z osobna kupy trzymały.

Olbrzymich rozmiarów namiot, tak zwany królewski, który stał w pośrodku, a przeznaczony był dla senatorów na główne i uroczyste narady, mógł w sobie pomieścić pięć do sześciu tysięcy głów. Dokoła niego stały cztery mniejsze, jakby baszty, połączone z sobą drewnianą zagrodą i opasane rowem głębokim. Dalej województwo

każde miało dla narad namiot osobny, przy którym chorągiew jego powiewała. Dalej jeszcze niezliczona moc małych różnej barwy namiotów zalegała szeroką równinę.

Było się tam napatrzeć wszystkiego, począwszy od najkosztowniejszych namiotów wschodnich, aż do bitych z wojłoków, zszywanych z płótna i sukna, łatanych ze zgrzebna i przystrajanych kobiercami.

Czeladzie sobie kuchnie w ziemi wykopawszy, doły na ogniska przyrządzały, inni klecili, z opiłków i tarcic, z dranic i kloców budy i szopy. Byli i tacy, co się na wcale schludne domostwa wysadzali, w których nawet okien z bonami nie brakło, ale takich tu znajdowało się niewielu.

Jak się konie biedne mieściły, smutno pomyśleć, żal było patrzeć, bo część ich większa ani żłobów, ani pokrycia nad sobą nie miała, tyle tylko, że je derami osłaniano i stawiano tak, aby wiatr nie dokuczał im bardzo.

Pomimo wszystkich tych niewygód, a przewidywania, że i sejm i elekcya musiały się długo przeciągnąć, tylu ludzi razem w kupie, czując się między swymi gromadą, wesoło i ochoczo się zabawiali. Piosnka i śmiech rozlegały się po obozie, chyba tylko kłótnią i brzękiem, a szczękiem szabel przerywane. Ścinano się nie jeden raz i krew pociekła często, ale gdy się rana założyła pajęczyną, chlebem i hubą a zawiązała szmatką, ochota i zgoda powracały.

Wpośród tej różnobarwnej szlachty, liczbą i ubożuchną, prostą powierzchownością swą, strojem niewykwinsnym, szabelkami niepoczesnemi, które u wielu kije zatępowały, odznaczała się szlachta mazowiecka. Było jej tu za to na własnych śmiechach daleko więcej, niż z innych województw. Mogły się śmiać z nich drugie ziemie, którym butniej stały kołnierze, ale Mazury przez to nie traciły poczucia swej siły i gospodarzyły tu jak w domu, a mieli to do siebie, że się jak jeden trzymali kupy. Najuboższego zaczepiwszy, zaraz ich się cały rój zlatywał, aby się ująć za niego, a dziesięć kijów starczyło za kilka szabli. Wywijali niemi młyńce dzielnie i tłukli bez miłosierdzia.

Mazowsze można powiedzieć, było już wówczas gniazdem szlachty, która zrozrodziwszy się po wszystkich ziemiach aż do kresów, słała kolonistów i mało gdzie powino-

watych nie miała. Szaraczki te za pan brat potem z karmazynami spokrewnionemi chodziły, niewiele do serca biorąc ich szkarłaty, a swoje ubóstwo. Zaczepić też Mazura nie było bezpiecznie, choć się małym wydawał!

W mazowieckim obozie, z wyjątkiem kilku namiotów pokaźniejszych, nie było zbytku, konie i ludzie nie bili w oczy. Znaczniejsza część koczowała przy wozach i na nich lub pod niemi spędzała noce. Czasu posiłku zbierali się do większych kociołków, do beczek i przekarmiali kosztem zamożniejszych. Każdy z nich czuł, że gdyby więcej miał, tak samoby brata przyjmował i do misy swej zapraszał, jak się teraz do niej garnął.

Z czapką na bakier, przeżegnawszy się, zasiadano do jaglanej kaszy i klusek. Wielkim festynem było, gdy się na drążku baran przed ogniem obracał, którego potem do białych kostek obgryzano. Piwa nastarczyć nie mogły browary warszawskie, więc go i ze Śląska i z innych miast siła przywożono.

Tu pomiędzy Mazurami, znajomy nam Talwosz był jak u siebie. Wiedziano, że królewnie służył, że myśl jej znał i słuchano go tak, jakby ona sama przez usta jego słała rozkazy. Zawczasu tu Henryk Francuz, które go tytuł Andegaweński srodze przekręcano, był jednomyślnem hasłem, ale do czasu każdy go za pazuchą trzymał.

Obozowisko to ogromne po obu brzegach Wisły łączył most nowy, wspaniały, na którym królewna pięćdziesiąt straży zbrojnej pcstawić musiała dla utrzymania porządku, gdyż dzień i noc przecisnąć się było trudno wśród wozów, konnych i pieszych.

W tym tłumie, którego tło stanowiła gawiedź pospolita zawsze najliczniejsza, od czasu do czasu zjawiały się poczty, jakby na okaz, które sobie palcami okazywano. Wyjeżdżała bogatsza młodzież postrojona i uzbrojona jakby do popisu, na koniach najpiękniejszych, w rzędach najbogatszych, z mieczami w pochwach wysadzanych, z tarczami malowanemi u siodeł, łukami złoconemi, kołczanami szytemi bogato. I było na co patrzeć, gdy taki panek z czeladzią z cudzoziemska przystrojoną w jednej

barwie ciągnął, który często i psy pstre, osobliwe z sobą prowadził i sokoły nieść kazał.

Każdy się był rad pochwalić z tem, co miał najlepszego, a innym miło było patrzeć na swoich, że tak występowali, nie dając się cudzoziemcom w kamysz zapędzić.

Tłumy zbiegały się też przyglądać, gdy posłowie różnic w początku sejmu ściągać się zaczęli. cesarscy posłowie prześcigali innych wspaniałością orszaku i liczbą dworu. Oprócz Rosenberga i Pernsteina, a stu dwudziestu szlachty za nimi, mieli z sobą posła Filipa drugiego i deputowanych miast Imperium, ale im wspanialej wyglądało poselstwo, tem większą obudzało trwogę.

Szlachta się lękała Rakuszan. Francuscy posłowie odznaczali się mniejszym orszakiem, ale wielką wykwintnością strojów i szlachetnością postaci, na których widać było wiekową cywilizacyę, która ludz wydelikaciła i potrosze zniewieściła, zarazem czyniąc piękniejszymi i milszymi nad innych. Montluc, Poix de Sechelles, dwaj opaci towarzyszący biskupowi Walencyi, kawalerowie do poselstwa należący, wyglądali, jak postrojone laleczki, na które brała ochota patrzeć. A nie było ludzi, coby się ładniej, niżej, uprzejmiej kłaniali i uśmiechali słodziej i kochali wszystkich łatwiej i serdeczniej. Czarowali oni każdego, co się zbliżył do nich.

Inne poselstwa przy tych dwu daleko mniej na siebie zwracały oczy i równać się z niemi nie mogły. Było wszakże na co patrzeć, gdy przybył kardynał Commendoni w towarzystwie towarzyszącego mu uroczyście duchowieństwa, posłowie szwedzcy, wysłańcy pruscy i t. p.

Pomimo ogólnie wesołego usposobienia, na twarzach senatorów, od których zdawały się zależeć losy Rzeczypospolitej, widać było zadumę i niepokój o przyszłość. Jedno słowo wymowne Jana Zamoyskiego, młodego naówczas wychowańca włoskich humanistów, rozstrzygnęło o sposobie wybierania królów. Nie powierzono elekcyi wyborowi najdoświadczeńszych i najwykształceńszych panów, ale zdano na okrzyk tłumów, z tą wiarą niezmierną w na-

tchnienie Boże, w Ducha świętego, która pobożność głęboką znamionowała.

Tłumy te prowadzić, kierować niemi, mógł sobie pochlebiać tylko ten chyba, który nigdy z niemi do czynienia nie miewał. Na placu, w gwarze wśród rozstroju, można było dopiero zważyć, że elekcya zdaną była wistocie na Opatrzność, bo nikt w świecie ani pokierować nią, ani pewnym być nie mógł jej wypadku.

Ci, co jak nasz przebiegły referendarz Czarnkowski, chcieli zbadać przyszłość, wyrozumieć następstwa, odchodzili z placu, zmuszeni powiedzieć sobie, iż w tym wrzątku nic dojrzeć nie było podobna.

Jedne Mazury tylko siedziały cicho, wiedząc zawczasu co mają czynić i o drugich się nie troszcząc, gdy po innych w :jewództwach i ziemiach starszyzna jeszcze kazania prawiła i nawracała.

Pilno bardzo Talwosz objeżdżał codzień ogromne obozowisko po obu brzegach rzeki, zaglądając to do Mazurów, to do swojej Litwy, to po innych kątach. Martwiło go to długo, iż starosta Chodkiewicz w początkach stawał przeciwko królewnie, potem się na nią dąsał, że Unii zrywać nie chciała, ale umiejętnie chodząc około tej sprawy, potrafił to, że pani starościna żmudzka, z domu Zborowska, przybyła do Warszawy, że królewna Anna posłała ją przywitać, czem ujęła sobie Chodkiewiczową.

Musiała iść na zamek podziękować królewnie, a tu się przyjazne zawiązały stosunki i żona męża za sobą pociągnęła.

Przyczynili się może do tego i Zborowscy, którzy za Henrykiem byli, a Anny usposobienie dla niego przeczuwali.

Litwa teraz garnęła się do królewnej.

Chora pani miała do czynienia dosyć, bo żadne poselstwo przybyć ani odjechać nie mogło, nie powitawszy jej i nie żegnając.

Występowała naówczas uboga sierota królewska w swej żałobie zgrzebnej z dwudziestu czterema pannami, z biskupem chełmskim, z ochmistrzem, z Solikowskim, z paniami towarzyszkami uroczyście, aby słuchać grzeczności i przez usta swoich odpowiadać na nie. Posłowie napróżno, wpa-

trując się w jej lica, badali wyraz twarzy, starali się odgadnąć uczucia i myśli. Anna miała nad sobą tyle mocy, że się nigdy nie zdradziła. Z równą uprzejmością przyjmowała posłów cesarskich, Montluca i Francuzów, Szwedów, i ile ich tam na zamek przyciągnęło.

Pomimo to referendarz Czarnkowski, który często na zamku przebywał teraz, usiłując trochę ostygłą królewnę znowu sobie pozyskać, był niespokojny. Zdawało mu się, że Rosenbergowi nie dosyć okazywała uprzejmości, a Montlucowi zanadto.

Montluc oprócz tego pozyskał sobie wielu panów nadzwyczajną powolnością w zastosowywaniu się do ich żądań, w uprzedzaniu życzeń, gotów będąc jechać, zostać, oddalić się, czekać, gdzie i jakby mu wyznaczono, gdy cesarscy dumą i potęgą swego pana przejęci, stawili się butnie, a zniechęcali pokątnemi intrygami, które się co chwila zdradzały.

Trzy pierwsze tygodnie zeszły na przygotowaniach, rozmowach z posłami, na usposobieniu umysłów, a wszystkim pcno stronnictwom zdawało się, że sobie grunt przysposabiały, gdy wistocie pozostał on czem był, zamkniętym placem, na którym jakiś Leszek nowy miał trafem swych współzawodników prześcignąć.

Gromadząc się na zjazd, szlachta rachowała, że juści do Świątek pana sobie obierze i spokojnie się po domach rozjechać będzie mogła. Tymczasem upływało trzy tygodnie, nie uczyniono tak, jak nic. Obozującym przykrzyć się zaczynało. Firlej, na którego naciskano, aby do głosowania przystępował, zwlekał z dnia na dzień. Zdawało mu się, że dla cesarza, którego pożądał, dotąd zamało zrobiono. Odezwał się kto za nim, natychmiast zakrzyczano go, zawsze jednem, że swobody odbierze i w kajdany zakuje.

Firlej rachował już tylko na to, że gdy się na innych nie zgodzą, rozdwoją ci, co Francuza jedni, drudzy Piasta prowadzić chcieli. Cesarz potem wygra na złość jednym i drugim.

Powszechnemu jednak domaganiu się czyniąc zadość, Firlej w niedzielę przy trąbach po mieście i przedmie-

ściach kazał obwołać, że nazajutrz głosowanie się ma poczynać.

Radość była niezmierna! Okrzyki, wystrzały, bębny, trąby rozlegały się dokoła. Naostatek dobiegano do pożądanego końca.

Talwosz wpadł na zamek pierwszy z tą nowiną, która tu więcej pono trwogi, niż radości obudziła. Królewna z krajczyną Łaską poszła się modlić.

Nazajutrz trzeciego maja, obozy na polu przybrały inną postać, uroczystszą jakąś. Wszyscy czuli chwilę stanowczą, w której .losy ojczyzny rozstrzygać się miały.

Talwosz, który od rana już biegał między Mazurami i Litwą, trafił pod namiotami ich na nabożeństwo. Wszyscy jakby jedną myślą natchnieni, dzień ten rozpocząć modlitwą chcieli. Było w tem coś tak uroczystego, wielkiego, iż płaciło za wszelkie płochości tłumu tego, który padał na kolana losy swe składając w ręce Boże.

Talwosz kląkł razem z Mazurami, pokrzepiony tą oznaką pocieszającą.

Księża czytali modlitwy, wzywając Ducha świętego, indziej śpiewano *Veni Creator Spiritus*. W chwili, gdy każdy miał prawo podnieść głos, ulękli się wszyscy doniosłości jego. Nigdy pole cichszem nie było, a ludzie spokojniejszymi.

Po ukończeniu modlitw długi czas żadne województwo poczynać nawet nie chciało. Oglądały się jedne na drugie. Czas upływał na takiem rozsłuchiwaniu się i rozpatrywaniu.

Czarnkowski, który około marszałka się kręcił, dostał od niego języka, iż lepiej się było nie śpieszyć z cesarzem, a na koniec go zostawić, gdy wszyscy inni odejdą z niczem.

Wysłani na wywiady od namiotu do namiotu ludzie, przysłuchiwali się napróżno. Szeptano wszędzie i naradzano się pocichu.

W królewskim namiocie też mowy prawiono rozwlekłe, których konkluzyi nie mogąc się doczekać, szlachta odchodziła znudzona.

— A co? — pytał Talwosz, stojący przy Mazurach.

— Wodę warzą panowie!—odparł powracający szlachcic.

Wtem, a było to już nad wieczór, Mazurowie, poszeptawszy między sobą, zebrali się do gromady i dosyć nieśmiałemi głosy poczęli wołać: Henryk! Henryk!

Na głos ten zewsząd się zbiegali ciekawi, ale nikt nie poszedł za nim, przebrzmiał bezskutecznie i szaraczki zawstydzeni, że się tak wyrwali nadaremnie, zamilkli.

W innych ziemiach i województwach dnia tego nie odezwano się z nikim jeszcze. Umysły były zaniepokojone i niepewne tego, co czynić.

Nie udało się Mazurom wprawdzie, ale wcale tego do serca nie wzięli. Owszem wesoło im było, że uprzedzili innych. Jeden do drugiego mówił:

— Jutro hukniemy głośniej. Niech drudzy kogo chcą obwołują, my przy swoim zostaniemy. Królewna tak rozkazała.

Na zamku zaraz wiedziano o wypadku dnia tego. Królewna wyszła do Talwosza, który przybiegł zdyszany, rozgorączkowany, upadający na siłach, ale wesół, wysłuchała relacyi, ale na bladej twarzy jej nic poznać nie było można, tak nad sobą panowała. Nie odezwała się ani słowa, chociaż pani krajczyna i inne panie zaczęły zaraz rozpytywać, wykrzykiwać, cieszyć się i niepokoić.

Widząc Litwina niezmiernie znużonym, ocierającym pot z czoła i śpieszącym napowrót do obozu, bo i nocą musiał pracować na jutro, kazała Dosi podać mu kubek wina, podziękowała za wiadomość i zadumana wolnym krokiem odeszła do sypialni, gdyż godzina paroksyzmu się zbliżała.

Ledwie Talwosz zniknął, zostawiając po sobie nadzwyczajnie poruszone umysły całego dworu, gdyż nie wszyscy byli wtajemniczeni w to, czego sobie życzyła Anna, gdy referendarz Czarnkowski zjawił się chmurny, jak noc, i znalazłszy krajczynę w izbie samą, natarczywie się dopraszać zaczął, aby z Anną mógł się widzieć i mówić, dodając że mu pilno tego było potrzeba.

— Ale królewna nasza bodaj już w łóżku, i ta nieszczęsna febra lada chwila nadejdzie.

Czarnkowski począł dowodzić, że był sługą domu i że królewna, bodaj leżąc, przyjąć go mogła.

Pobiegła więc dać znać Annie Zosia Łaska, bo krajczyna nie odstępowała referendarza, chcąc z niego więcej coś dobyć, niż z Talwosza.

Czarnkowski był widocznie zgryziony i zafrasowany tak, że nie zawsze odpowiadał do rzeczy. Przyczyną troski było, iż kręcąc się dnia tego po elekcyjnem polu, tu i owdzie, między Mazurami też, języka gdzieś pochwycił, iż za rozkazem królewnej na Francuza głosy dawać miano. Inne też oznaki zaczynały mu teraz wyjaśniać, że Anna dla Ernesta, którego on prowadził, niezbyt była życzliwą. Chciał wiedzieć, jak istotnie rzeczy stały. Miało to dla niego tem większą wagę, iż mogło mu dowieść, że on który sobie pochlebiał, iż miał całe zaufanie królewnej, wistocie je już utracił.

Chytry i przebiegły człeczek postanowił przed dniem jutrzejszym widzieć, jak stoi, i wedle tego zastosować dalsze swe postępowanie. Nie myślał dla królewnej poświęcić Ernesta, bo cesarzowi był zaprzedanym, ale musiał zmienić taktykę i iść ostrożniej.

Zosia Łaska, która pobiegła do sypialni za królewną, znalazła ją jeszcze nierozebraną, i gdy jej o Czarnkowskim znać dała, Anna, choć niebardzo chętnie, zwróciła się ku posłuchalnej komnacie nazad, aby się z referendarzem zobaczyć.

Zastała roztargnionego, znużonego, narzekającego na ciężki trud i niepewność, ale razem sypiącego czułościami i zaręczeniami usług wiernych i t. p.

Anna podziękowała zimno.

Czarnkowski wtrącił zaraz o „ślepych", jak ich zwał pogardliwie, Mazurach, że się pierwsi wyrywali; narzekał na wszystkich panów, iż sobie ze szlachtą rady dać nie umieli, dając zakrzyczeć i skończył na zwrocie ku Ernestowi, o którym mówiąc, oczy miał ciągle w królewnę wlepione.

Słuchała go cierpliwie, ale nic więcej; twarz najmniejszej nawet nie zdradzała ciekawości.

Krajczyna, Zosia Łaska i inne panie, nie chcąc poufałej rozmowie być na zawadzie, usunęły się do drugiej komnaty tak, że królewna sam na sam z referendarzem pozostała.

Coraz żywszym głosem i w tonie napastliwym Czarnkowski wygłaszał swój panegiryk, ale bez najmniejszego skutku. Naostatek, gdy już tak dobre ćwierć godziny prawił, włożył rękę za żupan i szukać tam czegoś począł.

— Nie wiem, czy miłość wasza—dodał—widzieliście nawet, jak rakuski Ernest wygląda. Śliczny młodzieniec, znać w szlachetnych jego rysach krew, która w żyłach płynie. Tak pięknego książęcia Europa nie ma drugiego. Właśnie oto nadesłano mi wizerunek udatny z Wiednia, i gdybyś miłość wasza zezwoliła, mógłbym go tu jej zostawić.

Usłyszawszy to, Anna cofnęła się przestraszona.

— Panie referendarzu—zawołała żywo—bardzo proszę, ani mi go pokazujcie, ani myślcie, abym ciekawą była i mogła go zatrzymać. Nie przystało mi to i nie uczynię tego.

Czarnkowski, który już pugilaresu z zamkniętą, w nim miniaturę dobywał, zatrzymał się i spojrzał; Anna miała surowo zaciśnięte usta.

— A cóżby w tem było zdrożnego—począł dalej,—gdybyś miłość wasza chciała lepiej się mu przypatrzeć, ja w tem nie widzę nic.

— Nie chciałam innych wizerunków przyjmować i nie byłam ich ciekawą—odparła królewna—dlaczegóżbym dla Ernesta miała czynić wyjątek?

Referendarz uparcie trzymał w ręku przyniesiony wizerunek i badał twarz królewnej, która się wielką oblekała powagą. Zamilkł chwilę.

— Przecież—dodał—znasz mnie w. kr. mość, wiernym sługą jestem. Zostałoby to między nami, a zaprawdę nie wadziłoby lepiej poznać i przypatrzeć się Ernestowi, bo gdy go obiorą, on się przyrzeka żenić, gdy Francuz o tem milczy.

Zarumieniła się Anna.

— Nie pora o tem mówić—odrzekła cicho.—Proszę was nie namawiajcie mnie do tego, czemu się bronić muszę.

A po chwili dorzuciła:

— Sądzicie więc, że Ernest ma jakie widoki? że się powiedzie cesarskim?

Z głosu referendarz nie mógł się domyśleć, czy pytanie było natchnione trwogą, czy nadzieją, ale coś mu mówiło teraz, że jego Ernestowi nie sprzyjano tu bardzo. Dla lepszego więc wybadania królewnej dorzucił:

— Sądzę napewno, że cesarscy innych przeważą. Kupka Mazurów, która się dziś wyrwała, nie poparta, nie dokaże sama nic, a co było niepewnego, widząc, że Francuz pada, do cesarza się obróci.

Czarnkowski mówił to bez przekonania, bo troskę miał wielką. Popatrzał na królewnę, która rzekła zimno:

— Tak wnosicie?

— I zdaje mi się, że się nie mylę—dodał referendarz, dopiero, gdy się pole z ladajakich kandydatów oczyści, cesarscy górę wezmą. Szlachta znużona cztery niemal niedzi le stoi w polu, a nic nie zrobiono. Rozstrój dziś w umysłach większy, niż był; wkońcu wezmą choćby Bandurę, aby raz do domu powrócić.

Posmutniała jakoś królewna.

Czarnkowski raz jeszcze żartobliwie napomknął o wizerunku, że wartoby go zachować, choćby dla nasycenia ciekawości fraucymeru, lecz królewna mówić mu nie dała. Kilka więc słów jeszcze dorzuciwszy na pożegnanie, pokłonił się Czarnkowski, nie rad z tego, co wynosił od królewnej i z niczem szedł do marszałka Firleja.

U niego i u Zborowskich mało nie przez całą tę noc przy kubkach radzono i słuchano, co przynosili wysłani na zwiady.

Nikt z panów nie był pewi n, że swojego elekta przeprowadzi, troskę czytać było można z każdego czoła. Firlej zwłaszcza niecierpliwił się i niepokoił, twierdząc, że cesarscy nie umieli sobie poczynać, a nadto ufali w swoją siłę.

U Zborowskiego znowu panowie dyssydenci, którzy

się zgodzili na wybór Francuza, objawili wielki niepokój o to, aby się w Polsce rzeź św. Bartłomieja nie powtórzyła. Wojewoda poprzysięgał, że takiemi artykułami zwiąże elekta, iż mu pęta nałoży i nie dopuści tknąć wolności sumienia.

Nazajutrz daleko spokojniej, niż dnia pierwszego szlachta się do namiotów swoich pościągała, czuć było wydane rozkazy, rachuby, jakieś wyczekiwanie, politykę.

Mazury tylko, jak wczoraj, wołali za Henrykiem, hałaśliwie, tłumnie, uparcie domagali się go znowu. Płoczczanie i szlachta rawska przyłączyła się do pierwszych. Jednozgodnie tu głosowano za Francuzem.

Czarnkowski, który się wsunął ku namiotowi, dopytując, czegoby się tak śpiesznie przed innymi wyrywali, otrzymał na ucho odpowiedź, iż to było hasło z zamku im dane, któremu posłuszni być chcieli.

Jednego tylko biskupa płockiego potrafił referendarz skłonić, spodziewając się, że to może na Mazurów oddziała, ażeby w głos i otwarcie przemówił za Ernestem i za nim wotował.

Długiej mowie jego szlachta z początku przysłuchiwała się cierpliwie, poczem niektórzy niewyspani głośno ziewać zaczęli i krzyże sobie na ustach pisać, wszczął się szmer i mało już kto zwracał na biskupa uwagę.

Poparł biskupa tylko podkomorzy warszawski, Grzybowski, ale we dwu nie pociągnęli nikogo więcej za sobą.

Rawianie z biedy jeżeli nie Henryka, woleli już Szweda....

Dzień ten spełzł na niczem.

Mało które województwo zgodziło się na jednego, jak Mazury; panowie przemawiali każdy za innym kandydatem i do głosowania nie przychodziło. Zdawało się, że czas zamiast skupiać i jednać, coraz silniej rozdwajał i rozstrajał.

W niektórych województwach odzywały się głosy tak gwałtowne, że niemal boju się można było spodziewać. Szlachta się łżyła i do szabel rwała. Rdest, Szwed, Piast Bandura i Piast Rosenberg, Francuz mieli zwolenników tu i owdzie, kto ich miał największą liczbę, trudno było

policzyć, a Czarnkowski z boleścią widział, iż cesarska sprawa stała we czwartek gorzej, niż w poniedziałek, gdy Henrykowa zdawała się polepszać. Prostoduszne Mazury stały przy swem, wołali Henryka kupą, głos ich się rozlegał i miał siłę jakąś pociągającą. Zaczynały i inne ziemie za Francuzem się ogłaszać.

Czas było kończyć!

Czarnkowski, widząc co się święci, obrachował, że trzeba zamęt wzniecić; dał swoim znak, aby głosowano na Piasta. Sam zaś on głosił się za Szwedem.

We czwartek tedy na polu było, jak się wyrażali niektórzy, istne piekło. Ryk, krzyk, wrzask, przekleństwa, kupa przeciwko kupie. Niektórzy kije, inni szable, nie dobywając ich z pochwami podnosili do góry, popychano się, naciskano. Przejeżdżających panów obstępowały tłumy. A pókiż to tego będzie? Złośliwsi wołali, że siano niezgodę umyślnie, aby w mętnej wodzie łowić i bodaj siłą narzucić despotę. Wieści chodziły najdziwaczniejsze.

Wzięli się niektórzy mówić, iż cesarz orężnie i zbrojno chciał wtargnąć, że cesarscy chcą szlachtę rozpędzić i t.p.

Wielkopolanie dla ładu, którego nie było, spisać kazali wszystkich kandydatów, bo ich się namnożyła moc wielka, pod imieniem Piastów. Zaczęto czytać głośno wszystkich po kolei, nad każdym złośliwe czyniąc komentarze, które jak z samopałów strzelały z kup otaczających. Gdy naostatku ktoś wykrzyknął jako kandydata Słupskiego Bandurę, buchnęły śmiechy i zaraźliwie poszły po całem polu, że ich przeszło godzinę utamować nie było można.

Poczciwy i zacny Wojciech Słupski pogrzebał wszystkich Piastów z sobą!

Nadszedł nareszcie piątek, a króla jeszcze nie było. Znużenie i niecierpliwość malowały się na twarzach wodzów szczególniej. Firlej burzył się z gniewu, Zborowski potrosze szydersko uśmiechał się, ale wcale nie tracił animuszu. Pilno było i jemu, ale stał tak, że z omyłek cesarskich korzystać i na nich budować musiał.

W piątek wszyscy niemal panowie senatorowie zgromadzili się pod wielkim namiotem królewskim, który obstąpili wysłani od województw deputaci. Przewidywano

dnia tego stanowczą walkę, jako też mowy rozpoczęły się zawczasu.

Jakim sposobem poczciwe Mazury Henrykowe i ich sprzymierzeńcy w przemagającej liczbie, bo ich rachowano do trzech tysięcy, oblegli nieznacznie dokoła namiot wielki, to tylkoby może niewidocznie sprawcy, jak Talwosz wytłumaczyć umieli. Drobna szlachta, zawczasu nakarmiona ze trzech stron spływała jakby przypadkiem i ustawiała się jak od niechcenia, ale w końcu żelaznym obręczem objęła panów senatorów i stała sobie spokojnie.

Ale działy się rzeczy osobliwe. Gdy który z panów senatorów przemawiał za Francuzem, cisza była taka, jak mak siał; począł inny o Erneście, o Szwedzie, wszczynał się szmer, ze szmerem wrzawa hałas, gwar, iż słowa nikt usłyszeć nie mógł. Przychodziło to niby trafem i przypadkiem, lecz zwalczyć nie było podobna losu.

Wtem podniósł się do głosu starosta Chodkiewicz, którego cesarz, jak wiemy, zdawna pewien był i z nim też całej Litwy, bo on głową jej się stał. Nie wątpili Firlej, Czarnkowski i cesarscy, że za Ernestem da głos, gdy o cudo, oświadczył się pan starosta za Henrykiem, dodając:

— Henryk ożeni się z królewną Anną, a tak i krwi naszej stanie się zadość.

Jeszcze nie dokończył Chodkiewicz, gdy Podole wołać zaczęło:

— Henryk z Anną! Henryk z Anną!

Pierwszy raz tak jawnie wystąpiło życzenie narodu, aby ostatnia gałązka szczepu marnie nie uschła. Przemówiło to do serc.

Wprawdzie Ernest także mógł i obiecywał się żenić z Anną, ale ten Niemcem był, a bądź co bądź, w każdym Niemcu starego widziano nieprzyjaciela.

Głos Chodkiewicza uderzył, jak grom w cesarskich; Podole i Bracławszczyzna zrobiła po Litwie początek, dalej poszły za niemi Łęczyckie, Lubelskie, Bełskie, Pruskie województwa, znaczna część Krakowian, Sandomierzan, Sieradzian.

Wielkopolska głosowała za samą Anną.

Jawnem i oczywistem było, że Francuz weźmie górę.

Już była noc, gdy wszyscy znużeni rozpływać się

poczęli; Czarnkowski głowę tracił, rękami w powietrzu młyńce kręcił zrozpaczony i wołał, że Francuzi Litwę przekupili, że ogromnemi jurgieltami przyobiecanemi panom, zyskali ich sobie.

Na zamku dnia tego napróżno jego i Talwosza do późna oczekiwano, królewna się musiała do łóżka położyć, gdy Litwin nadbiegł z radością na twarzy i przywitał wychodzącą naprzeciw Dosię ręką podniesioną do góry.

— Francuz tak, jak wybrany!

Królewna w ciągu dnia odbierała już wiadomości o tem, co się pod wielkim namiotem działo, ale spełna nikt prawdy nie zdał; dopiero Talwosz przyniósł lepszą wiadomość, a to samo, że Czarnkowski się dnia tego nie pokazywał, miało wielkie znaczenie.

W milczeniu przyjęła to królewna i teraz jeszcze nie objawiając radości, ale otaczający ją zmiarkować mogli z rozbudzenia żywszego, iż rada być musiała.

Talwosz przy drzwiach stał.

— Kiedyż się to skończy?—słabym głosem spytała Anna.

— Bogu wiadomo, bo opór jest silny—rzekł Litwin,— więc gdy przeszkodzić nie mogą, przeciągnąć radzi; a nuż coś im z nieba spadnie! Ale wszystko to próżne; mądrzy oni, my też nie obrani z rozumu.

U Firleja całą noc ni 'mal jedni drugim czynili wyrzuty; kto był winien, że się Ernestowi nie powiodło, dociec nie mogli. Jeden na drugiego zrzucał, ale skutek był ten, że Francuz wziął górę. Przy znużeniu wielkiem przewidzieć było łatwo, że ci, co się wahali, przystaną dla dobicia rychlejszego do końca.

Marszałek Firlej bąkał gniewny o użyciu siły, o rozpędzeniu tłumów, wyrwały mu się wyrazy nieopatrzne, ale on sam nie wierzył pewnie w to, ażeby przemocą można co dokazać.

Tymczasem słowo nieostrożne, raz wyrzucone, w świat poleciało. Szeptano sobie do ucha, że pójdą działa i moździerze na namiot i poczty zbrojne się gotują.

W sobotę przed Świątkami namiot znowu był oblę-

żony. Od rana głoszono mowy, jedne po drugich, ale ich tak jak nikt nie słuchał.

Prymas po cichu szeptał, wzdychając:

— Vox populi, vox Dei.

Już tylko pięć województw i kawałek Prus opierało się jednomyślności, reszta jednogłośnie się Henryka domagała.

Senatorowie oblężeni w namiocie, pod wieczór zażądali, aby szlachta się rozeszła i osobno województwami głosowała; ale to nic nie pomogło. Zborowscy i wszyscy Henrykowi zaczęli na prymasa nacierać, aby króla ogłosił, gdyż jawnem było, za kim stała i kogo chciała większość narodu.

Cesarskim zostawała jedyna nadzieja w niedzieli, która narady przerwać miała uroczystością, bo w Zielone Świątki nikt o niczem, prócz nabożeństwa myśleć nie mógł.

Wszystkie namioty już były w zieleń postrojone, w mieście kościoły woniały młodą brzeziną, każdy dom zdobił się w drzewka i gałęzie. Była to jakby przepowiednia szczęśliwego końca, błogich lat pokoju i pomyślności.

Z obu stron nalegano na prymasa, jedni, aby króla okrzyknął, drudzy, aby się wstrzymał dla nocy, bo pod namiotem ciemno już było.

Uchański, niepewien, co ma czynić, skłonił się do odłożenia ogłoszenia na po Świątkach.

Na drugi dzień w poniedziałek, w ostatek miało się wszystko rozstrzygnąć. Jak? Nie było prawie wątpliwości. Cesarscy chodzili pogrążeni w smutku, gniewni, zrozpaczeni. Nie było ratunku.

— Firlej — wołali niektórzy — powinien był niesforne rozpędzić tłumy.

Lecz łatwiej to powiedzieć, niż się ważyć na to....

Noc była wesoła! Święto każde u nas prowadzi za sobą zawieszenie wszelkich czynności, a nawet troski wszelkiej na kołku. Pana Boga chwalić i dobrej myśli zażywać potrzeba.

Mało komu, szczególniej bliższych z Warszawy, żony z domu nie przysłały na Świątki kołaczów, placków, mięsiwa, kiełbas, jaj i beczułek. Było więc czem się posilać i na

co sąsiadów prosić. Odżywiało ciało i duch się krzepił.

Kościoły były pełne przez dzień cały. Modlił się każdy, a szlachta spotykając, pocieszała tem, że króla tak, jak miała.

— Bogu dzięki! do domu człek pojedzie! żonę i dzieciska uściska. A! pora!

Z południa zjawił się na zamku referendarz, ale królewna leżała chora i widzieć się z nim nie mogła. Wylał swe żale przed panią krajczyną.

Uciśnioną była wolność, przemocą prowadzili Zborowscy Henryka. Lękali się cesarza różnowiercy, religia była zagrożoną. Dysydenci mieli teraz wziąć górę, kościoły zabierać, duchowieństwo obdzierać, ojczyznę zgubić.

Łaska starała się napróżno go tem uspokoić, iż Francuz przecież panem katolickim był i nie mógł dopuścić, aby wiara święta uciśniętą została. Referendarz nie dawał się pocieszyć. Był to koniec świata! Wszystko zapowiadało zgubę.

Z tem wyszedł nieszczęśliwy.

Nazajutrz rano ściągali się wszyscy pewni tego, że już tylko ogłoszenia króla słuchać będą, gdy pod namiotem na nowo mowy się rozpoczęły. Cesarscy wylewali wszystkie boleści swe.

Gdy się to działo pod królewskim namiotem, Pan Bóg wie, kto puścił wieść:

— Wojewoda Firlej z działami, ze zbrojną siłą ciągnie na pole i chce wszystko w niwecz obrócić.

Co się w tej chwili stało nagle, opisać niepodobna.

Jakby grom w ten tłum uderzył, ruszyło co żyło ze wrzawą, hasło dając do oręża! Ulękli się panowie senatorowie, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, co się stało. Tymczasem zawrzało okrutnie dokoła.

Henrykowi rozbiegli się wszyscy po oręż i niebawem uzbrojeni poczęli otaczać namiot.

Widok był osobliwy, jakby się na bitwę zanosiło, błysły zbroje na piersiach, podniosły się samopały, hakownice, przyciągano moździerze, dobywano szable, dźwigano dzidy.

Nie upłynęła godzina, gdy kilka tysięcy koni uszykowało się na równinie, piechota przy nich, stając w obronie namiotu, którego nikt napadać nie myślał. Od pocztu do pocztu biegali konni, roznosząc rozkazy, rozstawiając ludzi, wysuwając jednych naprzód, drugim cofać się każąc.

Wojewoda Firlej i zastęp jego przyjaciół nawet tym okazem siły nie dał się zwyciężyć. Rozprawiano, krzyczano, cesarscy się opierali.

Niektórzy, rozpaczliwie wyrzekając, zjechali wkońcu precz, inni pozostali, protestując. Zgody nie było. Czarnkowski ochrypł, dowodząc przemocy.

Zbliżał się wieczór, Zborowscy poczęli na prymasa nalegać, aby znowu wahaniem się nie dawszy nocy nadejść, nie zwlókł niepotrzebnie tego, czemu już zapobiedz nie było podobna.

Zmierzchało, gdy prymas złamany wkońcu, mimo oporu Firleja, mimo wołania Czarnkowskich, wstał i donośnym głosem Henryka, księcia andegaweńskie królem polskim i wielkim książęciem Litwy okrzyknął.

Gdy otaczający namiot usłyszeli to, w mgnieniu oka cała równina rozległa się jakby jednym wielkim głosem, który przebiegłszy ją, wcisnął się do miasta i brzmiał długo ponad stolicą Mazowsza.

Na polu radość była niezmierna, wielka, nie do opisania; ale też rozpaczy i gniewów Firleja i Czarnkowskich wyrazić niepodobna!

Referendarz stał, jak zdrętwiały, słuchając okrzyku prymasa. Pięść zaciskał, usta się krzywiły.

— Nie koniec jeszcze—mruknął.

Co myślał i z czem późno potem z pola zszedł, ciągnąc do Warszawy, on tylko i kupka, co mu towarzyszyła, wiedziała.

Nim Talwosz mógł królewnie przybiedz zwiastować szczęśliwą nowinę, na zamku już wiedziano o niej. Przyniósł ją naprzód ten okrzyk, który zamek otoczył i aż do komnat jego wcisnął, potem mnodzy dworzanie, znajdujący się w mieście, poczęli biegać, każdy sądząc, iż pierwszym był.

Królewna odmawiała wieczorne pacierze, gdy krajczyna przypadła jej do kolan niosąc wieść o Henryku. Serce Anny już przczuło ją wprzódy; lecz nawet przed krajczyną swą nie mogła się z tem wydać, jak ono biło i jaka je radość, nadzieja, marzenia przyszłości przepełniały.

— Bogu dzięki, —odparła Anna po chwili—kraj odżyje w spokoju, a i ja odetchnę i zwłoki króla nareszcie dostaną się na to miejsce wiecznego spoczynku, na które dotąd czekają. Imię pańskie niech będzie błogosławione!

Doba ta w życiu Anny Jagiellonki, która nigdy szczęśliwą nie była, może się nazwać istną kroniką męczeństwa. Cierpieć ona musi za grzechy ojców, za słabość sióstr swych, za rodzinę, za kraj i za siebie. Obok niej stoją tylko pomocnicy serca dobrego a bezsilni i tacy, jak Czarnkowski przekupnie, frymarczący sumieniem, którzy sobie, nie jej radzą, o sobie, nie o niej myślą.

Ona jedna pamiętną jest wielkiego dostojeństwa swojego, krwi, która w żyłach jej płynie, ona jedna, gdy idzie o zerwanie Unii, powiada, że woli zginąć, niż dzieło brata nadwerężyć, a gdy ją chcą ze spadku po zmarłym wyposażyć, siostrom zatrzymując ich działy, woli cierpieć ubóstwo, niedostatek, niż je skrzywdzić dla siebie. Całe jej postępowanie nacechowane jest najwyższą szlachetnością. Leje łzy, bo jest kobietą, ale znosi upokorzenie, ucisk, zawody, nie dając się złamać.

Kraj cały okazywał wstręt do domu rakuskiego, który jej obiecywał oswobodzenie i zamężcie; odrzuciła je, stosując się do życzenia ogółu. Myśl i serce jej przywiązało się naówczas do Henryka, jako do wybranego przez Opatrzność dla niej wybawiciela.

Jest to jedną, jedyną słabostką tej wielkiej duszy, że marzyła chwilę o szczęściu z Henrykiem, nie znając go, wyobrażając sobie dobrym, łagodnym, szczerym, takim, jakim go ludzie starali się jej przedstawić. Kochające to serce widziało w nim rodzinę, podporę, choćby jakiś krótki błysk szczęścia, którego ona nigdy nie doznała.

Nadzieja przebija się w tej chwili życia, jak słońce przez chmury, zdradza mimowolnie, ale Anna stara się ją utrzymać w sobie, zamknąć w głębi duszy. Zaledwie mgnienie oka ma trwać to złudzenie i wkrótce w jednym z tych boleściwych listów do siostry, które świadczą, co wycierpiała, wyraża się z przejmującą goryczą.

„O szczęśliwe a błogosławione siostry moje, że tego nie doczekały, czegom ja nieszczęśliwa dożyła".

Moment, w którym ten wykrzyk miał się wyrwać z jej piersi, nie nadszedł jeszcze. Anna łudzi się Henrykiem, jako przyszłym małżonkiem, obiecuje sobie odetchnąć, marzy. Wszystko, co jej ludzie i pisma przynoszą o tym narzeczonym z Opatrzności, chwyta chciwie. Głosy są zgodne, pochwalne. Na wizerunku ten zepsuty i rozpieszczony syn przewrotnej matki wygląda tak łagodnym, tak miłym, jak był wistocie chytrym i zwodnikiem.

Między nim a nią są podobieństwa losów, pochodzenia. Bona Sforzia przypomina Katarzynę Medycyjską.

Czasem Anna wyrzucać sobie musi te marzenia spóźnione, licząc lata swoje i jego, zwątpienie i rozpacz ją ogarnia. Miałażby i ta ostatnia zawieść nadzieja? Co naówczas? Gdzie się schronić? Jaką pochwycić nadzieję zbawienia? Z potrzeby kochania, myśl jej leci za morze do kolebki siostrzana Zygmunta. Radaby go przybrać za syna; jemuby chciała tron zapewnić. Jak?—nie wie.

Pomiędzy Henrykiem a tym Zysiem drogim ciągle kołysze się biedne serce starzejącej królewnej, której Bóg odmówił rodziny, macierzyństwa, przywiązania i dał jej tak nędznie usychać na łodydze.

Kobieta walczy w niej teraz z królewną.

Nadchodzi chwila stanowcza, Henryk wybrany. Warunek ożenienia został wciśnięty, mimo oporu posłów. Anna w niepewności wyczekuje, jak ten narzeczony znajdzie się względem niej? Odepchnie ją, czy przyjmie? Pozna się na sercu, czy odtrąci smutną niewiastę?

Od dnia do dnia zwlekała Anna wyjazd za ciałem brata z Warszawy do Krakowa. Chciała mu towarzyszyć koniecznie, uważała za obowiązek stanąć przy tej trumnie, gdy więcej nikogo z rodziny nie było. Tymczasem słabość

pół roku ją trzymała przykutą na zamku warszawskim. Z dnia na dzień wyjazd się odkładał, aż do stycznia 1574 r.

Ten pochód żałobny, za którym Infantka jedzie z całym swym dworem, przesunąć się ma przez znaczną część kraju, musi więc być uroczystym, ostatnim królewskim pochodem. Króla zmarłego pożegnać powinni raz ostatni wszyscy, co go kochali. Jagiełłów ród z nich schodzi do grobu. Ona za trumną, to przypomnienie tego, co kraj jest jej winien.

Na podróż potrzeba pożyczać pieniędzy, królewnej brak ich ciągle, panowie niechętnie dają, podskarbi nie zawsze może. Pożyczać potrzeba na most, na podróż, na pogrzeb, na chleb powszedni.

Naostatek zwlekać już dłużej nie było podobna; Henryk oznajmywał, że przybywa, a pieszczony i przesądny, nie chciał zaczynać panowania od pogrzebu, wysłał więc zastępców za siebie, aby uniknąć żałoby.

Królewna z ogromnym pocztem dworzan, którzy się zbiegli zewsząd, aby panu oddać ostatnią posługę, wyjeżdżała z Warszawy. Z nią ciągnęli dworscy, komornicy, urzędnicy z ogromnemi pocztami, słudzy króla z chorągwią jego, drabanci.

Zwłoki wieziono na odkrytym wozie żałobnym, za którym ciągnęły tłumy ubogiego ludu, obdarzone kosztem skarbu jałmużną i strawą.

Wszystkie naprzód stanowiska były wyznaczone; na każdym zamku i dworcu, w którym się zatrzymywano, czekała izba obita kirem. Przed nią zatrzymywał się wóz, nie zdejmowano ciała. Na trumnie kładziono koronę, berło, jabłko i miecz, zapalano świece i pochodnie, stawiano straż z dwu komorników, ośmiu drabantów, dwóch dworzan i dwóch jurgieltników złożoną i kapelani przez całą noc śpiewali psalmy.

Nazajutrz po mszy żałobnej w kościele, na którą szła Anna ze swym dworem, ruszano dalej ku Krakowu.

Droga szła na Radom i Miechów, i zabrała dni jedenaście. Wszędzie na spotkanie ciała wychodziły procesye, bito w dzwony, dworzanie zsiadali z koni, nakładali kaptury, oznakę żałoby, brali świecie i przeprowadzali przez

każdą wieś i miasto zwłoki, idąc przy nich pieszo. Toż samo często czyniła Anna z dworem swoim, jeżeli przykra pora roku dozwalała.

Z Warszawy co żyło, wszystko się przyłączyło do swej pani, która miała w Krakowie zająć wyznaczone sobie mieszkanie starej królowej Bony i być przyjętą ze czcią należną.

W oczekiwaniu pogrzebu i koronacyi, jedna część panów i szlachty już napełniała starą stolicę, inni gotowali się na granicy państwa witać przybywającego monarchę.

Poprzedzony przez mnogich posłów, przez sługi swe niezliczonych Francuzów, których nowy kraj pociągał ku sobie, jechał Henryk przez Niemcy, nie śmiejące mu wzbronić przejazdu. Z dobrą czy niedobrą wolą przyjmowano go jak króla.

Tymczasem w Krakowie i wszędzie, gdzie się pokazali Francuzi, zbiegano się do nich, usiłując odgadnąć pana ze sług. Znajdowano ich zabawnymi, grzecznymi, ale razem tak czasem lekceważącymi krajowców, tak nie umiejącymi się do ich obyczajów zastosować, tak dumnymi, gdy co miłość własną podrażniło, iż u wielu szlachty rodziły się już niesmaki.

Najwzględniejsi nawet z Francuzów zdawali się dawać do zrozumienia Polakom, że sobie powinni byli winszować, a Henrykowi wdzięczni być, iż raczył przyjąć koronę. Otwarta, szczera, wesoła rubaszność polska odbijała jaskrawo obok galanteryi chytrej, ironicznej, pogardliwej Francuzów, którzy się kłaniali szydząc, i zdawali drwić ze wszystkiego.

Ani jadłem ani napojem dogodzić im nie było podobna, prychali na wszystko, dziwili się rzeczom nieprostszym a szwargotu ich, ani nawet łaciny nikt prawie nie rozumiał.

Biednym zimno tu było, głodno i smutno; na twarzach zsiniałych malowało się więcej podziwienia, zdumienia, niż radości.

Z tych wszystkich wrażeń, jakie czynili Francuzi przybywający, nie spowiadano się szczerze przed królewną. Dwór jej, szczędząc biedną panią, przynosił tylko to, co ją pocieszać mogło.

Naprawdę szlachta kręciła wąsa i myślała w duchu, że lepszymby był może jaki taki Piast, albo i Szwed nareszcie.

Ale potęga Francyi też coś znaczyła!

Zapał dla Henryka, gdy się o Francuzów ocierać zaczęto, ostygał znacznie.

Dla królewnej Anny podróż żałobna, zimą, powolna, smutna, będąca niemal jednem nieprzerwanem nabożeństwem za duszę brata, była męczarnią tem większą, że prowadziła do miejsca, gdzie się jakieś nowe, niedające obrachować życie, rozpocząć miało.

O małżeństwie natychmiastowem, któreby koronacyę poprzedziło, mowy nawet nie było. Zostawało ono w cieniu i mrokach jakiejś niepewności, odłożone do nieoznaczonego terminu. Mówiono o niem tylko półgębkiem. Anna nie wiedziała sama, czy ma się go spodziewać, czy wyrzec i całą miłość przenieść na siostrzeńca, na tego Zysia (Zygmunta), którego myślą za morzami szukała czasem, pragnąc mu się stać matką.

W Miechowie, w kościele Bożogrobców, złożono zwłoki, które nazajutrz uroczyście wiodła siostra na Prądnik do biskupiego dworu, gdzie przez dzień cały spoczywały.

W Krakowie przygotowywano pogrzeb wielce wspaniały. Od Henryka miał się na nim marszałek de Retz znajdować, razem z dawniejszym posłem, panem Rambouillet.

Pomimo ostrej pory roku, uroczystość, wedle tradycyjnych form, odbyła się z wystawą i przepychem nadzwyczajnym.

Na kleparzu przed kościołem św. Floryana czekali na wóz żałobny posłowie: cesarski, francuski, węgierski, szwedzki, wenecki, ferrarski, brandeburski, brunświcki, pruski i pomorski.

Gdy po nabożeństwie odbytem tu ruszył pochód, końca mu nie było. Poprzedzało go duchowieństwo, studenci szkół różnych, zakony, tłumy ubogich i ludu. Szli dalej arcybiskup i biskupi pontyfikalnie ubrani, za nimi przeszło tysiąc ludzi w czarnych kapach i kapturach z za-

palonemi świecami. Chorążowie wszystkich ziem i województw jechali z chorągwiami i pocztami. Królewską wielką niósł Maciejowski, chorąży nadworny.

Trzydzieści koni w kapach czarnych jedwabnych poprzedzało trzydzieści mar okrytych jedwabnemi oponami złotem szytemi.

Za nimi ten, któremu Anna przebaczyła, a kraj darować nie mógł ostatnich chwil króla, krajczy koronny na koniu pięknym, we zbroi pańskiej, miał szczęście przedstawiać Personę, to jest widmo, jakby króla samego. Za nim jadący Garnysz był w szatach króla, drugim takim osoby zmarłego żywym wizerunkiem.

Senatorowie szli za nimi pieszo, a za nimi oznaki królewskiego majestatu. Zborowski, wojewoda sandomierski, niósł miecz, Piotr Zborowski—jabłko Firlej, wojewoda krakowski—berło.

Po obu stronach wozu, na którym spoczywały zwłoki, szło piętnastu dworzan króla ze świecami. Następowali cudzoziemscy posłowie i przez posłów, cesarskiego i francuskiego, wiedziona Anna Infantka, a za nią długi szereg pań i panien.

Ten dzień po złożeniu zwłok w kościele św. Stanisława na Wawelu był tylko jakby początkiem obrzędu pogrzebowego. Nazajutrz takim samym porządkiem obchodzono inne kościoły.

Nic poetyczniejszego, majestatyczniejszego wyobrazić sobie nie można nad te pogrzeby królewskie dawne, które stworzyło poszanowanie dla swych panów, miłość dla nich i boleść po stracie. Te masy, zapełniające kościół, ten katafalk okryty koroną, przy którym z kolei kruszono wszystko, co służyło zmarłemu: miecz, tarczę, hełm, włócznię, pieczęcie, laski; naostatek rycerz konny, przedstawiający króla, zapadający się w ziemię u stóp trumny, wywoływały płacz i jęki.

Nie można było wyraziściej i dobitniej ukazać znikomości wszech ludzkich rzeczy, potęgi wszelkiej i niezbłaganego losu, skazującego na śmierć wszystko, co żyje.

Potrzebaż mówić, ile siły ducha musiała mieć Anna,

aby przybywszy z pogrzebem, dotrwać do tego ostatniego aktu, gdy widmo brata zapadło się w ziemię w jej oczach, a z niem cała przeszłość.

Jutro stało przed nią mgliste, niepewne, straszne, a choć przyjaciele i przyjaciółki dodawali jej otuchy, bić musiało serce obawą i przeczuciem. Godność tylko Infantki w Krakowie poszanowaną została.

Wyznaczono jej pokoje Bony i dworu dla licznego fraucymeru, sześć tysięcy nadwornego wojska miała przy sobie, postarano się o to, aby na zamku sreber i sprzętu nie brakło.

Łaska i Świdnicka, starsze panie, uśmiechając się napomykały, iż zawczasu po francusku uczyć się zacząć było potrzeba. Nie wątpiły one, iż Henryk przybywa, ażeby Annę poślubić.

Znaczna część panów była tego przekonania, że dla utwierdzenia się na tronie będzie musiał to spełnić.

Ze dworu i fraucymeru Anny z tym językiem przyszłego króla była obeznaną jedna tylko Dosia. Chorobliwe jej pragnienie uczenia się ciągle czegoś nowego, skłoniło ją dawniej do obeznania się z mową, która teraz cudownie okazała się dogodną. Anna miała w niej gotowego tłumacza, na którego rachować mogła.

Wprawdzie syn Włoszki, jak ona, Henryk, musiał z macierzystą mową być oswojonym od kolebki; zaręczano, że po włosku umiał, ale jeden z posłów wygadał się nieopatrznie, iż niebardzo wprawnie mową tą władał. Na dworze zaś jego, większa część nawet najwykształceńszych Francuzów, oprócz własnego, żadnego innego języka nie umiała. W Polsce, gdzie łaciński naówczas tak był pospolitym, iż cudzoziemcy znajdowali woźniców, z którymi się po łacinie rozmówić mogli, wydawało się to równie dziwnem, jak we Francyi, iż posłowie Polscy wszyscy prawie kilku językami władali.

Dosia, biedny Talwosz to znajdował, zmieniała się jakoś w oczach. Zawsze była dumną i nieprzystępną; teraz, gdy poselstwu francuskiemu parę razy za tłumacza służyła, a z Francuzami, zachwyconymi jej pięknością, spotykać się zaczynała coraz częściej, piękna główka się jej

zawracała. Czuła tu wyższość swoją, siłę i choć się z tem nie wydawała, posądzić było można, że zabierała się z tego korzystać.

Od pierwszych Francuzów, Montluca, do ostatnich, marszałka de Retz i pana Rambouillet, Dosia po kole wszystkich sobie ujęła i podbiła. Mówiono o niej, jak o gwieździe dworu Infantki; zachwycano się nietylko jej wdziękami, ale rozumem, umiejętnością języka, wyższością nad innemi niewiastami. Przy niej gasł nawet majestat królewnej.

Którejże-by kobiety oddawana jej cześć nie upoiła?

Francuzi, którzy tylko na migi z innemi rozmawiać mogli, oblegali to zjawisko z zapałem, z uwielbieniem, właściwem ich temperamentowi. Zbiegali się, aby ją widzieć, kłaniali do ziemi, wyprzedzali w usługach. Tracili głowy.

Śmiała się niby Zagłobianka z tych hołdów, lecz kadzidło takie z czasem zawsze działać musi.

Talwosz pierwszy spostrzegł, że w obejściu się z nim przybrała ten ton nowy, z jakim do Francuzów występowała. Patrzała nań z góry. Dotknęło go to mocno uczuł coś nakształt politowania, pierwszy raz tem bójstwie dopytawszy słabostki ludzkiej, ale milczał.

W Krakowie Dosia stała się tak nadzwyczaj potrzebną, iż się na chwilę bez niej obejść nie było można. Wołano ją do tłumaczenia kartek, pism, do porozumiewania się z nadjeżdżającymi Francuzami.

Obok niej zjawił się tu jako pośrednik karzeł Kras sowski, który poprzedził króla i ofiarował usługi swoje In fantce.

Przyczyniwszy się, jak przyznawali wszyscy, do zalecenia Polsce Henryka i do jego wyboru, Krassowski dumny był z tego, a teraz cały się chciał poświęcić Annie. Codzień prawie przychodził na pokoje, zawsze prawie go przypuszczano i słuchano z zajęciem opowiadającego

o Henryku. Na sercu mu leżało również go zalecić Annie i Polakom, jak ją i ich jemu w najlepszem przedstawić świetle.

Żywy, gorący, dowcipny, napół Polak, pół obyczajem i długim pobytem we Francyi, Francuz, Krassowski najlepiej rozumiał, jak wiele tu ostrych kantów potrzeba było zaokrąglić, aby bez przeszkody zetknąć się mogły. Każdy niemal dzień nowe sprowadzał trudności. i zadania dla niego. Skarżyli się przybywający Francuzi, żalili przyjmujący ich Polacy. Krassowski, jak mógł i umiał, szczepił porozumienie i zgodę.

Niczem były te drobnostki obok tego, co posłowie po króla wyprawieni do Paryża, mieli tam do przebycia, nim na artykuły wymagania ich zgodzili się doradzcy Henryka. Dochodziły o tem głuche tylko wieści, ale ostatecznie wiedziano, iż król podpisał, przyrzekł, przyjął, czego żądano, i choć się z podróżą ociągał, choć mu żal było Francyi porzucać, nareszcie do granic Polski się zbliżał.

Ogromny zastęp wszystkiej szlachty najzamożniejszej, najświetniejszej, mogącej wystąpić z niesłychaną świetnością i przepychem, oczekiwał na niego w Międzyrzecu. Piętnaście tysięcy jezdnych, rozstawionych po otaczających pagórkach, wybór i czoło rycerstwa polskiego, witało młodego króla.

Henryk, któremu niezbyt pokaźnych trzy tysiące Niemców towarzyszyło aż tutaj, stanął, niemal osłupiały widokiem, jaki się jego oczom przedstawiał. Obok tych żołnierzy na koniach ciężkich, odzianych czarno i szaro, nie odznaczających się niczem, rycerstwo polskie wydało się idealnym jakimś obrazem.

Największa rozmaitość uzbrojeń, strojów, barw, oręża, kosztowne i najpiękniejsze w świecie konie, rzędy, świecące klejnotami, okrycia, szyte złotem, skrzydła u ramion jeźdźców, malowane ich tarcze, kołczany, pióropusze kosztowne składały się na zachwycającą barwami i wspaniałością całość. Taż sama rozmaitość twarzy, nakryć głowy, postawy, bród i wąsów, siwe włosy obok puklów młodzieńczych, zdawały się mówić, że kraj wysłał tu na spotkanie, co miał najlepszego.

Król, który niemal całą podróż odbył z uśmieszkiem

szyderskim i znudzonym na ustach, nie kryjąc się przed Pibrakiem i innymi ulubieńcami, iż wszystko niepospolicie go nużyło, po raz pierwszy wykrzyknął, okazując szczere zdumienie i zachwycenie. Powtarzano iż miał się wyrazić, zapewne mimowolnie:

— Po raz pierwszy w tej chwili uczułem się wistocie królem.

Nie mniejsze wrażenie mogło na nim uczynić poselstwo panów senatorów, od którego przemawiał tu do niego poważny Karnkowski. Na łacinę jego zmieszany król kilku słowami włoskiemi odpowiedziawszy, zdał resztę na Pibraka.

Na zamku w Międzyrzecu, potem w parę dni w Poznaniu przyjęcie było ochocze, głośne, wesołe, a tak radosne i szczere po polsku, iż Francuzom niemal zanadto się serdecznem wydało.

Po polsku też zasypywano króla mowami długiemi, których on ani ocenić, ani odpowiadać na nie nie umiał.

Z Kurnika na Częstochowę, wszędzie przyjmowany równie serdecznie i huczno, wprost przybył król 14 lutego do Balic pod Krakowem.

Tegoż dnia wiedziano o tem na zamku i królewna, do której krajczyna przybiegła z oznajmieniem, iż nazajutrz ujrzy Henryka w Krakowie, potrzebowała się zeprzeć na krześle, stojącem blizko, tak słabą się uczuła i strwożoną. Słów jej zabrakło, chustkę przyłożyła do ust, objęła Łaskę i na jej ramionach złożyła głowę, ukryła oczy.

— A! co nam przyszłość gotuje! — szepnęła, łkając.

A po chwili dodała:

— Ja jutro tego wszystkiego widzieć nawet nie będę mogła! Jak mu się wyda ta nasza biedna Polska po Francyi?

Krajczyna wiele czasu potrzebowała na to, aby zwolna uspokoić Annę i dodać jej odwagi, a wlać w nią to przekonanie, iż Opatrzność niedarmo zrządziła cudowny wybór Henryka, który z sobą Polsce i jej szczęście przyniesie.

Anna chwilami zdawała się mieć tę nadzieję, ale wprędce doznane zawody, długie cierpienia odbierały jej ją i szeptała krajczynie;

— Może się Bogu podobało tylko dlatego dać mi teraz trochę otuchy, abym tracąc ją, ucierpiała boleśnie.

Co moment teraz przybywał ktoś na zamek albo z Balic, lub co młodego pana w podróży widział, i opisywał jego dwór, znajdowanie się Francuzów, ich stroje i t. p.

Rozumie się, iż do królewnej nie dochodziły te wrażenia, któreby ją zawczasu mogły zasmucić. Nie dopuszczały ich otaczające ją panie.

Tego wieczora obficie było gości, opowiadań i sprzecznych pogłosek.

W mieście panowało poruszenie nie do opisania, gorączka popisu, radość razem i niepokój. Nazajutrz na powitanie króla występowało, co żyło, z okazałością niesłychaną.

Królewna Anna parękroć wyraziła po cichu żal swój nad tem, iż nic widzieć nie mogła będzie, oprócz ostatniego aktu przybycia na zamek, na którego podwórce ani nawet część pocztów i zbrojnych orszaków dopuszczoną być nie miała. Dosia, która była przy rozbieraniu królewnej, westchnęła także nad tem.

— Gdybym choć ja, za pozwoleniem miłości waszej, widzieć to wszystko mogła, potrafiłabym opisać najlepiej— odezwała się.—Niech mi tylko miłość wasza pozwoli.

— Co ci mam pozwolić?—zapytała królewna.

— Proszę o uwolnienie mnie na dzień jutrzejszy— dodała Zagłobianka z uśmiechem,—o nic więcej, zresztą dam już sobie radę.

Zawahała się nieco Anna, lecz ulubienica tak naglić, prosić i po rękach całować zaczęła, że wkońcu otrzymała milczące przyzwolenie.

Godzina już była późna, gdy wybiegłszy z sypialni, śmiała dziewczyna posłała po Talwosza, którego zawsze wiedziała, gdzie szukać miała.

Litwin, chociaż dotknięty tem, iż się Dosia nadto Francuzami zajmowała i dozwalała im stroić zaloty, przybiegł natychmiast.

Dziewczę odezwało się tonem rozkazującym, nim miał czas otworzyć usta.

— Patrz wpan, abyś mi na jutro do dnia ułatwił wszy-

stko. Przebiorę się po męsku i muszę od rana widzieć wszystko, abym królewnie doniosła, jak się odbyło.

— Po męsku!—wykrzyknął Talwosz.—Ależ noc nadchodzi! Sukni nie mamy, przygotowanego nic, a o tem nie myśli panna Dorota, że ją choćby z pięknego lica wszyscy poznają.

— To moja rzecz!—odparła Zagłobianka dumnie.—Czyń wpan, co do niego należy, albo chcesz, abym się zwróciła ku komu innemu?

Talwosz się rzucił.

— Zrobię przez noc, co będzie można—rzekł,—lecz mało powiedzieć: przebiorę się po męku. Musicie sobie strój wybrać i oznaczyć.

Dosia krótko się namyślała.

— Włoski strój mi przysposóbcie—rzekła.

— A z włosami co będzie?

— Nie potrzebuję nakrycia z głowy zdejmować przed nikim, beret lub kapelusz okryje włosy.

Jakim sposobem potrafił Talwosz nazajutrz rano dostarczyć Dosi całe ubranie, która na koniu jechać po męsku z nim się ofiarowała, nie tłumaczył się z tego. Strój był piękny, choć w oczy nie bijący, a na wierzch jego płaszczyka z futrem nie brakło. Koń spokojny był przysposobiony.

Posłuszny Litwin dostarczył wszystkiego, lecz pomimo to wielce był niespokojny i wyprawę tę odradzał jeszcze, tylko że z Dosią rozprawiać i przekonać ją, gdy się uparła było trudno.

W godzinę po dostarczeniu jej stroju Zagłobianka wyszła przebrana, jaśniejąca pięknością którą męski strój podnosił jeszcze, wyglądając tak uroczo, że wszystkich oczy ściągnąć na siebie musiała. Ubiór ten, którego dotąd nie nosiła nigdy, tak jej dobrze przystawał, tak się umiała do niego w ruchach i postawie zastosować że Talwosz osłupiał.

— Panno Doroto—zawołał,—raz jeszcze pozwól mi powtórzyć sobie, że ja za ten krok jej nie biorę na siebie odpowiedzialności. Odradzałem i odradzam. Ściągniecie oczy... Francuzi...,

Nie dała mu dokończyć. Męstwem zuchwałem twarz jej pałała.

— Na koń!—zawołała—dość gadania!

Co się z biednym Litwinem działo, on jeden wiedział. Cierpiał okrutnie, bo dręczyła go i obawa o dziewczę i zazdrość, a stało się to, co przewidywał, iż Zagłobianka, która się wcale z sobą nie ukrywała, oczy ciekawe zwracała na siebie.

— Domyślano się w niej czy nie przebranej kobiety? —niewiadomo, ale szlachetna postawa, nadzwyczajna piękność rysów twarzy kazały się domniemywać jakiejś niepospolitej osobistości.

Zagłobianka uparła się szukać sobie takiego miejsca, z któregoby mogła widzieć wszystkich i wszystko. Talwosz jej musiał często przebojem torować drogę, bronić stanowiska, aż do miecza się zrywając.

Oddziały pańskie, które wyciągnęły na powitanie Henryka, miały co najmniej każdy po trzystu ludzi, a było ich przeszło trzydzieści, jedne nad drugie okazalszych.

Tak samo, jak niegdyś na powitanie Elżbiety rakuskiej sadzili się senatorowie na wspaniałość i wytworność, na przesadzenie jedni drugich fantazyą, którą tylko upodobanie ich i możność ograniczały. Oddziały niektóre były przystrojone na sposób francuski, włoski, brunświcki, węgierski, ruski.

Na Francuzach największe wrażenie zdawały się czynić poczty węgierskie w hełmach, w kolczugach, z długiemi tarczami, tak okrywającemi ludzi, iż głowy ich tylko za nich wystawały, z ogromnemi dzidami malowanemi i złoconemi, okrycia koni skórami niedźwiedzi i lampartów, przy których poczepiane były dzwonki i skrzydła w złoconych osadach. Wstawali, wlepiając oczy w te postacie, które się im widziadłami jakiemiś wydawały.

Stroje kozackie i ruskie nowemi też dla nich były zarówno z tatarskiemi. Iście polska fantazya nawet niedźwiedzie żywe w kagańcach posadzała na konie dla popisu. Króla przeciągającego przed oddziałami witały one wystrzałami z organków, na wozach stojących, które się obracały i mieściły, gdzie im było potrzeba.

T ąby i kotły, wiezione na koniach, huk wystrzałów,

okrzyków na cześć przybywającego dosłyszeć nie dawały.

Pierwszy z pocztów, który witał Henryka, był arcybiskupa gnieźnieńskiego, przybrany z węgierska w aksamit czarny ze złotem. Prymas jechał w kolebce szkarłatnej, sześciu końmi ciągnionej, po obu stronach mając biskupów poznańskiego i płockiego. Za nim ciągnął arcybiskup lwowski, kamieniecki, krakowski z ludźmi po włosku ustrojonymi, w futrach kosztownych; dalej inni biskupi i senatorowie.

Na czele ich jechał krakowski pan z oddziałem Tatarów i Węgrów w zbrojach lśniących. Żaden z tych pocztów nie był do drugiego podobny; barwy, szycia, złoto, srebro, futra, zbroje, skrzydła coraz inaczej się mieniły, spojone, coraz dziwniej podobierane.

Wśród tego oślepiającego przepychu odznaczał się Albert Łaski swymi Tatarami i Węgrami, których koni uzbrojenie i rynsztunek rwały oczy.

Za Polską ciągnęła Litwa z Radziwiłłem na czele i jego ludźmi w szkarłatach, Chodkiewicz i mnoga drużyna, nie dająca się zaćmić bogactwem ani liczbą.

Któż policzy idące za nimi poczty senatorów: Wapowskiego, Tarnowskich, Opalińskich, Zamojskich, Rejów, których skarbce i odwieczne skrzynie na ten dzień uroczysty się wypróżniły?

Gdy się te szeregi ustawiły na równinie pod miastem samem, widok był, od którego Henrykowi po raz wtóry serce mogło uderzyć, jak, gdy go na granicy witano.

Biskup płocki wystąpił w bramie tryumfalnej z mową, na którą znowu Pibrak tylko odpowiadał.

Naturalnie dopytywano o niego, co zacz był i jak się zwał, a nazwisko z ust do ust sobie ludzie podając, przekręcili na Psibrat i ono mu pozostało.

Spoglądano na króla, wszystkim się wydał cienkim, małym, delikatnym jakimś, a chude nóżki w obcisłym stroju szlachcie przypominały bociana. Ona wolałaby była szerokie ramiona, pięści silne, zbudowanego od siekiery żołnierza i wodza; los jej dawał pieszczonego dzieciaka, laleczkę strojną jak do wertepu. Niektórzy ciekawsi dopa-

trzyli się u uszów przywieszonych kolczyków i nawet mówić o tem nie śmiano, tak się to poczwarnem wydało i nie do wiary.

Noc już była, gdy Henryk wjechał do oświetlonego miasta. Tu na wązkich ulicach ci, co bliżej szli, lepiej mu się mogli przyglądać.

Dos a, której zuchwalstwu dziwnie się szczęściło, wybiegła naprzód, aby zająć miejsce takie, z któregoby Henrykowi długo i bacznie przypatrywać się mogła.

Ukazał się jej wkońcu; pod baldachimem ze złotogłowiu, niesionym przez panów radnych stolicy, otoczony halabardnikami szwajcarskimi i arkubzierami gaskońskimi, na pięknym białym koniu, z rzędem wspaniałym, cały czarno, w futrze sobolowem, w toku na głowie opasanym sznurem szmaragdów, z ogromną spinką dyamentową nad czołem.

Dosia stanęła tak, iż się z nim oko w oko spotkać musiała.

Jechał blady i zmęczony z twarzą, na której wypiętnowała się mimowolnie nuda; dopiero, gdy oczy jego błądząc po tłumie, trafiły na uroczą twarzyczkę Zagłobianki, która zuchwale wzrok w niego wlepiała, drgnął i dopóki tylko mógł ją oczyma ścigać, nie spuścił ich z tego oblicza, które go widocznie pociągało pięknością niewieścią ku sobie.

Żaden z wymokłych minionów, towarzyszących Henrykowi z tym tajemniczym młodzieńcem równać się nie mógł.

Co sobie oczyma powiedzieli, dumna dziewczyna i zniewieściały Francuz, Talwosz nie umiał odgadnąć; widział tylko, że na twarz Dosi wypłynął krwawy rumieniec.

Zagłobianka, ledwie już okiem rzuciwszy na książąt Nevers i Mayenne, na resztę orszaku wiedzionego przez wojewodów i kasztelanów, nie czekając, aż powolny pochód przeciągnie przez wszystkie bramy, któremi droga do zamku była poprzecinaną, dała znak Talwoszowi, iż chce uprzedzić Henryka na zamek.

Znowu się więc przedzierać z nią musiał przez zbi-

te tłumy, i z niemałą trudnością potrafił ją odprowadzić na Wawel.

Cały dzień przebywszy na mrozie i na koniu, Zagłobianka bynajmniej nie okazując znużenia, dała się zsadzić z siodła i nie podziękowawszy nawet Litwinowi, uciekła się przebrać, aby królewnie zdać ze wszystkiego sprawę.

Wkrótce potem dzwony kościelne oznajmiły, iż król się znajdował w katedrze, z której rozlegało się dziękczynne Te Deum.

Z okien swoich pokojów widzieć mogła Anna, jak go nareszcie już nocą na zamek wprowadzono, gdzie króla i panów, posłów obcych i dostojniejszych gości uczta na dole oczekiwała.

Tak się skończył dzień ten nużący dla wszystkich, a może najtrudniejszy do przebycia dla Anny, która z trwogą coraz rosnącą oczekiwała widzenia człowieka, znanego jej dotąd z wizerunków i pochwał, równie jak one upiękniających.

Z okien przemknął się jej tylko szczupły, drobny, dziecinnie jakoś wyglądający chłopaczek.

Postawiła go w myśli przy sobie i zasmuciła się. Paziem jej... byłby bardzo miłym, na towarzysza poważnej Jagiellonki zdawał się niedorosłym jeszcze. Westchnęła.

Zjawiającą się Dosię, której twarz od zimna i od doznanych wrażeń pałała, królewna i panie obstąpiły z ciekawością niezmierną.

Widziała wszystko, przypatrzyła się królowi, mogła lepiej, niż drudzy, opisać go, odgadnąć. Zawiodły jednak nadzieje; Zagłobianka weszła zmieszana, a znużenie, może teraz się dopiero czuć dające, nie dozwalało jej opowiedzieć tego, co widziała.

Król... król wydał się jej pięknym jak wizerunki, które pokazywał karzeł Krassowski, ale Dosia znajdowała, że męskiego było w nim niewiele, chociaż wdzięk w sobie miał wielki i siłę potężną we wzroku.

Nie opatrzyła się, zdradzając, iż ten wzrok spotkać musiała i na sobie go doświadczyć. Dopiero, gdy się to

z ust wyrwało, usiłowała wytłumaczyć tem, co słyszała od ludzi.

Zagłobianka mówiła jeszcze, gdy nadbiegł Krassowski, który na dole króla do stołu idącego miał czas pochwycić i kilka słów z nim zamienić.

Karzeł, ręce na piersiach krzyżując, zaręczał, iż Henryk był wszystkiem zachwycony, że Polska przeszła jego oczekiwania, a wspaniałość przyjęcia Francuzów w osłupienie wprawiła.

— Nie nowina dla nich—mówił, śpiesząc jak zawsze i sypiąc słowami, jakby się lękał, by mu ich nie odjęto —nie nowina dla Francuzów przepych, złoto i srebro, ale takiej fantazyi cudnej, takiego wymysłu i rozmaitości, takiego kunsztu w barbarzyńskej Polsce nigdy się nie spodziewali.

Krassowski nie mówił może wszystkiego co słyszał, lecz rokował jak najlepiej o przyszłości.

Orzeł, który stał na bramie w rynku, wesoło witając pana nowego, skrzydłami trzepotał. Wśród tysiąców ludzi żadnego nie zgnieciono, nikt się nie poskarżył, nikt nie zginął.

Anna słuchała trochę smutna i zadumana.

W tym dniu o niej wcale mowy nie było, jakby nie istniała. Kiedy przybyły miał ją powitać—nie śmiała nawet pytać.

———

Nazajutrz z równym przepychem wedle starego obrzędu odbyć się miała koronacya, lecz noc, która ją poprzedziła, burzę się gotować zdawała. Ci, którzy Henryka wyborowi przeciwni byli, podszepnęli dysydentom, iż przy składaniu przysięgi wolność wyznań i sumienia pominiętą być miała. Nie było jej w prastarych formułach, bo wiara żadną reformą zagrożoną nie została, teraz zawarowano sobie w Paryżu dodatkowo przysiężenie dobitnie zachowania praw wyznań od katolickiego się różniących. Artykuł ten stał w wydanych przez króla poręczeniach i paktach, ale duchowieństwo katolickie chciało go pominąć milczeniem.

Kto podszepnął Firlejowi, iż się to stać mogło i groziło? Kto wieść tę puścił z wieczora pomiędzy wodzów dysydentów i poburzył nią umysły?

Na zamku już wieczorem przy uczcie różnowiercy się tem obesłali. Nieprzyjaciele nieprzejednani, Firlej i Zborowski, który króla na tron prowadził, zgodni w tem byli, że Henryk swobody dysydentom poprzysiądz musiał. Duchowieńs wo katolickie wcale o tem nie zdawało się zawczasu uwiadomionem. Arcybiskup naturalnem znajdował trzymać się dawnej formy przysięgi, która mogła przejść niepostrzeżona.

Na przyszłość Henryk ręce miał swobodne, sumienie nie związane niczem.

Szeptano już dokoła stołu, gotując się na dzień jutrzejszy, gdy król, Francuzi i duchowieństwo nie miało najmniejszego przeczucia tego, co się gotowało na ostatnią chwilę najuroczystszą.

Kościół był przepełniony od rana, a ci, ktorym szło o to, aby wystąpić mogli z głosem i protestem, zawczasu sobie miejsce zabezpieczyli.

Król przywiedziony uroczyście do katedry, zasiadł na przygotowanym tronie, królewna Anna zajęła ze swym dworem lożę jej przeznaczoną, z której raz pierwszy lepiej przypatrzeć się mogła temu, który dotąd zdawał się dla niej przeznaczonym małżonkiem.

Z obawą zwróciła wzrok ku niemu, patrzyła długo, zbladła, ukląkłszy z zakrytą rękami twarzą modlić się zaczęła.

Rozpoczął się obrzęd koronacyjny powolnie, uroczyście, śpiewami i modlitwami przerywany. Cisza panowała w kościele, królewna modliła się ciągle, a krajczyna klęcząc za nią, łez się na jej oczach domyślała.

Nagle przerwano śpiewy. Prymas stał przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwę, król klęczał, oczekując na przysięgę, którą miał złożyć.

Jeszcze chwila i wszystkoby przeszło spokojnie. Wtem wśród momentu milczenia grobowego Firlej podniósł

głos i wezwał króla, aby w przysiędze pokój dysydentom zapewnił.

Duchowieństwo z arcybiskupem stało milczące. Na twarzach biskupów widać było przerażenie, jeden prymas pozostał na oko obojętnym. Niektórzy z pasterzów oczyma się porozumiawszy, poczęli szeptać i coraz głośniej odzywać, iż stara forma zachowaną być powinna. Za nimi podniósł głos Chodkiewicz.

Kościół, o zgrozo! zmienił się jakby w salę obrad namiętnych. Z pośrodka tłumu wyrywały się coraz krzykliwsze.

— *Pacem inter dissidentes!*

Za Firlejem teraz wstał Mikołaj Radziwiłł, a nawet wojewoda sandomierski, Zborowski.

Królewna w loży klęcząca przerażona, osłabła, odchyliła się od okna, nie chcąc widzieć, ni słyszeć co się działo.

Dochodziło do niej głuche jakby warczenie z głębi tłumu, który napełniał kościół. Namiętne wykrzyki, spór, kłótnie odbijały się o sklepienia kościelne.

Ciżba ciekawa cisnęła się ku wielkiemu ołtarzowi i kołysała, jak fala burzą podjęta. Ponad nią widać było ręce podnoszące się do góry. Groźby warczały w powietrzu.

— Przysięgać musi!

Francuzi obecni temu, wcale nieprzygotowani do tej sceny, nie mogąc przewidzieć końca, zgorszeni wybuchem stali przerażeni, dopytując; niektórzy z nich widząc w tem spisek i zasadzkę, chwytali już za.szpady.

Obraz był rzadki w dziejach. Sędziwy arcybiskup, klęczący w oczekiwaniu król, duchowieństwo nieposzanowaniem kościoła oburzone, dysydenci tem zuchwalsi, iż się czuli mniejszością, pobożni strwożeni, bojaźliwi, przewidujący skalanie miejsca poświęconego; wszystko to zmieszane razem, w tłumie ściśniętym walki na gorące słowa, ruch przy ciżbie gniotącej słabych, mogło najśmielszych widzów zastraszyć.

Dwakroć biskup chciał przystąpić do króla z dawną

formą przysięgi, a krzyki namiętne nie dopuściły go. Protestowano głośno.

— Nie przysięże pokoju, nie damy korony!

Około wielkiego ołtarza było samo ognisko tego boju. Oczy pałały, ręce drżały, szeptano, naradzano się. Henryk podnosił błagające oczy ku arcybiskupowi, zwracał się ku Zborowskiemu, ale Zborowscy też domagali się zaprzysiężenia pokoju. Opór był tak gwałtowny, iż uledz mu stawało się koniecznością.

Henryk szeptał do stojących przy sobie, iż gotów jest na wszystko. Niepodobna było przerwać w sposób tak gorszący rozpoczętego już obrzędu.

Arcybiskup uległ woli jego. Jeszcze w głębi kościoła trwały gorące utarczki między katolikami a dysydentami, nie uspokoił się tłum, gdy król wyrzekł głośno owo żądanie:

— *Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo.*

Firlej, który stał najbliżej, podniósł się na stopień ołtarza i zawołał głosem doniosłym:

— Senatorowie i posłowie! król złożył przysięgę żądaną, chcecie, aby był ukoronowany?

— Przysiągł na pokój dysydentom?—poczęła wołać szlachta niespokojnie.

— Przysiągł—odparł Firlej.

— Niech będzie ukoronowany! *Vivat rex! vivat!*

Arcybiskup włożył mu na skroń koronę Chrobrego, a w kościele długo jeszcze wrzawa się ukołysać całkiem nie dała.

Królewnę Annę osłabłą wyprowadzono z loży na zamek.

Zwycięstwo zostało przy różnowiercach, z wielką goryczą i upokorzeniem katolików.

Na chwilę zażegnane było niebezpieczeństwo, przywrócony pokój pozorny, ale chwile takiej gorączki zawsze zostawiają po sobie niezagojone blizny.

Ci, co się ścierali w kościele pozostali wrogami; rozejm chwilowo zawarty, zapowiadał wojnę długą, a pierwsze

odniesione zwycięstwo wcale nie ręczyło za ostateczne następstwa w przyszłości.

W kościele wszyscy pozostali ze wzburzonemi umysłami, z krwią zaognioną, z napół w ustach przeciętemi wyrzuty wzajemnemi, które gdzieindziej wysypać się miały. Nikt nie był uspokojony, a duchowieństwo wrzało niechęcią przeciwko burzycielom powszechnego pokoju, chociaż oni należeli do najwyższych dostojników kraju.

Gdy po zasiądzeniu na tronie i odebraniu przysiąg od senatorów, król w stroju swym obrzędowym zasiadł z nimi razem do stołu, na twarzy jego i Francuzów widać było nieutajoną już ich niechęć ku Polakom i nieprzejednany wstręt, który się łączył z obawą.

Chwila ta rozstrzygnęła o dalszych stosunkach między obcym panem i garstką jego dworu a krajem, któremu przybywał panować.

Henryk doskonale udawać umiał uprzejmość, przejednanie, wdzięczność, lecz w sercu jego była odraza do tych burzliwych poddanych, którym wcale już nie ufał. Francuzi, otaczający go, szli dalej jeszcze, milczeli z zaciętemi ustami, ale nieprzejednana nienawiśc się w nich zrodziła. Spodziewali się tu uległości, znajdowali nieugięty opór. Sądząc się o wiele wyższymi od Polaków, nie mogli im tych wymagań przebaczyć.

Otaczający króla Polacy starali się dnia tego jeszcze zatrzeć smutne wrażenie sceny koronacyjnej. Katolicy zrzucili całą winę na bezwstydne zuchwalstwo dysydentów, Zborowscy starali się króla przekonać, iż chciano jego i ich oszukać.

Wśród tych uroczystości, które mało królowi zostawiały czasu dla zbliżenia się do Infantki, zwrócono wreszcie jego uwagę, że powinien był ją powitać. Czas i godzina zostały wyznaczone.

Z bijącem sercem przygotowywała się Anna do tego spotkania. Ona i dwór jej musiały wystąpić z przepychem i wykwintnością, od których oddawna były odwykły.

Henryk, który właśnie w czasie tym krwią pisał listy do pozostałych w Paryżu kochanek, dla kobiet

zawsze z nawyknienia był niesłychanie grzecznym. Natura i wychowanie czyniły go zalotnym, chciał się podobać i te nawet zdobywać serca, o które nie dbał wcale.

Ubrany, jak laleczka, okryty klejnotami, woniejący, strojny, zręczny, mimo zużycia wczesnego, ujmujący wdziękiem młodości, stanął przed poważną królewną, starając się widocznie pozyskać ją sobie. Jakoż ujął ją i oczarował nietylko słodkiemi słowy, jakiemi ją przywitał, ale samym dźwiękiem głosu, uśmiechem i obejściem się pełnem pieszczotliwości jakiejś, która zachwyciła Annę.

Całą tę komedyę zalotów wzięła ona za szczerą prawdę. Henryk wydał jej się niezrównanie pięknym, niewypowiedzianie łagodnym i miłym. Twarz jej mówiła mu, jak wdzięcznie i serdecznie go przyjmowała. Rozmowa toczyła się po włosku, bo Anna mówiła doskonale tym językiem, Francuz zaledwie znośnie, ale umiał się ratować tak zręcznie uśmiechami i gestami, że się mało zdradził z tą niewprawą w włoszczyznę.

W czasie tych pierwszych odwiedzin, które dla zbyt zajętych godzin trwały zaledwie kwadrans, król, który rozmawiał więcej oczyma, niż usty z królewną, miał nadto czasu przebiedz niemi fraucymer, który jej towarzyszył, i znalazłszy wśród niego tę samą twarzyczkę, cudownie jaśniejącą pięknością, która go w męskim stroju w czasie wjazdu uderzyła mocno, dał poznać Dosi, jak wielkie na nim zrobiła wrażenie.

Po wyjściu Francuzów i Anna Łaska, i inne panie wybuchnęły z pochwałami dla niego, unosząc się nad tą galanteryą w Polsce niewidzianą, grzecznością, słodyczą, obejściem, które upoiły wszystkie panie. Nie taiła się królewna, że podzielała to ich zdanie o królu, i na chwilę także rozmarzyła się, dała uwieść nadziei. Zdawało się jej że i ona na nim musiała uczynić toż samo wrażenie, a towarzyszki potwierdzały to i radość dnia tego była powszechna.

Nazajutrz powtórzone odwiedziny, równie krótkie, w ciągu których król z większą poufałością, żartobliwie, wesoło starał się zabawiać Annę opowiadaniem o tem,

jak go nowi dla niego ludzie, obyczaje, stroje zachwycały — potwierdziły i podniosły jeszcze wrażenie uczynione dnia pierwszego.

Anna modliła się, dziękując Bogu i prosząc Go tylko, aby ten początek szczęśliwy nie prowadził do smutnego rozczarowania i zawodu. Nie miała dotąd Henrykowi nic do wyrzucenia, był tak niesłychanie zajęty, umęczony, porywany, iż więcej czasu poświęcić jej nie mógł.

O ożenieniu, które miało być włożone w pakta i poręczone, jakoś dotąd nie mówiono wcale, nie ukazywało się ono nawet na bardzo odległym horyzoncie. Milczeli wszyscy, ale honory oddawane Infantce, znalezienie się króla zdawały poręczać za nie.

Rzeczywiście zaś nikt dotąd ani słowem o tem nie śmiał napomknąć Henrykowi, a on umiejętnie bardzo uprzejmością zwłokę starał się osłodzić.

Anna za siebie upomnieć się nie mogła. Bliżsi jej zdawali się pewni szczęśliwego końca. Biskup chełmski, pani Łaska, Chodkiewiczowa i inne, przypuszczane do królewnej, ciągle zmuszały ją rumienić się, czyniąc aluzye do przyszłego małżeństwa, i domniemywając się, iż Anna bardzo życzliwą była dla przyszłego pana. Było to powszechnie uznanem i przyjętem; chodziły gadki po dworze całym, że królewna sprzyjała wielce Henrykowi, że on się jej podobał, że była nim zachwyconą. O nim nie mówiono wcale.

Tymczasem uroczystości, turnieje następowały jedne po drugich... król musiał występować wszędzie. Anna także ukazywała się tam chętnie. Zamieniano ukłony i uśmiechy.

Gdy się zdala spotykali z sobą, a Henryk zobaczył królewnę, pozdrawiał ją publicznie z największem poszanowaniem i uprzejmością Anna rumieniła się jak młode dziewczę.

Coraz żywiej zajmował ją widocznie, trudno to było ukryć—dwór oczarowany, wtórował jej gorąco. Z najmniejszej drobnostki wyciągano wnioski, tłumaczono słowa, nadawano znaczenie wejrzeniom, ruchom i starano się w królewnie uczucie rodzące się ożywić.

W ostatni wtorek Anna wraz z królem znajdować się

miała na weselu u Zborowskich, którzy opóźniwszy się na wjazd, teraz z całym przepychem pańskim swojego domu występowali sami jedni.

Do dworu Henryka przyplątał się był od dni kilku Włoch, który dowcipem, maszkarami, odegrywanemi, małemi scenami, figlami różnemi króla i panów zabawiał.

O tym signorze Paolo Magnifico, którego poufalej zwano Mago, zdania były podzielone. Jedni mieli go za prostego trefnisia i kuglarza, który za zarobkiem gonił, drudzy podejrzewali, nie bez przyczyny, iż był szpiegiem książąt włoskich (toskańskich), którzy radzi byli wiedzieć, jaki obrót na dworze polskim miały nadać okoliczności stosunkom Henryka i Infantki. Wszyscy jednozgodnie sławili Włocha, jako niesłychanie zręcznego, śmiałego dowcipnisia, który śpiewał doskonale, błaznował, głosy różne udawał, na cytrze grał, tańcował, maski w rozmowy improwizowane wprowadzał i sam z niemi sceny zabawne odegrywał, tak, że najsmutniejszych mógł do wesołości zmusić. Śmieli się z niego nawet ci, co go nie rozumieli tak wiele i dobitnie sama twarz jego mówiła.

Mężczyzna był urody pięknej, gibki, zręczny, mający talent, Włochom łatwo przychodzącej mimiki, rozwinięty do wysokiego stopnia, a szczególniej zdumiewający śmiałością i rzutkością słowa.

Półtrefniś Mago, korzystając ze swej roli, pozwalał też sobie wiele.

Miano dawać do stołu. Królewna otoczona paniami swemi, wyszła tylko co na pokoje, gdy jej oznajmiono Włocha Mago, jako posła od króla, a wnet za paziem wpadł signor Paolo z ukłonami do ziemi, ze śmiechem, a potokiem słów, który całe towarzystwo do zapustnej wesołości nastroił.

— Miłościwa królewno—zawołał od progu—jestem posłem nietylko króla, ale wesela! Za mną idą w ślad śmiechy i pustota! Są to dni, w których Kościół pozwala figle stroić, nim głowy popiołem posypie, a najjaśniejszy król polski radby ani jednej posępnej twarzy nie widzieć w całem swem państwie. Przynoszę pozdrowienie od stę-

sknionego pana, którego senatorowie nudzą, aż go uszy od mów bolą. Sam nie mógł przybyć, niestety...

Królewna przyjęła go uprzejmym uśmiechem.

— Jakże się wam Polska wydała po Włoszech?— spytała.

— Cudownie—rzekł Mago,—ale więcej w niej złota niż słońca, i futra, niż gorąca. Naród rycerski, a śmieje się bardzo ładnie.

— Króla dziś—dodał—w rynku miasto przyjmuje; gdyby napalić choć kazali. Prawda, że tu w złotych dzbanach płynny ogień leje się obficie.

Misy już na stół podawać zaczęto i panie stanęły przy swych krzesłach, a królewna z Włochem rozmawiając i słuchając dowcipów jego, nie myślała siadać.

Sądziła może, iż go rychło odprawić potrafi. Włoch chciał dłużej pozostać i rachował zapewne na przypuszczenie do stołu.

— Miłościwa pani—odezwał się ciszej—polewka stygnie, a wy nie śpieszycie do niej? Miałożby być powodem tego zadumania, że wczoraj król dotknął jej ręki?

Zarumieniła się niezmiernie Anna, usłyszawszy śmiały ten wykrzyk, ale może nie było jej przykrem, że upatrywano między nią a Henrykiem zawiązujące się bliższe stosunki. Kazała przy sobie nakryć stolik dla Włocha, który nie przestał ją prześladować Henrykiem, dając do zrozumienia, iż i on jest zajęty Infantką.

Od trefnisia trzeba to było przyjąć bez gniewu. Mago razem jadł i pił za zdrowie króla i ośmielił się prosić Anny, aby i ona razem to drogie wychyliła zdrowie, czemu się ona wcale nie opierała. Zmusił potem wszystkie panie, aby i one za pomyślność tak pięknego, młodego i tak dziwnie dobrego króla wychyliły kubki.

Naprzeciw niego w końcu stołu siedziała Dosia, którą Włoch tak jakoś ścigał oczyma napastliwie, jakby miał do niej też szczególne poselstwo. Nie przeszkadzało mu to bawić Infantki, rzucać dowcipami, odegrywać zarazem rolę starych, młodych, dzieci i pań, których głosy przybierał z kolei.

Ze wszystkich siedzących u stołu tylko królewna, dwie panie cokolwiek i Zagłobianka rozumiały dobrze po

włosku. Parę też razy wmieszała się do rozmowy bardzo zręcznie, co Włocha jeszcze więcej ożywiło. Rzucił jej przez stół parę komplementów, które zapłaciła śmiałem wejrzeniem.

Pod koniec obiadu, nadworowawszy przy królewnie, coraz coś nowego wymyślając dla zabawy, Mago począł biegać koło stołu i z mimiką przedstawiać dwu kłócących się razem o piękną panią młodzieńców. Zmieniał tak twarz, postawę i głosy, że wistocie zdala zdawać się mogło iż nie on jeden, ale dwu innych było ludzi. W tej wędrówce około stołu, skończywszy scenę wybornie odegrywaną, za którą królewna podarek kilkadziesiąt skudów wartujący, przynieść mu kazała, Mago znalazł sposobność rozmówić się z pięknem dziewczęciem, tak, że nikt nie spostrzegł tego.

— Signorina!—rzekł żywo—klnę się na piękne oczy twoje, iż mam do was polecenie, ważniejsze może niż to, które królewnie przyniosłem.

— Do mnie? od kogo?—przerwała dumnie Dosia.

— A! nie marszczcie brwi tak groźno! Cześć wam to przynosi—zawołał Mago. — Król sam rozmiłowany jest w was.

— Czy to żart zapustny?—odparła Zagłobianka.

— Nie, najrzetelniejsza prawda! Gdym odchodził, szepnął mi, abym przy podanej zręczności odniósł wam westchnienia od niego.

— A was wybrał za posła, was, co śmiech, nie westchnienia nosić zwykliście?

— Jak gdyby westchnienie w radość i szczęście się zmienić nie mogło?—rzekł Mago śpiesznie. —Mnie zlecono tylko odnieść, że jesteście bosko piękna; czy równie okrutna?

— Zgadliście —rozśmiała się Dosia,—mężczyznie nie wierzę żadnemu.

— Ani królowi?

— Mniej, niż innym, bo dla nich ludzie zabawkami. Włoch więcej mówić nie mógł.

Po obiedzie trwała jeszcze rozmowa ożywiona bardzo z godzinę, a królewna z początku dosyć milcząca, po-

woli tak jakoś Włochowi dała się ożywić, iż z ust jej uśmiech nie schodził.

Mago, który może nie bez przyczyny przypisywał to częstemu przypominaniu Henryka i zręcznemu prześladowaniu nim królewnej, nie przestawał mówić o nim, wynosząc dobroć, słodycz i szczodrobliwość jego pod niebiosa.

Niewiadomo, jak długoby Mago pozostał tu ujęty łańcuchem, który mu Łaska przyniosła, gdyby dwóch królewskich posłańców nie przybiegło po niego. Czas nadchodził, gdy Henryk wprost z rynku, na którym przyjmował hołd miasta Krakowa, miał się udać na wesele do Zborowskich.

Królewna być tam miała także.

— Poprzedzę waszą kr. mość—odezwał się, żegnając Włoch—i wiem, że będę dobrze przyjętym, gdy przyniosę wesołą nowinę, iż król widzieć was tam będzie.

Odmłodzona, odżywiona Anna poszła się stroić, i co nigdy nie bywało, troszczyła się o swe ubranie, pytając Łaskiej, jak ma utrefić włosy, co włożyć na głowę i jaka suknia najlepiej przystanie jej tam, gdzie się jako królewna odznaczyć czemś musiała.

Ze skąpo pozostawionych córkom przez Bonę klejnotów, które na odjezdnem niechętnie im wydzieliła, musiano dobyć najpiękniejsze, najdroższe, bo Henryk zawsze najwytworniej był przybrany, z niewieścią elegancyą a kolczyki jego z dużych pereł w jednych podziwienie, u drugich śmiech rozbudzały.

Nielada to było wesele panów Zborowskich, na którem król i królewna znajdować się mieli. Rodzina, która się tem szczyciła, że ona dała Henrykowi tron polski, zawsze ze krwi i ducha była butną i nikomu nad sobą przewodzić nie dała. Powodzenie, jakiego doznała czasu elekcyi, pokonawszy cesarskich i cesarza, wbijało ją w tem większą dumę.

Zdało się panom Zborowskim, że oni teraz w tem królest..)bok Tarnowskich, Tęczyńskich, Melsztyńskich i najstarszych rodów zająć miejsce byli powinni. Jastrzębiec nie wydawał się im gorszym od Topora i Leliwy.

Mniej dotąd na widoku ród panów Zborow-

skich i w dostatku urósł i w dumę z nich, i z siły swej niezmiernej. Obok niej mieli Zborowscy to, co ją podwaja: śmiałość, odwagę, powiedzmy, zuchwalstwo ogromne. Wszyscy ludzie rycerscy, silni, odważni, nieulęknieni, mieli temperamenta warchołów, którzy gdy nie mogą bić się i walczyć, tęskno im, a gotowi szukać powodu, aby dobyć szabli i ująć za toporek.

Tam, gdzie kilku Zborowskich głos podniosło, nikogo już więcej słychać nie było, tak, nawet spokojnemi będąc wykrzykiwali. Wszyscy lubili błyszczeć, popisywać się, przodem iść, nikomu przed sobą nie dać wziąć kroku. Mówiono, że na wjazd królewski spóźnili się nie przez winę, że się źle obrachowali, ale umyślnie, aby teraz sami występując z rycerstwem nadwornem, okrytem stalowemi kolczugami, błyszczącemi, jak srebro, popisać się mogli.

Na wesele to, które król i co było najprzedniejszego w królestwie zaszczycić mieli swą przytomnością, nie żałowano nic. Nietylko gości, ale i gawiedź miejską, która kamienicę oblegała, karmiono i pojono kosztem nowożeńca. Stawiono jej beczki po beczkach, aby wiwaty pod oknami wykrzykiwała.

Dwór i służba w szkarłatach od srebra i złota, z królewską mógł iść o lepszą. Wesele to Kraków miał długo pamiętać, bo podobnego mu nie widział oddawna.

Wprost z Rynku, gdzie na majestacie zasiadał Henryk poszedł do kamienicy Zborowskich, zaledwie strój uroczysty zamieniwszy na nieco lżejszy. Towarzyszyli mu wszyscy jego Francuzi, Pibrak, który był nieodstępnym, bo zawsze prawie za króla głos zabierał, książęta i panowie, z podziwieniem, ale z niezbyt ukrywaną ironią przypatrujący się polskim obyczajom, wydającym się im trochę dziwnemi.

Raził ich jaskrawy przepych polskich panów, serdeczna otwartość, swoboda i rubaszność słowa, ta szczerość wielka z jaką tu miłość i nienawiść się wyrażała, na nic nie oglądając.

Oni umieli doskonale przymilać się, nienawidząc, uśmiechać, gdy gryźć chcieli, kłamać usty, oczyma, sło-

wem, i postawą, gdy tu wszystko leżało jak na dłoni. Nie napadano pokryjomu i po ciemku, nie zabijano po kątach, ale codzień i na ulicach i po domach zrywano się do szabel, a potem często ludzie sobie padali w objęcia i przyjaźń poprzysięgali. Francuzom się to wydało śmiesznem i zbyt prostodusznem.

Scena w czasie koronacyi w kościele zostawiła po sobie w początku i kwasy i obawy, które się powoli zacierać i łagodzić zaczynały. Francuzi jednak pozostali nieufni, podejrzliwi i niechętni.

Po królu, który lepiej od innych komedyę grać umiał, trudno było poznać, co się w duszy jego działo. Przed Polakami zaręczał, że zapomniał o wielkiej doznanej przykrości, do której powodu nie dał. Dwór jego milczał i grzecznie unikał wzmianki o tem. Na twarzach, gdy Francuzi cokolwiek się zapomnieli, widać było niepokój i obawy. Wielu z tych, którzy tu obiecywali pozostać przy królu, zaczynało się pod rozmaitemi pozory wybierać do Francyi.

Stosunki z nią pomimo dosyć utrudnionych przez Niemcy podróży, były niezmiernie ożywione. Mówiono, że król wszystkie wolne chwile spędzał na pisaniu listów do matki i kochanek. Codzień przybiegali posłańcy, codzień stąd wyprawiano zaledwie wypoczętych. Czuć było że Henryk całą duszą i sercem był nad brzegami Sekwany, i że stokroć go więcej obchodziło to, co tam, niż w Polsce i Krakowie się działo.

Gdy listy przywożono, gdziekolwiek się król znajdował, natychmiast mu je przynosić musiano, a gdy dnia którego brak ich było, tęsknił i niepokoił się.

Panowie senatorowie widzieli dobrze, iż Henryk dotąd ze sprawami polskiemi wcale się nie obeznał i nie brał ich do serca, ale obiecywali sobie, iż to z czasem zmienić się musiało. Zabawiano go, rozrywano, czynił każdy co mógł, ażeby król się nie nudził i nie tęsknił po Paryżu.

Do Zborowskich oprócz licznego dworu polskiego, wszyscy Francuzi zaproszeni tłumnie się zebrali. Zdawało się że od koronacyi dali sobie słowo na chwilę pana swego nie opuszczać i czuwać nad nim, jakby się obawiali Polaków.

O ile sam król był grzecznym i uprzejmym dla wszyst-

kich, towarzyszący mu książęta i dwornia jego butą i lekceważeniem zrażała Polaków. A że się z nimi trudno było porozumieć, bo języka nie rozumieli, a nie wszyscy łacinę znali, nieustanne stąd wynikały nieporozumienia.

Gdy króla wprowadzono na pokoje, a państwo młodzi i rodzina ich otoczyła go, zaczęto obnosić wino i słodycze, odezwała się muzyka, młodzież zabierała się do tańca, ale król oświadczył, że potrzebuje nieco spocząć, posadzono go więc na przygotowanym tronie, w głębi sali i około niego zbierać się zaczęło, co było przedniejszych osób.

Henryk udawał ożywionego, wesołego, wszystko niepomiernie wychwalając.

Trochę późno ukazała się ze swoim fraucymerem wybranym, z Zosią Łaską, z Dosią Zagłobianką, z krajczyną i z kilku starszemi paniami, poważna królewna Anna. Weszła na pokoje wprowadzona przez gospodarzy, zmieszana nieco, a król z uprzedzającą grzecznością natychmiast zbliżył się, aby ją powitać.

Z boku stojący mogli wnosić z jego postawy, iż wielce pragnął ująć sobie Infantkę, a na jej też twarzy widać było radość z tego i rozpromienienie.

Pomimo tej dobrej zgody dwojga, jak sądzono powszechnie, przyszłych małżonków, jedno spojrzenie na nich ogromną różnicę ich wieku dostrzedz dawało.

Świeża jeszcze, ale resztkami tylko młodości kwitnąca Jagiellonka, obok Henryka wydawała się starszą, on przy niej wyrostkiem zaledwie. Strój obcisły elegancki, ale wyszukany po niewieściemu, wstążki, koronki, klejnoty, utrefienie włosów odmładzały go jeszcze. Ironiczny uśmiech mógł uchodzić za serdeczność i dobroć. Anna się nim łudziła, lecz starsi ludzie, patrząc zdala, potrząsali głowami.

Rozmowa z Infantką pośród tłumu, ciekawie się jej przypatrującego, bo podsłuchać dla gwaru i muzyki było trudno, zdawała się obrachowana nietylko na ujęcie jej, ale na okazanie wszystkim, iż Henryk myślał o spełnieniu swych zobowiązań—o ożenieniu.

W myśli Henryka i Francuzów było to tylko fortelem

potrzebnym dla pozyskania czasu. Wiedzieli, choć z krótkiego doświadczenia, że w Polsce brano wszystko za dobrą monetę.

Odprowadziwszy Annę na miejsce, dla niej i pań jej przeznaczone, Henryk z Francuzami wmieszał się w tłum z przyjemnością widoczną przypatrując się pięknym twarzyczkom dziewcząt i pań polskich, których ciekawe oczy były ku niemu skierowane.

Ze wszystkich jednak Dosia najwięcej Henryka ku sobie pociągała, może tem, że ją naprzód w ulicy widział w męskim stroju. Dworacy już się dla niego dowiedzieli o jej sieroctwie, charakterze, niepospolitem wykształceniu, umiejętności języków, i Villequier, ulubieniec pański, szczególniej sprawami serca i miłostkami króla zajęty, powtarzał, że to była losem dla niego wyznaczona kochanka. Wcale Francuzów nie zdawało się zrażać, gdy im zaręczano, że panna była dumną i nieprzystępną.

Wśród tańców przeznaczone dla zabawienia gości na różny sposób maszkarady różne przybywać zaczęły i mieszając się z tłumem, figle wyprawiać,dowcipnemi słówkami drażnić. Domyślano się pomiędzy temi maskami Maga i jego towarzyszów, o których król wiedział i życzył sobie, ażeby się tu znajdowali dla rozbawienia towarzystwa, lecz oprócz Włochów, których liczba była wiadomą, wkrótce się znalazło masek daleko więcej.

Pibrak, Bellievre (poseł francuski), Villequier, Souvray i inni mieli baczność na pana, aby nie każdemu dozwolić się do niego docisnąć, lecz nie mogli od napastujących masek obronić. Jedna szczególniej zdająca się młodym chłopakiem, zręczna, gibka, przeciskała się przez najciaśniejsze gromadki, wślizgała między stojących szczelnie i długo tak przewijając, potrafiła wkońcu dostać się do Henryka. Zręczna ta figurka, już wprzódy musiała na siebie zwrócić jego uwagę i wydać mu się niestraszną, gdyż zbliżającą się zaczepił. Król zmuszonym tu był posługiwać się językiem włoskim, który daleko więcej osób rozumiało niż francuski. Na zapytanie rzucone za kim gonił i kogo szukał, zagadnięty odparł po francusku:

— Ciebie najjaśniejszy panie.

Dźwięk mowy był tak czysty, jakby wychodził nie z ust cudzoziemca.

— Masz co do mnie?——zapytał król.

— Bardzo wiele, gdyby po temu był czas i miejsce! — zawołał zamaskowany.

Henryk popatrzył bacznie, maska wesoło podrygując mówiła dalej:

— Żal mi was najjaśniejszy panie!

— Mnie?

— A tak! grozi ci tu więcej niebezpieczeństw, niż twoi przewidują, niż ty sam domyślasz się może!

Henryk spoważniał.

— Chcesz mnie nastraszyć—rzekł,—ale wiedz, że to nie łatwo.

— Wiem, że masz męstwo—poczęła maska,—ale nie dosyć odwagi, potrzeba ostrożności.

Widzisz tę kobietę, którą ci jak na szyderstwo przeznaczają za żonę, gdy ona matką-by ci być mogła. Wiesz, jaką była jej matka, i co ona po niej wzięła w spuściźnie? Bona wojowała trucizną i czarami, a to nieodrodna jej córka. Całemu światu wiadomo, że ona otruła brata, aby po nim skarby odziedziczyć; wszyscy wiedzą, że czarownicą jest, że czaruje niepochwyconemi sposoby.

Henryk pobladł, zwrócił oczy na maskę, ale nic nie òdpowiedział.

— Strzeż się jej, nie zbliżaj! pamiętaj...! Usidli cię, opanuje...

Pierwszy to raz do uszu Henryka dochodziły te potwarze i nie dziw, że na nim głębokie uczyniły wrażenie, tak, że odpowiedzieć nie umiał i nim się zebrał na słowo, maska wśliznęła się szybko, wmieszała w tłum, znikła.

Villequier stał niedaleko, Henryk szepnął mu, aby starał się uchodzącego zatrzymać i dowiedzieć, kto był, lecz nim Francuz zdołał się za nim przecisnąć, maski już nie było śladu; dopytywani o nią wszyscy się tem składali, że nieznaną im była.

Henryk nie wziął może bardzo na seryo tych ostrzeżeń, ani im dał wiarę, chociaż powodów i celu takiego oszczerstwa trudno mu było dociec, zawsze jednak śmiała

ta potwarz utkwiła w jego pamięci. Rzucił wzrokiem na poważną Annę i myśl ta, że czarownicą, trucicielką być może, inaczej mu teraz wyraz twarzy jej tłumaczyła.

Niczego naówczas nie lękano się tak, jak czarów i uroków, tych tajemniczych środków pozbywania ludzi, przyciągania ich ku sobie, władania nimi, które znane być miały adeptom czarnego kunsztu.

Musiał jednak król, którego wkrótce otoczyli panowie, przybrać znów wesołe oblicze, i nie dawać poznać po sobie, iż trwogę miał w sercu. Nie zbliżył się już do Anny, natomiał Villequier wypatrzywszy chwilę, gdy Dosię Zagłobiankę do tańca wzięto, podprowadził tak Henryka, aby mógł z nią zawiązać rozmowę.

Nikogo ona dziwić nie była powinna, bo wiedziano, że Dosia jedna prawie z kobiet umiała po francusku, a to starczyło, aby króla ku sobie pociągnąć mogła.

Zagłobianka widziała, że się ku niej Henryk przybliżał, udawała jednak, iż się tego nie domyśla, i gdy Henryk zagadnął ją tem, że czasu wjazdu widział po męsku przebraną, odparła zarumieniona:

— Wiadomo światu, że kobiety są bardzo ciekawe.

— Cieszę się z tego—odparł król,—bom miał sposobność widzieć najpiękniejszą z kobiet, w najlepiej jej służącym stroju.

Dosia spuściła oczy.

— Nie powinnabym się przyznawać do popełnionej winy—rzekła,—ale mam nadzieję, że w. kr. mość ani mnie karać, ani wyśmiewać nie zechcesz.

— Ja?—zawołał król—przeciwnie, na wszystkobym wam pozwolił, byle łaskę pozyskać.

— Łaskę?—rozśmiała się Dosia, kryjąc twarzyczkę wachlarzem, a z ukosa spoglądając na króla.

— Wierzcie mi—pośpiesznie, korzystając z czasu, dodał Henryk,—że mi wielce o to chodzi. Wy tu jesteście jedyną, na którąby po dniach całych patrzeć się chciało.

To mówiąc król, któremu Villequier dawał znaki, aby rozmowy nie przedłużał, pochylił się jeszcze do Dosi, szybko coś szeptać jej zaczął i oddalił się żywo, bo już się na nich zwracały oczy.

Nie dziwiło to przecież tak bardzo nikogo, iż król

do ładnego dziewczęcia przemówił słów parę, zwłaszcza, że naprawiając to, zwrócił się do kilku innych pań z grzecznościami, aby pierwszeństwo dane jednej nie raziło.

Poza tańcującymi stał nieszczęśliwy Talwosz. Inaczej go teraz nazwać nie było można, istotnie był nieszczęśliwym. Kochał Dosię całą siłą serca, a nie szło mu nawet oto, aby ją dla siebie pozyskał; trwożył się, ażeby ona nie upadła i w oczach jego nie została zrównaną z temi, ponad które on ją tak wysoko wynosił. Czuł i przewidywał, że się jej główka zawrócić mogła, a Zagłobiance słowa powiedzieć nie było można, tak siebie pewna szła, nie zważając na nic.

Napróżno sobie chciał tłumaczyć Talwosz jej powolność dla króla tem, że dla Anny u niego pożyteczną być zamierzała. W oczach jej, w wyrazie twarzy czytał jakiś poczynający się szał, jakąś zapowiedź zapomnienia się i rzucenia w przepaść.

Od Francuzów łatwo się było dopytać, jakie życie i obyczaje panowały we Francyi, sami się oni z tem zdradzali. Talwosz wiedział, że kobiety były płoche, a mężczyźni w stosunkach z niemi zuchwali. Drżał z obawy o Dosię.

Jak tylko mógł później zbliżyć się do niej, nie strzymał tego, co mu serce przepełniało.

— Panno Doroto—rzekł—winszować czy boleć, nie wiem, ale król widocznie za wami goni... Jemu się nie dziwuję, ale dla was...

Odwróciła się gniewna.

— Cóż dla mnie?—odparła szydersko.—Sądzicie, że zaszkodzić mi może nawet to, gdy kto spojrzy na mnie?

— Jest taki wzrok, co zabija, powiadają—odezwał się Talwosz—to wzrok bazyliszka; ale jest i taki, co plami.

Dziewczyna oburzona zmarszczyła się.

— Wstąp pan do klasztoru, abyś miał prawo na weselach prawić kazania!—rzekła, śmiejąc się gniewnie.— Narzucasz mi się na opiekuna, nie mogąc być czem innem.

— Przyjacielem byłem i będę, choćbyście na mnie kamieniem rzucali—rzekł, kłaniając się, Litwin—od was przyjmę wszystko, kiedyś poznacie mnie lepiej.

Zagłobianka zmierzyła go pogardliwym wzrokiem, Talwosz milczał i usunął się.

Zabawa nadzwyczaj, ochcecza coraz się stawała bardziej ożywioną, ale król pod pozorem znużenia dłużej zabawić tu nie chciał. Poszedł pożegnać królewnę, chociaż nie zbliżył się już do niej i ukłonem tylko uprzejmym uszanował. Zaraz potem w towarzystwie swoich Francuzów i Tęczyńskiego młodego przeprowadzony przez Zborowskich, wysunął się do oczekującej kolebki.

Wiedzieli już panowie Zborowscy iż Tęczyński ten przez króla do osoby jego przywiązanym i marszałkiem lub podkomorzym mianowanym zostanie, co w nich zazdrość obudzało. Stary ten ród, zajmujący znowu stanowisko najbliższe króla, był solą w oku Zborowskim, którzy sobie rościli pierwsze prawa do otoczenia Henryka i zawładania nim.

Samuel, który odwiódłszy do kolebki króla, pozostał z braćmi chwilę u drzwi, nasrożył się okrutnie.

— Patrzcie-no ich! Ledwieśmy parę dni zaspali, już się wcisnąć, przypochlebić i uprzedzić nas potrafili. Lecz, na Boga, mylą się, sądząc, że oni nas zepchnąć potrafią poza siebie. Wiemy, co nam należy, a nie zechce król czynić, co powinien dla nas, damy mu się lepiej we znaki niż na koronacyi. Daliśmy mu koronę, to ją zdjąć też potrafimy.

Wrzał pan Samuel, starano się go powściągnąć, bo ludzi wielu słuchało, ale na to baczenia on mieć nie chciał.

Wszystko to są sprawy katolików—przerwał któryś z dysydentów; — nie o panów Zborowskich chodzi, ale o ujarzmienie sumień naszych i o wprowadzenie inkwizycyi, albo o rzeź taką, jaką w Paryżu zarządzili! Król przysiągł, ale go z przysięgi papież rozwiąże, byle się pozbyć nienawistnych.

Ani pora, ani miejsce było do podobnej rozprawy, którą głuszyła dochodząca otwartemi drzwiami wesoła muzyka. Nie odpowiedział więc pan Samuel, ale na twarzy jego widać było namiętne poruszenie.

Wszedł z braćmi napowrót do izb, przepełnionych jeszcze gośćmi, którzy nie zdawali się zważać na to, iż północ nadchodziła, a z nią post wielki się rozpoczynał.

Z pewną ostentacyą chciano tańcami przeciwko surowemu zachowaniu katolickiej powściągliwości protestować.

Na dzień następny w zamku miasto innych zabaw rano był zapowiedziany turniej, a król sam obiecywał wziąć w nim udział, biegając do pierścienia i chcąc w tem zręczność swą okazać. Samuel Zborowski spodziewał się znaleźć przeciwnika godnego siebie i zetrzeć się z nim w turnieju.

Noc popielcowa, która wesołe krakowskie zamykała zapusty, mało komu zasnąć i spocząć dozwoliła. Jedni potrzebowali rozprawić się z przeszłością i ocenić to, co przeżyli, drudzy obmyśleć, co mieli jutro poczynać.

Od pierwszych dni to uważano, że młody król i jego towarzysze Francuzi, z niecierpliwością wyglądali zawsze chwili, gdy mogli sami z sobą pozostać. Jeżeli choćby jeden Polak, nawet tak miły królowi i zaufany, jak Jan z Tęczyna, był z nimi, Francuzi wstrzymywali się, miarkowali, napół przegryzali słowa, spoglądali na siebie i zamykali ostrożnie. Chwalili wszystko. Dopiero, gdy pozostali sami, gdy Henryk miał koło siebie tylko swą wierną służbę przywiezioną z Paryża, straż pilnowała drzwi i w pokojach królewskich rozpoczynały się żwawe rozprawy, śmiechy, swawole, a niekiedy wrzawliwe rozmowy, w których podsłuchujący pode drzwiami pięknych i ciekawych rzeczy mógł się dowiedzieć o Polakach.

Prawda, że nie lepszych może o Francuzach-by się nasłuchał tam, gdzie Polacy byli sami, a obyczaj ich i sprawy przyszło im sądzić.

Król, który już po owej burzliwej koronacyi ręczył, że zapomniał o wszystkiem i przebaczył, co doznał, w rzeczy zachował na dnie serca żal i pragnienie odwetu. Chwila ta wpoiła w niego dla narodu, któremu miał panować niechęć i odrazę do niego niepokonaną. Dworacy nietylko mu wtórowali, ale szli daleko dalej od niego. Pomiędzy nimi nie było ani jednego, któryby się starał pojednać złagodzić, wytłumaczyć, wszyscy obwiniali. Czuli oni i Henryk, że długo tu wyżyć nie potrafią. Tęsknota za Francyą

rosła razem z nowinami odbieranemi, które donosiły o złym stanie zdrowia Karola IX, a nie było wątpliwości, że królowa matka w razie katastrofy będzie się starała wprowadzić na tron Henryka choć oddalonego.

Błysk tej choć jeszcze oddalonej nadziei czynił Polskę i koronę czemś tak mało znaczącem i tymczasowem, że tu na przyszłość wcale pracować nie chciało. Szło tylko o to, żeby przeżyć jako tako a dworacy króla starali mu się ten czas pokuty uczynić znośnym.

Z Francuzów kto tylko mógł i znalazł najmniejszy pozór, wymykał się nazad do Francyi, nie zapominając z sobą zabrać prezentów, jakiemi go w Polsce obsypano. Pozostający zazdrościli odjeżdżającemu.

Króla nazywano po cichu męczennikiem. Henryk tęsknił za kochankami opuszczonemi, do których krwią wykłutą z palca pisał listy, wzdychał do porzuconych nad Sekwaną faworytów, wzdrygał się na piwo polskie, które czasem brał do ust dla przypodobania się panom i szlachcie i był najnieszczęśliwszy.

O zamężciu z Anną ani mowy być nie mogło. Gdyby mu nawet nie podszepnięto, że była czarownicą i że otruła brata, sam widok niemłodej, smutnej, poważnej kobiety dla płochego pana był wstrętnym. Lecz właśnie dlatego, iż się wcale żenić nie myślał, musiał być dla niej niezmiernie uprzejmym, postanowił nadskakiwać, chciał ją tem uśpić.

Później spodziewał się z tą garstką panów, która małżeństwo widziała również niepolitycznem, bo chciała ożenienia, któreby dynastyę zapewnić mogło, uwolnić się z więzów przyrzeczenia, a Annie zapewnić byt spokojny.

W pierwszej tej chwili nagle nie godziło się wystąpić, Henryk więc wyrachowanie musiał tak się obchodzić z Infantką, jakby wistocie o ożenieniu z nią myślał.

Nic dziwnego, iż się tem nietylko królewna złudzić ale dwór jej dał zupełnie obałamucić. Panie wszystkie prorokowały ożenienie i szczęście wielkie.

Anna uśmiechała się milcząca. Czasem ją ostrzegało to, co przeżyła, iż łudzić się nie powinna była, ale marzenie zbyt było słodkiem, aby mu się nie poddać.

Donoszono jej skrzętnie o wszystkiem, co mogło do-

wieść, iż Henryk się nią zajmował, krajczyna nie wątpiła, że musi się żenić. Wielu panów senatorów było tego najmocniejszego przekonania. Stał przecie gdzieś ten warunek w podpisanych zobowiązaniach.

Po weselu u Zborowskich król, powróciwszy na zamek, pod pozorem wielkiego znużenia natychmiast panów polskich odprawił, nawet Tęczyńskiego. Francuzi z nim pozostali sami; był to moment dla nich w którym dopiero się rozpasać i usta śmiało otworzyć mogli.

O obrzędzie hołdu w rynku niewiele się dało mówić: był świetny i nużący; zato wesele wcale różne od francuskich, o wiele rubaszniejsze, dziwiło razem i śmieszyło. Stroje pań podstarzałych wedle krajowej mody, niektóre czółka wysadzane, jeszcze z XV-go wieku pochodzące, suknie kosztowne nie teraźniejszym krojem, wszystko, aż do form tańca i muzyki dla Francuzów dziwacznem i śmiesznem się wydawało.

Jaskrawy przepych Zborowskich, popis z bogactwy zuchwałe ich mowy i obejście się, mowa krzykliwa ulegały krytyce. Villequier nie mógł się wydziwić niezmiernej ilości piwa, jaką Polacy w siebie wlewali i przyprawom potraw, których dla pięknych korzennych sosów w usta wziąć nie mógł.

— A!—zawołał król, który już się nie potrzebował pomiędzy swoimi ze zdaniem kryć i wszystko chwalić — powinniście sobie panowie powiedzieć, iż jesteśmy w kraju niedźwiedzi i nie dziwić się już niczemu. W czasie wjazdu widzieliście przecie wśród pachołków nie wiem którego wojewody niedźwiedzia na koniu z tarczą w łapach; był to obraz najwierniejszy kraju i jego mieszkańców.

— Ba!—przerwał niemłody już siwiejący, ale żywy i ruchawy doktór królewski, Miron.—Bądź co bądź kraj to ciekawy. Z pomiędzy panów mało który nie zna i obcych państw i cudzych języków, wszyscy wiele widzieli i uczyli się, a żadnego z nich to nie przemieniło. Klimat ich chyba takimi czyni.

Król stał zadumany.

— Kobiet pięknych jest dużo—rzekł cicho.

— A!—przerwał Villequier—cóż po tem. Wszystko

to zimne, nieokrzesane, naiwne, aż do śmieszności, a galanterya i słodkie słowa dla nich stracone. Paryska mieszczanka więcej ma dowcipu, niż te panie najświetniejszych imion.

— Wyjątek musicie uczynić—odezwał się król—dla tej panienki z fraucymeru Anny, która Paryżanką i księżniczką-by być potrafiła, nietylko pięknością, ale dowcipem.

— Tak—zamruczał Villequier,—ale zuchwalstwo i odwagę ma czysto polską, a niewieściego mało.

— Dziwnie piękną mi się wydawała—odparł Henryk, —gdy czasu wjazdu po męsku była przebraną.

— Souvray, jeden z ulubieńców króla, rozśmiał się.

— Lękam się wielce o tę piękność—rzekł;—chociaż broni ją to, że do Infantki należy.

Do pokoju króla wszedł w tej chwili młody Jourdain, który się liczył do najmilszej królowi garstki jego towarzyszów.

— Na jutro gotuje się nam bodaj dramatyczny turniej—rzekł złośliwie.—Samuel Zborowski zatknął na placu swoją włócznię i postawił tarczę, ofiarując się na cześć króla z równym sobie stoczyć bój.

— To będzie igraszka—odparł Henryk.—Zmówią się z kimś pewnie, aby sobie zbytniej nie zrządzili szkody.

— Nie wiem—dodał Jourdain,—ale zdaje mi się, że jeśli było co ułożonego, to się nie powiodło. Wieczorem prosty służalec hrabi z Tęczyna, jakiś kroata, wyrwał podobno włócznię i uniósł ją z sobą, wyzywając Zborowskiego.

Mówią, że pan Samuel, dowiedziawszy się o tem, wściekły odgrażał się na Tęczyńskiego, utrzymując, że namówiony sługa afront mu ten uczynił. Naturalnie z podłym kroatą bić się nie będzie, ale wyzwie jego pana.

— Miałżeby istotnie Tęczyński tę złośliwą intencyę? —zapytał król.—Nie spodziewam się. Waśni i tak jest dosyć.

— Nie wiem—mówił Jourdain,—sądzą o tem różnie, ale są ludzie, którzy utrzymują, że między Zborowskimi a Tęczyńskimi nienawiść jest stara, i że to ją na nowo rozjątrzy.

— Niepodobna—przerwał król,—aby mi tu chcieli uroczystości zawichrzyć i trudności przymnożyć; potrzeba o tem mówić z Tęczyńskim; jest to człowiek łagodny i spokojny.

— Tak, ale z raz podrażnionym Zborowskim trudniej będzie—rzekł Villequier.—Wszyscy oni, ilu ich jest, stworzeni się zdają, aby nikomu pokoju nie dali i sami go nie mieli nigdy. Walka ich jest żywiołem.

— Mogą ją na później odłożyć—odparł król.—Proszę was, starajcie się, aby do żadnego wybuchu nie przyszło.

— Zborowskim król winien wiele, to rzecz niezaprzeczona—wtrącił Pibrak, który się dotąd do rozmowy nie mieszał,—co tylko można uczynić potrzeba, aby urażonymi nie byli.

— Ale i Tęczyński jest mi miłym—rzekł król, zwracając się ku niemu.—Jest to charakter szlachetny, człek rycerski i daleko mi sympatyczniejszy od tych krzykliwych Zborowskich.

— Mówią powszechnie — dodał Pibrak, krzywiąc się, — że ich dom to istne osie gniazdo. Niema tam nigdy spokoju. Żołnierze dobrzy, odwaga w nich nieustraszona, ale duma niesłychana i charaktery nieunoszone.

— Pibrak, proszę cię—dorzucił Henryk—ty, coś tyle razy umysły zburzone umiał ukołysać i tyle kłamstw ich przełknąć, zmusiłeś bez zakrztuszenia się, weź to na siebie.

— Najjaśniejszy panie—odrzekł przebiegły Francuz,—jeżeli tylko nie zapóźno.

Rozmowa zwróciła się znowu na wesele, na ucztę, na nieskończone mowy, któremi króla częstowano, a Pibrak musiał na wszystko odpowiadać.

— Mają straszliwą łatwość mówienia po łacinie—odezwał się Pibrak—i spotrzebowania dziesięć razy tylu

słów, ilu wistocie ograniczyćby się mogli. Jest to naród Liwiuszów.

Villequier począł opisywać panie, nieśmiałe ich wejrzenia, a osobliwie ukłony i śmieszki. Utrzymywał, że po kątach całowano się serdecznie.

Król byłby może się rozchmurzył i w swawolniejszą dał wciągnąć rozmowę, gdyby mu przestroga maski nie tkwiła w pamięci. Nie chciał z początku mówić o tem nikomu, wziął potem Pibraka na stronę i przyznał mu się do tego, co od maski słyszał.

— Nic nowego dla mnie—odparł Pibrak.—Nasłuchałem się i ja podobnych baśni o Infantce, ale im nie wierzę. Powabną nie jest, młodą także, po ścisłym obrachunku, choć może nie wygląda na więcej, niż lat czterdzieści, zbliża się do pięćdziesięciu. Ludzie pamiętni tego, co tu dokazywała jej matka, która była wistocie straszną kobietą, chcą w niej widzieć charakter Bony. Ci, co bliżej ją znają, mówią jako o pobożnej, zacnej, życiem nieszczęśliwem znękanej, może dumnej, ale szlachetnego charakteru kobiecie.

— Nie jest to żona dla w. kr. mości—dodał Pibrak— *Pardieu!* spodziewam się, że jej nam nie narzucą, ale trucizny obawiać się nie należy.

— Skądże to, że struła brata?—zapytał Henryk.

— Obiło mi się o uszy—mówił Pibrak,—że przed śmiercią brata była z nim poróżnioną o jakąś panienkę, którą dla niego z dworu jej wykradziono. Pojednali się jednak potem i wszystko jej zapisał.

— Wiem—odparł śmiejąc się Henryk,—zapisał jej wszystko, a panowie senatorowie nic dać nie chcą.

— Tak, i podobno tak skąpo na potrzeby swej Infantki dostarczają, że ciągle pożyczonemi pieniędzmi żyć musi.

Rozmowa w pokojach króla, nawet gdy już się rozebrał i w łóżko położył, które faworyci obstąpili, przeciągnęła się bardzo długo.

Nie mniej żywo po powrocie z wesela u królewny rozbierano wszystko, cokolwiek się tego wieczoru przytrafiło. Pani krajczyna szczególniej widziała w młodym królu

co chwila zdradzający się afekt dla Anny. Gdy nie mógł do niej się zbliżyć, ścigał ją oczyma. Rokowano jak najlepiej na przyszłość, ale król teraz tak niesłychanie był zajęty, godziny jego policzone tak skrzętnie, iż więcej dowodów uczucia wymagać nie było podobna.

— Uroczystości koronacyjne—mówiła—przecież kiedyś skończyć się muszą. Naówczas nieochybnie król zechce bliżej się poznać z Anną, byle te narady sejmowe raz także doszły do końca.

Wiedziano i u królewnej o turnieju nazajutrz, na który Anna z okien swojego mieszkania patrzeć miała i widzieć sobie obiecywała, choćby dlatego, że razem i króla zobaczyć mogła, który w swej loży miał zasiąść, a potem biegać sam do pierścienia.

Panie wiedziały też, że Henryk, który był niezrównanym tancerzem i miał w Volcie celować, w igrzyskach zręczności w popisach rycerskich nie ustępował nikomu.

Wszystkim tym pochwałom, jakie mu tu dawano, Anna się przysłuchiwała chciwie, żądną ich była, ale rzadko do nich coś dorzuciła od siebie. Wstyd jej było wydać się z tem, co w sercu miała. Jej także Henryk wydawał się stokroć piękniejszym od innych, a postać jego i wyraz twarzy pełne szlachetności i wdzięku. Rozpamiętywała w sobie, co jej przyniósł Włoch Mago, który tylko był echem tego, co musiało powszechnie być przyjętem. W czasie wesela u Zborowskich i on i wielu z panów polskich przynosili jej coś ciągle o Henryku.

Jego krótka rozmowa z Dosią przeszła prawie niepostrzeżoną i nikt na nią nie zwrócił uwagi. Wszystkie jednak starsze Anny towarzyszki uważały to, że Dosia od czasu koronacyi była bardzo zmienioną, zadumaną, roztargnioną i że ona jedna o królu unikała wszelkiej rozmowy. Miano jej to za złe, nie domniemywając się wcale, iż i ona się zdradzić obawiała.

Dziewczę, dotąd nieprzystępne, dumne, dzikie, trochę upojone było kadzidłem, które ku niej spłynęło od króla. Z tego, co czytała o Francyi, a chwytała chciwie, co stamtąd przychodziło, przekonywała się, że królewskie kochanki wysoko się podnieść mogły.

To sieroctwo, które dawniej nie dopuszczało jej narzucać się Talwoszowi, teraz przy nowym zwrocie uczuć i myśli zdawało się jej rękojmią swobody. Nie miała rodziny i mienia, przed któremiby rachunek z życia składać potrzebowała. Rodziło się w niej jakieś pragnienie świata, używania, zabawy, które ją napełniało niepokojem. Surowo wychowywała się sama, nie dopuszczając marzeń do siebie teraz one tłumnie, gwałtownie rzucały się na nią i odepchnąć ich nie miała siły.

Gdy się to działo na zamku, a u panów Zborowskich weselono się do białego rana, pan Samuel nie położył się nawet począć, tak mu już pilno było powetować na Tęczyńskim obelgi, które przypisywał jemu.

Janasz kroata, prosty jurgeltnik, wedle niego, nigdyby się nie mógł ośmielić wyrwać kopii, przy której stała tarcza Zborowskich, gdyby mu to rozkazanem nie było.

Z Tęczyńskimi oddawna byli nieprzejednanymi, stare Topory sądzili się czemś daleko lepszem od Jastrzębców, bo wprzódy trochę siedli około tronu. Chciano właśnie teraz przed królem upokorzyć Zborowskiego. Tak on mniemał.

Prawdą zaś było, iż kroata dzielny szermierz, pijanym pono z zamku na miasto powracał, gdy mu przyszło plac turniejów przejeżdżać i przez zbytnictwo jakieś pochwycił kopię i zabrał ją z sobą, o czem pan Tęczyński, którego on był sługą, nie wiedział wcale.

Zborowscy widzieli w tem spisek. Gniew przeciwko Tęczyńskiemu pomnażało, że go mianowano już jako przyszłego urzędnika dworu króla, a Zborowscy sądzili, iż najpierwsi mieli prawo otoczyć tego, którego na tronie posadzili. Przypisywali to sobie.

Król nie zaprzeczał, był dla nich łaskaw, chociaż w sercu za koronacyjny występ żal miał do nich. Połączyli się oni w kościele z dysydentami i nalegali głośno na przysięgę. Oprócz tego w sercu Henryka nienawiść dla Hugonotów francuskich w Polsce przelała się na różnowierców. Czynny w czasie rzezi św. Bartłomieja był krwią przelaną związanym ściślej jeszcze ze sprawą katolików. Zborowscy stawali mu się przeciwnikami.

Zaledwie dnieć poczynało, gdy pan Samuel zbroję, konia i cały swój do turnieju, choćby na ostre, rynsztunek już gotował, a dobierał sobie gromadę towarzyszów, któraby tym samym animuszem, co on ożywioną była.

W turnieju, wiedział dobrze, mało się kto z nim mógł mierzyć. Miał siłę, zręczność, ale nad wszystko tę furyę bojową, która przeciwnikowi tchnąć i opamiętać się nie daje.

Królewna Anna z rana poszła ze swym dworem na popiół do kościoła, a po mszy wracając, zastała tu dawną swoją przyjaciółkę i dobrą znajomą, którą pamiętała jeszcze panną Katarzyną Maciejowską, a która dziś nosiła imię Wapowskiej. Przyszła ona wprost ze mszy pokłonić się Annie i przywiodła jej synaczka swego. Dwu takich miała.

Piękną, a dziwnie spokojną i łagodną twarzą odznaczała się pani Wapowska. Dziewczęciem słynęła ona z pobożności tak, iż posądzano ją o zamiar wstąpienia do klasztoru. Później wydana za Wapowskiego Andrzeja, który jej był godzien, szczęśliwa z nim nie zapominała o Bogu. Słynęła i teraz z wielkiej gorliwości religijnej, z przykładu, jaki dawała spełnianiem obowiązków.

Mile widzianą na dworze Anny była ta pani i królewna powitała ją serdecznym okrzykiem, bo dawno nie widziały się z sobą. Wapowscy ze swych Radochonic dopiero na koronacyę przybyli. Wapowska przed królewną chciała się synaczkiem pochwalić. Był on właśnie tego wieku, co syn Katarzyny, królowej szwedzkiej, Zygmunt, dla którego Anna wielką miała miłość—przypomniał jej szwedzkiego królewicza.

Schyliła s ę ku niemu królewna, całując go i błogosławiąc, a mimowolne wspomnienie Zysia poruszyło ją mocno. Często, często już przychodziło jej na myśl, że umierając bezdz etną, tego siostrzana sobie za własne dziecię przybierze i jemu po sobie zostawi spuściznę.

Nadzieje teraz płoche, które sama sobie wyrzucała, zatarły nieco pamięć o Zygmusiu, a oto los jakby przynosił jej przestrogę i wskazówkę, gdzie serce swe zawrócić miała, ażeby nie doznało zawodu.

Schylona nad główką małego Wapowskiego, sama nie wiedziała czemu, zrosiła ją łzami.

Pani Wapowska tymczasem mówiła o swem szczęściu, o mężu, o dzieciach, o życiu spokojnem, jakie wiodła na wsi.

— Mężowi—mówiła do Infantki—towarzyszyć musiałam, bo mu się należy posłuszeństwo, a mieć mnie chciał z sobą, ale jakże mnie ta wrzawa i ten zgiełk ludzi i te obce twarze przerażają niemal! Z radością do Radochonic powrócę.

— A ja—rzekła smutnie królewna,—widzisz moja Kasiu, wśród tej wrzawy i zgiełku żyć muszę.

— Brat mój, Bernard, mawiał—odezwała się Wapowska,—że Bóg każdemu stanowi szczególne daje łaski. Wy, miłościwa królowo moja (Anna się zarumieniła) przeznaczeni jesteście żyć w tym ogniu i Bóg da wam wytrwałość Salamandry.

— Kasiu moja—westchnęła Anna,— wierzaj mi, i ja się nie czuję stworzoną do tego życia. Cięży mi ono.

— Dopóki się szczęśliwie nie uwieńczy małżeństwem i koroną—przerwała pani Wapowska.—Wszyscy widzą, że się to inaczej skończyć nie powinno i nie może.

Anna spuściła oczy, wargi jej zadrżały, nie odpowiedziała nic.

Zdala tylko widziała pani Wapowska króla, ale go chwalić zaczęła, na co zapewne wpływała przyjaźń męża z Tęczyńskimi, którzy na dworze byli dobrze widzianymi, co Zborowskich tak gniewało.

Po odwiedzinach pani kasztelanowej nastąpiły inne, przyszedł biskup chełmski, zjawił się Solikowski, a potem wierny sługa Rylski. Każdy z gości przynosił wiadomostkę o królu, oznajmując jakąś co robił gdzie był i jaki program dnia tego został ułożony

Na zamku dnia tego dla pilnych spraw była narada panów senatorów, której Henryk musiał być niemym i znudzonym świadkiem. Obowiązek ten dla płochego młodzika należał do najcięższych.

Nie wszyscy senatorowie mogli i chcieli mówić po łacinie, a i tego języka Henryk nie był wielce świadomym;

rozprawy żywsze toczyły się po polsku, a tych mu treść ktoś po włosku lub francusku szeptać musiał.

Pomimo wysiłku aby okazać, że go to niesłychanie zajmowało, król siedział zadumany, znużony, niemal drzemiący, a widocznie tak kwaśny i chmurny, że się tego nawet ukryć nie starał, bo to przechodziło siły jego. Spoglądano ku tronowi, a mniej dobrze usposobieni dla Francuza uśmiechali się z tej męczarni, która była zarazem i smutną, i pocieszną. Bądź co bądź jednak król musiał siedzieć i dosiadywać do końca.

W izbie senatorskiej tymczasem wśród najpoważniejszych narad nad stanem kraju i bieżącemi sprawami nie dawało się ukryć poruszenie jakieś, które nie miało żadnego z niemi związku. Przyczyną jego był burzliwy pan Samuel Zborowski, który nie chciał czekać końca obrad i wyzywał Tęczyńskiego gwałtem aby się z nim stawił w szranki.

Uwiadomiony o tem pan z Tęczyna wybiegł natychmiast z izby otoczony przyjaciółmi, którzy się lękali napaści ze strony Zborowskiego.

Ten cały już uzbrojony, gotów do walki, wrzący z gniewu, nie hamując głosu biegał po antykamerze wywołując Tęczyńskiego i sromocąc go obelżywemi wyrazy, iż się przed nim jako tchórz ukrywał.

Wybiegł Tęczyński wprost z izby senatorów ku niemu, w towarzystwie Wapowskiego i kilku innych przyjaciół.

Zaledwie zobaczywszy go, rzucił się krzycząc, Samuel.

— Znieważyłeś mnie, nasyłając twego służalca Janosza, aby kopię moją wyrwał, ja ci tego darować nie mogę.

— Świadczę się wszystkimi, co od wczoraj są ze mną —odpar spokojnie pan Jan z Tęczyna—żem ani myślał wyzywać, ani chciał znieważyć. Głupi opilec uczynił to z własnego zuchwalstwa.

— Ludzie widzieli! człowiek twój! to dosyć!—wrzeszczał Zborowski, nie dając się pohamować.—Krwią twoją muszę zmyć obelgę.

— Panie Samuelu—przerwał Wapowski — nie zapomnaj, żeśmy na zamku, pod bokiem króla i że tu nie miejsce do walki i kłótni.

— Ja czekać nie mogę! Ja odkładać nie chcę! Ani na czas, ani na miejsce zważać nie myślę. Należy się zadośćuczynienie—wołał, coraz się rozpalając Zborowski.

Drudzy go próżno hamować chcieli, szalał.

— Skoro tak jest—zawołał spokojnie Tęczyński,— chcesz się bić ze mną, zgoda! Nikomum nie odmawiał, ani tobie też ustąpię. Daj mi zbroję wdziać i druha do boju poszukać. Potrzebuję tyle czasu, abym na Podwale do domu s ę dostał, zbroję na siebie wdział Jesteś ubrojony, ja nie.

Zborowski rwał się ciągle i kilka razy za miecz chwytał, którego dobycie na zamku pod bytność króla prawo karało śmiercią. Ledwie go przyjaciele mogli pohamować.

— Daj mi się uzbroić! staję!—wołał Tęczyński, którcmu drzwi zastępowano.

Ledwie nieledwie zmuszono Zborowskiego, aby niechętnie podawszy Tęczyńskiemu rękę, puścił go do domu.

— Śpiesz, bo mnie gniew i złość spali — wołał za odchodzącym.

Rzecz cała zdawała się ub tą i na dobrą wprowadzona drogę, sz o tylko o to, aby Zborowskiego strzymać ukoić do czasu i nie dać mu wrzeszczeć, bo wołanie jego aż do izby senatorskiej dochodziło.

Zaledwie go posadzono, zrywał się, klął, wściekał i łajał; na ławie usiedzieć nie mogąc, biegał po izbie, w której go trzymano, ażby Tęczyński z dosyć cddalonego domu. na Podwalu powrócił.

Każda chwila upływająca na oczekiwaniu, coraz go na nowo rozjątrzała. Zdawało mu się, że Tęczyński wymknął się, aby walki uniknąć, że nie miał i nie chciał powrócić. Napróżno starano się go do rozumu przyprowadzić.

Wkońcu przyjaciele, aby mu się czas wydawał, nie tak długim, umyślili Moszczyńskiego, sługę Zborowskich, który się miał potykać z tym nieszczęsnym Janaszem kroatą, wyprawić w szranki i choć tym bojem pragnienie zemsty pana Samuela zażegnać.

Dano znać, że Moszczyński stał gotowy na placu, a i kroata był także; czekali tylko, aby im znak dano.

Porządek wymagał tego, aby król dał znak do turniejów, a ten siedział jeszcze w senacie.

Zborowski już i na niego zważać nie chciał, tak mu pilno było, gdy na wschodach ukazał się Henryk i przyskakującemu do siebie jednemu z dworzan odparł obojętnie, iż przeciwnicy zmierzyć się mogą z sobą.

Pan Samuel pobiegł z tem sam i siadł też na konia, a z nim ci, co mu towarzyszyli. Zbliżył się do Moszczyńskiego, który kopię układał właśnie i krzyknął mu:

— A pamiętaj mi, abyś go rozumu nauczył, bo ci nie daruję.

Moszczyński głową tylko potrząsł.

Spojrzawszy na nich obu, choć Polak ów sługa Zborowskich krzepki się wydawał i zręczny, można mu było przepowiedzieć, że kroacie ogromnemu jak dąb, nadzwyczajnej siły i zaprawionemu do gonitw podobnych nie dostoi.

Sam Moszczyński pono, dopiero na placu zobaczywszy przeciwnika, którego nie znał wprzódy, trochę się zawahał, ale wstyd było cofnąć się. Oczu zbyt wiele patrzyło, król sam zatrzymał się, ze wschodów zszedłszy. Podwórce dokoła, wały, krużganki, galerye, okna napełnione były tłumem ciekawym.

Moszczyński, ufając w siłę niepospolitą, kopię tak ułożył, aby tarczę kroaty rozbić, bo mu się lekką wydała. Z wielkim rozpędem koni uderzyli się i zwarli. Wistocie kopia Moszczyńskiego na wylot przeszła tarczę, ale kroata z siodła chcąc wysadzić przeciwnika, nagle swoją włócznię pochylił i siodło rozdarłszy, w lędźwie go zranił, a nie tracąc czasu, już z pod kolana koncerz dobywszy, zamierzył się ciąć okrutnie Moszczyńskiego i byłby go okaleczył, gdyby ogromny krzyk tuż stojących Węgrów, powtórzony przez tłumy, nie zmieszał go i nie powstrzymał.

Rzucili się niektórzy do kroaty, który posłuszny miecz oddał i odjechał cały, gdy Moszczyńskiego rannego musiano z siodła zsadzać.

Zborowski klął i łajał na cały głos i sam chciał biedz na kroatę, rwąc się tak, iż go musiano gwałtem hamować. Czekan porwawszy, już się nad głową jego zamierzył, wy-

dobywszy się z rąk przyjaciół, gdy drudzy przypadli i odciągnęli go precz.

Trwała tu jeszcze wrzawa, gdy od króla strwożonego tym zgiełkiem i krzykami nadbiegł marszałek z rozkazem, aby natychmiast wszyscy się z zamku wynosili.

Zborowski nie słyszał rozkazu, lub wściekły nie chciał nań zważać i gonił za kroatą, aż go marszałek zamkowym ludziom porwać i uprowadzić kazał.

Otrąbiono, aby wszyscy podwórza oczyszczali i wychodzili; tłum powoli począł wyciągać, a straż zamkowa pędziła pozostałych, ale do Zborowskiego, który ze złości szalał, przystąpić nikt nie śmiał. Chciał do króla, ale drzwi były pozamykane, wołał, że na Tęczyńskiego czekać musi—nie ustępował.

Tak prawie do wieczora napróżno go łagodzono, namawiano, przychodziły posły jedne po drugich—nie ustępował.

Zmuszono go nieco ustąpić ku wrotom, gdy zaledwie się to stało wybuch nowy jakiś zawracał go na plac gonitw ku zamkowi.

Lżył ciągle Tęczyńskiego, obwołując go tchórzem i bezczelnym, łajał kroatę, klął Moszczyńskiego, dostawało się wreszcie królowi, którego zwał lalką i babą. Ledwie nieledwie, gdy już zmierzchało, a pan Samuel prawie pod wrotami był, zatętniało. W cwał śpiesząc, nadbiegł uzbrojony Jan z Tęczyna i wpadł na samą tę wściekłość przeciwnika, który pohamować się nie dając, wprost bez żadnego przygotowania do miecza się rwąc, łajał i lżył Tęczyńskiego i jego towarzyszów. Zaczęto z obu stron wielkiemi głosami wołać: na plac! na plac!

Zakipiała krew w Tęczyńskim, Samuel był jak bezprzytomny.

Nim przybyli na miejsce wyznaczone, Zborowski chciał się rzucić na Jana. Wtem z boku stojący Wapowski także zbrojny i lamparcią skórę na ramieniu mający, widząc, że mieczów dobywano, uląkł się i skoczył pomiędzy nich.

Żadna już siła Zborowskiego powstrzymać nie mogła, nie słyszał nic, nie widział nic, a może ujrzawszy Wapowskiego, którego wrogiem był, jeszcze bardziej zajadły, czekan podniósł i z całych sił dwa razy nim

ciął go w głowę, tak że krew mu natychmiast twarz zalała.

Wszyscy naówczas pamięć stracili; ci, co żyli z Tęczyńskim i ci, co towarzyszyli Zborowskiemu, chwycili, co kto miał pod ręką, krzyk, zamieszanie i gwałt powstał straszliwy...

Piechota, którą za sobą Tęczyński prowadził, dała ognia z kilku rusznic. Wszystko się zmieszało, zbiło w jedną kupkę.

Dopiero teraz przyjaciołom Samuela udało się człowieka oszalałego, któremu kula nogę zadrasnęła, pochwycić i kupą z nim popędzić do wrót, do których tłum z miasta nadbiegający szturmował. Ale rozkazy były dane, aby nikogo nie wpuszczać na zamek.

Król Henryk, a bardziej jeszcze Francuzi z nim będący, zlękli się tego tumultu i strzałów, że całą sprawę wzięli za spisek przeciwko nim wymierzony.

Gdy w podwórzu odgrywała się ta krwawa scena, na zamku, co żyło Francuzów, zwołało się, zbroiło i w niezmiernej trwodze, przeklinając Polskę, zabierało się do rozpaczliwej obrony. Wprawdzie Pibrak i kilku roztropniejszych wszystko to składali na swarliwość i butę Polaków, ale strach ma wielkie oczy.

Henryk blady, zamknięty w najdalszej komnacie, otoczony sprowadzoną gwardyą, czekał następstw wypadków, a każdy szmer i krzyk wystraszonych jego ludzi miotał ku drzwiom na obronę przeciw domniemanej napaści.

Można sobie wyobrazić, co się działo u Infantki, która, dopóki się nie ściemniło, z okien swojego mieszkania wszystko widzieć mogła, nie wiedząc, co było przyczyną zamieszania na zamku. Kobiety klęczały i modliły się; służba zbiegała po wiadomość i nie powracała.

Po wyjściu Zborowskiego za wrota, pozostały Tęczyński zajął się ranionym przyjacielem, który wprawdzie przytomności nie stracił, ale chwiał się na nogach co prędzej potrzeba było ratować go.

Kasztelan wojnicki, czując, że i na niego spadnie wina tego boju, którego nie poczynał, ale się musiał bro-

nić od napaści i miecza dobyć tam, gdzie go obnażać nie było wolno, chciał koniecznie z rozbitą głową Wapowskiego stawić przed królem. On też sam żądał tego.

Pociągnęli wszyscy, prowadząc z sobą kasztelana, którego skóra lamparcia cała krwią była zlaną, ku drzwiom zamkowym. Wszystko było pozamykane. Musiano bić i kołatać, a hałas ten Francuzów utwierdził w przekonaniu, że na nich napaść chciano.

Wiele więc czasu upłynęło i Wapowski osłabł znacznie, nim nareszcie Francuzi się ośmielili, po parlamentowaniu nudnem, otworzyć Tęczyńskiemu.

Wprowadzono rannego do sali, a tu znowu nierychło ukazał s'ę król blady i pomieszany, otoczony całym swoim dworem, nie mogąc słowa przemówić.

Tęczyński przypadł do niego, domagając się sprawiedliwości, kary, pomsty nad warchołem, który nic nie poszanował, nawet majestatu królewskiego.

Sam Wapowski mógł jeszcze p zemówić, żaląc się, iż bezbronnego Samuel, jak zbójca, raził.

Henryk cichym głosem przyrzekał sprawiedliwość, rzucając błędnemi oczyma dokoła. Pibrak pobiegł po Mirona, lekarza królewskiego, aby ranę tymczasem opatrzył i obwiązał.

Wszyscy razem Francuzom jęli opowiadać, co i jak się stało. Dopiero teraz ochłonęli oni nieco z przestrachu.

Miron, posadziwszy kasztelana na ławie, obmył zaledwie i przewiązał głowę, nie powiedział nic, tylko że opatrzenia lepszego w domu potrzebowała.

Na ciche zapytanie króla, szepnął mu:

— Czaszka haniebnie strzaskana... mózg odkryty... życie ocalić będzie trudno.

Z zamku już na noszach do nieszczęśliwej żony musiano prowadzić kasztelana, który padł ofiarą swej przyjaźni dla Tęczyńskich i nienawiści Zborowskiego.

Ledwie się to stało na zamku, a z wrót potem wyniesiono Wapowskiego i po mieście rozeszła się wiadomość o tej walce, zawrzało i wzburzyło się wszystko w niewypowiedziany sposób.

Wina Samuela Zborowskiego była tak jawna i wielka, że go nawet przyjaciele nie mogli bronić, starali się ty ko zmniejszyć ją tem, iż kroata go znieważył. Ale ci, co byli świadkiem starcia, szału Samuela, niczem w świecie usprawiedliwić go nie dozwalali.

Znano zresztą cały ten ród niepohamowany w namiętnościach i nie mogący nigdy wytrwać w pokoju. Samuel był najstraszniejszym z dzieci tego rodu, i sami bracia się go lękali, tak w gniewie zmysły tracił.

Gdy go jeszeze się miotającego i szarpiącego odprowadzono do kamienicy, w której wczoraj obchodzono wesele, wszyscy nań padli z wyrzutami, iż sobie i familii nieszczęście ściągnął, a gardło dać będzie musiał. Ale co takiemu człowiekowi popędliwemu znaczyło w tej godzinie namiętnego porywu życie stracić i drugich o śmierć i zgubę przyprawić! Rwałby był, kąsał i siekł, nie patrząc kogo i sam się dał posiekać na kawały, byle zadość namiętności uczynić. Krew, która go zbroczyła, zdawała się jeszcze wzmagać nienasycone pragnienie zemsty. Drżał cały i śmiał się dziko.

Starsi ze Zborowskich chcieli natychmiast biedz na zamek do króla, ale nie było najmniejszej nadziei, aby ich tam wpuszczono.

Dziwnym zwrotem w tym wypadku było, iż w mieście winę jego składano już na króla. Wszystkiemu byli winni Francuzi. Jak — tego nikt nie umiał wytłumaczyć, lecz jak na zamku narzekano tej nocy na Polaków i większa część wylękłych Francuzów uznawała pobyt tu niemożliwym, tak w mieście króla obwoływano niezdarnym, niewieściuchem, słabizną.

Niechęć wzajemna zrodziła się tak, prawie bez powodu, bo wprzódy przygotowaną była wielką różnicą obyczajów i usposobień. Nie takiego z pewnością króla w tej chwili potrzebowała Polska.

Po ulicach, po browarach i piwnicach przybiegali z zamku i pobliża, niby lepiej uwiadomieni, opowiadając androny, tłumacząc zajścia tem, że król Zborowskim dlatego, że mu do korony pomagali, pobłażał i wszystko pozwalał.

— Gdyby kto inny królewski zamek zakrwawił, ściętoby go pod Dorotką, a jemu nie będzie nic.

Niechęć ku Zborowskim, żale do nich były powszechne. Jeżeli takie rzeczy poczynały panowanie, a miały uchodzić bezkarnie, czegóż się było na przyszłość spodziewać?

Pomiędzy posłami i senatorami był też niepokój ogromny... i noc upłynęła na naradach burzliwych...

Zborowscy i ich przyjaciele łatwo się przekonać mogli, iż większość była przeciwko nim. Domagano się kary śmierci na gwałciciela pokoju pod bokiem króla.

Królewna Anna modliła się i płakała. Przeczucie jakieś wskazywało jej, że przyszłość zwiastująca się tak groźnie, szczęśliwą być nie mogła. Losy Henryka ciągnęły za sobą jej dolę niefortunną.

Gdy popłoch pierwszy przebiegł zamek, a z niewiast około królewnej będących, żadna się nie ośmieliła za drzwi wychylić dla powzięcia wiadomości, jedna Zagłobianka nie wahała się iść wprost do dworzan króla, ale zastała ich w takiej trwodze, tak rozpierzchłych i wylękłych, że nieledwie odwagi im dodawać musiała. Krzyczeli i wołali jedno, iż spisek uknuty być musiał przeciw nim i królowi, rozpaczliwie biegali, ściągając broń, którejby nawet użyć w tej chwili nie potrafili.

Zagłobianka zdołała wyszukać Talwosza aż gdzieś na dole, od niego się dowiedziała o wszystkiem i pierwsza przyniosła królewnie smutną prawdę. Zdawało się jednak, że biedny Wapowski, który przed królem jeszcze mówić mógł przytomnie, był tylko ciężko rannym, a życiu jego żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Opłakiwano i człowieka powszechnie szanowanego i losy rodziny Zborowskich, która za Samuela pokutować miała. Anna wprawdzie nie miłowała ich bardzo, lecz im winna będąc wybór Henryka, co się starali nieustannie przypominać, klęskę Zborowskich skłonną była uważać za porażkę króla, do którego obozu oni się liczyli.

Jak dzień wysłała Dosia swojego podwładnego do pani Wapowskiej, aby się o zdrowiu kasztelana dowie-

dzieć. Talwosz, który się ledwie mógł docisnąć tam, zwiastował smutnie, że ranny żył wprawdzie, ale lekarze, którzy głowę opatrywali i kości potrzaskane czekanem wyjmowali z niej, rozpaczali, aby go uratować mogli.

W dniu tym życie całe jakby zahamowane zostało zburzeniem umysłów, które wypadek wczorajszy obudzał. Zbierano się tłumnie, radzono... Senatorowie szli na zamek, posłowie gromadzili się gdzie mogli na narady. Zborowscy niespokojni obsyłali swoich. Trafili naprzód na Pibraka.

Byli z nim najlepiej i najbliżej, mieli innych przyjaciół u boku króla. Henryk milczał; z drugiej strony Tęczyńscy i za nimi ogromna większość wołała przykładnej kary i sprawiedliwości.

Król okazał się niepewnym, wahającym i przybitym aż do zupełnego obezwładnienia. Dawał mówić jednym i drugim, oskarżającym i obrońcom, potakiwał jednym i drugim. Ani on, ani rozumny i przebiegły Pibrak nie wiedzieli, na którą się przechylić stronę.

Jawnem już było jednak pierwszego dnia, że całkowicie bezkarnie przestępstwo ujść nie może.

Zależało wiele na tem, czy Wapowski żyć miał, lub umierać. O tem nikt wyrokować nie umiał, począwszy od Mirona, a kończąc na najuczeńszych lekarzach krakowskich. Jedni spodziewali się go ocalić, drudzy widzieli niemożność utrzymania go przy życiu. Wapowski stracił przytomność. Siły się wyczerpywały.

U łoża klęczała, modląc się, spłakana żona z dwojgiem dzieci; po wszystkich kościołach odbywały się nabożeństwa uroczyste. W ulicy stał tłum, patrząc na zapuszczone okna, podsłuchując pod ścianami, chwytając wychodzących, którzy zapytania, milcząc smutnie, zbywali.

Na zamku też niepewność ta, czy Wapowski żyć będzie, sprawę trzymała w zawieszeniu. Szóstego dnia wreszcie nadzieja była straconą, poczęło się powolne konanie...

Z męstwem, które dać może tylko głęboka wiara,

jaką miała Wapowska, odmawiała ona modlitwy za konających u łona męża, którego powieki już się prawie nie podnosiły. Dawno stracił był przytomność; wyrazy, któremu się z ust wyrywały, były albo ułamkami modlitw, lub jakiemiś marzeniami i snami o niebiesiech. Przebaczył wszystkim, ale mężna niewiasta, która klęczała przy nim, mówiła w duszy, iż pomsty za krew niewinnie przelaną szukać będzie... Morderca niech da głowę!!

Siódmego dnia otwarto okiennice. Wapowski leżał na katafalku, otoczony światłem, z obnażoną głową strzaskaną, na której żółtej skórze zaschła krew czarna. Wapowska w czerni z dziećmi płakała w nogach na ziemi.

Gdy we wszystkich kościołach uderzono w dzwony żałobne, wiedziano w Krakowie, kto życie skończył, a gawiedź uliczna pod domem Zborowskich wołała:

— Samuelowi na śmierć dzwonią!

Zborowski stał w oknie i mruczał:

— Niedoczekanie!!

Śmierć, jemu? który króla na tronie posadził?

Nazajutrz ze dworu Wapowskich wyciągnął kondukt żałobny. W czerni, w kirach seciny ludzi, panowie i służba, wozy czarne, konie w kapach, zakonnicy z pochodniami, księża śpiewający psalmy przodem. Za trumną w czarnej sukni i zasłonie, z synaczkiem starszym przy sobie, Wapowska blada, z suchemi oczyma, widmo domagające się krwi za krew. Przy niej Maciejowscy, Wapowscy, Tęczyńscy, rodzina, przyjaciele, powinowaci, wszyscy wrogowie Zborowskich.

Kondukt nie idzie ani do kościoła, ani na cmentarz — na zamek, na Wawel, do króla, domagać się sprawiedliwości wobec zwłok zamordowanego.

Kto powziął tę myśl zuchwałą i przerażającą? kto ją poddał? Nikt. Wapowska wstala od trumny i ona głosem śmiałym wskazała:

— Na zamek, przed króla z jego zwłokami i nie

ode'dziemy, aż nam sprawiedliwość wymierzona zostani^.

Rozkaz przejął dreszczem wszystkich, ale jak ogień zapłonął potem w sercach przyjaciół.

— Na zamek ze zwłokami! na zamek!

Oczy połyskiwały od łez i od ognia... spoglądano na siebie.

Orszak przy powolnym śpiewie psalmów ciągnął noga za nogą, aby lud widział zamordowanego, aby trup obudził zemstę a wdowa politowanie.

I zbiegły się tłumy i szły, jak kto stał, za pochodem aż do wrót zamkowych, a kto się mógł wcisnąć wewnątrz na podwórze.

Król, jak piorunem został rażony, widząc ten długi szereg ludu w czerni, uroczyście przeciągający pod krużganki z tą wdową i sierotą.

Henryk zbladł, Francuzi zmieszali się przestraszeni, Tęczyński wiódł wdowę do króla, służba wzięła trumnę na ramiona, chcąc ją nieść do sali, gdy szmer się zrobił i król pośpieszył wyjść cały drżący jeszcze, z odkrytą głową, smutny, a w duszy gniewny.

Czyniono go wobec narodu winnym. Trup ten oskarżał o nieudolność, o opóźnienie wymiaru sprawiedliwości. Zborowski chodził dotąd wolny i urągał się tem swej ofierze.

Wystąpił przed zwłoki Stanisław Maciejowski z mową bolesną, żałościwą, poruszającą. Jęk i płacze słyszeć się dały. Zabrała głos wdowa, do nóg przypadając panu i błagając o pomstę za tę ofiarę niewinną. Mówił potem Tęczyński.

Król zmieszany kładł rękę na sercu, bełkotał coś niezrozumiałego, przyrzekał. Twarz mu to bladła, to czerwieniała, nogi pod nim dygotały. Widok tego żółtego trupa przejmował go zgrozą, nie śmiał spojrzeć nań.

Z dzieciną przy sobie, zaledwie król się wymknął, poszła kasztelanowa do Anny. Królewna naprzeciw niej już wystąpiła i na ramionach wdowy położywszy ręce, zachodziła się od płaczu. Serce jej mówiło, że może z Wapowskim i własne szczęścia nadzieje pogrzebać miała.

Stały tak długo, milcząc i łkając, aż Tęczyński z Maciejowskim ujęli pod ręce osłabłą i nazad przeprowadzili do kolebek, których siedem towarzyszyło wdowie na zamek.

Po chwili w milczeniu trup i pochód zawrócił od krużganków nazad. Tęczyński chciał kondukt skierować do kościoła, w którym czekał na zwłoki przygotowany katafalk.

— Nie — odezwała się Wapowska — do domu. Niech zwłoki leżą niepogrzebione, aż król sprawiedliwość wymierzy.

Rozbolałej niewieście nikt się nie śmiał sprzeciwiać. Dano rozkazy, pochód nazad sunął się ulicami do dworu Wapowskich i trumna stanęła na marach w dolnej sali, a duchowieństwo rozpoczęło na nowo śpiewać psalmy nad zwłokami.

Na zamku u króla przerażenie było ogromne, radzono, nie mogąc postanowić. Do Henryka, który nie wiedział, co ma uczynić, do Pibraka, który nie śmiał powiedzieć, co myślał, przybiegali po kolei Zborowscy, domagając się zuchwale prawie wypłaty długu za elekcyę, a więc bezkarności, i Tęczyńscy a Wapowscy, żądający sprawiedliwości.

— Tęczyński też miecza dobył na zamku — wołali Zborowscy,—niech więc i on ukarany zostanie.

Król milczał, dnie schodziły.

Dowiedział się kasztelan wojnicki, że go obwiniano.

— Dam więc i ja gardło! Gotówem — zawołał, poszedłszy do króla, — ale niech ze mną morderca ukarany zostanie. Pójdę sam do więzienia, położę głowę na pieńku!

Król zimny — ani Tęczyńskiego stracić, ani Zborowskich sobie narażać nie chciał,—milczał.

Dokoła niego wiły się jak nici niewidzialnej pajęczyny intrygi, na jedną i drugą usiłujące go pociągnąć stronę.

Szlachta tymczasem warczała groźno, zbierała się tłumnie, wołała senatorom:

— Czyńcie powinność waszą!

Posłano referendarza Czarnkowskiego do senatu z domaganiem się, aby on króla skłonił do wyroku.

Wyrok się ociągał.

Dwa dni upłynęły, w mieście najróżniejsze chodziły wieści; sama zwłoka dowodziła, że Zborowscy mieli na dworze obrońców... oburzenie wzrastało.

Wapowska, która dnie i noce klęczała, modląc się u zwłok męża, wstała. Nie mówiła nic, głos zasechł jej w ustach, wskazała ręką. Pochód żałobny ciągnął na zamek raz wtóry.

— Na zamek?

— Tak, do króla!

Ale tu już go poprzedziła wieść o drugiem wystąpieniu. Pibrak był przejęty gniewem, Henryk zacinał usta. Chciano zamknąć bramy.

Gdy Wapowska zbliżyła się do krużganków, wyszedł z głową odkrytą, ale na twarzy jego tym razem więcej było zniecierpliwienia i gniewu, niż litości i postrachu. Poszeptał i oddalił się szybko.

Wdowa jak pierwszym razem szła z sierotą do królewnej. Padła jej do nóg składając ręce i zawołała tylko.

— Sprawiedliwości!

Anna płakała z nią. Zapomniała się chwilę, przejęta tą żałobą i rozpaczą.

— Sprawiedliwości! — odezwała się głosem złamanym. — Kasiu moja! Ale gdzież sprawiedliwość jest na nym świecie! Tobie ją ociągają, ja jej dla siebie doprosić się nie mogę... Sprawiedliwość tam!

I podniosła rękę ku niebu.

Po raz wtóry odciągnęły zwłoki od zamku. Sądzono, że teraz już pogrzeb nastąpi. Wapowska odprowadziła je do dworu i złożyła na katafalku, przy którym uklękła.

W mieście zburzenie rosło. Zborowscy chodzili przerażeni i wściekli; ten trup wędrujący i domagający pomsty na nich, mężnych nawet i zuchwałych przejmował trwogą. Z trupem razem naród cały zaczynał naciskać na króla i naglić o przykładne ukaranie.

A pan Samuel naumyślnie wychodził z kamienicy

w rynek i stawał, jakby urągając się z twarzą swą zuchwałą, szyderską, mówiąc wbrew tłumom:

— Oto mnie macie! Nie będziecie śmieli uczynić mi nic.

Dwa dni naradzano się na zamku i król wyrok zatrzymał. Nie chciał nikogo sobie narazić, a obojga stron zaspokoić nie mógł. Większość Francuzów za Zborowskimi głosowała. Pibrak ich bronił, król w sercu gotów był przebaczyć. Cóż go obchodził zabity Wapowski? Tęczyńskiego zato chciał zrobić podkomorzym swym i przywiązać do swej osoby.

Niepokonana w swej żałości Wapowska po raz trzeci przyciągnęła na zamek ze zwłokami.

Król nie ukazał się już. Szła do królewnej ze łzami i z tem jednem zawsze wołaniem:

— Sprawiedliwości!

Potem płakały obie i kondukt raz jeszcze odciągnął do dworu, i zwłoki stanęły na katafalku, a modlitwy i śpiewy brzmiały znowu we dnie i w nocy.

Król nie śmiał ogłosić wyroku.

Ścierały się ciągle wpływy i rano jedne, wieczorem drugie górę brały. Pibrak dowodził, że Zborowscy odepchnięci, ukarani w osobie Samuela, pół kraju odejmą królowi. Senatorowie byli za sądem surowym i bezwzględnym.. Firleje i nieprzyjaciele Zborowskich wołali o karę śmierci. Tęczyński dla pomsty nad Samuelem swoją głowę ofiarował.

Tak panowanie rozpoczęto zuchwałym wykrzykiem Firleja:

— *Si non jurabis, non regnabis!* miało się otworzyć krwawym wyrokiem i toporem kata; pierwsze słowo młodego króla miało być: śmierć temu, kto mnie do tronu podnosił.

Raz czwarty jeszcze Wapowska przyszła nadaremnie do wrót zamkniętych ze zwłokami męża. Nie wpuszczona do króla, przywlokła się do Anny z narzekaniem. Płakały razem.

Naostatek te zwłoki, które się nie mogły doczekać

spoczynku, obudziły litość w biednej żonie. Śnił jej się mąż, domagający, aby go pochowano.

— Bóg za mnie sprawiedliwość domierzy — mówił do żony we śnie — morderca zginie z ręki kata!

Nazajutrz po tym śnie, oblanym nowemi łzami Waposka zakrytą trumnę odprowadziła do kościoła. Nieprzeliczone tłumy towarzyszyły jej, tysiące otaczały świątynię, napełniały cmentarz. Płacz i łkanie rozlegały się wszędzie, a gdy wymowny Dominikanin przemówił słowem natchnionem z kazalnicy, nie było oka suchego i piersi, którąby nie poruszyła żałość straszna. I z kazalnicy znowu ozwał się ten sam głos, Sprawiedliwości — ale kaznodzieja w Bogu wskazywał wielkiego Sędziego nad sędzie, który karze nawet to, co ludzkie sądy bezkarnem uznają.

Nazajutrz po pogrzebie spodziewano się wyroku, ale na zamku, w senacie, wszędzfe aż do sypialni królewskiej sprzeczano się dotąd, nie mogąc postanowić nic. Król na karę śmierci wprost nie chciał się zgodzić, powiedział to wyraźnie.

Zborowskim mało było tego; żądali zupełnego oczyszczenia, w ich przekonaniu winien był tylko Tęczyński, bo jego kroata włócznię Zborowskiego wyrwawszy, zelżył dumnego panka. Uniewinnienie całkowite Samuela jednakże nawet przyjacielowi ich, Pibrakowi, wydawało się niemożliwe. Głos ludu znaczył coś, a ten się domagał kary.

Rozprawiano, a tymczasem oburzenie przeciwko królowi i jego doradcom rosło.

Pomiędzy Francuzami a Polakami ta krew Wapowskiego jakby przepaść jakąś wyżłobiła. Zamiast się zbliżać i jednać, stanęli przeciwko sobie w bojowym szyku. Polacy jawnie, Francuzi ze swą garstką milczący, upokorzeni i tem wścieklejsi, że się słabymi czuli.

Z więcej wystraszonych, który mógł tylko gońcem się wypraszał do Paryża, zabierając z sobą podarki, któremi króla obsypywano, a te szły zaraz wyprawiane na Sekwanę. Tak przynajmniej utrzymywano w mieście, gdzie niechęć do króla, do „Psibrata", do wszyst-

kich tych wymuskanych lalek z cienkiemi nóżkami rosła z każdą godziną.

Francuzi już sami z trudnością się mogli pokazać na miasto, rzadko schodzili z Wawelu, a gdy chcieli spocząć gdzieś w rynku i zabawić się, musieli wymykać się nocą i szukać sobie osobnego kąta, gdzieby ich palcami nie wytykano i nie wyśmiewano.

Nie wesoło było u królewnej Anny. Tu zdało się, jakby wieczór w kamienicy Zborowskich spędzony razem z Henrykiem był ostatnim błyskiem nadziei, a początkiem rozczarowania. Anna widziała jeszcze tego, którego za narzeczonego uważała, uśmiechającego się jej uprzejmie i słodko, obracającego się wesoło wśród ludzi, którzy mu miłość i poszanowanie okazywali. Nazajutrz razem z popiołem na czoła spadł smutek, niechęci, waśnie i zawikłania, którym nie było końca.

Henryk znękany zaledwie się ukazywał królewnie. Została na stronie zaniedbaną, zapomnianą. Sprawa spadku po bracie leżała odłogiem, nikt jej podnosić nie chciał, nikt bronić nie śmiał. Anna musiała pożyczać pieniądze na utrzymanie siebie i dworu, a jej wołanie przez Czarnkowskiego, przez Rylskiego rozbijało się i tonęło we wrzawie sprawy Zborowskich.

Dwa razy na krótko król przychodził powitać królewnę, która sama mu o sobie i swem położeniu mówić nie śmiała. Zamieniali kilka słów chłodnych, ceremonialnych; Henryk skarżył się, że nic nie miał czasu, i uciekał, zaledwie się pokłoniwszy. Wejrzenie jego nawet zdawało się ostygłem, bojaźliwem, niepewnem, bez wyrazu.

Anna się łudzić już nie mogła, ale wszystko zamykała w sobie. Na cóż się zdało skarżyć?

Łaska i inne panie widziały zawsze jeszcze wielkie nadzieje, były pewne, że się to weselem skończyć musi. Potajemnie panny królewnej dostały rysunki herbów francuskich i szyły lilie na sukniach, przeznaczonych w ich mniemaniu na wyprawę królewnej.

Tymczasem o weselu głucho było i żaden żywy człowiek na dworze o niem nie myślał. Francuzi śmieli się między sobą, gdy który z nich o tem jak o poczwarnej groźbie napomknął.

Nie dziw, że skłonna zawsze do smutku i łez królewna, nie sprzeczając się z Łaską, gdy ta jej swoje marzenia powtarzała zawsze jedne, słuchała ich roztargniona, nie odpowiadając ani słowa. Znowu teraz częściej dobywała królewna listy swej siostry, królowej szwedzkiej i odczytywała w nich wiadomości o małym Zygmuncie, który po polsku mówił dobrze, przy ks. Warszewickim modlił się w tym języku i bardzo był pobożnym. Serce biednej Anny zwracało się ku niemu, przysposabiając go sobie.

Do wielu innych zawodów, które spotykały królewnę, dodać było potrzeba i zmianę, jaka zaszła w jej ulubienicy, Zagłobiance. Służyła ona z równą na pozór gorliwością ukochanej pani, miewała dla niej wybuchy czułości i po dawnemu przypadała do nóg, całując je a czasem oblewając łzami, ale nie była to już dawna Dosia, żyjąca tylko swą panią.

Talwosz pożółkł i wybladł, śledząc jej kroki, nie śmiejąc czynić wymówek, niedowierzając oczom własnym, codzień mocniej przekonany, iż ktoś z Francuzów głowę biednej dziewczynie zawrócił.

Zręczna bardzo, niedająca się nigdy złapać na uczynku, a pochwycona na czemś dwuznacznem, umiejąc się zawsze uniewinnić, Dosia wymykała się często, niknęła z oczu Talwoszowi i Żalińskiej, powracała zarumieniona, pomieszana. Żalińska, która ją dla syna mieć chciała, bo ten zawsze szalał za nią, doszła, że pomiędzy rzeczami Zagłobianki znajdowały się jakieś podarki kosztowne. Skąd one mogły pochodzić?

Talwosz nie miał prawa o nie zapytać, ani wymówek czynić. Niekiedy jakby ogólnie o Francuzach się wyrażając, malował ich płochość i niestałość i zwracał uwagę na to, jak mało im zawierzać było można. Naówczas Zagłobianka z wielkim zapałem brała ich w obronę i dowodziła mu, że nie znał wcale tych, których sądził. Ona widziała w nich wszystko dobre, a dla króla była z niewypowiedzianem uwielbieniem. Z rozmaitych poszlak domyślać się musiał Talwosz, iż Dosia przestrzegała Francuzów o wielu rzeczach i donosiła im o tem, co się działo i mówiło na dworze Anny.

Dawniej Zagłobianka z niezmierną gwałtownością sobie właściwą dowodziła, że Henryk musiał i nieochybnie miał się żenić z królewną. Talwosz teraz na próbę umyślnie wznowił o tem rozmowę z Dosią. Spojrzała na niego bystro i długo, zagryzłszy usta, milczała.

— Juści — rzekła wkońcu — miał się żenić i przyrzekł, to pewna, ale kto kocha królewnę naszą, nie wiem, czy tego dla niej życzyć powinien.

— Panna Dorota więc chyba teraz inaczej przejrzała! — rzekł szydersko Talwosz.

— Ani się tego myślę zapierać — odparła dumna dziewczyna. — Głupi tylko ludzie widzieć nie chcą i gdy się omylili, do błędu przyznać nie mogą. Królewna ma właśnie dwa razy tyle lat, co on. Za kilka lat ona będzie zupełnie starą, a on ledwie zmężnieje.

— Więc lepiej, żeby się nie żenił? - zapytał Talwosz.

— Czy to do mnie należy? — szorstko przerwało dziewczę. — Dlaczegóż wpan mnie pytasz o to? Mnie się zdaje, że sama pani nasza tego nie zechce, gdy się rozmyśli.

Litwin począł głową potrząsać, dziewczę się zarumieniło mocno i pogniewało.

— Kto królewnę kocha, jak ja — dodała gorąco - kto jej dobra pragnie, ten nie powinien życzyć, aby się to małżeństwo skleiło.

— Zapewne — wtrącił Talwosz szydersko - jeżeli, jak teraz król z Francyi ma sobie dziewczęta sprowadzać.

Dosia wybuchnęła zapalczywie:

— Kto to wpanu powiedział? — zawołała — to fałsz!

- A dla kogóż to przywieziono tę pannę, co ją u karła Seredyna w rynku, w Starej Mynicy trzymają- odezwał się Talwosz pewien swego. — I do kogo ona wieczorami stamtąd na zamek przybywa?

Zagłobiance paliła się twarzyczka.

· Kłamstwo! potwarz! — poczęła wołać. - Mało Francuzów jest na zamku przy królu, żeby to na jego

składać rachunek? Dosyć tu ich przecie, co do żadnej z naszych kobiet przemówić nie mogą, bo z nich żadna po francusku nie umie.

— Oprócz panny Doroty! — dorzucił złośliwie Talwosz.

Zmieszana Dosia zamilkła na moment, lecz wnet zuchwale przystąpiła z wyzywającym, gniewnym wzrokiem do Talwosza.

— Ja to od niejakiego czasu już widzę — wykrzyknęła — że waszmość sobie pozwalasz śledzić wszystkie moje kroki. Nie masz do tego prawa i bardzo proszę, abyś przestał się mną opiekować.

Zbity tak Litwin smutnie spuścił głowę, podniósł głos nie już oburzony i gniewny, ale pełen żałości.

— A! panno Doroto — rzekł — gdybyś wiedziała, jak dobrem i braterskiem sercem ja to czynię, za co się tak gniewasz na mnie! Wierz mi, nie dla siebie, nie przez urojenie, że mnie mogłabyś pokochać i miłością moją poczciwą nie gardzić, ale przez szczerą przyjaźń dla was, prawda... śledzę kroki wasze i smucę się.

Dosia spuściła oczy; wyraz, z jakim to mówił, dotknął ją, uczuła się poruszoną.

— Dość tego — rzekła ciszej i nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy — jestem wpanu wdzięczną, ale (tu wzrok łzawy podniosła), ale, co komu przeznaczone, tego nie uniknąć nigdy. Ja w kolebce może na zatracenie byłam poświęcona. Nie chciał mnie nikt, wyparli się swoi.

— A królewna? — przerwał Talwosz.

— Nie sądź, abym była niewdzięczną — przerwała Zagłobianka — Bóg widzi, dla niejbym życie dać gotowa, ale gdybym je dała nawet, to jej nie przyczynię tego, co dla niej też... nie przeznaczone, czego ona nigdy mieć nie będzie.

— Czego? — zapytał Talwosz.

— Takiego człowieka, coby ją pokochać umiał i ocenić, jak ona warta, nie znajdzie! — zapóźno! — westchnęła Dosia — zapóźno.

I przestała nagle mówić. Talwosz dał jej milczeć chwilę zatopionej w sobie.

— Mówmy lepiej o pannie Dorocie — dodał, korzystając z tego, iż zdawała się złagodzoną. — Prawdą jest, że ja pannę śledzę, bo się boję. Panna wierzy Francuzom, a to są ludzie bez czci i wiary, gdy o kobiety chodzi. Oni sobie z ich łez nic nie czynią!

— Gdzieżeś to ich tak poznał? — szydersko przerwała Zagłobianka.

— A no, dosyć było patrzeć od czasu jak tu są — rzekł Talwosz.

Dziewczyna spojrzała na niego z góry.

— Wy ani ich języka nie rozumiecie, ani obyczaju — rzekła — nie wiecie, jak oni miłować umieją. U was wszystko od siekiery, nawet miłość.

— Tak, panno Doroto — rzekł Talwosz — ale od siekiery wyciosany trwa cały żywot, a ich piórka wiater zdmucha.

Zagłobianka nic nie odpowiedziała.

Ta rozmowa i kilka podobnych wcale nie wpłynęły na sposób jej postępowania. Zdawała się lekceważyć szpiegowanie Talwosza, pewną będąc, że on jej nie zdradzi. Umiała się nim nawet posługiwać, gdy było potrzeba, a nieszczęśliwa ofiara szła posłuszna, choć serce pękało.

Żalińska wzięła na siebie szepnąć o tem Annie, iż lęka się, aby który z Francuzów Dosi nie bałamucił. Królewna się mocno oburzyła na to przypuszczenie.

— Ale co ci w głowie, moja Żalińsiu! — zawołała.— Dosia! ona! to nie może być! Ja się nią posługuję, gdy mi potrzeba co od Francuzów się dowiedzieć, ale to dziewczyna stateczna! A głowa się jej tak łatwo nie zawróci! Miała dosyć chłopców, co się koło niej kręcili, nie chciała żadnego.

— Ale ona strasznie często biega do nich i po kątach szepty a schadzki ma ciągłe — dodała Żalińska.

— To ja wiem — odparła królewna. — Może być, że niepotrzebnie ją narażam; będę na to miała baczność.

— Aby nie było zapóźno — szepnęła Żalińska.

Na tem się skończyło, bo gdy Anna wieczorem coś o tem szepnęła Dosi, ta jej do nóg upadła, poczęła

ściskać za kolana, tłumaczyć się, płakać i nazajutrz biegała tak jak przedtem.

Żalińską tylko, posądziwszy o doniesienie, gniewnie odprawiła, gdy się zbliżyła do niej, pana Matyasza gorzej jeszcze.

Pomimo całej swej przebiegłości w kunszcie podpatrywania i podsłuchiwania, w którym Talwosz zdawna był mistrzem, nie udało mu się dośledzić, z kim właściwie ze dworu Henryka Dosia była w najbliższych stosunkach. Znali ją tu wszyscy, kłaniali się i witali, rękę kładąc na sercu, bawili ją dowcipami, usługiwali ochoczo, ale ona żadnemu nie zdawała się dawać pierwszeństwa i wszystkich zbywała dumnie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

Tom III.

KSIĘGA TRZECIA.

Zawody.

Gdzież one złote góry nieprzebrane?
Gdzie Gaskonowie i wojska ubrane?
W co poszły działa i nasze turnieje?
Wiatrem nadziane puknęły nadzieje.
J. Kochanowski.

Znało całe miasto Karla (Karola) Sederyna, który trzymał kamienicę w Rynku, zwaną Starą Mynicą. Kupiec był zamożny, co się zowie, bo oprócz tej posiadłości i kilku pomniejszych placów i rynków, posiada pod Krakowem wieś Zielonki.

Kupcem się zwał i wistocie kupczył, ale jakim towarem, niełatwo było powiedzieć, raczej można byłoł powiedzieć czem nie handlował. Sklepu żadnego nigdy nie miał, chociaż w domu u siebie różne rzeczy sprzedawał, a szopy i składy pełne miał kupi wszelakiej. Sprowadzał miedź, żelazo, ołów, kruszec różny, wywoził futra, miał pełne piwnice wina; na składzie trzymał sukno i różne tkaniny, których na łokcie nie dawał, chyba przyjaciołom, ale je hurtem sprzedawał.

Gdziekolwiek się okazywała potrzeba czegoś lub nadzieja zysku, tam pan Sederyn pierwszy był i drugich prześcigał. Nie znaczyło nic, czy wodą, czy lądem ścigać kupią, a najdalsze podróże go nie zastraszały. On sam, gdy tego była potrzeba, dobrze zbrojny i z ludźmi pewnymi puszczał się w podróż, a miał oprócz tego kilku sprawnych pomocników, których rozsyłał na wszystkie strony.

Ludzie mu naówczas przepowiadali, że dojdzie do takiego znaczenia i majętności, jak Wierzynek i Bonery, ale los później inaczej zrządził. Sederyn też nie starał się nigdy o to, aby u dworu znaczenie miał i do urzędów żadnych się nie cisnął. Miał bez tego wiele do czynienia.

Pieniądz u niego znaczył wszystko, o resztę się nie troszczył, i z mieniem, jak to drudzy umieją, nie popisywał się i nie pysznił. Gdy zrana w kożuchu, długich butach i czapce baraniej prostej po składach chodził, ludzi doglądał, sprawdzał towar przywieziony, niktby go za możnego kupca nie wziął, tak wyglądał niepocześnie i skromnie. Miał też tę naturę, że zamiast się chwalić z dostatkiem, piszczał i rad się czynił ubogim, choć się z tego śmiano.

Ludzie rozpowiadali, że dla oszukania pożyczał pieniędzy, choć ich nie potrzebował, aby myślano, że dostatku wielkiego nie ma. Tymczasem świadomi rzeczy twierdzili, że trzymał w lochu skrzynie żelazne pełne pieniędzy.

Oddawna już Sederyn z Zachodu, z Włoch i z Francyi różny towar sprowadzał i miał tam mnogie stosunki. Sam jeżdżąc w interesach języków się nauczył, i po włosku, a po francusku mówił dobrze.

Gdy Henryk się począł starać o polską koronę, Sederyn nie wiadomo naprzód przez kogo użyty został dla wywiedzenia się o wielu rzeczach w Paryżu, potem dla ułatwienia stosunków z Francyą, przesyłania listów i pieniędzy. Naostatek tak się złożyło, że Francuzi, przybywający do Krakowa, niemal sobie gospodę założyli u niego. Był ich sługą.

Musiał na tem nieźle wychodzić, bo pilno i serdecznie brał każdą ich sprawę.

Cały teraz niemal dom, Stara Mynica, otworem stała dla Francuzów. Tu się oni zbierali, naradzali, miewali schadzki i zabawy, które na zamku zbytby oczy zwracały.

Na dole niejaki Beraldi otworzył był temi czasy winiarnię pod złotem gronem, do której przeważnie uczęszczali dworzanie Henrykowi i cudzoziemcy. Gospo-

darz był z południowej Francyi gdzieś rodem, otyły, osmalony. czarny, a gorący, jak żywe srebro, człek ruchawy, krzykacz i zuchwalec. Ten gotował dla swoich ziomków potrawy, do których nawykli, poił ich winami, jakie lubili, i dostarczał wszystkiego, czego który z nich zażądał.

Gdy mieszczanin albo szlachcic przypadkiem pod to złote grono zabłądził na lampkę wina, prędko się przekonywał, że to nie było miejsce dla niego; przyjmowano go tu zimno, częstowano jakby się zbyć chciano. Francuzi, oprócz izby przystępnej dla wszystkich, mieli dla siebie tylko pozostawione, w których się zamykali.

Stara Mynica była w istocie jedną z najdawniejszych kamienic murowanych i pomimo odnawiania znać było to po niej. Mury miała ogromnie grube, okna wązkie, izby sklepione, nizkie, a że nie odrazu powstała, i lepiono ją a przerabiano, więc przejść, kurytarzy, wschodów, skrytek, ciupek, komórek było w niej bez miary. Obcy człowiek w biały dzień sobie rady nie dał w tym labiryncie.

Oprócz połaci od Rynku, wielki podwórzec jeden i drugi dokoła był ostawiony budowlami różnych rozmiarów. Ponad pierwszem wznosiło się drugie piętro, a nad niem w części kamienicy i trzecie. Z dawnej budowy w podwórcu stała krągła baszta, która nad dachy całego rozległego domostwa górowała.

Na piętrze Sederyn zajmował sam dosyć izb dla siebie, służby i na składy, ale i na wszelki wypadek stało wiele próżnych, które teraz najczęściej zamieszkiwali Francuzi, a nawet Francuzki, bo i tych się coś zaraz do Krakowa przywlekło.

Czy kto z Paryża przybywał, czy odjeżdżał tam nazad, bez Sederyna się nie obszedł i o niego zawadzić musiał. O każdym on wiedział, dostarczał koni, wozów, przewodników, listów. U niego składano co na zamku nie mogło się pomieścić, od niego brano, co na zamku pożyczać nie chciano. Począwszy od Pibraka, od posła francuskiego pana de Bellièvre, aż do najmniejszego pacholika królewskiego i czeladzi, nie było, ktoby go nie znał i ko-

goby on nie mógł nazwać. Wszyscy szli do niego, jak w dym.

Karl Sederyn był to człowiek niemłody, posiwiały w trudach, ale rumiany i krzepki. Twarz jego okrągła, pucołowata, oczy małe nie mówiły nic; wydawał się pospolitym człowiekiem, a mowa nie zdradzała też w nim żadnych szczególnych darów, jąkał się nawet czasami, a jednak był to najpraktyczniejszy z ludzi, bystrego oka, zręczny, odgadujący i cudownie umiejący milczeć. Wymowa jest niezaprzeczenie darem bardzo wielkim, ale milczenie rozumne, rzadsze jeszcze, prawdziwym skarbem. Człowiek, który milczeć umie, a myśleć nie przestaje, więcej zdoła czasem, niż najpotężniejszy retor. Dowodem tego był Sederyn, który przegadać siebie dawał każdemu, ale co zrobił milcząc, to było więcej warte, niż najpiękniejsza oracya.

Wprost Starej Mynicy, w której wiadomo było, że się Francuzi zbierali, a czasem, choć okiennice zamykano i okna zawieszano, po całych nocach się tam świeciło i słychać było gwar, znajdował się jeden z najsłynniejszych ówczesnych browarów i szynków piwa u Grocika. Tu już pewno Francuza nigdy nikt ani na lekarstwo nie znalazł, ale za to mieszczan, rzemieślników zamożniejszych, nawet szlachty z okolicy zawsze bywało pełno.

U Grocika kto się chciał dowiedzieć, co się w mieście działo, skąd wiatr wiał, jakie chodziły wieści, kogo wieszano, wyświecano, a komu kadzidł apalono, dostał najprędzej języka. Przychodzili tu i Niemcy, ale gospoda była polska i oni tu silili się mówić jak mogli, językiem polskim. Piwo było doskonałe, marzec najlepszy, a przekąsić też znalazło się czem; usługi zaś sam Grocik pilnował.

Francuzi ze Starej Mynicy mogli wygodnie patrzeć na browar polski, a od Grocika na Sederyna kamienicę także wyglądać mógł, kto chciał.

W początkach czasem tu jakiś Francuz pod boki się wziąwszy z Polakiem zabłądził, próbowali piwa, braterstwo się przy niem zawiązywało, ale od zabójstwa Wapowskiego i początku postu, jak nożem uciął. Żaden

Francuz już w ulicy się nie pokazał z Polakiem i dwór królewski stanął, jakby wyłączony, osobno. Patrzeć zaczęto na siebie z ukosa, krzywić się wzajemnie, nawet zaczepiać i z każdym dniem ten rozdział widoczniejszym się stawał.

Na zamku pocichu mówiono, że czasami, gdy się król zamknął ze swoimi faworytami, najwyższych urzędników nawet do niego nie dopuszczano, a obchodzono się z nimi tak zuchwale, że kanclerz koronny, Dembiński, gdy mu Francuzina jakiś burknął, pięścią go skarcił i trochę zębów nadwerężył, aby pamiętał, z kim miał do czynienia.

Wielkie braterstwo i serdeczna przyjaźń dwóch narodów, na którą się niby zanosiło, zmieniły się jak liche wino w ocet kwaśny. Unikali jedni drugich, aby swaru nie mnożyć, obchodzono się na ulicach. A nie było, pomimo to, dnia, żeby jakieś starcie na zamku lub na mieście nie potrzebowało załatania.

Francuzi, których garść była mniejsza, choć króla mieli po sobie, cicho się sprawowali i starali nie wywoływać walki, ale czasem który nie strzymał. Co się tyczy szlachty polskiej, ta nie nawykła się poskramiać, a zawsze na języku mająca to, co w sercu było, wykrzykiwała głośno, drwiła jawnie, niemal wyzywała.

W ulicach poczęli się pokazywać umyślnie poprzebierani po francusku na śmiech ladajacy trefnisie, w opiętych spodeńkach, jak królewski dwór, za którymi gawiedź biegała szydząc i rychocząc.

Po murach tu i owdzie malowano na laskowatych poczwarki, i podpisywano je nieprzystojnemi wyrazami.

W senacie ciągnął się jeszcze proces Zborowskiego, przeciw któremu jedni instygowali, drudzy go bronili, gdy pokazywać się zaczęły te symptomata wzajemnych niechęci i rozdrażnienia.

Prawda, że choć w ulicach Francuzi nie dawali powodów do waśni, a nie pokazywali się nawet we dnie; za to na zamku to, co spotkało kanclerza Dembińskiego, trafiało się innym codzień. Król zamykał się jak mógł

najszczelniej, odosabniał ze swoimi i po całych nocach z nimi się zabawiał przy drzwiach zapartych. Nawet podkomorzy musiał odchodzić, a wtenczas dopiero poczynały się śpiewy, śmiechy, wieczerzanie, bankiet i gra w karty.

Nazajutrz rano wygrane konie, sprzęty, srebro przenosiły się do Sederyna.

Noc tak przesiedziawszy, król na dzień zasypiał. Senatorowie stali, czekaj c na niego próżno, a gdy się pokazał, jak z krzyża zdjęty, blady, niewyspany, zmęczony, ziewający, znudzony, albo ich prędko zbywał, lub spał czasu narady.

Wszystkie sprawy zalegały, a najpilniejsza Zborowskiego wlokła się bez końca.

Pani Wapowska czekała dekretu nie ruszając się z Krakowa. Chodziła do królewnej, płakała z nią razem. Król u Anny wcale się nie pokazywał już i prośby jej o zakończenie sprawy spadku po królu, a opatrzeniu królewnej tak samo nie skutkowały, jak płacz i naleganie kasztelanowej.

Królewna Anna, która długo broniła Henryka, nareszcie sama się przekonała, że na niego wcale rachować nie było można. Obiecywał, zapominał, nic go nie obchodziło.

Naostatek już naleganie stało się tak gwałtowne, że dekretu królewskiego lada dzień się można było spodziewać.

Samuel Zborowski, snadź nie lękając się tego, co go spotkać miało, i pewien bezkarności, chodził jawnie i nie chciał się ukrywać. Czyniono już wnioski z tego.

Wieczorem, ku końcowi postu u Sederyna na górze zebrała się bardzo późno gromadka Francuzów. Sederyn zdawał się czekać na tych gości. Na dole już było pośledniejszej czeladzi dosyć, a do niego przychodzili tylko znaczniejsi.

Posyłał kilka razy dowiadywać się tam, lecz Villequier Jourdain, których się spodziewał, nie przychodzili. Późno w noc nareszcie otworzyły się drzwi, i drzemiący przy stole Sederyn pośpieszył na ich powitanie.

Villequier szedł szybko ku niemu.

— A co? — zapytał Sederyn.

— Dekret podpisany — rzekł Francuz.

Spojrzeli na siebie, ciągnął dalej:

— Król nie mógł inaczej, musiał skazać go na wygnanie, ale przez szpary się patrzeć będzie, choćby granicę przekroczył, a po niejakim czasie ułaskawi.

Sederyn otarł czoło i coś zamruczał.

— Krzyczeć będą okrutnie — rzekł, wykrzywiając usta

— Niech krzyczą — rozśmiał się Villequier. — Król musiał jednych i drugich oszczędzać, nikogo nie narażać sobie. Dajcie znać panu Samuelowi

— Niech mu kto chce o tem oznajmi — odparł kupiec — ja się nie podejmuję. Znacie mnie, siedzę tu w Polsce zdawna, za tutejszego się liczę, ale Polakiem nie jestem. Wiem ich naturę, szaleńcy są wszyscy, pan Zborowski nie lepszy.

Machnął ręką.

Villequier się zwrócił do stojącego Jourdaina, który wąsika bardzo młodziuchnego pokręcał.

— Idź ty do Zborowskiego, Sederyn da ci przewodnika. Król życzył sobie, aby mu o tem dziś oznajmiono.

Jourdain również nie objawiał ochoty wielkiej do tego poselstwa. Stali trochę milczący. Gospodarz, korzystając z chwili, nalewał kubki, które były przygotowane.

— Zapóźno do Zborowskiego — odezwał się Jourdain wkońcu — a mojem zdaniem pilnego niema nic.

Villequier nie nalegał; usiedli. Sederyn wzdychał.

— Źle, źle, moi panowie — począł mówić, głowę z ramienia na ramię przechylając. — Co tam u was na zamku... u nas w mieście! Strach! umysły poburzone... w ulicach co wyśpiewują, co przylepiają! po rynkach i szynkach co prawią, uszy więdną!

Jourdain, który kubek wychylił odrazu, uderzył nim o stół.

— A! nieszczęśliwa to była godzina i najfatalniej-

szy pomysł wyprawić Henryka na to okropne wygnanie!! Tu żyć niepodobna.

— Tak—przerwał Villequier — ale któż mógł przewidzieć, gdy przybyło do Paryża pierwsze poselstwo, tak świetne, tak lśniące, ludzie tak wymowni, twarze tak łagodne, umysły tak pozornie dobroduszne, że tu w Polsce natrafimy na jeże i na osy. Tam się zdawali do całowania stworzeni, a tu do nich przystąpić nie można. Myśleliśmy, że nas na rękach nosić będą, a...

— A... daliśmy się wam okłamać — wyrwał się Jourdain. — Wszyscy, co do nas przyjeżdżali, choć było do rany przyłożyć, chwalono ich.

Sederyn milczał.

— Dziś już zapóźno narzekać na to, co się stało— rzekł po chwili.

— Król zrażony, zniechęcony — dodał Villequier— boję się o jego zdrowie. Miron powiada, że nie wyżyje ani w tym klimacie, w tej atmosferze, ani między tymi ludźmi. Władzy nie ma żadnej. Senatorowie burczą, szlachta się odgraża, nie szanują go.

— Wiesz pan — odezwał się Sederyn zimno — że jest francuskie przysłowie: wino utoczone, trzeba go wypić.

Francuzi, uśmiechając się, spojrzeli po sobie.

— Wątpię, żebyśmy je wysączyli do końca, wolimy resztę wam zostawić — rzekł Villequier. — Dla was, panie Sederyn — dodał — nie będę czynił z tego tajemnicy. My tu nie wytrzymamy.

— Na dobitkę—przerwał Jourdain—senatorowie niektórzy chcą jeszcze uprzyjemnić życie królowi, dając mu starą babę za żonę... Ale... ba! tego już za wiele!

Śmieli się oba, Sederyn spojrzał z ukosa.

— A po cóż się zobowiązał? — spytał.

— Co znaczy takie zobowiązanie? — gwałtownie zawołał Villequier. — Jest to wprost rzecz poczwarna, niemożliwa.

— Jakże się to skończy? — szepnął niespokojnie trochę kupiec.

— Na Boga! nie wiem — wyrwał się Villequier —

lecz sądzę, że chyba smutnie i tragicznie. Zawiedziono króla i nas, obiecywano nam wcale inny stan rzeczy. Gratiani, z którym się pan nasz widział po drodze, zapewniał go, iż władzę monarchiczną uzyska w pełni, a znalazło się, że żadnej niema.

— Możnaby ją uzyskać — rzekł, oglądając się Sederyn — ale...

Położył palec na ustach.

Villequier chodził po izbie, głowę to podnosząc ku sklepieniowi, to ją spuszczając na piersi.

— A przytem — począł — to życie! te nudy! to towarzystwo! ten język! wprost piekło! Jedyne lepsze godziny, gdy się panowie Polacy porozchodzą, drzwi na rygiel spuścimy i sami zostaniemy z sobą. Naówczas choć myślą i wspomnieniami przenosim się nad brzegi Sekwany, przypominamy lepsze czasy.

Sederyn okazywał niepokój.

— Panowie moi — przerwał — wszystko to prawdą być może, ale ostatecznie, com powiedział o utoczonem winie, to powtórzę. Henryk jest królem z łaski Bożej, usiadł na tronie, objął rządy, należy mu je ułatwiać, nie zrażać do nich. Choćby się musiał ze starą królewną ożenić, nikt mu młodych mieć nie zabroni. Panowie polscy nauczą się od was grzeczności, a wy...

— Nie wymagajże od nas, abyśmy się od nich czegokolwiek uczyli — wtrącił Jourdain. — To zwierzęta, nie ludzie!

Sederyn syknął.

— Zmiłujcie się — zawołał — nuż kto podsłucha! Już i tak dom mój podejrzanym jest bardzo.

Francuzi obejrzeli się i zamilkli. Villequier nalał sobie wina, a gospodarz pośpieszył napełnić kubek Jourdaina.

— A! ten karzeł przeklęty! — zawołał Villequier. — On temu wszystkiemu winien. I bezwstydny jest do tego stopnia, iż się ciągle nam około nóg plącze, jakby się chwalić chciał dziełem swojem. Król go już znieść nie może.

Pijąc, Francuzi westchnęli.

— Wpadliśmy w pułapkę okrutną — zaczął z kolei Jourdain. — Co do mnie, mam nadzieję przy pierwszej sposobności uprosić pana, aby mnie wysłał choćby z listami do Francyi. Położę się tam w łóżko i więcej nie wrócę.

— A! toby było bardzo ładnie!— odparł Villequier.— Tego samego co wam, zachciewa się mnie i drugim, ale mamyż biednego króla samego tu na pastwę zostawić? Wtem pode drzwiami dały się słyszeć głosy i kroki, Sederyn pośpieszył ku nim, właśnie, gdy się otwierały i dwie ufryzowane głowy ostrożnie się w nich pokazały. Byli to dwaj młodzieniaszkowie królewscy z dołu, którzy się zapewne lepszego towarzystwa domyślając na piętrze, wbiegli z wesołemi śmiechami, dowodzącemi, iż czasu w winiarni nie tracili.

— Patrzcie! Villequier! Jourdain! Któż został przy królu! — zawołał jeden.

— A! jest ich tam dosyć — odparł Jourdain. — Siedzimy na zamku jak w więzieniu, choć nocą wyrwać się potrzeba.

Sederyn przybyłych gości częstował uprzejmie, dobywszy nowe dwa kubki.

Byli to dwaj ulubieńcy króla, woniejący jakiemiś zapachami, postrojeni w atłasy, jak dziewczęta, z rączkami białemi, zalotne robiący minki i przybierający ruchy dziwnie niewieście.

— Cóż robi król?—zapytał jeden z nich.

— Gra w karty — rzekł Villequier — zostawiliśmy go z Pibrakiem, Souvrayem i p. Bellièvre, któremu dziś nadzwyczajne służy szczęście.

— Wszystkim, oprócz królowi — przerwał jeden z młodzieniaszków. — Gdybyż się choć to sprawdziło, że kto nie ma szczęścia w karty, temu za to miłość płaci!

— A! — przerwał Jourdain z miną poważną. — Cóż chcecie, królewna Anna szalenie w nim zakochana. To wiadomo.

Ogromnym śmiechem powitano ten żarcik.

Zaczęli szeptać coś między sobą, a Sederyn cofnął się kilka kroków przez grzeczność.

— Gdyby się nareszcie sejm ten skończył — głośno odezwał się Villequier — moglibyśmy stąd wyjechać gdzieś trochę na stronę, gdziebyśmy tak bardzo na oku nie byli. Tu ze wszystkiem się kryć i zamykać potrzeba.

Jeden z młodszych nagle spytał:

— A gdzież jest Naneta?

Sederyn, do którego po części było zwrócone pytanie, rzekł bardzo cicho:

— Oddawna na zamku.

— Jakże się przekradła, żeby ją nie widziano na mieście? — rzekł drugi młodzieniaszek — bo wiem, że ciekawi podglądają.

— Jak zwykle, ubrana po męsku — dodał gospodarz. — Niktby jej wśród waćpanów nie rozróżnił od nich...

Śmiech stłumiony mu odpowiedział.

Chłopcy, wypiwszy wino, posiadali na ławach, ziewając.

Wtem Villequier z kieszeni płaszczyka, który miał na ramionach, dobył karty. Wszyscy chciwie rzucili się ku niemu i na nie.

Sederynowi nie pozostało już nic, tylko światło przybliżyć i zdala się grze przypatrywać.

Gdy się tak u niego zabawiano, naprzeciw w browarze też gwarno było i pełno, ale w izbie wielkiej zabawiała się pospolita gawiedź, a *honoratiores* mieli osobną, do których Grocik tylko swoich wybranych, chcąc ich uczcić, dopuszczał.

W pierwszej, jak giełda ogromnej, można się było dowiedzieć, co myślała i mówiła ulica i rynek, w drugiej — co na Ratuszu i w wyższych mieszczaństwa kołach myślano i zamierzano. Z zamku przychodzili tu także nieliczni polscy słudzy i dworzanie króla, przynosząc, co się im pochwycić udało. Musieli jednak nadrabiać domysłami, bo Francuzi coraz się bardziej odosobniali, kryli i nie dopuszczali do siebie nikogo. Polakami radzi się posługiwali, gdzie mogli w pracy wyręczyć, w poufalsze nie wchodząc stosunki.

Nie dowierzano sobie wzajemnie, a że Francuzi przy królu śmielszymi się czuli i kupą stali, niebardzo ukrywali się z tą nieufnością i niechęcią. Wyjątek stanowiła piękna Dosia, która jako kobieta nie uważana za niebezpieczną, a pięknością swą pozyskując płochych młodzików, obracała się tu swobodnie. Musiała mieć wysoką protekcyę, bo jej słuchali wszyscy.

Talwosz tylko do progu komnat królewskich mógł ją ścigać, dalej nie wolno mu się było cisnąć. Nienawidził też Francuzów coraz więcej. Kilka razy już przychodziło do poswarków, tylko ostrożny Litwin dopuścić nie chciał do żadnego wybuchu, bo się z gawiedzią tą obcą zadawać nie chciał. Z szlachcicem się powaśnić i ściąć było chlebem powszednim, z cudzoziemcem, który plebejuszem mógł być, nikt sobie nie życzył.

W pierwszej izbie u Grocika dla późnej godziny przerzedzać się zaczęło. Kilku upartszych gromadkami małemi po kątach Marce dopiwało, ciszej między sobą rozmawiając. W bocznej komorze za to gwarniej było, bo się nie obawiano podsłuchania. Dwóch panów radnych, ławnik jeden i kupców dwu żywo sobie rozpowiadali, co ich w ciągu dnia doszło.

Obchodziła i mieszczan sprawa Zborowskich, a wielu interesy króla. Miasto i kupiectwo potrzebowało spokoju, rozruchy handlowi nie szły na pożytek, bezkrólewie nie było dobre. Wzdychano, aby lepsze czasy nadeszły.

— Jak ono było, to było — mówił Kaczer do Smolika — za nieboszczyka króla, ale życie płynęło jak rzeka wybitem korytem, i każdy wiedział, jak po niem żeglować; a teraz człek nie zgadnie, gdzie się ma obrócić.

— I wątpię — przerwał Smolik — aby z tym panem kiedy nam lepiej było... codzień gorzej. Francuzi się osobno trzymają, Polacy osobno. Ile razy gdzie się zetrą z sobą, pewna waśń i guzy. Król młody i o panowaniu nie myśli. Gry tylko coraz nowe i zabawy wynajdują, dziewcząt mu szukają, a co ma i czego nie ma faworytom rozdarowuje. Rzuca pieniędzmi, jak plewami.

— Ja — rzekł ławnik — nie uwierzę w to, żeby on nam panować miał, póki się z królewną nie ożeni.

— Na zamku powiadają, że jemu to ani w głowie— odparł Kaczer. — Rozpustnik jest, a ta ani młoda, ani ładna.

Na tak rozpoczętą rozmowę wszedł, krocząc powoli Talwosz, który tu czasem się przywlekał dla powzięcia języka. Dwóch starszych znali go i grzecznie pozdrawiając, zbliżyli się zaraz, bo piekła ich ciekawość, czy nie przynosił nowiny jakiej.

— A cóż, miłościwy panie — spytał Kaczer — będzie kiedy koniec tej sprawy Zborowskiego?

Talwosz się obejrzał dokoła.

— Zdaje się — odparł, — że ona lada chwila się rozstrzygnie.

— Na czyją stronę? — wtrącił Smolik — to ciekawa.

Talwosz ramionami poruszył i smutnie się uśmiechnął.

— Łatwo to odgadnąć — rzekł — król zechce, aby i wilk był syty i koza cała... a nie dogodzi ni jednym, ni drugim. Głowy Zborowskiemu nie zdejmą.

Panowie mieszczanie popatrzyli na siebie.

— Prawda — odezwał się jeden, — że Francuz Zborowskim winien wiele.

Milczał Talwosz i poprosiwszy o piwo, siadł za stół. Obrócili się ku niemu wszyscy.

— Jutro — rzekł niepytany tym razem — dekret pono ogłosić mają.

Słuchano w milczeniu.

— Królowi on przyjaciół nie zjedna — ciągnął dalej Litwin.

— Sam sobie winien — przerwał Smolik, — a więcej, niż on, Francuzy te jego, które w gościnę do nas przybywszy, chcieli nam na własnych naszych śmieciach przewodzić. Straż miejska musi za nimi chodzić i czuwać bo gawiedź Francuzów niecierpi. Szczęściem, że oni języka nie rozumieją, bo co po murach na nich piszą i malują, to strach! U mnie na kamienicy dziś zrana,

szorować musiałem kazać króla, tak mi szpetnie ktoś nabazgrał na ścianie, i żeby się nikt nie omylił, dopisał mu Gaweńskiego i koronę sążnistą z oślemi uszami włożył na głowę.

— Moi ludzie — przerwał Kaczer — ledwie wychodzącego od Sederyna napiłego Francuza czeladzi z rąk wyrwali, bo goniła go i chciała wybatożyć. Codzień się to po ulicach trafia.

— Sederynowi nie zazdroszczę—dodał inny mieszczanin. — Bądź co bądź panowanie to Francuzów kiedyś się skończy, a nie będzie długie, widzi mi się; tymczasem on cały im się oddał.

— Dla miłego grosza — dodał Kaczer. — On tylko o zarobek dba; zdaje mi się, że rodzonego ojcaby przehandlował, gdyby na nim mógł zarobić.

Talwosz słuchał chwilę.

— Dekret więc jutro posłyszymy — rzekł ławnik— ciekawym! Pani Wapowska ma wielu przyjaciół. Prezentowała zwłoki tak długo, że i obojętni ludzie żal w sobie poczuli; będzie *larum* nie małe, jeżeli kary przykładnej nie wymierzy.

— Śmiercią powinien karany być — odparł Kaczer,— ubił niewinnego człowieka, gdzie? na zamku, a prawo gardłem karze za dobycie miecza przy królu!

— Dobyłże go i pan Tęczyński — odezwał się drugi.

— Ale w obronie życia, zmuszony — mówił Kaczer. — To co innego, a mówią, że on gotów też gardło dać, byle Zborowskiemu nie przebaczono.

— My z Tęczyńskimi — wtrącił Smolik — zdawna nie jesteśmy w zgodzie. Dali się oni nam we znaki, ale Jan winien nie jest.

— Zborowscy wszyscy wichrzyciele i zbóje, to wiadoma! — odezwał się ławnik. — Jakby jednemu łeb ucięto...

— Ha! drudzyby się za niego mścili — wtrącił Smolik.

— Nie — dokończył Ludwik, — musieliby siedzieć

cicho. Samuel, jeśli życie uniesie, będzie czekał dogodnej chwili i zawichrzy nam znowu.

Chwilę jeszcze trwała ta rozmowa u Grocika i zgromadzeni się rozchodzić poczęli, gdy, pomimo późnej pory, szybkim krokiem zadyszany wsunął się, jakby pośpieszając, przestraszony drab, jak żerdź długi i chudy. Obejrzał się po przytomnych, szukając kogoś oczyma, spostrzegł Kaczera, zbliżył się do niego i coś mu, tkając papier w rękę, poufnie rozpowiadać zaczął

Na twarzy mieszczanina widać było pomieszanie, obejrzał się bojaźliwie.

Przybyły, jakiś pisarz sądowy, usunął się zaraz na bok.

Kaczer poszedł do kaganka i pochylony nad nim z trudnością z papieru coś odczytywać zaczął. Na twarzy jego widać było podziwienie i przestrach.

Wszyscy z ciekawością spoglądali, co mu pisarz mógł przynieść, gdy Kaczer raz jeszcze po przytomnych się obejrzawszy, rzekł stłumionym głosem:

— Otóż jak po mieście króla i Francuzów opiewają! A to dopiero początek. Gdy się jeden taki głos odezwie, to jak w błocie żaby, zaraz za nim tysiące kwakać zacznie.

Skupili się wszyscy około trzymającego papier w drżących rękach mieszczanina.

— Niech Franek przeczyta — odezwał się ławnik,— on przyniósł, to go też dobrze musiał wysylabizować. Tuśmy wszyscy swoi, czytajcie.

Talwosz wstał, i zbliżając się, dodał:

— Czytajcie, co to jest.

— Paskwiliusz straszny!—odparł Kaczer.

Franek, ów pijaczyna chudy, któremu pismo w ręce wetknięto, przysunął się do kaganka i na głos, ale niezbyt go podnosząc, począł:

Rada skuteczna.

Nim krawcowi dasz sukno, a skórę szewcowi,
Patrzaj, czy zna rzemieślnik to, o czem ci mówi,

Bo kurdyban i sukno zaprzepaści marnie,
Kiedy je lada partacz pokraje niezgrabnie.
I dla Polaków taka potrzebna nauka,
Co się dali okłamać przez zdrajcę Mamluka[1])
Gaweńskiemu książęciu[2]) wkładając koronę...
A ten nie wie, na którą obrócić się stronę.
Łątka na cienkich pałkach, ni z pierza, ni z mięsa,
Tańcuje i gra w karty, rozumu ni kęsa...
Bodajżeście przepadli tacy gospodarze,
Henryka z Mamlukiem i Psubratem[3],) w parze
Francuska sprawiedliwość! Winien pan z Zborowa,
A Wapowskiego za to pokutuje głowa.

Wiersz, choć go Franek wyjąkał niezręcznie, uczynił na wszystkich wielkie wrażenie. Stali milczący, okazując tylko ruchami, iż rzecz była smutna i znaczna.

— Zniszczyćby to -szepnął ławnik.

— Mnie dajcie – rzekł, rękę wyciągając, Talwosz — ja nikomu nie okażę, a jutro po mieście tego będzie dosyć.

Zwrócili się do Franka, pytając, skąd dostał?

Pisarz zaręczał, że na wielu kamienicach, na wartach nalepione to czytał i sam w ulicy św. Anny spisał to około kościoła.

— A no—dodał -są i inne.

Pokiwano głowami; mieszczanie się poczęli do czapek brać; Talwosz też piwa dopiwszy i papier za suknię wetknąwszy, gotował się z powrotem na zamek.

Wszystkie twarze sposępniały.

— Źle się dzieje — skonkludował Kaczer; — kiedy na mieście strzelają, to się wprędce skończy, ale jak papiery pójdą między ludzi, zbierze się na długą burzę,

---

[1]) Mamluk—Montluc.
[2]) K-żę Andegaweński.
[3]) Pibrak.

Nazajutrz wistocie po długiem wahaniu wyrok miał być ogłoszony.

Oznajmiono o tem zawczasu; senatorów i posłów liczba nie mała od rana się ściągać zaczęła. Miała przyjaciół dosyć wdowa Wapowska i jej też dano znać o tem. Postanowiła natychmiast nazajutrz znajdować się sama z synaczkiem przy ogłoszeniu dekretu.

Dodnia więc, aby ją to nie minęło, była już w kościele św. Stanisława, gdzie mszy świętej wysłuchawszy, że jeszcze sala była zamknięta, do królewnej szła, aby u niej czekać, aż jej dadzą znać, iż się wszyscy zebrali.

Żałobnie ubrana, w grubym kirze, dziecko też odziawszy czarno, w suknię z kapturkiem, chociaż już pierwszą boleść swą przemogła i wypłakała, czyniła wrażenie męczennicy, która rozpacz w sobie tłumi, a nad siły cierpi. Gdy szła, ludzie jej z poszanowaniem z drogi ustępowali, taki majestat miała na pięknej, bladej twarzy.

Na zamku ruch od rana panował ogromny, cisnęli się gdzie kto mógł, a kogo nie puszczano, ten w podwórcu stał, czekając, aby się prędzej dowiedzieć o wyroku.

Dopiero późno na dzień oznajmiono Wapowskiej, że mogła być do sali wpuszczoną. Szła tedy sama, z dzieckiem tylko, a gdy się ukazała, choć tłok był wielki na sali, wszyscy się jej zaraz rozstąpili i miejsce uczynili.

Zabierali głos senatorowie, dla formy tylko, bo dekret już przygotowany był, o czem wiedziano.

Cisza zapanowała straszna, gdy z rozkazu króla czytać poczęto wyrok.

W krótkich słowach był on ujęty. Król mocą swą zdania widząc podzielone, gdy jedni się na starszych, drudzy na nowszych prawach opierali, zabójstwo osądziwszy przypadkowem, Samuela Zborowskiego skazywał na wygnanie z państwa i ziem jemu podległych, bez utraty czci i sławy.

Ciszą długą przyjęto wyrok; na niektórych tylko twarzach znać było oburzenie, które nawet i na innych, mniej zrazu wyrazistych, malować się zaczęło.

Wapowska stała, jak skamieniała, słuchając. Podniosła głowę; oczy wszystkich zwróciły się na nią. Chwyciła

synaczka za rękę i zwolna od tronu się oddalając, z twarzą i wzrokiem ku niemu wzniesionym, odezwała się głośno:

— Jeżeli taka twoja na mężobójców sprawiedliwość, niech ten twój pierwszy wyrok będzie ostatnim!

A po chwili, łkając, dodała:

— Bodaj Bóg tobie też nie przeznaczył paść ofiarą mężobójcy.

Proroczych tych słów nikt oprócz bliższych, nie słyszał. Wzięto pod rękę rozpłakaną i uprowadzono z sali, a król, jakby się wstydził wyroku swego, widząc, czem go przyjęto, natychmiast salę opuścił.

Tu dopiero oburzenie większości objawiło się z gwałtownością całą. Wyrzekano głośno, a prymas objawił zdziwienie swe, że sprawę kryminalną, prostą cywilną uczyniono. Było innych naigrawań i ucinków dosyć, których Francuzi już nie słyszeli, bo razem z Henrykiem natychmiast się wynieśli.

Wapowska we łzach szła na górę do królewnej, która już o dekrecie zawiadomiona, płakała też, choć wcale okrutną dla Zborowskich być nie chciała. Wedle ówczesnych jednak pojęć ząb za ząb, krew za krew były ścisłem tylko wymiarem sprawiedliwości.

Z sali wprost przyjaciele Samuela biegli na miasto, gdzie Samuel na schwał pijąc i łając, czekał, co mu zwiastować będą. Nie spodziewał się on wcale, aby go na gardło sądzono, wszelako konie mu bracia trzymali w pogotowiu, aby natychmiast zbiedz mógł, gdyby niebezpieczeństwo zagrażało.

Bracia Samuelowi mieli na zamku umówiony znak, który im Francuzi na chorągwi wielkiej królewskiej, wywieszonej na wieży dać mieli, białą lub czerwoną chustą.

Wiedzieli więc zawczasu, iż dekret życie salwował. Przybiegli z tem do niego.

Biała chusta powiewa!

Samuel się nie radował, nie rzekł nic, czekał na posła. Spodziewał się wyjść cale bezkarnie.

Wtem wpadł komornik jego, niosąc papier, który

mu na sali wetknięto, a stał na nim dekret, jako brzmiał.

Z brwiami ściągniętemi odczytał go Zborowski i na stół cisnął z przekleństwem. Bracia stali zmieszani, lecz okazując radość, bo się im banicya wiekuistą nie wydawała.

Wybuchnął zaraz Samuel.

— Taka jest wdzięczność królów! Jam mu królestwo dał, a on mnie ojczyzny pozbawia... Głupim był i słuszne ukaranie!

Uderzył w stół pięścią, aż wszystko na nim zadrżało; głowa mu opadła na piersi i zadumał się.

Zbliżyli się do niego, pocieszając powinowaci, których odpychał, słuchać nie chcąc.

— Poznają mnie — zawołał — żem wygnany może niebezpieczniejszy dla nich, niż tutaj. Schronić się znajdę gdzie, przyjmą mię otwartemi rękami.

I zwróciwszy się ku zamkowi, grożąc pięścią, zawarczał.

— Pilnuj się dobrze laskonogi, abyś ze stolca twego nie zleciał.

Pić potem zaczął znowu i śpiewał, a namarszczona brew świadczyła, że się rozmyślał, co czynić.

Przytomni występowali z radami. Według nich łatwo było znaleźć poczestne przyjęcie u książąt niemieckich, w Saksonii, u tych, którzy protestantyzm wyznawali. Samuel głową potrząsał.

— Zadaleko to dla mnie — przerwał — ja im pod bokiem siądę, aby mnie każdego czasu czuli i drżeli.

Nagle, jakby mu przyszła myśl szczęśliwa, wstał i krzyknął:

— Na Niż! Na Niż! do Kozaków! Hetmanić im będę!

I przy tej myśli swej pozostawszy, natychmiast zwoływać począł swoich, kto mu chciał towarzyszyć.

Po mieście wionęło tym duchem, jaki z izby senatorskiej buchnął. Jeden był głos, że król pobłażył mordercy. Krzyczeli przeciwko Henrykowi przyjaciele Zborowskich, bo chcieli go mieć bezkarnym, a całą winę przelać na Kroatę i Tęczyńskiego; więcej jeszcze wyrzucali mu

zwolennicy Wapowskiego i Tęczyńskiego, dowodząc, że Zborowski pierwszy dobył miecza i przelał krew.

Francuzi rychło postrzegli, gdy Pibrak wkrótce wyszedł po języki, że wyrok nikogo nie zaspokoił. Gwałtowne mu czyniono wymówki, wróżąc, że po całej Polsce pójdzie odgłos, który królowi serca odejmie.

Henrykowi, jak się zdaje, niewiele już o to chodziło, czy go tu miłować będą, lub nie. Duchem i myślą był gdzieindziej. Prawie codzień przybiegali gońce od królowej matki, a gdy przyniesiono listy z Francyi, żadna siła Henryka utrzymać nie mogła, choćby senatorami otoczony był, choćby najważniejsze toczyły się sprawy, rzucał wszystko, zamykał się i czytał a odpisywał.

Francya go stokroć więcej obchodziła, niż Polska, dla której obojętności i niechęci nie ukrywał.

Z królewną, dla której zawsze jeszcze pewne okazywał uszanowanie, obejście się było dziwne i nierówne. Czasami sam ją sobie przypominał i, jakby ukołysać pragnął, szedł do niej. Nie bawił tu nigdy długo, rzadko usiadł, ale uśmiechał się, wdzięczył, obiecywał bez miary, czego tylko zapragnęła i na kilka dni ją nakarmiał nadzieją.

Gdy potem Anna wysyłała Solikowskiego lub uproszonego Czarnkowskiego, aby się upominał o to, co było przyrzeczonem, nic nie mogli wyprosić, odprawiano ich z niczem, odkładano.

Anna na przemiany łudzona i zawodzona, wkońcu chciała już zrzec się wszelkich nadziei. Ale kobiety ją otaczające nie dopuszczały. Pani Łaska i wszystkie, ile ich było, upierały się przy tem, że Henryk żenić się powinien był i musiał. A że łatwo jest wmówić, czego serce pragnie, biedna królewna, gdy już rozczarowana przygotowywała się do zawodu i rezygnacyi, wracała znowu do próżnych i zawodnych nadziei.

Tak dzień tu jeden do drugiego nie był podobnym. Przychodziły jedne z przesadzonemi widokami szczęśliwej przyszłości, a zaraz po nich inne, czarne, smutne i łzami oblewane.

Łaska i panie a panny upierały się szyć francuskie

lilie na sukniach, które królewna sprawiała, krajczyna mówiła ciągle o weselu...

Czarnkowski tryumfował, choć ostrożnym był, bo jeszcze nie widział dosyć jasno przyszłości.

Coraz mocniej jednak przekonywał się, że panowanie Francuza może być nietrwałem, a w takim razie jego kandydat, Ernest, tym razem, jak się spodziewał, wszystkich za sobą pociągnąć był powinien.

Sam na sam z królewną powtarzał jej:

— Jam się po nim nigdy nic dobrego nie spodziewał. Płochy i zepsuty jest, a o nas nie dba. Jeżeli się nie mylę, królowa matka, której on najulubieńszym jest, gotuje dla niego tron francuski. Karol IX dzieci nie ma i pono ich mieć nie będzie, a Francuzi się z tem zdradzają, iż ciągle chory jest i długo nie pożyje.

Królewna słuchała, co jej pan referendarz przynosił, ale strzegła się z czemkolwiek przed Czarnkowskim zdradzić.

Nikt naówczas przewidywać nie mógł rychłej śmierci króla Francyi.

Anna, jak tylko mogła, trzymała się ostatniej nadziei jakiegoś szczęścia, które się jej nie wydawało niepodobnem. Sama ona nie mogła, bo niewieścia skromność jej nie dozwalała, upominać się o spełnienie przyrzeczeń Henryka, ani pobudzać senatorów, ażeby oni jej przypominali, ale krajczyna, inne panie i ks. biskup chełmski od czasu do czasu próbowali przyjaźniejszych królewnie panów skłonić do przemawiania za nią.

Niektórzy z nich przyrzekali to uczynić, próbowali może, lecz przypomnienie to senatorowie tak zimno przyjmowali, tak je lekceważyli, że niepodobna było sprawy na stół wyprowadzić. Najgorliwsi nawet odkładali je; było tyle pilniejszych do załatwienia.

Nadzwyczaj zręcznie postępował sobie Henryk, unikając rozwiązania, przeciągając, a razem okazując się bardzo uprzejmym dla królewnej. Tylko uporczywe jej dopominanie się o uregulowanie spadku jej i sióstr po bracie szło także w odwłokę.

Anna pozbawiona dochodów, zapomniana, gdy

się u Stanów domagała wyznaczenia utrzymania stanowi odpowiedniego, najczęściej wywołała tem przykrości i upokorzenia.

Potrzeba było łzami oblewać opiekę senatorów, którzy zsyłali komisarzy dla rozpatrzenia się w wydatkach, a ci nawet kuchni królewnej nie przepuszczali, chleby, mięso, przyprawy obliczając i wyrzucając marnotrawstwo.

Tak, obok troski o przyszłość, biedna pani musiała każdy kawałek chleba powszedniego oblewać łzami. Wpadła Żalińska z narzekaniem, przychodził ochmistrz Koniecki, skarżąc się, że mu skąpe wyznaczenie obcinano. Solikowski, wysłany z biskupem chełmskim szli ze skargami i dnia spokojnego nie było.

Nadchodziła powoli wiosna, a położenie ani się wyjaśniło, ni polepszyło. Król się nie pokazywał, lub grzecznie przesunąwszy, zamykał i zapominał, co przyrzekł.

Życie jego w początkach umiejące się pokrywać pozorami pewnej przyzwoitości, pod jednym dachem z królewną, wkrótce dla większej części dworu jej nie miało tajemnic. Wiedziano o nocnych biesiadach, o tańcach przy drzwiach zamkniętych, o szalonej grze w karty, która króla ogałacała ze wszystkiego. Niepodobna było ukryć tego, że Francuzi przywłaszczali sobie konie, srebra, opony, futra królewskie i natychmiast je wysyłali do Francyi.

Szczodrobliwość ta Henryka przechodziła miarę wszelką, gorszyła zaś szczególniej tych, co z niej nie korzystali.

Talwosz należał teraz do tych, którzy najgwałtowniej przeciwko królowi i Francuzom się oświadczali. Nie mógł on im przebaczyć swej Dosi, która z najpoczciwszego dziewczęcia stała się jakby oszalałą jakąś istotą...

Dopilnować jej nie było podobna, a dla Litwina jawnem się stało, że król lub ktoś z jego przybocznych serce jej zajął i głowę zawrócił.

Miłość nawet dla królewnej wiele na tem ucierpiała, a przyjaźń dla Talwosza w nienawiść się zmieniła. Ile razy się spotkali, spór był nieuchronny; sam widok

Litwina, jak wyrzut sumienia, twarz jej okrywał rumieńcem i do gniewu pobudzał.

Talwosz znosił cierpliwie, ale przez litość z oka jej nie spuszczał.

— Źle się to skończy — mówił w duchu — naówczas próżno szukać będzie przyjaciela i obrońcy. Kolej przyjdzie na mnie, gdy wszyscy odstąpią. Francuzi pierwsi zdradzą.

Gdy z Francyi przywieziono ową piękną Nanetę, która ukrywała się u Sederyna, a wieczorami po męsku przebrana na zamek się wkradała, Dosia przez czas jakiś zdawała się tem oburzoną i zniechęconą. Chodziła z oczami zapłakanemi, ale gdy się przekonała, że jej tamta w drodze nie stanęła, wszystko znów powróciło do dawnego porządku. We dnie i wieczorami Dosia nikła często, a gdy ją dopytywano, co robiła, odpierała dumnie, że miała dosyć spraw królewnej na głowie, i że za temi nieustannie biegać musiała.

Talwosz uśmiechał się i głową potrząsał, a te jego uśmiechy gniew dziewczęcia podwajały.

Sejm tymczasem obradował nadaremnie, a Francuzi się z tem nie taili, że końca jego z upragnieniem wyglądali. Dwór potem miał na czas jakiś udać się do Niepołomic i tam dopiero swobodnie się wywczasowywać. Czyniono nawet powoli przygotowania do tej podróży i do pomieszczenia króla w zameczku pod pozorem łowów. Sederyn już po kilkakroć wysyłany był w tym celu.

Sejm tymczasem ciągnął się dalej, nie bez różnych epizodów, które dotykały Infantkę, przypominając boleśnie, co przecierpiała.

Sławna owa Basia Giżanka, której pobyt na zamku warszawskim, pod jednym dachem z Anną, tyle łez królewnie wycisnął, dobrze wyposażona dla córeczki, którą nazywano królewskiem dzieckiem, zaraz po śmierci Augusta wyszła była za Woronieckiego, który został wybrany posłem na sejm.

Wiedziała o tem szlachta i tak samo, jak Kościeleccy z rodziny brata wykluczyli za ożenienie z Talniczan-

ką, Woronieckiego z izby poselskiej wyrugowano sromotnie za Giżankę.

Głośna to była sprawa.

Przebaczyła Anna Mniszchom i zapomniano im nadskakiwanie królowi, ale nie przebaczono Giżance, ani mężowi jej.

Tak samo Anna Zajączkowska po śmierci króla wyszła prędko za Krzysztofa Dunina i z mężem, do Krakowa przybywszy, chciała u królewnej przebaczenia prosić, ale Anna się oparła wszelkiemu zbliżeniu.

— Przebaczam jej — kazała powiedzieć przez Żalińską, która pośredniczyła — ale niech mi się nie pokazuje na oczy. Rana jeszcze się nie zabliźniła.

Właśnie, gdy Zajączkowska przyjechała do Krakowa, przytrafiło się coś, co ją mogło przypomnieć, jeżeli nie królewnie, to podejrzliwemu Talwoszowi.

Niewiadomo skąd zjawił się nagle jakiś szlachcic, Zagłoba, który przyznawał się do stryjostwa Dosi, po owym drewnianym krzyżyku ją jakoby synowicą swą mianował i chciał królewnej prosić, aby mu ją oddała, gdyż dzieci własnych nie miał.

W początkach się ta wieść rozeszła głucho i nie wierzono jej. Talwosz się wielce zaniepokoił. Nie mógł strzymać, ażeby panny Doroty samej o to, zszedłszy się z nią znienacka (co teraz się rzadko trafiało, bo ona go unikała), nie zagadnął.

— Ludzie plotą — rzekł, zastępując jej drogę — że stryj panny Doroty o nią się upomina. Skądże on się wziął, przez tyle lat o niej zapomniawszy?

Panna stała mocno zarumieniona.

— Cóż w tem dziwnego? — spytała, — albo ja stryja mieć nie mogę?

— Ale tak długo się nie zgłaszał? — zapytał Talwosz.

— Albo człowieka sumienie ruszyć nie może? — chmurno odparła Dosia. — Dopóki miał własne dzieci, nie dbał o synowicę, teraz, gdy mu je Pan Bóg odebrał...

Litwin głową potrząsał.

— I panna Dorota zechce opuścić królewnę — rzekł z trochą ironii — a oprócz tego, mnie się zdaje, że i Krakowaby żal było, gdy dosyć zaczyna być wesołym. Francuzi sobie bez panny Doroty rady nie dadzą.

— Wpan mnie męczysz tem prześladowaniem Francuzami! — zakrzyknęło dziewczę. — Raz na zawsze powiadam wam, nie opiekujcie się mną.

— Więc i pytać nie wolno? — przerwał Talwosz.— Ja w tego stryja wierzyć nie chciałem, a panna Dorota nie stworzona do tego, aby gdzieś na kresach w lichym dworze z dziewczętami kądziel przędła.

Zmarszczyła się Zagłobianka.

— Wolę tam kądziel prząść, niż tu być na potwarze i posądzenia wystawioną—zawołała.

Tak się rozeszli, ale Talwosz się nie uspokoił. Ponieważ codzień chodził wieczorami do królewnej, której donosił o tem, co słyszał i rozkazy od niej odbierał, pierwszego dnia zaraz zapytał o Dorotę. Królewna Anna zasępiła się.

— Prawda to jest, że się jakiś stryj o nią upomina, a to gorzej, że ona sama się temu nie opiera, aby z nim jechać, a mnie ona tak potrzebna.

Królewna przeszła się po komnacie i dodała cicho:

— Od czasu, jak mnie tak niepoczciwie oszukano z tą Hanną Zajączkowską, nikomu już nie wierzę. Nie wiem czemu ona mi na myśl przychodzi... ale Dosia była bardzo stateczną!

— Panna Dorota — odważył się szepnąć Talwosz — od przybycia Francuzów bardzo się nam jakoś zmieniła.

Anna odwróciła się do niego.

— Nie sądzę — rzekła żywo; — ja jej zmuszoną jestem używać często, aby wiedzieć, co się tam dzieje. Jeżeli kto winien, to ja, co ją narażam, ale dla tej francuzczyzny niema się kim posłużyć, a ona sobie z nią doskonale rady daje. Śmiała jest. Ufam, że jej to ani głowy zawrócić, ani popsuć nie może.

— Dałby Bóg — westchnął Litwin. — Tembardziej w tej chwili szkodaby było ją stryjowi dawać na kresy, gdy tu miłości waszej potrzebna.

Królewna przeszła się zamyślona parę razy po komnacie i odprawiła Talwosza.

— Mój Talwoszu, a dowiedz ty mi się o tego Zagłobę, skąd on się tu wziął! Co za jeden? Może go kto zna! Nie chciałabym Dosi dać nie wiedzieć komu, na przepadłe imię, na koniec świata.

Tego tylko było potrzeba Talwoszowi, który zaraz nazajutrz puścił się na zwiady.

Wiemy, że miał w tem niespospolitą biegłość i tropić, co się kryło, umiał i lubił. Tu jednak rozbił się, jak o mur, o owego Zagłobę. Żywa dusza nie znała tego człowieka, a ów zdala śledzony nadto dobrze zdawał się obeznany z Krakowem i tutejszemi stosunkami, jak na człowieka, co dopiero z kresów przybywał. Nie dając mu się poznać, przypiął się do niego Talwosz, zagadując go o Podole, o Ukrainę, o kresy, o napady tatarskie, bo to wszystko musiał szlachcic najlepiej znać, gdy z tamtych stron przybywał.

Tymczasem Zagłoba, jakby mu gębę zamalował, o kresach nic mówić nie umiał; z rozmowy zaś dłuższej wydał się dworakowi Podlasiakiem raczej, niż Podolakiem. Włócząc się za nim i podpatrując go, doszedł Talwosz, że po nocy Zagłoba zaglądał do Sederyna.

Wszystko to dawało do myślenia, ale na prostych podejrzeniach Litwin oprzeć się nie mógł; postanowił dalej śledzić, nuż go nie przyłapie na czem, a tu, jakby ostrzeżony, stary szlachcic zupełnie mu z oczu zniknął.

Odniósł Litwin królewnie niewiele — nie tając tego, iż bez pewnej poręki Dosi mu się oddawać nie godziło.

— Ona sama rozum ma — odparła królewna — a ja jej znowu dla mojej dogodności szczęścia i losu zawiązywać nie myślę. Stryj jej pono obiecuje dwie wsie posagu, może ją dobrze wydać za mąż.

— Ano to święte słowa były W. Król. Mości —

odezwał się Talwosz, — gdyście Zajączkowską przypomnieli. Dziś takie czasy, iż nikomu wierzyć nie można.

— Ale Dorota łatwowierną nie jest — zamknęła królewna.

Zląkł się niepomału Litwin, gdy potem Żalińska i Koniecki powiedzieli mu z goryczą wielką oboje, że Zagłobianka, na nic nie bacząc, gotową była ze stryjem jechać, a królewnę, dobrodziejkę swą, opuścić. Spotykał ją .poruszoną, z zapłakanemi oczyma, jakąś nieswoją i milczącą.

Królewna, gdy się spytał, co będzie z panną Dorotą, powiedziała mu:

— Widzisz sam, jak ja jestem ubogą, krupy mi panowie senatorowie mierzą, abym ich zanadto nie zjadła. Zagłobianki wyposażyć nie będę miała czem; jeżeli się jej trafia rodzina, co ją przyjmuje i chce wyposażyć, jak świat zawiązywać?

— Jabym tylko ośmielił się powiedzieć, żeby odłożyć koniec aż się szlachcic wywiedzie, co ma i kim jest—rzekł Talwosz. — Pannie Dorocie o męża trudno nie będzie.

Anna się uśmiechnęła, bo oddawna wiedziała, iż Talwosz kochał się w niej i starał o nią.

Dosia musiała domyślać się lub wiedzieć, że jej Litwin u królewnej mieszał szyki i za pierwszem spotkaniem napadła na niego gwałtownie. Zburczała go bezlitośnie.

— Panno Doroto — rzekł obrażony Talwosz — proszę mi wierzyć, że ja o sobie nie myślę, gdy waćpannę ratuję. Wiem że mnie nie chcesz, a serca nie mając, do ręki bym się nie dobijał· Mnie waćpanny żal.

Przez krótką chwilę zdawało się, jakby ta mowa czyniła na niej jakieś wrażenie, stała niema, spuściwszy oczy, potem szybko, dumnie podniosła je i odburknęła:

— Bóg zapłać—alem ja nie dziecko!

— Wolno pannie Dorocie czynić, co się jej podoba — począł Talwosz — ale czegóż się śpieszyć. Panna czekała kilkanaście lat na stryja, niech stryj choć rok na nią poczeka. Będzie czas się dowiedzieć, kto on taki. Na kresach różnych ludzi pełno, to wiadomo, choćby Zagłobą i stryjem był, może być nie takim, jakby

go pannie życzyć trzeba. Królewna potrzebuje dziś i pociechy i posługi.

Dosia popatrzyła na Litwina.

— Masz mnie za niewdzięczną — zawołała żywiej. — Przecież widziałeś, żem siebie dla niej nie oszczędzała, ale wkońcu przychodzi na każdego chwila taka, iż musi o sobie pomyśleć.

Łzy się jej kręciły w oczach.

Litwin miękkiego serca, szczególniej, gdy ze łzami miał do czynienia, nie śmiał już jej się sprzeciwiać.

— Niech mi panna Dorota dozwoli choćby, abym ja tego szlachcica wziął na spytki i o nim się starał dowiedzieć.

Zagłobianka rzuciła się, jak oparzona.

— Jeżeliś mi pan kiedy życzył dobrze, a słowo moje u niego coś waży — poczęła — zaklinam i proszę, ani badaj, ani śledź, ani pytaj. Wiem, dlaczego tego żądam. Daj mi słowo.

Poczęła naglić mocno; zdumiał się Talwosz i języka w gębie zapomniał.

— Ale cóż to pannie Dorocie szkodzić może? — spytał.

— Nie chcę tego i po wszystkiem — odezwała się — śmiertelnie się pogniewam.

Przeszkodził im ktoś, bo rozmowa się w korytarzu toczyła, Dosia musiała odejść, Talwosz odszedł też, ale więcej podrażniony, niż zrażony.

Zamiast puścić Zagłobę i zapomnieć o nim, nie tylko sam, ale swoich pomocników też wyprawił, aby go śledzili.

Szlachcic na takiego kresowego człowieka, który długie lata przebył wśród ludzi innego obyczaju i języka, nie miał w sobie nic, coby go od sandomierskiej lub podlaskiej drobnej szlachty różniło, a jak na dziedzica dwóch wsi z żyznej ziemi z obszarami wielkiemi, chudo wyglądał.

Nie wiedzieć nawet, jak mógł synowicę zabrać, gdy woza żadnego nie miał, dwoje czeladzi, konie liche i chude.

Wszystko to były zagadki, które Talwosza trapiły i spokoju mu nie dawały. Biegając tak skłopotany, chwy-

cił gdzieś złego powietrza i zachorował. W początkach zdawała się ta niemoc małem czemś i leczył ją ciepłem winem z korzeniami, ale gorączka przypadła i dziesięć dni leżał bezprzytomny, aż Anna mu doktora swego posłać musiała.

Gdy do siebie potem przychodzić zaczął, pierwszą rzeczą o którą spytał, było:

— Co się dzieje z Zagłobianką?

— A co ma się dziać, — odparł chłopak, który mu posługiwał, — królewna, jak mogła, ją wyposażyła a stryj ją zabrał i wywiózł kędyś na kresy.

Talwosz ręce załamał. Przeklinał teraz chorobę swoją dwakroć więcej, bo był przekonany, iż gdyby był zdrów, nie dopuściłby takiego pośpiechu.

Jak się tylko zwlec mógł biedny i stawić na dworze, poszedł do królewnej; lecz nim ją zobaczył, zabiegła mu drogę Żalińska desperująca, iż Zagłobianki dla syna nie mogła pozyskać. Baba zła była, podejrzliwa, swarliwa. Nachyliła się do ucha Litwinowi.

— Wspomnisz moje słowo — wołała zapalczywie — to druga Zajączkowska. Stryj kłamany, wszystko to komedya niecna. Nadużyto dobrej wiary naszej pani. To francuska sprawa.

Talwosz się oburzył zrazu.

— Ale jakimże sposobem? To nie może być!!

— Albo ją dla króla zwerbowali, albo dla Pibraka. Dla kogo nie wiem, ale przysięgnę, że się zbałamucić dała.

Litwin stał tak pogrążony i przybity tą wiadomością, która mu się zdała poczwarna, iż mówić nie mógł.

— Pani Żalińska wie — rzekł wkońcu — jak ona była dumna i nieprzystępna. Nigdy najmniejszej nie dopuściła się płochości.

— Królowie nie takich cudów dokazywali — odparła, śmiejąc się złośliwie, Żalińska. — Wpan myślisz, że Zajączkowska inna była? Kubek w kubek,... ani do niej było przystąpić, a przecie ją dla króla dostali.

— Ale Dosia! Z tym rozumem! — rzekł Talwosz.

— Głupi to był rozum — zakończyła Żalińska.

— Skądże pani masz to podejrzenie? — zapytał Talwosz.

— Mam ja swoje drogi! — Mam ludzi — odparła Żalińska. — Dowiemy się później, gdzie to Podole, do którego Dosię zawieźli. Lękam się bardzo, aby ono dalej Niepołomic nie było.

Król się do Niepołomic właśnie wybierał. Talwosz nikomu nie mówiąc nic, jak tylko cokolwiek do sił powrócił, siadł na konia i sam jeden ruszył, gdzie mu wskazano.

Trzy dni go na zamku nie było, a gdy wrócił i pokazał się znowu, czy z choroby, czy ze zmęczenia, czy z wielkiej boleści tak był zmieniony, zestarzały, iż litość brała patrzeć na niego.

Kazała go królewna przywołać do siebie; ale w rozmowie z nią o Dosi wzmianki żadnej nie było. On nie wspomniał o niej, Anna też czy umyślnie, czy zajęta innemi sprawami, nie mówiła wcale o utraconej słudze.

Wychodzącego od królewnej zaczepiła Żalińska.

— Gdzie waćpan bywał?

— Jeździłem na wieś, sądząc, że mi powietrze inne pomoże — rzekł. — Nie przyznał się nawet, że był w Niepołomicach.

Nigdy on od lepszego rozpatrzenia się we Francuzach nie był ich przyjacielem, ale od tej chwili stał się im wrogiem najzaciętszym. Gdzie tylko na nich psy wieszano i odgrażano się, Talwosz tam był pewnie i nigdy nie przyszedł z próżnemi rękami. Wiedział najlepiej o srogiej rozpuście na zamku, o nocnych zabawach króla, o jego służkach, Włochach i Francuzach, o kochankach, które tu z Paryża przysyłano. Wiedział więcej, niż wszyscy, bo twierdził, że król francuski nie pożyje długo, bo mu w sosie do szczupaka truciznę zadano taką, która go powoli ze świata zgładzić musi.

Nie minął tydzień, aż Talwosz na zamku z Jourdainem się przemówiwszy, na rękę go wyzwał, ale tu się bić nie było można. Wyjechali więc za miasto. Litwin jeszcze po chorobie nie wiele siły miał, ale wściekły był i Francuzowi, nim się złożyli, łeb szpetnie rozpłatał.

Nastawił się drugi, mszcząc za niego, i temu się dostało—dali mu pokój.

Nie mógł potem pokazywać się na zamku, bo inni odgrażali się, ale w mieście spotykał się z nimi i już go tam nie zaczepiano.

Niema pono straszniejszej męczarni dla serca, jak gdy ono między nadzieją szczęścia a zwątpieniem rzucane, jak łódka burzą w głębiny ciskana i unoszona falami do góry, naprzemiany budzi się i rozpacza. Tak żyła teraz biedna królewna Anna, która w początkach dała się słodkiemi słowy, obejściem się nader uprzejmem, nadskakującem ująć za serce, a z każdym dniem musiała ostygać i przychodzić do przekonania, że z nią, jak z innemi, odegrano komedyę tylko.

Krajczyna Łaska i inne panie dotąd były zaślepione, nie przypuszczały nawet, aby król mógł złamać słowo, dane krajowi; trwały więc w tej myśli i wpajały ją w królewnę, że żenić się musiał. Czyniono nawet przygotowania do tego.

Anna słuchała, nie śmiejąc przeczyć, zaledwie czasem rzucając zimniejsze, obojętne słowo, ale Łaska i towarzyszki jej natychmiast głośno, gorąco protestowały.

Król wprawdzie nie był częstym gościem u tej mniemanej narzeczonej swej, co się tłumaczyło zajęciem sejmowem, troskami rządzenia, lecz ilekroć się zjawiał, mógł wistocie utrzymać w błędzie, tak się silił na okazywanie niezmiernej czułości dla królewnej. Uśmiechał się, dowcipkował, jak zalotne dziewczę starał podobać, wyrywały mu się dwuznaczne słowa, wychodził potem rad z siebie, i nikt, oprócz jego minjonów nie wiedział, iż sam szydził z tych zalotów, że potem smutną twarz i postawę Anny przedrzeźniał, mowę jej i westchnienia naśladował, co dworaków pobudzało do śmiechu.

Po takich odwiedzinach królewna jakiś czas żyła niemi, rozweselała się, tłumaczyła sama sobie obawy

jako płonne, to co o Henryku mówiono, jako złośliwe potwarze.

Z jednej strony Łaska o kobiety jej przemawiały za narzeczonym, z drugiej Czarnkowski i biskup chełmski nie oszczędzali go.

Rodzaj życia, jaki król prowadził, choć się starano je pokryć, choć nawet najlepiej u Henryka położony podkomorzy Jaśko z Tęczyna nie był ani przypuszczany, ani wtajemniczony w nocne zabawy, nie mógł pozostać tajemnicą. Gawiedź zamkowa umiała podpatrywać, odgadywać, rozumieć.

Wiedziano, że Naneta od Sederyna po męsku przebrana przychodziła na zamek i bawiła tu do dnia białego. Oprócz niej były inne. Ani młodość, ani krewkość nie mogły wytłumaczyć jawnego zgorszenia, jakie król dawał. Duchowieństwo, wiele przebaczać nawykłe w ostatnich latach panowania Augusta, w tem życiu coś jeszcze poczwarniejszego widziało. Krzyczano na Sodomę i Gomorę!

Gdy któremu z Francuzów, szczególniej Pibrakowi dawano delikatne przestrogi, oburzał się przeciw potwarzom, nie dawał mówić, oskarżał Polaków o dzikość i barbarzyństwo. Król i tak dosyć był umęczony, osamotniony, żeby mu nawet rozerwać się z młodzieżą swą nie dopuszczano!

Napróżno biskupi, szczególniej Pibrakowi, rozpowiadali, jak w kraju panowało straszne przeciw królowi oburzenie, jakie chodziły paszkwile. Wistocie nigdy pewnie w Polsce takiego nie bywało rozpasania słowa i odgróżek.

Szlachta na zjazdach wołała otwarcie, iż elekcya nic nie była warta, że to był król ślepych Mazurów, którego oni sobie okrzyknęli. Mówiono, że go precz pozbyć się potrzeba. Sprawa Zborowskich była pozorem, wistocie pod tym ruchem kryły się intrygi przyjaciół cesarza i partyzantów Ernesta.

Posługiwano się wszystkiem. Infantka, którą senatorowie sami chcieli wprzódy obezwładnić i usunąć na stronę, teraz w oczach nieprzyjaciół króla rosła ze

swemi prawami. Wyrzucano mu, że się z nią nie żenił i zadawano to jako złamanie paktów.

Dzięki temu Anna stawała coraz wyżej, w miarę jak Henryk spadał.

Francuzi na mieście prawie się pokazywać nie mogli: drwiono z nich, urągano się, zaczepiano, ścigano. Na wrotach i ścianach spotykali się z wizerunkami poczwarnemi króla i napisami obelżywemi.

Czy król o tem wiedział, czy nie, ale wcale go to nie zdawało się obchodzić. Obowiązki swe pełnił przymuszony, niechętnie, wyrywał się jak tylko mógł z rady, zamykał w swoich pokojach i dostukać się już do niego nie, było można.

Z tych izb zamkniętych szczelnie i strzeżonych przez Gaskończyków dochodziły śmiechy, muzyka, okrzyki, brzęk naczyń... a Polacy tylko z za drzwi przysłuchiwać się mogli tej wesołej myśli.

Jedną tylko miał dla nich dobrą stronę król — rozsypywał, co miał z rozrzutnością niesłychaną.

Znaną była owa Jagiellońska szczodrobliwość tradycyjna Władysława, Aleksandra, Olbrachta, ale Francuz dawał tak, jakby do niczego najmniejszej ceny nie przywiązywał. Wogóle tego, co się tu z nim i koło niego działo, nie brał na seryo.

Przytem największy w świecie nieład panował na tym dworze, jakby na popasie w gospodzie. Przyjmowano posłów tak, iż zdumieni wychodzili tym monarchą, który się im jakimś paziem wydawał, tak nie po królewsku występował. Urzędnicy dworscy musieli zastępować króla, gdy posłów traktować należało, bo na stół królewski często i naczynia i potraw brakło.

Tęczyński, podkomorzym uczyniony, głowę tracił.

Co było przygotowanym na dzień jutrzejszy, zjadano w nocy, rano nikt w porę nie wydał rozkazów— i na obiad jeść nie było co.

Książę Nevers, Pibrak, rządził, kto chciał, dysponował pierwszy lepszy, rozkazy się krzyżowały — a senatorowie przed obcymi wstydzić musieli.

Po posłuchaniu u króla moskiewski poseł na obie-

dzie u jednego z panów bez ogródki powiedział, iż szkoda było narodu dla takiego króla, który wcale do potężnego monarchy podobnym nie był.

Kolczyki u uszów królewskich, obcisłe spodeńki, białe rączki, trefione włosy raziły i śmieszyły.

Starsi panowie boleli, pocieszając się tem, iż z czasem wszystko się zmienić musi, król z językiem i obyczajem się oswoi, Francuzi powoli do domu powrócą, otoczą go Polacy i przerobią na lepszego.

Francuzów w samej rzeczy ubywało. Bito ich, pędzano i tak im było wkońcu niewygodnie, iż się jeden po drugim wypraszał. Niektórzy poprostu uciekali.

Z tych, co bliżej Henryka stali, Jan z Tęczyna, mianowany podkomorzym, przypuszczony do większej zażyłości, dał się ująć i bronił króla gorąco. Widział i on wady jego, ale je przypisywał młodości, chwalił dobre serce i łagodność. Henryk, umiejący się przypodobać, gdy chciał, pozyskał go sobie.

Wielu też z senatorów było za tem, aby króla do małżeństwa nie zmuszać, ten punkt paktów pokryć milczeniem i zapomnieć o warunku, który mógł odstręczyć młodego pana. Zborowscy, Tęczyński, Opaliński, Górkowie, Kostka i wielu innych byli za tem. Biskupi kujawski i płocki popierali to zdanie. Nie rozprawiano o tem głośno, ale samo milczenie i nienaglenie o małżeństwo mówiło.

Właśnie dlatego, iż żenić się wcale nie myślał, a on i dwór królewnę „starą czarownicą" między sobą nazywali, Henryk, ile razy się z nią spotykał, starał się ją uśpić grzecznością, okłamać uprzejmością nadzwyczajną.

Jedyny to był talent młodego pana, iż nikt nad niego nie umiał zręczniej zmyślać serdeczności, gdy w duszy nie kochał nikogo.

Naówczas już z pewnością przychodziło na myśl to, co później, starał się naprózno wykonać: chciał powrócić do Francyi, gdzie na niego po bracie korona czekała, a Polskę, na wzór Ludwika Węgierskiego, zdać wielkorządcom. Zresztą lekko sobie ważył tę koronę.

Gdy sejm nareszcie się skończył a wiosna zbliżała,

myślano tylko o wycieczkach, zabawach, turniejach, o rozrywkach dla wielce znudzonego pana, a młodzież polska, zachęcona przez Jana z Tęczyna, gotowała się do turniejów, do tańców, do uczt, w których uciekających Francuzów zastąpić miała.

Wybierając się już do Niepołomic, Henryk, który oddawna nie był u Anny, oznajmił się jej na pożegnanie. Była tak słabą, że znowu z radością przyjęła ten dowód pamięci o sobie. Ubrała się staranniej i czekała na zapowiedzianego.

Henryk nadzwyczaj wyelegantowany, woniejący, przybył z jednym tylko swoim grand prevôt, Villequierem, i sekretarzem Beaulieu. Od progu przywdział maseczkę nadzwyczaj wesołą, zobaczywszy stojącą i oczekującą na siebie Annę, która stała smutna i blada.

— Nieprawdaż — rzekł, biorąc ją za rękę, którą przytrzymał chwilę, — iż mi za złe nie macie tak długiego zapomnienia. Lecz wyraz to nie właściwy. Pamiętałem, smuciłem się, wybierałem i nie dopuszczono mnie do was. Panowie senatorowie polscy są prawdziwymi tyranami i nie ja nad nimi, ale oni panują nade mną! Trzymano mnie często głodnego do nocy!

Henryk śmiał się.

— Ale nareszcie ten sejm się raz zakończy, i wszyscy, oni i ja odetchniemy swobodniej. Jadę do tego zameczku w lasach, który i W. Król. Mości znajomym być musi, bo mi mówią, że tam ojciec jej zwykł był polować.

— I ja byłam tam wiele razy—odparła, ożywiając się powoli Anna. — Nie spodziewaj się jednak W. Król. Mość ani wiele przyjemności, ani wygód w Niepołomicach. Miejsce jest odosobnione i dzikie.

— Tem swobodniej tam odetchnę — rzekł król — aby potem do Krakowa powrócić odświeżony i wypoczęty. A W. Król. Mość co postanowiliście?

— Ja?—spytała nieco zdumiona Anna. — Ja? jak W. Król. Mości wiadomem być musi, wcale dotąd mej woli nie mam. Panowie senatorowie panują daleko despotyczniej nade mną. Dotąd nic się od nich doczekać nie mogłam, ani uregulowania sprawy spadku mojego i sióstr

po bracie, ani opatrzenia mnie na przyszłość. Wiele dóbr macierzystych mi pozabierano...

Anna już parę razy wprzódy napomykała o tem królowi, podniosła ku niemu oczy. Henryk się zarumienił, zapomniał zupełnie o tem, co jej przyrzekał.

— A! proszę wierzyć — przerwał żywo, rękę kładnąc na piersiach — nie moja wina! Zawsze pp. senatorów! Co do mnie, gotówem wszystko po myśli i wedle życzenia waszego rozstrzygnąć, podpisać.

— Uczyńcież to, W. Król. Mość — odparła Anna bo niepewność jest przykra, a oprócz tego siostrom odwiedzialną się czuję za zwłokę. Ja tu jedna bronię sprawy królowej szwedzkiej i księżnej brunświckiej.

Król słuchał już jednem uchem tylko, co najprędzej pragnąc się wymknąć, ale Anna dodała jeszcze:

— Proszę bardzo W. Król. Mości o rozstrzygnięcie. Moje nalegania niewiele znaczą, słuchać mnie nie chcą, W. Kr. Mość masz prawo.

Król się kłaniał i przymrużał oczy, a usteczka krzywił zalotnie.

— Ale możesz W. Król. Mość być pewną, że co do mnie—rzekł—z oczyma zamkniętemi podpiszę wszystko, co może jej zapewnić spokojność. Chętnie uczyniłbym ofiarę nawet.

— Ja żadnej anibym przyjęła, ni potrzebuję wymagać — odezwała się Anna — żądam tylko sprawiedliwości. Dotąd nie obmyślano dla mnie nic, a nawet do własności swojej przyjść nie mogę.

— A — przerwał nagle Henryk — ta nieszczęśliwa sprawa tego biednego kasztelana ze Zborowskimi! Ile nam ona czasu zabrała, jak zawichrzyła wszystkiem! Dzięki Bogu skończona raz, chociaż miałem to nieszczęście, że chcąc wszystkich zaspokoić, nie podobałem się nikomu. Zborowscy sądzą mnie nazbyt okrutnym, pani Wapowska zbyt pobłażającym.

Nie widać było z tonu i dźwięku mowy, aby to wszystko wielce króla obchodziło. Lekko się wyrażał,

a uśmiech sarkastyczny, dwuznaczny, do którego był nawykłym, nie przestawał błądzić mu po ustach. Czasem roztargniony spoglądał na panny fraucymeru królewnej, stojące za nią i jedno oko przymrużał.

Królewna, podziękowawszy za obietnice, dodała, iż polega na nich i będzie czekać spełnienia.

— Chociaż jadę do Niepołomic — dodał król, — nie dadzą mi i tam spokoju i będę pamiętał, aby nic nie zalegało, a sprawa W. Król. Mości będzie dla mnie najpilniejsza.

Wprędce potem król, jakby się tem chciał przypodobać Annie, począł chwalić polską wiosnę.

— Obiecują mi polowanie piękne, lasy mają być wspaniałe.

— I dawniej zwierza były pełne — przerwała Anna— a że tam nikt polować nie miał prawa, dziś też obfitować muszą we wszystko.

Zapytała jeszcze królewna o wiadomości z Francyi i zdrowie królowej matki, na co posmutniawszy Henryk odpowiedział, że od trzech dni listów nie miał, co go wielce niepokoiło.

— O zdrowie matki mniej jestem niespokojny— dodał, —więcej się troszczę o najukochańszego brata, który już cierpi oddawna, a swego doktora Ambr. Paré słuchać nie chce, poluje nadto i zrywa piersi, ucząc się grać na trąbce myśliwskiej.

Królewna szepnęła, iż słyszała, jakoby wiersze też pisywał, na co się Henryk uśmiechnął.

— Tak mówią — rzekł szydersko, — ale ma przytem tyle rozsądku, że się z tem nie chwali. Królowie mają zbyt wiele do czynienia, aby poezyą się zajmowali. A potem, od czegóż Ronsard?

Królowi zdawało się, że nad zwykłe jej rozmiary przedłużywszy rozmowę z królewną, musiał ją już uszczęśliwić i na długo nakarmić; zakręcił się kłaniając grzecznie, uśmiechnął się zalotnie i wesoło, elastycznym krokiem tancerza poszedł ku drzwiom. Wszystkie panie patrzyły za nim zachwycone, tak zręcznym był, gibkim i młodzieńczo się wydawał.

Łaską cieszyło to dla Anny.

— Takiego mieć będzie ślicznego męża!

Nie wątpiła bowiem, iż mieć go będzie.

Królewna po wyjściu Henryka natychmiast usunęła się do sypialni, aby tam chwilę przemarzyć. Jak uczeń wypuszczony ze szkoły, młody król śpieszył do swych apartamentów. Tu go wielka spotkała radość. D'Entragues, którego lubił bardzo, rówieśnik przyjaciel, przybywał z listami z Francyi.

Czekali wprawdzie oddawna na króla Opaliński, Zebrzydowski, świeżo mianowany wojewodą i biskup płocki, ale d'Entragues przywoził tak upragnione listy z Francyi, iż nic nie mogło równoważyć się z niemi.

Pibrak pobiegł przepraszać, składając się listami od matki i panowie senatorowie raz jeszcze z niczem odejść musieli.

D'Entragues nie miał nawet czasu zrzucić butów, w których podróż konno pośpiesznie odbywał, wprowadzono go do gabinetu, którego drzwi natychmiast na rygiel zostały spuszczone.

Gdy się znaleźli sami, Henryk zrzucając z ramion płaszczyk i kapelusz z głowy, westchnął głęboko.

— A! przyjacielu! — zawołał, ręce łamiąc — kiedyż ja z tej niewoli babilońskiej wyswobodzonym zostanę? Nie wiesz, na szczęście twe, co to jest siedzieć tu na ciężkiej pokucie w kraju niedźwiedzi, piwa i szabel krzywych, gdzie ludzie się po całych dniach kłócą, godzą, zabijają, a kłótnię i zgodę zapijają beczkami tego narodowego napoju.

Wzdrygnął się.

— D'Entragnes, co ty mi przywozisz? Matka? król? d'Alençon? co się u was dzieje?

D'Entrauges dobywał listy.

Dowiecie się trochę z tego, co pisze królowa, chociaż poleciła mi, abym dopełnił tem, co mi ustnie zwierzyła... król jest coraz gorzej.

Henryk spojrzał bystro.

— Co mówi Paré?

— Milczy, to najgorzej — odparł spytany. — Król

wcale się oszczędzać nie chce, a łóżka niecierpi. Choroba się wzmaga widocznie.

— Groźną jest? — szepnął Henryk.

— Przynajmniej się nią wydaje — mówił d'Entragues — nam wszystkim i królowej matce, która wcześnie zapobiegać musi, aby w razie nieszczęścia, d'Alençon, król Nawarry, a z nimi Condé, Turenne i ich przyjaciele nie pochwycili regencyi.

Brwi Henryka się ściągnęły, listy, które trzymał w ręku, ścisnął konwulsyjnym ruchem.

— Zdaje mi się — rzekł stłumionym głosem, w którym czuć było namiętne poruszenie—zdaje mi się, iż królowa ma dosyć środków, aby ich nieszkodliwymi uczynić i nie spuszczać ich z oka. Regencya jej jednej należy; źleby było, gdyby ją miał d'Alençon pochwycić. Zapobiedz temu potrzeba.

— Sądzę, że zapobieżono — odparł żywo d'Entragues—królowa ma na sercu sprawę W. Kr. Mości, jak swą własną.

— Bo też ona jest naszą wspólną — przerwał Henryk. — Potrzeba mieć oko nietylko na brata mego i na tego chytrego króla Nawarry, który tak dobrze umie, gdy mu potrzeba, udawać dobrodusznego. Kondeusz, Montmorency, de Cossé, Turenne i Thore są niebezpieczni.

Uśmiechnął się d'Entragues.

Wszyscy oni są tak dobrze, jak w ręku naszym — rzekł, — o to W. Kr. Mość możesz być spokojnym. Wątpię, ażeby czas mieli do ucieczki, a najmniejszy ruch podejrzany pozbawi ich swobody.

— Do Bastyllii—zamruczał Henryk.

— Trudniej będzie z d'Alençonem i królem Nawarry — ciągnął dalej przybyły, — ale ci się na żaden krok stanowczy bez pomocników ważyć nie będą.

— I trzeba, ażeby mnie los nieszczęśliwy zaniósł tu na drugi koniec świata i związał, abym tylko zdaleka musiał niepokoić się i trwożyć.

— A! W. Kr. Mość możesz być zupełnie spokojnym—

dodał d'Entrauges. — Królowa czuwa, nic zaniedbanego niema.

— Mów mi jeszcze o Karolu — przerwał Henryk.— Jestże on wistocie tak źle?

— Wnosząc z twarzy — szepnął przybyły — zdaje się, że choroba z każdym dniem staje się groźniejszą. Pomimo starań lekarzy, wychudł strasznie, gorączka go trawi. Paré powiada przed tymi, którym ufa, iż w tym wieku, w jakim król jest, choroba jest groźniejsza, niż w starości.

— Zmienił życie?—zapytał Henryk.

— Bynajmniej.

— A królowa młoda? — tu spojrzał bystro w oczy przyjacielowi, który go zrozumiał.

— Niema o to obawy — szepnął d'Entragues — jedynym potomkiem zostanie dziecię Maryi Touchet.

Henryk się uśmiechnął.

— To nikomu przeszkadzać nie będzie — odparł, rzucając się na krzesło.

— Musisz być straszliwie zmęczony, d'Entragues?— dodał, — ale ja ciebie nawet dla zrzucenia butów tych puścić nie mogę, póki mi nie powiesz wszystkiego. Tak chciwy jestem nowin z Paryża, tak stęskniony za wami! A! co za kraj! co za ludzie! I na końcu jak miecz Damoklesa wisi nade mną straszna ostateczność ożenienia się z kobietą, która matką byćby mi mogła, a mówią o niej, że jest czarownicą, że struła brata własnego i odziedziczyła po matce wszystkie przymioty, które tu pamięć jej czynią odrażającą.

D'Entragues spojrzał na niego.

— To małżeństwo—począł.

— A! to małżeństwo — nie dając mówić, dorzucił król — to małżeństwo byłoby śmiercią dla mnie! Czemś jeszcze gorszem od śmierci, męczarnią...

— Nie naglą W. Kr. Mości?

— Wywijam się jak mogę — począł Henryk żywo. — Łudzę, zwlekam, nie daję im mówić nawet o tem. Część senatorów jest za mną, spodziewam się przez nich resztę pozyskać.

Sparty na ręku, mówił z oczyma spuszczonemi i podniósł głowę nagle.

— Miałżebym tu do tych lodów przykuty pozostać na zawsze? — zawołał. — D'Entragues! Wy na to nie pozwolicie, ja nie wytrzymam!

Wstał z krzesła.

— Dopókiż tak mój los pozostanie nierozstrzygnięty?—zawołał.

— Nie powinno to potrwać długo — rzekł d'Entragxes. — Wiem, że i królowa matka tak sądzi. Dlatego czyni wszelkie przygotowania, aby katastrofa nie zastała ją nieczujną.

— Jestże ona nieunikniona? — cicho, jakby sam się tego obawiał, co miał wyrzec, szepnął Henryk.

— Tak się zdaje—potwierdził d'Entragxes.

Nastąpiły mnogie pytania o szczegóły, o pobyt d'Alençona i króla Henryka, o Kondeusza, o tych, których król uważał za najniebezpieczniejszych. Poseł królowej matki upewniał, że pamiętano o wszystkich, że nikt nie mógł nic przedsięwziąć, czemuby baczna królowa nie zapobiegała zawczasu.

Naostatek d'Entragues został wypuszczony z gabinetu, a Henryk listy przywiezione przez niego czytać zaczął.

Cały potem wieczór oblegano przybyłego z Paryża, bo każdy miał o kogo pytać, ale d'Entragues otwarty z królem, przed innymi skąpym był w słowa. Składał się nieświadomością.

Nie przeszkodziło przybycie tego posła postanowionej wycieczce do Niepołomic, dokąd oddawna kredensy, kuchnie, służba i łowcze przybory wyprawione zostały. Zabrano Francuza ze sobą.

Tu na ustroniu król się czuł swobodniejszym daleko, nie tyle oczu na niego patrzało. Przybywających panów pojono tak, aby nie wszystko, co się tu działo, widzieli. Henryk mógł zapomnieć o paszkwilach i usposobieniu niechętnem dla siebie, bo tu mu o nich nie donoszono.

W Krakowie tymczasem nawet pobytowi temu

nie przebaczano, rozpowiadając o nim rzeczy straszne. Wiedziano, ile Francuzi zabrali z sobą przyjaciółek, że Nanetę Sederyn po męsku przebraną we własnej wyprawił kolebce.

Zmniejszyła się liczba Francuzów, ale nienawiść dla nich urosła. W gospodzie u Grocika krążyły poczwarne plotki o zabawach nocnych na zamku. Zamek choć zamknięty nie miał tajemnic, zdradzała je czeladź, a najmniejsza rzecz starczyła złym językom, aby z niej straszną potwarz skleiły. Gawiedź krakowska zresztą w tem oburzeniu swojem była wyrazem tego uczucia, jakie się odzywało w wyższych kołach.

Chciano mieć króla, któryby majestat swój blaskiem cnoty uczynił wielkim; ostatnie lata życia Augusta dosyć już przyniosły zgorszeń i goryczy. Natomiast płoche chłopię wiodło za sobą srom i upokorzenie. Wstydzić się za nie trzeba było przed posłami obcymi, przed ludem, przed światem. Ludzie wywozili z Krakowa tylko powieści o rozpuście i nieładzie.

Nie jeden raz odzywały się już głosy, że króla takiego cierpieć się nie godzi; ale ślub monarchy z krajem wydawał się tak nierozerwalnym jak pasterza z owczarnią, jak męża z towarzyszką życia. Rozwód był niepodobnym.

Wymyślano więc różne środki, jakiemiby na inną drogę wprowadzić młodego pana, a ożenienie stosowne wydawało się wielu jednym z najskuteczniejszych.

Dysydenci chcieli księżniczki niemieckiej, katolicy bodaj rakuskiej. Anna miała być uposażoną i skazaną na wieczne osamotnienie.

Wyzdrowiawszy Talwosz, który chodził długo, jak błędny, przysłuchując się temu, co mówiono, podburzając przeciwko Francuzom, trawiony jakimś niepokojem, po wyjeździe króla począł się także gdzieś wybierać. Nie zwierzał się nikomu. Podróż to postanawiał, to odkładał, niepewien, co pocznie.

Jednego dnia wkońcu oglądano się za nim u Grocika, gdzie często bywał, rozmowom i plotkom się przysłuchując, a na zapytanie o niego odparł ktoś, iż go zrana widziano jadącego konno za miasto.

Talwosz wistocie ruszył do Niepołomic. Nikomu się on z niczego nie spowiadał, zdawało się jednak, iż historya Zagłoby i z nim wyjazd Doroty były mu podejrzane. Posądzał piękną Dosię, że gdzieś się dla kogoś ukrywać musiała.

Jak wpadł na myśl, że w Niepołomicach być mogła? Króż to odgadnie?

Mieścinę tak zastał pełną, iż konia postawić a sobie noclegu zapewnić było trudno. Zjazd był wielki. Bawili przy królu niektórzy senatorowie, urzędnicy niezbędni, wszyscy Francuzi ulubieni i mnogo się przemykało proszących, którzy na szczodrobliwość Henryka rachowali.

Litwin znalazł sobie niepoczesny dworek mieszczanina, w którym go przyjęto. Postawiwszy konia, następnego dnia, ubrany tak, aby oczu na siebie nie zwracał, poszedł z innymi krążyć około zamku i patrzeć na to, co się tam działo.

Życie było bardzo huczne. Tuż około zamku plac obwiedziony służył za miejsce popisów dla biegających do pierścienia, którym się czasem zabawiano, lub na turnieje, chociaż one gorzko jeszcze nieszczęśliwą sprawę Wapowskiego przypominały.

Za gośćmi ściągnęło do Niepołomic mnóstwo różnych przekupniów, spodziewających się z nich korzystać. Bezpiecznie więc w tym różnorodnym tłumie obracać się mógł Talwosz, nie będąc śledzonym i poznanym. Zwracał on oko baczne na wszystkich wchodzących i wychodzących, na służbę, na tych, co zamek zajmowali. Miał nawet przyjemność widzieć tego dnia sławną Nanetę, którą mu tak dobrze opisano, iż ją poznał odrazu. Oprócz niej było kilka kobiet.

Talwoszowi na tę samą myśl, iż w podobnem towarzystwie zmuszonym był szukać swej Zagłobianki, serce się krajało, krew zalewała twarz.

— A! nie—mówił sam do siebie,—to urojenie, to być nie może!

Jakaś śmieszna, chorobliwa ciekawość przytrzymała go tu aż do późnego wieczora, gdy wszystkie okna zapłonęły światłem i król, po powrocie z łowów, do stołu miał

siadać. O mroku cały jego dwór zaczął się poruszać swobodniej.

Talwosz już miał opuszczać zamek, gdy postać jakaś mężczyzny młodego, z ruchami nieśmiałemi zwróciła jego oczy. Sam nie wiedział dlaczego na widok jej serce mu bić zaczęło. Stał tak, iż idący tuż koło niego przechodzić musiał. Im się bardziej zbliżał, tem straszniejsza bladość okrywała smutną i wynędzniałą twarz nieszczęśliwego Talwosza.

W tym zręcznym, ale bojaźliwie się przesuwającym chłopaku poznał Dosię Zagłobiankę. W pierwszej chwili taka boleść go przejęła, tak uczuł się nieszczęśliwym, że zdrętwiały pozostał w miejscu. Wyminęła go, idąc ku bramie. Lecz w tymże momencie oprzytomniawszy, Litwin biegł już za nią i śmiało w ciemnych wrotach za rękę pochwycił.

Twarzy jego dojrzeć nie mogąc, Zagłobianka odepchnęła silnie śmiałego napastnika, który zawołał:

— Panno Doroto! ja to jestem! Na Boga! Mamże oczom moim wierzyć! Wy w tem ubraniu! W tem miejscu! A! tak...

Zagłobianka stała niema, nie próbowała nawet uciekać.

— Tak—odezwała się zuchwale—ja to jestem; czego chcesz ode mnie? Jakie masz prawo?

Głos jej zamarł w ustach.

— Prawo!—krzyknął Talwosz, idąc za nią, gdyż poczęła bramę mijać, jakby na zewnętrzne podwórze wyjść chciała.—Mam takie prawo, jak człowiek, który tonącego ratuje.

Dorota, wyszedłszy na podwórzec, stanęła, założyła dumnie ręce na piersi.

— Według was ja już jestem trupem—rzekła szydersko,—nie masz więc już obowiązku mnie wyciągać!

— Wy! wy! moglibyście upaść tak straszliwie, tak nizko?—począł Talwosz z uniesieniem.

— Widzicie—odezwała się zimno dziewczyna.—Przyszliście zapóźno.

Rozśmiała się niewesoło. Talwoszowi mimo oburzenia na płacz się zbierało.

— I to—zawołał—koniec waszych wszystkich nauk, owoc książek i czytania, mądrości, której byłaś tak chciwą!

Zagłobianka nic nie odpowiadając, ruszyła ramionami.

— Nie, to nie koniec—odparła po przestanku—a jaki on będzie, nie wiem. To pewna, że nie wrócę tam, skąd przyszłam, ale pójdę dalej.

— Na zgubę!—zawołał Talwosz.

— Może!—zimno znowu szepnęła Dorota—ale do czego się to zdało wszystko, że mnie waszmość gonisz, szpiegujesz i narzucasz mi swoje nauki i opiekę. Widzisz, że zrobiłam, com chciała! Zawracać się ani mogę, ani myślę. Chcesz się mścić i prześladować mnie za to?

Talwosz się rzucił oburzony.

— Panno Doroto—zawołał,—tak to mnie znasz, iż możesz o zemstę i prześladowanie posądzać? Widzę cię ginącą, płakać mi się chce. Mylisz się, sądząc, że zawrócić nie można. Zawsze czas.

— Nie—odparła Dorota, która znacznie zdawała się ostygłą.—Nie. Zapóźno już.

Ponieważ około bramy kręciło się wielu ludzi, którzy podsłuchiwać mogli, Zagłobianka zaczęła powoli iść dalej, prowadząc za sobą Talwosza.

Stanęli wśród placu, dzielącego od miasteczka. Zagłobianka się zatrzymała. Szła dotąd z głową spuszczoną, zadumana, podniosła ją, spoglądając na Litwina, który wlókł się za nią cały przejęty i drżący.

— Talwosz—rzekła, zbliżywszy się nieco ku niemu.— Prośbę mam do ciebie.

Nie było odpowiedzi, pogrążony w myślach, zgryziony Litwin milczał.

— Trzymaj o mnie, co chcesz—rzekła, — ale nie zdradź przed królewną i tymi, którzy dawniej mnie znali.

— Wstydzisz się więc sama?—przerwał Talwosz.

— Wstydzę, gryzę się, jestem nieszczęśliwa—rzekła Dosia.—Nie wiem, jak do tego doszło, co się ze mną stało. Winnam ja, winien mój los, przeznaczenie... lecz

co się stało, powtarzam, odstać się nie może. Lituj się, łaj, ale nie czerń mnie przed ludźmi. Ty kiedyś może przebaczysz, albo przeklniesz mnie.

Nie mogła dokończyć. Talwosz słuchał z politowaniem.

— Nie powiem nikomu nic—odparł,—na coby się to przydało? Francuzów i tak nienawidzą wszyscy, ale jakże wy, wy z rozumem waszym mogliście dać tak się uwieść nikczemnie, tak upaść?

— Człowiek nie zawsze rozum ma—rzekła po chwili. —Nie pytaj.

— Jakaż przyszłość?—spytał Litwin.

Dosia poruszyła ramionami.

— Żadnej, ja nie myślę o niej.

Zamilkli; Litwin ani jej porzucić nie mógł, ani tak rozmowy skończyć.

— Wszystko to dla mnie zagadka i tajemnica—dodał po chwili.—Niech choć wiem, dla kogo poświęciliście tak wszystko.

Dosia podniosła oczy i długo na niego patrzała.

— Na co ci się wiedzieć zdało—odparła.—Wart czy nie wart, była godzina, żem go sądziła godnym tego. Może dziś myślę inaczej—westchnęła—ale dziś... —powtórzyła rozpaczliwym niemal głosem:—Zapóźno! zapóźno!

Talwosz nie odchodził jeszcze.

— Panno Doroto—rzekł—słówko, Francuzi się u nas nie osiedzą; o samym królu nawet nie wiem, czy my z nim, a on z nami wyżyć potrafi. Przyjdzie może godzina, gdy wam pomoc będzie potrzebna. Wiecie, gdzie mnie szukać.

Dorota podała mu rękę i szepnęła smutnie:

— Bóg zapłać!

A wnet zmieniając rozmowę, dodała:

— Co robi królewna?

— Płacze czasem, niekiedy się łudzi—odpowiedział Talwosz.—Krajczyna i jej przyjaciółki utrzymują i żywią nadzieję, że król się z nią ożeni.

Rozśmiała się Zagłobianka.

— A!—przerwała,—kto jej dobrze życzy, ten myśli podobne wybić z głowy powinien. Król się wzdryga na samo wspomnienie o niej. Nie ożeni się nigdy, może ani z nią,

ani z żadną inną. Ludzie mu odmalowali królewnę jako niebezpieczną trucicielkę i czarownicę. Wie, że ma lat blizko pięćdziesięciu, a on...

Rzuciła ręką w powietrzu.

— Zawczasu ją przygotowujcie do tego, ażeby się nie uwodziła—dodała Dosia.—Wyposażą ją i wyprawią kędyś na Mazowsze, nikt się ani ujmie za nią. Biedna sierota. Siostry, brat, kraj, opiekunowie, wszyscy ją opuszczają.

— Mówmy o pannie, nie o niej—przerwał Talwosz, który przewidywał, że będzie musiał rozstać się z Dosią.— Dwór w Niepołomicach zawsze zostać nie może, powróci w końcu maja do Krakowa, panna się tam pokazać nie możesz, cóż zrobisz z sobą?

Zagłobianka obojętnie ramionami potrząsnęła.

— Jak gdyby w tym dużym Krakowie—rzekła—albo na przedmieściach, nie było dla mnie kąta? Skryję się gdzieś od ludzkich oczów.

— A cóż to będzie za życie?—spytał Litwin.

— Spytaj, jakie ono jest teraz?—przerwała mu Dosia której mowa, słowa, dźwięk głosu powiadały, że wcale szczęśliwą nie była.

Obejrzała się po nocnem niebie, na którem jasne gwiazdy świeciły. Chłodna, spokojna noc wiosenna ciszą jakąś niezupełną świat do snu kołysała. Zdala słychać było rzechotanie żab, jakieś szelesty tajemnicze lasu, jakieś szeptanie wiatru i stłumione szczebiotanie ptasząt.

Dosia objęła oczyma widnokrąg, podała rękę Talwoszowi.

— Bądź zdrów!—szepnęła niewyraźnym głosem.— Nie myśl o mnie!

I pobiegła nazad ku zamkowi.

Wiedziano bardzo dobrze w Krakowie, co się działo w Niepołomicach, codzień prawie ktoś tam jechał lub stamtąd przybywał, ale do królewnej Anny dochodziły

tylko te wiadomości, które troskliwy o nią dwór jej dopuszczał.

Nikt z tych, co jak Solikowski lub biskup chełmski, jaśniej widzieli położenie, nie śmiał rozczarowywać Anny i przynosić jej wieści, któreby ją zasmucić musiały.

Wszyscy widzieli, że owo małżeństwo, którem się jeszcze łudzono, gdyby nawet możliwem było, bardzo nieszczęśliwemby być musiało.

Poznawano coraz lepiej owego księcia andegaweńskiego, który zdala wydawał się rycerskiem panięciem, a zblizka był zepsutym chłopakiem, który sobie żartował ze wszystkiego, a sam potrzebował tylko zabawy i roztargnienia. Tych trudno mu było dostarczyć.

Francuzów ubywało, gdyż pobyt w Polsce stawał się dla nich coraz trudniejszym, zapominając o panu uciekali, gdy tylko mogli; z Polakami ani się rozmówić, ani zrozumieć, ni do ich obyczajów nie mógł Henryk nawyknąć.

Tęczyński, najbliższy króla, najmilszy mu może, był za szlachetnym, zanadto zacnym młodzieńcem, aby mógł on z nim przestawać na stopie zupełnego zaufania.

Z zaślepieniem i prostotą jakąś dziecinną prawie, podkomorzy króla daleko innym, lepszym sobie wyobrażał i czynił, niż był wistocie. Ile razy król się z czem niezdarnem mimowoli zdradził, Tęczyński nie brał tego na seryo a poważniejąc, zmuszał Henryka do zwrotu.

Z tym swoim podkomorzym król był, jak ze wszystkimi Polakami, niedowierzającym i ostrożnym. Kłamał po prostu, aby się od niego uwolnić i wydawać jemu innym niż był.

Dlatego też Tęczyński, ilekroć była mowa o królu, gorąco go brał w obronę, wynosił jego przymioty, ujmował się, tłumaczył go, ręczył za niego.

Wieczorami podkomorzy odprowadzał zwykle aż do łóżka, król przy nim się rozbierał, kładł do snu. Tęczyński siedział, aż usnął, zasuwał firanki królewskiego łoża i odchodził spokojny.

Po wyjściu jego, gdy nie było obawy, ażeby powrócił, Henryk wstawał, ubierał się na nowo, przybiegali Francuzi, zapalano światła, przynoszono karty, zbierali się fa-

woryci, ryglowano drzwi i zaczynały się nocne orgie, bankiety, zabawy, o których jeden pan podkomorzy nie wiedział.

Zdradził je ktoś przed Tęczyńskim, ale ten nie chciał uwierzyć, ażeby król mógł brać udział w nocnych rozrywkach—składał to na płochą młodzież. A że nad nią władzy żadnej nie miał, nic na to poradzić nie mógł.

Działo się to pod bokiem prawie królewnej na zamku, która również nieświadomą była rodzaju życia, jaki prowadził narzeczony.

Wiedziała tylko, że kochał bardzo matkę, że do niej pisywał często i miewał od niej wiadomości, że się dla tej korespondencyi zamykał, że tęsknił trochę za Francyą.

Gościem częstym zarówno u króla, jak u królewnej bywał ów karzeł Krassowski, któremu przypisywano, iż on pierwszy Katarzynie Medycejskiej poddał myśl starania się dla syna o tron Polski.

Krassowski dumny był tem i pozostał w Polsce, aby to swoje dzieło doprowadzić do końca. Marzył ono ożenieniu Henryka, znajdując, że to go na tronie utwierdzić mogło. Roztropny, żywy, dowcipny Krassowski, któremu nie zbywało na towarzyskich przymiotach, nie widział nic jasno, okłamywał sam siebie. To, czego pragnął wydawało mu się możliwem, łudził się, a naostatek zdawało mu się, że on jeszcze tu czynnym powinien być i może, aby co rozpoczął, dokończyć. Nieustannie więc prawie krążył pomiędzy królem a Anną, jemu donosząc, co się działo u niej, jej, co widział na dworze Henryka.

Król dosyć przebiegły, aby karła ocenić i umieć z tego skorzystać, posługiwał się Krassowskim i poprostu kłamał przed nim. Gdy mu potrzeba było co zanieść do Anny, jemu to powierzał, gdy się chciał o czem dowiedzieć, z niego dobywał. Krassowski w dobrej wierze, sądząc, że służy swojej myśli, był narzędziem w ręku Henryka. Stawał mu się wielce użytecznym, bo w dobrej wierze, co tylko posłyszał, donosił i wskazywał królowi, jak i od czego miał się bronić.

Częsty gość u królewnej, Krassowski tu przyczyniał się wielce do utrzymania jej i pań przyjaciółek w złudze-

niu tem, że małżeństwo nastąpić musi. A że mu prawie wszystko wolno było, często na króla nastawał, aby myślał o ożenieniu.

Henryk nie chciał go wywodzić z błędu, nie odpowiadał wprost, zbywał dwuznacznikami.

— A ty nieznośny natręcie!—mówił do karła—czyż nie widzisz, żeśmy tu jeszcze tchnąć nie mieli czasu, a wcale o przygotowaniach do wesela myśleć nie mogli?

— Wszystko przychodzi w porze tym, co czekać umieją!—kończył, uśmiechając się.

Krassowski potem biegł do Anny, zasiadał z paniami które go pieściły i bawiły się nim, jak lalką i rozpowiadał im, jako z Henrykiem, którego znał dzieckiem, otwarcie mówił o ożenieniu, i że król utyskiwał tylko, iż mu na to czasu nie dano.

Słowa karła powtarzano królewnie, a był on i zdawał się powagą, na słowach tych polegać było można. Przynosiły one i utrwalały nadzieję.

Wcale inna była rola referendarza Czarnkowskiego, który nadto bystrym był i przezornym, ażeby się dał uwieść lada czem. Zwolna starał się przygotowywać Annę do jakiegoś przewrotu, zmiany, których się spodziewał.

I on i wielu z nim nie czuli, aby Francuz miał pewny grunt pod nogami. W powietrzu była jakaś katastrofa.

Biskup chełmski, który milczał, aby nie martwić, przejęty był zgrozą z powodu płochego życia króla. Cóż się po nim można było spodziewać? Katolicy wiedzieli, że w strasznej nocy św. Bartłomieja Henryk był czynnym, choć niezbyt jawnie,—to obudzało w nich nadzieję, iż głównego nieprzyjaciela dysydentów zmoże i zwolna im cugli ukróci—to jedno pocieszało... obyczaje zrażały.

Na dworze trudno, aby się co ukryć mogło, a sam Henryk choćby był czasem chciał udawać surowszego, zdradzał się codzień roztargnieniem i niezręcznością. Francuzi jego stokroć gorzej i więcej.

Królewna wśród tych wszystkich prądów i ludzi postawiona tak, że wielu rzeczy widzieć nie mogła, a wielu nie rozumiała, sprawy sobie jasno nie zdawała ze swojego położenia. Dni jasne nadziei mieniały się z szaremi

dniami zwątpienia. Zupełnie się zwierzyć nie mogła nikomu, wstydziła się stan duszy odkryć nawet przed krajczyną, którą kochała najmocniej. Do sióstr pisząc, choć się jej bolesne słowo wyrwało, nie mówiła wszystkiego.

Taka niepewność przyszłości nawet w młodszych latach jest brzemieniem do noszenia bardzo ciężkiem.

Anna uginała się pod niem.

Krajczyna czytała to w wychudłej i smutnej twarzy, starzejącej się w oczach, a że jej szło bardzo o to, aby Anna podobać się mogła, rozpadała się, czuwała, pieściła ją, aby odżywić i odmłodzić.

Karzeł wyjechał był z królem do Niepołomic w początku, chciał się tam rozpatrzeć, aby opisać życie Henryka królewnie. W tym gwarze jednak, gdzie sobie wszyscy daleko więcej pozwalali, niż w Krakowie, wśród wrzawliwych rozrywek, przybierających coraz bardziej męzki charakter—gonitw,strzelnicy,ucztowania niepomiernego,Krassowski wprędce się uczuł znużonym, zniechęconym i postanowił powrócić do Krakowa.

Zręczny dworak jednakże w drodze sobie powiedział, że młodości wiele przebaczyć potrzeba, i że nie wszystko, co widział, należało opisywać królewnie. Przybył więc z obrazkiem tak ułożonym, aby przyjemne uczynił wrażenie. Wiózł czy nie, pokłony od króla, Krassowski je złożył u stóp Anny, zaręczył jej, że Henryk tęskni, że niebawem zapewne powróci do Krakowa, że o niej często wspomina.

Krajczyna nie posądzała go wcale o kłamstwo, a miała potem za złe biskupowi chełmskiemu, który tych nadziei świetnych, marzeń o małżeństwie słuchając, milczał, wzdychał, nigdy ich niczem nie popierając.

Prawda nie mogła z żadnej strony dojść do królewnej.

Henryk, im groźniejsze wiadomości przychodziły z Francyi, które go powołać mogły do matki, zdawał się mocniej coraz chcieć sobie pozyskać miłość i zaufanie Polaków.

Przybywający z Niepołomic wszyscy rozpowiadali iż za powrotem do Krakowa Henryk, aby się lepiej poznać z ludźmi, spraszać ma panów i szlachtę z całego kraju, że się pragnie zalecić im, serca pozyskać, języka uczyć i t. p.

Królewna, która od tak dawna nie mogła się doprosić, aby Henryk ją uznał spadkobierczynią po bracie, doczekała się wreszcie dekretu, mogła objąć, co pozostało z Tykocińskich skarbów, uczuła się zamożniejszą i swobodniejszą.

Dobre jej serce natychmiast pomyślało o podzieleniu się tem z siostrami. Chwila radości i nadziei rozjaśniła trochę widnokrąg.

— Królowo moja!—wołała uradowana Łaska—widzicie! Król jest o was troskliwy, pamięta, czuwa, myśli... Senatorowie byliby jeszcze zwlekali, on sam rozstrzygnął nareszcie.

Po tej pierwszej radosnej nowinie Jaśko z Tęczyna, podkomorzy królewski, którego się z Niepołomic, jako niewygodnego świadka pozbyć chciano, przybiegł do Krakowa i nazajutrz był u Anny.

Ten też widział wszystko w jak najpiękniejszem świetle.

— Przybywam, aby tu wszystko na zamku przygotować na powrót królewski —mówił królewnie.—Mam rozkazy króla. Będziemy się bawili i z wielką okazałością przyjmowali. Miłościwy pan chce sobie pozyskać serca, a godzien jest tego, aby go kochano! Szlachetny, uprzejmy, dobry, bez żółci w sercu, pragnie dobra wszystkich; przyszłość się obiecuje pod jego panowaniem szczęśliwa. Wszyscy się na to zgadzają, iż nie mieliśmy szczodrobliwszego monarchy, ani zdolniejszego nad niego. Dotąd on nas mało, my go wcale nie znamy, ale się to wszystko zmieni, ustaną niechęci, nienawiść musi być zwyciężona.

Z uniesieniem prawił tak długo Tęczyński, a królewna w milczeniu słuchała go z bijącem sercem.

— Nie powinni ludzie mu wyrzucać—ciągnął dalej podkomorzy,—iż się zabawia płocho. Czyni on to nie dla siebie, pragnie poznać i ująć tych, co go otaczają. Ten cel będą miały zabawy, uczty, turnieje, gonitwy, które ja w Krakowie i w ogrodzie pod Zwierzyńcem mam przygotować. Nie będziemy na to żałować.

Tęczyński cieszył się tem zawczasu.

— Wasza królewska mość—dodał do Anny się zwra-

cając—z paniami swego dworu musisz też być przygotowaną do uczestniczenia w zabawach. Król mi wyraźnie polecił ją o to prosić. Pań nam potrzeba jak najwięcej, a pięknych i mogących mu służyć do tańca. Król lubi stroje wytworne.

Krajczyna i wszystkie panie, posłyszawszy to z ust podkomorzego, zaraz po wyjściu jego zakrzątnęły się z niezmiernym pośpiechem, gotując suknie, ubiory, wszystko, co jak z największym zbytkiem i elegancyą wystąpić im pomagało.

Królewna nigdy bardzo o strój nie dbająca, choć najmniej się tem zajmowała, dała się wciągnąć, ulegała namowom, rzuciła czasem jakieś słowo.

Parę razy przypomniała piękną Dosię.

— A!—mówiła do krajczynej—co to za szkoda, że nam na te festyny tego dziewczęcia braknie, mogła być ozdobą fraucymeru, a tak dobrym była tłumaczem. Odebrano nam ją, sama chciała, nie mogłam się sprzeciwić. Co gorzej, odciągnęła ode mnie Talwosza, który mi już jak dawniej nie służy. Zobojętniał wielce.

Wistocie chory, zrozpaczony Litwin po ostatniem widzeniu się z Zagłobianką niekiedy myślał o powrocie do matki, do Litwy. Tamby mu łatwiej było zapomnieć, stworzyć sobie jakieś życie nowe. Tu mu ją wszystko okrutnie przypominało.

Lecz król miał powrócić! Ona też zapewne ze dworem miała tu przybyć tajemnie. Talwosz mówił sobie, że mógł jej być potrzebnym.

Dziwnie upartą w sercu była ta jego miłość bez nadziei, do której przyłączyła się litość. Nie obiecywał sobie dla niej nic dobrego, a więc zawsze w nieszczęściu się mógł przydać, bo wiedział, że ona też rachować musiała na niego.

Kto był sprawcą tego nieszczęścia biednej dziewczyny, Talwosz dotąd ani się dowiedzieć, ani mógł domyślać. Musiał to jednak być sam król, albo ktoś z tych dostojniejszych panów, co go otaczali. Zagłobianka nadto była dumna, aby lada komu dała się opanować.

Litwin obiecywał sobie, iż gdy się dwór przeniesie

znowu do zamku, łatwiej mu będzie doślcdzić czegoś tu, u Sederyna lub między Francuzami.

W czasie pobytu w Niepołomicach żywe stosunki z Francyą trwały ciągle, jak przedtem. Nie było prawie dnia, ażeby ktoś nie przyjechał do Krakowa i nie został zaraz odprawiony do króla. Niekiedy dwóch posłów razem dla pewności dwoma różnemi wyprawionych traktami przez Niemcy przybywali jeden po drugim.

Nowiny być musiały bardzo ważne, gdyż Henryk oczekiwał ich z gorączkową niecierpliwością. Lecz tajemnicą było dla wszystkich, co przynoszono z Francyi, król się nie zdradzał, nawet pytany, dwór jego milczał.

Z coraz większej tylko uprzejmości króla, coraz weselszej twarzy, coraz większego ożywienia wnosili panowie senatorowie, iż dobre musiał odbierać wiadomości.

Wcale się działo przeciwnie, lecz Henryk naprzód już był obrachował wszystko i gotował do tego, co postanowił uczynić.

Zdrowie Karola IX coraz było gorsze, coraz mniej nadziei utrzymania go przy życiu; matka pisała do Henryka, aby był gotów natychmiast, gdy zawoła, powracać do Francyi.

Panowie polscy, z którymi król próbował bardzo ostrożnie mówić o tem, iż mógłby być zmuszonym na krótki czas pojechać może do Francyi, tak jednogłośnie zaprotestowali przeciwko temu, iż raz dotknąwszy tej ewentualności, król już nigdy nie śmiał o tem ani napomknąć.

— N. Panie—wołał biskup płocki—nie puścimy was, ani ty nas możesz opuścić.

We Francyi będzie cię komu zastąpić, u nas jesteś potrzebnym niezbędnie. Jest to chwila, w której między tobą a krajem dopełnia się ślub i związek, jaki was łączyć ma na wieki. Wrażenie byłoby straszliwe. Przypuścić nawet takiego nieszczęścia nie możemy.

Henryk nietylko przypuszczał je, ale miał już zawczasu stałe postanowienie porzucenia Polski. Wołała go Francya... tam było jego serce... wszystko. Matka w każdym liście przypominała mu, co jej był winien. Kazała być gotowym.

Lekarze nie czynili już najmniejszej nadziei, aby Karol IX mógł zdrowie odzyskać i żyć długo.

Choroba się wzmagała i przybierała groźny charakter.

We dnie zabawiał się jak mógł chory, ale noce były straszne. Przychodziła gorączka, a z nią krwawe obrazy mordu, rzezi, zabójstw... jakby wspomnienie tej nocy, której wieki zapomnieć nie miały.

Widma wszystkich poległych w tym boju nierównym z admirałem Colignym na czele, cisnęły się do łoża króla, obległy je, groziły mu, domagały się zemsty.

Mówiono, że Karol naówczas potniał, a łoże jego pot ten krwią broczył. Przelana krew nieprzyjaciół mściła się na zbolałym.

We dnie wszystko to wydawało mu się jakby snem, który już nie miał powrócić, a ciemności nocy niosły z sobą te same męczarnie i tych samych upiorów.

Codzień Karol podnosił się słabszym, piersi męczyły się oddychaniem... Kaszel je rozrywał. Matka przychodziła z politowaniem i użaleniem do łoża syna, który w jej oczach czytał nie miłość ku sobie, ale jakby niecierpliwość końca.

Pilnowano d' Alençona... do chorego nikt, oprócz wybranych, zbliżyć się nie miał prawa. Czekano już tylko na tę godzinę, która miała lada dzień uderzyć i być ostatnią.

Przerażające te doniesienia przyjaciół swoich, pozostałych w Paryżu, król czytał z twarzą rozjaśnioną, z upragnieniem dzikiem, bez najmniejszego wzruszenia, któreby litości domyślać się kazało. Były to dla niego wieści pocieszające, szczęśliwe. Tron Francyi okryty całunem miał czekać na niego.

Tem większą miłość potrzeba było okazać dla Polski, przywiązać ją do siebie, aby ją uwieść i nie stracić jej.

Chociaż niewiele dbał wistocie o ten kraj niedźwiedzi, jak go młodzi paniczykowie nazywali, na wszelki przypadek, gdyby się dwie korony udało utrzymać razem i to nie było do pogardzenia.

A przynajmniej rozstać się spokojnie i bez tragedyi w ostatnim akcie.

W Niepołomicach już rozpoczęło się to zdobywanie serc i ludzi, te uśmiechy zalotne, to zaprzysięganie się króla, iż czuł się tu najszczęśliwszym, że postanowił sercem i duszą oddać się Polakom.

Jakkolwiek w myśliwskim zameczku dosyć było swobodnie i wesoło, na zawsze pozostać tu król nie mógł, brakło wiele rzeczy, ciasnota się czuć dawała. Kuchmistrz, pan Franciszek Allemani, Włoch, bo naówczas kunszt kulinarny najwyżej stał w Italii, krzywił się, że tu nie miał wszystkiego, co mu było potrzebnem do króla godnych bankietów.

Stajnie ciasne były dla koni. Kobiety, przybyłe za dworem zbyt tu jakoś jaskrawo się wydawały,gdy w Krakowie ich widać nie było.

I tak jednego z dni ostatnich maja został postanowiony powrót do Krakowa. Poprzedziły króla wozy kuchenne, stajnia, zbroje, część dworu. Krajczyna przybiegła do królowej z tą dobrą nowiną, iż król, stęskniony za nią, powraca.

Razem prawie z tym posłem ze Szwecyi przyjechał chwilowo ksiądz Warszewicki. Przywoził on listy od królowej, niezbyt czułe, ale stokroć nad nie milszem było, co opowiadał, o małym Zygmusiu, którego królewna Anna oddawna wybrała sobie, przyswoiła, chciała mieć, jak własne dziecię, zlewając na niego wszystką miłość, jaką w sercu zachowała.

Ks. Warszewicki opowiadał z rozrzewnieniem jak chłopię modliło się ślicznie po polsku, jak mówiło dobrze tym macierzystym językiem, jak było pobożne, świątobliwe nad wiek i wiele obiecujące.

Anna, słuchając tych opowiadań o Zygmusiu, zapominała swych marzeń o Henryku, niemal się ich wstydziła naówczas. Czuła, że bezpieczniej było kochać siostrzeńca i jemu się całkiem poświęcić, niż marzyć o niemożliwem zamążpójściu, które jej wmawiano i narzucano.

Po tych opowiadaniach o Zygmusiu (królewna go w listach Zysiem nazywała) Anna była spokojną, szczę-

śliwą, gdy nadzieje na Henryku budziły w niej niepokój, rozdrażnienie, niesmak, ból jakiś. Lękała się złego, przeczuwała je.

Król przybył jednego wieczora i pusty zamek natychmiast się ożywił niezmiernie. Francuzi, którzy tylko czując króla za sobą, śmiałymi byli, a w czasie jego niebytności cicho siedzieli, ruszyli się teraz gwarno i wrzawliwie. Z nimi razem przychodziły wieści i zapewnienia, że król postanowił się bawić sam i drugich zabawić.

Villequier i Tęczyński mieli wydane rozkazy. Na zamku, w ogrodzie na Zwierzyńcu wieczorami muzykę i taniec zaprowadzić miano—król prześlicznie tańcował!

Tęczyński starał się zawczasu namówić królewnę, aby i ona raz lub dwa prosiła Henryka do siebie, czemu on pewnie rad będzie.

Anna milczała jakoś niepewna, ale krajczyna natychmiast zakrzyczała, że koniecznie, dla samej godności królewnej należało, aby ona też u siebie przyjmowała.

Oddane do przechowania w skarbcu koronnym srebra miano wziąć do wystąpienia wspaniale.

Królewna musiała, gdy król przybył, trochę znowu o swym ukochanym Zygmusiu zapomnieć, chociaż po opowiadaniu ks. Warszewickiego śnił się on jej tak, jak go później na obrazku sztychowano, klęczący pobożnie z różańcem w ręku i oczyma ku niebu zwróconemi.

Zaraz po powrocie swym na Wawel Henryk stawił się do królewnej z powitaniem, w towarzystwie sędziwegi biskupa kujawskiego, Karnkowskiego i Jana z Tęczyna.

Nigdy go jeszcze Anna nie widziała tak nadzwyczajnie ożywionym, wesołym, nadskakującym i miłym. Dla niej był on zawsze może nadto niewieścio i pieszczono występującym młodzieniaszkiem, któremu brakło powagi, ale wdzięk i urok miał wielki. Tak doskonale odegrywał czułość, do której królewna nie była nawykłą, że nią chwytał za serce. Zdawała się ona szczera. Mogłaż przypuścić niewiasta dobrej wiary, aby kto tak umiejętnie, tak zdradliwie kłamać potrafił i świętokradzko uczucia wyrażał, których w sercu nie miał.

Wesołość króla, pochwały, jakiemi obsypywał wszyst-

ko i wszystkich, Annę też w dobry humor wprawiły.

Oświadczyła się z gotowością podzielenia zabaw i dopomagania do nich.

— Jest to dla mnie niezbędnie potrzebnem — rzekł Henryk,—bo bez pań, bez kobiet, żadna w świecie zabawa nie może być wesołą, zawsze jej czegoś braknąć będzie. Towarzyszki W. Król. Mości są nam pożądane.

Od tego dnia poczęły się przygotowania. Zapowiadano cały szereg uczt, wieczornych zabaw przy latarniach w ogrodzie, wyścigów, gier, i t. p. Tęczyński ożywiony biegał, chcąc królowi okazać, iż Polska nie była tak barbarzyńską, jak ją Francuzi sądzili i że tu także przyzwoicie bawić się umiano.

Wśród tych zaprzątnień czas upływał nadzwyczaj szybko; królewna dawała się porwać temu prądowi i trosk swych usiłowała zapomnieć.

Wtem jednego ranka, gdy Anna z Zosią Łaską w swym pokoju sypialnym spokojnie rozmawiała, radząc jej jak się na przyszły wieczór ubrać miała i ukazując jej klejnoty, w które ustroić ją chciała—wpadła Żalińska z twarzą zmienioną, jakby przelękła, widocznie niosąc jakąś nowinę straszną. Ale że znaną była z gderliwości i dąsania się próżnego częstokroć, nie zrobiło to na królewnie zbyt wielkiego wrażenia.

Żalińska, spostrzegłszy Zosię, już otwarte usta zamknęła i chciała się cofnąć, gdy na dany znak Anny Łaska prędko wybiegła do drugiej komnaty.

— Żalińsiu—poczęła królewna,—widzę, że już z jakąś skargą przychodzisz! Cóż się stało?

Starej ochmistrzyni ręce opadły załamane, łzy miała w oczach.

W chwili, gdy już się mówić zabierała, odwagi jej zabrakło.

Anna wstała z krzesła, poruszona trochę, bo ta nieśmiałość Żalińskiej dowodziła, iż musiało zajść coś nadzwyczaj ważnego. Nie zwykła była ona cofać się przed lada czem.

— Żalińsiu moja! mów! Co tam takiego?

Ochmistrzyni potrząsała tylko głową.

— A! nieszczęśliwa ty moja sieroto—zawołała,—

której przeznaczeniem karmić zdradę i niewdzięczników chować na własny srom i zgubę.

— Mówże! zaklinam cię!—przerwała naprawdę juz zaniepokojona królewna.

Żalińska się obejrzała dokoła, westchnęła i zbliżywszy się do Anny, półgłosem rzuciła jej w ucho:

— Jak mnie żywą widzicie, jak chcę mojego zbawienia... tak.... oto przed godziną, tu w Krakowie, przebraną za mężczyznę widziałam tę niepoczciwą Dosię, którą my sądziliśmy już u stryja na Podolu... Ją Francuzi zbałamucili wykradli, tak, jak przedtem Zajączkowską.

Oburzyła się królewna.

— Żalińska! Śni ci się! To być nie może... Dosia, Zagłobianka! ona! ona... Boże miłosierny!

— Tak ona, ta cnotliwa, ta dumna Dosia! która ani mojego syna nie chciała—poczęła Żalińska—ani tego szalonego Talwosza.... nikogo!

— Oczy cię zawiodły—przerwała królewna.—Przebrana po męsku! Ona...

Żalińska uspokoić się starała.

— Wcale mnie one nie zawiodły, a najlepszym dowodem tego—dodała Żalińska, — że postrzegłszy mnie, natychmiast uciekła.

— Gdzież to było?—pytała Anna.

Wyszłam dziś rano na miasto—mówiła ochmistrzyni—miałam różnych rzeczy kupić, bo ich teraz ciągle bez miary potrzeba. Wstąpiłam po drodze do Dominikanów... Klęczała u ołtarza.

Anna milczała.

— To zagadka jakaś, jeżeli nie omyłka—odparła ostygając.—Zawsze wolę sądzić, żeś się omyliła, niż uwierzyć, że ta poczciwa dziewczyna...

Żalińskiej się usta rozwiązały.

— Ale ja się tego obawiałam oddawna—zawołała.—Wyście jej nadto wierzyli, zbyt się nią posługiwali. Po całych dniach była w rozmowach i konszachtach z Francuzami. Latali za nią, a i ona za nimi. Któryś z nich jej głowę zawrócił.

Ochmistrzyni coraz się mocniej unosić zaczęła.

— Nieszczęśliwy to dzień i godzina, gdy ci Francu-

zi do nas zawitali, kłamcy, rozpustnicy, kuglarze. Ja zawsze przeczuwałam, że oni nam nic z sobą dobrego nie przyniosą.

— Zmiłuj się, król, król jest tak szlachetny, dobry— poczęła Anna.

Żalińska się cofnęła na krok i zamachnęła rękami.

— Nie gniewajcie się królewno—rzekła—jam stara sługa. Tyle on wart, co oni wszyscy... przekonasz się o tem.

Anna zwróciła się, nic nie odpowiadając.

— Jeśli się to sprawdzi—rzekła—wprost zaniosę skargę do króla, zobaczysz, że mi sprawiedliwość wymierzy.

— Tymczasem—dodała, uspokajając Żalińską—chociaż radabym wierzyć, że cię oczy nie omyliły, Żalińska moja pozwól, abym sprawdziła to, coś mi przyniosła.

— Jak?—przerwała ochmistrzyni ze zwykłą sobie śmiałością.—Tom ciekawa?

Królewna pomyślała trochę.

— Wspomniałaś tego poczciwego Talwosza—rzekła— Wiesz, jak on w niej był rozmiłowany. Gdyby nas wszystkich oszukała, jegoby nie potrafiła. Spytać go potrzeba, powiedzieć mu, on jeden prawdy dojść może.

Żalińska potrząsnęła głową.

— Mnie się zdaje, królowo moja, że właśnie taka miłość jak jego ślepa jest... ale... A gdzie teraz szukać Talwosza, który się rzadko pokazuje i odchorował ciężko, że mu Dosię wzięto.

— Każcie się o niego dowiedzieć — rzekła z westchnieniem królewna.—Nie chcę napróżno króla tem męczyć, lecz gdyby się okazało, że istotnie podejściem mi ją wzięto, musi przykładnie winowajców ukarać.

Żalińska powstała chwilę milcząca i szepnęła odchodząc:

— Kruk krukowi oka nie wykole!

— Proszę cię, Żalińska moja — dorzuciła smutnie królewna—o tem wszystkiem ani słowa. Wstyd-by mi było, a nuż cię oczy zawiodły?

Żalińska ruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

Krajczyna i przyjaciółki poznały po królewnie, iż

zmartwienie jakieś miała, lecz wiedziały, gdy się z niego nie zwierzała sama, że jej dopytywać i zmuszać do wyznań nie były powinny. One nie umiały odgadnąć przyczyny tego smutku, bo wszystko w ich przekonaniu składało się jak najpomyślniej.

Poszukiwania Talwosza nie były bezskuteczne, syn Żalińskiej znalazł go w mieście i powiedział mu, że królewna mówić z nim chciała. Nazajutrz rano stawił się Litwin blady, wymizerowany i jak z krzyża zdjęty. Królewna, która chciała otwarcie mu powiedzieć wszystko, widząc go tak zbolałym, zawahała się. Żal jej go było. Poczęła więc od rozpytywania o zdrowie, o zajęcie... a że kasztelan Talwosz stryj jego, właśnie był przyjechał do Krakowa, o niego też i o Litwę.

Zbliżyła się nakoniec i zniżając głos, rzekła:

— Co się to tej poczciwej mojej Żalińskiej przywidziało! Wyobraź sobie, iż wpadła tu do mnie z wiadomością, że Zagłobiankę za mężczyznę przebraną widziała wczoraj u Dominikanów w kościele. Ale to być nie może!

Królewna spojrzała na Talwosza i jeszcze większy żal uczuła nad nim. Litwin stał blady, jak trup, usta się mu trzęsły, oczy latały błędne, odpowiedzieć nie umiał.

— To nie może być—powtórzyła Anna—prawda, Talwoszu mój! Dosia! ona! Nie. Żalińska Francuza jakiegoś, nie wiem kogo wzięła za nią.

Talwosz milczał, nie zebrał był myśli i nie wiedział, co miał odpowiedzieć. Zdradzić ją? czy ratować? Dał słowo, że jej nie oskarży, lecz gdy raz rzecz była odkryta, miałże kłamać? Dlatego wahał się z odpowiedzią. Przyznać do tego się, że i on wiedział o tem, widział ją, a nie doniósł królewnie—nie mógł.

— Miłościwa królewno,—rzekł po bardzo długim namyśle—miłościwa królewno, prawdziwie nie wiem, co o tem trzymać. Żalińskiej się często niebywałe rzeczy przywidują, lecz oczy ma dobre. Ludzie są źli, a ta gawiedź francuska, z którą ona przestawała...

Nie dokończył. Anna spojrzała na niego.

— Przypuszczasz więc, że mnie drugi raz tak, jak z Zajączkowską oszukano?—spytała.

— Powiedziałem już—powtórzył Talwosz,—że nie wiem, co o tem sądzić, ale któż to rozstrzygnie?

— Znałeś Dosię, ona!—dodała Anna.

— Miłościwa pani—wyjąknął Litwin z boleścią.— Znałem ją, prawda, ale od przybycia Francuzów dziwnie się nam ona zmieniła. Przestawała ciągle z nimi. Jeżeli się to stało nie ją, ale ich obwiniać należy. Dla nich nic świętego niema, a z niewiastami się obchodzą, jakby ani matek, ni sióstr nie mieli.

Drgnęła królewna.

— Tak ich sądzisz?—przerwała.—Ale król? król jest szlachetny, dobry, wszyscy mu to przyznają.

Talwosz, na którego odpowiedź potwierdzającą długo czekała królewna, stał niemy.

— Jeżeli ci się zdaje, iż Żalińska nie zmyśliła—poczęła Anna—mój Talwoszu, postaraj się dośledzić prawdy. Nie mogę opuścić tej, którą wychowałam od dziecka, a jeśli jest na drodze zatracenia ratować ją jestem obowiązaną. Okaże się to prawdą, czemu ja wierzyć nie mogę i nie chcę, udam się na skargę do króla. On wymierzy surową sprawiedliwość i ukarze winnego.

Talwosz pomyślał: jak zabójcę Wapowskiego—ale głośno powiedzieć tego nie śmiał. Podniósł oczy, nie rzekł nic.

Królewna po namyśle dodała:

— Byłażby tak zuchwałą, tak nieroztropną, aby się tu jawnie, w biały dzień pokazywała, gdzie ją zna tyle osób? Gdyby nawet przypuścić można najgorsze, sądzę, że wstyd i sromu choć trochę zachować musiała. Spodziewam się, mój Talwoszu, że ty potrafisz dojść, czy w tem jest co prawdy.

Litwin stał zamyślony.

— Miłościwa pani—rzekł.—Gdyby się okazało, że niepoczciwi ludzie ze słabości jej i łatwowierności korzystali, ja nie wiem, czy co na to dziś poradzić można. Zanieść skargę do króla, znaczy ją okryć niesławą.

Tego co ją uwiódł zmusimy, aby się z nią żenił—dodała królewna.

Skłonił się Talwosz i chciał odchodzić. Anna mu podała rękę do pocałowania.

— Biedni jesteśmy my, którzy w niegodziwości serca ludzkiego uwierzyć nie chcemy, aż one się nam czuć dadzą.

Pierwszych dni czerwca wieczorem król zapraszał na zabawę z tańcami do ogrodu przy Zwierzyńcu.

Mówiono już oddawna o tym festynie, na który i królewna ze swym dworem i wiele pań, żon senatorów i co było najdostojniejszych w Krakowie gości było wezwanych.

Ogród miał być wspaniale oświecony lampami, muzyka przygrywać w zielonych umyślnie dla niej pobudowanych szałasach. Dla pań i starszyzny stały szeregami przygotowane ławy, kobiercami pookrywane. Stoły wśród starych lip i grabów uginały się od sreber. Allemani z kuchnią pracował od dwóch dni, bankiet gotując godny ust królewskich.

W całem mieście nie mówiono o niczem, tylko o tym wieczorze królewskim, a że i królewna się na nim znajdować miała, nadawano mu takie znaczenie, iż miał być zapowiedzią wesela.

Nie inaczej go sobie tłumaczyły przyjaciółki królewnej.

Przystęp do ogrodu nie dla wszystkich był wolnym, bo i płoty i straże od nacisku gawiedzi broniły; pomimo to z miasta ciekawi płynęli gromadami, radzi się przypatrzeć choćby przejeżdżającym kolebkom i zdala oświetleniu ogrodu.

Wieczór obiecywał się piękny, a choć dzień czerwcowy był gorący dosyć, ku zachodowi słońca zapowiadając pogodę, powietrze ochłodło, lekki wietrzyk powiał ze wschodu.

Wiosna była w całym swym blasku, z całym wdziękiem, jaki miewa w krajach ku północy posuniętych. Drzewa, trawy, kwiaty, wszystko śpieszyło z ciepła korzystać, rozwijając się bujno, rozlewając wonie dokoła. Słowiki

w krzewach niezliczonemi pieśniami swemi napełniały powietrze, które o tej godzinie przerzynały krzyżujące się stada ptaków, gromady wesołych jaskółek, sznury ciągnących na noclegi kaczek i pojedyńcze ptactwo, wybiegłe z gniazd na żer wieczorny. Naprzeciw słońca, jak siatka złota, kręciły się w słupy zbite jednodniowe muszki, cieszące się życiem, które jutro utracić miały.

W mieście dzwoniono na pacierze wieczorne, ale nawet głos dzwonów w tej wiosennej atmosferze rozpływał się z jakąś błogą tęsknotą, która w sobie miała pociechę i nadzieję.

Niebo wypogodzone z jednej strony całe zdawało się złote, z drugiej ciemniało i przechodziło w barwę niebieskawą. Nie było na niem chmur, a kilka obłoczków białych cudownie w oczach malejąc, nikły roztapiały się na tem ognisku.

Z miasta pieszo po większej części śpieszyli ciekawi, nastrojeni tak wesoło, jak na ten dzień przystało. Witano się wołaniem, pozdrawiano, a gdy środkiem gościńca wiodącego ku Zwierzyńcowi pokazali się konni lub kolebka, wszystkich oczy zwracały się na gości królewskich. Ściągali się oni powoli, jak kto chciał, bo godzina wyznaczona nie nadeszła była jeszcze i ci, co się lepiej umieścić chcieli, wyprzedzali drugich. Spodziewano się ścisku.

Gawiedź, między którą i majętniejszych mieszczan było wielu, miała na co patrzeć.

Nie lubiono Francuzów wyśmiewano ich chętnie, staczano z nimi bójki, lecz przypatrywano się im ciekawie, bo i strojami i obyczajami nie byli podobni nawet do Włochów, z którymi w Krakowie się dawno obyto.

Dwór Henryka cały odznaczał się nadzwyczajną elegancyą, a charakter jej był nie męski i stroje zdawały się raczej dla kobiet, niż dla mężczyzn, powymyślane. Kaftany jedwabne z tkanin przetykanych złotem, szyte i pikowane tak, że do sukien i staników kobiecych były podobne, suknie pełne rozporków (crèvés) z których wyglądały różnych barw bufowania i wstążki, opięte spodeńki i pończochy, włosy niezmiernie kunsztownie trefione, bie-

lizna i koronki, klejnoty i pióra, rycerzów wcale nie znamionowały.

Najmłodsi z ulubieńców króla, szczególniej, którzy piersi mieli napół odsłonięte i obnażone, a przybierali ruchy dziewczęce, obudzali u ludu śmiechy i wykrzyki zgrozy. Wszystko w nich, aż do szpadek cienkich i nożyków u pasa wydawało się zamaszystym Polakom dziwacznem i śmiesznem. Pokazywano sobie te lalki palcami i nadawano im obelżywe nazwiska. Ale Francuzi byli tego dnia w tak wesołych humorach, tak hardzi sobą, że się tego nie domyślali, lub o to nie dbali.

Gdy po tych niewieściuchach ukazał się potem który z polskiej młodzieży po polsku lub z węgierska odziany, zdrów, silny, barczysty, w sukni świetnej, a okrywającej go tak, że piękna postać stawała się wydatną, okrzykiwano swoich wesoło.

Polacy też pokazywali się w najrozmaitszych ubraniach, a na wytworności im nie zbywało. Począwszy od koni do panów i czeladzi, niczego się nie można było powstydzić.

Kolebki pań wspaniale też wyglądały ze swem obiciem szkarłatnem, ze złoconemi słupkami, z zaprzęgami od złota, czubów i malowanych grzyw i ogonów. Czeladź towarzysząca, godną była panów. A wszystko to rumiane, zażywne, zdrowe, gdy Francuzi przy nich wymokli wyglądali, bledzi i słabi.

Francuskich kobiet, choć o nich wiedziano w mieście, tu na okaz i porównanie nie było wcale, więc ich ze swemi porównywać nie mogli patrzący, ale własnemi cieszyli się, bo i matrony i dziewczęta jaśniały powagą i krasą, a ubraniu ich chyba zbytni przepych zarzucić było można.

Okryły się klejnotami, które pokolenia pokoleniom zostawiły w spadku, a i tkaniny sukien świeciły złotem, srebrem lub bogatem naszywaniem pereł.

Króla nie było jeszcze. Spóźniał się on zawsze, dziś zaś przybyły do Seredyna posłaniec z Paryża z listami pilnemi wstrzymać go musiał.

Tymczasem uprzedzając go, jechała z fraucymerem swym królewna Anna, a ludziska ją znajdowali wcale je-

szcze przystojną i hożą, nie tak starą, jak jej lata mówiły. Jechała w złotogłowiu i klejnotach, z wianuszkiem na czółku, ale taka smutna jakaś, jak gdyby nie na tańce, ale na pogrzeb siwe konie ją ciągnęły.

Przy niej paziowie strojni, straż jej przyboczna, urzędnicy i cały wieniec panien i cały zastęp poważnych matron.

Lud witał ostatnią z Jagiellonek, a ona mu odpowiadała pokłonami.

Naostatek szmer zwiastował zdala nadjeżdżającego króla. Tłum z większą może jeszcze ciekawością podbiegł mu się przyglądać, niż swej Infantce, ale z usposobieniem wcale różnem. Śmiano się, pokazywano palcami, przedrzeźniano postawy i miny Francuzów, ich ruchy wymuszone. Wybuchy były śmiałe, poszanowania żadnego.

Henryk niewiele na to uważał, jechał wystrojony w kapelusiku dziwnej formy, obwiedzionym sznurem pereł, śmiejąc się do swych towarzyszów, przebierając rękami i okazując humor tak wyśmienity, jakby go wcale nie obchodziło, co się wkoło niego działo. Nie mógł z pewnością nie widzieć, że lud pospolity drwił sobie z niego, bo towarzysze czuli to dobrze i niektórzy z nich złośliwie zaciskali usta i podnosili pięści.

Cała ta kawalkata przemknęła szybko i znikła, wjeżdżając do ogrodu, u którego bramy zatrzymywały się kolebki, konie i czeladź od powozów z niemi.

Wewnątrz przygrywały już muzyki skoczne tańce, których ich nauczono,po większej części włoskie,więc w Polsce znane od czasów Bony.

Ogród, w miarę jak się ściemniało na dworze, nabierał uroczego wdzięku jakiegoś, który mu nadawały fantastycznie rozrzucone światła i cienie, malownicze grupy mężczyzn w strojach najrozmaitszych, kobiet połyskujących od klejnotów i powiewnych tkanin.

Wszyscy musieli to przyznać Francuzom, że zabawy pięknie dla oczu urządzać umieli i nie żałowali nic na to. Opony, kobierce, całe postawy drogiego sukna wyścielały ziemię, gdzie było potrzeba, oddzielały ścianami jedwab-

nemi, u gałęzi drzew poprzywieszanemi, jedne do tańca przeznaczone szranki od drugich.

Nie brakło też masek i przygotowanych figur, poprzebieranych za jakieś mitologiczne postacie.

Król wszedłszy, a dowiedziawszy się zaraz, iż go królewna poprzedziła, pośpieszył ją powitać, jak zawsze, z nadskakującą grzecznością i poszanowaniem. Poprowadził ją potem po ogrodzie, pokazując oświetlenie, które właśnie pośpiesznie zapalać kończono.

Od jednych drzew do drugich sznury latarń błyskały różnobarwnemi światłami; były to jakby wieńce kwiatów jakichś, których kształt przybierały. Muzyki odzywały się wśród zielonych gałęzi rozkwitłych czeremech. Na jednej z najpiękniejszych łąk wśród ogrodu, otoczonej staremi drłzewami, wznosiły się srebrami zastawione kredensy, całe poyskujące, kilka ogromnych stołów czekały tu na gości. Włoska *collażione* była gotową.

Król naprzód na nią królewnę i jej panie zaprosił, a inni Francuzi poszli resztę zaproszonych gości pozbierać. Z wyjątkiem duchownych, którzy nie przybyli na tę zabawę wieczorną, senatorowie znajdujący się w Krakowie w niewielkiej liczbie, dwóch panów Zborowskich między nimi, siła majętnej szlachty i urzędników, wszyscy stawili się na królewskie wezwanie.

Przy wieczerzy król był w tak nadzwyczaj wesołym humorze, tak ożywiony, jak nigdy. Zdawał się szczęśliwym, a był tylko gorączkowo niespokojnym. Wiadomości z Francyi odebrane upoiły go, poruszał się, śmiał, szalał, aby nie wydać z tem, co nosił w sobie.

Po wieczerzy miały się rozpocząć tańce.

Francuskim obyczajem otworzyć je miał poważny, ceremonialny *Pavanne*, który i królewnie Annie był znany. Mogła go, nie naruszając powagi swej, przetańczyć z królem, a za niemi poszły inne pary.

Prowadząc zwolna Annę, przyznał się jej Henryk, że lubił bardzo taniec, ale skoczniejszy i żwawszy. Na co mu odpowiedziała, że dawno już z powodu żałoby i osamotnienia nie tańcując, zapomniała tych tańców, i nie mogła w nich uczestniczyć.

— Będę się przypatrywała—dodała królewna—a to mi zrobi wielką przyjemność. Proszę więc, abyś W. Król. Mość zabawiał się wedle upodobania, wcale nie zważając na mnie.

Król zdawał się tylko czekać na to upoważnienie, i po Pawannie, odprowadziwszy Annę na miejsce, które zajęła wśród starszych pań, sam bardzo żwawo począł z Francuzikami następne tańce przygotowywać.

Wszyscy ich byli ciekawi, bo ci, co króla z jego przyjaciółmi w poufalszych towarzystwach widywali popisującego się, wiele opowiadali o zręczności, gibkości i wdzięku, z jakim żaden z jego dworu ani się mógł równać.

Po Pawannie już pewne powziąć było można wyobrażenie o tem z odtańczonego włoskiego *Corrente* znanego pod tym nazwiskiem na polskim dworze, którego Francuzi nazywali po swojemu *Courante'a* Hiszpanie *Segidyllą*. Brakło tylko Francuzom kobiet, któreby im równą wprawę miały w tych skokach.

Henryk zdawał się całą duszą oddawać tej rozrywce, co na panach senatorach niemal przykre czyniło wrażenie. Było w tem coś majestatowi królewskiemu uwłaczającego.

Tańcujący w chwilach wolnych uciekali się do kredensów, na których stały ciągle pełne puhary z weneckiego szkła, wychylano je obficie. Król też pił dużo. Twarz mu się zarumieniła, oczy zaczęły przyświecać.

Po Kurancie, w którym panny polskie nadto skromnie i poważnie się znajdowały, nie dając się zbyt Francuzom rozbrykać, zażądał król coś weselszego, szaleńszego, a że panny przelękłe oświadczyły, iż tańców obcych nie umieją, nastąpiły narady, szepty, śmieszki, bieganie poza krzewy, zwoływanie się i zamiast kobiet przybiegli młodzi paziowie Henryka Francuzi, ale postrojeni tak, że nie wiedzieć za co ich brać należało: na kobiety przerobionych.

Chłopaki młodziuchne mieli włosy długie trefione, w puklach puszczone na ramiona, piersi obnażone, a kaftaniki ich i spodeńki kroju były niezwykłego.

Mieli oni zastąpić brak tancerek. Zmarszczyło się kil-

ka poważniejszych twarzy, lecz była to fantazya królewska, czemu się nie miał zabawić?

Zagrała muzyka popularną Farandolę, taniec rodem z południowej Francyi. Miał on wszystkie cechy gorącego kraju, z którego pochodził, ruchy i figury trochę czasem nadto swobodne raziły, lecz jeszcze to uchodziło.

Król dokazywał strasznie w Farandoli, podskakiwał, wyginał się, tupał, rękami i mimiką nadrabiał. Śmiał się i jak dziecko tem bawił.

Patrzyła królewna Anna zdumiona a smutna. Wesołości tej, mimowoli, podzielać nie mogła, niepokoiła ją ona. Spuszczała oczy niekiedy zawstydzona i wzdychała, lecz wkrótce ciekawość podnosiła powieki. Tłumaczyła sobie swą bojaźliwość przesadną, długiem osamotnieniem zrodzoną. Wiodąc życie napół klasztorne, nie dziw, że do takich zabaw swobodnych nie była nawykłą.

Panie jej dworu odwracały oczy, nie śmiejąc się odzywać.

Farandola, coraz nabierając większego ognia, szaleńsza coraz ku końcowi, skończyła się nareszcie.

Noc już była nadeszła i gwiazdy na czarnem tle jej połyskiwały. W całym ogrodzie niezmiernie było wesoło, starsi pili i nucili, młodzież podzielona na grupy tańcowała.

Muzyki najpocieszniej, zdala słyszane, sprzeczały się z sobą.

Chwilę ledwie odpoczynku dozwolono sobie po nużącej Farandoli, a król naglił, ażeby czasu nie tracić.

Tańcowano spokojniej już nieco Sarabandę dla spoczynku, ale głosy ożywione Francuzów domagały się *Branles*, tańca, o którym powiadano, że bardzo rozmaicie bywał wykonywany, a wymagał wielkiej zręczności i siły.

Domyślano się czegoś szalonego, i królewna szeptała krajczynie, że mogłyby wstać, a przejść się po ulicach.

Wistocie raziło ją to pospolitowanie się króla, jego trzpiotanie i ruchy, które się niezbyt przyzwoitemi wydawały... Wolała na to nie patrzeć.

Lecz zamiast tego strasznego *Branles*, zaczęto grać i tańczyć znośnego i dosyć spokojnego *Gawota*, a król z pewną, przesadzoną powagą, był w nim bardzo zabawny.

Zacna pani Łaska westchnęła i szepnęła:

— Ale ktoby się domyślił, że to król!

I on sam i ci, co z nim skakali, rzeczywiście zdawali się o tem zapominać.

Po Gawocie Anna, która z przykrością się przypatrywała tańcom, szepnęła powtórnie towarzyszce, iż chętnieby się przeszła, że za długo już siedziały.

I w momencie, gdy układał się następujący taniec, królewna z towarzyszką i nieodstępnym ochmistrzem Konieckim wstała po cichu, niepostrzeżenie wymykając się poza ściany jedwabne tego salonu, w którym król pozostał.

Długo nie mogły mówić nic i nie wiedząc dokąd, poczęły iść dalej pustą uliczką, tam, gdzie się druga muzyka odzywała.

Obie z pewnością myśli miały jedne, lecz smutno było dzielić się niemi.

— Śliczny wieczór—odezwała się Łaska—a i festyn też, nie można powiedzieć, z królewską wspaniałością urządzony.

— Tylko—westchnęła Anna cicho—król nadto dobry i zbyt się z sobą daje spoufalać. Trudno mu potem będzie powagę swą utrzymać.

Łaska pomyślała chwilkę, musiała go bronić.

— Młody jest—rzekła,—no i nie zawsze się może rozerwać. Co dziwnego! spoważnieje on rychło!

Szły tak dalej. Wśród drugiego koła drzew część Francuzów, której gorsza muzyka przygrywała Kuranta, zwijała się ochoczo. Tu oprócz tancerzy, kupa ludzi ciekawych przypatrywała się zabawiającym.

Królewna z Łaską, podszedłszy cicho, stanęły także nieco opodal w cieniu, skąd skaczące pary dobrze widać było.

Nagle z piersi Anny wyrwał się okrzyk wprędce stłumiony, potrąciła jakby przestraszona krajczynę i nic nie mówiąc, ręką drżącą ukazała jej na prawo.

Oczy Łaskiej, idąc w tym kierunku zatrzymały się na młodziku, stojącym niedaleko, który płaszczem otulony, w berecie z piórem na głowie nałożonym od niechcenia przypatrywał się także tańcującym.

Krajczyna zobaczywszy go, o mało nie wykrzyknęła także. Nie chciała wierzyć oczom swoim.

Gdyby nie strój męski, powiedziałaby, że miała przed sobą Dosię Zagłobiankę. Królewna, chwilę się tylko zawahawszy, już z krajczyną do tego zjawiska miała się zbliżyć, gdy Zagłobianka (ona to bowiem była) obejrzała się, poznała Annę, rzuciła się jak szalona w zarośle i znikła. Królewna długo stała, nie mogąc się z miejsca poruszyć.

— Widziałaś ją?—zapytała towarzyszki.

— Widziałam kogoś nadzwyczaj podobnego do Dosi—zawołała Łaska.

— Ale to ona sama—odparła ręce załamując królewna.—Niema wątpliwości! Posądziłam biedną Żalińską, że się jej to przywidziało. Niestety! Boże mój... ta dziewczyna biedna!

I Anna sobie oczy zakryła.

— Królowo moja,—przerwała Łaska—byćże to może?

— Na świecie—odpowiedziała królewna smutnie—wszystko co złe, być może. Chodźmy stąd.

Krajczyna, widząc wielce rozżaloną panią, ani jej pocieszać już ani przedłużać chciała rozmowy.

Zawróciły się nazad obie tąż samą drogą ku miejscu, z którego wyszły, i prawie milcząc, zbliżały się ku niemu. Ale Anna nie myślała już zająć siedzenia i zatrzymała się nieco opodal, skąd mogła widzieć króla tańcującego.

Muzyka grała Voltę, taniec włoski, który we Francyi musiano inaczej, jakoś śmielej daleko, a mniej przystojnie wykonywać.

Król, który już wprzódy sobie bardzo swawolnych ruchów pozwalał, widząc, że królewna odeszła i sądząc może, iż widzieć go nie będzie, a lekceważąc pozostałe starsze panie i panów, nie miał już wcale miary i zapomniał wszelkiej przyzwoitości.

Anna stała osłupiona tem, co na oczy jej padły.

Henryk tańcował w parze z młodym chłopaczkiem, zastępującym dziewczynę i odegrywał z nim scenę miłosną tak bezwstydnie, tak zuchwale, tak rażąco, iż niektó-

re z kobiet porwały się z ławek, oczy sobie zakrywając i rozbiegając się na wszystkie strony.

Jak skoro jedna z nich się ruszyła, na dany znak spłoszyły się inne, zaczęto wywracać ławki, krzyki dały się słyszeć. Uciekał, kto mógł.

Króla ani jego tancerzy wcale to nie powstrzymało, owszem, jakby na przekorę z szałem jakimś dzikim, podśpiewując, zaczęli się obemować, całować, ściskać i taniec przeszedł w niedającą się opisać scenę, od której królewna też co żywiej uciekać poczęła, a nie uspokoiła się, aż w bocznej uliczce, na której znalazło się wiele przestraszonych pań z jej towarzystwa.

Serce jej biło, twarz oblewał wstyd i czuła ból niewypowiedziany.

— Łasiu moja—odezwała się głosem drżącym—proszę ja ciebie, gdzie jest Koniecki? Słabo mi, czuję się niedobrze, wracajmy na zamek.

Koniecki był o kilka kroków.

— Żalińska z pannami, jeśli chcą mogą pozostać dłużej, ja powrócę, głowa mnie boli, nie wiem, co mi jest. Możeby bocznemi uliczkami do powozów się dostać.

Z pomocą Konieckiego i dwóch dworzan, którzy się szczęśliwie znaleźli, królewna unikając tych miejsc, w których brzmiała muzyka, przesunęła się niepostrzeżoną ku wrotom.

Tu, oprócz niej, wiele pań także starszych podążyły już, zmieszane i skłopotane, dłużej się tym tańcom nie mogąc przypatrywać.

Młodzież tylko pozostała.

Widok Dosi, potem to szaleństwo króla, które tak boleśnie dotknęło królewnę, przejęły ją i strapiły niezmiernie. Popłakując w milczeniu razem z wzdychającą krajczyną dostały się do zamku.

Ale królewskiej zabawy ta ucieczka większej części pań nie przerwała.

Francuzi, oswobodzeni po odjeździe królewnej rozpoczęli dopiero dokazywać, wcale się już nie troszcząc, co ludzie powiedzą i pomyślą.

Henryk im do białego dnia dotrzymał i dopiero usil-

ne prośby Tęczyńskiego, który chodził skłopotany wielce, skłoniły go, że się udał na spoczynek, gdy już było jasno i słońce miało wstawać.

O tym wieczorze królewna mówić nie mogła i nie chciała, lecz z jej posępnego milczenia widać było, że go mocno wzięła do serca.

Około południa przypomniawszy sobie Dosię, kazała zawołać Talwosza.

Litwin na wieczornej zabawie nie był, bo wszelkich takich gromadnych i hałaśliwych rozrywek unikał.

— Nie masz się już co trudzić — odezwała się, gdy przyszedł—ja wczoraj na moje oczy sama widziałam po męsku przebraną Dosię. Nie myliła się Żalińska.

— Gdzie?—zawołał przerażony Talwosz.

— A na tym wieczorze w ogrodzie królewskim—odpowiedziała królewna.—Nie spodziewała się pewnie, ażebym ja tam się przechadzała. Spotkałam się z nią zbliz-ka.

— Kiedy tak—rzekł Litwin po krótkim namyśle—nie mam i ja już co przed W. król. Mością ukrywać. Widziałem ją też i ja, a co więcej, mówiłem z nią.

— A!—zakrzyknęła Anna, zbliżając się ciekawie. — Mówiłeś z nią, powtórzże mi... co ci powiedziała?

— Nicem z niej nie wybadał—począł Talwosz—miarkuję tylko, że wcale szczęśliwą nie jest. Sama zeznaje, iż się zgubiła, ani chce się uniewinniać, ale ratować się nie daje. Płakać mi się chciało po tej z nią w Niepołomicach rozmowie.

— Ale któż jest winowajcą? Kto?—przerwała żywo Anna.—Gdybym wiedziała, udałabym się do króla dla pozyskania sprawiedliwości.

To mówiąc, królewna przypomniała sobie wczorajszy wieczór, tego króla, w którego sprawiedliwości pokładała nadzieję, zarumieniła się i zamilkła.

Anna nie przeciągała tej rozmowy.

Talwosz odszedł.

Zniknięcie prędkie królewnej z ogrodu musiało uderzyć króla, wiedział czy nie, iż na taniec jego patrzyła,

ale nazajutrz wysłał do niej Tęczyńskiego z pozdrowieniem, a może dla wybadania.

Królewna po rozmyśle znalazła właściwszem tak postąpić, jak gdyby świadkiem wybryków nie była.

Krajczyna już zrana usiłowała niemal uniewinnić Henryka tem, że królewnej nie widział, że może napił się trochę. Młodemu coś trzeba było przebaczyć.

Anna musiała zamknąć w sobie co czuła i milczeć.

Tęczyński dopytywał królewnej o zdrowie, o które król był troskliwy i przypominał w jego imieniu, że Anna przyobiecała zabawę jedną przynajmniej sprawić im na pokojach u siebie.

Zmieszało to żądanie Annę, która się namyślała długo.

— Powiedzcie N. Panu—odparła — iż radabym go przyjąć u siebie, ale nie wiem, czy się u mnie tak ochoczo bawić będzie, jak wczoraj.

— Rachuję się z czasem—dodała—i widzę, że przed czternastym tego miesiąca trudno mi będzie się przygotować. Na czternasty więc prosić będę.

Chciał już z tem oddalić się pan podkomorzy, gdy królewna po krótkim namyśle wstrzymała go.

— Mam do was prośbę, hrabio—rzekła spuszczając oczy,—ale to tak drażliwa i przykra okoliczność, że mi ciężko nawet powiedzieć i przyznać się do niej. Słyszeliście pewnie, jak za życia brata mojego niegodziwie z mojej dobroduszności skorzystano, biorąc mi Handzię Zajączkowską. Powtórzyło się to niestety, z małą odmianą. Miałam przy sobie wychowankę, do której sercem całem byłam przywiązaną, Dosię Zagłobiankę. Śliczna była, jak rozkwitła różyczka polna, a rozumna i stateczna na podziw. Któżby to mógł był przewidzieć? To dziecko któryś z Francuzów mi zbałamucił i w najniepoczciwszy sposób oszukano mnie, porwano ją. Ona jest tutaj. Kryje się, a tak niezręcznie, iż i moi słudzy i nareszcie ja sama widziałam ją przebraną po męsku.

Tęczyński słuchał, okazując coraz większy frasunek.

— Muszę prosić króla o sprawiedliwość — dodała Anna.—Co się stało, niepodobna zmienić, lecz niech się

winowajca żeni, takiego zgorszenia nie można puścić bezkarnie.

Podkomorzy schylony, zadumany, zdawał się przemyśliwać nad odpowiedzią.

— Niewiadomo, kto się tego dopuścił?—zapytał.

— Ja nie wiem—rzekła królewna,—ale król z łatwością się potrafi dowiedzieć o tem.

— Lękam się—odparł cicho Tęczyński — aby winowajca nie zbyt był wysoko położony. Król wielu ze swoich Francuzów oszczędzać musi, nie nad wszystkimi ma władzę. Sprawa ta wymaga wielkiej oględności, ale mogę W. Król. Mości zaręczyć, że się będę starał ją wyświecić.

W mowie pana podkomorzego czuć było, iż rad się chciał sianem wykręcić z tego, co mu narzucano.

Anna rozpoczęła skargi jeszcze, posłuchał ich cierpliwie i odszedł, ponawiając zapewnienie, że uczyni, co tylko będzie w mocy jego.

Królewna wiedziała, że spełniła, co jej było obowiązkiem.

Po odejściu Tęczyńskiego natychmiast trzeba się było odwołać do Konieckiego, do Żalińskiej, do wszystkich sił dworu dla przygotowania wieczoru, naznaczonego na czternasty. Czasu stosunkowo nie pozostawało wiele, a Anna tak była mało przywykłą do przyjmowania licznych gości, do wystąpień wspaniałych, musiała tu tyle osób zapraszać, tyle uczynić przygotowań, iż w głowie jej się zawracało.

Nadzwyczaj dbała o utrzymanie powagi swej i dostojności, chciała wytwornością przyjęcia nie być upośledzoną i nie wstydzić się przed ludźmi. A ona sama, jej dwór tak zdawna byli przywykli do jak najprostszego życia, do oszczędności i skromności.

Znowu więc ze skarbca trzeba było odbierać srebra, opony zawieszać, ściągać kobierce, których oszczędzając chowano je także. Służba też nie starczyła, a kuchmistrza musiała pożyczyć od króla, bo nie miała takiego, któryby popsutym gębom pieszczonych Francuzów mógł dogodzić.

Zakłopotała się niemal do łez królewna.

Tymczasem krajczyna, która dotąd się nie chciała wyrzec ożenienia Henryka z Anną, uszczęśliwioną była tą nową oznaką jego... czułości. Tak ona to nazywała. Zbliżał się, starał się o łaski, żywił tę myśl, która zresztą należała do zobowiązań.

Łaska i inne panie, idące za jej przykładem, tak uparcie w tej wierze trwały, że niekiedy sama nawet królewna dawała się nią uwieść.

Pytała tylko siebie samej często, czy małżeństwo dobremby było, czyby szczęśliwem być mogło?

Najczęściej łzy na to odpowiadały i niepewność wielka. Tak młody, tak płochy, możnaż się było po nim spodziewać przywiązania? Im lepiej go poznawała, tem bardziej powątpiewała o tem.

Wreszcie z rodzajem rezygnacyi zrzekała się własnej woli, mówiła w duchu:—Stanie się, co Bóg da, co przeznaczył! Nie władam sobą, należę do kraju, każą mi do ołtarza iść z nim, pójdę. A potem... Stań się wola Twoja.

Rzadko myśl weselsza rozjaśniła te ciemne obłoki przeczuć trwożnych, a pociechą najczęściej było wspomnienie Zygmusia, który wydawał się jej przybranem dziecięciem, jej jakby własnem. Dlaczego nie myślała sobie przybrać swojej imienniczki Anny, siostry jego? czemu ona ją mniej daleko obchodziła, nie wiedziała sama.

Zdala, za mgłami śnił się jej czasem tron Polski dla siostrzana. Dla niego byłaby się chętnie zrzekła praw swoich. Onby krew Jagiellońską znowu tu wprowadził na długie wieki.

We wtorek czternastego czerwca od rana biegano w zamku, przygotowując ów zapowiedziany wieczór u królewnej.

Cały fraucymer trefił włosy i przysposabiał stroje, służba była na nogach, Żalińska i Koniecki ochrypli oboje, a Anna siedziała w sypialni smutna, bo jej serce nic już sobie nie obiecywało w przyszłości.

Krajczyna musiała dla niej sama obmyślać ubiór i napróżno dopytywała o zdanie, królewna uśmiechała się obojętnie.

— Wszystko to jedno — odpowiadała przyjaciółce —

jakkolwiek się ubiorę, nie będę ani młodszą, ani piękniejszą. Nie troszcz się tak bardzo o mnie, a pomóż raczej, abyśmy wstydu nie zrobili pamięci moich rodziców, imieniowi królewskiemu. Francuzi są do wspaniałości i rozrzutności nawykli, nasz obyczaj prostszym był zawsze, lękam się, aby nas nie wyśmiewali.

Oburzała się Łaska na samo to przypuszczenie, jej wydawało się wszystko bardzo pięknem i smakownem.

Anna nalegała, ażeby niczego nie żałować i gotową była, pomimo wielkich wydatków, wyłożyć ostatni grosz dla czci swojego domu.

Pokoje też królewnej, która sprosiła i przyjaciół i tych co jej niechętnymi byli jawnie, jaśniały nad wieczór całym przepychem pozostałości po Bonie i Zygmuncie Auguście.

Królowa matka, chociaż bardzo wiele wywiozła z sobą, uchodząc z Polski, pozostawiła jednak dużo sprzętu, którego zabrać było niepodobna. Zygmunt August kochał się w rzeczach pięknych, więc tkanin, kobierców, sreber nie brakło, a wspaniałe komnaty nadawały się do przystrojenia niemi.

Nie zbywało też na pięknych twarzach we fraucymerze królewnej i gdy wieczorem zebrało się całe grono gości, nie było się czego wstydzić. Anna mogła z dumą spojrzeć na swój dwór i grono ludzi najdostojniejszych, które ją otaczało.

Król nadszedł dosyć późno z tą samą wdzięczną i wesołą twarzyczką, którą zawsze tu przynosił, starając się przypodobać królewnie.

Dlaczego tego dnia właśnie kłamany uśmiech i uprzejmość nie czyniły wrażenia miłego na niej i ani na chwilę nie złudziły? Anna nie wiedziała sama. Od tego wieczora, gdy Henryka szalejącym w tańcu widziała, wstręt jakiś czuła ku niemu i obawę.

Wydawał się jej tak fałszywym i przewrotnym jak był wistocie. Wyrzucała to sobie, a powściągnąć się nie mogła.

Tańce, od których Anna chciała się zupełnie wymówić tak przykre one obudzały w niej wspomnienie, musiała rozpocząć Pawannem z Henrykiem, który, zdaje się, umyślnie

starał sa utrzymać poważnym bardzo. W oczach tylko jego czami przelatywały błyski jakiejś ironii jak ogniki błędne.

Od dalszych tańców stanowczo się wymówiwszy, królewna zajęła się swemi obowiązkami gospodyni, zasiadłszy między starszemi paniami.

Król wielce ożywiony, nie przestawał skakać, wziął Zosię Łaską i zapraszał inne panie do znanego im Gawota i Kuranta, ale znajdował się ciągle wstrzemięźliwie i nader przyzwoicie.

Dnia tego nic mu zarzucić nie było można, a wdzięk, z jakim występował w tańcu, zawracał głowy, bo nie można było mu zaprzeczyć] układności, zręczności ruchów i sztuki przypodobania się.

Do późna w noc, przy odgłosach muzyki tańcowano w salach jednych, w drugich biesiadowano i zabawiano się rozmową.

Nadedniem dopiero cofnął się król, uprowadzając z sobą Francuzów, i goście wszyscy rozjeżdżać się zaczęli.

Infantka Panu Bogu podziękowała odchodząc ostatnia do sypialnej komnaty.

— Łasiu moja—mówiła do przyjaciółki—powiedz mi, prawda? wszystko się nam powiodło? nie zabrakło nic? nie potrzebujemy się wstydzić, nieprawdaż?

— A! królowo moja,—odparła krajczyna—żaden festyn się tak, jak ten, nie udał. Ludzie podobnego nie pamiętają.

— Król nazajutrz w dziedzińcu pod oknami naszemi—dodała, uśmiechając się—ma biegać do pierścienia. Niechże królowa moja nie zapomni wyjść na galeryę do loży, aby się jego zręczności przypatrywać i przyklasnąć, boć to on dla was czyni.

Anna poruszyła ramionami i odparła.

— Pocznijmy wieczorne modlitwy.

Piętnastego wistocie Henryk i inni Francuzi zapowiedzieli bieganie do pierścieni, ćwiczenie, w którem celowa-

li. Uczyło ono celnego władania kopią, ale w Polsce zabawkę tę mniej ceniono i, jak mówił stary Bieliński, wolano silną, niż wydelikaconą a zręczną dłoń u rycerza.

Król, jak zazwyczaj, długo na dzień zaspał, i nie wyszedł na pokoje, aż po dziesiątej.

Tęczyński, który się zaledwie zdrzemnął, był już na zawołanie oddawna.

Ze wszystkich Polaków pan podkomorzy najmilszy był królowi, a i on też króla uwielbiał, a przywiązał się do niego z zaślepieniem takiem, że w nim samo dobre widział.

Przy hrabi Janie królowi nic zarzucić nie było można, tak gorąco stawał w jego obronie, i gotów był o najmniejszą obrazę czci Henryka krew przelewać. Przez całe dnie Tęczyński go nie odstępował, starając się przewidywać i uprzedzać wszelkie życzenia króla.

Przed kilku dniami podkomorzy miał przyjemność obdarzyć go bardzo pięknym koniem, wschodniej krwi, który się Henrykowi podobał. Jak z tym koniem, tak z każdą inną królewską zachcianką postępował, starając się zaspokoić ją bodaj największym kosztem.

Za tę miłość król wprawdzie płacił mu uprzejmością wielką, przywiązał go do swej osoby, dawał widoczne pierwszeństwo, ale wcale do swych tajemnic, do tego, co się w głębi serca działo nie przypuszczał. Kłamał tak przed podkomorzym, jak przed innymi Polakami, a do swych zabaw z Francuzami nie zapraszał go, krył się z niemi.

Blady i zmęczony wyszedłszy z sypialni, król powitał Tęczyńskiego pytaniem, czy nie przybył kto z Francyi?

Ostatnie przed dni dwoma odebrane wiadomości z Paryża kazały się co godzina spodziewać katastrofy.

Henryk wiedział, że Karol leżał w krwawych potach, dogorywając, trapiony widzeniami mordów i rzezi, i że matka nie spuszczała z oka księcia d'Alençon i Henryka, króla Navarry, a Montmorency i Cossé już byli odprowadzeni do Bastylli, Turenne i Thoré zbiegli, Molé i Coconnas pod sądem.

— Z Francyi nie wiem o nikim—odparł Tęczyński— ale poseł cesarza Maksymiliana prosi o posłuchanie i czeka.

Był nim Andrzej Dudycz i natychmiast go wprowa-

dzono. Król, który miał wejrzenie bystre, usiłował z jego twarzy odgadnąć z czem przychodził. Dudycz nie okazał po sobie, ażeby niósł coś ważnego.

Oznajmił tylko, że ma od cesarza własnoręczne pismo do króla z poleceniem, aby oddał je do własnych rąk jego.

Wistocie na małym zwitku papieru, opatrzonym pierścieniową pieczęcią cesarza, poznał Henryk pismo Maksymiliana, domyślił się, że musiał list coś ważnego zawierać i, nie rozpieczętowując go, podziękował Dudyczowi. Cofnął się z nim do swojego gabinetu.

Podkomorzy pozostał z Dudyczem sam i po krótkiej rozmowie odprowadził go do kolebki.

Król zamknięty długo nie powrócił na pokoje.

List cesarza w kilku słowach zawarty, donosił, że Karol IX dnia 30 maja zmarł na zamku w Vincennes, regencyę przekazując matce.

Cała twarz Henryka zapłonęła ogniem, lecz trwało to mgnienie oka, zbladł, schował kartkę i po krótkim namyśle poszedł do zwierciadła, aby z pomocą jego twarz ułożyć taką, któraby nic poznać nie dawała, ani radości, ani niepokoju. Musiał do czasu zachować tajemnicę. Wiadomość zresztą nadesłana przez cesarza nie była urzędową. Nie mógł król powątpiewać o jej prawdziwości, lecz potrzebowała potwierdzenia.

Znał dosyć matkę swą i jej przywiązanie do siebie, by nie wątpić, że natychmiast gońców po niego wysłać musiała.

Rozmyślał jeszcze zamknięty, gdy jeden z paziów zapukał do drzwi bocznych.

— Goniec z Francyi!

Henryk rzucił się naprzeciw niemu.

Był to dworak królowej matki, młody de Chemerant, który nie otrząsnąwszy się z pyłu podróżnego, śpieszył do Henryka, a gdy się drzwi zamknęły, przyklęknął przed nim, dobył list z za sukni i cicho zawołał:

— *Vive le roi!*

Król położył palec na ustach. Chemerant wstał.

— Wiem już! zachowaj tajemnicę! Nikomu ani sło

wa, dopóki ci ust nie rozwiążę. Nikt wiedzieć o tem nie powinien.

Zdziwił się niezmiernie goniec, który pędził na złamanie karku, starając się, aby go nie wyprzedzono, gdy z ust króla posłyszał, iż ktoś śpieszniej tu przybył od niego.

— Któż mógł przedemną tu przybyć?—zawołał smutnie.

Henryk uderzył go po ramieniu.

— Wyprzedził cię cesarz Maksymilian—rzekł żartobliwie i to mówiąc zdjął kosztowny pierścień z palca, który oddał posłowi.

— Chemerant—dodał—idź—spocznij, ale nikomu ani słowa! rozumiesz... Nie chcę nawet, abyś stał w gospodzie na mieście, niech ci dadzą mieszkanie w zamku.

To mówiąc, król z listem matki poszedł niespokojny do okna. Chemerant cofnął się zaraz.

Na twarzy Henryka promieniała niemogąca się ukryi zamaskować radość. Był więc królem Francyi! U celu życzeń spełniło się to, co matka przepowiadała mu i czego tak gorąco pragnęła, był panem tego pięknego kraju, w którym umiał się tak bawić przedziwnie! Śmierć brata ani na jedną sekundę nie zachmurzyła go smutkiem... Była upragnioną!

Rozpowiadano, że z czyjejś naprawy czarnoksiężnik Rugieri ulepił lalkę Karola IX i na niej tajemniczym sposobem spełnił morderstwo, które żywego życia pozbawiło.

Aż do obiadu król siedział zamknięty u siebie. Sam jeden rozmyślał, co miał począć z Polską, w której był królem, ale zarazem niewolnikiem w niej.

Wprzódy, nim urzędowa wiadomość przyjść miała, chciał coś postanowić. Komu się zwierzyć? kogo miał wezwać na pomoc?

W godzinę obiadu wyszedł, ale posępny i zafrasowany, a na zapytania troskliwe Tęczyńskiego czy wiadomości z Francyi były pomyślne, potrząsnął tylko głową dwuznacznie. Ten więcej dopytywać go nie śmiał.

Obiad przeszedł w milczeniu.

Wszystko było gotowem do biegania. Dosyć ludzi zgro-

madziło się dokoła placu. Tęczyński przyszedł mu oznajmić o tem.

— Hrabio mój—odparł oczy ku niemu podnosząc Henryk—widzisz sam, jak jestem zmęczony. Nie mogę biegać, potrzebuję spoczynku, chcę nawet dziś położyć się wcześniej. Niech kto chce się zabawia.

Tęczyński poszedł natychmiast spełnić rozkazy. Ani on ani nikt na zamku nie domyślał się jeszcze niczego.

Wieczór się zbliżał, gdy Henryk sposobem, do którego Francuzi byli nawykli, dał znać najzaufańszym swoim, iż z nimi sam na sam naradzić się potrzebuje. Villequier, Pibrak, Souvray i poseł francuski Belliévre zostali w ten sposób powołani.

Na zamku tak wszyscy byli nawykli do częstych posłańców z Francyi, iż nikogo nie zdziwił jeszcze nad wieczór przybywający de Neufvy. Wiózł on z sobą takie same listy, jakie zrana oddał Chemerant, ale oprócz tego ustnie miał wiele do opowiedzenia o ostatnich godzinach króla i męczarniach, dla których Henryk okazał się obojętnym. Więcej daleko rozpytywał go o środki, jakie przedsięwzięła królowa matka, aby sobie zapewnić regencyę, aż do jego przybycia.

Drugiemu posłowi temu nakazawszy tajemnicę, Henryk przywołał podkomorzego i zaraz po wieczerzy, skarżąc się przed nim na głowę, oświadczył, iż idzie do łóżka.

Ze zwykłą ceremonią odprowadził go Tęczyński, dwóch paziów posadził na straży u łoża, świece zapalono, drzwi zamknięto.

Podkomorzy zaledwie miał czas oddalić się z zamku do swojego dworu pod wałami, dosyć odlegle położonego, gdy król wstał żywo, paziów odprawił i wezwanych swych doradców wpuścić kazał.

Stawili się oni wszyscy, nie jeden już raz tak do nocnych narad zapraszani, nie przewidując, co ich tu czekało.

Villequier i Belliévre weszli pierwsi i zastali Henryka w długim czarnym płaszczu, stojącego w gabinecie.

Strój ten niezwykły miał już znaczenie.

— Brat mój umarł—odezwał się głosem stłumionym nieco i drżącą ręką dobywając listy, które na stół rzucił.— Królowa wzywa mnie, abym co najprędzej przybywał.

Souvray i Pibrak nadchodzili, gdy to mówił. Wszyscy oni powitali go jako króla, a Villequier przykląkł do ucałowania jego ręki.

Wiadomość, chociaż spodziewana, uczyniła tak wielkie wrażenie, iż przez chwilę żaden z nich przemówić nie mógł.

Belliévre pierwszy uczynił uwagę, że poselstwo jego było tu tem samem skończone i że natychmiast powinien wrócić do Francyi.

Rzecz była tak małego znaczenia, iż nikt na nią nie zwrócił nawet uwagi.

— Królowa nagli, żąda, wymaga, abym przybywał niezwłocznie—począł mówić Henryk.—Nie ulega wątpliwości, że im prędzej dostanę się do Paryża, tem dla mnie i dla Francyi będzie z tem lepiej. Zapobieżono wszelkim pokuszeniom, d'Alençon i Henryk są strzeżeni, ale...

— Ale—przerwał Pibrak żywo — niemniej śpieszyć należy.

— Sądzicie—rzekł Henryk,—iż mnie panowie senatorowie puszczą stąd tak łatwo?

Spojrzeli po sobie wszyscy.

— Ba!—zawołał Pibrak—pomiędzy Polską a Francyą wybór niewątpliwy. Z pierwszą stanie się, co zechce, a W. Kr. Mości do Paryża biedz należy, jednej nie tracąc chwili.

— Sądzicie, wy, Pibrak, co ich tu najlepiej znacie, że mi Karnkowski, Opalińscy, Tęczyńscy ułatwią rychły wyjazd? Nie będą się starali strzymać tutaj?

Wszyscy obejrzeli się po sobie.

Pibrak najlepiej znał z nich Polskę, tak sobie przynajmniej pochlebiał, miał tu i serdecznych przyjaciół i okrutnych wrogów. Na niego zwracały się oczy wszystkich.

— Senatorów w Krakowie jest niewielu—odparł Pibrak—nie wiem, czy oni na siebie wziąć zechcą odpowiedzialność i sami rozstrzygać. Mogą, co najprawdopodobniejsze sejm zwołać. Jam o tej ewentualności mówił już z biskupem kujawskim. On sądzi, że bez sejmu się nie obejdzie.

— A nim się sejm zbierze—tupiąc nogą zawołał król, który się okręcił na niej niecierpliwie—nim się on zbierze i nim się wygardłują, upłyną miesiące.

— Kilka co najmniej—potwierdził Pibrak.

— Cóż tu robić?—wykrzyknął król, bijąc papierami po rękach.

— Ba!—przerwał Villequier—rzecz bardzo prosta, nie pytając o pozwolenie nikogo, jechać, gdy potrzeba.

— Przebojem?—zapytał Pibrak.—Nie mamy tu na nieszczęście wojska?

— Ale mamy doskonałe konie—rozśmiał się Villequier—i wrota, gdy będziemy potrzebowali potrafimy sobie otworzyć.

— Uciekać?—zapytał Pibrak.

Król spojrzał na niego.

— Mój Guy—przerwał,—można to nazwać inaczej, a przyznam ci się, że nawet ucieczka z tego kraju, przynajmniej w waszych oczach powinna być usprawiedliwioną. Widzicie, jak ja tu żyję, co cierpię... naostatek... (zżymnął się) grożą mi małżeństwem.

Souvray się głośno rozśmiał.

— N. Panie—rzekł—oni sami nie wierzą w nie.

— Ale królewna ciągle mi grozi, jak miecz Damoklesa—żywo począł król.—Widzieliście ją wczoraj, poważna to matrona, włożywszy jej czepiec, starszą się pewnie wyda od mojej matki, a nudną jest i milczącą, i smutną a kwaśną tak, że nawet na mniszkę wydaje się za ponurą, coż dopiero za żonę dla... dla...

Pibrak przerwał.

— A! to małżeństwo łatwobyśmy potrafili tak odkładać, ażby sę nareszcie samo zerwało.

— Oprócz tego—zawołał król z przekąsem—mój Guy, nie znajdujesz, iż jest tysiąc innych okoliczności trujących mi życie, dla których ja tu pozostać nie mogę. Pomóżcie mi, abym się mógł stąd wyrwać; jak najcięższa niewola ciąży mi to moje królestwo.

Bellièvre stał nieco na uboczu, słuchając, trzej doradcy zbliżyli się do króla wyprzedzając się z zapewnieniami, iż na wszystko, co każe, są gotowi.

— Najjaśniejszy panie—zawołał Villequier.—Z tego

co nam mówił Pibrak, wnosić można, iż na pozwolenie czekać byłoby niedorzecznością. Potrzeba o nie prosić, aby czas zyskać i czujność ich uśpić, ale my musimy się gotować do... nazwijcie to jak chcecie, chociażby ucieczką. Ja i Souvray bierzemy to na siebie. Chwili niema do stracenia.

Z wyrazu twarzy Henryka widać było, iż oświadczenie to przyjmował wdzięcznie.

— Myśl nie jest zła—rzekł,—Pibrak niech gorliwie pracuje nad wyrobieniem mi u panów senatorów łaskawego zezwolenia na rozporządzanie osobą moją, a my tymczasem starajmy się obejść bez pozwolenia.

Pibrak stał zadumany.

— O jedno mi idzie—odparł po chwili namysłu.—Ucieczka jest zawsze trochę niebezpieczną. Że się za nami w pogoń puszczą, nie ulega wątpliwości. A nuż króla na polskiej dogonią ziemi?

Villequier się oburzył.

— Dogonić nas nie mogą—zawołał.—Rzecz cała powinna się tak ułożyć, aby się nie postrzegli wprzód, nim my przekroczym granicę. Obmyślim do niej najkrótszą drogę... konie możemy rozstawić.

Henryk się uśmiechał.

— Nie mam obawy najmniejszej—odezwał się—jeżeli Villequier i Souvray wezmą to na siebie.

— Wiele na to czasu potrzeba, ażeby wszystko przygotowanem być mogło?—dodał, zwracając się do pierwszego.

— Dwa lub trzy dni starczą—rzekł Villequier śmiało.—Ja i Souvray nie stracimy ani godziny. Dziś jeszcze w nocy pojedziemy do Sederyna.

— Patrzcie, abyście zawczasu nie uderzyli na alarm—zawołał Pibrak.

— Sederyn jest człowiek pewny—rzekł Villequier—można polegać na nim.

— A na jego zręczności?—spytał król.

— Zarówno—rozśmiał się Souvray.—Patrząc na niego, niktby o przebiegłość i rozum tego otyłego rzeźnika nie posądził, a jednak...

Bellièvre, który dotąd słuchał milczący, przybliżył się powolnemi krokami.

— A ty co mówisz na to?—zapytał król.

— Nic, oprócz, iż dla mnie osoba W. Król Mości nadto jest drogą, abym się o nią nie lękał. Dlatego życzę rozpatrzeć wszystko dobrze i ważyć jak najmniej. Znam Polaków.

— Pochlebiam sobie, że ja ich przynajmniej tak dobrze znam, jak wy—odezwał się Pibrak.—Są gwałtowni, obawiałbym się ich i ja, gdyby nie byli tak dobroduszni, tak łatwowierni, że ich zawsze na słowa zręczne wziąć można. Pytajcie biskupa Walencyi, co im wmawiał i przyrzekał. Są tak dziecinnie ufni, iż wierzą, co im kto powie.

— Ale zwiedzeni i oburzeni—dodał Bellıévre,—w namiętności nie znają miary. Naówczas to są Zborowscy.

Reszta Francuzów milczała, ocenienie to charakteru polskiego, w grubych rysach było dosyć trafne, nic mu zarzucić nie mógł żaden.

— Ucieczka króla, niema wątpliwości—dodał Bellièvre,—przyprowadzi ich do rozpaczy. Mówmy prawdę, król ma już wielu nieprzyjaciół, pomnoży ona ich liczbę. Polskę trzeba będzie uważać za straconą.

Pibrak głową potrząsał.

— Może nie—rzekł krótko.

— A gdyby tak nawet być miało—odezwał się Villequier,—lepiejże ważyć utratę francuskiej korony?

— Tej nic nie grozi!—przerwał Bellièvre— królowa matka choćby rok cały regentką być miała, potrafi na wodzy utrzymać tych, których się można obawiać.

— Radzę ostrożność—dokończył poseł—przez miłość moją dla pana.

Skłonił się nizko.

— Nie mówię o koronie polskiej—dodał,—ale z tą gwałtownością Polaków, którzy o cześć swoją stoją wielce, ostrożnie poczynać trzeba. Osoby króla nie poszanują, gdy się uczują obrażonymi, a wątpliwości nie ulega, iż za obrazę wezmą pogardę ich kraju, korony i przysięgi im złożonej....

Henryk słuchał tych wywodów Bellièvra z widocznem

zasępieniem i niezadowoleniem. Poseł spostrzegł to wkońcu i umilkł.

— Nie wiem—odezwał się kwaśno król,—co postanowią senatorowie, ale mi to wszystko jedno. Jechać muszę, jechać chcę i pojadę. Proszę was tylko panowie, aby o tem postanowieniu mojem nikt nie wiedział. Souvray, Villequier... pomogą mi...

Wtem król, jakby coś sobie przypomniał, wtrącił żywo, zwracając się do Villequiera;

— Mówcie o tem z dowódcą mojej gwardyi, z kapitanem Larchant.

Skłonił się Villequier.

— A przedewszystkiem muszę dziś jeszcze zobaczyć się z Sederynem—dodał.—Bez niego nie zrobimy nic, ani ja, ani Larchant, ani Souvray.

Po krótkiem milczeniu, król oczyma obszedłszy przytomnych, rzekł jeszcze:

— Wyjazd więc mój jest postanowiony. To rozstrzygnięte. Według mnie, im on prędzej nastąpi, tem lepiej. Przy największem staraniu o zachowanie tajemnicy, nie utrzyma się ona, gdy się przeciągnie.

Narada zdawała się skończoną, jednak nikt odchodzić nie śmiał.

Król biegał po pokoju zasępiony.

— Trzeba wszystko przewidzieć —rzekł cicho.— Polacy będą się gniewać na mnie... a w gniewie pomiarkowania nie mają. Gotowi mi nawet to co mam a pozostawię zabrać; klejnoty, które przywiozłem z sobą, byłyby stracone. Wiele z nich mają dla mnie wartość pamiątek.

— Potrzeba już teraz odesłać je do Francyi—rzekł Villequier.

— Ardier des Issoires—zawołał Souvray—wybierał się do Paryża oddawna, można mu je powierzyć.

Król potwierdzająco skłonił głowę.

Belliévre się żegnał, chcąc odchodzić.

— Panowie moi,—rzekł król, zwracając się do nich, —pamiętajcie mi zachować tajemnicę. Rachuję na to.

Villequier po krótkiej, cichej rozmowie z Souvrayem, który pozostał u króla, wybiegł natychmiast.

Nie wstępując nawet do mieszkania, nie zmieniając sukni, zbiegł zaraz ze wschodów, aby się udać na miasto. Wieczorami wrota na zamku chociaż były zawczasu pozapierane, ciągle dla Francuzów wychodzących i powracających, niemal przez noc całą, przez straże otwierane być musiały.

Nie było tajemnicą dla nikogo, że król sam nawet często nocą udawał się na miasto, a dopiero nad rankiem powracał, że Francuzi rozmaite osoby ze sobą przyprowadzali tu i że ciemności nocne pokrywały swawolę.

Spadała wina tych wybryków na młodzież, która królowi towarzyszyła, chociaż ona go tylko naśladowała.

Nie było trudno panu Villequier wysunąć się z zamku, a że mu o pośpiech chodziło, siadł na pierwszego lepszego konia, jakiego w stajniach znalazł osiodłanego.

W starej Mynicy u Sederyna świeciło się jeszcze, a dla ciepła zbytniego okna były pootwierane. Zabawiano się, spodziewając, że świeżo przybyli z Francyi posłańcy zajrzą tu i coś z Paryża przyniosą. Tymczasem ani Chemerant, ani de Neufvy, nie pokazali się w gospodzie.

Oba oni, wyprzedzając się, aby być pierwszymi u króla, złamani podróżą odpoczywali, przeklinając cesarza Maksymiliana, który obu ich z wiadomością tą uprzedził.

Villequier wprost pobiegł na górę, ale zamiast szukać Sederyna w izbie, w której słychać było gwar Francuzów zgromadzonych, wywołał go z niej przez sługę.

Sederyn wyszedł powolnym swym krokiem, nie domyślając się nic zbyt ważnego.

Ponieważ Villequier był w wielkich u króla łaskach, szanował go wielce i kłaniał mu się nizko właściciel Starej Mynicy. Zobaczywszy go i postrzegłszy na twarzy wyraz jakiegoś zniecierpliwienia, otworzył, nie pytając go, drzwi osobnej komory, w której zwykle załatwiał narady wymagające czterech oczu.

Izba była istne kafarnaum, pełna sepetów, szaf, koszów, skrzynek, broni i rozmaitych rupieci, do przechowania Sederynowi dawanych. Weszli do niej, nim przyniesiono światło, potrącając o porozstawiane sprzęty... lecz tuż

wbiegł i chłopak ze świecami. Villequier rzucił na stół kapelusz.

Sederyn stał, ręce w tył założywszy, przewidując, że szło o coś ważnego, ale czekał długo, nim Villequier namyślił się i przemówił.

— Mości Sederynie,—rzekł wkońcu, zbliżywszy się do niego stłumionym bardzo głosem,—albo szczęście sobie możesz zapewnić (votre fortune est faite), albo możesz nas i siebie zgubić. Przychodzę do ciebie od króla w bardzo, bardzo ważnej sprawie.

Sederyn się skłonił. Nawykły do przesady w słowach Francuzów, którzy wszystko powiększali nie przywiązywał nadzwyczajnej wagi do zapowiedzi tej Villequiera.

— Jestem na rozkazy—rzekł chłodno.—Wiecie, że służyć zawsze gotówem.

Villequier palec położył na ustach.

— A naprzód, milczenie! pod gardłem!

Sederyn wciąż odpowiadał głową tylko.

Villequier namyślał się, marszczył i słów dobierał.

— Król prawdopodobnie w tych dniach, jak najrychlej, przypuśćmy najdalej za parę dni, musi jechać do Francyi. Król brat jego, umarł, korona francuska spada na niego. Musi stąd precz. Polacy go pewnie wypuścić nie zechcą, on czekać na ich pozwolenie nie może. Należy obmyśleć środki ucieczki... zwróciłem się o to do was. Kapitan Larchant wam pomoże.

Z natężoną uwagą słuchał w początkach Sederyn, ale zrozumiawszy o co szło, zbladł jak trup, ręce podniósł, pochwycił się za głowę, milczał długo.

Villequier zląkł się tego milczenia.

— Panie Sederynie,—zawołał—mów, nie mam czasu do stracenia. Król rachował na was.

Sederyn bełkotać zaczął, potniał i czoło ocierał.

— Panie hrabio,—rzekł głosem zdławionym—panie hrabio jestem cały oddany królowi, ale... znam Polaków i Polskę. Ważyć muszę nietylko mój majątek, wszystko, co mam, ale zarazem życie, gardło. Jeżeli król potajemnie uciecze, ci, co mu pomogą będą najsurowiej sądzeni.

Na p. Villequier nie robiło to wrażenia.

— Rzecz naturalna—rzekł obojętnie,—iż życie swe ratować musisz, to wasza sprawa! Co się tyczy majątku, straty wam król francuski potrafi nagrodzić i zapłaci za polskiego króla.

Pomimo tego uspokajającego zapewnienia, Sederyn nie przestawał ocierać pot i stękać cicho. Zapatrzył się w podłogę.

— Tak prędko—zawołał—urządzić rzecz tak trudną! I ręce szeroko wyciągał.

— Albo prędko, póki nic się nikt nie domyśli, lub później wcale nie będzie można—dodał Villequier.

Spoglądał na Sederyna, który jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Zbliżył się potem i położył rękę na jego ramieniu.

— Królowi o to najmocniej chodzi, aby się co prędzej dostał do Francyi—rzekł—powinieneś to zrozumieć. Niech kosztuje, co chce. Wdzięczność będzie nieograniczona. Mówmy jak i co poczniemy.

Sederyn jeszcze nie całkiem oprzytomniał.

— Nie dziwujcie się—odezwał się po długim przestanku—że mi nie łatwo przychodzi zebrać myśli. Dom, handel, majętność, siebie, życie, wszystko stawić muszę. Stawka wielka.

— Ale wygrana pewna i stokroć ją przewyższająca.— przerwał Villequier.

Sederyn, jakby potrzebował pokrzepienia i czasu do namysłu, wysunął się, obiecując natychmiast wrócić; powrócił wistocie, niosąc kubki i wino. Jeden z nich sam wychylił.

Zamyślony stał jeszcze trochę.

Villequier coraz to go budził.

— Cóż więc? cóż więc?

Sederyn z oczyma wlepionemi w stół, po którym przebierał palcami, nie odpowiadał; naostatek ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, otworzył usta.

— Za królem nieochybnie pogoń się puści—rzekł.— Potrzeba się zabezpieczyć, ażeby jak najpóźniej się opatrzono, a drogę tak oznaczyć, ażeby jak najprędzej można

dosięgnąć granicy. Na polskiej ziemi, jeżeli króla dogonią, nie puszczą go dalej.

Villequier potakiwał.

— Któż to mógł przewidzieć—dodał Sederyn posępnie,—że przyjdzie do potajemnej ucieczki? Nikt się nie gotował do tego... a tu pośpiechu potrzeba.

— Jak największego—potwierdził Villequier.

— Konie przodem wysłać musimy, bo jedne nie starczą—mówił Sederyn.—Ile osób będzie przy królu?

— Gromadka nie wielka, sądzę—odparł Villequier, ale nic jeszcze nie oznaczono. Koni może nam dostarczyć Larchant.

Rozpoczęli mówić o szczegółach, których się tyle nastręczało, iż Sederyn ręce łamał co chwila. Villequier w imieniu króla na pośpiech i na tajemnicę nalegał. Nie dawał na przygotowania więcej nad trzy dni. Znał króla i jego temperament niecierpliwy.

W końcu Sederyn głosem znużonym zapytał:

— A cóż będzie z Polską?

Nie odebrał na to odpowiedzi rychło.

— Nie wiem—rzekł wkońcu Francuz obojętnie—to zależy od panów Polaków. Jeżeli się zgodzą na warunki króla Francyi, mogą pozostać pod jego panowaniem. Spodziewam się, że to dosyć byłoby zaszczytnem... jeżeli się burzyć i wichrzyć będą...

Wskazał ręką, iż o to nie dbał, naturalnie król i on.

Sederyn posmutniał.

— Nie znacie Polaków—odparł.—Wcale się oni choćby wobec i w porównaniu do Francyi upośledzonymi nie czują. Jeżeli król lekceważeniem ich obrazi, zrzucą go... zrzucą! Przyjdzie tem łatwiej detronizacya, że dotąd go niektóre ziemie nie chcą znać i uznawać. Polska stracona!—zamknął Seredyn.

— Ja po niej płakać nie będę—odezwał się Villequier,—a sądzę, że i król prędko się pocieszy.

W pierwszej chwili rozżalenia i sromu doznanego—dodał Seredyn—na tych, których Polacy w rękach mieć będą, pomszczą się okrutnie. Pamiętajcie o tem. Nie mówię o sobie, choć ja pierwszy zgubionym zostanę, ale i o tych,

których król tu zostawić musi, boć wszystkich nie zabierze, potrzeba myśleć.

— Mamy przecież i tutaj przyjaciół—przerwał Francuz.—Biskup kujawski, podkomorzy Tęczyński...

— Ci się wszyscy przeciw wam obrócą—mówił Seredyn—będą musieli bronić siebie, bo króla obraniać nie znajdą sposobu. Przysiągł Polakom.

Zmarszczył się mocno Villequier.

— Zamiast być mi pomocą, zatrważasz mnie trudnościami—zawołał gniewnie.—Nie po to tu przyszedłem.

Sederyn podszedł parę kroków, ujął jego rękę i w ramię go pocałował.

— Uspokójcie się—rzekł—trzeba przewidzieć wszystko.

— Ale nie tak czarno widzieć—sprzeciwił się Francuz.—Polacy pogniewają się, to pewnie, ale mi się zdaje, że ocenić też powinni tę cześć i korzyści, jakie pozyskają, gdy król Francyi będzie razem ich królem.

Potrząsał głową Sederyn.

— Nie znacie ludzi—powtórzył.

— Mniejsza o to, gotujcie konie do granicy cesarskiej—zakończył.—Raz ją przekroczywszy, jesteśmy bezpieczni. Cesarz pierwszy dał dziś znać królowi o śmierci brata i niewątpliwie ułatwi mu dalszą podróż.

— Nie wątpię i ja o tem—rzekł, uśmiechając się Sederyn.—Cesarzowi to będzie na rękę, bo starał się o tron Polski, a przewiduje już, opróżnionym zostanie. Dostarczy i koni i ludzi.

Zmarszczył się Villequier.

Rozmawiali jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Larchant, którego przysyłał Souvray.

Larchant średnich lat mężczyzna, żołnierz od dzieciństwa, odważny, zapamiętały, pełen próżności, samochwał wielki, wyglądał na zucha, który się miłować musiał w niebezpieczeństwach. Śpieszył on tu, bo awantura, była dlań pożądaną, a nadzieja wydobycia się z Polski, gdzie mu się nie wiodło i kilka już razy nieprzyjemne zetknięcia się z rębaczami naprzykrzyły, wielce się uśmiechała. Larchant przychodził rozpromieniony.

Widząc go tak ochoczym do dzieła, gdy Sederyn chodził zafrasowany i przybity, Villequier wskazał mu gospodarza.

— Weźże go kapitanie i ostrząśnij ze złych myśli Nie mamy czasu do stracenia.

— A farsę taką doskonałą do odegrania!—podchwycił, śmiejąc się Larchant.—Proszę sobie wystawić tych drogich Polaków moich nazajutrz rano, gdy im króla zabraknie! A! cóżbym dał, aby na to patrzeć i pocieszyć się odwetem! Nadokuczali nam dosyć swoją butą nieznośną. Na nieszczęście ja tego nie zobaczę, bo królowi towarzyszyć muszę i inaczej go nie puszczę.

— Koni potrzeba dobrych, to nie ulega wątpliwości—dokończył, nalewając sobie wina,—ale kilka silnych rąk nie zawadzi.

Podniósł krzepką pięść do góry.

Sederyn stał ciągle chmurny.

— Mości Sederynie, *à nous deux!*—począł Larchant—obmyślajmy, liczmy, a żywo! a żywo!

— Tak—zamruczał Sederyn,—wamby się chciało jak najprędzej stąd wyrwać, rozumiem, ale i ja też muszę myśleć o tem, że mogę zostać i wpaść w ręce chciwym zemsty.

Larchant mrugnął na Villequiera i klepnął po ramieniu gospodarza.

— Odwagi! Nic się wam nie stanie!—zawołał.—Nie zdradzi was przecie król i nikt wiedzieć nie będzie, kto nam pomagał.

Sederyn potrząsł głową niedowierzająco, ale już Larchant, nie tracąc czasu, o liczbie koni i sposobie ich zebrania rozprawiać i badać zaczął. Żądał mieć zapaśne wierzchowce, chciał jak najwytrzymalszych i rączych.

Roztrząsano potem w ilu i jakich miejscach konie się postawić miały, kto mógł króla prowadzić po nocy, jaka droga była najbezpieczniejszą.

— Tego bądźcie pewni—dodał Sederyn po namyśle,—że gdy się o ucieczce króla dowiedzą, gdy alarm się zrobi, nie jeden ktoś, ale całe tłumy pobiegną na wszystkie drogi łapać i chwytać, ze tym Francuzom i przyjaciołom

króla, którzy pozostaną w rękach Polaków, niewygodnie będzie i ciężką chwilę przeżyć będą musieli.

Sederyn nie mógł się uspokoić.

Dniało już i Villequier zabierał się powracać na zamek, bo przewidywał, że król też spać nie będzie i zawoła go rano, a Larchant jeszcze nieszczęśliwego Sederyna męczył, usiłując mu dodać męstwa.

Nie przyszło mu to łatwo. Kapitan gwardyi rad był, iż powracał do swojej Francyi z kraju piwa i niedźwiedzi, jak go nazywał, Sederyn przewidywał, że Polskę, w której dorobił się mienia, majątek, dom, wszystko porzucić będzie musiał, gardło w dodatku ważąc.

Znał nadto dobrze tych, wśród których żył, by powątpiewać, iż mu zdrady nie przebaczą. Królowi, bądź co bądź nie mogli uczynić nic, jemu groziło co najmniej ubóstwo i włóczęga bezdomna, bo wiedział, że na wielką wdzięczność rachować było trudno.

Rzadko się trafiało, ażeby król sam zwoływał panów senatorów na radę, najczęściej oni sami prosić musieli o posłuchanie i rozwiązanie spraw pilnych. Niewielu ich znajdowało się naówczas w Krakowie i wszyscy we wtorek rano odebrawszy zaproszenie na zamek, mocno się temu zdziwili.

Łagodny i dobroduszny ks. biskup chełmski uradował się temu pomyślnemu symptomatowi.

— Dzięki Bogu—rzekł, ubierając się, aby na zamek pośpieszyć.—Dobry znak, zaczyna się poczuwać do królewskich swych obowiązków, które zaniedbywał potrosze. Łaska Boża!

Spotykający się już w podwórcach zamkowych Zborowski, wojewoda krakowski, Tęczyński, Pstrokoński, witali się pytaniami.

— Nie wiecie, po co król nas wzywa?

Zwracano się szczególniej ku panu podkomorzemu, o którym wiedzieli wszyscy, iż miał zaufanie króla i łaskę.

Tęczyński nie wiedział o niczem.

— Widziałem króla wczoraj wieczór—odparł,—był zmęczony i smutny, ale o żadnej tak pilnej sprawie nie wspominał.

— Znudziły go zabawy—przerwał szydersko nieco kasztelan czerski, Pstrokoński—chce się rozerwać, słuchając polskich mów, których rozumieć nie będzie.

— Ręczę wam—stanął w obronie Tęczyński, który króla zawsze się starał, osłaniać—że radby mowy naszej się nauczyć.

— Niema na to lepszego sposobu—dodał Pstrokoński, gdy już na salę wchodzili—jak się z Polką ożenić. Niech przyśpieszy ślub z Infantką. *Probatum est.*

Sala senatorska dosyć obszerna, ozdobna, wydawała się smutna i pusta. Kurz leżał na ławach i pomimo okien otwartych, woń pustki niezamieszkanej, pyłu i zapomnienia przejmowała powietrze.

Zwolna ściągali się panowie senatorowie, przewidując, iż liczba będzie niewielką.

Wsunął się cicho marszałek Firlej i zaledwie pozdrowiwszy tych, których zastał, zajął miejsce na stronie ku pierwszej ławie. Wszedł potem Ostafi Wołłowicz, trocki kasztelan, witając Zborowskiego, który jeszcze z Tęczyńskim rozmawiał, za nim zjawił się Żaliński, kasztelan gdański, dosyć pokorny i skromny.

Nie wielu więcej spodziewać się było można. Zapytywano napróżno o kilku, dowiadując się, że ich w mieście nie było.

Ważniejszych narad nikt się nie spodziewał, a wiosna wyzywała wszystkich na wieś.

Król zwykle dość długo na siebie dawał czekać i tym razem, nie spodziewając się go rychło panowie senatorowie chodzili i siedzieli, pozbierawszy się w małe gromadki, gdy Tęczyński, wyszedłszy na chwilę, powrócił, oznajmując króla.

Drzwi otwarto szeroko. Henryk szedł, wiodąc za sobą do pomocy Pibraka, jako tłumacza.

Spojrzenie na niego wskazywało, że przybywał z czemś ważnem, twarz miał posępną i uroczystą. W dodatku strój niezwyczajny oczy zwracał. Ubrany całkiem czarno,

bez łańcucha nawet na szyi, król na ramionach miał ciężki płaszcz czarny, wlokący się za nim, jakiego nigdy nie nosił.

Zaledwie panowie senatorowie zajęli miejsca, gdy Henryk głosem wymuszonym, ponurym, mówić począł.

— Przychodzę się z wami, panowie senatorowie, podzielić boleścią moją. Doszła mnie od królowej matki wiadomość smutna, że najukochańszy brat mój, król Francyi, żyć przestał. Nie wątpię, iż oddacie mu należną cześć, gdyż Polskę miłował równie, jak Francyę i był jej najżyczliwszym.

Chwilę się zaledwie zatrzymawszy, Henryk dał znać Pibrakowi, aby mu w pomoc przybył. Senatorowie spoglądali po sobie, siedząc w milczeniu, wszystkich ich ogarnęła jakaś trwoga i niepokój.

Lecz Pibrak już listy z Francyi dobywszy, rozpoczął ich czytanie.

Przeczuwano, iż król domagać się będzie zapewne pozwolenia wyjazdu dla objęcia panowania i senatorowie badali się oczyma, usiłując porozumieć, co czynić i jak odpowiadać mają, gdy król sam po Pibraku głos zabrał.

Uderzył nadzwyczajny, prawie nienaturalny spokój i rezygnacya, z jaką mówić począł.

— Będę zmuszonym—rzekł—udać się do Francyi, to niewątpliwe; tymczasem jednak regencya jest w rękach matki, w kraju panuje spokój, nic nie zagraża. Mam więc czas czekać, aż się mój wyjazd obmyśli i postanowi.

— Przedewszystkiem—dodał, zwracając się ku tym, których sobie szczególniej pragnął pozyskać—przedewszystkiem należy sprawy tego królestwa tak ułożyć, aby mu pokój i dobry rząd był zapewniony. Jest to moim obowiązkiem i pilno się tem zająć musimy.

Wszystko, co mówił, było tak piękne, rozsądne, tak pochlebne, iż nikt z senatorów nie zebrał się na odpowiedź. Milczeli pod wrażeniem wiadomości, która ich wcale niespodzianie spotkała, a byli w tak małej liczbie, iż obawiali się rozstrzygnąć cokolwiekbądź.

Król westchnął.

— Mamy czas, nic dotąd nie nagli—rzekł po małym przestanku—jednakże nic przewidzieć niepodobna. Dla

spraw królestwa mojego francuskiego mogę stać się potrzebnym, prosiłbym więc was, abyście przyśpieszyli zwołanie sejmików i sejmów.

Po przemówieniu króla panowało milczenie, szeptano, naradzając się, kto odpowie. Przypadło to na Zborowskiego, który począł od wyrażenia żalu i współczucia dla króla.

— Miłościwy panie,—dodał—dozwolisz, abyśmy tak niespodzianie zaskoczeni, naradzić się mogli. Sprawa wielkiej wagi, nas gromadka mała, a odpowiedzialność ciąży ważna.

Usłyszawszy to król, jakby rad był od dalszych rozpraw się uwolnić, powstał żywo i oświadczył przez Pibraka, iż pozostawia panów senatorów dla dalszego rozstrząsania, co czynić mają, a sam zabrał się do wyjścia.

Zgromadzeni panowie, w milczeniu pożegnawszy Henryka, pozostali na swoich miejscach i po oddaleniu się jego, siedzieli strwożeni, niepewni, co począć, jakby grom padł między nich.

Na twarzach widać było pomieszanie. Karnkowski szczególniej, biskup kujawski, blady, drżący, zdawał się tą nowiną do rozpaczy przyprowadzony. Należał on do tych, co z Tęczyńskim króla popierali i największe na nim pokładali nadzieje. Sama myśl, iż Henryk mógłby się oddalić, i zaniedbując polskie sprawy, poświęcić cały Francyi, przerażała biskupa.

Wkrótce po wyjściu króla zagotowało się od namiętnych rozpraw w sali senatorów i trzy godziny trwały głosy różne i utyskiwania, obawy, przewidywania, które się skończyły tem od czego się rozpoczęły, potrzeba było co najrychlej zwołać panów, rozesłać listy do szlachty, zgromadzić naród, aby rozstrzygnął, czy może dopuścić nowoobranemu królowi swojemu wyjechać do Francyi, gdzie mógł być narażony na wojnę domową i na niebezpieczeństwo.

W chwili, gdy okryty płaszczem żałobnym król kroczył do sali oznajmić o śmierci brata zwołanej radzie, tajemnica dotąd zachowana o nadeszłych z Francyi wiadomościach dłużej się już utrzymać nie mogła.

Zdradzili ją sami Francuzi.

Ochmistrz Koniecki, który właśnie szedł do Infantki spotkał w korytarzu Tęczyńskiego. Blady i pomieszany podkomorzy, zatrzymał go i szepnął smutną nowinę.

Koniecki, człowiek słaby i trwożliwy, zapytał, podnosząc ręce do góry:

— Panie hrabio! a cóż będzie z Infantką? Z królem? ze ślubem?

Tęczyński poruszył ramionami.

— Król chce jechać do Francyi!—odparł, odchodząc śpiesznie.

Nie mogąc od nikogo się o niczem więcej dowiedzieć, ochmistrz pośpieszył na górę do swej pani.

Tu nie wiedziano, nie domyślano się nic jeszcze. Donoszono tylko Annie, iż wczoraj przybiegło z Francyi kilku posłów.

Krajczyna z Zosią Łaską stały, oczekując na królewnę, gdy Koniecki wpadł, ręce łamiąc.

— Król francuski umarł! — zawołał. — Wiadomość przyszła z Paryża. Nasz Henryk zmuszony, czy po dobrej woli wybiera się do Francyi. Matka go powołuje.

Kończył te wyrazy, gdy weszła powolnym krokiem Anna; zbladła, dosłyszawszy, co przyniósł, i Łaska musiała ją podtrzymywać, bo się zlękła, ażeby nie osłabła.

Królewna pobożna zawsze, zaledwie ochłonąwszy, z rezygnacyą uklękła przy krześle, najbliżej stojącem, i poczęła modlitwę za duszę zmarłego. Za przykładem jej poszli wszyscy.

Pragnęła się dowiedzieć szczegółów, bo Koniecki nie przyniósł tak, jak nic, oprócz wiadomości o śmierci. Nie było kogo posłać, do kogo się zgłosić o szczegóły. Król zanadto zajęty sobą, o Infantce zapomniał.

Ochmistrz przypomniał sobie dopiero teraz, iż widział kolebkę biskupa chełmskiego w podwórcu i domyślił się, że musiał się w senacie znajdować; poszedł do niego.

Wprędce powrócił z nim razem.

Biskup, jak inni senatorowie był jeszcze pod wrażeniem trwogi, jaką obudziło w nich żądanie króla. Biskup kujawski właśnie był rozpoczął rozprawy od tego, iż

należało zwołać co rychlej sejm, ale o ile możności starać się króla zatrzymać.

Tęczyński i inni zdawali się obawiać, aby król, zwłoką zniecierpliwiony, nie postąpił samowolnie. Trzeba mu było ułatwić podróż.

Biskup kujawski temu się sprzeciwiał, miał przeczucie, choć się z niem nie objawiał, że raz wyjechawszy z Polski, król do niej nie powróci.

Od biskupa chełmskiego niewiele się mogła królewna dowiedzieć, mówił tylko, że choć król zdawał się cierpliwie chcieć czekać na zezwolenie wyjazdu, widać było, iż go pilno potrzebował.

W duszy Anny, razem z pierwszą wieścią o śmierci króla wstąpiło przekonanie, iż marzenie o Henryku, o małżeństwie, o przeszłości było skończone! Nie pozostawało jej nic już nad serce, boleśnie ściśnięte ostatnim zawodem w życiu.

Na powiekach kręciły się łzy, których nie chciała przed ludźmi pokazać, wstydząc się swojej słabości.

Z zamku odgłos o śmierci francuskiego króla, razem już o żądaniu wyjazdu Henryka, z szybkością błyskawicy przeszedł do miasta.

Niepodobna odmalować wrażenia, jakie uczynił. Niechęć ku Francuzom była i tak już podniecona, wybuchła ona zaraz gwałtownie, bo wnet zaczęto, uprzedzając najmniejszą oznakę prawdopodobieństwa, wołać, że król niezawodnie Polskę opuści. Jedni się tem niemal cieszyli, drudzy chcieli gwałtem wstrzymać Henryka.

W jednej chwili na rynku, po ulicach, w Sukiennicach, na Ratuszu, ludzie się zaczęli gromadzić, zbiegać, rozprawiać, przybierając tak groźne postawy, jak gdyby się coś stało, albo natychmiast zagrażało.

Ruch, który panował między Francuzami, a z tym się oni nie mogli ukryć, usprawiedliwiał poniekąd niepokój miasta.

Oprócz tego z zamku, ze dworów senatorów, około południa zaczęto wyprawiać gońców, listy, posłańców na wszystkie strony.

Sederyn, postrzegłszy, co się dzieje, co najprędzej

wyprawił na zamek, zaklinając Henryka, aby czynił, co tylko było w jego mocy dla uśpienia podejrzeń, dla uspokojenia ludzi, którzy już odgadywali ucieczkę.

Co do swej osoby, Henryk, nadzwyczaj umiejętnie panujący nad sobą, był pewnym, że się nie zdradzi; im niecierpliwszy był, tem udawał spokojniejszego, ale Pibraki inni nie umieli, choć się o to starali, ukryć gorączki, jaka ich paliła.

Król musiał kazać natychmiast zawołać Larchanta i zalecić mu, aby we dnie najmniejszych przygotowań, najmniejszego krzątania się i ruchu nie było na zamku.

Krassowski karzeł, który naówczas w kamienicy Zborowskich mieszkał i tam się o śmierci Karola dowiedział, nim miał czas, ubrawszy się żałobnie, do króla z kondolencyą pośpieszyć, z kilku różnych ust dowiedział się, jakoby za najpewniejsze, że Henryk jedzie do Francyi, a jeżeli mu pozwolenia odmówią, gotów jest uciekać.

Krassowskiemu, który lepiej, niż inni, znał Henryka, wydało się to prawdopodobnem, ale oburzyło go.

On, tak samo, jak biskup kujawski, jak Tęczyński, jak wszyscy przyjaciele króla, narażonym był srodze, odpowiedzialnym prawie, gdyby on, lekceważąc Polskę, miał ją opuścić.

Krassowski pierwszego, co mu o tem powiedział, zgromił, ale nim się dostał do zamku, pięć czy sześć osób spotkanych po drodze powtórzyło mu, że Henryk niezawodnie myśli uciekać.

Jeden z panów (był nim młody Radziwiłł Sierotka) szepnął na ucho karłowi, że nawet dostrzeżono pewne przygotowania na zamku i u Sederyna.

Krassowski co najprędzej pognał na zamek, ale król właśnie po naradzie senatorów słuchał sprawozdania biskupa kujawskiego, dostąpić do niego nie było można.

Karnkowski zaklinał Henryka, aby miał cierpliwość, aby nie czynił nic bez zgody senatorów.

Z uśmiechem jako odpowiedź uspokajającą, Henryk przewidując już potrzebę tego, wskazał biskupowi świeżo przez Pibraka wygotowany akt, którym królowej matce dawał pełnomocnictwo do rejencyi.

— Widzisz ojcze mój—rzekł,—że gdybym nie chciał pozostać i cierpliwie czekać, co postanowicie, nie potrzebowałbym wysyłać matce tego aktu, który Bellièvre dziś zabiera z sobą. Proszę więc was, pokażcie to senatorom, uspokójcie ich, zapewnijcie, że nie uczynię żadnego kroku bez wiedzy waszej.

Karnkowski wyszedł, dziękując Bogu, iż król się okazał tak powolnym, gdy niemal gwałtem wtargnął na pokoje karzeł i padł Henrykowi do nóg. Począł od opłakiwania Karola, dla którego król łez nie miał już... zmarszczył się smutnie tylko.

— Najjaśniejszy panie—dodał natychmiast karzeł, podskakując, aby się lepiej dać słyszeć.—Na Boga w Trójcy jedynego, po całem mieście krąży pogłoska, że chcesz ujechać, ludzie mówią uciekać! Zlituj się nad sobą i nad nami!

Łamał ręce zrozpaczony. Henryk parsknął doskonale udanym śmiechem.

— Oszalałeś, *petit Jehan!*—zawołał—oszalałeś! Jakże możesz ty, co mnie znasz od tak dawna, posądzić o coś podobnego? Ja? uciekać? Godziż się abyś ty to powtarzał! Na co uciekać mam, gdy mi niezawodnie jechać pozwolą, a sejm już dziś zwołują.

Król mówił z takiem przekonaniem, z taką gorącością, tak oburzony razem, iż Krassowski choć znał jego umiejętność oszukiwania ludzi, bo nieraz padł jej ofiarą, uwierzył mu i począł ręce białe całować.

— A! królu mój! panie mój!—odezwał się z zapałem.—Nie wierzyłem temu, ale po całem mieście trąbią o tem niegodziwi, lud się rozgorączkowuje, nieprzyjaciele podpalają.

— Nic dziwnego, że głupia gawiedź takie niedorzeczności wymyśla—zawołał król—ale *petit Jehan* nie powinienby ich powtarzać. Mój drogi, królowie nie uciekają, a ja nie mam żadnego powodu tak się na złamanie karku śpieszyć do Francyi. Królowa matka mnie zastępuje, d'Alençon tak dobrze, jak pod strażą, inni w Bastylli już, lub w ucieczce. Nie obawiam się nikogo, mogę czekać.

Uspokoił się Krassowski.

— A! tak!—zawołał z zapałem.—Czekaj królu mój, najpiękniejszy orszak Polaków będzie ci towarzyszył, zyskasz ich miłość, nie czyń im sromu.

Henryk śmiać się zaczął znowu.

— Proszęż cię——przerwał—jak ja, śmiej się z tego... niema sensu w tem, co ludzie plotą!

Od króla rozgorączkowany karzeł biegł prosto do królewnej. Obawiał się, aby do niej nie doszła wiadomość o zamyślanej ucieczce, śpieszył uspokoić Annę.

Był tu pożądanym bardzo gościem, bo u królewnej wszyscy łaknęli wieści, a nikt nie przychodził, czuła się opuszczoną. Kto żył, około króla i jego dworu szukał lepszego obeznania się z położeniem.

Wszystkie panie i sama Anna wyszła do Krassowskiego, który ledwie dyszał ze zmęczenia.

— Wprost przychodzę od króla—począł żywo.—Niegodziwi ludzie rozpuścili już wieść, jakoby król zamyślał uchodzić, nie czekając zezwolenia na podróż od panów senatorów. Ale Henryk mój śmieje się z tego, ani myśli się stąd ruszać. To są potwarze.

Spytała królewna, czy mocno był zasmucony zgonem brata, boleścią, jakiej musiała doświadczyć matka, dotknięta tym zgonem.

Na to naiwne pytanie karzeł nie umiał odpowiedzieć, tak dowodziło nieznajomości wielkiej stosunków rodziny. Objaśnić zaś królewnę, że matka nie kochała syna, że sama spiskowała przeciw niemu, że brat niecierpiał brata i że się cieszyć mógł z jego zgonu... nie mógł Krassowski. Spuścił oczy i milczał.

Gdy się to działo u królewnej—na dole u króla, w mieście nieustannie mieniali się przybywający i odjeżdżający. Francuzi jeden po drugim opuszczali Kraków.

Panowała między nimi jakby panika jakaś, która sprawiała, że jeden przed drugim prosili się, domagali, błagali, aby ich puszczono do Francyi.

Bellièvre pierwszy pożegnał króla, zabrał listy i jawnie w biały dzień ruszył z pośpiechem wielkim, ale to się tłumaczyło potrzebą wysłania przez niego listów pełnomocniczych.

Wistocie zaś powierzonem mu było zapewnienie się, iż konie dla króla przysposobione zostaną na drodze.

Na Sederyna i Larchanta nie można się było całkiem spuścić, bo król naglił, nie dając im czasu do przygotowania przeprzęgów.

Bellièvre miał czekać na Henryka u granicy. Tego nikt się nie domyślał.

Wkrótce po nim potajemnie pozawijane w tłumoczki i skrzynki klejnoty, perły, łańcuchy, co Henryk miał najdroższego,—obawiając się, aby mu tego nie zatrzymano,—wyprawił, powierzywszy zaufanemu Ardier des Issoires, który dla bezpieczeństwa innym miał się udać gościńcem.

Naostatek pod wieczór de Neufvy wyprawiony został wprost do Wiednia, do cesarza, oznajmując mu o rychłem przybyciu króla.

W tym samym dniu, gdy panów senatorów łudził zapewnieniami, że nie potrzebuje wcale się śpieszyć, że czekać będzie cierpliwie, aż sejm postanowi o wyjeździe, król już stanowczo się ważył na ucieczkę. Wszystkie przygotowania do niej były poczynione.

Z nadzwyczajnego ruchu i niepokoju na dworze można się było wprawdzie domyślać czegoś i ludzie podejrzewali Henryka, ale Tęczyński, biskup Karnkowski, Zborowski gromili tych, co śmieli przypuszczać nawet, ażeby miał tak sromotnie chcieć ich oszukiwać.

Podkomorzy był gotów przysięgać za króla, gardło dawać za niego; łajał i sprzeczał się, gdy mu wspomniano o tem, że króla należało pilnować.

Wielu wistocie było tego zdania.

Tęczyński, który sam nigdy nie kłamał, którego rycerskie słowo nie było nigdy złamanem, porywał się do oręża za cześć królewską.

Tak samo Krassowski, teraz przekonany bronił Henryka.

Z twarzy Francuzów czytać można było, co kto chciał. Jedni z nich chodzili posępni, jak noc, co zdawało się dowodzić, że nie spodziewają się rychło zobaczyć Paryża, drudzy biegali, śpiesząc się niecierpliwiąc, przygotowywać zdając do podróży. Lecz niektórzy z nich mogli

być wysłani bez króla i w istocie wielu z nich za pozwoleniem, a kilku podobno bez wiadomości, samowolnie się wymknęło.

U Sederyna teraz pełno było ciągle, a między Starą Mynicą i Wawelem płynął jakby prąd nieustający.

Sam tylko gospodarz, zdaje się naumyślnie nastręczał się we wrotach oczom ciekawym, ażeby dowieść,iż nic nie robił i tak bardzo zajęty nie był.

W ciągu dnia Villequier i Souvray kilka razy przyjeżdżali do niego.

Francuzom pomimo to, zdawało się, że przygotowania były doskonale zatajone i nikt się niczego nie domyślał.

U królewnej przez całą środę oczekiwano odwiedzin króla, albo wiadomości od niego. Koniecki jednak tłumaczył go, iż tak był z panami senatorami, z Francuzami odjeżdżającymi do Paryża, pisaniem listów, naradami, odprawą zajęty, że ani chwili wolnej nie miał.

Późnym wieczorem, gdy już się panie rozchodzić miały, a Annę krajczyna odprowadzić na spoczynek, oznajmiono Talwosza.

Czekał on na królewnę, blady i smutny, jak zawsze. Wyszła sama do niego.

— Co mi tam przynosisz?—rzekła, zbliżając się—pewnie dobrego nic, a wątpię, by co nowego. Na zamku tu dziś sądny dzień.

— O! i na mieście nie lepiej—odparł Litwin—chyba gorzej, bo tu niktby się tego nie ważył mówić, co w rynku głośno krzyczą.

Królewna zbliżyła się z ciekawością. Talwosz głos zniżył.

— Niema wątpienia — rzekł,—że król rychło nas porzuci.

— A! baśnie to są—przerwała Anna.—Był u mnie Krassowski, król się z tego śmieje i ani myśli śpieszyć.

— Wszystko to na oślepienie nasze się mówi i czyni-odezwał się Talwosz spokojnie. — Wolno W. Król. Mości wierzyć mi, albo nie, ale wiem o tem najpewniej, że Sederyn królowi i jego towarzyszom konie gotuje, i że jeżeli nie dziś, to jutro nocą się wymknie.

Oburzyła się mocno królewna Anna.

— Mój Talwoszu,—zawołała — jściż go takim oszustem i kłamcą nie godzi się czynić bez dowodu. Tego się on nie dopuści! To nie może być!

— Z pewnością się to stanie—rzekł Talwosz,—ja wiem o tem najlepiej, a jedynym sposobem, aby temu zapobiedz, królowi sromu a nam też oszczędzić boleści i wstydu, jest zawczasu dać znać panom senatorom. Ja za małym jestem człowiekiem, abym się ważył na to, lecz nie chcę mieć na sumieniu, iż wiedząc, choć W. Król. Mości o tem nie oznajmiłem. Król uciecze....

Powtórnie zżymnęła się Anna.

— Nie mów mi takich rzeczy—odezwała się do Talwosza.—Zdawna to uważałam, że serca do niego nie masz, więc łatwo wierzysz złemu. Ludzie plotą...

Litwin się uśmiechnął.

— A gdy się sprawdzi?—spytał.

Anna stała zamyślona czas jakiś.

— Gdyby się to sprawdziło, zaprawdę byłoby dla nas nieszczęściem wielkiem, lecz Bóg wie, co czyni, Jemu ufajmy.

— Ja już nic słuchać nie chcę—dodała, ręką mu dając znak pożegnania.

— Zdrów bądź mój Talwoszu.

Skłonił się Litwin i odszedł.

Pomimo tego zgodzenia się z wolą Bożą, gdy królewna wróciła do krajczynej, wypieczone na jej twarzy rumieńce i oczy błyszczące, jakby przestrachem i niepokojem zdradzały, że dusza silnie poruszoną została.

Nie dowiedziała się od niej nic krajczyna, gdyż uklękła zaraz na modlitwę.

We czwartek spokojniej było na zamku po odjeździe kilku Francuzów, a żaden poseł nowy nie przybył.

Król przestrzeżony przez cały dzień ten udawał bezczynnego i obojętnego, ruch około niego ustał, Francuzi siedzieli spokojnie, niektórzy z nich spali na zapas może, aby później bezsenność lepiej mogli wytrzymać.

Na mieście, pomimo to, raz rzucona wieść, że król uciekać chce, uporczywie się utrzymywała. Około domu

Sederyna krążyli ciekawi, na zamek zaglądali inni, szukano pozorów, aby się tu dostać, podsłuchać i podpatrzeć coś.

Larchant, kapitan straży, o ile mógł i umiał nie dopuszczał tu gawiedzi.

Przez cały dzień ten Tęczyński prawie nie odstępował króla. Trwożył się jakoś, przeczuwał, czy go zaniepokojono, lecz okazywał się tak czujnym ciągle, niedowierzającym, że król pod wieczór zaczął mu czynić wymówki.

— Mój hrabio—rzekł do niego—nieufność względem mnie innym być może przebaczoną, ale nie wam. Dałem wam tyle dowodów życzliwości mojej, iż mi trochę wierzyć powinniście. Skąd ten niepokój? Posądzacie mnie!

— N. Panie—zawołał Tęczyński,—ja mam w was nieograniczoną ufność, słowo wasze dla mnie święte... lecz mimowoli ulegam temu, co mnie otacza. W mieście panuje niewysłowiona trwoga, senatorowie jej ulegli. Ślą do mnie, dowiadują się, niepokoją.

Król, który śmiechem, bo mu się łatwo zdobyć było na niego—zbywał najczęściej wszystko, rozśmiał się głośno.

— Co za dziwactwo!—zawołał.

Ale wnet rozmowa zwróciła się dziwnie.

Tęczyński niedawno przedtem darował był królowi pięknego konia.

— Bardzo żałuję, żem go jeszcze nie mógł spróbować—rzekł Henryk—ale w tych dniach nie miałem ani godziny swobodnej. Wytrzymały on jest?

— Jak wszystkie nasze i wschodnie—zawołał Tęczyński—nie wymagają one zbytnich starań, a często niemal samą wodą żyć umieją. Nasi żołnierze zmuszeni w stepach wyschłych ścigać Tatarów, zimą czynić wycieczki, gdy strzechami domostw konie żywić potrzeba, muszą mieć też pod sobą szkapy tak wytrzymałe, jak oni.

Zawczasu król ziewać począł, skarżył się na znużenie i Tęczyński go do sypialni odprowadził. Tu czekała na niego służba. Henryk położył się do łóżka. Podkomorzy tak był jeszcze niespokojny i strwożony, że dnia tego nie odje-

chał do domu i kazał sobie ladajaką pościel rzucić w zamku na dole.

Do późnej nocy zasnąć nie mógł, zrywał się potem ze snu razy kilka i dodnia był na nogach.

Lecz cała ta trwoga okazała się próżną. Król wstał o zwykłej godzinie—nic nie zwiastowało, aby podejrzenia były uzasadnione. Tęczyński znacznie się uspokoił.

Inni panowie trwali w podejrzeniach i w obawie. Biskup Karnkowski, jak świt przysłał na zamek do podkomorzego, domagając się wiadomości o królu.

Henryk wstał dnia tego z pogodniejszą twarzą, weselszy i widocznie usiłował zadać kłam rozsianym pogłoskom.

Villequier przyszedł rano zafrasowany.

— Wszystko przygotowane—rzekł do króla—ale pomimo naszych starań, abyśmy po sobie nie dali poznać, że się gotujemy uciekać, ktoś nas zdradzić musiał. Sederyn powiada, że senatorowie na noc domagają się straży przy zamku po wszystkich furtach. Tęczyńskiemu pokoju nie dają, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystko. Lękam się...

— Bądź co bądź—przerwał król niecierpliwie—co postanowiono, trzeba spełnić. Dziś w nocy musimy uchodzić, jeden dzień dłużej, a wszystko się wyda. Błąd popełniliśmy, iż tej nocy nie uszedłem. Idź, gotujcie się, to moje ostatnie słowo. Dziś.

I król słuchać już nie chciał swego ulubieńca, który odszedł zmieszany.

Po Villequier Souvray przybył z tem samem doniesieniem i taką samą dostał odprawę.

Henryk zagryzał usta gniewny.

Pora obiadowa nadeszła, król jadł sam, paziowie mu posługiwali.

Zatopiony w myślach siedział niewiele mogąc wziąć do ust, gdy usłyszał chrząkanie od progu.

We drzwiach stał w fartuchu białym, z twarzą nie wiele się od niego różniącą barwą kuchmistrz, którego król odziedziczył po Jagiellonach, pan Franciszek Allemani.

Zjawienie się niepowołanego przed oblicze królewskie

mogło zaprawdę zdziwić. Musiał bowiem wtargnąć przebojem mimo służby.

Król podniósł ku niemu ciekawe oczy. Sądził, że przychodzi z jaką skargą na Francuzów, bo te się często trafiały.

— Co ty tu robisz?—zapytał król, marszcząc się nieco.—Chcesz bym ci podziękował za obiad, którego nie jadłem.

Allemani dziwną twarz ułożył bojaźliwie się oglądając dokoła.

— Najjaśniejszy panie—odezwał się przystępując bliżej.—Najjaśniejszy panie, proszę o przebaczenie, sądzę że obowiązkiem moim było przestrzedz.

— O czem?

— Nie mówię o tem, że na mieście, ale w kuchni i po zamku wszyscy rozgadują, że W. Król. Mość masz dziś nocą ujść z Krakowa!

Zżymnął sią król z początku i rzucił gniewnie, ale natychmiast przyszedł do siebie, spojrzał ostro na kuchmistrza i śmiać się zaczął.

— Dziękuję ci za przestrogą—odparł obojętność udając.—Tymczasem jednak proszę, abyś obiad na jutro przygotował, jak zwykle.

Allemani uspokojony czy nie, miał odchodzić, gdy choć to nie jego była godzina, wpadł Tęczyński.

— Najjaśniejszy panie—zawołał od progu—w mieście popłoch i żal okrutny. Wszyscy twierdzą, że chcesz nas porzucić i odjechać potajemnie. Trwoga niezmierna.

Król wstał od stołu posępny i z wyrzutem się zbliżył do podkomorzego.

— Mój hrabio!—odezwał się poważnie—ludzie rozsądni jak wy, nie mogą temu dawać wiary. Wiecie, co rada senatorów postanowiła. Co się tyczy głupiego tłumu gawiedzi, która nie wie, co plecie, dajcie jej pokój. Nie dbam o plotki, a idzie mi o dobre imię.

Tęczyński zdawał się uspokojonym i podziękował królowi.

— Bądź co bądź—rzekł, ponieważ pogłoski się sze-

rzą a umysły burzą, muszę iść upewnić i zabezpieczyć lękliwych.

— Idź mój hrabio,—rzekł król—powiedz, żeś się widział ze mną i co słyszałeś odemnie.

Po wyjściu hrabiego nadszedł Villequier i Souvray, oba dosyć niespokojni, potwierdzając to, co mówił hrabia.

W chwilę potem przyłączył się do nich Larchant z oznajmieniem, że około wrót i bram stawiono wszędzie straże.

Król spojrzał na niego.

— Niemniej — rzekł stanowczo, — com postanowił, spełnić się musi.

Larchant skłonił głowę w milczeniu.

— Będziemy szukać śródków—rzekł i wyszedł.

Nadchodził wieczór. Król niespokojny przebiegał komnaty, to jednego, to drugiego ze swych dworzan przywołując i wyprawiając z cichemi rozkazami.

Zmierzchało, gdy znowu powrócił Tęczyński udając zupełnie uspokojonego, lecz nie mogąc zaprzeć się tego, iż drudzy senatorowie i miasto trwało w obawie.

— Ażeby raz was i wszystkich upewnić, że nie myślę wcale uchodzić—odezwał się król, ziewając—zdaje mi się, że najlepiej uczynię, gdy przy was pójdę do łóżka. Możecie pozostać na straży, dopóki nie zasnę, a spodziewam się wprędce zasnąć, bo jestem tem wszystkiem znudzony i zmęczony.

Wkrótce potem wniesiono światło. Henryk kazał przygotować łóżko i w sypialni zwykłą służbę paziów postawić. Tymczasem spokojnie dość rozprawiał ze swym podkomorzym Godzina do snu była zawczesna jeszcze, gdy na znak króla otworzono drzwi sypialni.

— Chodź ze mną—odezwał się do Tęczyńskiego.

U królewskiego łoża, którego firanki były rozsunięte, stali paziowie, którzy w nocy czuwać tu mieli, wedle zwyczaju. Król z gorączkową niecierpliwością, podżartowując sobie z bojaźni senatorów i Tęczyńskiego, zaczął się rozbierać i rzucił na łoże.

— Siadaj przy mnie—rzekł do hrabiego.

Mówili jeszcze chwilę o rzeczach obojętnych. Wtem

wśród rozmowy, dosyć już ostygając, ujrzał Tęczyński, że król drzemać zaczął.

Odegrywał komedyę z wielką sztuką. Przebąkiwał coś niewyraźnie, słowa mu zamierały na ustach; powieki kleiły się i podnosiły, nareszcie opadły, usta otwarły jakby mimowolnie, dało się słyszeć lekkie chrapanie.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Król spał.

Zupełnie już uwiedziony i spokojny, podkomorzy podniósł się cicho, jak najmniej czyniąc szelestu, zwolna zasunął firanki, kazał w zwykłem miejscu ustawić światło, dwóch paziów posadził na straży, a sam na palcach wymknął się z sypialni, z zamku i udał do miasta.

Na zamku najgłębsze panowało milczenie, światła pogasły; służba zabierała się do snu.

Jeden pan Franciszek Allemani, który odprawiony szyderstwem przez króla, odszedł nie zupełnie przekonany, a z natury był podejrzliwym, nie odszedł na spoczynek. Chodziło mu to po głowie, co w ciągu dnia widział i słyszał.

Uderzyło go, że Villequier, Souvray, Larchant, Miron i niejaki du Halle prosili wcześniej o wieczerzę, kazali ją sobie podać osobno, jedli i pili, ciągle coś szepcąc i naradzając się, a natychmiast po skończeniu jej w różne strony rozchodzić się zaczęli z pośpiechem.

Ciekawy Allemani podglądał i niepokoił się wielce.

— Coś się święci—powtarzał w duchu,—temu Francuzikowi dowierzać nie można. Wszyscy oni, począwszy od niego, kłamią bardzo zręcznie. Coś się gotuje.

Poszedł obejrzeć się około wrót i bramy, wszędzie stały straże, ale dowiedział się razem, że Villequier, Miron i wszyscy oprócz Souvraya, wysunęli się na miasto.

Allemaniemu zaręczał postawiony przez niego roztropny chłopak, że ci panowie nie musieli się w podróż wybierać, bo wyszli bez butów i bez ostróg.

— Jak gdyby butów i ostróg pod płaszczem nie można ukryć: — zamruczał Allemani, który ciągle jeszcze nie mógł się dać przekonać, że król uciekać nie myśli.

Jakieś przeczucie trzymało go na nogach. Przypomniał sobie furtę niezbyt strzeżoną i mało znaczną, która wychodziła na Kaźmierz. Poszedł sprawdzić, ale tu nie znalazł straży. Drzwi kute, zaparte były drągiem i mocnym zamkiem obwarowane.

Wiedział, że u burgrabiego były klucze. Świeciło jeszcze w oknie u niego. Allemani wszedł z pozdrowieniem. Nie chciał się zdradzić ze swem szpiegostwem, a pragnął czegoś dowiedzieć.

Burgrabia pacierze odmawiał, stojąc już w jednej koszuli.

Pan Franciszek go pozdrowił, byli z sobą bardzo przyjaźnie.

— Gdybyście byli łaskawi klucza mi dać od furtki na Kaźmierz, mam sprawę do miasta—rzekł, kłaniając się, kuchmistrz.

Burgrabia przeżegnał się właśnie, kończąc pacierze.

— Ale ba! gdybym miał klucz, dałbym go wam chętnie—odparł—licho nadało, że mi ten rozpustnik Suwra, czy jak się on tam zowie, który przy królu jest, tylko co go wyprosił. Powiada, że go jakaś mieszczka na wieczerzę w cztery oczy zaprosiła! O! ci Francuzi!

Allemaniemu ciarki przeszły po grzbiecie.

. — Masz tobie!—zawołał—Suwra! Najpewniej dla króla.

Burgrabia jeszcze mu się uniewinniał i tłumaczył, gdy kuchmistrz już o furtę niespokojny, żegnał go, wyszedł co prędzej i pośpieszył stanąć na straży.

Drąg, założony na furcie dowodził, że Souvray nie korzystał jeszcze z klucza. Allemani postanowił się ukryć w ciemnym korytarzyku, z którego furtę i drogę do niej przez podwórze prowadzącą dobrze było widać. Serce mu biło żywo.

Nie lubił króla, a przywiązał się do Polski i dworu. Uciekać stąd wydawało mu się zbrodnią nieprzebaczoną.

W zamku panowała cisza, którą przerywało zaledwie dalekie, powolne stąpanie straży. Od miasta dolatywały dźwięki bijących zegarów. Allemani godziny już pogubił.

Noc była bardzo ciemna.

Stał tu już dosyć długo i zaczynał się namyślać, czy nie nadaremnie się trwożył, gdy usłyszał ciche stąpanie kilku osób. Ktoś szedł od zamku do furty. Allemani ustawił się tak, aby mógł widzieć jak najlepiej. Był pewien, że Souvray nadchodził i że nie był sam.

Zdala, jak trzy cienie, ukazały się niewyraźne trzy postacie.

W jednej z nich łatwo było poznać barczystego i silnego Souvray, drugiej Allemani nie umiał nazwać, ale był pewien, że królem być nie mogła, trzecia...

Pomimo płaszcza, mimo niezwykłego okrycia głowy, wzrost, ruchy, wszystko tak nadzwyczaj podobne było do Henryka, że Allemani załamał ręce. Gdy idąc bardzo ostrożnie, oglądając się dokoła, zbliżyli więcej, kuchmistrz nietylko poznał już króla, ale mógł rozeznać stłumiony jego głos. On to był! nie ulegało wątpliwości.

Trzy cienie z wielkiemi ostrożnościami przysunęły się do furty, dwaj barczyści Francuzi odjęli drąg i bacznie, aby nie uczynić hałasu najmniejszego, złożyli go na ziemi.

Souvray dobył z kieszeni klucz, zwolna okręcił nim w zamku, drzwi się otworzyły. Król pierwszy lekko i pośpiesznie przeskoczył próg. Allemani słyszał zamykającą się furtę, chodzący w zamku klucz. Wszystko było skończone.

Przez chwilę Allemani tak wzburzony był, że chciał krzyknąć i rzucić się na uchodzących, co niezawodnie by był życiem przypłacić musiał, lecz na myśl mu też przyszło, iż niekoniecznie nocne wyjście zamku mogło oznaczać ucieczkę.

Wiedzieli wszyscy, że król miał kochanki w mieście, że nie jeden raz się do nich wymykał. Zrobić alarm nadaremny, króla sobie narazić, było nierozumnem.

Co teraz miał począć?

Pot kroplami spadał mu z czoła. Namyślił się. Miał na sobie suknie jeszcze, jak stał, zwrócił się nazad do burgrabiego, który się już do snu zabierał.

— A wy tu jeszcze signor Allemani?—zamruczał stary dosyć kwaśno.

—Jak widzicie, powracam do was—odparł kuchmistrz.— Bądź, co bądź, potrzebuję na miasto, otwórzcie mi którąkolwiek furtę, dajcie klucz, jaki chcecie. Sprawa pilna, służba królewska.

Burgrabia na stole wśród mnóstwa rozrzuconych kluczów począł szukać pośpiesznie i naostatek podał Allemaniemu ogromny klucz, który mu inną furtę boczną miał otworzyć.

— Ale na miłość Bożą—dodał, odprowadzając go do progu,—zamykajcie za sobą i nie wpuszczajcie, ani wypuszczajcie nikogo.

Zaledwie coś odpowiedziawszy, kuchmistrz śpiesznym krokiem podążył ku wskazanej furcie. Otworzył ją z łatwością, lecz gdy próg przestąpił, dwóch ludzi wyskoczyło z obu stron z za przymurków i zaparło mu drogę.

Jeden z nich miał nawet latarkę przy sobie i ogromną halabardę w ręku.

— A wy tu co robicie?—zapytał kuchmistrz.

— Postawiono nas na straży!

— Ale mnie wyjść nie możecie wzbronić—zawołał kuchmistrz,—idę w pilnej potrzebie.

Ludzie znali go, bo należeli do służby zamkowej, nie odpowiedzieli nic.

— Szkoda, że nie od furty Kazimierskiej was postawili—mruknął Allemani—tambyście się może na co przydali.

Spuściwszy się szybko do miasta, dopiero na drodze pomiarkował niespokojny kuchmistrz, iż nie wiedział, gdzie miał szukać Tęczyńskiego. Do domu jego na Podwale był spory kawał drogi na stare nogi. Nie miał innego sposobu dostania się tam jak pieszo i dosyć powoli.

U podkomorzego spało wszystko, ledwie się mógł dostukać. Narobił jednak takiego hałasu, że Tęczyński, posłyszawszy go, w koszuli skoczył do okna, wołając:

— Kto tam? czego?

Położył się do snu niespokojny i zaledwie drzemać zaczął gorączkowo, gdy Allemani go zbudził. Przeczuwał już coś złego.

— Allemani do miłości waszej! Sprawa pilna, wstawajcie.

Bez namysłu podkomorzy przerwał mu ogromnym krzykiem:

— Król?

— Król uciekł!—odparł kuchmistrz.

Nie odpowiadając mu Tęczyński zbiegł na dół, otwarto drzwi, zerwała się wszystka służba.

— Koni! koni!—wołał podkomorzy, który szalał niemal.

Wybiegł w koszuli do Włocha.

— Możeż to być?—zawołał z rozpaczą.

— Widziałem na moje oczy króla wychodzącego furtą na Kaźmierz ze Souvrayem i drugim Francuzem—odparł Allemani.

— Ale onże był?

— On sam!

Tęczyński ubierał się już, rwąc na sobie odzienie, dawał rozkazy poplątane, bezprzytomny, ludziom swoim polecił dosiąść koni i iść za sobą zbrojnym. Sam pochwycił oręż, ale jeszcze mu się wierzyć okropnej wieści nie chciało.

Dla Allemaniego zaprzężono wózek, aby go odwieźć do zamku, bo stary ledwie dyszał.

Czwałem biegł podkomorzy na Wawel. Tu wszystko spało w najuroczystszej ciszy i spokoju.

Tęczyński, jak oszalały, dopadł do ganku, pobudził służbę, kazał podać światło, i z niejaką obawą zbliżył się do drzwi sypialni króla. Zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Król mógł spać. Allemaniemu się przewidzieć mogło, budzić go strachem po tak uroczystem poręczeniu nie śmiał Tęczyński. Wierzył królewskiemu słowu.

Zamiast więc dobijać się do sypialni, zwrócił się do znajomego sobie mieszkania Villequiera.

Zastał je pustem. Nikogo!.... a co więcej, wielu rzeczy brakło.

Villequier, myślał jeszcze, mógł się wymknąć na mia-

sto. Zwrócił się do Souvraya. Nie było go także. Coraz niespokojniejszy biegł już do Mirona, nie zastał i jego.

Drzwi od mieszkania kapitana Larchant stały otworem, zajrzał tu, i jego nie było na zamku.

Tęczyński przekonany, iż Allemani mówił prawdę, nie potrzebował już nic oszczędzać, nie oglądać się na nikogo, zrobił alarm, przywołując służbę, a sam pobiegł do sypialni. Drzwi jej zamknięte były wewnątrz. Napróżno silił się je wyłamać.

Czasu nie chcąc tracić, okno w korytarz wychodzące wybić kazał i wpadł wreszcie do komnaty królewskiej.

Tu zastał wszystko tak, jak odszedł; dwóch bladych paziów siedziało na swych miejscach u łoża na straży, paliły się świece.

Rozsunął firanki. Łóżko było puste.

Panowie rzucili mu się do nóg, bo był tak wściekłym, iż się o życie jego ulękli. Tłumaczyli się rozkazem króla. Zakazano im otwierać, aż pókiby dzień nie nadszedł.

W jednej chwili cały zamek roił się rozbudzonymi ludźmi.

Co pozostało w nim Francuzów, z obawy, aby w pierwszej chwili szału nie napadnięto na nich, pozabarykadowywali się w swoich mieszkaniach. Tłum dworzan i czeladzi polskiej napełniał wschody, sienie, pokoje, dziedzińce.

Tęczyński bezsilny, zrozpaczony, upadł na siedzenie, zaledwie mając tyle przytomności, aby natychmiast rozesłać gońców do Zborowskich, marszałka i wojewody, do litewskiego marszałka, do biskupa kujawskiego, do wszystkich w mieście się znajdujących.

Noc była ciemna, konno porozsyłani ludzie pochwytali pochodnie i niosąc je zapalone, puścili się na miasto.

Spotykanym ludziom, zapytującym z okien przestraszonym mieszkańcom krzyczeli:

— Król uszedł! Król uciekł!

Co się naówczas stało w mieście, jaki alarm nagle poruszył je niewysłowioną trwogą i gniewem, tego opisać niepodobna. Wszystko się przyczyniało do powiększenia wrażenia, jakie ta wiadomość wywrzeć miała. Usposobienie wrogie mieszczan, obawy od dni kilku już sze-

rzące się, godzina nocna, wrzawa, która dochodziła z zamku, przelatujące po ulicach złowrogie pochodnie, wszystko mnożyło zamieszanie.

Mnóstwo ludzi nie wiedząc ani jak, ani dokąd króla gonić mają, zrywało się iść w pogoń na wszystkie strony chwycić zbiega i jako więźnia i wiarołomcę nazad przyprowadzić.

W kilku kościołach, domyślając się pożaru, nie widząc przyczyny alarmu wrzawy, uderzono w dzwony.

Z panów senatorów, kto mógł tylko nawpół odziany przybywał na zamek. Nie chciano wierzyć wiadomości... rozpacz tych, którzy zamek zastali pustym, była okropna.

Wszyscy ci, którzy dotąd króla bronili i opierali się przedsięwzięciu środków ostrożności, pokutowali teraz za zbytnie swe zaufanie.

Na biskupa kujawskiego, na Tęczyńskiego wpadli inni, wyrzucając im opieszałość, a nawet zdradę. Tęczyński nie umiał się tłumaczyć, nie chciał się uniewinniać, ludzie czekali w podwórcu, natychmiast puścił się w pogoń za królem.

Łatwo się było domyśleć, że Henryk wybierze jak najkrótszą drogę do granicy cesarstwa.

Chciano przytrzymać Pibraka, którego nie bez przyczyny za współwinowajcę miano, lecz Guy już był także ujechał. Z Francuzów pozostali tylko ci, którzy pod rozkazami byli, a nigdy żadnych nie wydawali. Wszyscy ulubieńcy króla znikli.

Tęczyński z zamku wprost puścił się na miasto i pędził już ku przedmieściom, gdy ujrzał postać jakąś, jak mu się zdawało niewieścią, z krzykiem zastępującą drogę. Wybiegła ona z kamienicy i zuchwale rzuciła się na konia jego tak, że podkomorzy, choć wrzący gniewem i zniecierpliwiony zatrzymać się musiał.

Wistocie stała przed nim kobieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, w płaszczu białym, tak, jak się z łóżka zerwała.

— Król! król! gdzie jest król? Co się stało z królem?— krzyknęła, chwytając Tęczyńskiego i trzymając go zrozpaczona.

— Król uciekł!—odparł Tęczyński—puszczaj mnie! puszczaj!

— Panie! na Boga!—przeraźliwym głosem poczęła kobieta—weź mnie z sobą... Siadam na konia! daj mi konia! Ja za nim muszę! ja z nim muszę!

Podkomorzy odepchnął ją ze wzgardą i gniewem.

— Precz! precz! Stratuję cię koniem. Ustąp!

W chwili gdy kobieta padła na ziemię, sobą mu zapierając drogę, koń Tęczyńskiego skoczył... krzyk tylko dał się słyszeć. Tatarowie, których miał z sobą, popędzili z nim razem. Kobieta zemdlona pozostała na ulicy.

Królewna Anna, która i tego dnia jeszcze napróżno się spodziewała odwiedzin króla, odmówiwszy modlitwy z krajczyną, po smutnej z nią rozmowie udała się na spoczynek.

Niepokój, który od dnia odebranej wiadomości o śmierci króla Francyi opanował umysły, dał się też czuć Annie. Nadzieje j.j powoli rozwiewały się, pełzły, nikněły.

Napróżno przyjaciółki starały się ją w nich utrzymać; nie sprzeciwiała się, ale nie słuchała ich już prawie.

W pierwszym śnie królewna właśnie widziała przed sobą siostrę Katarzynę, wiodącą za rękę synaczka Zygmunta, który się jej uśmiechał, gdy wrzawa jakaś na zamku ją zbudziła. W ciemnych oknach przeleciały jakieś pasy światła, jakby w podwórcach ludzie z ogniem biegali.

Żalińska twardym snem spała obok w drugiej komnacie. Anna, zbudzona nagle, usłyszawszy wrzawę, ulękła się pożaru. Pamiętała, że zamek kilkakroć palił się za ojca.

Krzyknęła przestraszona.

Z dwu stron wbiegły ze świecami ochmistrzyni i krajczyna, która jeszcze była ubrana, bo ją alarm zastał nad listem od księżnej brunświckiej. Miała już czas wybiedz na korytarz i dowiedzieć się o pogłosce, iż król uszedł.

Zdawało się to jednak krajczynie takiem niepodobieństwem, tak niemożliwą i straszną rzeczą, że nie śmiała powtórzyć Annie, o czem ją uwiadomiono. Poczęła uspakajać tylko.

— Królowo moja!—rzekła,— już od dwóch dni plotą ludzie niechętni, nieprzyjaciele królewscy, że miał zamiar uciekać. Wiadomo, że mu się to ani śniło, ale zrobiono w nocy trwogę, wpadli senatorowie... Wszystko się to wyjaśni i za chwilę uspokoi.

Krajczyna wistocie uwierzyć prawdzie nie chciała.

Anna z różańcem w ręku, drżąca, zwróciła się do Żalińskiej.

— Idź, proszę cię, niech wiem prawdę. Wśród nocy, w pierwsze, żeby się ważono na królewskim zamku na taką trwogę uderzyć! Niesłychana rzecz, powadze i majestatowi uwłaczająca.

Żalińska także do siebie przyjść nie mogła. Pośpieszyła się przyodziać.

Krajczyna nie odstępowała już Anny, którą przejmował niepokój coraz większy. Chciała wstawać, ale Łaska jej nie dozwalała. Upierała się nie wierzyć.

Długiemi wydały się te minut kilkanaście, które musiano oczekiwać na powrót Żalińskiej. Zeszła ona aż na dół i wpadła tam w taką ciżbę i zgiełk, iż się z początku nic dopytać nie mogła.

Znalazł się szczęściem nadbiegający już Koniecki, który był wszystkiego świadomy. Nie było wątpliwości. Ochmistrz widział sypialnię pustą, słyszał, co opowiadano o ucieczce. Allemani sam mu potwierdził, co powiadano.

Szli więc nazad do królewnej, która się ubrała naprędce i, otoczona całym dworem, stała jak słup, nie mogąc jeszcze zebrać myśli.

Kobiety jedne płakały, drugie starały się ją pocieszać, ale jednych, ani drugich nie słyszała. Krajczyna głośniej nad inne powtarzała:

— Ale cóż tak znowu nadzwyczajnego! Nie chcieli króla wypuścić, pojechał i powróci. Korony tak, której poprzysiągł, nie porzuci i nie zrzecze się.

Patrzyła w oczy Annie, która nie spojrzała na nią.

Tymczasem z dołu to ten, to ów przybiegał z wiadomością o senatorach, którzy się zbierali, o pogoni, która miała wyjść za królem.

Wiedziano już, że Tęczyński się natychmiast wybierał za uciekającym.

Nikt już tej nocy nie pomyślał do łóżka powracać, i rozedniało rychło, a dzień znalazł miasto w stanie takiego zburzenia, jak gdyby nieprzyjaciel mu zagrażał.

Gawiedź coraz się okrutniej rozpalała przeciw królowi, przeciwko Francuzom. Pierwszym skutkiem tego poruszenia było, że kupa czeladzi rzemieślniczej, prowadzona, jak się zdawało, przez kilku zamkowych dworaków, napadła na dom Sederyna, spodziewając się tam znaleźć Francuzów. Ale wrota znaleziono zamknięte i od dziedzińca mocno obwarowane, a okna żelaznemi okiennicami z wewnątrz pozabezpieczane.

Nie pomogło to. Zaczęto drągami żelaznemi zbiegać się, aby wrota podważyć i choćby mur rozbijać.

Wkońcu, jak się łatwo było spodziewać, brama nie wytrzymała i pospólstwo się wdarło do Starej Mynicy.

Francuzi, jacy tu byli, mieli czas tyłami zbiedz i schronić się na zamek, a Sederyn także, nie czując się bezpiecznym, zniknął.

Gawiedź rozsypała się po izbach i śpichrzach plądrując, niszcząc, łamiąc i gruchocząc co napadła. Z ludzi, oprócz miejscowej służby, nie znaleźli nikogo, na kimby zemstę mogli wywierać.

Mienia też Francuzów pono tu już nie było i Sederynowe zapasy odpokutowały za jego miłość dla Francyi.

Gdziekolwiek, oprócz tego w mieście o Francuzach zasłyszano, gdzie się ich domyślano, wszędzie napadano na domy. Żadna siła ludzka tego zdziczałego od żalu i gniewu pospólstwa wstrzymać nie mogła.

Dość powiedzieć, że konno jadący co prędzej na zamek Karnkowski referendarz ledwie z życiem uszedł, bo go znając przyjacielem Pibraka, lud kamieniami obrzucił i konia raniono.

Biskup nawet w zamkniętej kolebce nie mógł się pokazać na miasto.

Tłumy oblegały domy Zborowskich i innych osób, znanych ze stosunków z Francuzami. Ci wszyscy niemal, przeczuwając, co ich czeka, wczas jedni na zamek, drudzy

do Lippomana, posła weneckiego, do Dudycza i innych obcych musieli się schronić, szukając u nich opieki.

Nie można było przewidzieć, aby się to rychło ukoiło, bo jak zawsze, gdy się lud zburzy, znaleźli się podżegacze, którzy go jątrzyli i podbudzali do gwałtów.

Długo tajona niechęć do Francuzów teraz się swobodnie rozpasała.

Po gromadach, skupionych w Rynku słychać było mówców wykrzykujących, którzy na próżne beczki albo na stołki przekupek wdrapawszy się, na króla i senatorów wymyślali.

Naprzeciwko Panny Maryi stał jeden, który gardło zrywał, dowodząc, że z tego Króla Nocy nic nigdy dobrego być nie mogło.

— Ślepe Mazury po nocy go królem okrzyknęły— mówił—po nocy koronowano i nocą też uciekł. Nietoperz to, a nie król. Piasta nam potrzeba było, a nie takiego przybłędy z za morza, nieznajomym bełkoczącego językiem.

— Czemu go zaraz nie ożenili panowie senatorowie, którzy się dali pieniędzmi przekupić i krew Jagiellońską mu sprzedali. Gdyby się był z królewną ożenił, byłaby go ona umiała utrzymać. Ją trzeba było obrać królową a chciałby mieć koronę, niechby ją był wziął.

Dalej ku ratuszowi gorzej było... Tam na stolnicy, którą na fasach ustawiono, czeladź rzeźnicza zrobiła sobie teatrum.

Występował na niem z cienkiemi jak patyki nóżkami, w śmiesznym stroju z jakichś oberwanych kawałków sukna, niby król, karykatura, przedrzeźniająca Henryka.

Chłopiec, udający go, wywijał się, kłaniał, brał w boki, tańcował, a gawiedź śmiała się do rozpuku.

Ta lalka tak się podobała, że do niej zaraz kilku innych się przyłączyło. Drugi udawał Psubrata (Pibraka), inny Souvraya. Znalazł się naostatek grający rolę francuskiej dziewczyny, bez której się naturalnie obejść nie mogło.

Ale to było tylko zabawką, gorzej się działo na bocznych ulicach, gdzie do domostw szturmowano, domyślając się w nich schronienia Francuzów. Nie schwytano ludzi, bo ci przestraszeni życie ratowali ucieczką do zamku,

po klasztorach i dworach posłów, ale mienia już, jak do wyjazdu poukładanego, rozchwytano dużo.

Wśród tego rozruchu, który ani panowie, ani burmistrze i starszyzna nie mogli uspokoić, zmuszając tłumy, aby się rozeszły, znalazł się Talwosz zbudzony zawczasu.

Równo z innymi miał do Francuzów i do króla niechęć wielką, ucieczka go napełniła gniewem, ale nie wiedział, do czegoby mogło doprowadzić wichrzenie i krzyki uliczne.

Próbował więc, przemawiając do najbardziej rozją-. trzonych nakłonić ich do uspokojenia. Nikt nie słuchał.

Błądził po ulicach, przypatrując się temu, co się gdzie działo, razem z kilku dawnymi towarzyszami i znajomymi do służby królewnej należącymi, gdy Tęczyński wyleciał jak piorun z zamku, ze swymi Tatarami i służbą. Stanęli, aby się dowiedzieć dokąd i po co tak śpieszył, gdy o kilkanaście kroków od Talwosza kobieta owa rzuciła się z krzykiem chcąc zatrzymać podkon orzego.

U łyszawszy głos jej, Talwosz zadrżał. Począł zaraz, rozpychając tłum, b edz ku temu miejscu, w którem Tęczyński się zat zymał, gdy pad a na ziemię, i cały oddział, podążający za panem, pr e ec ał za n m, czy tratując leżącą na ziemi, czy wymijając ją, tego Litwin nie mógł dostrzedz.

L tością zdjęty, gdy już w u icy n e było przy leżącej kobiecie nikogo, nadbiegł, chcąc ją ratować.

Chociaż noc była bardzo ciemna, pochyliwszy się nad zemdloną, Talwosz o mało nie krzyknął, poznając w niej Dosię Zagłobiankę.

Leżała blada, martwa, tak, jak bez życia... ale krwi i ran nie móg dostrzedz.

Drzw domu, z którego wybiegła, zastępując drogę Tęczyńsk emu, stały otworem jeszcze, gdy inne wszystkie były pozamykane, bo właściciele kamienic obawiali się zburzonego pospólstwa.

Z pomocą dwóch towarzyszów, którzy nadeszli, Talwosz podniósł z ziemi niedającą znaków życia dziewczynę i kazał szukać w otwartym domu jej mieszkania a światła.

Wybiegli też zaraz gospodarze z kagankiem i we trzech

dźwigając Zagłobiankę zupełnie odrętwiałą i martwą po wschodach zaniesiono do izb, które na piąterku zajmowała.

Gospodyni napróżno, oblewając ją wodą, ocucić chciała z omdlenia. Zdawało się, że życie z ostatnim krzykiem rozpaczy z niej uciekło.

Talwosz jednak upierał się ratować i jednego z towarzyszów posłał po lekarza, a sam, co tylko mógł wymyśleć, próbował, dla przywrócenia jej zmysłów.

Długo wszystkie te usiłowania były próżnemi, a wyprawiony po doktora tak długo nie wracał, iż drugiego przyjaciela za nim wysłać musiał Litwin, sam jeden z Dosią pozostając.

On i zrozpaczona a rozpłakana stara gospodyni pracowali tak dobrze około zemdla ej, iż wkońcu życie jej powracać zaczęło.

Konie leżącej wśród ulicy szczęściem nie zgniotły, czego się Talwosz obawiał, omdlenie było skutkiem wzruszenia, jakiego doznała.

Zaledwie otworzywszy oczy i oprzytomniawszy Zagłobianka, gdy przypomniała sobie, co ją tak przeraziło, zerwała się z krzykiem z łóżka i padła na nie bezsilna.

Talwosz począł ją jak umiał pocieszać i uspakajać. Rozlała się cała we łzy i jęki. Mówił jeszcze do niej, gdy się zerwała.

— Król? król? co się z królem stało? To nieprawda! Nie mógł ujść!

Załamała ręce.

Litwin nie wiedział sam, co miał odpowiadać. Przypad a do niego z rękami zaciśniętemi, błagając.

— Król? powiedz mi, co się z nim stało? Ci źli ludzie, ci nieprzyjaciele jego, oni gotowi ..

Królowi się nic stać nie mogło—odparł Talwosz,—bo uszedł z wieczora i już go ani Tęczyński, ani nikt nie dogoni.

Dosia słuchała, patrząc osłupiałemi oczyma.

— Król? król uszedł —przerwała—możeż to być?

— Cały zamek splądrowano, niema wątpliwości, nie znaleziono go ni gdzie.

Zagłcbianka cczy wlepiła w ziemię. Łkanie ustawało, bo gwałt scbie zadawała. Wargi powtarzały, szepcąc:

— Król... król uszed ... Ani słowa.... an znaku życia.. Na zawsz !

Dla Litwina, któremu się serce krajało, nie ulegało wątpliwości, iż ze wszystkich Francuzów król jeden ją tylko obchodził. Poskromił się, aby jej nie czynić próżnych wyrzutów.

Po-chwili wróciła, słaniając się na łóżko i twarz kryjąc w poduszki, płakać zaczęła.

Ponieważ wysłani po lekarza nie powracali i mało się ich powrotu Talwcsz spodziewać mógł, zdawało mu się, powierzywszy dziewczę gospodyni, najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi.

Pccichu wysunął się z izby i wszedł w u icę znowu, myśląc się udać na zamek i zobaczyć, co się działo u królewnej.

Zdawało mu się, że Dosia raz pierwsze wrażenie zwyciężywszy, powoli do siebie przyjdzie i uspokoić się potrafi.

Przez Rynek i teraz jeszcze przebić się nie było łatwo spckój w mieście nie powracał, kupy ludu krążyły po nim z krzykam , cdgrażając się przeciwko Francuzom. Po drodze na zamek ciągle spotykał gromady takie rozjuszone, które kolebki senatorów zatrzymywały i żadnem słowem dobrem n'e dawały s'ę pohamować.

We wrotach zamku musiano postawić silną straż, aby cisnących się tam nie dopuszczała.

Hamowano ciżbę tem, iż królewna na zamku była i ją poszanować należało.

Jedno to imię teraz cokolwiek mogło rozbroić. Ci, co s ę do zamku nie mogli dcstać, oblegali go zewnątrz, nie chcąc i nie dając się rozproszyć.

Talwosz, znajomy wszystkim, sam jeden się na zamek dostać potrafił.

Na górze zastał królewnę z dworem modlącą się. Koniecki uspokoił tem, że Anna wiadomość o ucieczce przyjęła, nie okazując wielkiego żalu, a troszczyła się o to tylko, aby Francuzom krzywdy nie czyniono.

Ochmistrz, niezbyt bystrego umysłu człowiek, domyślał się z tego, iż królewna może zawczasu wtajemniczona o ucieczce wiedziała.

Litwin więc nie miał co tu robić i z szedł na dół, gdy Konrad, jeden z tych dwu, których posłał po lekarza dla Doroty, nadbiegł zdyszany i porwał go za rękę.

— Doktora nie napytałem nigdzie — krzyknął do Talwosza,—ale bodaj go już nie będzie potrzeba. Byłem tam, aby wam oznajmić, iż żadnego nie znalazłem, a trafiłem na to, gdy ta twoja dziewka, właśnie czyjąś szpadę porwawszy i utkwiwszy ją przy ścianie, sama się nią przebiła. Leży krwią oblana i już nie wiem czy żywa.

Ledwie dosłuchawszy, Talwosz wypadł, szukając konia, sam nie wiedział, komu go z rąk w podwórcu wychwycił i wskoczywszy na siodło, cwałem popędził, aby przekonać się, czy jeszcze nieszczęś iwej ratować nie będzie można.

Na górce zastał tłok ludzi i zawodzące kobiety, podłogę całą krwią zbroczoną, a Dorotę na pościeli i przy niej doktora, którego przypadkiem z ulicy ściągnięto.

Pierś była pod żebrami głęboko przebita, rana straszna, upływ krwi ogromny, ale dziewczę żyło jeszcze, a lekarz, mimo oporu jej, bo ręce kobiety musiały trzymać, tak się wyrywała, tamował już krew i zawiązywał ranę.

Talwosz w milczeniu stanął nad łóżkiem. Spojrzał pytająco na leka za, który mu wątpliwym odpowiedział znakiem.

Ponieważ człowiek był młody i nieznany, a z ubioru w nim Litwin poznał Niemca, dobył co miał pieniędzy i wcisnął mu je, zapewniając go, iż dobrze wynagrodzony zostanie, byle nie opuszczał nieszczęśliwej.

— Królewna Anna, której ona była sługą—poszepnął doktorowi—pewnie się zajmie jej losem. Ja powracam na zamek, aby się postarać o to, wy tymczasem róbcie, co można, aby jej ocalić życie.

Z pomocą gospodyni, rozpędziwszy potem ciekawych, Talwosz wrócił do konia i pognał na zamek.

U królewnej zastał płaczącego biskupa chełmskiego. Poczciwy staruszek, gdy mocniej wzruszonym był, zawsze musiał ulżyć sobie rzewnemi łzami.

Dał znak stary sługa królewnie, iż chciał mówić z nią; wyszła zaraz do niego.

— Znalazłem Zagłobiankę—rzekł żywo—przychodzę dla niej prosić o opiekę i miłosierdzie. Biedna dziewczyna dowiedziawszy się o ucieczce F ancuzów, przebić się chciała, raniła się niebezpiecznie. Niema komu czuwać nad nią.

Spojrzał, królewna Anna złożone ręce trzymała przy ustach, słuchając go.

— Gdzież ona jest?

— Nie można jej na zamek przenieść? Lękam się, aby sama sobie zostawiona, życia nie próbowała znowu, odebrać.

— Gdzie ona jest?—powtórzyła Anna.

Królewna powołała krajczynę.

— Róbcie, co można, ocalić potrzeba biedactwo!—zawołała wskazując na Talwosza.

Pani Łaska podzielała uczucia królewnej i z gorącością wielką wzięła się do spełnienia jej rozkazów. Zaprzężono kolebkę, wybrała się zaraz z Litwinem do Dosi, ale przed nocą nie można było przez pełne ulice tłumów przewieźć jej na zamkek.

Najmniejsza rzecz drażniła gawiedź, a ranna kobieta, w którejby się ofiary Francuzów domyślano, nową mogła wywołać burzę.

Dopiero więc ciemną nocą, małemi uliczkami mogła krajczyna niepostrzeżona z chorą się dostać do zamku.

Doktór zaręczył, że życie jej ocalić może, jeśli jakim nowym porywem nie zaszkodzi sobie. Ale w komorze przy mieszkaniu królewnej, w której Dorotę położono, Anna kazała trzymać straż pilną u łoża.

Po wyjeździe Tęczyńskiego długo żadnej pewnej wiadomości o królu nie było.

Co godzina prawie ktoś inną i sprzeczną przywoził. Niepewność ta trzymała miasto i panów senatorów w gorączce, której nic ukoić nie mogło.

Z najrozmaitszych źródeł przybiegały wieści, które

zdawały się prawdziwemi, dopóki nowe, a cale różne nie nadeszły.

Zrana opowiadano, iż Tęczyński zdołał króla pochwycić, uprosić, czy zmusić do powrotu, że król był tak, jak więźniem podkomorzego i z nim razem zbliżał się do Krakowa.

W godzin kilka potem najpewniejsze posły przybiegały z nowiną, iż król zbiegł, a Pibraka tylko po drodze schwytano i odarto.

Francuzów też kilku, którzy się ze strachu na różne strony porozbiegali, w pierwszej chwili popłochu, poobdzieranych, pieszo przyprowadzano do Krakowa, zbiedzonych, głodnych i wściekłych.

Usposobienie mściwe względem Henryka i Francuzów ten wywołało naprzód skutek, iż wszystkich oczy zwróciły się na królewnę Annę.

Publicznie wyznawano błąd ten, iż ją, jak Jadwigę, nie wybrano królową, zobowiązując elekta, aby ją poślubił.

Nie widziano teraz innego ratunku nad Infantkę w niej była nadzieja wybawienia.

Mówiono o tem głośno, tak głośno, iż ciągle na górę do Anny dochodziły te spóźnione żale, które ona smutnym przyjmowała i zrezygnowanym uśmiechem, chłodnym i obojętnym.

Nie miała już żadnych nadziei, nie chciała ich mieć, aby potem nie opłakiwać, a z rozrzewnieniem powtarzającej te życzenia senatorów i szlachty krajczynej odpowiadała potrząsając głową w milczeniu.

Myślała o siostrzeńcu Zygmuncie.

Dla siebie przestawała marzyć o czemkolwiekbądź... dla krwi swej tylko tron utrzymać pragnęła.

Zygmuś, Zygmuś modlący się po polsku stał przed jej oczyma. Gotową była zrzec się wszystkiego dla niego.

Pomiędzy senatorami zdania i przewidywania były bardzo różne.

Jedni jeszcze się spodziewali porozumienia z Henrykiem i powrotu, drudzy natychmiast gotowi byli ogłosić tron opróżnionym i zwołać wybory nowe. Niektórzy oba-

wiali się, aby lekkomyślny Francuz, roszczący sobie prawa do korony, chociaż sam ją porzucił tak haniebnie, nie chciał frymarczyć nią z cesarzem lub innym jakim książęciem.

Wstrzymywano się jednak z wyrokowaniem o tem, co czynić należało, dopókiby Tęczyński nie powrócił.

Królowi Henrykowi po wymknięciu się furtą Kaźmirzowską niebardzo się szczęśliwie wiodło, czemu się dziwić nie można, bo ucieczka była obmyślana zuchwale i niezbyt starannie.

Villequier, Pibrak i inni Francuzi, mający królowi towarzyszyć, przodem się przed nim wymknęli i mieli na niego czekać po drodze. Wychodząc miał z sobą tylko Souvray'a, Larchanta, Mirona i du Hallea.

Żaden z nich, choć tu już przebywali od kilku miesięcy, nie znał tak dobrze miasta i okolicy, aby wśród bardzo ciemnej nocy, przy pośpiechu i obawie, pewnym był, iż nie zbłądzi.

Król biegł niezmiernie żywo i naglił.

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy tuż za sobą usłyszeli przyśpieszonym biegiem idącego kogoś, który się zdawał wślad iść za nimi. Henryk, a z nim wszyscy dobyli szpady, gotowi się bronić, sądzili, że ich już Polacy gonią. Dosiadali właśnie koni. Wśród ciemności dopiero poznali nadbiegającego już na nich, Francuza d'Ermenville, który chociaż nie wybrany do orszaku króla, przypadł, zaklinając i prosząc, aby go wziął z sobą.

Henryk właśnie dosiadać miał konia, który tak był gorący, kręcil się i spinał, iż po kilkakroć napróżno się chciał dostać do siodła.

— Nastraszyłeś nas,—zawołał do nadchodzącego— siadaj na koń a prędzej. Nie mamy czasu do stracenia.

Koń królewski tymczasem tak dokazywał, że Souvray musiał podać mu klacz świeżo podarowaną przez Tęczyńskiego.

Los tak chciał, aby na niej zbiegł Henryk i zdradził tego, który mu ją ofiarował.

Villequier, Pibrak i kilku innych, z przewodnikami, których miał dać Sederyn, oczekiwać przyrzekli przy figurze nad drogą, u zrujnowanej kapliczki, z obrazem Matki Boskiej.

Ale ani Villequier, ani Pibrak, a co gorzej, przewodnicy, też się nie znaleźli na miejscu.

Czekać nie było podobieństwa, czas upływał. Król pierwszy ofiarował się jechać na oślep w kierunku ku granicy, spodziewając się, że go albo napędzą, lub gdzieś się z nimi spotka.

Noc chmurna i ciemna z trudnością nawet wybitą drogę znaleźć dozwalała.

Kilkanaście zaledwie kroków ubiegłszy, król i towarzysze jego ugrzęźli w błocie, z którego ledwie się wydobyć potrafili.

D'Ermenville pobiegł szukać gościńca i udało mu się go znaleźć. Puścili się czwałem, gnając konie bez miłosierdzia, a jazda ta szalona, w milczeniu, wsród ciemności, trwała około dwóch godzin.

Przed nimi stał las czarny, a w nim krzyżowało się kilka dróg. Niepewność, którą obrać. Souvray wskazał najszerzej wybitą, ale ta prowadziła do porębu, z którego drzewo budulcowe wywożono. Nagle kilkanaście ogromnych obalonych sosen, kłody, pnie i gałęzie nagromadzone zaparły dalszą drogę.

Król zmęczony, podrażniony, zeskoczył z konia. Souvray i Larchant także poczęli błądzić, starając się pieszo wyszukać nową jakąś ścieżkę.

Szczęściem natrafili na chałupkę węglarza: ale gdy się do niej zbliżyli, dosyć hałaśliwie i orężem pobrzękując, strwożony biedaczysko skoczył na wyżki, skrył się na nich i drabinę wciągnął za sobą. Larchant, aby się do niego dostać musiał szturmem brać chałupę.

Porwanego biedaka przyprowadzono przed króla który mu obiecywał nagrodę znaczną, byle im dalszą pokazał drogę.

D'Ermenville wziął węglarza na konia, wyjechał naprzód... pędzono czwałem znowu.

Zaczynało dnieć, gdy dzięki przewodnikowi dostali się do Zatora.

Wzruszenie, szybka jazda nocna, obawa pogoni nieustanna, niepewność, co począć dalej, brak przewodników, zabłąkanie się Pibraka, króla Henryka, rozpieszczonego i nie nawykłego do takich wysiłków, tak znużyły i odjęły mu siły, że choć pośpiech był konieczny, towarzyszący mu zwątpili, czy dalej wydoła.

Złamany jazdą konną, chociaż napół omdlały, kazał sobie skronie natrzeć winem, napił się go trochę i musiał siadać, aby pędzić znowu, bo każda chwila zwiększała niebezpieczeństwo.

Droga do Oświecimia dniem i gościńcem większym stosunkowo była już łatwiejszą.

Tu naostatek znaleźli się straceni Villequier, Pibrak, Caylus, Beauvail i Nangis, stanowiący resztę gromadki. Potrzebowali oni tu spocząć, gdyż przebyli także nocą wiele przygód i utrapień. Król, nie zatrzymując się dla nich, z Souvrayem, Larchant i du Halle popędził natychmiast dalej.

Wszystkie te zwłoki tyle czasu zabrały, że chociaż król o trzy godziny wyprzedzał Tęczyńskiego, pogoń zbliżała się i groziła. Słyszano ją już nadciągającą. Villequier i Pibrak ledwie mieli czas skoczyć na konie i ukryć się w poblizkim lesie; inni ruszyli doganiać króla, aby mu być pomocą.

Miron, jadący przodem, krzyczał na całe gardło:

— Prędzej! prędzej!—nie mogąc, zdyszany, nic więcej wymówić.

Souvray, który za królem jechał na ostatku, zatrzymał się, posłyszawszy wołanie i począł pytać Mirona, co się stało.

Przerażony doktór, nie zatrzymując się, krzyknął:

— Cała Polska goni za królem... nadjeżdżają... pędzą... Villequier i Pibrak wzięci w niewolę.

Tymczasem król strwożony, nie zatrzymując się,

z Larchantem i du Hallem pędził ciągle, co konie mogły wyskoczyć

Na drodze tuż za Oświecimiem, Souvray kazał rozrzucić most na rzeczce, ażeby goniących zatrzymać.

Tymczasem zbliżał się coraz Tęczyński, który z licznego orszaku po drodze zgubił część większą, wiele konpadło, inne ustały ze znużenia. Podkomorzy tylko z kilku po tatarsku ubranymi i uzbrojonymi ludźmi biegł, co chwila się zbliżając i zyskując pośpiechem na królu.

Do Oświecimia dobiegł właśnie, gdy oni wyjeżdżali z miasteczka. W Oświecimiu Tęczyński zaalarmował ludność, kazał zawołać starostę i zażądał swieżych koni gdyż te, które miał, już dalej iść nie mogły.

Podstarości, dowiedziawszy się, że uchodzącym był król, puścił się natychmiast na przełaj bez drogi i dopadł wkrótce do zburzonego mostu.

Tuż za nim widać było uchodzących Francuzów. Sądząc, że pomiędzy nimi znajduje się król, puścił się wpław do rzeczki, wołając po łacinie:

— Najjaśniejszy panie! czego uciekasz? (Serenissima Majestas, cur fugis?)

Król, zdaleka widząc brodzącego w wodzie z łaciną szlachcica, pomimo trwogi i znużenia, nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale nie myśląc stanąć, biegł dalej.

Granica już była niedaleko, tam czuł się bezpiecznym. Przed nimi widać było Pszczynę.

Tęczyński na złamanie karku gonił Henryka, chcąc koniecznie go ubiedz; miał już przy sobie tylko czterech Tatarów z łukami i strzałami.

Postrzegłszy go coraz się zbliżającego, Bellièvre, który miał parę pistoletów w olstrach, jeden z nich dał Larchantowi, drugi Souvrayowi.

— Brońcie się, panowie—zawołał,—mnie szpada wystarczy.

Wtem Francuz poznał dobrze sobie znanego podkomorzego.

— Jako przyjaciel, czy jako wróg przybywasz? — krzyknął do niego.

— Jako wierny sługa króla!—odparł Tęczyński.

— Każże Tatarom łuki spuścić, bo do nas mierzą!—zawołał Bellièvre.

Podkomorzy krzyknął na Tatarów swoich, ale musiał im powtórzyć rozkaz, nim go zrozumieli i usłuchali.

— Souvray!—począł, zwracając się do niego—na Boga! muszę z królem mówić!

Henryk stanął, poznawszy Tęczyńskiego. Ten chciał zsiąść z konia, ale król kazał mu pozostać, jak był i zbliżyć się.

Podkomorzy, pomimo całego poszanowania, jakie miał dla króla, poruszonym tak był i zrozpaczonym ucieczką, iż niebardzo mógł i umiał w początku ważyć słowa.

Silił się na to, aby nie wybuchnąć, lecz mimowoli wyrywały mu się wyrażenia, które tylko położenie nadzwyczajne i rozpacz mogła tłumaczyć. Miłość, jaką miał dla króla, pokładane w nim zaufanie, odpowiedzialność za ucieczkę, jaka na nim ciążyła, Tęczyńskiego w szał niemal wprawiały.

— Najjaśniejszy panie—począł drżącym głosem—panowie senatorowie wysłali mnie za W. Król Mością, ogarnięci rozpaczą, iż nie zasłużyli na to, abyś im zaufał i kraj ten umiłował, który cię za pana obrał. Cześć nasza i W. Król. Mości domaga się tego, abyś nas nie opuszczał, abyś powrócił. Wystawiasz nas na niebezpieczeństwo, na pośmiewisko. Pomnij na złożoną nam przysięgę, która cię wiąże. Jeżeli nas opuścisz, a i tego, za czem gonisz, nie osiągniesz... królu... będziesz od ludzi wzgardzonym, brzydzić się tobą będą... j a k p s e m!

Tęczyński mówił z namiętnością i sam może nie wiedział, jak mu z ust się wyrwało to pogardliwe słowo. Król zbladł straszliwie, ale milczał, tylko Bellièvre oburzony przerwał:

— Panie hrabio, król was zawsze miłował, a ty go za to psem zowiesz? (te rex amavit plurimum, et tu illum canem vocas!)

— Bóg mi świadek — krzyknął Tęczyński rozgorączkowany—nie do króla to stosowałem, ale do postępku.

Łzy mu stanęły w oczach i łkanie przerwało mowę

— Najjaśniejszy panie—wołał—ja jako podkomorzy, jako stróż osoby twojej, za ciebie odpowiadam. Ludzie mnie uczynią zdrajcą... a jam tem tylko zawinił, żem ci ufał i wierzył słowu twojemu. Królu, zaklinam, błagam, wróć do nas, znajdziesz w tym kraju posłuszniejszych i wierniejszych ludzi, niż w tym, dla którego nas chcesz porzucić.

Henryk bez gniewu wysłuchał poplątanej i pełnej goryczy mowy Tęczyńskiego, który rzucał się, poruszał, krzyczał, prawie nieprzytomny.

On zachował teraz, pewnym będąc, że go Tęczyński zatrzymać nie może, całą zimną krew człowieka, który nie dba o nic, oprócz, by dokonał, co zamierzył.

— Hrabio, przyjacielu mój—począł.—Jadę objąć to, co na mnie dziedzictwem spada, ale się nie wyrzekam kraju, który mnie obrał. Bóg łaskaw dozwoli, że zachować potrafię korony obie; ale Francya pierwsza ma prawo domnie, krew moja wiąże mnie z nią i zmusza ratować. Tam są pierwsze obowiązki.

Musiałem to uczynić, com zrobił. Condé z ośmiu tysiącami rajtarów od Falegrafa ciągnie do Francyi. Matka mi pisze, że dwanaście tysięcy Helwetów czeka w Metzu. Brat mój d'Alençon i król Navarry spiskują.

Henryk mieszał się, tłumacząc i śpiesząc zakończyć rozmowę, gdyż Bellièvre i Souvray dawali mu znaki, obawiając się zdrady. Sądzili, że Tęczyński umyślnie przedłuża rozmowę, aby dać innym nadciągnąć i króla wziąć w niewolę.

Tęczyńskiemu rozżalonemu, zbolałemu, trudno było poprzestać mówić.

Począł znowu króla zaklinać.

— Hrabio, przyjacielu—odparł Henryk—zaręczam i przyrzekam najuroczyściej, najdalej za trzy miesiące powrócę do was.

— Panowie senatorowie—przerwał podkomorzy—strwożeni są, abyś w Wiedniu nie był wystawionym na pokuszenia cesarza, który starał się o tę koronę i nie omieszka frymarczyć, aby ją dostać.

Z dobrze odegranem oburzeniem król dalej mówić mu nie dał.

— Korona ta jest mi równie droga, jak dziedziczna— zawołał, — nie myślę się jej pozbywać, a czuję siłę, abym obie dźwignął.

Tęczyński raz jeszcze, składając ręce, nalegać począł.

— Najjaśniejszy panie! Zlituj się, wróć! wróć! Senatorowie zgodzą się na wyjazd ciebie godny, będziemy ci towarzyszyli.

Wtem Henryk przerwał zniecierpliwiony nareszcie, głos podnosząc:

— Panie hrabio, nadto już jestem daleko, abym się wracał. Gdyby całe wasze siły polskie stanęły tu, nie cofnę się, a pierwszemu, coby mnie śmiał do tego nakłaniać, mieczbym w piersi utopił. Proszę was o jedno, zabierzcie ludzi waszych i jedźcie nazad, a miejcie staranie o tych sługach moich, którzy w Krakowie pozostali.

Rozpoczęła się tedy scena pożegnania ze strony podkomorzego i szczera, łzawa, którą król co najprędzej chciał skończyć. Zbliżył się Tęczyński do Henryka, płacząc i dobywszy tulicha z za pasa, uderzył się nim, w rękę aż krew wytrysła, którą wyssał, przysięgając na nią, że królowi wiernym pozostanie.

Król też, który do zakłucia ręki był nawykłym, bo krwią listy do kochanek pisywał, odpłacił Tęczyńskiemu wzajemnością.

Hrabia na pamiątkę ofiarował mu bransoletę z kamieni rzeźbionych, prosząc o jakiś mały upominek.

Souvray, co prędzej chcąc to skończyć, zawołał, iż nieladajaka, ale jak najdroższa pamiątka należy podkomorzemu.

Henryk zdjął z palca pierścień z dyamentem kosztowny (1200 talarów) i podał go Tęczyńskiemu, który ciągle łkając i płacząc, rękę całując jego rozstał się nareszcie.

— Ode mnie, panie hrabio—dodał Souvray—przyjmijcie zbroję, którą zostawiłem w mojem mieszkaniu na zamku w Krakowie.

Henryk skinął na swoich i natychmiast ruszył dalej ku granicy morawskiej, gdzie czekały pozostawione przez Bellièvre'a konie i kolebka.

Nie potrzebował Tęczyński śpieszyć z powrotem, wiozący smutną tylko odprawę, jaką mu dano.

Wszyscy ci, co po Tęczyńskim wyjechali, chcąc napędzić króla; dwaj marszałkowie koronny i litewski, starosta krakowski, kasztelanowie czeski i gdański, wielu szlachty ochotników, razem kilka tysięcy koni, przekonawszy się, iż Henryka nie potrafią doścignąć, od Zatora i od Oświecimia popowracali.

Podkomorzy ciągnął nazad, wiedząc, co go w Krakowie czeka. On, biskup kujawski, Zborowscy mieli wiele do zniesienia, im przypisywano wszystko złe.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, podkomorzy musiał się udać na zamek, aby królewnie zdać sprawę z rozmowy swej z królem, z jego uroczystych przyrzeczeń, którym teraz nikt wierzyć nie chciał. Sam Tęczyński, chociaż starał się Henryka bronić i uniewinniać, w duszy swej mało miał nadziei, aby na niego rachować można.

Teraz, gdy króla nie stało, a sprawy jego, tryb życia i postępowanie w Krakowie zaczęły na jaw wychodzić, charakter też Henryka odsłaniał się z całą swą przewrotnością, lekkomyślnością i zepsuciem.

Tęczyński jednak milczeć musiał i choć dla własnej godności stawać w jego obronie.

Anna z ciekawością, której nie ukrywała, oczekiwała na podkomorzego. Nazajutrz po powrocie stawił się u niej.

Anna, pani krajczyna, kilka starszych pań wyszły naprzeciw niemu. Liczny fraucymer, nie mogąc do sali się wcisnąć, pozostał pode drzwiami.

Gorączka i rozdrażnienie jeszcze nie opuściły biednego Tęczyńskiego, łączył się z niemi teraz tylko wielki żal do króla. Na twarzy podkomorzego, zwykle spokojnej i wesołej, widać było znużenie podróżą i doznanym zawodem.

— Napróżno puściłem się za królem—rzekł smutnie— tyle tylko, że go widziałem raz jeszcze, alem ani zaklęciami, ani prośbami, ani groźbą wymódz na nim nie potrafił, aby powrócił. Obiecał wprawdzie, że za trzy miesiące najdalej przyjedzie do Polski... ale...

Tęczyński spuścił głowę i nie dokończył; nie chciał

przyznać, że już ani przyrzeczeniom, ani przysięgom nie wierzył.

Zaczął potem opisywać szczegółowo pogoń swą, w której z kilkudziesięciu towarzyszów ledwie czterech mu pozostało, gdy Henryka dognał. Powtórzył potem rozmowę swą, słowa króla i wspomniał o tem, że wkońcu napomknął mu o listach, które zostawił do panów senatorów.

Zarumienił się, mówiąc to, Tęczyński, bo nie śmiał powiedzieć prawdy, że listów tych napróżno szukano we wszystkich pokojach, i że je przypadkiem odkryto w małym wychodku w czeluści pieca ukryte.

Królewna, sądząc, że i do niej pismo powinien był zostawić, zarumieniła się mocno. Nie śmiała sama zapytać o to. Podkomorzy się domyślił pytania tego i zręcznie odpowiedział na nie.

— Sądziłem—rzekł—że między listami, które nie bez trudności dobrze ukryte znaleźliśmy nareszcie, będzie i pisanie jakie do W. Król. Mości, ale żadnego nie było.

Królewna przerwała głosem drżącym:

— Jam się żadnego nie spodziewała, a Henryk teraz nadto jest swoją francuską koroną zajęty, aby o polskiej mógł pamiętać. Bóg jeden wie przyszłość; mnie się zdaje, iż wmość na niego niewiele rachować możecie i że wprędce za nowym królem obejrzeć się będziecie musieli.

— Juści my go prawie jednozgodnie obrali—odezwał się podkomorzy—nauczeni popełnionym błędem, powinniśmy byli W. Kr. Mość wybrać sobie, zaczemby wszystko przy błogosławieństwie Bożem, lepiej poszło.

Rumieniec znowu wypłynął na zbladłe lice Anny.

— O mnie nie myślcie—rzekła z godnością,—ale o tej osieroconej Rzeczypospolitej, która dziś tak, jak wdową jest, bo ma króla, a pozostała bez niego. Ja wam z sobą nic przynieść nie mogę, a rychlejby oczy wasze zwrócić się powinny na tego, którego ja jak własne uważam dziecię, na małego Zygmunta, synaczka siostry mojej. Toć także Jagiellońskiej, choć po kądzieli, krwi potomek, a z nim takby wam Szwecya przyszła, jak z nami niegdyś Litwa.

Mały jest jeszcze i nieletni — odparł Tęczyński —nam

pilno, choćby dla wojny z Moskwą, dzielnego rycerza i wodza potrzeba, inaczej, to, co nam już zabrano, przepadnie, a i dalszych zaborów nie unikniemy.

Mówili znowu o Henryku, a królewna z dobrego serca wspomniała o Francuzach, którzy w wielkim strachu napaściom rozżalonego ludu zaledwie się oprzeć mogli, prosząc, aby ich oszczędzano.

— Król mi ich także polecił—rzekł Tęczyński,— mieć będę o nich staranie, choć pospólstwu się dziwować nie mogę, bo i w naszych piersiach żal i ból zmysły nam miesza.

Odszedł, opowiedziawszy wszystko podkomorzy, a gdy się za nim drzwi zamknęły, królewna długo siedziała sparta o stół, zadumana, nie mówiąc ani słowa.

Żegnała się z marzeniami swemi, dziwiąc teraz, że je kiedykolwiek powziąć i tak długo trwać w nich mogła. Z tąż samą siłą, z jaką w początku przywiązała się do Henryka, oddała całe serce swe siostrzeńcowi.

Chciała mu być przybraną matką, opiekunką i wszystko poświęcić, aby jego, a nie kogo innego, na tron wprowadzić.

Z posłuchalnej sali udała się powolnym krokiem do sypialni, padła na klęczniku, złożyła ręce i rozpłakawszy się, w duszy powtarzać zaczęła:—Zygmunt! Zygmunt!

Ofiara została dokonaną.

———

Codzień teraz, jakby na pokuszenie królewnej, odzywały się głośniej żądania wszystkich, aby nie kogo innego obrano tylko Annę, a przyszłemu panu zaślubienie jej położono za warunek.

Pochlebiało to spóźnione praw jej uznanie Annie, ale po ciężkiej próbie, jaką przebyła, prawie obojętnie przyjmowała te dowody przywiązania do dynastyi.

Na myśli miała teraz Zygmunta.

Mało kto się łudził powrotem Henryka, a stronnictwo rakuskie, nowe powziąwszy nadzieje, krzątało się już czynnie, prawie pewne tego, iż większość mieć będzie za sobą.

Cesarz nawet tak dalece był spokojny o to, tak się ubezpieczył, że zbytnich nie myślał czynić zabiegów. Obawiano się, aby Henryk wprost nie sprzedawał swoich praw do korony księciu Ferrary, o czem wkrótce potem poszły pogłoski, lub ich nie ustąpił bratu d'Alençonowi, którego rad się był pozbyć. Lecz w Polsce o takim frymarku słyszeć nie chciano.

Stronnictwo królewnej potężniało i rosło, chociaż ona sama bynajmniej się o to nie starała.

W kilka miesięcy po ucieczce Henryka dwór i Anna wybierała się do Warszawy. Czyniono przygotowania do podróży.

Talwosz jednego dnia stanął, jak dawnych czasów, w progu królewnej.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Przyniósł jej z sobą wspomnienie smutnych i ciężkich chwil, przeszłych bezpowrotnie.

— Cóż ty mi powiesz?—odezwała się, przystępując do niego.—Mówiono mi, że miałeś ochotę powrócić na Litwę?

— Sam nie wiem—cichym głosem rzekł Talwosz i westchnął.—Mam prośbę do W. Kr. Mości.

— Radabym ci ją, nie słuchając nawet, uskuteczniła—odezwała się Anna.

Chwilkę namyślał się Litwin, jakby mu ciężko było się tłumaczyć.

— Wiadomo W. Kr. Mości—rzekł po namyśle—jak dawno i wiernie miłowałem Zagłobiankę. Nie poszczęściło mi się z nią, niestety! Taka była wola Boża! Dzięki opiece W. Kr. Mości panna Dorota przychodzi do zdrowia. Choć ja jej nie widuję, bo wiem, że widok mój przyjemnościby jej nie uczynił, wiem od innych, że się ma lepiej.

Anna poruszyła rękami.

— A! mój Talwoszu—rzekła—życie wprawdzie uchowało się, ale co się z nią stało biedną! Jak zmieniona na cie-

le i na duszy, jak upokorzona, znękana, tego ludzki język nie wypowie.

— Bądź co bądź—począł Litwin—ja trwam w mojem dla niej przywiązaniu i właśnie łaski i pośrednictwa W. Kr. Mości przychodzę prosić, bo pragnę ją poślubić. Pojedziemy na Litwę, tam jej nikt nie zna, nikt nie wie, co się stało, a ja tej przeszłości pamiętać nie będę.

Pokłonił się Talwosz.

— Przemówcie za mną—rzekł do królewnej, która stała zamyślona.

— Uczynię to chętnie—odezwała się Anna,—chociaż z góry przewiduję, że się to na nic nie przyda.

— Niech mi pozwoli chwilę rozmowy z sobą — dodał.

— Przyjdź jutro po odpowiedź.

Nazajutrz krajczyna przychodzącemu Talwoszowi dała znać, że z Dorotą widzieć się może.

W ciągu tych kilku miesięcy Talwosz dowiadywał się tylko o nią, ale jej nie widział wcale. Wszedł do komnaty przyciemnionej z bijącem sercem.

Przed nim stała w ciemnej sukni, jakby zakonnego kroju, blada i zmieniona do niepoznania, jakby jej nagle lat dziesięć przybyło, Zagłobianka. Twarz miała przerażającą wyrazem jakiejś rezygnacyi trupiej, ostygłej, obumarłej.

— Chcieliście widzieć się ze mną—poczęła pierwsza— a ja też wam za ocalenie życia pragnęłam podziękować. Jesteście dobroczyńcą moim, boście mi dali czas do pokuty.

— Panno Doroto—głosem przejętym uczuciem odezwał się Talwosz—nie mówmy o przeszłości. Ja przychodzę was prosić, abyście mi podali rękę do ołtarza.

Spojrzała na niego wejrzeniem długiem Dosia i poczęła głową poruszać.

— Sądzisz, że przeszłość można zmazać i zapomnieć? Myślisz, że dosyć jest powiedzieć jej: precz! aby odeszła na zawsze? A! nie... nie... przyjacielu! Wsiąka ona w całą istotę naszą i przejmuje do kości. Ja szczęśliwą nigdy być nie mogę, a tobiebym szczęścia nie przyniosła. Nie, nie...

— Panno Dorcto, jeśli uznajecie, żem wam wiernie i poczciwie służył—dodał Talwosz—należy mi się zapłata, bądźcie moją! Proszę was błagam! Pojedziemy na Litwę, do matki mojej. Siądziemy w cichym zakątku· wierzcie mi, nigdy słowem, niczem te nieszczęśliwe przebyte czasy się nie przypomną.

Przykląkł przed nią. Dosia, obie ręce wyciągnąwszy, zmusiła, aby się podniósł.

— Nie mogę—rzekła—nie mogę. Serce mi wyschło! Nie wierzę w nic, nikomu, nie chcę się nic spodziewać.

Łzy się jej z oczów puściły.

— Dlaczego wam o tem nie powiedziano—odezwała się, ocierając je — ja oddawna postanowiłam wstąpić do klasztoru, i gdy królewna do Warszawy, ja do Nowego Sącza pojadę. Dałam w duszy słowo Bogu i nie złamię go. Wierz mi, Talwosz, tak lepiej, to był jeden koniec, który serce uspokoić może... grób!

Napróżno Litwin wszelkiemi sposobami starał się ją sam i przez królewnę nakłonić, aby postanowienie zmieniła. Dorota pozostała przy swym ślubie niewzruszona.

W kilka dni potem krajczyna i Żalińska towarzyszyły jej do Nowego Sącza, gdzie królewna wychowanicy swej zapewniła przyjęcie.

Talwosz natychmiast potem ruszył na Litwę i tam się na wsi zagrzebał.

Annę Jagiellonkę czekały jeszcze w dziwnie wiążącem się życiu nowe nadzieje i zawody. Wybrana królową, zostawszy żoną Stefana Batorego, w czasie panowania jego żyła w ciszy, na ustroni, wśród małego kółka, jakie sobie stworzyła.

Śmierć męża, nagła, przedwczesna, rozbudziła, odżywiła nadzieje wprowadzenia na tron siostrzeńca, do którego, nie znając go, coraz się mocniej przywiązywała.

Niema wątpliwości, że jej staraniom i zabiegom Zygmunt III wybór swój był winien. Przyjęła go przybywającego jak dziecię własne, on kochał ją i szanował jak matkę.

W tem złudzeniu macierzyństwa dożyła do końca, i serce jej nareszcie znalazło kogoś, komu całe oddać się mogło.

Drezno, 1884.

KONIEC.

60

Kraszewski, Józef Ignacy
Infantka (Anna Jagiellonka)

